



✓

RYCERZ LIZDEJKO.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 4 Сентября 1900 года.



884-311.6 p. 46  
2/6/6.46

DO PRENUMERATORÓW  
DZIENNIKA WARSZAWSKIEGO.

Po wielu trudnościach i walce z różnemi niewiele mi sprzyjającemi okolicznościami, występuję nareszcie z obiecany wam od dni kilkunastu Lizdejkiem. Cóż wam o nim mogę powiedzieć, czytelnicy mili? nie innego, tylko prosić was o pobłażanie i wyrozumiałość w ciągu tej publikacji, a Bóg świadek, że na to ostatnie zasługuję.

Co do samego dziełka, jest ono, jak wszystkie inne moje pisemka tego rodzaju, obrazem dawnej obyczajowości, w której przetrwały się już kości na-

szych naddziadów. Zarzucano mi niejednokrotnie, że jestem umysłem wstecznym, dlatego, że nigdy nie tailem mojego wstrętu od tego ruchu umysłowego, który się przebija i w literaturze i w stanie towarzyskim zachodu Europy; ale nie idzie za tem, żebym roił sobie powrót dzisiejszego pokolenia do dawnej naszej obyczajowości, bo jakkolwiek przeszłość wpływać musi koniecznie na terażniejszość, przecie terażniejszością być nie może.

Ani czasy upłynione nie mogą się odnowić w tożsamości, ani rzeki powracać do swoich źródeł. Ale dlaczegóż nie szanować dawnych pamiątek i pogardzać tem, co nasi ojcowie miłowali? Wszakże kościół chrześcijański usiłował pogrzebać ze czcią, starą, lubo już niewierną Synagogę, przez wzgląd, że z niej czerpnął zarodki swojego żywota; dlaczegóżbyśmy mieli odmawiać szacunku dla tej dawnej obyczajowości, z łona której tyle cnót, tyle ofiar tryskało, jak z obfitego źródła? Bo tego przynajmniej zaprzeczyć nie można, że chociażby nawet było udowodnione, iż nieskończenie przewyższamy naszych przodków naukami, przemysłem, rozumem, zawsze ich cnoty nam za wzór służyć powinny.

Pisarz potrzebuje współczucia i jakiejś zachęty

od swoich czytelników, żeby rzeczywiście mógł zostać pożytecznym. Tuszę, że kiedyś to uzyskam, jak się lepiej rozumieć wzajemnie zaczniemy. Ale położenie pisarza, którego niemal każde słowo, wypadłe z pod jego pióra, staje się powodem niewyczerpanych komentarzy, usiłujących podać w podejrzenie jego charakter i jego dążności, który ciągle jest pomawiany o złe chęci, o jakieś szkodliwe zamiary, a który nadto się szacuje, żeby aż poniżyć siebie do tłumaczenia się, najczęściej przed takimi, którzy z własnych swoich wyobrażeń rachunku zdaćby nie mogli — byłoby nader trudne, gdyby się nie czuł wyższym od tych wszystkich pocisków nierozważnej zawiści.

Od początku pojawu tego Dziennika zawiść i być może w dobrej wierze powzięta niechęć do jego wydawcy, ani na chwilę nie zadrzeiała. Były rozmaite zabiegi, żeby zaszkodzić publikacji pierwszego Dziennika politycznego, na wzór zagranicznych redagowanego. Były one w publiczność, żeby ją od niego odstręczyć. Bezwątpienia, współubieganie się nie jest wygodne, i łatwiej użyć pokątnych potwarzy, niż dobijać się pracą o zwalczenie współzawodnika, stając się wyższym od niego. Wszakże wytrzymaliśmy te pociski, i nasz Dziennik wyszedł bez wielkie-

go szwanku z tej walki. Jeżeli się znaleźli niektórzy w zdaniu chwiejący się, to z drugiej strony liczba prenumeratorów ciągle się pomnaża, publiczność zaczyna oceniać nasze starania około coraz większego podniesienia naszego Dziennika, i codziennie odbieramy z prowincyi oświadczenia wdzięczności za nasze prace. Bez zarozumiałości możemy tuszyć, że już jego byt jest ustalony. Wam to winniśmy, czytelnicy mili, i raczcie przyjąć nasze podzięk, wraz z zapewnieniem, że wszystkie nasze usiłności ku temu są obrócone, żeby coraz więcej zasługiwać na waszą łaskę.

Na dowód tej naszej wdzięczności, ofiarujemy wam w darze *Lizdejkę*; ta powieść li tylko dla was jest przeznaczoną, nigdzie się ona nie okaże tylko przy kartach Dziennika, nigdzie nie będzie odbita jako przedmiot osobnego przedsięwzięcia. Odrzuciliśmy wszystkie ofary w tym względzie nam czynione, bo *Lizdejko* nie nasza, ale waszą jest własnością. Przyjmcie ją łaskawie, jeżeli nie jako dar wielkiej wartości, to przynajmniej jako grosz wdowi.

Pisałem w Warszawie, d. 27 Czerwca 1851 r.

*Hen. hr. Rzewuski.*

## ROZDZIAŁ I.

Smutny to był okres dla Polski—panowanie Jana Kazimierza, ale obfity w wielkie czyny i w wielkie męże. Wedle wszelkich rachub ludzkich, już ona wówczas wymazywaną była z mapp geograficznych Europy; bo czegoż z przyszłości oczekiwać mogła, kiedy ze wszech stron spiknięte na nią siły, już tak dobrze jak bezspornie, dzieliły między sobą jej dzierżawy i urządzały wedle woli swojej; a omal że nie całkowity naród, wycieńczony bezowocnym oporem, już zdawał się być obojętnym na swoje przeznaczenie? Bogdan Chmielnicki, owładnąwszy obie Ukrainy, a zaprowadziwszy w nich swoje rządy, wsparty skłonnością prostego ludu, nienawidzącego jarzmo szlachty polskiej, wyganiał kapłanów i obywateli obrzędu łacińskiego, których nóż zbuntowanego chłop-

stwa jeszcze był oszczędził. Rakoczy opanował Ruś czerwoną, i wchodził w umowy z Portą Ottomańską, żeby jej dziedzictwo pod tej lennością zapewnić krwi swojej. Wojska tureckie i hordy tatarskie zniosły były całe Podole, i baszowie zastępowali dawnych starostów. Brandeburczyk, lennik podówczas Rzeczypospolitej, korzystał z jej nieszczęść, żeby ogarnąć Prussy królewskie, a Litwa, Wielka i Mała Polska już były posłuszne przywłaszczycielowi tronu szwedzkiego.

Wprawdzie to posłuszeństwo nie było zupełne. Pokazywały się po różnych częściach kraju oddziały stronników zrzuconego z tronu króla, albo przynajmniej głoszących siebie za takich; jeszcze mężny Kordecki z swojemi zakonnikami i z garścią szlachty, zamkniętej z nim w Częstochowie, wytrzymał oblężenie i odrzucał wszelkie warunki, ofiarowane mu przez Szwedów do poddania się. Ale to wszystko nie było zdolne wydzwignąć upadłej sprawy. Te oddziały, jakkolwiek waleczne, liczebnie zanadto były słabe, żeby długo mogły się opierać licznym i porządnym hufcom Karola Gustawa, a co się tyczy Częstochowy, stronnicy Szwedów w Polsce, po większej części dyssydenci, nie bez jakiejś słuszności głosili w narodzie, że królowi szwedzkiemu nie zbywało na środkach dostatecznych do zasypania jej gruzami, i że jeżeli zamiast wstępnego boju i użycia móżdżerzy, przedłużonem oblężeniem woli nędzić załogę

i zmusić ją do otwarcia mu wrót, to dwom przyczynom przypisać należy: raz, że burząc siedlisko jakoby zaszczycone cudami Matki Zbawiciela, mógłby wywołać fanatyzm prostego ludu, który dotąd nie brał udziału w oporze szlachty przeciwko niemu; powtóre, że mu chodziło o ocalenie skarbów nagromadzonych w Jasnej-Górze pobożnością narodową, by je obrócić na własny pożytek. Biorąc rzeczy wedle rozumu li tylko ludzkiego, ci co to utrzymywali, mieli słuszność za sobą, a jednak fakta przynoszą oczywiste dowody, że ocalenie Częstochowy, a później i kraju, nie było skutkiem działań wojennych i politycznych, ale sprawą Najświętszej Panny, czasem bezpośrednio działającej w ustępach oblężenia Częstochowy, a czasem używającej ludzkich a drugorzędnych środków do wydzwignienia z ostatniej toni narodu, który nie swojemu rozumowi, nawet nie swojemu męztwu, ale jedynie Jej opiece zaufał.

W wielu zamkach obronnych pany i zamożniejsza szlachta, przywiązani jeszcze do Jana Kazimierza, zamknęli się ze swojemi milicjami. Niektóre z nich Szwedzi zdobyli i pokruszyli, innych zaniechali, będąc aż nadto pewni, że nie mając żadnego punktu oparcia się dla narodowego stronnictwa, same z siebie bramy swoje otworzą. Sprzymierzeńcy Szwecyi współnością korzyści ściśle byli z nią związani. Europa obojętnie patrzyła na przygody Polski, gdyż jej polityka była wówczas wyłącznie dynastyczną,

a król obieralny niewiele współczucia wzniecał w sercach monarchów dziedzicznych, przedstawicieli swoich narodów. Sam Jan Kazimierz, zwątpiwszy o przyszłości, opuścił Polskę, i osiadł w księztwie, które na Szlązku posiadał prawem zastawnem. Obie dwie jego stolice miały załogi szwedzkie, a ze wszech stron Rzeczypospolitej Karol Gustaw odbierał submissye panów polskich, przenoszących zwierzchność króla przywłaszczyciela, ale wielkiej krwi, nad oddanie się w poddaństwo Rakoczemu, wzgardzonemu od nich Chmielnickiemu, lub co gorsza hanowi tatarskiemu. Jakaż albowiem nadzieja pozostać mogła przyjaciółom Jana Kazimierza, kiedy już i Jerzy Lubomirski i Rewera Potocki i książę Michał Radziwiłł, Ordynat Nieświeżski, najgorliwsi popiecznicy króla, któremu wierność zaprzysięgli, weszli w umowy z Karolem Gustawem, ofiarując mu posłuszeństwo w zamian za dozwoleństwo im spokojnego życia w ich dobrach, a Gąsiewski, hetman litewski, równy im w dzielności bohater, przyjął nawet służbę u zwycięzcy ze szczątkami wojska, któremu dowodził.

Karol Gustaw nie tylko że był szczęśliwym wojownikiem, ale jeszcze i politykiem głębokim. Opierał się na partyi dyssydentów, z którymi już jednością wyznania był związany, a na czele tej partyi stali: Bogusław na Birzaczach książę Radziwiłł, marszałek wielki litewski, i Daniel książę Dorohostajski,

wojewoda witebski. I jeden i drugi aż do fanatyzmu wyznawali naukę Kalwina, i z tego powodu zawsze okazywali się nieżyczliwymi dla domu Wazów; obaj byli wsławieni w rzemiośle wodza i żołnierza. Jednak na początku wojny stanęli w obronie kraju; ale kiedy kilkakrotnie zmierzli się w Karolem Gustawem, a zawsze ze szkodą, Dorohostajski był pierwszym, który odstąpił swojego pana i przeszedł do jego współzawodnika, a wkrótce potem i Radziwiłł poszedł za jego przykładem.

Ale jakkolwiek Karol Gustaw umiał się poznać na ważności podobnych stronników, i okazywał ufność polskim dyssydentom, wszakże nie do tego stopnia, żeby aż im dać na pastwę wyznawców religii panującej. Nie było mu tajno, że między temi ostatniemi nie mógł mieć przyjaciół, że ich uległość była wymuszoną, ale nie chciał ich do reszty zniechęcać. Ztąd nie tylko że wstrzymywał zapędy panów wyznania augsburskiego i helweckiego, i jeszcze więcej oddalonych od kościoła rzymskiego Aryanów, którzy go nakłaniali do zniesienia wszystkich klasztorów, by się poobdzielać dobrami kościelnymi, ale nawet świątynie katolickie, wojną zniszczone, w części lub całkowicie własnym kosztem podnosił. Dawał przystęp do siebie biskupom i zakonnikom, i często im powtarzał: „Nie myślcie, żebym był nieprzyjacielem waszego wyznania, ani żeby prześladowanie innowierców zgadzało się z zasadami protestantyzmu.

Sprawa między Bogiem a jego stworzeniem nie podlega rozsądkowi ludzkiemu; byleście utrzymywali wasze owieczki w posłuszeństwie dla mojej władzy w obrębach li tylko świeckich, jakich nie mam zamiaru przekraczać, możecie być pewni, iż nie ścierpię, żeby ktokolwiek dopuścił się waszej krzywdy, czy to na osobach, czy to na majątkach“. Takim umiarkowaniem ów zacięty wróg religii katolickiej przyłaskawił znaczniejszą część duchowieństwa. Jezuitów tylko prześladował, bo czuł aż nadto, że ich jednych na stanowisku religijnem omamić nie zdoła.

Zaczynało się objawiać jakieś sprzyjanie dla nowo wprowadzonego rządu w tej obszernej części Polski, którą Szwedzi byli owładnęli. Bezwątpienia obywatel czasem doświadczał ucisków, ale przynajmniej te uciski były w korbach jakiegoś porządku i nie wzięły pomyślności powszechnej. Odkąd wyobrażenia z Wittembergu i Genewy czerpane rozszerzyły się po wyższych warstwach społeczeństwa, a z niemi i obyczaje i ogłada Europy zachodniej, namnożyło się takich, którzy powzięli przekonanie, że wszystkie nasze starodawne ustawy były płodem barbarzyństwa, utrwalającym tylko bezrząd w narodzie. Porównywali oni murowane miasta, a nawet wsie niemieckie, przemysł ich mieszkańców, sprężystość ich rządów z lepiankami przeznaczonemi na siedzibę dla rolników Polski, z brudnym żydostwem jej miasteczek, z hałaśliwością jej szlachty, z zawiloscią

z jaką jej prawa się wykonywały, i tym sposobem przyzwyczajali się do wzdychania za obyczajowością zagraniczną, a pogardzania rodzinną. Dyssydenci jawnie powstawali na stan społeczny własnej ojezyny, a prawowierni słuchali ich cierpliwie. Bo już w owym czasie ludzie nazwani światłymi łaknęli za tronem spadkowym, w przekonaniu, że z odmianą formy rządowej całkowita cywilizacja ościenna przeniesie się do Polski. Wszakże szlachta na prowincyi osiadła, wierna podaniom narodowym, instynktownie te nowe zasady odpychała. Ztąd dla własnego bezpieczeństwa stronnicy reformy nie śmieli przed nią odzywać się zbyt otwarcie z tem, co jawnie wyznawali w stolicy. Ale po zwycięztwach króla szwedzkiego, śmiało puszczając wodze swoim nadziejom, natarczywie nalegali na niego, żeby zwołał sejm, któryby ogłosił detronizację prawego króla, a jego samego dziedzicznym panem narodu.

Że Karol Gustaw, ciągle gotując się do tego kroku, przecie nie odważył się go zrobić, niczemu innemu tego przypisać nie można, jedno wyraźnej woli Opatrzności, która bezwątpienia z wszechmądrych widoków chciała jeszcze jakiś czas przedłużyć rzeczywistość byt Polski. Gdyż biorąc rzeczy po ludzku, mógłby to uczynić bez doświadczenia walnego oporu. Jego sprzymierzeńcy nie byli od tego, bo już był podany i przyjęty przez nich podział Polski, uprojektowany i sporządzony przez Rakoczego; a co się tyczy



samej Polski, jako się powiedziało, co tylko było znakomitszego w narodzie, uległo zwycięzcom, a za tym przykładem szły i massy, już pozbawione przyrodzonych przewodników.

Jedni, nie opierając się złej doli, znosili ją z tą godnością wówczas wrodzoną Polakom, dziś omal że nie zapomnianą, a która nawet u zwycięzców wywoływała dla nich szacunek. Drudzy, ubiegając się o łaskę zwycięzcy, a zawsze gotowi go opuścić przy zmianie szczęścia, wmawiali sobie i innym, że przyjmując od niego posady sownie groszem publicznym opatrzone, i dźwigając ciężary starostw, wielce się wysługiwali swoim ziomkom. A była jeszcze trzecia klasa, zawsze najliczniejsza w każdym narodzie, od której trudno wymagać poświęcenia, ale którą najłatwiej utrzymać w posłuszeństwie, składająca się z obywateli żyjących na wsi, w próżnowaniu zawsze tak miłym, zwłaszcza dla Polaka, mającego o czem próżnować. Ci ludzie, zupełni bierni, stanowią jednak materyalną potęgę ciał politycznych, i lubo mogą stać się narzędziem fakcyi, z natury swojej są wierni każdemu rządowi, przynoszącemu za sobą jakąś rękojmię trwałości. Nie wyzuci z cnót prywatnych, ale ubodzy w cnoty publiczne, czując potrzebę bezpieczeństwa, a tem samem rządu dość mocnego, żeby je zapewniał, przyzwyczajali się do szwedzkiego, łagodnego, jak każdy rozpoczynający swój zawód. Kołysani pamięcią przeszłości i czuciem bytu obe-

cnego, lubo językami tylko, wcale nie niebezpiecznymi, wytępalili Szwedów, i przybierali barwę zapалу dla sławy narodowej, przecie umieli się poznać na korzyściach, jakie im Karol Gustaw przynosił. Bo każdy miał coś do stracenia, gdyż jeszcze proletaryzm, plód postępu cywilizacyi, nie był się wylągł na ziemi polskiej,—a więc w duchu sprzyjał potężnemu monarsze, i pragnął żeby koniec położył ich niepewności przyłączeniem polskiej do szwedzkiej korony.

Ale co się najwięcej przyczyniło do ich życzliwości dla zwycięzcy, to te oddziały stronników Jana Kazimierza, które z bronią w ręku pokazywały się po różnych częściach podbitej Rzeczpospolitej. Były one zbyt słabe, żeby zmusić zwycięzców do zmiany ich polityki, ale aż nadto silne dla udręczenia spokojnych obywateli. Barwa miłości ojczyzny, jaką te oddziały były przybrały, stawiała tych obywateli w osobliwym względem nich położeniu. Każdy ich nienawdził, lękał się ich przybycia, a nie tylko że nie śmiał szczerze i stanowczo pomagać Szwedom do położenia końca ich bezprawiom, jakich często sam padał ofiarą, ale owszem ułatwiał wszelkie środki do pomyslnego zawodu tych po większej części uprzewilejowanych terroryzmem opinii rabusiów. Ile razy obywatel zostawał nawiedzony od podobnego oddziału, jakkol-

Rycerz Lizdejko. I. „Gazeta Polaka“.



wiek w duchu przeklinał go, zawsze mu okazywał współczucie, lubo doświadczał od niego najdotkliwszych ucisków. Ten oddział wypróżniał jego stajnie; jeżeli miał rannych i chorych, powierzał ich jego pieczy, a na ich miejscu jego sługi zaciągał pod swoje znaki, i *via facti* zabierał mu to wszystko, cò mu się zdawało być potrzebnem. A przecież rozstawał się z nim w najlepszej komitywie. Wprawdzie po doświadczeniu grabieży, szlachcic jakoby dla zaśloneńia się od podejrzeń, że sprzyja ludziom wywołanym, udawał się do rządu ze skargami, które już im szkodzić nie mogły; z płaczem dopominał się o wynagrodzenie krzywd, jakie poniósł; ale ani chciał brać czynnego udziału w ich poskromieniu, ani kryjących się w jego domu partyzantów wydawał, owszem wszelkie środki im ułatwiał, ażeby dostali się do swoich, i nigdy w porę nie ostrzegał władz miejscowych o zbliżającym się ich napadzie. A jeżeli przed nimi przybierał postać skrzywdzonego, w poufnych rozmowach z obywatelami nie szczędził pochwał dla tych, których przed rządem oskarżał; wynosił się przed nimi ze swoich ofiar, jakoby dobrowolnych, dla tych obrońców narodowej sprawy; dawał do poznania, że się z nimi znosi. Jednem słowem, każdy pragnął ich wytępienia, byleby do niego nie przyczyniać się widocznie.

Tym sposobem mnożyły się w Polsce oddziały uzbrojone, więcej szkody przynoszące obywatelom po

wsiach mieszkającym, niżeli wszystkie wojska nieprzyjacielskie. Te oddziały zachowywały bezwarunkowo posłuszeństwo swoim wodzom, a ci, że każdy z nich na wypadek wpadnięcia w ręce nieprzyjaciół natychmiast zostawał powieszony, więc kłamali sobie nazwiska, żeby nie hańbić prawdziwego szubieniczną karą, na którą musieli być przygotowani. Tym sposobem namnożyło się pseudonymów, jak w terażniejszej naszej literaturze. A podania i pieśni prowincjonalne zachowały niektóre z tych przybranych nazwisk, o jakich historia pisana milczy, jako to: Ogarów, Świerszczów, Grzeszniczków, Burczymuch i innych. A do bojaźni hańby własnego nazwiska dołączała się czasem inna obawa, nie narażenia rodzin na podejrzenie i prześladowanie, gdyż między tymi wodzami byli i ludzie znakomitego rodu, tacy nawet, których ojcowie wysokie zajmowali stanowiska w nowo utworzonym rządzie.

W kraju zamożnym, ze wszzech stron otwartym, ci wodzowie wyrobili byli w sobie do najwyższego stopnia naukę wojny partyzanckiej. A że, jako się powiedziało, obywatele nawet w duchu im niechętni, przez obawę ich zemsty, niemniej języków, zawsze w Polsce wyuzdanych, względem tych na których pierwszy lepszy rzuci podejrzenie złego obywatelstwa, okazywali im współczucie; że u nich znajdowali schronienie dla swoich rannych i chorych; że o każdym kroku oddziałów szwedzkich i węgierskich przeciw

nim wyselanych byli ostrzeżeni: przeto w wyprawach żadnego podejścia obawiać się nie mieli powodu, owszem im samym udawało się często napadać z korzyścią na przeciwnika, oszukanego fałszywym doniesieniem. Nie można tać przed sobą, że lubo później ujęci w karby posłuszeństwa przez wielkich a prawdziwie obywatelskich mężów, zostali wielcepożytecznymi dla publicznej sprawy, wszakże gdy przez długi czas wojowali bez ogólnego planu, każdy wedle swojej woli, takowy rodzaj wojny u wielu z nich rozwinął był w szerokich rozmiarach wszystkie złe skłonności natury ludzkiej.

I jakże to mogło być inaczej? ten tryb życia był pełen powabów dla ludzi odważnych, burzliwych, nienawidzących ścieśnienia prawa. Kto tylko był powadzony ze sprawiedliwością urzędów, a umiał władać orężem, garnął się do tych wodzów, znajdując u nich zawsze gotowy przytułek. Co było śmiałego hultajstwa w Polsce, zaciągnęło się pod ich znaki, a po większej części wodzowie nie byli lepsi od powładnych. Niektórzy z nich stopniami wyzuli się byli z wszelkiej czułości, że oprócz dzikiej odwagi już nie ludzkiego w nich nie pozostało. I tak Świerszcz, Ogar, Grzeszniczek, w okrucieństwie, chciwości i chuciach przewyższali nawet Nogajskich Tatarów; ale najniegodziwszy pomiędzy nimi był Burezymucha. Ten, oprócz odwagi niczego nie cenił. Czy u cudzych, czy u swoich, rabował, gwałcił, palił.

Każdego mordował, któremu wedle niego źle z oczu patrzyło. A jeżeli Szwed, Węgier lub Polak z ich stronnictwa wpadnie w jego ręce, żywcem go każe obedrzeć ze skóry, i te ludzkie skóry potem u pierwszego garbarza gwałtem wymienia na jałowicze. Był on dla obywateli straszniejszym od morowego powietrza. A jednak przez jakąś sprzeczność, aż nadto często okazującą się między ludźmi zepsutymi, pozostała w nim cześć dla religii i jej kapłanów. Żadnego z nich ani krzywdził, ani pozwalał skrzywdzić; ile razy jakiego z nich spotkał, prosił go o błogosławieństwo i zawsze obdarzył, dziesięcinę z rabunków oddawał na kościoły i klasztory, wszelkie przepisy karności kościelnej najskrupulatniej dopełniał i troskliwie a groźnie baczył, żeby przez jego podwładnych były spełniane.

Dziwna na pozór cierpliwość obywateli, że takowy stan rzeczy znosili, i że dla położenia mu końca nie zjednoczyli się szczerze z królem szwedzkim, którego rządy do Polski wprowadzone, ze wszech miar były dogodne dla jej mieszkańców, i rzucały nasiona pomyślności powszechnej. To się tem tłumaczy, że jakkolwiek samolubstwo cechuje ludzi w ich wzajemnych stosunkach, zbiorowe ciała nie łatwo poprzestają na tem, co uszczęśliwić zdoła ludzi pojedynczo branych. Muszą się one koniecznie opierać na jakiejś idei moralnej, wspólnej, zdolnej w potrzebie wywołać dobrowolne zafiarowanie wszelkich korzy-

sci osobistych. Mechanizm rządowy nie był jeszcze wszystkim, lubo w niezbyt trudnych okolicznościach zdolny był rząd zastąpić, tak jak kształty ludzkie nie są jeszcze człowiekiem.

Zresztą przytoczyłem nazwiska wodzów z sumieniem przygluszonem szczęściem oręża, co jest płodem przyrodzonym wojen, zwłaszcza domowych; ale byli także między nimi mężowie, którzy w tych krwawych zapasach zachowali całkowite dziewictwo szlacheckiego honoru. Jeden zwłaszcza od niejakiego czasu zjawiał się między nimi, który słynął najrzadszymi cnotami, a dzielnością swoją wkrótce tak się wslawił, że potem ile razy działał łącznie z innymi wodzami, ci zawsze mu byli posłuszni, tak nieograniczoną ich pozyskał ufność. Znano go pod imieniem Lizdejki. Domyślano się, że to imię, jako i innych wodzów, było przybrane; ale kim on był rzeczywiście, tego nikt nie wiedział. Wiadomo tylko było, że nigdy nie dopuszczał swoim rabunku, zabierał wprawdzie to, co było niezbędne dla jego oddziału, ale za to płacił gotowym groszem, lub cedałkami, które później wykupywał. Mówiono o nim, że miał być młodzianem nadzwyczajnej urody i hojności, zdradzającej jakąś krew wysoką. Rozmaite o nim wieści krążyły w prostym narodzie. Jedni powiadali o nim, że był charakternikiem, to jest, że ani żelazo ani ołów jemu szkody nie przynoszą, a tylko że od kuli szczerolotej poledz może. Drudzy, że to był zagraniczny

królewicz, wysłany od ojca na ratunek Janowi Kazimierzowi. Inni, że to była zagraniczna księżniczka, biegła w czarnoksiężkiej sztuce. Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że to jakiś niebianin, od Boga laskawie zesłany, pod postacią ludzką walczący, i że raz z swoim hufcem pokazał się jednocześnie w Litwie i Koronie. Nadzwyczajne jego szczęście przeciwko Szwedom i Rakoczanom dawało powód do pokładania wiary w te poetyczne baśnie; chyżo rozchodziły się one po gminie, a nawet niejednen szlachcic w najlepszej wierze je powtarzał. To tylko pewna, że w rykerzu Lizdejce wszyscy, co tęsknili za Janem Kazimierzem, wielką pokładali nadzieję. A Szwedzi i Rakoczanie, a nawet Chmielnicki, zaczęli go uważać za straszniejszego od wszystkich innych wodzów, którzy się błakali po zdobytym kraju.

Bogusław Radziwiłł i Daniel Dorohostajski stali na czele partyi dyssydentów, zbiegiem okoliczności przewodniczącej w Rzeczypospolitej, i tych co zniechęceni złą dolą prawego króla, przenieśli wierność swoją do tego, który go był zmiotł przemocnie. Obaj ci panowie, lubo kierowali wspólnem stronnictwem, a tem samym ciągle z sobą obcując, okazywali sobie wzajemną życzliwość,—w rzeczy samej przez długi czas skrycie się nienawidzili, bo naczelnictwo współzawodu nie znosi. I jeden i drugi nadto byli dumni, żeby się wzajem nie razić, a jeżeli często nie przychodziło między nimi do otwartych kroków

nieprzyjaźni, to jedynie roztropności otaczających ich przyjaciół przypisać trzeba. Ci to w imieniu wspólnego wyznania zbliżali poważnione umysły, przekładając im, ile papieżnicy cieszyć się będą z niezgody tych dwóch filarów protestantyzmu w Polsce. Wszakże podrzędni dowódcy dyssydentów, z położenia swojego więcej do nich zbliżeni, w ciągłej zostawali obawie, żeby kiedyś nie wybuchła między nimi kłótnia, któraby mogła ich partycję rozprządz. Ale już ich obawy były rozproszone, a jedność tych dwóch naczelników nie tylko że na nieporuszonych zasadach została utwierdzoną, ale wszelka władza ścisnęła się wyłącznie w osobie Bogusława Radziwiłła, tak dalece, że książę Dorohostajski odtąd był jego najpowolniejszym podwładnym. A z kądział zaszła tak stanowcza odmiana?

Książę Bogusław Radziwiłł miał córkę, na którą natura hojnie była rozlała wszystkie powaby rozumu, serca i tych zewnętrznych kształtów, które więcej jeszcze od tamtych zniewalają uwielbienie. Książę ją nad wszystko miłował, i ta czarująca jej piękność więcej jeszcze pochlebiała jego dumie, niż jego dostatki, potęga i sława. Mnóstwo młodych magnatów ubiegało się o jej przyjaźń, ale książę głośno się z tem oświadczył, że tylko dyssydentowi jej los powierzy, i że jeżeli w ojczyźnie nie znajdzie dla niej współwyznawcy, odpowiedniego położeniem towarzyskiem, wyda ją za zagranicznego księcia.

A wszystkim zanadto były znane i zaciętość księcia w raz powziętym zamiarze, i jego przywiązanie fanatyczne do swojego wyznania, żeby ktoby mógł przypuścić coś pomyślnego dla siebie. A jednak choć bez nadziei, co tylko było świetnego w młodej arystokracji prawowiernej, zalecało się nadobnej księżniczce.

Panowie wyznania protestanckiego, pobudzeni duchem religijnym i jeszcze silniejszym w swych skutkach duchem stronnictwa, skierowali swoją politykę ku zjednoczeniu nowym, a ścisłej węzłem, przemożnej gałęzi Radziwiłłowskiego domu, z partycją której przewodniczyła; tem więcej, że książę Bogusław był jedynym w magnacyi protestanckiej panem, który nawet między katolikami litewskimi liczył wielu stronników poświęconych jego domowi. A że między protestantami książę Dorohostajski i wysokiem dostojeństwem, i ogromem majątków i ilością klientów był najwięcej zbliżony do księcia, wszystkie więc swoje usiłności połączyli, żeby go skojarzyć małżeństwem z Eleonorą. Z początku mieli trudności do przełamania ze strony samego kniazia, męża prawie pięćdziesięcioletniego, zawsze obcego ponętom miłości, a nawet unikającego towarzystwa płci pięknej. Czuł aż nadto, że nie miał nic takiego, coby za nim przemówić mogło do serca księżniczki. Już jego młodość upłynęła była w znojach rycerskich, a wiek mu nie nadał tych powabów, których nie po-

siadał nawet w wiosnie swego życia. Był z niego wojownik dzielny, serca nieustraszonego, siły tak nadzwyczajnej, że z łatwością łamał podkowy, i pysznił się z tej siły, jakby z najwyższej cnoty. Zresztą był z niego człowiek gwałtowny, często okrutny, nieubłagany, skoro się miał za obrażonego, chciwy władzy i zaszczytów; jedną tylko cnotę posiadał, której mu najwięksi jego nieprzyjaciele nie przeczyli, że dane raz przez siebie słowo najwięcej dotrzymywał. Długi czas wzbraniał się przybrać rolę, zawsze od siebie wzgardzoną, zalotnika. Jednak widoki polityczne do tego go skłoniły, i za pośrednictwem przyjaciół oświadczył się księciu Bogusławowi orękę jego córki.

Książę, jeżeli z jednej strony czuł całą ważność podobnego związku, bo nawet głośno mówiono, jako-by książę Dorohostajski był mu obiecał, że skoro zostanie jego zięciem, szczerze mu pomagać będzie do obrócenia Litwy w dziedziczne i spadkowe księstwo dla krwi jego, o co go już był podejrzewał Karol Gustaw; z drugiej, oglądał się na niestosowność małżeńskiego związku między dziewczcą najwykwintniejszego wychowania i siedemnastoletnią, a kawalerem podziłym i na wpół zdziecałym. Wszakże nie życząc sobie obrazić drażliwego stronnika, i narazić się na jego zemstę, której pierwsze skutki potrzęsnałyby zdołały jego przewagę na Litwie, odpowiedział, że jakkolwiek poczytuje za zaszczyt dla swego domu

mieć kniazia Dorohostajskiego zięciem, i szczerze mu do tego pomagać myśli, wszakże przynaglać woli swojej córki nie chce i nie czuje się w prawie. Tyle tylko, że upoważnia kniazia do skłonienia ku sobie życzliwości księżniczki, dając mu do tego zachętę przez zapewnienie, że dotąd księżniczka nie rozrzędziła swoim sercem, a więc ma prawo ufać, że jemu się ono dostanie.

Sam książę niewiele wagi przywiązywał do tych wyrazów pocieszających, bo dość było okiem rzucić na kniazia i na księżniczkę Eleonorę, żeby aż nadto być przekonany, że oni nie dla siebie stworzeni. Ale książę, nie powiem: miłością, ale wyniosłością zagrzany, a ciągle pobudzany przez swoich przyjaciół i klientów, już prawie nie opuszczał zamku Birżowskiego. Niewiele do niej mówił, i rzadko w komnacie do niej się zbliżał; ale za to kiedy konno assystował księżnom, gdy w kolonie używały przejażdżki, różnemi popisami usiłował uwagę księżniczki zwrócić ku sobie. I to pewna, że po mistrzowsku zażywał konia, ale niestety, ona na to pokazywała się wcale obojętną. Nie więcej był szczęśliwym, popisując się przed nią swoją olbrzymią siłą: łamał w jej przytomności podkowy, chwyciwszy za koło wstrzymywał pojazd ciągniony przez parę dzielnych koni, nawet garść orzechów laskowych ścisnieniem dłoni z łupinki oswobadzał; to wszystko na księżniczce nie zdawało się sprawiać najmniejszego wrażenia. Knia-

zia miłość własna obrażała się ciąglą tą obojętnością i przybierała wszystkie cechy namiętności. Nakoniec stary kawaler zabierał się odrzeknąć od wszystkiego, i niejednokrotnie wymawiał przyjaciółom, że go, jak im mówić, na mięksiz złowili, i wystrychnęli na młodego wróbla.

Wtem nastąpiło jakieś wydarzenie w zamku. Ale jakie? Może kto o tem wiedział, ale tajemnicy nie wyjawiał, oglądając się zapewne na własne bezpieczeństwo; inni domysłami usiłowali trafić do prawdy. Długo gadano o tem po cichu w Birzach. To tylko pewna, że jeden młodzieniec, którym się księżę opiekował jakby własnym synem, a który był u dworu na stopie znacznie różniącej się od tej, jaką inni najpoufalsi nawet dworzanie księstwa zajmowali, raptownie zginął; że były różne narady między księżną i kapelanem zamkowym, który zaufanie obojga księstwa posiadał; że nikt do tych narad przypuszczonym nie był; że książę Dorohostajski, który z początku ciągle się unosił, tak iż nikt do niego nie śmiał przystąpić, potem nagle pokazał się uspokojonym. Były to wszystko zagadki niedocieczone dla całego dworu.

Ale co najwięcej wszystkich zdziwiło: księżę zwołał do Birzów zjazd familijny, a na nim, wśród otaczających go krewnych i powinnych Radziwiłłowskiego domu, książę Dorohostajski uroczyście prosił księstwo marszałkowstwo o rękę księżniczki Eleonory, a księstwo odpowiedziało, że jeżeli ich córka

na to zezwoli, uważać będą to zdarzenie za jedno z najszczęśliwszych, jakieby ich spotkać mogło. Posłano po księżniczkę, ta przysła oparta na ramieniu swojej ochmistryni, prowadzona przez jedną, więcej zbliżoną do jej serca pokojową. Uważali wszyscy, że była bladą, i że jej powieki zachowały ślady świeżych łez. Żadnemu z dworzan nie był tajny jej wstręt do kniazia. Jakież było wszystkich zadziwienie, kiedy księżę jej rodzic, oznajmiwszy oświadczenie kniazia wojewody witebskiego, dodał: „Miła córko! twojej woli przynaglać nie będę; mów śmiało, czy zezwalasz na związek ofiarowany ci przez tego, co go widzisz przed sobą?“ — a ta dość wyraźnym głosem odpowiedziała: „zezwałam“. Poczem podała rękę przyszłemu małżonkowi, i ukłękła z nim przed rodzicami, prosząc ich o błogosławieństwo, a wkrótce potem zaślubiny nastąpiły.

To wszystko działo się przed czterema laty. A nowe wypadki, już nie dwóch rodzin, jakkolwiek potężnych, ale całkowitego narodu dotykające, ku innym przedmiotom zwróciły powszechną uwagę. Chwila, w której się ta powieść zaczyna, była nieszczęśliwą dla narodowej sprawy, ale wielce była przyjemną dla tych, którzy szli za szczęściem Karola Gustawa w połączonych stronnictwach Bogusława Radziwiłła i Daniela Dorohostajskiego. A że już ten ostatni we wszystkim okazywał się teraz posłusznym swojemu teściowi, można powiedzieć więc, że tamten omal nie

bezsposornie władał całą Litwą. Jeżeli jawni lub skryci stronnicy prawego króla mogli mieć jakąś nadzieję, to chyba w tem, że duma i gwałtowność tych dwóch magnatów wcześniej czy później poróżni ich z niemniej wyniosłym królem szwedzkim. W następnym rozdziale obaczymy już, jakie było istotne tych nadziei znaczenie.

## ROZDZIAŁ II.

Ósma z rana wybiła na zegarze zamku Birżańskiego, a już od godziny pokojowa szlachta zebrana była w obszernym przedpokoju, oczekując rozkazów państwa. Wedle zwyczaju, wszystkich zajmowała pula marysza. Dwóch grało, a inni czekając, aż kolej na nich przyjdzie, otaczali grających w milczeniu, żeby instynktując grającym, nie wywołać kłótni i hałasu, któryby mógł obić się aż o komnatę księżęcą. Milczenie przerwał pan Dawid Odyniec, podstaroście Eyragolski, kalwin i ulubiony dworzani księżnej marszałkowej dla wesołości swojego humoru, a zwłaszcza biegłości w kunszcie muzycznym.

— Panowie bracia, niech to będzie między nami, ale od niejakiego czasu ta służba dworska, do której człowiek od dzieciństwa się włożył, tak mi



zaczyna ciężyc, że sobie rady dać nie umiem, a jednak kiedyś miała ona dla mnie tyle powabów, że wstając i legając Bogu dziękowałam, że natchnął mojego ojca, by mnie oddał do dworu księcia marszałka, naszego pana.

— W czymże się ta służba tak odmieniła—na to Hieronim Korbut — że powaby dla waszmości straciła?

— I bardzo się odmieniła dla mnie. Przynajmniej bywało, można było kiedy niekiedy popatrzeć na księżniczkę Eleonorę, usłyszyć dźwięk jej słodkiego głosu. Zamek Birzowski bez księżniczki jest to ciało bez duszy.

— Waszeci swawola w głowie — odrzekł pan Hieronim— a czy to nam wolno na każdą patrzeć?

— Patrzaj! jaki mi sensat z pana Hieronima! Jakby i waszec był od tego! A czemu waszec z oczów nie spuszczaasz panny Balbiny, kiedy się pokazuje na pokojach?

— Dlaczegożbym nie miał patrzeć na to, co może być mojem? Ale na co innego, z tego bieda, a nie pociecha czasemby wyrosła. Niech sobie książę wojewoda witebski w nią się wpatruje, a nam, zwłaszcza sługom, wara. Ja gorliwy katolik, przecie nie wymyślam sobie praw po waszemu, a trzymam się tego, czego naszych ojców nauczano.

— Daj temu pokój, panie Hieronimie. Pastor

w kirku to samo mówi, co ksiądz w kaplicy. A kto-by tam wierzył bez braku temu wszystkiemu co z ich ust wychodzi? Zresztą zostawmy na stronie nasze wyznania. Wiem, że moja wiara jest taka sama, jak i księcia pana. Wszak to on, a nie kto, nawrócił pana podstarostę mojego ojca, że on, co dawniej mruzczał nad paciorkami, teraz głośno śpiewa Psalmy. Co nam w to wchodzić? my nie do kaplicy, ani do doktoratki, ale do korda stworzeni, i przystoi nam myśleć po rycersku. A uwielbianie młodzieńca stanu rycerskiego, a do tego gładkiego, krzywdy nie przynosi chociażby i królownie. Ja to i przed księciem panem gotów powtórzyć, bo wiem, że tem go nie obrażę, że kiedy bywało księżna pani każe mnie śpiewać z księżniczką, to były dla mnie chwile tak urocze, iż zdawało mi się, że do siódmego nieba jestem zachwycony. Co za rysy, co za spojrzenie! Ten książę Dorohostajski w czepku się urodził, że taki anioł mu się dostał. On może i szczęśliwy, ale nad jej dolą aż serce się kraje.

— A cóż można zarzucić kniaziowi? alboż nie pan, nie senator, nie mąż wielkiej sławy w narodzie?

— Bój się Boga, panie Hieronimie, czy może być szczęście w tak niedobranej parze? Księżniczka, czuła, młoda, łagodna, a książę stary, szpetny, gwałtowny, istny Tatar. Że podkowy łamie i kilkunastu

ludzi w pojedynczym boju na tamten świat wyprawili, to wszystko jest piękne, ale czy to jest zdolne przywiązać i uszczęśliwić taką boską istotę, kiedy do tej dzikiej odwagi nie łączą się żadne przymioty serca i rozumu? Księżniczka w Dolsku musi być męczennicą. Prawdziwie są to igrzyska losu, że księżę Janusz Radziwiłł, pan w kwiecie młodości, którego sama postać wszystkich do siebie przynęca, a zbliżenie się do niego przywiązuje, długo zalecał się księżniczce, wszystko za nim mówiło, a jednak go tu ten obrzydły Dorohostajski przeważał.

— Radziłbym waszeci nieco być umiarkowanym, wspominając o zięciu księcia pana, mości panie Dawidzie. Ile że waszmości, jako i nam wszystkim nie tajno, że księżę pan nie przynaglał swojej dostojnej córki. Wszakże my wszyscy byli przytomni, kiedy księżniczka oświadczyła swoje przyzwolenie na ten związek.

— Otóż właśnie w tem sęk. Bo że księżniczka była przychylną księciu Januszowi, na to mam dowody tak przekonujące, że o tem wątpić nie mogę. Bo to, z czem się po kilkakrotnie wymówił doktor Kin, kapelan księstwa, że różnica wyznań stanie na przeszkodzie związkowi temu, to śmiechu warte. Nie znajdziesz ani u was, ani u nas takich, coby się odrzekli skłonności serca dla rzeczy, które tylko duchownych obchodzą. Jużci mój ojciec pewno nie mniej od księcia pana protestant gorliwy, a jednak

wcale się nie krzywił, kiedy mój starszy brat żenił się z papieżniczką, która mu dwie wsie w posagu przynosiła. Musiało tam być coś innego. Bo nikt mnie nie przekona, żeby ten gbur Dorohostajski miał zjednać ku sobie skłonność naszej księżniczki.

— Proszę waszmości, panie Dawidzie, uwolnić nas od słuchania takich niedorzeczności. Nie od wczorajszego dnia dworakujesz, a nie chcesz się tego nauczyć, że dworak powinien nałożyć na język trzęsle i munsztuk; po zamkach pańskich i ściany miewają uszy. A gdyby to, co mówisz o kniaziu Dorohostajskim, doszło do wiadomości pana Pacyny, stolnika Rzeczyckiego, marszałka naszego dworu, tobyś może niemiły kęs miał do strawienia.

— Bierz dyabli dwór, kiedy tak! Już oddawna ta dworszczynna mi kością w gardle stoi. Bezczyńność, w jakiej żywot nasz plążymy, kiedy wszystko wre w koło, tak mnie zawstydza, że czasem oczów nie śmiem podnieść między ludźmi.

— To jak uważam, waszeci naprzykrzył się chleb naszego księcia?

Tu się wcisnął do rozmowy trzeci dworzanin, pan Maciej Mogilnicki.

— Co waszec wszystko nam w oczy ćwikasz tym chlebem pańskim, panie Hieronimie? Ja nikomu nie dam prymu przed sobą w przywiązaniu dla księcia pana i jego dostojnej rodziny. Mamci u niego jak

i waszeć zasługi i spadkowe i osobiste. A jednak powiem otwarcie, że u wielkiego pana jak u wdowy, chleb gotowy, ale nie zawsze zdrowy.

— A jaka tu krzywda waszeci spotkała?— przedłuży pan Korbut.

— Co tam gadać o krzywdzie, czy ją mam czy nie? to do mnie tylko należy, ale że służba mi się naprzykrzyła, z tem nie mam się co tać, bo jak tam sobie chcecie: co niewola, to nie wolność. Albo to człowiek nie ma własnego kąta, że cudze wyciera? Ja sierota bez ojca i matki. Matka umarła, kiedy byłem przy piersi; ojca zabili Szwedzi, którym jeszcze kazali się kłaniać, jakby czemu poczciwemu; a mam przecie wioszczynę w Wołkowyskiem, niewielką, ale nie dłużną nikomu. Po jakiego dyabła tu każdego słucham, kiedy tam wszystkim mogę rozkazywać? Przebrzydły nałóg do dworszczyzny wyrażnie mnie opętał, że z niego wykaraskać się nie umiem. Pytasz mnie waszmość, czy doświadczam krzywdy? A żebyś wiedział, że tak jest! A co to? waszeć zapomniałeś, jak mnie przeszłego tygodnia pan stolnik przywitał? Toć to mnie na kobiercu rozciągnięto. A czy ja smarkacz, żebym takie despekta znosił? Ja przecie majorennis i osiadły szlachcic! Nabawiono mnie i bólu i wstydu; a proszę-no zapytać pana Pacynę, za co on mnie skrzywdził?

— Wybacz, panie Macieju, — odezwał się pan

Piotr Rymsza, inny pokojowy — a Bóg i ludzie widzieli, żeś na plagi zasłużył. Jakże? byłeś z kolei naznaczony na służbę; nie wolno ci było o krok wydaleć się z zamku, wyprosiłeś u marszałka dworu, że ci pozwolił na dwie godziny wymknąć się do miasteczka, czego dla żadnego z nasby nie uczynił, tylko że żył w ścisłej przyjaźni z waszmościny dziadem; a waszeć tak pięknie uraczyłeś się w mieście, że dopiero nazajutrz około południa pokazałeś się w zamku. Jakże to mogło ujsć na sucho?

— A! wolałbyś stulić głowę, panie Piotrze. Pan stolnik dziad niewyrozumiały. Dano mi wiedzieć, że dwóch Wołkowyszczanów z mojego sąsiedztwa stanęło w gospodzie. Trudno nie pójść do swoich. Wyprosiłem się, że pozwolili. Jakże nie poczęstować przyjaciół, kiedy z łaski Pana Boga jest o czym? A bawiąc się z nimi, czy podobieństwo ciągle trzymać nosa nad godzinnikiem? Ale dajmy na to, że stary zemną i sprawiedliwie postąpił; na jakie kroć set czartów taka sprawiedliwość mi się przyda? Niech-no się uspokoi trochę w kraju, a czy siak, czy tak, musi być z nami jakiś koniec. Podziękuję za służbę, a jak opuszczę zamek, to chociażbym się opatrzył, że w nim zostawiłem prawe oko, pewnie że po nie nie powrócę.

— I gdzież pojedziesz? — rzekł pan Rymsza.

Zabawne pytanie! Jużci nie będę chodził po cudzych domach, kiedy mam własną chałupę.

— I w niej na śmierć się unudzisz?

— Nie z takich ja, co to u siebie się nudzą. Będę sobie siał owies na wiosnę, a żyto w jesieni. Kto ma żytko, ma wszystko, wedle przysłowia; będę polował na wilki i lisy, będę miód sycił, żebym, jeżeli który z was z łaski swojej o mnie zaczepi ękołem, miał go czem przyjąć. A że może Żabińce o miedzę od zaścianka Pacynów, przyjmę sobie do usług jakiego Pacynę, któremu ile razy na to zasłuży, dobrze na kobiercu wygarbuję skórę. Albo to nasz pan stolnik zkad inąd? Był sobie at zwyczajnie okoliczny szlachetka, nim przy łasce jęszcze nieboszczyka księcia zaczął wychodzić na człowieka. Wszakże i teraz nie trudno tam spotkać za sochą, w łapciach, bliższego lub dalszego jego krewnego. A czy on raz przed wami powtarza, że kiedy był chudym pacholkiem, zaszczycał się łaską mojego dziada, i że z tego powodu miłuje mię, jakbym był jego synem, i po ojcowsku ze mną postępuje? Sługa uniżony za takie dowody rodzicielskiego affektu! odpłacę mu tę jego łaskę na grzbiecie jego krewnych. Widzicie waszmoście, że nie mam powodu lękania się nudów w moich Żabińcach. A jeżeli i to wszystko mi się naprzykrzy, że doświadczę tęsknoty, od czegoż rozum? Ożenię się i kwita.

— Piękny plan życia ułożyłeś sobie, panie Macieju—odezwał się Odyniec ironicznie.— I masz wiel-

ką słuszność, że dla wykonania onego czekasz, aż wszystko w Polsce się uspokoi. Co do mnie, tak długo czekać nie myślę, a lubo nie posiadam jak waszeć wioski, i muszę rodzicom na ręce patrzeć, a wiem, że gdybym do nich powrócił bez ich pozwolenia, którego na to nigdy od nich nie otrzymam, toby mnie spotkały ojcowskie batogi, boleśniejsze niż te, na które waszmość się użalasza, — postanowiłem opuścić dworzyczynę, i może dziśbym podziękował za służbę księciu panu, żeby mi nie był zapowiedział, że ma mi coś do powiedzenia. Tać to wczoraj przyszły do niego jakieś ważne ekspedycje z wiadomościami, ile mogłem to wyczytać na jego twarzy, nie najpomyślniejszymi dla niego. Nie godzi się pana opuszczać, kiedy jest w frasunku. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

— A to znowu co?—odezwali się wszyscy kole-dzy jednogłośnie.

— To lada dzień zobaczycie.

— Czy drwisz? czy o drogę pytasz?—na to pan Korbut, — bo żebyś waszeć obiegł świat, jak jest długi i szeroki, pewnie nigdzie na nim nie znajdziesz dla siebie tego dobrego, co go masz na dworze księcia pana. Waszmość w innem niż my położeniu, a miałbyś sobie podstrzelić skrzydła w najdonońszym lociel! Zwyczajnie aby gadać; rada gęba kiedy pan śpi; a ciekawy jestem wiedzieć, w którą stronę-bys się udał, opuściwszy Birżę?

— Jużci nie do swojej wioski, jak pan Maciej, bo jej nie mam, ani do ojca po plagi. A dla wywiązania się ze szczerości, jaką winienem wam, moi koledzy, powiem wam otwarcie, że gdybym nawet posiadał obszerne włości, w niniejszych okolicznościach o nichbym zapomniał. U mnie w głowie co innego.

— Co takiego?—odezwali się wszyscy.

— Co? a czy wy ślepi? czy patrzeć nie chcecie na to, co się w kraju naszym dzieje? My tu gnuśniem na pańskiej pieczęci, podczas kiedy nasi bracia okrywają się chwałą. Mam konia doświadczonego, całkowity rynsztunek rycerski i kilka groszy w kabzie. Wyruszę w świat i będę się po nim błąkał, dopóki nie napotkam którego z naszych, Świerszcza, czy Ogara, chociażby Burczymuchę — co mnie w to wchodzić? byle swojego — ale życzyłbym sobie trafić na Lizdejkę. Ma być z niego gracz, a jakie pocziwe serce! Bądź co bądź, wcześniej czy później będę wojował pod jego znakiem.

Na te słowa wszyscy struchleli.

Jakiś czas trwało milczenie. Przerwał je pan Uriel Petrozolin, jeden z najroztropniejszych dworzan Birzańskich, a kalwin jak pan Odyniec.

— Zostaw te niewczesne żarty, panie Dawi-

dzie. Niedźwiedź nie rad, kiedy go od miodu odciągają, a waszmość miałbyś sobie przykrzyć własne szczęście. Daleko nam sługom do tych względów jakie umiałeś pozyskać dla siebie u obojga państwa. A jednak umiemy cieszyć się naszym losem. Waszmość jeden umiesz rozrywać tęsknotę księżnej pani za jej dziećmi, śpiewając z nią psalmy, i rzadko tydzień upłynie, żebyś nie otrzymał od jej hojności jakiego upominku. A książę pan po kilkakrotnie dał się z tem słyszeć, że ma zamiar wyprawić waszeci do księcia Olbrachta, bawiącego na dworze kurfirsta Falcgrabi. I świata wiele obaczysz, i nowy a świetny zawód przed waszecią się odkryje, jak się podobasz jedynemu synowi księcia pana, panięciu znakomitemu, o którym głos powszechny, że trudno równego jemu młodzieńca w przymiotach znaleźć. My go tak dobrze jak nie znamy, bo był podlotkiem, kiedy go znasz książę odesłał na wychowanie do swojego szwagra Falcgrabi. Nie wolno mu jeszcze powrócić do rodzinnej Litwy, za którą, jak mówią, nie przestaje tęsknić. Jakże tak piękne widoki mógłbyś mimo siebie puszczać?

— To wszystko jest piękne i nie taję, że mam wielkie obowiązki wdzięczności dla księcia pana i jego domu. Wszelako człowiek nierad doczekać, żeby go kiedyś palcem wytykano, że podczas kiedy inni

wysługiwali się krajowi, on na rozkoszach dworszczyzny tuczył się jak bydlę. (\*)

— Alboż my nie służymy krajowi? I pewnie, że z większą dla niego korzyścią.

— Być może, wszelako służba tamtych jest więcej odpowiednią mojemu sposobowi myślenia.

— Do nas się garną wszyscy ludzie rozsądni.

---

\*) Pan W. W. mąż światły, a wielce odemnie szanowany krytyk moich pism, w jednym zeszycie Atheneum zarzucił mi, że gdy wystawiałem obraz przeszłości polskiej, w odtworzeniu rozlicznych typów naszej dawnej narodowości zapomniałem zupełnie niepodległego szlachcica. Jeżeli ów krytyk zechce się nieco zastanowić nad pochodem historycznym naszego społeczeństwa, łatwo się przekonają, że niezawisłym szlachcicem polskim był tylko ten, co go nazywano panem czy magnatem. Bo jużci to nazywanie nie opierało się na żadnym przywileju legalnym, a jedynie wypływało z jego położenia towarzyskiego. Tak dalece to jest prawda, że bywały przykłady, że książę zubożały służył u nietytułowanego szlachcica. Bezzawisłość nie może pozostać w bierności, i taki tylko może się cieszyć pewnym rodzajem bezzawisłości, od którego inni zależą, i to w ścisłym stosunku. Obywatel, któryby ani był głową jakiejś partii, ani by chciał należeć do żadnego stronnictwa, nie tylko żeby sobie nie zabezpieczył niepo-

— A wszyscy ludzie odważni są przeciwko nam.

— Ci tylko nam się opierają, co wolą żyć z rabunku, nie z poczciwej pracy; i czy wielu takich naliczysz?

— Niewielu, ale i tym nie możemy dać rady. Zresztą milej żyć z rabunku, niż z żebractwa.

— Jakto?

---

dległości w Rzeczypospolitej, ale tym sposobem zostawszy istotą bierną, ciągleby padał ofiarą przemocy, nie tego lub owego, ale wszystkich stronnictw, jakieby istniały w jego politycznym społeczeństwie. Bo jużci prawo, które wywołało w Atenach obywatela, co w rozterkach narodowych chciałby być żadnostronnym, popelnia się praktycznie w każdej rzeczypospolitej, a skoro kto bierze w nich udział, jeżeli nie jest wodzem, musi być od jakiegoś wodza zawisłym. Typ, jaki pan W. W. radby widział odbitym w sztuce, może istnieć tylko pod pełnem jedynowładztwem, właśnie dlatego, że rozterki polityczne są przeciwne naturze społeczeństw bytujących pod formą rządową. W rzeczypospolitej Polskiej, gdzie starcie się rozmaitych stronnictw było stanem normalnym stowarzyszenia, typ, jaki chce mieć pan W. W., byłby istną anomalią, bezkorzystną dla sztuki, bo bez najmniejszej prawdy, ani historycznej, ani poetycznej. Pod tym względem to, co nazywano Magnacyą Polską, nie było uprzywilejowaniem ary-

— A juźci. Tamci každy kęs chleba okupują narażeniem żywota. Możeż być życie właściwsze dla szlachcica? Szczęście, dolę, przeznaczenie swoje nosi u boku w pochwie, i to wszystko z niej wydobywać, oto mi zawód godny zazdrości!

— Jakiemu często koniec kładzie szubienica.

— Ej panie Urielu, nie tak to straszne jak się wydaje. Nasi ich wieszają, a tamci często naszych ze

stokratycznym jakiejś kasty, jak w Węgrzech, ani lordostwem angielskim, lub grandostwem hiszpańskim, ale właśnie poświęceniem demokracji szlacheckiej, w której wyłącznie skupiały się wszystkie wielkie podania narodu. A że państwo, czyli przewaga w jakim stronnictwie (bo juźci u nas nie było ani majoratów, ani dziedzicznych urzędów) nie były przywiązane do jakichś jakoby uprzywilejowanych w stanie rycerskim rodów, mam tego dowód i na konfederacyi Tyszowieckiej, której głową był Stefan Czarniecki, i na Barskiej, gdzie najpotężniejsi mężowie w dostojęństwach i bogactwach byli posłuszni Kazimierzowi Puławskiemu. Nawet marszałek generalny tej konfederacyi, lubo z świetnego domu, będąc urzędnikiem tylko powiatowym, do magnacyi nie wchodził. Bo samo nazwisko nie było do tego dostateczne. Łatwoby dowieść, że w naszej dawnej społeczności magnacya była nierównie więcej zawista od szlachty, niż szlachta od magnacyi. Jeżeli magnat skrzywdził szlachcica, to użyciem

skóry obdzierają. Zwyczajnie, gra podobna do naszego maryasza. Albo stawka się zapłaci, albo puła weźmie. Kto wszystko rozważa, temu się nic nie uda. Co do mnie, wstydzilibym się wygrywać na pewno. Szubienica jest jedną śmiertelną chorobą więcej, a na nią każdy człowiek winien być przygotowanym.

gwałtu; a szlachta nad panami rozciągała legalną dyktaturę, tem iż nigdy nie dała się wywłaszczyć z władzy sądowniczej. Zdarzało się wprawdzie, że jakiemuś panieciu dostała się deputacya na Trybunał; marszałkowstwo Trybunału było tak kosztowne, że tylko magnat mógł je piastować; wszystko to były urzędowania jeden rok trwające. Ale przykładu nie było, żeby szlachta dopuściła pana do najmniejszego urzędu sądowniczego dożywotniego. A kto jest obeznany z dawną naszą obyczajowością, wie dobrze, że istotna przewaga obywatelska nie była ani w dygnitarstwie, ani nawet w Senatoryi, ale w podkomorstwie powiatowym, w sęstwie ziemskim i innych pomniejszych urzędach sądownicznych. Jeżeli sędzia ziemski kłaniał się wojewodzie, żeby za jego wstawieniem się otrzymać jakąś łaskę dworu, wojewoda, chociaż w formie mniej uniżonej, bardzo się nawzajem musiał kłaniać sędziemu, bo można powiedzieć że jego majątek był w jego ręku, i że najłatwiej mógł z niego być wycytnym.

Tu się wnięszal powtórnie do dyskursu pan Maciej Mogilnicki.

— Dziękuję waszmości za taką chorobę, panie Dawidzie. A to piękna rzecz dla szlachcica na haku wisieć! Wstydzilibym się za takim bezceństwem patronować. Może to być dobre wedle waszej wiary, ale że ja po staremu trzymam, co niedziela więc i święto w naszej kaplicy powtarzam za księdzem: „Od śmierci nagłej a niespodziewanej zachowaj nas Panie,“ a pocichu dodają: „i nadto bolesnej.“

— Otóż właśnie śmierć na szubienicy ani nagła, ani niespodziana, ani nawet bolesna. A czyż to dawno przy nas umierał nasz poczciwy papinka, pan Jan Boguszewicz? Bywało pilnuje swojego zdrowia jak kapelan zamkowy. Nigdy szabli nie dobył, każdemu z drogi ustępował, żeby lba nie narazić. I cóż mu to pomogło? Jak ślinogórz zaczął go dławić, nieborak aż dwie doby konał. Czyście zapomnieli, jak do nas ciągle się odzywał: „dobij kto w Boga wierzy, dobij!“ A z szubienicy nikt się nie odzywa, i jak mówi lekarz nadworny księcia pana, ma to być śmierć bardzo łagodna. Ot mówcie sobie co chcecie, ale co do mnie, wyznam otwarcie, że wolałbym skończyć na szubienicy, niż tak żyć, jak wielu z tych rozsądnych ludzi, co się ogłosili przyjaciółmi króla Szwedzkiego.

— A cóż im za bieda? — odezwał się pan Uriel.

— Co za bieda? a czyście nie mieli czasu na to się napatrzeć? Jużci Bogiem a prawdą, choć szczęście sprzyja Karolowi Gustawowi, nikt mnie nie przekona, żeby sprawiedliwość była za nim. Bo Jan Kazimierz jest prawym królem i Szwedzkim i Polskim. A czyż-to Suderman nie był poddanym i przysięgłym sługą króla Zygmunta? A na jakie lichy grody wieszają tych co kieski z cudzych kieszeń chwytają, jeżeli ma być wolno poddanemu ukraść koronę swojemu panu?

— Bardzo się waszmość rozgadałeś — na to pan Hieronim Korbut. — Nam chudym pacholkom nie roztrząsać takich głębokich rzeczy; są panowie wyższego zdania, do których to należy. A wszyscy panowie już dziś są posłuszni królowi Szwedzkiemu.

— Ba! wiele czyni kto musi. Ale nie myśl, żeby Szwedzi do zbytku szacowali tych, co z niemi zbyt gorliwie trzymają. Zapewne, że panów szanują, bo pana dyabli nie wezmą; ale niema czego zazdrościć tym, co się za nimi wloką jakby ich ogony, albo takim naszym braciom, co samopas ubiegają się o łaski tych, co szafują teraz chlebem rzeczypospolitej. Toć to niedawno książę pan mnie wyprawił z ekspedycją do Wilna, do JW. Wrangla, hetmana króla Szwedzkiego. Ledwo się do niego docisnąłem przez sień, tak ona była napelniona stronnikami Karola Gustawa. Każdy jego przyjaciel z serca, ale każdy za tę przyjaźń albo już zapłacony, albo czekający za-



platy. Taka przyjaźń do śmiechu mnie pobudzała. Nic darmo. Same żebraki; a to o jakąś posiadłość, a to o jakąś królewską, a to po prostu o trochę brzęczączki. A byle lada Szwedzina się pokazała, wszystkie głowy schylają się omal do ziemi, jakby za pociągnięciem sznurka. Nasi dmą się na swoich, ale na cudzego broń Boże. Proszę-no posłuchać, co Szwedzi między sobą mówią o tych swoich niby przyjaciółach. Ja ich mowę rozumiem, chociaż się z tem nie wyrywam. Otóż wtedy na własne uszy słyszałem, jak jeden drugiemu mówił, a był to jakiś ich personat: „Jakaż dla nas korzyść z podłości tych ludzi, kiedy ona nas więcej kosztuje niż warta.“ Tak to panowie bracia, kto u nich zachwyci grosz jeden, to pewnie przy nim dostanie wzgardy na dwa. Złości mnie brały, że z takim śmieciem trzeba się bratać. Szlachetniej żyć z rabunku, chociażby narażając się na szubienicę, niż obrać taki zawód, bo jużci rozbójnik na większy szacunek zasługuje u ludzi męźnych, niżeli żebrak.

— Panie Dawidzie—rzekł na te słowa pan Korbut nieco wzruszony — waszmość nigdy nie przestaniez grzeszyć niepowściągliwością języka. Zanadto rachujesz na naszą cierpliwość, kiedy myślisz, że spokojnie słuchać będziemy podobnych paszkwilów przeciwi szlachcie.

— Otóż masz, waszmość bierzesz za przymówkę do siebie co mówię, a to i w myśli mojej nie powsta-

ło. Wszakże ja karmazynowy szlachcic jako i wy wszyscy.

— Tego nie widać po sposobie uszczypliwym, z jakim opisujesz szlachtę.

— Niewiele tam prawdziwej szlachty, panie Hieronimie. A jeżeli jaki karmazynowy się spaskudził, to aż mi wstyd, najczęściej z naszego wyznania. Inni siedzą na ustroniu, czekają czegoś lepszego, o poczciwie zapracowanym chlebie. I my wszyscy jak tu jesteśmy, ze swojego i pańskiego żyjem; żaden z nas nie prosi chleba u Szwedów. Nie bójcie się, Szwed nie tak łatwo uwierzy prawdziwemu szlachcicowi. Kim jego sienie i przepokoje są jakby nabite? oto takimi, co za ledwo ojca pokazać mogą i to nie zawsze. Kim posady zyskowne są teraz zajęte i na jakich ludzi Szwed niby się spuszcza? oto na mieszczuków i przybyszów. Powiedzcie sami czy nie prawda? I to właśnie wzbudza we mnie nadzieje jakieś dla króla Jegomości Jana Kazimierza, któremu szlachta sprzyja. Szlachcic jak da słowo, a cóż dopiero przysięgę, tej nie zdradzi, bo ma imię i herb, któreby rad w nieskazitelności przekazać potomstwu. Kiedy szlachcic podły, musi gwałt uczynić swojemu przyrodzeniu; ale adwena cóż ma do stracenia? Kto mu więcej zapłaci, do tego przylgnie, chyba że swoją krew uszlachcił, przelewając ją dla kraju. Bo kto

nie odzyskał po przodkach szlachectwa, nie nabędzie go tylko w zawodzie wojennym. Wszystko co się u nas teraz dzieje, mnie oburza.

— Dalibóg ma słuszność nasz pan Dawid—odezwiała się większa część dworzan—tak mówi jak książka; my wszyscy z nim trzymamy.

A najwięcej się zapalał pan Maciej Mogilnicki.

— Jaki ty rozumny, panie Dawidzie—rzekł—to coś powiedział, czuję, ale tego nigdy tak mądrze nie umiałbym wypowiedzieć. Niechże cię za to usciszam. Dopiero mi przymówiłeś, że tęsknię do mojej wioszczyzny, jakoby nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo; bo zrozumiałem że to było coś dla mnie, kiedy rozprawiałeś o tych co żyją ze swojej szabli. Niech tego Bóg ci nie pamięta! Zabierałem się za to porachować się z tobą na osobności. Ale chociaż z ciebie kalwin, tak się odezwałeś po prawowiernemu, że jeżeli się dwóch znajdzie, co mieć będą coś przeciwko temu, ty się rozpraw z jednym, a ja drugiego biorę na siebie. Otoś mi brat! Jeżeli się nie ożenię, to tak rozporządzę, żebyś ty był moim spadkobiercą. Ledwo że serce nie wyskoczy do ciebie, a takeś mi go rozegrzał, że daję wam słowo szlacheckie, a ogłosicie mnie podłym, jeżeli go nie dotrzymam, że pierwszego z tych trutniów, o jakich wspomniał pan Dawid, którego spotkam, chociażby na pokojach księcia pana, powiem mu na dzień dobry „waćpan

kiep.“ A jeżeli nie wyzna że to prawda, jeszcze go wyszturcham. Macie na to rękę.

— A ja waszeci do tego pomogę—wyrwał się pan Bartłomiej Kupoć, młody, nowoprzyjęty dworzanim, a rębacz zawołany.—A do łokcia, a do warsztatu, a do kwaterki; już my szlachta dość od was ucierpieli!

— I my do tego należeć chcemy—odezwowało się kilku, tak że powstał hałas, któryby się mógł dać usłyszeć aż do komnaty książęcej. Panowie Korbut i Petrozolin, od nich starsi wiekiem i rozwagą, usiłowali ich umitygować, a rady sobie dać nie mogli z tak burzliwą szlachtą.

Skoro zbiór pod wpływem jakiejś namiętności się wzburzy, jest-to wezbrany potok, któremu oporu stawić niepodobna. Żadna perswazyja skutku nie otrzyma; jeden tylko jest sposób: odwrócić uwagę do innego przedmiotu, i tego się chwycił pan Uriel, jako doświadczony dworak.

— Panowie bracia—odezwał się—kiedyście tak uchwalili, a więc rzecz skończona; nie pozostaje jak tę uchwałę do skutku przyprowadzić i ja pewnie w tyle nie pozostanę. A póki to nie nastąpi, wracając do dawniejszego twojego dyskursu, panie Dawidzie, dziwi mnie, że z maleńka ciągle ocierając się u ludzi, jeszcze nie nauczyłeś się czytać w ich sercach.

— Do czego to mówisz, panie Urielu?

— Do tego, żeś przed chwilą wspominał, jakobyś miał dowody przekonujące o życzliwości serca naszej księżniczki dla jej powinno, księcia Janusza, nim oddała rękę wojewodzie witebskiemu, a ją wszystko co mam i mieć mogę gotówbym postawić na zakład, że nie innego, tylko po prostu przyjaźń była między nimi. Bo jeżeli istniał jakiś płomyk miłości w sercu dziewczem terazniejszej wojewodziny witebskiej, to go pewnie nie wzniecił ani książę Dorohostajski, ani nawet książę Janusz.

— W niebezpieczną stronę brząknąłeś, panie Urielu—odrzekł pan Dawid—niemniej od waszmości umiałem patrzeć na to, co się pod moimi oczami odbywało. Ale jak wiesz, na dworze wielkiego pana ze słuchem tylko rozstawać się nie można, a często trzeba być i ślepym i niemym.

— Co tak to ale — na to pan Korbut — szkoda tylko, że nie zawsze idziesz za tak pięknym zdaniem.

— Ostrożność nigdy nie zaszkodzi — odpowiedział pan Odyniec. — Ale z nią się nie omijając radbym, żeby pan Uriel wiedział, że jeżeli jest przenikliwy, i mnie przecie w ciemię nie bito.

— Nie udawalibyście ministrów—wyrwał się pan Mogilnicki.—To o co potracacie zdaleka, nam wszystkim sługom aż nadto jest wiadome. Dla księcia Janusza była przyjaźń, od kniazia wojewody był

wstręt, a serdeczna życzliwość była dla Gaskolda, który drogo to opłacił: bo wedle wszelkiego podobieństwa przedczesnym zgonem. Albo to było komu upomnieć się o niego? Zwyczajnie sierota jak ja. Nikt nie znał ani jego ojca, ani jego matki, tyle tylko, że pan stolnik Pacyna nas zapewnił, że szlachcie jak my, i że nie powinniśmy go odpychać od naszej przyjaźni. My się z początku krzywili na niego; jak tam bądź, a coś było w nim jakby adweny — bo co wart choć szlachcie, kiedy nie ma krewnych. A potem my wszyscy dobijali się omal że nie o jego łaskę. Bo to mężny jak lew, a łagodny jak baranek. Cóż dziwnego, że go księżniczka mogła pokochać! Ktoby takiego nie kochał? Już to ja w jednej kwaterze z nim więcej pół roku mieszkałem, i nie wstydę się tego, że choć się wzbraniał, ja mu z serca usługiwałem jakby jakie pacholę, lubo jestem osiadłym szlachcicem. Już trzy lata upłynęło, jak nam zniknął. Pamiętacie koledzy? Księcia pana nie było. W Wilnie układał się z królem Szwedzkim; waszmość panie Dawidzie jemu wtedy asystowałeś. A tylko co książę Dorohostajski zaczynał burmistrzować w Birzach. On tu bawił, i my musieli mu być posłuszni. Otóż, coś się strasznego zrobiło w zamku. Ale co? tego nikt dokładnie nie wie, a każdy boi się wspomnieć. Dość, że odtąd ludzkie oko nie widziało Gaskolda. A wkrótce potem nasz książę powrócił i odbyły się zrekowiny kniazia z naszą księżniczką. Panie Hie-

ronimie, waszeć mówił, że jakoby księżniczka sama przyzwoliła na ten jej związek tak niestosowny, i ja byłem z wami świadkiem tego przyzwolenia, a jednak nie chciałbym być wtedy w jej skórze. Bo ze kniaź sprzątnął naszego poczciwego kolegę, jestem tego tak pewny, jak, że widzę was przed sobą.

— A co to waszeć oszalał!—fuknął pan Korbut. — Wykierowałeś nas z pieca na łeb, panie Urielu, prowadzając dyskurs na to, czego nam ani mówić, ani nawet o tem słyszeć się nie godzi. Bezpieczniej wyrwać się z życzliwością dla Jana Kazimierza, niż o takich rzeczach mówić. A żeby, broń Boże, to doszło do uszów kniazia? albo to on za górami siedzi? dziś, jutro, może pokazać się na Birzach. Co waszmość myślisz? narazić się takiemu panu, to nie przelewki?

Zmięszął się pan Maciej i odszedł przypatrywać się maryaszowi. Ale pan Bartłomiej Kupoć zabrał głos.

— Czy my charty, żebyś waszmość nas na smyczy trzymał? Cóżto, nam gadać nie wolno? A najwięcej mię dziwi pan Maciej. Ja przysłuchuję się temu co mówi, a że waszmości ubrzdało się strachać i siebie i nas, każesz mu milczeć, a on jak żak dyrektora, waszeci posłuchał. Tegobyś się ze mną nie doczekał. Co to waszeć nam masz grozić gniewem kniazia? Ja nienajdawniej będąc na dworze

nie o nim nie wiem, tylko, że podkowy łamie i że ma postać leśnego zbójcy. A żebyś jakibądź o nim szczegół miał do opowiadania, toby pewnie pan Hieronim od tego mnie nie odstraszył. O ludzie miękkiego serca!

— Panie Bartłomieju, opamiętaj się, toć to nie z naszym bratem sprawa.

— A ja wam powiem otwarcie, że kniazia się nie boję, i chociaż mówią o nim, że szablą wołowi głowę uciął, dalibóg, jeżeli ze mną zechce się spróbować, to mu nie ustąpię. Albo ja jego chleb jem, żeby się miał troszczyć o to, co mu się podoba lub nie? On kniaź, a ja sobie szlachcic równy jemu w zacności. Ja księciu panu służę z przywiązania, a nie z niewoli, i gdybym go nie kochał, tobym mu nie służył, a i jemu nawet nie zapisałem siebie w poddaństwo. A cóż dopiero kniazowi! I tak nie wchodząc, czy to się podoba lub nie panu Hieronimowi, oświadczam, że kniazowi tak szkaradnie z oczu patrzy, że niema zbrodni, o którą nie mógłby być posądzony.

Pan Hieronim aż zbladł z gniewu, i byłaby straszna kłótnia się wszczęła, gdyby nie jedna okoliczność.

Pan Romuald Sielawa w tej chwili grał w maryasza z panem Kasprem Rupejskiem; bronił pulę, ale jej obronić nie zdołał, bo wziął suchę; zerwał

### ROZDZIAŁ III.

Księżę a z nim i księżna przechodzili przez salę dworzan do kaplicy zamkowej. Księżę, stanąwszy na środku sali, obrócił się do swoich dworzan i powiedział:

— Panowie bracia wyznania ewangelickiego, proszę za sobą.

Odyniec, Petrozolin inni protestanci poszli za księstwem; katolicy, tak zachodniego jako i wschodniego obrządku, pozostali. Czas jakiś zostali w milczeniu; ale ledwo księstwo z asystencyą swoją zniknęli, pan Romuald Sielawa, który na wszystko był obojętnym, oprócz polowania i maryasza, odezwał się:

— No, przecie mamy czas grać w maryasza; zawieśmy przeznaczenie naszej puli, do chwili kiedy

się zejdziemy ze wszystkimi naszymi co do niej należą, a rozpocznijmy nową — i odwinąwszy talię kart, którą nosił w kieszeni, pstrygnął dla zachęcenia do gry.

— A dajże waszmość pokój! — na to pan Korbut. — Czy to ich nabożeństwo długie? puli nie skończym, a zabawę nam przerwą. Czy zauważyliście waszmoście, że księżę pan nie w najlepszym humorze?

— Wszakże wczoraj odebrał jakąś ekspedycję — odpowiedział pan Rymsza — widać, że w niej musiało być coś niepomyślnego.

— Nie inaczej — odrzekł pan Korbut — bo zaraz po jej odebraniu kazał łowczemu nadwornemu odwołać polowanie, na którem kazał nam służyć; przepadła dzisiejsza zabawa.

— Oj przepadła, przepadła — odezwał się pan Sielawa. — To jakiś feralny dzień, bo ja wiem z doświadczenia, że kiedy umówione polowanie na niczem spełźnie, w dniu tym nic się nie wiezie; obaczycie, że nawet w maryasza dziś grać nie będziemy. Jednak kiedy księżę pan, zapalony myśliwy, od polowania się odrzeka, musi być w tem jakaś wielka tajemnica.

— Której odkrycie bynajmniej mnie nie obchodzi — odezwał się pan Maciej Mogilnicki. — Kto ma tyle interesów i publicznych i prywatnych na gło-

wie, czy podobieństwo żeby jaki z nich i nie zafrasował? Gdyby tym wielkim panom wszystko a wszystko szło po myśli, zapomnieliby nakoniec o Bogu. A może zwyczajnie chimera z wielkiej rozkoszy, jak to bywa u nich. A komuż chimerować, jeżeli nie takim, którym nikt się nie przeciwi. Niechby no nasz książę choć parę tygodni ulegał jak nasz brat, każdemu widzimisię pana Pacyny, dopieroby się nauczył, z czego ma się martwić, a co mimo siebie puszczać. Bylem się dostał tylko do moich Żabiniec, to i ja potrafię chimerować jak magnat.

— A któż o tem wątpi—rzekł pan Rymsza— że nasz pan Maciej na pana stworzony; wszelkie ma do tego usposobienie, brak mu tylko pańskiego majątku.

— At gadasz, panie Piotrzel! Szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie, a cóż dopiero na wiosce dziedzicznej? A czy to ja księciu panu przysiągł, że nigdy nie przestanę mu służyć, żebym miał się odrzekać od tego, co jest moją własnością? Tylko co nie widać jak podziękuję. Miłszy chleb własny choć czajny, niżeli pirog cudzy.

— Przynajmniej że nie tak prędko odstąpisz od naszego koleżeństwa—odrzekł pan Piotr Rymsza.

— A to dlaczego?

— A czy zapomniałeś jakieś dopiero nam dał słowo, że choćby na pańskich pokojach, pierwszemu

niekarmazynowemu personatowi, jakiego napotkasz, bez względu na jego dostojęństwo, masz powiedzieć bajkę o kpie. *Verbum nobile debet esse stabile.*

Na te słowa wszyscy przytomni parsknęli od śmiechu, nie zważając na gniew pana Macieja, który odtąd siedział rozdąsany i patrzył przez okno na dziedziniec zamkowy, nie chcąc brać udziału w ich rozmowie.

Nie omylili się dworzanie w domyśle, że jakieś niepomysłne wiadomości przysły do księcia; w samej rzeczy książę był niespokojny, a jakkolwiek umiał władać sobą, niepokoje jego duszy utaić się nie mogły przed wprawnym wzrokiem przywykłych do niego dworzan. A te najdobitniej zdradzały się w kaplicy. Zauważano, że w czasie nabożeństwa ciągle dobywał godzinnik, i że czego nigdy nie bywało, podczas kiedy uczony Kin wysadzał się ze swoją kaznodziejską wymową, książę zdawał się być roz-targnionym, a nawet tak widoczne dawał oznaki zniecierpliwienia, że biedny minister świętej ewangelii przed porą skończył, a raczej urwał swoje kazanie. A książę najspieszniej wyszedł z kaplicy, nie pozdrowiwszy Kina, jak to było w jego zwyczaju.

Gdy wracał do swoich komnat przez korytarz, napelniony przez oczekujących jego przybycia, a między niemi ujrzał mnóstwo trzymających w rękach supliki, on zamiast ich przyjęcia, odezwał się do nich:

„Kto ma co do mnie, niech z tem się uda do pana Sulistrowskiego, mojego referendarza“, i poszedł dalej. Dopiero kiedy spostrzegł pana Dominika Haraburdę, dworzanina, na którego roztropności wielce polegał, a który wcisnął się był między innych oczekujących księcia w korytarzu, zatrzymał się na chwilę i powiedział za sobą idącemu z kaplicy panu Odyńcowi; „Mości panie, waść bądź w gotowości z panem Haraburdą, bo będę miał z waszmościami do mówienia“ i już nie zatrzymując się, poszedł wraz z księżną do swojej pracowni, gdzie już na niego czekał pan Jerzy z Konopnicy Grabowski, przed którym nie miał nic tajnego. Nazywano go w Litwie papieżem kalwinów. I w samej rzeczy, lubo mu wyrzucali Bombizy, że nie lubił słuchać słowa Bózego i że nadto rzadko pokazywał się w kirku, on jednak był duszą ich partyi. A nawet między prawowiernemi jego światło i zręczność były słynne; A związany z księciem marszałkiem i pokrewieństwem i wspólnością wyznania, i nieograniczoną ufnością, jaką był pozyskał u niego, był podrzędną, a jednak jedną z najważniejszych figur owego okresu naszych dziejów.

Książę Bogusław był pan wspaniałomyślny, wszystkie jego uczucia były szlachetne. Wychowany w Genewie, owem ognisku protestantyzmu, do niepospolitego zapasu wiadomości świeckich łączył, jak to wówczas nierzadko było między panami, głębokie

nauki teologiczne, jakkolwiek w obcym źródle czerpane. On nie uważał protestantyzmu jako narzędzie polityczne, ale szczerze i sumiennie był do niego przywiązany, i w najlepszej wierze podzielał wszystkie przesady swoich helweckich współwierców przeciwko staremu wyznaniu. Ale jeżeli opinie teologiczne Genewy znalazły w nim zwolennika więcej niż gorliwego, wyobrażenia i obyczaje demokratyczne tego grodu najmniejszego wpływu na nim nie wywarły. Przeciwnie, był z niego typ możnowładcy; dumę krwi, cnoty, a nawet przesady swojej kasty posuwał aż do fanatyzmu, a do tego popędliwość jego była tak gwałtowna, że jej wybuchów níc wstrzymać nie mogło. Pycha i popędliwość obojętniły często i to wysokie światło, i te niezaprzeczone cnoty, któremi Bóg go obdarzył. Jego słudzy i klienci byli do niego przywiązani, bo wiedzieli dobrze, że, nie opierając się jego wybuchom, po ich przejściu wszystko na nim wymódz potrafią. On też z niemi tylko był poufały. Ale dla obcych przystęp jego był trudny, zwłaszcza kiedy obcował z nienależącym ani do jego krwi, ani do jego partyi, a ten mógł się jemu równać czy urodzeniem czy stopniem. Po kilkakrotnie był się naraził królowi Szwedzkemu lekceważeniem jego hetmanów i zuchwałością, jakiej się czasem względem niego samego dopuszczał. I tak, kiedy król ofiarował przez swojego kanclerza dowództwo pułku szwedzkiego dla jego syna, księcia Olbrachta, zale-

dwo z dzieciństwa wyszłego a bawiącego w Manheimie, ksiązę Bogusław odpowiedział kanclerzowi, że Radziwiłłowie są przywykli mieć zagranicznych pułkowników w swoich usługach, a nie pułkownikować sami po zagranicznych wojskach. A czem się królowi najwięcej naraził, to, że kiedy Janusz Sapieha, starosta Mozyrski, najstateczniejszy stronnik Jana Kazimierza, a który po zniszczeniu swoich zamków przez Szwedów niewiadomo gdzie się ukrywał, swoją młodą i piękną żonę Elżbietę Chodkiewiczównę oddał w opiekę księciu Bogusławowi — ten nie tylko że ją przyjął i utrzymywał w swoim zamku Birżańskim, ale nawet, lubo sam podpisał wyrok skazujący Sapiechę na banicyę i utratę majątku, nie dopuścił rządowi jego dóbr zająć, i wszystkie dobra Sapieżyńskie *via facti* objął w swój zarząd, pod pozorem, że pani starościna Mozyrska, której był opiekunem, była na nich dożywotnią i oprawną panią. Takowe postęпки nie mogły nie obrazić króla Szwedzkiego, ile że podejrywał księcia, iż jemu się marzyła udzielność księztwa Litewskiego dla swojego domu. Z tem wszystkim te kwasy, wewnątrznie piastowane, na wierzch nie wychodziły. Ksiązę zawsze okazywał się stronnikiem króla, a król jemu nie przestawał okazywać największej ufności; ale ci co do nich więcej byli zbliżeni, przewidywali, że ich związek lada okoliczność zerwać może.

Księżna marszałkowa, jego małżonka, księżnicz-

ka falegraftanka z domu, a córka panującego ksiązęcia, wniosła mu i wielkie dostatki i najrzadsze cnoty. Była to pani dumna, ale nie tyle ze świetności krwi własnej, ile z blasku, jaki w jej przekonaniu rozsiewał na nią jej dostojny małżonek. W nim albowiem widziała urzeczywistnienie ideału wszelkich cnót i wszelkich doskonałości. Każde jego słowo, omal że nie każde skinienie, były dla niej wyrocznią. Ksiązę ją też wysoko cenil, a lubo natura odmówiła jej była tych powierzchownych wdzięków, któremi pleć piękna zniewala, nigdy małżeńskiej wiary jej nie złamał i nieograniczoną ufność pokładał w jej rozsądku. Na niej opierał się zarząd zamku i księztwa Birżańskiego, niemniej innych szerokich dziedztw, które jej małżonek odzierzył po wielkich przodkach, i licznych królewsczych, jakie sobie wyśłużył; ona go zaś sprawowała z przepychem księżniczki krwi panującej, a razem z oszczędnością gospodyni niemieckiej. To pewna, że bez jej przezornej opieki majątek Radziwiłłowski acz ogromny, nigdyby nie zdołał wytrzymać niesłychanych wydatków, jakie się na niego zwały, odkąd jego właściciel stanął na czele partyi szwedzkiej, która, można śmiało powiedzieć, cała żyła na jego koszcie. Księżna z heroizmem matki i żony oddała się najdrobniejszym szczegółom gospodarstwa. Sama rachunki trzymała ze wszyst-



kich oficyalistów, i zadziwiała ich trafnością, nie tylko w oszacowaniu ich wartości, ale nawet pomysłami swojemi, bądź do utworzenia nowych przychodów bądź do pomnożenia istniejących. Nadto wysoko urodzona i wykwiłtnie wychowana, ażeby się miała unosić w gniewie aż do skażenia ust jakimś obelżywym wyrazem dla sługi, zwłaszcza szlacheckiego stanu, samą powagą swoją wzniecała w duszy ich wszystkich obawę pełną uszanowania, od jakiej książę nie był zupełnie swobodny. Często powtarzał: „w mojej żonie mam skarb chodzący“, i lubo w rzeczach publicznych zdawał się być nieugiętym w raz powziętem przekonaniu, przecie i tu nawet często ulegał wpływom, jakie nad nim umiała pozyskać.

I tak lubo książę nie był od tego, żeby jego jedynak, idąc w ślady swoich przodków, wślawiał się na gruncie ojcystym w rzemiośle rycerskiem, książna troskliwa o jego zdrowie wymogła na nim, że go schronił w obcej ziemi, dopóki we własnej wszystko się nie uspokoi. Powtóre książę był fanatycznie przywiązany do wyznania, w którym był wychowany, a tem samem nienawidził obrządków Rzymskiego Kościoła; jednak pozwolił wynieść na dziedzińcu zamkowym kaplicę dla sług i przyjaciół swego domu którzy się starej wiary trzymali, a to na instancję księżnej, gdyż ona, jakkolwiek gorliwa protestantka nie podzielała wszystkich uprzedzeń swoich współ-

wierców przeciwko wyznawcom tej wiary, która ich ojców wychowała. Okazałość obrzędów katolickich przemawiała do jej serca. Porównywała pomimo-wolnie ich poetyczność z prozaiczną oschłością kalwinizmu, a to porównanie nie było korzystnem dla ostatniego.

Ta dobra i cnotliwa pani cieszyła się wielkością swojego małżonka i przywiązaniem wszystkiego tego, co ją otaczało. Dwa tylko smutne uczucia zamęcały spokojność jej duszy. Jednem było oddalenie jej syna, drugie z powodu postanowienia jej córki. Bo lubo księżniczka sama zezwoliła na swoje zamężcie, a książę miał wielki szacunek dla kniazia Dorohostajskiego, jednak ostrzeżona zmyślnością serca macierzyńskiego nie mogła wierzyć w szczęście córki. Żadna skarga nigdy nie wyszła z ust Eleonory na przykrości jej losu; kniaź jej okazywał zawsze największe uszanowanie, w niczem nie zdawał się sprzeciwiać jej woli; jednak to pewna, że jakieś smutki musiały ją tajemnie dręczyć. Zamiast jej dawnej wesołości było coś w niej wymuszonego; rzadko kiedy uśmiech szczery rozjaśniał nadobność jej liców. I za każdym jej przybyciem do rodzicielskiego domu, znaki skrytej tęskoty zdawały się powiększać. Książna to aż nadto dobrze widziała, a przyczyny nie umiała dociec. Ale co jeszcze więcej ją niepokoiło, to że od więcej niż dwóch lat żadnej pewnej wiadomości nie miała od syna. Od dawnego czasu

zaden list od niego do niej nie doszedł. W ostatnim, przed dwoma laty pisany, oznajmił rodzicom, że dla skończenia wychowania, stosownie do woli ojca jedzie do Anglii. Odtąd w głuchem zostawał milczeniu, nie tylko on, ale nawet przydany jemu za nadzorcę uczone Oldenkopf, który wprzód co miesiąc zawsze w obszernym liście donosił księztwu o postępach ich jedynaka w wiadomościach z książek czerpanych i w nauce żywotnej, obcowaniem z ludźmi nabytej. Czasem odbierała listy od swojego brata, księcia Falcgrabi, w których jej donosił o powodzeniach księcia Olbrachta u dworu i w wyższym towarzystwie angielskiem, ale jako o rzeczach słyszanych. A lubo w owym czasie jeszcze nie były jak teraz, ułatwione stosunki między ludźmi oddzieleniemi od siebie i obszernemi państwami i morzami, jednak niespokojność księżny tak była wielka, iż postanowiła wyprawić jakiegoś zaufanego dworzannina do Anglii, żeby się upewnił o pobycie w niej syna i pewne o nim wiadomości jej przywiózł.

Księżę z księżną weszli do gabinetu, gdzie na nich już czekał pan Jerzy Grabowski przy kantorku; już rozbierał papiery od dawna, bo jako się wyżej powiedziało, rzadko kiedy pokazywał się na nabożeństwie. Było tylko ich troje: on, księżna usadowiona w krześle z robotą w rękę i księżę, który szerokim krokiem mierzył gabinet, przechodząc od jednego do drugiego węgla, co było u niego w zwyczaju, ile razy

był silnie poruszony. Księżna i pan Grabowski siedzieli milcząc: księżę tylko się odzywał.

— To co zawsze przewidywałem, już zaczyna się spełniać. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, bo nie przestawałem ostrzegać króla Szwedzkiego, że pokąd bezkrólewie ogłoszone nie będzie, a sejm konwokacyjny nie przywoła szlachty do obioru nowego króla, posłuszeństwo stronników Jana Kazimierza królowi Szwedzkiemu będzie tylko pozorne. Radziłem królowi, żeby panów znanych z jawnej życzliwości dla króla tułacza, jako Rewerę Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Stanisława Lanckorońskiego, zawsze miał na oku i przywabił ich do swojego obozu, a nie pozwalał im siedzieć w ich zamkach. Król, zadufany w swoich Szwedach, a obalamucony przez Gąsiewskiego, który mu wmawia, że ja pragnę dla siebie oderwać Litwę od ciała Rzeczypospolitej, żadnej mojej rady nie usłuchał i doczekał się, że mu złe dogrzało na biedę. Już nie z małemi oddziałami partyzantów, ale z licznemi i uporządkowanemi hufcami przychodzi do walki. Po zdobyciu Krakowa, myślano że Stefan Czarnecki uciekł za granicę, i że dotąd po niej się tuła, a wczoraj doszła do mnie wiadomość, że on pędził szlachty województwa Ruskiego i nadwornej milicji Rewery Potockiego porządnie otrzepał Karolsona, dzieciaka bez doświadczenia, a któremu król powierzył straż Rusi dlatego tylko, że jest jego synem. Z garścią niełobitków

umknął, o mały włos sam się nie dostał w niewolę. Król Szwedzki klóci się z Brandenburgczykiem o Prusy, a tymczasem traci całą Małopolskę. Na wołowej skórze nie zapisać klęsk, o których dokładną wiadomość wczoraj do mnie przysłano. Waszmość, mości panie Jerzy, to wszystko miałeś czas odczytać. A to sądny dzień! Pod okiem przecie tego niedołęgi Karolsona liczna szlachta i wielu panów zebrało się na odpust do Tyszowca. Panowie z milicjami, szlachta uzbrojona jak zawsze, a z niemi słudzy, ile kto ich miał. Wszak wiecie, co to odpust dla papieżników. Żywej duszy w domu nie zatrzymasz, wszystko się do niego tłoczy. Bo jakże nie pójść człowiekowi tam, gdzie choćby nie wiedzieć jak przez cały rok nabroił, rachunek z bogiem się rozdziera, i każdy wraca do domu czysty jak bursztyn? Omal że nie cała Małopolska wlaźła do Tyszowca na odpust, a Szwedami jednego. Tyle tylko, że małe ich posterunki stały od wszystkich traktów i dróg, żeby szelągne pobierać dla siebie od tych, co dążyli na nabożeństwo. Nawet tej ostrożności nie zachowali, żeby wymagać od nich zostawienia broni przy rogatkach. Bo już cię szabla na nic się nie przyda modlitwie. Wszakże nawet tych rozbójników, co w imię Jana Kazimierza napadają na szlacheckie domy, i miasteczka rabują, było mnóstwo w Tyszowcu, a omal że nie wszyscy hersztowie tych hultai. Wszystko to można było pochwytać bezbronnych, gdyby posłuszeństwo nie było

przy tym gapiu, który z wojskiem swoim stał jak nieżywy o dwie mile ztamtąd. A tak szlachta bez przeszkody po skończonem nabożeństwie poszła do proboszcza, kto do izby, kto na dziedzińcu, gdzie już kufy gorzalki i miodu panowie sporządzali dla jej traktamentu. Po pijanemu spisano akt konfederacyi, marszałkiem ogłoszono Charłęskiego, starca, dlatego że ma wiele wziętości u szlachty. Znalazł się tam i Jerzy Lubomirski i Stefan Czarniecki na regimentarzów gotowych. Lubomirski udał się ku Karpatom dla rozszerzenia konfederacyi. Proboszcz przyjął przysięgę wierności i posłuszeństwa dla konfederacyi, a Czarniecki z pijaną szlachtą na koń, obces na Szwedów o dwie mil leżących w obozie, zupełnie nie przygotowanych. I dopiero się wytrzeźwiła, kiedy Szwedów na drobne jabłko rozbiła. Pewny jestem, że lada chwila od Częstochowy odstąpią Szwedzi; dopiero narobi się kaszy w Wielkiej Polsce. Król Szwedzki zawsze mimo siebie puszczał moje rady, dopiero teraz, kiedy może jest za późno, przypomniał sobie że Radziwiłł żyje; wczoraj odebrałem jego pismo, w którym sam o tem wszystkim mi donosi i przywołuje mnie do Warszawy, do której sam dąży.

— I cóż Jegomość myślisz czynić? — zapytała księżna.

— A cóż! jutro wyjeżdżamy do Warszawy; je-

stem obowiązany królowi Szwedzkiem, i nie mi nie pozostaje, jak tylko zjednoczyć mój los z jego dołą. Moja rzecz wiernie mu radzić, walczyć za jego sprawę i ufać w Bogu. Wszakże sprawa króla Szwedzkiego jest sprawą Boga i jego wiary. Czy Jejmość myślisz, że gdyby ten jezuita Jan Kazimierz broń Boże powrócił do Polski, onby nam pozwolił modlić się po naszymu? Dom Wazów, który Szwecyę wyzwolił z zabobonów porządku rzymskiego, w Polsce zawsze był jego zapalonym poplecznikiem. On to w narodzie, zawsze słynnym z wyrozumiałości dla wszelkich przekonań religijnych, umiał zaszczerpieć fanatyzm i wściekłą nienawiść dla różnowierców, a z wszystkich Wazów Jan Kazimierz w tym względzie jest najniegodziwszym.

— Ale mości książe, on ma miłość w narodzie.

— I cóż ztąd, że ślepy ślepych będzie prowadził? Ani przypuszczam do myśli, żeby ciemnota mogła przemódz światło wschodzące na nasz naród od czasów ostatnich Jagiellonów. Prawdziwie popołu i litować się i złościć trzeba nań tem zaślepieniem naszej szlachty, która brzydzi się porządkiem i ukształceniem, a bezrząd i barbarzyństwo ochrzciwszy nazwiskiem wolności, zatyka sobie uszy, żeby głosu prawdy nie usłyszeć, która przez siebie myśleć nie chce, a idzie jak trzoda za głosem swoich krzykaczy. Co do mnie, nie mam sobie nic do wyrzuce-

nia. Panowanie Jana Kazimierza zawsze uważałem jako nieszczęście narodu, a jednak byłem mu wierny. Zdrowia mojego nie oszczędzałem w żadnej bitwie, i z własną szkodą jemu wywiązywałem się z Senatorskiej przysięgi. Dopiero kiedy królestwo opuścił, a nie wprzódy, wszedłem w umowę z królem Szwedzkim. I lubo mogę mieć żal do niego, przecie nie zdradzę jego zaufania.

— A gdyby Jegomość na każdy wypadek wyprawiał doświadczonego dworzanina do naszego kolligata, księcia Jerzego Lnbomirskiego?

— W jakim celu?

— Wszakże w Polsce wojny domowe nie rozrywają krwi związków. Jegomość byleś z nim zawsze w zażyłości. Kto przewidzi, co jeszcze nastąpić może? Dobrzeby się porozumieć z księciem Jerzym, a tym sposobem otworzyć sobie jakąś drogę do zgody, jeżeliby okoliczności skłoniły Jegomości do jej szukania.

— Nie, to napróżno, ten zacięty fanatyk nigdy mi nie odpuści. Chyba opuszczeniem mojej wiary pozyskałbym jego przebaczenie. Niechby tylko do niego powróciła władza, mieczem i ogniem będzie wypłenił dyssydentów. Czyż tego nie dawał dowodów?

— Ja lepiej trzymam o królu.

— Bo Jejmość jesteś kobietą, nie wierzysz w złość ludzką i w każdym człowieku dobrą stronę rałabyś upatrzyła. A czy mało klęsk rzeczpospolita

poniosła od tego domu? A czy to pierwszy raz Szwedzi na nas napadli? Wszakże ojciec Jana Kazimierza, poświęcając nasz naród widokom krwi swojej, pierwszy wywołał Szwedów; nasze Inflanty opłaciły nierozważną wyniosłość Zygmunta. A kto nas wplątał w wojnę z Moskwą, która nigdy nie chciała z nami zrywać związków przyjaźni? Trzeba było jakiegoś Dymitra prowadzić, żeby Jezuitów z nim razem na tronie osadzić? Albo ta Ruś, tak przywiązana do Jagiellonów i Batorego, tak nierozzerwalnym węzłem spojona z Polską i Litwą, a gdzie teraz imię polskie jest znienawidzone w całym narodzie, który odpadł bodaj żeby nie na zawsze od ciała rzeczypospolitej, a z czyjej to łaski? oto z tego Jana Kazimierza, co jako ślepe narzędzie Jezuitów, usiłował narzucić temu wiernemu narodowi wiarę, która mu jest w obrzydzeniu. Jan Kazimierz nie umiał być umiarkowanym względem całkowitych narodów, a miał być nim dla nas. Będzie on sięgał po gardła nasze, bo nasze urzędy i majątki są łakome. Ale on się tego nie doczeka, chyba że krew zastygnie w żyłach moich, a król Szwedzki wyrzeczce się czci swojej.

— Nie jest w obyczaju moim stawić jakiegokolwiek zdanie przeciwko zdaniu jegomości, ale jako upoważniona od niego samego do dania mu rady, ośmielam się przełożyć to, co z własnych jego ust niejednokrotnie wyszło, że myśl o zgodzie bynajmniej

szkody nie przynosi w prowadzeniu wojny. Pozwól jegomości panu Grabowskiemu odezwać się w tym względzie. Wszakże Jegomość mu przyznałeś, że ci nigdy nie dał złej rady. Powiedzże, panie Grabowski, czy to jest od rzeczy zbliżyć się do księcia Jerzego, a nawet nie zbliżyć się, tylko przypomnieć mu zawsze trwające związki między nim a księciem?

— I owszem, księżna wedle mnie najzbawieniejszą dajesz radę—odpowiedział pan Grabowski.— Wszakże książe Jerzy zapomnieć nie mógł, że nasz książe wyjednał mu od króla Szwedzkiego pozwolenie mieszkania w swoich dobrach, i pewnie równą szczerością będzie się starał jemu wywzajemnić.

— Czyż dla jednej przegranej, już macie wszystko za stracone?—odrzekł książe. — Udało się pochwyć Karolsona, już przyjaciele Jana Kazimierza marzą dla niego nie tylko powrót do Polski, ale może nawet że Szwecya odda mu się w poddaństwo! Litwa trzyma statecznie za Szwedem, Ukraina z Jurkiem Chmielnickim zawsze uzbrojona, Rakoczy nie zasypia, a jak przyjdzie konfederatom mierzyć się samym z królem Szwedzkim? Nie, nie, daleko jeszcze do powrotu Jana Kazimierza; bezpieczniej mu siedzieć w swoim księstwie pod opieką Rakuzkiego domu.

— Niema wątpliwości — odrzekł pan Grabowski — że burda Tyszowiecka niewiele pomoże królowi Janowi Kazimierzowi do jego interesów w Polsce.

Naszym nie trudno bitwy wygrywać; ale żeby z nich umieć korzystać, tego się nigdy nie nauczą. I przyznam się waszej książęcej mości, że podróż królowej do Wiednia i jej stosunki z dworem francuskim, z którym jest skoligaconą, więcej niespokojności we mnie pobudza, niż to, że książę Jerzy i pan Rewera przeciwko nam się oświadczyli. Ale czy oni się rozsypią wraz ze swoją hałastrą, czy górę wezmą nad nami, zawsze jest dobrze wyprawić kogoś pewnego do księcia Jerzego, choćby tylko dla wyrozumienia, co też oni myślą zrobić z nami, jeźliby jakimś cudem pozbyli się Szwedów i ich sprzymierzeńców.

— Masz słuszość za sobą, panie Jerzy, i przekonałeś mnie. Chciałem wyprawić do pani wojewodziny Witebskiej, naszej córki, Dawida Odyńca z listem naszym, zalecającym jej, żeby natychmiast swój Dolsk opuściła, a udała się do Warszawy prosto, gdzie my się z nią zjedziemy. Ale teraz to postanowienie moje odmieniam w ten sposób, żeby Odyniec, któremu można dodać i drugiego mojego sługę, jutro jechał szukać księcia Lubomirskiego, chociażby między górami Karpatu, i oddał mu list mój własnoręczny. On młody, zręczny, do tego kunsztmistrz, dobrze mi się sprawi, a Haraburdę wyprawię do Dolska, żeby mi odwiózł córkę wojewodziny do Warszawy. Ona nieboga zamknięta w obronnym zamku, bez męża, bo ten stał na pograniczu województwa Ru-

skiego od Wołynia, i Bóg wie w którą stronę wypadki go zanosły. To darmo, naszej córki narażać się nie godzi na oblężenie; a kto przewidzi co się stać może?

— Ale mości książę—odezwała się z pośpiechem księżna—jeżeli poruszenia zaczynają się w kraju, czy nie będzie bezpieczniej dla naszej Eleonory być po za wałami, niżeli przebywając bory litewskie i gościnie polskie?

— Nie ma się czego obawiać dla niej; między Dolskiem a Wisłą wszystko co żyje jest nam posłuszne. Mości panie Grabowski, jutro wyjeżdżamy do Warszawy; na waszmości się spuszczam, że moje zlecenia dopełnione zostaną. Moja chorągiew ussarska i wierni Tatarowie mojej straży będą nas glejtować w podróży. Zamek Birżański z załogą, oraz zarząd całego księstwa poruczam panu stolnikowi Pacynie i we wszystkim polegam na jego rozsądku, bo wiem z doświadczenia, że na nim się nie zawiodę. Pan Hieronim Korbut będzie miał zwierzchność nad moim glejtem. Zostawisz na piśmie zalecenia Pacynie, żeby naglił wszystkich podstarościch księstwa Birżańskiego, żeby ile możności dostarczali żywności do zamku. Bo ani pozostałej załodze, ani żonom i dzieciom szlachty, która się poruciła mojej opiece, i tej która później schroni się do mojego zamku, na niczem zbywać nie powinno. Stosownie do obyczaju

Radziwiłłowskiego, nasze zamki i nasz chleb są na usługi każdej szlacheckiej rodziny, potrzebującej przytułku. Nie trzeba zanadto osłabiać załogi, i nad kilkunastu sług ze szlacheckiego stanu więcej nie chcę mieć z sobą, a księżna ich spis ułoży. A jak się obaczę z królem Szwedzkim, uproszę go, żeby przez swoje poselstwo po zagranicznych dworach doszedł, gdzie nasz syn się obraca, bo prawdziwie frasować się potrzeba nad jego tak długim milczeniem. Doszły aż do naszych uszów wieści, jakoby nasz Olbracht miał się pokazać na dworze Jana Kazimierza na Szlązku, pod przybranem nazwiskiem. Teżo przypuścić nie mogę; a jednak rzecz dziwna, w ekspedycyi wczoraj przysłanej do króla Szwedzkiego jest list do mnie od Oxenstierna, w którym donosi, że jeden młodzieniec przybył do Jana Kazimierza, że miał z nim dwugodzinną naradę, do której tylko królowa świeżo przybyła z Wiednia była przypuszczoną, i że po odbytej konferencji siadł na konia, i z jednym tylko towarzyszem podróży, z którym i przybył, nazad wrócił do Polski, z kąd był wyruszył. Dośledzono, że po domach szlacheckich były dla nich dwóch przygotowane konie, tak, że gdzie stanęli, tyle się tylko zatrzymywali, ile czasu było potrzeba, żeby się przesiąść. Jakim sposobem przybyli, takim powrócili; dopiero w okolicach Sandomierza ich ślad zatartym został, jakby w wodę wpadli. Jednak to szalone zdrowie blisko sześćdziesiąt godzin cwałem lecieć

bez odpoczynku! Spostrzeżono, że król przy pożegnaniu ścisnął tego młodzieńca w swoich objęciach, a królowa dała mu rękę do pocałowania, z kąd wniosek oczywisty, że młodzieniec musiał być wysokiego rodu. Oxenstiern dodaje, że ma wielkie powody do wierzenia, że to jest syn nasz Olbracht. Ale to być nie może. Raz, że z Polski przybył i musiał być w niej zasiedziały, kiedy od komina do komina miał poszlacheckie przygotowane konie, a jego tak długi pobyt w tutejszym kraju utaićby się nie dał; powtóre, że prędzejby uwierzył śmierci jedynaka, niżby przypuścił, że jaki Radziwiłł linii Birzańskiej, przewodniczącej protestantom tych trzech narodów z jakich się składa rzeczpospolita, może sprzyjać domowi Wazów i nie wiem co z dwojga więcejby mnie mogło zasmucić.

— Co też Jegomość wyrzekłeś—przerwała księżna z pośpiechem.—Olbracht, nasz jedynak, nadzieja nasza, zaszczyt krwi Radziwiłłów, żeby jakiegokolwiek nieszczęście mogło się równać z jego śmiercią! Wieści Oxenstierna rażą Jegomości, a ja owszem z radością je chwytam, jak tonący za brzytwę; ja lgnę do nich, pieczę się niemi, wszelką do nich przykładając wiarę. Tak przebiegły człowiek, jak stary Oxenstiern, płonny wieściom nie dałby się uwodzić. To co pisze, musi być prawdą. Od więcej dwóch lat, pierwszy raz doświadczam chwili pełnej radości.

— Jak-to? — odezwał się Grabowski— księżna pani mogłaby przenieść, żeby jej godny syn miał stanąć w szeregach nieprzyjaciół swego dostojnego ojca, jego wiary?

— Panie Grabowski, waszność tu nie masz głosu, bo nigdy nie byłeś ojcem, a jakżebyś rozumiał serce matki? Byłoby to zapewne nieszczęściem, niestety, aż nadto często powtarzajacem się w wojnach domowych, żeby ojciec i syn wależyli z sobą w przeciwnych szeregach, jednak wszystko synowi chętnie odpuszczę, bylebym tylko mogła go w zdrowiu przycisnąć do łona.

— Daj pokój, Grabowski—odrzekł książę—kobiety nie przeprasz. U niej cała rzecz, ażeby syn był w zdrowiu, niech sobie trzyma z Janem Kazimierzem, niech zostanie papieżnikiem... mniejsza dla niej. Byle żył, niech się i plami hańbą, niech go mają za podłego.

— Podłego? mości książę, chociażby Olbracht popierał sprawę Jana Kazimierza, jakkolwiek toby mi było przykro, przecie w tem nie widzę podłości. Wszakże my wszyscy byliśmy posłuszni królowi. Wszak aż do najścia Szwedów nikt mu nie zaprzeczał prawości. A różność wierzeń religijnych między królem a poddanymi tej prawości nie obala. Musi to czuć sam król Szwedzki, kiedy pomimo tylu nalegań, nie chce się ogłaszać królem Polskim. Zręca jestem żoną, obowiązana do posłuszeństwa mężowi,

i nie moja rzecz roztrząsać zasady polityczne rozdzierające naród, który jest moim narodem, ale pozwólcie matce cieszyć się nadzieją, że jej syn żyje, i być obojętną na to wszystko, co wprost nie dotyczy się jego zdrowia.

Książę się zamyślił, widać było, że w nim toczyła się walka wewnętrzna między czułością ojca a nieugiętością wodza potężnego stronnictwa. Nakoniec przerwał milczenie temi słowy:

— Droga Jejmość, mój skarbie chodzący, nie pora jeszcze takie walki wytrzymywać. To być nie może, żeby ten młodzieniec miał być naszym Olbrachtem. Pocziwy Oldenkopf nie tak go wychował, żeby bez opowiedzenia się rodzicom miał sobą rozrządzać. Powtóre, samiśmy się turbowali, że go od dzieciństwa natura nie taką obdarzyła siłą, żeby doczekawszy się lat dwudziestu, mógł więcej dwóch dni przepędzić konno, ciągle cwałem lecąc, czego nie lada Tatar-by dokazał.

— Ach Jegomość, nie mów mi, że to nie on; ja nie chcę tego słyszeć; to on, albo już nie żyje.

— To nie on, ale najmniejszej nie mam wątpliwości że żyje. Radziwiłł nie charłak, którego życie i śmierć są ukryte przed światem. Ómy oczów są na niego zawsze obrócone; widzisz Jejmość, jak każdy



jego krok jest śledzony. Żeby jego nie stało, gruchnęłoby to po całym świecie; wszakże to krew omal że nie wszystkich panujących. Uspokój się Jejmość i zaniechaj i niepotrzebnych smutków i niewłaściwych radości, a zajmij się przez dziś, żeby na jutro wszystko było gotowe do naszego wyjazdu. A jak będziemy w Warszawie, o wszystkim i prędzej i dokładniej się dowiemy. Panie Grabowski, waszmość pomagaj księżnie, oprócz tego masz wiele na swoim karku. A ja trochę sam zostanę. Ale, ale, proszę waszmości, żebyś do mnie przysłał Haraburdę i Odyńca.

Książę nie długo czekał na dworzan; obaj byli niedaleko, oczekując jego rozkazów. Skoro weszli, książę rzekł:

— Mości panie Haraburda, postanowiłem z księżną i częścią mego dworu udać się do Warszawy, żeby być bliżej wypadków, które w naszym kraju wydarzyć się mogą. A waszmości wyprawiam do Dolaska z listami, które przed wieczorem odbierzesz. Te listy wręczysz naszej córce, pani wojewodzynie Witebskiej. Ona po ich przeczytaniu, stosując się do mojej woli, jak najspieszniej wyjedzie do Warszawy, żeby tam ze mną się zjechać. Powierzam ją waszmości, żebyś w ciągu tej podróży o krok jej nie odstąpił. Na całej Litwie ja jeden daję rozkazy i nie spodziewam się, żeby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło ją spotkać w tej podróży; wszakże ostrożnego Pan

Bóg strzeże. A więc waszmość złożył mój rozkaz, wydany dowódcy załogi naszego zięcia, żeby we wszystkim był waszmości posłusznym. Zażadasz od niego, żeby trzydzieści konnych dworskich żołnierzy dał dla glejtu pani wojewodziny; sam ich wybierzesz, żeby w każdym razie na nich można było się spuścić; w tem się zdaję na waszmości doświadczenie. Będziesz niemi dowodził, i aż nadto jestem pewny, że gdybym nawet, czego zdaje się nie mam potrzeby obawiać się, jaki oddział nieprzyjacielski odważył się napastować naszą córkę, krwi swojej żałować nie będziesz i napaść odeprzesz ze szkodą napastników, a ją samą w całości do nas doprowadzisz. To wszystko zalecam waszmości pod łaską moją. A szczególnie zalecam, żebyś w glejcie wojewodziny miał jak najwięcej Kozaków. Jest to lud waleczny, wierny, tegoż samego co i waszmość wyznania, łatwo się z nimi porozumiesz. Ale nie, nie ma potrzeby rozszerzać się z tak roztrópnym mężem; mądrej głowie dość dwie słowie. Ruszajże waszmość teraz do naszego krewnego Grabowskiego, a on waszmości wyprawi, tak jak się należy. A jeszcze dzień dzisiejszy przepędzamy z sobą.

Pan Dominik niziuteńko się uklonił, i zostawił księcia z panem Odyńcem.

Jak zostali sami, książę do niego:

— No, mości panie Dawidzie, teraz na waści kolej. Kto wie, czy Haraburdy szabla nie będzie

jeszcze w robocie, co nie daj Boże, chociaż szabla w jego ręku nielada broń. Waszmości na co innego przeznaczam. Waści lutnia teraz przydatniejsza od szabli, lubo wiem, że w potrzebie umiesz się z szabłą obchodzić.

— I szabla moja i lutnia zarówno są na rozkazy Waszej Książęcej Mości.

— O tem nie wątpię. Ale w tem co waści poruczę, rozum i zręczność potrzebniejsze od siły. Z lutnią i śpiewem tam przedrzeć się można, gdzie oręż byłby bezsilny. I w tym względzie niejednokrotnie waści doświadczyłem, i nigdy nie miałem powodu tego żałować. Jutro o świcie waść wyjedziesz na wózku z Birzów i weźmiesz z sobą lutnię. I puscisz się w świat szeroki, po którym będziesz się błąkał, dopóki nie znajdziesz na nim księcia Jerzego Lubomirskiego. Chciałem waści dać list do niego, ale opatrzywszy się, powziąłem przekonanie, że z tego żadnego nie może być pożytku, a gdzie nie ma pożytku, rychło następuje i szkoda! Jesteśmy wszyscy śmiertelni, mości panie Dawidzie. Słowa lecą jak ptaszki i giną w powietrzu, ale pisma nie umierają. Waszmość rozumiesz co chcę powiedzieć.

-- Jakże nie, książę panie! Na co pióra, kiedy język może być tłumaczem myśli?

— Nie inaczej; cieszę się że waści mnie pojąłeś. Wiem, że nie jesteś niezycliwym królowi Janowi Kazimierzowi, chociaż posiadasz zaufanie tego,

którego on uważa za najzaciętszego swego przeciwnika.

— Upraszam Waszą Książęcą Mość o litość dla szlacheckiej sławy; byłem i jestem sługą księcia pana, i póki nim będę, mojej wierności nie puszcze w poniewierkę. Należę do czeladki Radziwiłłowskiej, innej partyi nie znam tylko tę, której głową jest mój pan, i z przeciwną jemu pewno się nie znoszę.

— Dobrze mówisz, chłopcze, i gdybym wątpił o twojej wierności, nie otwierałbym się tobie z taką ufnością; skłonność skłonnością, a wierność wiernością. Nie o to rzecz idzie. Właśnie dlatego, że masz pociąg do partyi przeciwnej, najskuteczniej możesz mi usłużyć, bo łatwiej będzie tobie niż komu innemu tamtych wyrozumieć. Posłuchaj! Żyjemy w czasach trudnych, w niezgodach, w rozbiciu obywatelstwa na partye sobie przeciwne. Wojny domowe rzadko kiedy są przerywane, bo nie mamy głowy z rękoma dość silnemi, żeby jedność zachować w narodzie i utrzymać wszystkich w korbach posłuszeństwa. Nie mamy już tych cnót naszych naddziadów, dla których prawa nasze były dostateczne. Bez cnót, chcemy cieszyć się wolnością, a rzeczywiście nasza wolność jest swawolą. Rzucamy się w stronnictwa, jedni dla dogodzenia widokom osobistom, drudzy na oślep, bo mając przeświadczenie swojej słabości, dla własnego bezpieczeństwa tulą się do jakiejś siły, któraby ich bronila od napaści. Ale są i tacy, którzy się imają

oreża w przekonaniu, iż wydzwignąć tem mogą ojczyznę. W tej liczbie się mieszczę, i sumienie przynosi mi świadectwo, że jeżeli stanąłem na czele tej części narodu, która się związała z królem Szwedzkim, to nie dla innej przyczyny, tylko że on jeden jest dość silnym, aby z czasem zjednoczyć moich rodaków węzłem posłuszeństwa dla trwałego rządu, zabezpieczającego pomyślność ogółu, a spokojność każdego w szczególności. Robi się co można. Ale jeżeli szczęście ma nas zawieść, jeżeli naród tak dalece zamilowany w swoim nierządzie, że się rzuci w objęcia tych, co pod pozorem wierności dla prawego króla wszelkie usiłowania obracają ku temu, by ten nierząd utrwalić w Polsce, cóż mi pozostaje, jeżeli nie szukać zgody z temi, którym się uda otrzymać zaufanie obłąkanego narodu? Bo jużci, lubo szczerze sprzyjam królowi Szwedzkemu, nie jestem jego bezwarunkowym stronnikiem, ani jego poddanym. Otóż waści posełam do księcia Jerzego, żebyś wyrozumiał, co tamta strona myśli z nami zrobić, jak się upewni że los jej sprzyja? I tu z pełnem zaufaniem powierzam waszmości to ważne poselstwo.

— Czyż już tak dalece pogorszyły się interesy króla Szwedzkiego, księżę panie, że nawet Wasza Książęca Mość, głowa jego stronnictwa w Litwie, już ostygłeś?

— Nie, mój kochany. Zniesienie Karolsona jest wypadkiem dla nas nieszczęśliwym, wszakże daleko

od tego, żeby miało być dla tamtej strony stanowczym. Ale jak nabędziesz więcej jeszcze doświadczenia, niż go masz, sam się przekonasz, że zwłaszcza w wojnach domowych, nawet w chwilach najpomyślniejszych, zawsze na przyszłość trzeba było być oględnym i nigdy szczęściu nazbyt nie ufać. Kto przeciwnikowi zapiera wszelkie wnijście do zgody, kto nie widzi w nim możebnego przyszłego przyjaciela, taki w rozterkach obywatelskich niech się nie podejmuje naczelnictwa nad stronnictwem. Zawsze wstrzymywałem mściwe zapędy kniazia Dorohostajskiego, nim został moim zięciem i poddał się moim rozkazom; zawsze wyjednywałem u króla Szwedzkiego przebaczenie dla zwyciężonych. Jednego tylko Sapiechę ocalić nie mogłem i podpisałem na niego wyrok wywołania. A i ten nie musi czuć do mnie żalu, kiedy mi powierzył opiekę nad swoją żoną. Już dostatecznie wynurzyłem się z myśli moich; wiesz czego żądam i w jakim celu wyprawuję ciebie do księcia Lubomirskiego, z którym mam swojaćtwo, a kiedyś łączyła nas ścisła przyjaźń, lubo nasze przekonania polityczne były zawsze przeciwnoległe. Jest to mąż wysokich cnót i nadzwyczajnej dzielności, posiadający miłość całej szlachty Małopolskiej. Wiem, że nie więcej odemnie szacuje Jana Kazimierza, i jeżeli się dla niego poświęca, to jedynie dlatego, że w nim widzi rękojmię trwałości tej anarchii szlacheckiej, która w jego przekonaniu ma być najwyższem

— I ja nawzajem—odrzekł książę—poddaję się takimuz przekleństwu, jeżeli nie dotrzymam słowa, com go dopiero dał waszmości.

Poczem otworzył książę swój kantorek i wyjął z niego kilka ładunków złota, summa wówczas znaczna, i wręczył ją Odyńcowi, dodając:

— Masz na koszta podróży. Jutro z Haraburdą wyjeżdżasz do Dolska. Dla wszystkich, oprócz nas dwóch, ma to być celem waści podróży, ale pamiętaj, że aż do chwili, w której mi dasz sprawę z swojego poselstwa, my się nie znamy. Rozumiesz znaczenie tych słów. A teraz bywaj mi zdrowy.

To rzekłszy dał znak ręką, a pan Dawid po niskim ukłonie wyszedł z komnaty.

#### ROZDZIAŁ IV.

Świt był, a z nocnych jutrzeńka cieniów  
Gór dobywając wierzchołki,  
Budziła ptastwo do rannych pieniów,  
I do roboty czeze pszezołki.

A już dwa wózki toczyły się po wielkim gościńcu, który prawie prostą linią przez Nowogródek i Pińsk prowadził podróżnych z Birzów aż na Ruś południową. Na jednym z nich siedział pan Dominik Haraburda, a obok niego pan Dawid Odyniec. Na drugim ich pachołkowie i lutnia pana Dawida, jego wierna i nieodstępna towarzyska, w pudle skórą obitem zamknięta. Obaj, na jednym dworze wychowani, byli z sobą w zażyłej przyjaźni. Wszakże

w jej wyrażeniu okazywały się między nimi odcienia. Pan Dominik był o kilka lat starszy od swojego towarzysza, a tem samem więcej miał zasług u pana, któremu obaj służyli, a powaga wieku w owych czasach była tak silna, że przez głowę młodzieńca najburzliwszego nie przechodziła myśl nawet przelotna, z pod jej przyrodzonej zwierzchności się wyłamywać. Nabytek lat stanowił rzeczywistą hierarchię, a ta do pewnego stopnia zastępowała niedostatek ustaw, któreby na posadzie niewzruszonej ugruntowały władze polityczne narodu. Jakkolwiek prawa ówczesnej Polski z wielu względów były nacechowane mądrością, kiedy tak powszechną miłość były dla siebie uzyskały, to pewna, że do teraźniejszego pokolenia nigdyby się nie dały zastosować, właśnie dlatego, że środki, obmyślane przez naszych przodków, ażeby tym prawom zapewnić wykonanie, były tak słabe wedle dzisiejszych pojęć, że dla niejednego prawnika, zadanie jakim sposobem uciążliwy wyrok uzyskany na przemożnym magnacie do skutku mógł być doprowadzonym, jest dziś zagadką niedocieczoną. A jednak aż do XVIII-go stulecia nie było przykładu zbyt dłu jego przedziału między ostatecznym wyrokiem, a jego spełnieniem. A dlaczego? oto dlatego, że nasi przodkowie byli potężniejsi przez swoje obyczaje, niż my przez nasze prawa; że w ich przekonaniu wiek był istotnym urzędem, którego lekceważenie w żadnym wypadku ścierpianeby nie było w społeczeństwie.

Jest to rzecz tak pewna, że jeżeli urzędowi szafarze władz sądowych i administracyjnych, bez użycia zmuszających do tego środków, tak wielką mieli powagę w narodzie skłonnym do swawoli, to jedynie dlatego, że urząd był nieoddzielny od wieku. Niktby nie szanował młodego sędziego; ale takiej anomalii być nie mogło tam, gdzie sędziowie dożywotni byli obierani na sejmikach, w których starce przewodniczyli. Jeżeli w społeczeństwie młodzież wyzwoliła się zupełnie od władztwa moralnego starców, jeżeli starość utraciła wszelką powagę, jest to zepsucie, którego szzerzeniu się najmędrze ustawy nie zapobiegają. Ten co nie szanuje wieku, i nie ufa mu, boi się może urzędu, ale go pewnie szanować nie będzie. Kto o tem wątpi, niech raczy przypatrzeć się stosunkom towarzyskim między urzędnikiem a takim który go nie potrzebuje.

Pan Dominik i pan Dawid miłowali się wzajemnie, we wszystkim byli sobie równi, i pierwszy od drugiego nic też nie wymagał, a jednak, lubo w formie ta ich równość niczem nadwężoną nie była, co do rzeczy pan Dominik samorzutnie został rozkazującym, a pan Dawid jemu posłusznym. Podróż kilkudniowa nie jest tak ważną wyprawą, a już były w niej wszystkie odblaski warunków, niezbędnych dla bytu każdego społeczeństwa. Był rząd, było posłuszeństwo, było pośrednictwo między jedyną a najwyższą myślą, a najniższemi jej podwładnemi; była

więc hierarchia, tak dalece ona jest przyrodzoną największemu, jako i najmniejszemu stowarzyszeniu. Gdzie miał być popas, gdzie nocleg, o tem stanowią pan Haraburda, a pan Odyńiec stosownie do tego rozporządzał usługą. Całkowite stowarzyszenie składało się tylko z sześciu członków, a przedstawiało to, co się znajduje w najpotężniejszym ciele politycznym. Pan Haraburda był królem, pan Odyńiec ministrem czyli urzędem, dwaj woźnice, i dwaj pachółkowie ludem. Gdyby było głosowanie powszechne, nie wiem jak dalekoby zajechało sześciu podróżnych. Dawniej niktby tego nie pojął, ale dzięki rozszerzeniu światła, chyba zakuty obskurant tego dziś nie zrozumie, że głosowanie powszechne jest najrozumniej obmyślaną formą, ażeby kierować pomysłnie naród, chociażby z trzydziestu milionów ludzi złożony, na drodze szczęścia i sławy. Gdyż jest udowodnionem, że wola jedyna może zbłądzić, ale kilkadziesiąt milionów woli, chociażby sobie przeciwnych, posiadają wszelkie warunki nieomyślności.

Już czytelnik jest cokolwiek obznajmiony z tymi dworzanami, a zwłaszcza z Panem Odyńcem. Jednak żeby jeszcze lepiej z nimi się zapoznać, muszę kilka słów dodać. Pan Haraburda, zacny człowiek, z domu niegdyś urzędami i włościami potężnego, a zawsze przodkującego na Białej Rusi, sam gorliwy i spadkowy wyznawca wschodniego Kościoła, a rodzony synowiec Władki Smoleńskiego, który go od-

dał do dworu księcia Radziwiłła, był mężem wielkiego doświadczenia i rzadkiej roztropności. Książę często używał jego dorady i powierzał mu ważne polecenia, które umiał najakuratniej skutecznie; ale że się obawiał jak ognia odpowiedzialności, ani pół krokiem nie przestępował szranek danej mu instrukcyi. Był z niego doskonały egzekutor i nic więcej. Jego usposobienie umysłowe było takiej natury, że wszystko w niem było skutkiem rozwagi; natchnienie zaś, wszelkie wnijścia do jego duszy znajdowało dla siebie zaparte. Małomówny, zamysłony, a do tego uposażony i wzrokiem bystrym i słuchem nadzwyczaj rozwiniętym, dziwną miał zdolność dostrzegania wszystkiego, co się w koło niego działo; nie przed badawczem jego okiem ukryć się nie mogło. Ale właśnie dlatego, że wszystko u niego było podległe ścisłemu rachunkowi, nie tyle był pożytecznym dla sprawy, której służył, ileby nim mógł być, gdyby rozważył dał cokolwiek mniej wyłączne panowanie nad sobą. Bo jużci samorzutność ma swoje korzyści. Prawda, że rozważa nie dopuści do częstych jak to mówią byków, które aż nadto bywają udziałem ludzi zbyt genialnych, zbyt dostępnych uludom wyobraźni, ażeby długą przestrzeń zostawali między pochwytem jakiejś n yśli, a jej wydaniem na zewnątrz, bądź czynem, bądź słowem. Ale z drugiej strony, najmniejsza omyłka umysłu rozważawczego więcej mu szkody przyniesie, niż największa takiemu co działa samo-

rzutnie, nie mając dość cierpliwości, żeby postępy swoje zawsze stosować do ścisłych prawideł rozsądku. Gdyż ona jest do nie naprawienia, bo idąc na karb rozwagi, przebaczenia nie otrzyma, drugiemu zaś łatwo będzie odpuszczona. Człowiek, w którym wyobraźnia przeważa rozsądek, pomimo częstych poślizżeń, szczęśliwie, a nawet w dość szybkim czasie, może dojść do mety, kiedy tymczasem zawód rozważnego do zbytku męża, który żadnej z tych zapór, jakie się ciągle napotykają w żywocie, nie przeskakuje, ale z każdą się łamie, musi być koniecznie powolnym i wielce pracowitym. Z takich to ludzi był pan Dominik Haraburda. Jego podejrzliwa roztropność szkodę przynosiła innym jego przymiotom w opinii tych, co nie byli z nim związani ścisłą przyjaźnią. Bo nie mogli przypuścić, żeby człowiek tak ostrożny miał być szczerym. Jakżeby w nich pobudzał ufność, kiedy sam w nikim nie pokładał ufności? Przyznawano mu jeszcze więcej rozumu, niż go miał rzeczywistoście, każdy go się obawiał, każdy go słuchał chętnie, ale chociaż żadnym postępkiem przez całe swoje życie na najmniejsze podejrzenie nie naraził swojej prawości, chociaż przy powszechnie przyznanej mu waleczności wszelkiej kłótni unikał i nigdy mową nie zadrasnął ani sławy, ani nawet miłości własnej bliźniego, z tem wszystkim bardzo mało miał przyjaźni.

Pana Odyńca usposobienie zdawało się być przeciwległe charakterowi jego towarzysza podróży. Był z niego jak to mówią, istny szalapat. Burzliwy, wielomówny, równie skory do kłótni, jak do biesiady na nic nie oględny, omalżenie głośno myślący, oprócz wieku nic nie szanował, a najmniej swoje życie i zdrowie. Wedle obyczaju protestanckiej szlachty starośnie podług formy zagranicznej wychowany, nie rozumiał łaciny, ale w kilku obcych językach z łatwością się tłómaczył. Młodzieniec gładki, a do tego utalentowany, umiał się zalecać płci pięknej, której był wielkim wielbicielem. Ale w stosunkach swoich z mężczyznami, zblizonymi do niego wiekiem, często bywał uciążliwym, nadużywającym swojego dowcipnego konceptu. Nie było niebezpieczeństwa, któreby go od niego odstraszyło. Dziś podobne lekceważenie cudzej miłości własnej, co najwięcej na obmowy i potwarze bardzo mało szkodliwe naraża; ale w owym czasie omalże nie każde nierozważne słowo trzeba było krwią opłacić. Nosił też pan Dawid na sobie kilka widocznych dowodów, że te żarciki jego nie zawsze uchodziły bezkarnie. A i on też nie jednego obznaczył. Ale z drugiej strony był tak usłużny, tak udzielający się, tak gotowy do wstawienia się za każdym, który go o to prosił, tak miły w obcowaniu, że pomimo swoich wybryków był powszechnie lubiony.

Każdy z tych co się krwawo z nim potykali, czy zwycięzca czy pokonany, zostawał jego przyjacielem, wedle obyczaju ludzi walecznych, jakimi wówczas byli Polacy. Przymioty jego, a nawet wady robiły go wielce sposobnym do spełnienia zleceń, jakie mu powierzał książę Bogusław w tych smutnych czasach, kiedy naród, będąc rozdarty przez stronnictwa palające zawiścią i zemstą jedne przeciw drugim, wzajemnej nie znał ufności. Szlachcic wystrzegał się szlachcica; chyba bardzo doświadczonemu przyjacielowi w pełni myśli swoją otwierał. Każdy małoznany był w podejrzeniu; staropolska szczerłość omal że nie zupełnie była zgasła; targowano się z każdym wyrazem, żeby na złe nie był tłómaczony. W wojnach zwyczajnych narodu z narodem obywatel ma przeciwko sobie tylko namiętności polityczne, które rzadko kiedy sfery jego potocznego zawodu dotyczą. Ale w wojnach domowych wszystkie namiętności prywatne kojarzą się z dążnościami politycznymi stronnictw. Obywatel w dowódcy oddziału może spotkać osobistego nieprzyjaciela, który go zaofiaruje na ołtarzu ojczyzny wedle języka oficjalnego, a w rzeczy samej ukarze go za to, że z nim przegrał sprawę w jakiejś jurydyceki sądowej, że mu odmówił kiedyś zażądanej przysługi, że go przekreślał, kiedy cbaż ubiegali się do jakiegoś urzędu, nakoniec, że mu przebaczyć nie może, iż go zaciera wziętością, bogactwem, chociażby nawet wyższością umysłową.

Ztąd jeżeli szkody materyalne, nagromadzone przez wojnę domową, prędko się wynagradzają, szkody moralne, jakie z niej spadają na społeczeństwa, są nie do wyrachowania, tem właśnie, że nic więcej od niej nie wątpi charakteru narodowego. Kto się zagłębił w nauce dziejów ojczystych, ten wątpić nie może, że ta wojna szwedzka, która rzeczywiście była wojną domową, wszczepiła między przemożnemi domami tego ducha niezgody, tę chytrą, te podstępny, które bądź pokątnymi intrygami, bądź jawnie krwawymi kłótniami ich rozdzierały, pokąd nakoniec nie runął całkowity gmach polityczny wyniesiony przez ich przodków. W czasie który wystawiam, kiedy każdy pokąd nie chwycił się czynu, lękał się czemkolwiek myśli swoje zdradzić, a tembardziej swoje skłonności, cała roztropność pana Dominika sprostać nie mogła rzutkości jego towarzysza. Prawda, że co tylko było podobnem chociaż zdaleka do czynu, przed nim utaić się nie mogło; ale skrytej myśli nie umiał dosledzić, ani też jej wywołać, bo nie przynosił nic takiego, coby w nieznanym albo małoznany mogło zaufanie pobudzić. Owszem było coś, że tak powiem, badawczego w jego małomówności i powadze; tak iż każdy, kto, jak to mówią, nie zjadł z nim beczki soli, był poniekąd ostrzeżony jego przytomnością, żeby siebie pilnował. A pan Dawid samą swoją nierozważą jakiś pociąg ku sobie i otworzystość podniecał. Każdy mówił sobie: jakże się mieć na ostrożności



z takim, u którego co w sercu, to i w uściech? z którym tak przyjemnie się upić i od którego wszystko co wie wyciągniesz? Każdy, mając siebie za rozropniejszego, niżeli on, pochlebiał sobie że go złapał; ani się spostrzegał, że nie chcący dawał się jemu więcej poznać, niż go sam poznawał. Mało rozważny, ale wielce przenikliwy, więcej zgadywał niż spostrzegał. Ztąd tak zręcznie się sprawił w kilku poleceniach od księcia mu poruczonych, że jego uwagę zwrócił ku sobie, a nawet pewien rodzaj jego ufności pozyskał, tak, iż mu już droga do majątku i do wysokich zaszczytów była otwartą. Co wszakże dla niego dość było obojętnem.

Ale jeżeli pan Dawid był powszechnie lubiony, nie było to jedynie dla przyjemności swojego obcowania, bo gdyby nie miał rzeczywistych cnót, nie byłby nigdy podobnej wziętości zwłaszcza na Litwie, tej właśnie części Rzeczypospolitej, gdzie słowa jak najmniej ważą, i nigdy nie mogły one przywłaszczyć sobie zaszczytu, tylko czynom właściwego (\*). On nie

---

\*) Polacy zawsze większą przywiązywali wagę do słów, niż Litwini. Dość odczytać Dyaryusz sejmu czteroletniego, żeby się o tem przekonać. Jaka trzeźwość wyrazów w posłach litewskich, obok gadatliwości jakkolwiek wymownej polskich. Korsak, poseł Nowogrodzki, na każdej sesji sejmowej zabierał głos, i tylko te słowa

miał nie tajnego w tem, co się jedynie jego dotyczyło; każdą myśl, każde przekonanie swoje wynurzał, nie oglądając się na skutki, jakie z tak zbytecznej otwartości wywołać może, ale tylko o ile one jego samego dotykać mogły. Cudzą zaś tajemnicę, skoro ona mu była powierzona, a nie schwycona przez niego, najwierniej dochowywał. Książę o nim mówił: Odyniec jest bardzo zręczny, ale nie każdy tego się domyśli. I tak, nigdy nie ukrywał swojej skłonności dla tułającego się króla, lubo służył w stronnictwie jemu przeciwnem; nie tylko sprzeczki miewał częste z innymi dworzanami, obstając za sławą Jana Kazimierza przez nich szarpaną, ale nawet z tego powodu nie jedną odbył krwawą bitwę. I to coby innego zgubiło u księcia, najmniejszej szkody jemu nie przynosiło. Bo książę dobrze wiedział, że lubo pan Dawid z tem dawał się słyszeć, że przystanie do stronników Jana Kazimierza, tyle był uczciwy, że tegoby nie zrobił pokryjomu, ale otwarcie prosiłby go o uwolnienie ze służby.

Pana Dawida nikt nigdy nie widział zasmuconego, a w ciągu tej podróży jego przyrodzona weso-

---

wymawiał: Skarb i wojsko. Śmieli się z niego ukształceni posłowie wynarodowionego dworu warszawskiego, a jednak był on więcej mężem stanu, niż ci wszyscy nowożytni Cyceronowie.

łość była podwojona; raz, że miał upoważnienie szukać szczęścia u strony, która jego przekonanie zhołdowała, a do której fortuna zaczynała się uśmiechać; powtórę, że mógł mieć jakąś nadzieję, że jego pan nie był tak daleki od pojednania się ze swoim królem, jak się wszystkim mogło wydawać. Tem więcej, że będąc do niego przywiązanym, myśl iż działa wspólnie z takimi, co nastają na jego zgubę, zawszeby go niepokoiła. Póki siedział na wózk, trudno mu było okazywać wielką wesołość, bo nie było sposobu zwawej rozmowy zawiązać z małomównym, a do zbytku oględnym kolegą. Ale to wymuszone na nim milczenie wynagrodził sobie w gospodach, gdzie im wypadał nocleg lub popas. Czy to z żydem gospodarzem, czy z podróżnymi, których napotykał, wdawał się w rozmowy, prawil im co ślina do gęby mu przynosiła, za co często od poważnego towarzysza bywał strofowany; przyjmował jego napominania z budującą cierpliwością i swoje robił. A kiedy zdarzało mu się trafić na ludzi ostrożnych, unikających gawędy z nieznanymi, jak to bywa, zwłaszcza w czasach niespokojnych; kiedy jedno słowo nierozważnie wyrzeczone może wywołać nieszczęście, wtedy wydobywał lutnię z pudła, jednoczył śpiewy z jej melodyjnym dźwiękiem i cieszył się, widząc z jakim zachwyceniem słuchali go Litwini, a zwłaszcza Rusini. Bo jak wiadomo, z pomiędzy wszystkich narodów słowiańskich, Rusini a po nich Czesi mają najwięcej

rozwinięte uczucie muzyki i poezji, a tak w obu celował, że nawet pan Haraburda nie umiał oprzeć się ich wdzięk.

Podróżującym od dni kilku nie się nie wydarzyło szczególnego. Gdzie niegdzie napotykali oddziały szwedzkie, które konsystowały jakby w własnym swoim kraju. Popasy i noclegi naszych wędrowców były zawsze w dobrach bądź Radziwiłłowskich, kniazia Dorohostajskiego i hetmana Gąsiewskiego, bądź szlachty, ich adherentów, czy z przekonania czy z potrzeby. Na pozór wszystko tam było spokojne; król Jan Kazimierz już był zapomnianym, a przynajmniej rzadko wspominanym. Bo możnowładztwo było na Litwie nierównie silniej rozwinięte niż w Polsce, gdzie szlachta ciągle opierała się tak nazwanym panom, a możnowładcy litewscy ściśle byli związani z królem szwedzkim i całą prowincję utrzymywali w posłuszeństwie. Ile razy nasi podróżni zapytywani byli od Szwedów, kim są i dokąd się udają, dość im było odpowiedzieć, że są słudzy księcia marszałka wielkiego litewskiego, wysłani od pana do jego córki, a zaraz doświadczała największej uprzejmości z ich strony, jako swoi, tem więcej że jako się powiedziało, pan Dawid umiał się tłómaczyć w ich mowie.

Wjechali nakoniec do starostwa Słonimskiego, które było w posiadaniu kniazia Dorohostajskiego. O dwie mile od Słonima wypadł im nocleg; w karcz-

mie go znaleźć nie mogli, bo była zawałona podróżnymi tak dalece, że przed nią na podwórzu był jakby rozłożony obóz ze sług podróżującej szlachty. Napróżno było chcieć się do niej docisnąć; ale tego nie czuli potrzeby. Słudzy księcia Bogusława aż nadto mogli rachować na gościnność podstarościego, zięcia ich pana, i kazali się zawieźć na folwark. I w samej rzeczy, lubo gospodarz zabierał się już do wczasu, za ledwie się dowiedział się, kim są jego goście, ile że nawet znał z widzenia pana Haraburdę, tak się nim zajął wraz z żoną i matką swoją, jak gdyby sam pan starosta objeżdżając swoje dobra, do nich zajechał. Pani podstaroscina wzięła się do sporządzania wieczerzy dla naszych podróżnych, którzy się sami przyznali, że im głód dopieka, a podstarości i matka jego żony starali się ich bawić, żeby cierpliwiej doczekali się wieczerzy.

Podstarości nie do zbytku był mowny, ale za to jego świekry usta się nie zamykały. Rozmowa zaczęła się jak zwykle od tego, że gospodarz zapytał pana Haraburdę, dokąd jadą, a ten odpowiedział:

— Do Dolska, żeby panią wojewodzinię zawieźć do Warszawy, gdzie już zapewne JO. jej ojciec musi ją oczekiwać.

— A to z jakiego powodu? — odezwała się staruszka.

— Nasze księstwo—odpowiedział pan Harabur-

da—zateśniło się za jedynaczką; mamy nadzieję za trzy dni ją oglądać. Państwo, co bliżej od niej mieszkanie, możecie nam dać wiadomość o jej zdrowiu, jej zatrudnieniach, jej powodzeniu.

— Tamtego tygodnia byłem w Dolsku—rzekł podstarości — widziałem panią, zdrowa, wesola, piękna.

— Piękna, to pewna, zdrowa, i na to pozwalałam, ale wesola, to się chyba tobie tak zdaje, mój Jasiu — na to staruszka.

— A dlaczegoż nie miałyby być wesolą?—oderzekł podstarości.— Cóż to? czy jej na czem zbywa? Chyba to, że dotąd Bóg jej nie pobłogosławił potomstwem.

— A to prawda—odezwał się pan Dawid.— Książ wojewoda w sile wieku, podkowy łamie, wojewodzina jak łania, a doczekać się nie może sukcesora.

— Widać, że natury jeszcze się nie porozumiały—na to gospodarz.

— Przecie to piąty rok jak z sobą żyją—dodał pan Dawid.

— Żyją, żyją — na to staruszka — szerokoby o tem rozprawić można. Tylko czy człowiek wszystko mówi co wie. Ot, co nam tańc, o czem wszyscy

wiedzą, że ani nasz pan wojewoda dla pani wojewodziny, ani pani wojewodzina dla naszego wojewody. Zwyczajnie jak u wielkich panów. My chude pacholki sami siebie żenim, a ich ludzie żenią. To też i także pożyczcie. Naszemu panu być ojcem pani, a nie mężem; a kiedy stadło niedobrane, zkąd się wydobędzie miłość?

— A jednak—odrzekł pan Haraburda—zaręczyć mogę jejmości, jako sługa rodziców pani wojewodziny, że jej nikt nie przymuszał iść za mąż, i owszem, wszystko jej woli było zostawione; zapewne, że księżę marszałek życzył sobie tego związku, żeby dwie partye w jedną połączyć; i jakież Litwin tegoby sobie nie życzył? Ale co innego pragnąć, a co innego zmuszać. My wszyscy byli przytomni, kiedy nasza księżniczka swoje przyzwolenie kniazio-wi oświadczyła. Bóg świadek, że najmniejszego musu nie było.

— Ej panie! czy to młoda dziewczyna chłopakiem, co jak się uprze, tylko powrozem i rzemieniem go przekonasz? A czy to małżeństwo nabechtane, niby nie wymuszone? Jak mnie państwo widzicie, ja sama przez to przechodziłam z pierwszym moim mężem. Moi rodzice mieli zasługi w domu kniazio-w Dorohostajskich i oddali mnie do ich dworu. Byłam pokojówką jeszcze u pani strażnikowej litewskiej, matki naszego pana wojewody; była zemnie dziew-

czyna rażna, miałam szczęście do ludzi, że między niemi uchodziłam za ładną. Był mi rok siedemnasty. Bywało rady sobie dać nie mogę, tak młodzi pokojowi, a nawet dworzanie, dokuczają mi swojemi umizgami. Aż tu zaczyna się zalecać do mnie pan Godziemba, podkoniuszy pana strażnika, sześćdziesięcioletni kawaler. On do mnie wzdycha, a ja mu parskam od śmiechu w żywe oczy, zwyczajnie dziewczyna pusta. Otóż jak się o mnie oświadczył na szczere, a na mnie usadziły się i moje koleżanki i sama pani ochmistrzyni, a wmawiać jęły, żebym się nie opierała jakoby największemu szczęściu, a to najpoczciwszy człowiek, a to familiant, a to ma sobie przyręczone dożywocie jak tylko się ożeni, a on ciebie tak kocha, a z nim na niczem zbywać ci nie będzie, a nazywać cię będą jejmością, a nie panną Dominicę—dość, że tak mnie wzięto w obroty, że sama nie wiem jakim sposobem zostałam jego żoną. Niby nie było musu, a Bóg świadek, że tam mojej woli nie było.

— A jednak jejmość często powtarzasz, że chociaż jej mąż był starcem, bardzo byłaś z nim szczęśliwą, i że jak zostałaś wdową, z żalu omal że na tamten świat nie poszłaś za nieboszczykiem.

— A to wcale co innego. Ja nikogo nie kochałam. A kiedy u młodej dziewczyny serce czcze, lada usilnością pocziwy mąż może je skłonić ku sobie

i zupełnie je ovladnąć. Co też to była za dusza u nieboszczyka! On był stary, ale jego serce było młode. Jakże nie miałam się przywiązać do tego, który mnie tak kochał? To też po jego śmierci, choć byłam młodą, przez trzy lata ani słuchać nie chciałam, kiedy mnie naklaniano do powtórnego małżeństwa.

— A przecież nakoniec jejmość zmiękczyć się dała?—odezwał się pan Dawid.

— Wierz mi jegomość, że oddałam się drugiemu mężowi przez tęsknotę po pierwszym. Bywało płaczę a płaczę, a nikt mnie nie pociesza. Myślę sobie, trzeba klina klinem wybić. A potem, młodej wdowy czeladź słuchać nie chciała; zaczął się robić nieporządek w gospodarstwie, mój mąż nie zostawił potomstwa, cóż było robić? Nawinał się pan Korkuc, ojciec waćpana żony, panie Janie, człowiek młody, dobrze widziany u obojga państwa, mający porządną kawał chleba, bo był łowczym w Chotyńcejskiej puszczy. Jego afekta z początku przyjmowałam dość obojętnie. Ale jakoś się wymówiłam jednego razu, że pójdę za niego i to przy świadkach. Potem chciałam się z tego wycofnąć, ale ludzie, co się lubią do wszystkiego mięsząć, jak zaczęli mnie perswadować, że dawszy słowo, szlachcianka winna je dotrzymać, koniec końców zostałam panią Korkucową, ale zawsze pierwszego męża zachowywałam w pamięci. I czę-

sto z drugim bywały z tego powodu kwasy. Był i z niego poczciwy człowiek, ale prędko, że kiedy się rozgniewa, to ja bez ducha. I on mnie kochał, ale umiał być panem w chałupie. Jak powie: „Domciu, tak być musi“, broń Chryste Jezu mu się sprzeciwić. To nie z nieboszczykiem sprawa! Dziesięć lat mieszkaliśmy z sobą. Doczekaliśmy się dzieci, i nasze pożycie było szczęśliwe, jak to ludzie mówią. Dość, że kiedy go pochowałam, i to w połowicy dni jego, bo umarł z przypadku, spadł z konia i kilka miesięcy cherlał, pokąd nie skończył — to go wielce żalowałam, a jednak pierwszego więcej.

— A widzisz jejmość — odrzekł pan Dawid — że młoda żona może się przywiązać do podżyłego męża; dlaczegóż tak wątpisz jejmość o szczęściu pani wojewodziny? Wszakże jej mąż za starca uchodzić nie może, kiedy podkowy łamie i na koniu harcuje, że nielada młodzieniec w tem mu sprostą.

— A to wcale co innego! Nasz pan do kobiety mówić nie umie, a dopiero jej się przypodobać. Jemu miłszy łowczy, masztalerz, koń, wreszcie niedźwiedz, niż najpiękniejsza kobieta. Ja go znam od dzieciństwa; zawsze był dzikim. Brat jego, nieboszczyk pan Stefan, to ale był kawaler! temuby się żadna kobieta nie oparła, tak się umiał brać do niej. To też ta jego kochliwość nie na najlepsze mu wyszła. Tylko człowiek nierad wspominać smutnych rzeczy.

Niech Bóg mu wynagrodzi na tamtym świecie, co on ucierpiał na tym, bo to był dobry pan. Ale nasz pan wojewoda zupełnie innej natury. Tać to nieboszczka pani rady dać sobie nie mogła z nim, taki był z niego panicz krnąbrny i gwałtowny; aż z po za gór i mórz sprowadzała mu mistrzów, Francuzów i Włochów, żeby go wyuczyć i wylagodzić. Pan Strażnikowicz młodszy przyjmował ich nauki, a starszy ich za Boże stworzenie nie uważał. Nigdy się uczyć nie chciał; aby nauczyciel oczy odwrócił, a on już w stajni. A jaki złośnik! Był podlotkiem, a wszyscy ludzie więcej się jego bali, niż nieboszczyka pana. Jeszcze to dla ojca miał jakieś względy, ale jak ten umarł, a nieboszczka pani objęła majątek jako dożywotniczka, niech Bóg broni co on dokazywał, chociaż i pani była ostra. Bywało, jak mu się coś ubrda, pani rozkazuje sługom, żeby go nie słuchali; ale ten jak im powie: „A co to, łotry, nie słuchacie mnie! Jeżeli nie zrobicie co wam każę, daję wam słowo uczciwe, że jak umrze jejmość, wszyscy będziecie wisieć”. — Słudzy wolą jego słuchać niż panią, bo lepiej dziś wziąć plagi, niż może za kilka niedziel poznać się z szubienicą. A z małych lat miał bawolą siłę. Każdy nauczyciel do obudwóch paniczów przydany, jak kilka niedziel sprobuje starszego, wyprasza się mieć pieczę nad nim, i tylko młodszym się zajmuje. Przyszło do tego, że przecie się znalazł jakiś uczony Niemiec, a tak barczysty, że było komu zajrzeć

w oczy, który się podjął jego wychowania. Nieboszczka pani złała na niego całkowitą swoją władzę macierzyńską. Miał sobie przydanych czterech hajduków Węgrów, którzy nie będąc poddanymi, nie mieli powodu lękania się przyszłej zemsty panicza, mogąc trafić do swoich Węgier. To Niemiec, kiedy im każe położyć na kobiercu pana Strażnikowicza, im czterem się nie daje, wrywa się z ich rąk i ucieka, że cały dzień niewiedomo gdzie się podział. A nakoniec wybił oko nauczycielowi, który o jednym oku wziął od pani sowitą odprawę. A potem kiedy już stanął w całej sile, co to były za starania, żeby go ożenić, bo już i ludzie zaczęli coś źle mówić o tym jego wstręcie do kobiet, i matka mu to przekładała. A potem na tych dwóch paniczach kończył się ród Dorohostajskich; jakże ich nie żenić, poczynając od starszego? Wszystkie perswazyje matki, jak groch rzucony o ścianę.

— A przecie się ożenił, lepiej późno niż nigdy—na to pan Dominik.

— Co to warte, takie ożenienie; z takiego ożenienia sukcesora nie będzie! Bywam w Dolsku i u fraucymeru pani wojewodziny mam swoje zachowanie. Wiem ja, co się tam święci. Wojewoda, kiedy zawita do Dolska, co nie tak często mu się zdarza, wojewodzina wychodzi na przeciw niego. On z nią grzeczny po swojemu, to jest pocału-

je ją w rękę, zapyta czy była kontenta ze sług, i tyle wszystkiego. Wojewodzina w swojej komnacie, wojewoda dojeżdża swoje żrebce, albo poluje na zwierza. Czasem się obaczą za stołem i to nie zawsze, bo wojewoda na łowach jak Tatar, samą surowizną się żywi. Potem wyrusza z zamku, gdzie na granice, żeby pójść na harc, bo to mu najmilsza zabawa. Wojewodzina odprowadza go do pojazdu; on ją, jako i przy powitaniu w rękę pocałuje, i znowu czekaj aż powróci. To jest, słudzy oczekują pana, bo co się tyczy pani, bardzo o tem wątpię.

— Z tem wszystkim — na to pan Dawid — wedle mnie bardzo przykładne stadło; jedno drugiemu przykrego słowa nie powie, a więc kochają się.

— Ale z takiego kochania potomstwa się nie spodziewaj. Wojewoda podkowy łamie, to prawda; nikt jego zakładu nie dotrzymał i to prawda, powiadają, że jak raz się podochocił, od jednego cięcia mieczem wołu głowę odrąbał i temu nie przeczę; ale i to niemniej pewno, że jaką wziął panią wojewodzinę z Birzów, takuteńką ją do Birzów odwieźć może.

— A jak jejność wiesz o wszystkim! — odrzekł pan Dawid, którego ta szczebiotliwość pani Korkuciowej wielce bawiła. Ale pan Dominik Ha-

raburda i pan podstarości radziby byli, żeby rozmowa do mniej drażliwych przedmiotów się zwróciła.

Pierwszy, chcąc ją przerwać, zapytał podstarościę, z jakiego powodu karczma wiejska tak jest zapełniona podróżnemi, że aż zmuszeni byli jego niepokoić prośbą o przyjęcie?

— A to panowie nie wiecie—odpowiedział podstarości — że jutro wielki zjazd w Słonimie? Jasnie wielmożny Gąsiewski, hetman wielki litewski, już od tygodnia zapowiedział swoje przybycie na jutro do Słonima, dla lustrowania wojska komputowego i milicyów nadwornych tam zebranych. A nasz pan wojewoda, jako starosta, już tam przybył dnia wczorajszego, dla podejmowania dostojnego gościa. Mnóstwo szlachty tam się zebrało, i ze wszech stron ciągnie do Słonima. Na dobrą chwilę państwo tam traficie, bo jeżeli macie jakiego znajomego z tej okolicy, cobyście radzi go widzieć, pewnie go tam zobaczycie.

— A jakże nie na dobrą, kiedy mam ekspedycję do JW. wojewody kniazia Dorohostajskiego od JO. księcia marszałka mojego pana. Nad jedną dobę zatrzymać się nie możemy w Dolsku, bo jak najspieszniej mamy wywieźć wojewodzinę; ekspedycję do

jej JW. małżonka musiałbym zostawić gubernatorowi jego zamku. A teraz wielce mnie waszmość pocieszasz, że będę mógł jutro jemu samemu ją wręczyć, oraz powitać naszego hetmana. A czy długo się za-trzyma w Słonimie?

— W tem objaśnienia dać nie mogę, bo to wszystko od jego woli zależy, ale wedle mojego biednego z lania, zdaje się, że krótko gościć będzie i że wyruszy z zebraniem wojskiem ku Małej Polsce.

— A na czem waszmość opierasz to zdanie?

— Bo i do nas doszły wieści, że jakoby miały tam zajść jakieś rozruchy, bez wątpienia małej wagi, ale nasz hetman, jako mąż przezorny, zapewne to zechce przydusić, żeby się broń Boże nie rozszerzyły. Bo ostrożność nawet do zbytku posunięta nie zawadzi.

Tu staruszka wmięszała się do dyskursu.

— Na co, panie Janie, obwijasz w bawelnę to, o czem ci zacni panowie lepiej wiedzą niż ty. Rozruchy małej wagi! Tak małej, że już ani jednego Szweda o tej porze nie ma w Małej Polsce! Tak ich nasi wytłukli, że to był dla Szwecyi sądny dzień; długo będą pamiętać pana Czarneckiego, który Polaków prowadził. Czerwona Ruś, Sandomierskie, Bełskie, Krakowskie, wszystko się zdeklarowało za królem Janem Kazimierzem. Jak w maju chrząszcze z drzew, tak szlachta uzbrojona sypie się z tamecz-

nych powiatów pod chorągwie Jerzego Lubomirskiego i Rewery Potockiego. Ludzie mówią, że tylko co nie widać, jak zawitają do naszej Litwy; a o czem ludzie gadają, to i wygadają.

Tu rozmowa brała kierunek jeszcze niebezpieczniejszy, niż wprzód. Zmieszał się podstarość, słysząc świekrę mówiącą w tym sposobie w przytomności dwóch dworzan księcia marszałka, głowy partii szwedzkiej; a chociaż w duchu może podzielał jej sposób myślenia, przynajmniej dla zasłonięcia siebie od wszelkiego podejrzenia o sprzyjanie partii nienawistnej jego panu, odezwał się z pośpiechem:

— A strzeż Boże naszą świętą Litwę od takiego nieszczęścia. To wszystko, co jejmość mówił o zwycięztwie pana Czarneckiego, jest tak przesadzane językami nowiniarzy, że pokaże się nakoniec, że nie warte funta kłaków. A gdyby nawet tam i było coś niepomysłnego dla naszej partii, jeszcze daleko tamtym do Litwy. Znajdzie się kamień na kose; niech-no się tu pokażą, a hetman Gąsiewski i mój pan taką im dadzą odprawę, że jeżeli jakiemu koroniaszowi uda się wynieść z duszą do swojego gniazda, to synom swoim pod błogosławięństwem zabroni nachodzić naszą Litwę, która już dawno zapomniała króla Kazimierza, co go koroniasze a nie Litwini obrali. Niechże się nim cieszą, a nam dadzą pokój.



— Pek waści, panie Janie, za tak niedorzeczne gadanie! A czy to król Jan Kazimierz nie krew naszych Jagiellów? Czy nie król prawowierny jak my? czy nie cześci Najświętszej Panny i obrazów świętych Pańskich, nie tak jak?... Ej, nie ciągnij mnie waść za język! Może waść zapomniałeś swojego prawego pana, ale nie Litwa; kto w Litwie bogobojny, ten tęskni za królem, któremu wierność zaprzysiął. Ten tylko, co otrzymał dla siebie przysięgę, mocen jest od niej rozgrzeszyć, a więcej nikt! A cóżto my mamy być gorsi od bisurmanów, żeby z przysięgi robić sobie igraszkę? Niech się pany tem bawią, bo im wszystko uchodzi, ale waść szlachcie. Ale wiem, że inaczej myślisz, tylko mówisz nie do rzeczy, bo się obawiasz tych zacnych kawalerów, co nas zaszczytlili swoim przybyciem; ale dość okiem na nich rzucić, żeby poznać, że to są mężowie uczciwi, a kto ma serce poczciwe, tego uszy nie mogą być niebezpieczne. Bójże się sobie waćpan, a ja się niczego nie boję; zwyczajnie baba, nie tyle dni jej pozostaje, żeby o nie wiele dbać miała. Co u mnie w sercu, to i w ustach, i otwarcie powiem, że co wieczór strzępię starą bieliznę dla rannych, i tyle jej strzępiłam, że aż kufer nastrzępiłam, ale żaden Szwed tego ani liźnie, a wszystko dla naszych zachowuję. Bo mam przeczucie, że się doczekam, i to niezadługo, iż wszyscy powrócą do króla, i pan hetman Gąsiewski, i nasz pan i sam książę marszałek.

Stara była w zenicie swojego ferworu, kiedy pan Dawid, nie mogąc już ukryć wzruszenia, porwał ją za rękę:

— Wielką, szlachetną masz duszę, pani! Oby wszyscy poszli za jej przykładem!

Pan Dominik Haraburda zabierał się natrzeć kapitułę młodemu towarzyszowi: podstarości milczał przestraszony. Na szczęście przybyła podstarościna, oznajmując, że wieczerza gotowa, i podała rękę panu Haraburdzie, puszczając przed sobą matkę, którą pan Dawid prowadził.

Wieczerza odbyła się spokojnie, bo już pan Dominik baczył, ażeby rozmowa nie zwróciła się na nic takiego, coby drażnić mogło czyje przekonanie polityczne. Mówiono o gospodarstwie, a że staruszka była wielką gospodynią, więc i w tem znalazł się pokarm dostateczny dla wielomówstwa. Wszyscy ją słuchali z uwagą, bo jak wiadomo, w naszym narodzie rozmowa raz skierowana albo do gospodarstwa, albo do prawnych interesów, nie prędko od tych materii się odwraca. Jeden tylko pan Dawid pragnął, żeby dopiero przerwana rozmowa mogła się na nowo zawiązać w tymże samym toku. Ale już to się mu nie udało. Zaprzestał więc marnych usilności, i siedział za stołem, bądź wypróżniając misy, bądź myśląc o czem innem, niż o tem, co przy wieczerzy mówiono, obiecując sobie, że jak się wszyscy rozłączą

do wczasu, uda mu się sam na sam pomówić z panią Korkucią, zawsze gotową do gawędy o rzeczach, które go więcej obchodziły, niż uprawa lnu i konopi i urządzenie nabiątu.

---

## ROZDZIAŁ V.

Skończyła się nareszcie wieczerza, a z nią i niecierpliwość pana Dawida, bo mógł przecie na nowo słyszeć panią Korkucią mówiącą o przedmiotach, które wielce jego ciekawość pobudzały, nim wieczerza urwała rozmowę. I w samej rzeczy to mu się udało; bo kiedy podstarościna po wieczerzy zaczęła się krzątać około czeladki i już się nie pokazała, a jej mąż i pan Haraburda, lękając się szczeromówności staruszki, nieco opodał od niej z sobą rozmawiali, pan Dawid siadł koło niej i rzecz zwrócił do przerwanej rozmowy. Na usilne prośby gościa pan podstarości, któremu trzeba było wraz ze świtem stać na nogach dla rozporządzeń gospodarskich, pożegnawszy naszych wędrowców udał się do alkierza, gdzie jego połowica niecierpliwie go oczekiwała. Pan Dominik

w sąsiedniej izbie odmówiwszy swoje modły, już chrapał w objęciach Morfeusza, a jeszcze pan Dawid ani myślał o wczasy, tak dalece zajmowały go opowiadania chodzącej kroniki domu Dorohostajskich, a tem samem i wielu domów pańskich i szlacheckich z nim połączonych.

Czytelnik raczy sobie przypomnieć, że staruszka, mówiąc o swoim panu, wspomniała o jego bracie młodszym z wielkimi pochwałami, ale zarazem dając do poznania, że przymioty rozumu i serea nie przyniosły mu szczęścia, na jakie zasługiwał. To właśnie ubodło ciekawość pana Dawida, gdyż pierwszy raz słyszał o tym bracie. I żeby ją zaspokoić, w ciągu dyskursu jakby z niechcenia, rzekł do niej:

— Czy jejmość dobrodziejka nie zgodzi się zenną na to, że jest wyraźna wola Opatrzności, żeby my szlachta zawsze żyli w pomірności i zależności, a nasze pany w szerokich dostatkach i władztwie?

— A nie inaczej, bo nic się nie dzieje na świecie bez dopuszczenia i rozporządzenia Opatrzności; ale do czego waszmość to mówisz?

— Oto do tego, że u nas szlachty kobiety są tak płodne, a ich dzieci, chociaż nie mają lekarzy nadwornych, tak się chowają, że jakkolwiek przy szczęściu szlachcic dorobić się może majątku, jak po jego śmierci majątek między tyłu pójdzie na podział, pokaże się, że każdemu pracować potrzeba. Zauwa-

żyłem, że jejmości jej szanowna córka z półtuzina wnucząt przyprowadziła. A co tego jeszcze będzie! bo kobieta młoda i piękna. Nas u ojca jest siedmioro; mówią o nim że majątny, i to pewna, że ma wioskę jedną i drugą, i że zawsze coś schowa na rok następny, ale na siódmej części tego dobrego nie ma o czem paradować. A czy to u nas szlachty rzecz nadzwyczajna mieć kilkanaścioro dzieci? Jak dorosną, czy sposób im żyć ze swojego? Żeby człowiek miał łeb Salomona, z piasku biega ukręci; to darmo, musi bogatzemu służyć, póki nie wysłuży sobie kawałka chleba do śmierci. I dobrze, bo gdzie wiele dzieci, tam wiele błogosławieństwa. To samo dowodzi, że nasza szlachta jest błogosławiona od Boga, kiedy się rozmnaża w narodzie, żyjąc z poczciwej pracy bez zbytku, ale błogo. A czy kto widział kiedy, żeby nasz szlachcic żebrał? Bóg bogaty nie opuszcza tych, co po jego drodze chodzą. U nas im więcej dzieci, tem więcej sług Bożych. I jak to mówi Ojciec Klauzewicz, przeor Dominikanów słonimskich, mąż święty i najwyższego zdania—przez ośm lat bawił w Rzymie, musi być mądry, kiedy aż Ojciec Święty mianował go Protonotaryuszem Apostolskim — otóż on powiedział, że u nas szlachcic tyle jest szczęśliwy, że nie powinien swojej swobody frymarczyć z żadnym zagranicznym narodem. I będzie się cieszył tem swoim szczęściem, póki nie zasmakuje z drzewa mądrości zagranicznej. Dopiero zakosztuje zbytku, a wkrót-

ce potem doczeka się nędzy. Tać to już teraz nie jednego spotkasz, co mówi, że u nas wszystko złe, a tylko to co cudze dobre. A czemuż cudzy nie umięją poprzestać na swoim szczęściu? Jeżeli Polak czy Litwin pokaże się za granicą, to pewnie, że nie po to, aby tamiecznych pieniędzy dostał; owszem, swoje rozsypuje, a obcych wzbogaca nie wiedząc na jakie święto. A jeżeli tak wielkie ma być szczęście w tych mądrych krajach, dlaczegoż krajowce jego u siebie nie używają? Po co do nas łązić! My ich nie szukamy; jeżeli szlachcic za granicę jedzie, to że służy u pana, który go z sobą zabiera, nie pytając czy on z tego rad. A od Niemców, Francuzów i Włochów u nas ani się opędzić. Dalej, naszym chleb odbiorą, tak wciskają się do służby panów. A to złe się zaczęło, odkąd niektórzy panowie jęli się bawić wiarą przez Niemców wymyśloną, zwyczajnie, z wielkiej rozkoszy tym panom w głowie się przewróciło, a co gorsza, do tych nowinek i sług swoich namówili. Ot wiesz waszmość; ja sobie prosta baba, a tak jestem przekonana jak o dusznem zbawieniu, że jeżeli się nie pozbędzie rzeczpospolita tych przybyszów zagranicznych, i wszystkich ich nowinek, to przyjdzie do tego, że szlachcic nie będzie się cieszył jak dziś że ma liczne potomstwo, ale będzie mu i jednego dziecka zanadto, bo i tego postanović nie potrafi. A nakoniec, krew nasza szlachecka będzie się tulać po narodach, ale nie tak gościnnych jak nasz. Francuz i Niemiec

u nas się wzbogacają, a ich potomkowie będą naszym kęsa chleba żalować.

— Tać to jejmość mówisz jak książka; z tem wszystkim to powinno zadziwiać nieco, że podczas kiedy rody szlacheckie się mnożą, tak że jak wieś obszerna, cała z jednej rodziny się składa i każdy nosi to samo nazwisko i tymże herbem się pieczętuje, domy pańskie ciągle wygasają przez małopłodność pań, i dobra jednego imienia przenoszą się w drugie imiona.

— A daj waszmość pokój. I stadła magnackie, kiedy poczciwie żyją, dochowują się liczego potomstwa. Na co daleko szukać? JW. Tyszkiewicz, chorąży Litewski, czy nie magnat całą gębą? a przecie Bóg go obdarzył pięciu synami i czterema córkami, których wychowuje w bojaźni Bożej i miłości ludzkiej.

— Takie wypadki są zbyt rzadkie między panami. Książę marszałek mój pan był jedynakiem u rodziców, a chociaż jego pożycie z dostojną jego małżonką za wzór służyć może najpobożniejszej szlache, jednak tylko jeden syn i jedyna córka po najdłuższym czasie otrzymają po nich spadek. Kniaź Dorohostajski dotąd bezdzietny, a sam nie miał rodzeństwa, z któremby się podzielił szeroką ojcowizną, jaką otrzymał po przodkach.

— Że nasz pan nie ma dzieci, jest temu przyczy-

na. Wszystkim wiadomo, że to jego małżeństwo tylko dla oka. A co się tyczy nieboszczyka pana, było kilkoro dzieci, ale to wszystko powymierało w niemowlęctwie. Dwóch tylko dorosło: pan wojewoda, co go waszmość znasz, i młodszy jego brat, książę Stefan. Ale ten, ucierpiawszy na tym świecie, przeniósł się do lepszego. Co to był za pan! Bo to rozumny, piękny, dobroczynny, a tak łagodnego przystępu, że wszyscy za nim przepadali. Nawet starszy brat go miłował, on, który Bogiem a prawdą nikogo nie miłuje, tak twarde ma serce. Nieboszczka starościna była pani sprawiedliwa, ale dumna. Zwyczajnie Niemka, z panującego rodu, bo jej rodzony stryj był książęciem Kurlandzkim, a chociaż zestarzała się na naszej ziemi, łamanym językiem po polsku mówiła. Pan starosta bał się jej jak ognia, co ona powie, to dla niego ewangelia. Otóż lubo książę Stefan nigdy się jej nie naraził, a książę Daniel często ją martwił swoją zuchwałością, a jednak więcej go lubiła niż młodszego, właśnie dla jego dumy. Bywało mawiała: „Daniel krnąbrny, uparty, gwałtowny, ale honor swojego domu utrzyma; a brat jego, dobre chłopię, ale z każdym się poufali. Jemu być szlachcicem, a nie panem; każdy go poprowadzi gdzie zechce. Chyba że się ożeni z panną wysokiego animuszu, która nim pokieruje. Cała nadzieja domu na nim, bo starszy ani mówić sobie daje o małżeństwie. Dobiorę ja młodszemu żonę; w Mitawie są dwie księżniczki,

wnuczki mojego stryja, one rosły dla niego. Jak skończy akademię w Wilnie, tam go wyprawię. Wszakże na moich synach kończy się dom Dorohostajskich.“ Owóż tedy, kiedy wyprawiała młodych kniaziów do Wilna, przydała im do dozoru bombizę, wielce jak ludzie mówili uczonego, nazywał się Heldwig. Był on Niemcem rodowitym, ale od młodości przybyły do Litwy, gdzie się był i ożenił z jakąś ubogą szlachcianką. On to swojego czasu pastorował w Kojdanowie i Telechanach, aż doczekał się porządnego kawałka chleba przy kalwińskim kirku w Kopsysiu. Już pani starościna była wdową, a że bywając w dobrach męża, w okolicach Kopysia, poznała się z tym panem Heldwigiem, sprowadziła go do Dolska, żeby z nim paniczów wyprawić do Wilna, za nagrodą tak sowitą, że nie miał powodu żałować swojego bombizostwa. Książę Daniel, jak się w domu nie chciał niczego uczyć, tak i w Wilnie zajmował się burdami, pijatyką i swojemi końmi, a nikt go nie widział na ławie. Pan Heldwig z początku usiłował go do nauki przynaglać; ale jak pomiarkował że perswazyja idzie w las, i że sprzeciwiając się tak gwałtownemu panięciu narazi zdrowie własne i tyle otrzyma tylko w zysku, zaniechał go zupełnie, a tylko młodszym się zajmował, który już w domu poduczony, chwycił, że tak powiem, wyższe nauki, tak że wkrótce mógłby i swoich nauczycieli czegoś nauczyć. Otóż pan Heldwig miał córkę Wilhelminę; ale jaką

Albo ja jej nie znalazłam! Pani starościna wysłała mojego drugiego męża do Wilna w swoim interesie. A chociaż miałam lat więcej trzydziestu, taki był zelant, że za nic w świecie w domyby mnie bez siebie nie zostawił. Zabrał mnie do Wilna i tam poznałam Wilhelminę. Powiadam waszmości, że to było takie prześliczne stworzenie, że ja, kobieta, nie mogłam się na nią napatrzeć. A do tego dobra jak anioł, a rozumna. I z pierwszego rzutu oka zaraz przekonałam się, że książ Stefan ma się do niej, a ona jest mu wzajemną; pomyślałam sobie: źle! U nas katolików lepiej, bo do paniczów sprowadzają nauczycieli księży a przy nich kobiety widzą tylko na ulicy, a choć i w komnacie, to zawsze przy świadkach; ale u panów zagranicznego wyznania chłopcy oddane pod dozór nauczycielów żonatyh; w domu żony, córki; panicze z nimi w ciągłych stosunkach. A waszmość wiesz może i z własnego doświadczenia, że wyrostka chować z dziewczyną, jest to proch trzymać przy ogniu; jak tu dopilnować, żeby się nie zapalił? Dość że książ Stefan i panna Wilhelmina z sobą się pokochali, i to jeden, to druga, zaczęli się przedemną z tem zwierzać. Ja perswaduję kniaziowi, mówię mu: „Nie rób panie krzywdy uczciwej dziewczynie, bo jak jej spokojność odbierzesz, co za zysk? a jak ją zbańbisz, sława dziewczyny o pomstę woła do Boga, na tego który ją zdeptał.“ A on się na mnie oburzył. „A co waćpani myślisz?“ — prawi — „jabym znieważył moją najdroższą

Wilhelminę? ja się z nią ożenię.“ Na te słowa aż urowie przeszły po mnie. Myślę sobie, chłopiec oszalał. Czy podobna, żeby małżeństwo między tak wielkim panem a osobą niskiej kondycyi dało się skleić? Bo chociaż ludzie mówili, że pan Heldwig był szlachcicem, ale cóż u nas warte niemieckie szlachectwo bez naszego indygienatu? Ja, choć nie byłam za granicą, a przecież wiem, że w Niemczech są książęta jak nasi magnaci, którzy nawet często z niemi się koligają; ale szlachta u tamtych jest w poddaństwie, a nie tak jak u nas. Zdobyłam się mu powiedzieć: „Ach panie, zaniechaj tego, bo ani pani starościna, ani pańska familia nie pozwolą, żebyś w ich dom przyprowadził żonę z rodu im nieopowiedniego; a jeżeli potajemnie się z nią ożenisz, i ją i siebie zgubisz. Pani starościna ma już napięte małżeństwo dla pana, a jak sobie co postanowi, nigdy od tego nie odstąpi. A gdyby broń Boże starszy brat pański czegoś się domyślił, aż strach bierze o tem pomyśleć.“ A książ staroście młodszy na to: „A co tam się waćpani roi, moja pani Korkuciowa? Wszak to i u was i u nas stoi na Piśmie, że opuścisz ojca i matkę dla żony, tak Bóg przykazał. Ja kocham Wilcię, a ona mnie. Jej nie opuszczę, bo ona mojem szczęściem. Radbym być posłusznym jejmości matce i nie narazić się mojej familii, a zwłaszcza mojemu bratu, bo młodszy starszego winien szanować jak ojca. Ale o ile to się nie zgadza z prawem Bożem. A co się matce ubrdało względem księ-

zniczki Kurlandzkiej, nic z tego nie będzie. Nie imości matce żyć z moją żoną, ale mnie, a więc jej wybór do mnie należy.“ Ja mu na to, i nie bez płaczu, bo przewidywałam jakie nieszczęścia z tego wynikną:—Ach panie, uciekaj ztąd do Dolska, póki jeszcze bieda nie dojrzała. Tać to prawda, że Bóg postanowił, żeby do małżeństwa wola była wolną, a nieprzymuszoną. I nam chudym pachółkom to pozwolono. Ale im kto wyżej stoi, tem mniej mu zostawują w tem woli. Królowie panują nad wszystkimi, a jednak gdy przychodzi pora żenić królewicza, albo go pytają, czy mu się to podoba, czy nie? Rad nierad musi wziąć tę, jaką mu naznaczą. Taż to kronika pisze, że naszego Zygmunta Augusta omal że nie przymusili odegnać od siebie nie kochankę, nie narzeczoną, ale prawdziwą żonę, tak się panowie rady oburzyli, że bez ich przywołania się ożenił. Wiele musiał wytrzymać, nim mu się udało zachować drogą małżonkę. A przecie to był król, pan wielkich trzech narodów. A cóż dopiero magnat, jakim pan jesteś? Wszak i wy naśladujecie królów, a czy to słyszana rzecz, żeby magnat bez błogosławieństwa matki i na przekór całej swojej familii się ożenił? Ja zaręczam, że pani nigdy na to się nie zgodzi, a jeżeli bez jej woli pan się ożenisz, do śmierci nie da się przeprosić; a nuż pana przeklnie, czy Bóg pobłogosławi przekłętogo od matki syna?“—Dość tego—odpowiedział—ja żadnych perswazyi nie przyjmuję. Dałem słowo

Wilci, że będę jej mężem; w tem moja cześć i poczciwość, bym go dotrzymał. Żeby nie tylko matka, ale król i sejm mieli coś przeciwko temu, nie będę im powolny, bo miłsza mi moja poczciwość szlachecka nad wszelką bezpieczeńność, a cóż dopiero zaszczyty i bogactwa. — Niechże pan przynajmniej napisze do pani — odrzekłam — prosząc ją o pozwolenie i błogosławieństwo; bo jakże nie opowiedziawszy się matce, tak ważną rzecz przedsiębrać?—A on na to:—A to jak widzę waćpani chytrujesz; jakbym do matki napisał zawczasu, toby takie ku temu stawiała przeszkody, że możebym i nie potrafił ich przełamać. Jak Wilcia zostanie moją żoną, to ją o tem zawiadomię, bo już będzie po wszystkim.—Nie było sposobu upierać się, bo choć to było panięcie anielskiego serca, ale przecie i w jego żyłach płynęła zuchwała krew Dorohostajskich. Uniesienie się pana zawsze chudemu pachółkowi straszne. A co też ja nie nagadałam i pannie Wilhelminie w tymże sposobie! Bywało biedna dziewczyna płacze, aż żal patrzeć, bo umiała poznać że mam słusność. Ale cóż! nieboga była przywiązana do kniazia Stefana; jak takiego nie kochać? A to z czem mi się oboje zwierzali, tego ani kniaź Daniel, ani pan Heldwig nie domyślali się. Brała mię pokusa oczy otworzyć ojcu, żeby temu jakoś zapobiegł, ale pomyślałam sobie: a nuż to na

jeszcze gorsze wyjdzie? Nie mogłam się odważyć; nawet przed mężem z niczem się nie wymówiłam. Sama radabym była to zapomnieć, i z niemłą radością opuściłam Wilno, ale i ze strachem popołu, żeby broń Boże nie paść w podejrzenie u pani, że o czem wiedziałam. Bo w takim razie zginęłabym z mężem i dziećmi. Ale co się potem zrobiło! Sądny dzień był w Dolsku, kiedy przyszedł list do pani od kniazia Stefana, ale już z zagranicy, w którym jej donosił że już żonaty, i że nie powróci do kraju, póki mu nie pozwoli przywieźć synową. A to tak się zrobiło: on próbował w Wilnie się ożenić, i o to udawał się do wszystkich Bombizów wileńskich. Żaden z nich nie chciał się narazić na gniew i zemstę domu Dorohostajskich, który z Radziwiłłami Birżańskimi przewodniczył wszystkim dyssydentom na Litwie. To nie tylko o ich osoby chodziło, ale o bezpieczeństwo ich wyznania, bo umieli przecie poznać, że gdyby nie opieka magnatów litewskich, a zwłaszcza Radziwiłłów i Dorohostajskich, toby prawowierni w puch rozbili wyznawców nowej wiary, bo ci względem tamtych są jak jeden do pół tysiąca. Przekonał się młody kniaz, że na próżno ich do tego skłaniać, gdyż każdy uszy sobie zatykał ze strachem, żeby tego nie słyszeć. Ale sobie umiał poradzić. Wprawdzie matka była dożywotnią panią całkowitego majątku Dorohostajskich, ale syn był właścicielem jego połowy; więc mógł zaciągać summy na ewikcyą pewną.

Chociaż kto dał, musiał być cierpliwym i nie wiele dufać w odbiorze summy w terminie oznaczonym, ale mógł się na to zdobyć, tem więcej, że jak to bywa w podobnych okolicznościach, dawał jeden, a brał podpis na dwa, a może i na trzy. Od czego żydzi i kupcy? Dość że nagromadziwszy grosiwa, uciekł ze swoją Wilcią do Prus, i z nią wziął ślub w Królewcu, gdzie się nikt nie obawiał gniewu pani starościny. Jeszcze to kniaz Daniel wtedy z własnego domysłu puścił za niemi w pogoń. Jak Jakób przed Ezawem, tak kniaz Stefan przed bratem uciekał. Tylko co nie był doścignięty, ale udało mu się schronić pod opiekę księcia Pruskiego. Było się czego nasłuchać od pani, jak odebrała list syna. Niech Bóg broní, co ona wygadywała!—Co to—mówiła—ja mam przyjąć do domu tę bakalarczankę! Już doczekałam się hańby mojej krwi!— A potem jak zaczęła przeklinać syna, aż włosy na głowie się jeżyły, słysząc podobne przeklinania. I mnie się wtedy dostało:— Jak to wacani nie było widzieć tego, co się przed jej oczyma robiło, kiedy byłaś w Wilnie?— I to było przedwstępem do najwięcej krzywdzących wyrzutów. Wszystkich przeklinała, na wszystkich się odgrażała, aż nakoniec znękana tak gwałtownem wzruszeniem, jak zaczęła mdleć, to ledwośmy ją dotarli. A na nieszczęście w kilka dni potem przybył i kniaz Daniel, właśnie jakby dla dodania siarki ogniowi, bo on jeszcze był więcej zawzięty naprzeciwko bratu,



niż ich matka. Koniec końców, pani starościna tak zaniemogła, że przez szesnaście tygodni z pościeli nie wstała. A chociaż ją lekarze nadworni odratowali, że powstała, a nawet jako tako parę lat jeszcze przeżyła, to w ciągłych lekarstwach. Przechodzi dzień, a przeleży dwa; co warte takie życie? A i takim ledwo dwa lata się cieszyła; aż nakoniec już tak zapadła, że nie było ratutnku; sama poznała, że trzeba się rozstać ze światem, a do ostatniej chwili nie dała się zmiękczyć względem kniazia Stefana. Dusza była na wylocie, a jeszcze go przeklinała. Kniaź Daniel zjechał do niej, długo z nim rozmawiała, i w przytomności nas wszystkich zaklinała, ażeby póki żyw, nigdy nie dopuszczał dzieci swojego brata ani do imienia, ani do majątków Dorohostajskich, co aż nadto trafiło do jego przekonania. Ale tak się rozgadałam, że wyszło mi z myśli, że waszmość nie wywczasowany, znużony podróżą, a ja mu nie daję wypocząć, choć już późno.

— I owszem, za krzywdę poczytywać będę, jeżeli jejmość dobrodziejka przerwiesz opowiadanie swoje w chwili najciekawszej. Jejmość się jutro wypisz do woli, a ja snu nie potrzebny. Upraszam jejmość o przedłużenie swojego dyskursu. Cóż się zrobiło po śmierci pani starościny?

— Kiedy to waszmości nie nudzi, a więc skończę. Nam sługom nie było krzywdy, bo pani o nas wszystkich pamiętała; w Dolsku, zwyczajnie jak

w domach naszych magnatów, aby kto miał szczęście zostać sługą, już nigdy nim być nie przestawał. Ja z domu pani poszłam za pierwszego męża, a za drugiego zawsze za jej pozwoleniem, i lubo żyłam na zapracowanym przez nas chlebie, a tylko kiedy niekiedy pokazywałam się pani, nie przestawałam rocznie pobierać po trzydzieści złotych, jak gdybym zostawała w ciągłej służbie. To samo i inni. Owóż pani umierając zaleciła synowi, żeby wszyscy umieszczeni na spisie sług, naznaczone im roczne zasługi do śmierci od niego pobierali, a nawet powiększone zostały dla tych, co jej usługiwali w ostatniej chorobie. I w tem żaden z nas nie doświadczył krzywdy od kniazia, terażniejszego wojewody Witebskiego. Ja synowi i córce wszystko oddałam, co było ich ojca i mojego własnego. Bo mój pierwszy mąż mnie zostawił i z dobrem gospodarstwem i z kilkoma groszami, tak że ich ojciec nie wziął mnie biedną. A jak wydałam córkę, osiadłam przy niej, a nie jestem dla niej ciężarem, bo corocznie pobieram ze skarbu Chotyńskiego pięćdziesiąt złotych. Albo nie dość dla baby? Sprawuję wnuczkom sukienki, a jeszcze z roku na rok coś się okroi.

— A cóż się stało z kniazem Stefanem?

— A cóż? Nieborak wywiózł trochę pieniędzy, jakich zapożyczył na Litwie, było z czego żyć, nie po pańsku wprawdzie, ale po szlachecku. Zwłaszcza przy tak rządnej gospodynie jak kniaziowa Wilhel-

mina, bo jużci ten tytuł jej przynależny, kiedy była żoną kniazia, od tego ją odsądzić nie można, chociaż się na to zżyma nasz wojewoda. Z początku książę Pruski, który to nieszczęśliwe stadło polubił, wspólnie z księciem Kurlandzkim, stryjem naszej pani, przez posły i listy do niej się wstawiali, żeby dała się przeprosić synowi, a synową przyjęła jak Bóg przykazał. Ale tak ją znajdowali twardą, że nareszcie tego zaniechali. Nasz pan terazniejszy tak był zawzięty na brata, że zagarnawszy jego fortunę, nie chciał nawet jego wierzycielom się uiszczyć, aż go przekonali sądownie. A książę Stefan tak się obawiał brata nie tyle dla siebie, ile dla żony i synka, którym go Bóg pobłogosławił, że po śmierci matki nie przybył do kraju upominać się o swoje, zostawując to czasowi. Nakoniec przekonawszy się, że były w Królewcu zasadzki, żeby mu wykraść synka, pomiarkował że Królewiec zanadto blisko od naszej Litwy, i przeniósł swoje mieszkanie dalej gdzieś w głąb Niemiec. Mój Boże! kochali się jak gołąbeczki, a wiem że książę Stefan nie był szczęśliwy. Bo choć wedle nas chudych pachółków, niedostatku nie doświadczał, ale obfitość szlachecka jeszcze jest niedostatkiem dla tak wielkiego pana. U nas szlachcic może być i często bywa ubogim, ale biednym nigdy. I ztąd nawet okolicznej szlachece, kiedy kto powie że biedny, zaraz się obrazi i odpowie: tylko dyabeł biedny, bo nie ma duszy. I ma wielką sru-

szność, bo kto ma co jeść i w czym chodzić, taki nie może nazywać się biednym, a właśnie ani na jednym, ani na drugim nie zbywa szlachcicowi, jeżeli ma choć cokolwiek statku. Ale pan, to co innego. Czy mało musiał uciepieć nasz pan starosta, że nie mógł żony utrzymywać na takiej nodze, jakby przysłało małżonce tak wielkiego, bo z pradziadów i naddziadów pana? Albo, że nawet świetne w naszych dziejach swoje nazwisko tać musiał, żeby jego brat o nim się nie dowiedział? Czy raz może został upokorzonym przez jakiegoś tamecznego, który że miał więcej pieniędzy od niego, tem samem miał siebie za coś wyższego? Bo w kraju fabrykantów, rzemieślników i kupców pieniądź wszystko może. Trzeba było i takiemu ustąpić z drogi, raz żeby siebie nie wydać, — powtóre, że nie było komu rozkazać, żeby rozciągnąć zuchwalca. A czy to mu było miło widzieć żonę w bławacie, on, któryby ją był rad widzieć zawsze w jedwabiu i okrytą perłami? On, który miał miliony, był bogatszym niż książęta udzielni w Niemczech panujący, a do użytku własnych dostatków nie śmiał trafić przez zbieg okoliczności! Żona była wesoła, bo wychowana w mierności; w samej rzeczy na niczem jej nie zbywało. Wszystko było dla niej dobrem, bo o lepszem nie wiedziała. Ale jej męża tak wszystko gryzło, tak mu dopiekało, a nie bez tego, żeby i przekleństwo konającej matki nie stawało często przed jego umysłem i w serce nie ubodło. Dość

że w połowicy dni swoich stanął przed Bogiem, nie spełna we dwa lata po śmierci pani, ale z pożytkiem dla duszy; bo że jego żona przez swoją matkę katoliczką była wychowana, że tylko przez wzgląd dla ojca wydawała się kalwinką, a w duchu trzymała z nami, więc jeszcze mieszkając w Królewcu wymogła na mężu, że rewokował, co jeszcze więcej przeciw niemu rozjątrzyło matkę i brata, skoro się o tem dowiedzieli, a nawet obraziło księcia Pruskiego, że nie bardzo ich zatrzymywał, kiedy zabierali się opuścić jego państwo. I tak skończył młody nasz pan Stefan, zostawując wdowę i synka czteroletniego, biednego w oczach ludzkich sierotę, a który jednak jest prawym właścicielem połowy dóbr Dorohostajskich, a spadkobiercą drugiej, bo książę Daniel mieć nie będzie potomków. Ja wiem, co naszemu panu w głowie się snuje, ale nie z tego nie będzie! Panią wojewodzinę nikt nie namówi do zbrudzenia swojej enoty; bo gdyby ona była z tego co i ją wyznania, powiedziałabym o niej że to święta pani. A Bóg nie dopuści krzywdy sieroty.

— I gdzież on się teraz znajduje?

— Tyle tylko wiem o nim, że jest w kraju. Jego matka, póki żył jej mąż, nie dbała o włości i zamki, które na niego spadły, bo miłsze jej było jego bezpieczeństwo nad wszystkie ziemskie skarby. Ale po jego zejściu zaczęła się przejmować obowiązkami matki, ażeby zabezpieczyć los swojego dziecka. Jednak

troskliwa o jego całość, nie odważała się w nasze strony zawitać, nie najwięcej ufając w pomoc przyjaciół, jakich książę zostawił na Litwie, chociaż miał ich mnóstwo, bo kto go poznał, musiał go kochać. Nawet nasz pan, lubo z sercem wcale nie mięsistem, a jednak jak przyszła do niego wieść o śmierci brata, zauważono że przez kilka dni bardzo był zasmucony, i nikomu do siebie przystępu nie dopuszczał. Ale kiedy już jej chłopczykowi skończyło się lat siedm, żadna obawa, żadne względy w Niemczech jej zatrzymać nie mogły; odważyła się stanąć na ziemi Litewskiej. Tam znalazła wierną przyjaciółkę, i jej powierzyła synka. Oprócz niej nikt nie wiedział, ani się nawet domyślił, kim był ten chłopczyk. Tyle tylko, że każdy mógł widzieć, że dziecię było przesliczne, bo żywy wizerunek ojca, i nadzwyczajnej roztropności. Tak dalece, że chociaż mu było dopiero rok ósmy, matka przed nim odkryła wszystko, co się jego tyczyło, pod warunkiem że z tem nigdy się nie wymówi, pókad mu tego nie pozwoli, i będzie czekał cierpliwie chwili, w której Opatrzność pozwoli mu przyjść do tego, co jest jego własnością. I chłopczyk w istocie z niczem się nie wymówił; a zmuszony być policzonym między sługi, jeżeli czem zdradzał wysoką krew, jaka w jego żyłach płynęła, to chyba nadzwyczajną szlachetnością w obyczajach i postępkach. A sama się udała do księcia Daniela, naszego wojewody, jako do głowy domu. Ale ten ją tak przyjął,

że nie wiem, jak nieboga nie umarła z samego strachu. Nazłorzeczył jej, niech Bóg broni w jakich wyrazach, nazwał ją nierządnicą, zabójczynią jego brata, [przebrzydłą czarownicą, którą żywcem wartoby spalić za oczarowanie Stefana. Mówił, że nigdy nie dopuści bękartowi dzielić się z nim ojcowizną, i inne podobne przysmaczki. Kniaziowa Wilhelmina zniknęła mu z oczu, ale zaraz i z Dolska, w czem pokazała się roztropną, bo w kilka godzin po tej scenie kniaz wojewoda już ją kazał szukać, niewiadomo po co, to pewna tylko, że nie na dobre dla niej, tylko że słudzy już jej znaleźć nie mogli. Ale rozgadałam się bez uwagi, i to mówię, o czem bezpieczniejby mi było milczeć. Bóg świadek, że waszmość jest pierwszy, z którym jestem tak otwartą. Tak mnie ująłeś nie wiedzieć czem, że zapomniałam wszelkiej ostrożności, bo tak wydajesz mi się szczerym, że przypuścić nie mogę, byś mógł na złe użyć mojej ufności.

— Mów jejmość — rzekł z uniesieniem pan Dawid, porwawszy ją za rękę — mów dalej, a poprzysięgam na moją poczciwość szlachecką, że niemniejszy od jejmości biorę udział do wszystkiego, co się tyczy tych dwóch istot.

— Dawne nasze stosunki nie uszły z pamięci kniaziowej. Widywałam i dotąd widuję ją w tem ustroniu, które obrała sobie za siedlisko, gdzie od lat kilkunastu ukrywa się od prześladowania zawziętego na nią szwagra. Co do jej syna, schroniła go była

wmiejsu dla wszystkich otwartem, a jednak bezpiecznem. A to widocznie z rozporządzenia Opatrzności nastąpiło. Bo kiedy wracała do ojczyzny, o niczem innem nie myśląc, tylko żeby ubezpieczyć syna od przemożnego prześladowcy, trzeba było takiego wydarzenia, że w jednej gospodzie na wielkim gościńcu spotkała się z jednym potężnym magnatem, jej nieznanym osobiście, chociaż bezwątpienia o nim słyszeć mogła. Był-li on z Korony czy z Litwy? tego nie powiem. To pewna że był panem wspaniałym. Uderzyła go piękność ubogiej kobiety, a jeszcze więcej piękność, a zwłaszcza roztropność jej chłopczyka. Zapytał ją, co ona za jedna: ona naturalnie skłamała sobie nazwisko, czego jej za grzech poczytać nie można. Tyle tylko mu wyznała, że jest szlachcianką, w stanie wdowieńskim, i że nie ma o czem wychować swojego jedynaka. Ten dobry pan, pobudzony współczuciem dla losu matki, a któremu dziecię wielce się podobało, bo go wziął na swoje kolana i ciągle go pieścił rozmawiając z matką, powiedział jej: — Powierz mi jejmość tego chłopczyka, a możesz być spokojną o jego losie. Mam synka jak i on jedynaka, którego pragnę wychować dla pożytku kraju, i pociechy mojej starości. Jest on jego rówienikiem, niech się ćwiczą razem w naukach. A za moje staranie około jejmości chłopca, sowitę otrzymam nagrodę, dając przyjaciela mojemu synowi. — Kniaziowa nisko się skłoniła. A że zamek tego pana nie

był oddalony od tej gospody, więc za nim wyruszyła i odwiozła mu swoje dziecię. Trzeba było takiego wypadku, że marszałek dworu tego pana był jej kiedyś znany, a nawet był w jakimś swojactwie z jej matką. Był to zacny i sumienny szlachcic, śmiało mu się z wszystkiego zwierzyła, prosząc go o opiekę dla syna. I w samej rzeczy nigdy nie miała powodu tego żałować, bo nie tylko że najświęciej powierzoną mu tajemnicę dochował, ale przywiązał się do chłopca jakby do własnego. A mając zwierzchność nad licznym dworem, z butnej szlachty złożonym, pilnie przestrzegał, żeby od nikogo ani poniżenia, ani przykrych swawol nie doświadczał. Sam z nim obcując, okazywał mu jakiś rodzaj uszanowania, co już całemu dworowi służyło za rękojmię, że sierota, lubo nazwiska nieznanego, musi być zacnie urodzony. Rósł chłopiec i dobrze się uczył pospołu z paniczem, i coraz na większe względy pana i pani zasługiwał. I wszyscy też u dworu go miłowali, bo jak jego ojciec, którego był najwierniejszym obrazem, tak i on miał nadzwyczajne szczęście do ludzi. Bo to rozum, dobroć; waleczność, piękność, wszystko za nim przemawiało do serca. Z początku matka kilka razy na rok go widywała, a zawsze potajemnie; nieboga przyjeżdżała do dworku umyślnie na to przeznaczonego od marszałka dworu; tam on jej przywoził syna. Napłakali się z sobą, napięścili się, matka nie mogła dość się nacieszyć jego postępani w mądrości Boskiej

i ludzkiej. A po kilkugodzinnym pobycie wracała do swojego ustronia, i mnie wszystko, jako najlepszej swojej przyjaciółce, opowiadała, by dzielić się ze mną pociechą, jakiej doświadczała ze strony syna. Ale później, kiedy już nie nadzieja pociechy, ale istotna pociecha była z niego, bo już nie dzieckiem, ale był gładkim kawalerem, omal nie każde poruszenie objawiało, że z wysokiego rodu musi pochodzić, a zwłaszcza nadzwyczajne podobieństwo do ojca. Otóż z rądy tego marszałka dworu wypadło, żeby kniaziowa zaprzestała go nawiedzać; biedna matka i na tę ofiarę się zdobyła, a ja byłam świadkiem, ile to ją kosztowało. Nakoniec nie wiem co się w zamku tego pana zrobiło: ale musiało coś zająć bardzo ważnego, kiedy młody kniaź z niego zniknął; a chociaż może i domyślałam się czegoś, pozwól waszmość, że to przy sobie zatrzymam. To tylko powiem, że go widziałam u matki po opuszczeniu zamku przez niego; ale wkrótce potem, on i matka wynieśli się gdzieś daleko, bo od lat kilku żadnych nie mam od nich wiadomości.

— Przebóg! — odrzekł z pośpiechem pan Dawid. — Jakież światło roztoczyło się przed wzrokiem moim! Wszakże nie tylko że młody kniaź mi znany, ale nawet zaszczytam się jego łaską. Bo nie śmiem nazwać przyjaźnią tych związków, które nas łączyły, kiedy się nawet nie domyślałem kim jest ten, co mi pozwalał nazywać siebie przyjacielem. Nie inaczej,

kniaź Dorohostajski jest-to ten Gaskold, który się wychowywał w zamku Birżańskim z księciem Olbrachtem, a z nami wyrosł na dworze księcia marszałka wielkiego Litewskiego, mojego pana. My się domyślali, że to musi być coś niepospolitego; raz że pan Pacyna nam często powtarzał, że ten sierota jest zanie urodzony; powtóre, że dość było nań okiem rzucić, żeby już się upewnić, że ten młodzieniec nie nasz brat. Jak mówią, pana po cholewach poznać; coś było w nim takiego, że każdy rad nierad musiał go szanować; to mało, żeśmy go szanowali, aleśmy go i miłowali dla jego nadzwyczajnej dobroci. Po tem wszystkim, co jejmość dobrodziejka opowiadać raczyłaś, wątpić nie mogę, że to o naszym Gaskoldzie była mowa. Niechże Bóg jejmości wynagrodzi, żeś mi nie upewniła że przecie żyje, bośmy go mieli za przepadłego. I nie było dworzanina w Birżach, żeby kilku lez nie uronił nad zgonem tego zacnego młodzieńca. Już i ja teraz mogę o nim powiedzieć coś takiego, o czem jejmość nie wiesz.

— Przyznam się waszmości, że lubo go oglądałam u jego szanownej matki wkrótce po jego wyjściu z Birżów, nie wiem o powodach, któremi został zagnany do opuszczenia pana, który zawsze dla niego był życzliwym.

— Pan Gaskold, bo zostawiam mu nazwisko, pod którym był nam znany, jak jejmość jest tego świadoma, ćwiczył się w naukach z młodym księciem

Olbrachtem, i obaj panięta od dzieciństwa powzięli wzajemną przyjaźń, że miłowali siebie jakby byli rodzeni bracia. A księżę pan tak dalece tem się cieszył, że niejednemu było w myśli, że Gaskold musi być owocem jakiejś jego potajemnej miłości. I jako nie uchodzi złych języków, o tem powszechnie mówić zaczęto, z tem większą krzywdą księcia, że ten pan zawsze był znany z surowości obyczajów, że nigdy czegoś podobnego sobie nie pozwalał, a jako będąc kawalerem umiał się od wszelkiego zepsucia uchronić, tak ożeniwszy się, żył i żyje ze swoją czciogodną małżonką wedle przykazań Boskich, jako przystoi naczelnikowi religijnego stronnictwa. Miarkuj jejmość, że nasz zamek, lubo w nim tyle się znajduje młodzieży obojga płci, pod tym względem jest istnym klasztorem; bo księżę pan, jakkolwiek przyrodzenia łagodnego, jest nieubłagalnym na wszelkie przestępstwa podobnego rodzaju, w czem i księżna pani zawsze mu dzielnie dopomagała. Owóż tedy te ludzkie obmowy, podżegane i wypiastowane od ludzi niechętnych księciu (bo któż na tak wysokim stopniu może pochlebiać sobie, że wszystkich ma dla siebie życzliwych?) tak dalece dopiekły obojgu księztwu, że biedny Gaskold na tem ucierpiał, gdyż zupełna zmiana zaszła w jego położeniu. On, który był u księztwa jakoby okiem w głowie, odtąd był jak my wszyscy, a nawet gorzej, bo był przyzwyczajony do czegoś lepszego. Tyle tylko, że zostawał jak my wszyscy

pod bezpośrednią zwierzchnością pana Pacyny, marszałka dworu, a ten nigdy nie zmienił względem niego dawnego postępowania, i nie przestawał mu okazywać jakiegoś uszanowania, co nas, jego kolegów zadziwiało. Aleśmy tego mu nie pozazdrościli, bo zawsze on był dla nas miłym. Mówię jejmości o rzeczach nieco dawnych. Owóż tedy, kiedy obaj kawalerowie skończyli w zamku nauki, bo jako się powiedziało, razem się uczyli, a z całego świata najbiedlejsi mistrzowie dla nich byli sprowadzani, tak że jedno skrzydło zamku Birżańskiego wyglądało jakby jaka akademja, i księżę Olbracht i Gaskold tak pięknie dali się wychować, że nie można było powiedzieć, który z nich rozumniejszy; co jeden wiedział, to wiedział i drugi, a sami mistrzowie przyznali się, że już nic takiego nie wiedzą, o czemby i tamci nie byli doskonale świadomi. To co mówię, działo się bezemnie, bo ja przez ten czas odbywałem mój zawód szkolny i akademicki w Królewcu. A dopiero wtedy ojciec, pan Ciwun Eyragolski przywiózł mię do Birżów, i za łaską księcia pana umieścił mię w jego dworze. Na nim poznałem księcia Olbrachta, i zacząłem się zaprzyjaźniać z Gaskoldem. Księstwo od niejakiemu czasu powzięli zamiar wyprawić księcia Olbrachta do najjaśniejszego wuja, kurfirsta falcgrabi R-ńskiego, i księżę dał się z tem słyszeć, że Gaskolda przeznaczy synowi na towarzysza podróży. Ale kiedy doszło do ich uszów, że świat upatruje w stosun-

kach księcia pana z Gaskoldem coś ściślejszego, niż litość sama przemożnego magnata nad szlachetnym sierotą, księżę pan postanowienie swoje odmienił, i oświadczył, że Gaskold zostanie w Birżach, i właśnie wtedy postąpił go na dworzanina; a jako nad nami wszystkimi, przelał i nad nim swoją opiekunczą władzę na pana Pacynę. Było widzieć, jaka była rozpacz młodych przyjaciół, kiedy się z sobą rozstawali. Bo to pewna, że gdyby Gaskold był rodzonym bratem księcia Olbrachta, więcej nie mógłby być od niego miłowanym. I te święte uczucia przyjaźni wzajemnej posłużyły nawet złym językom do ich nikczemnych domniemywań. — „To głos natury się odzywa“ — powtarzali, i te ludzkie gadania nie były tajne księciu panu; bo, jak jejmości wiadomo, gdyż nie od dnia wczorajszego żyjesz na tym świecie, jeżeli kto za oczy coś dobrego o kim powie, ten się o tem albo dowie albo nie dowie, a jeżeli coś złego, to z chyżością strzały trafi do jego uszów. Dość, że księżę Olbracht ze łzami padał do nóg ojca, błagając go, żeby ich nie rozłączał; ten nie dał się zmiękczyć, i swego ostatecznego wyroku nie cofnął. Szło Gaskoldowi siako tako w Birżach, póki kniaź Daniel wojewoda nie zaczął tam uczęszczać; a nawet jego rozstanie z przyjacielem od dzieciństwa było mu znowniejsze, niżeli tamtemu. Jejmość tak mnie zobowią-

załaś swoją otwartością, że i ja, lubośmy się dopiero poznali, tyle jej ufam, że to jej wypowiem, o czem nieraz strach bierze i pomyśleć...

Tu pan Dawid przysunął zydelek, na którym siedział, do krzesła staruszki, i jakkolwiek tylko półgłosem dotąd rozmawiali, jeszcze ciszej się odzywał, w czem do zbytku pokazał się ostrożnym, bo w alkie-rzu gospodarz z dziatwą spali jak zabici, a w boków-ce przeraźliwe chrapanie pana Dominika Haraburdy jeszcze mniej wątpić pozwalało, że śpi snem sprawiedliwych.

— Owóż tedy moja jejmość znasz panią wojewodzinę; nie mam więc potrzeby jej powiedzieć, co już sama dobrze wiesz: że to jest dobroć nad wszystkie dobroci, rozum nad wszystkie rozумы, a piękność nad wszystkie piękności. Bywało i uczy się i bawi z bratem i Gaskoldem: jeszcze to byli dziećmi, a już miłość wypuszczała kiełki w ich sercu. Już wtedy dworscy coś zauważyli, i między sobą zaczęli nawzajem swoje spostrzeżenia powierzać, ale kiedy bywali we dwóch: bo jak trzeci się przybliży, zaraz urywali tak niebezpieczną rozmowę. A kiedy wyrosli, jeszcze więcej o ich skłonności się przekonywali, lubo jeszcze ostrożniej o tem mówili. Kiedy przybyłem do dworu, to wszystko było dość widoczne—księztwo tylko niczego się nie domyślało; a najmniejsza o tem wieść nie mogła dojść do ich uszów, bo domownicy, którzy coś wiedzieli

z domystu, będąc przywiązani i do księztwa i do księżniczki Eleonory, a życzliwi Gaskoldowi, nicby takiego nie roznieśli, coby komu z nich szkodę i zgryzotę przynieść miało. Każdy pomyślał sobie;—a co mnie palce kłaść w szpary? niech się tego państwo sami domyślają! a mnie na co się przydało być sprawcą czyjego nieszczęścia?—A ludzie nieżyczliwi i złośliwi, jakich między domownikami nie było, a tylko między cudzemi, tego zauważyć nie mogli, ani też na to domysłem trafić, bo już ich potwarze na innej były drodze. Wymyślili, że Gaskold był bratem księżniczki, że ta przyjaźń książęcych dzieci dla niego ztąd się zawiązała, że jedna krew w ich żyłach płynęła. Jakże tu można było powiedzieć, że pomimo tych związków natury innego rodzaju miłość pobudziła się między bratem a siostrą. I potwarz ma swoje granice. Tymczasem wątpliwości nie ulega, że siarka przy ogniu się zapaliła, i że młodzi pokochali się, nie rozumiejąc nawet co to jest miłość, i właśnie dlatego że nie rozumieli, to jej nie zapobiegli. Księżniczka po odejściu brata, z którym od niemowlęctwa się nie rozstawała, rada była o nim rozmawiać z jego przyjacielem; i ta rzecz w ten sposób wystawiała się przed rodzicami, cieszącami się owszem z wzajemnego przywiązania ich dzieci. Książę Radziwiłł wtenczas, jak się zdawało, szczerze pomyślał o swojej blizkiej; ale pomiarkowawszy, że księztwo nie życzyło sobie mieć go za zięcia, a z drugiej strony, że oprócz przy-



jażni niczego nie mógł pozyskać u księżniczki, tego zaniechał. A wtem kniaź Daniel zaczął się jej zalecać. Kniaź mógłby być jej ojcem, a jak jejmości wiadomo, nie nie było w nim takiego, coby ulagodzić mogło wstręt przyrodzony młodej dziewicy od podżyłego kawalera. On sam ani chciał, ani umiał zastąpić przymiotami serca i rozumu tych powabów powierzchniowych, jakich natura nawet jego młodości odmówiła, a cóż dopiero w przejrzałym wieku. To też rzeczywiście nie on starał się o księżniczkę rękę, ale można powiedzieć, że połowa Litwy usiłowała skłonić drugą połowę do zjednoczenia się z sobą. Książę pan, jako wódz stronnictwa, sprzyjał zabiegom przyjaciół kniazia, ale jako ojciec nigdyby przemocnie nie rozrządzał wolą swojej jedynaczki; a ta nie tała wstrętu, jaki miała do tego nowego konkurenta, i owszem usiłowała wszystkich i jego samego o nim przekonać. Książę to wszystko czasowi zostawił, daleki od odebrania wszelkich nadziei kniaziewi, którego wcale nie życzył odstęczać od siebie. W samej rzeczy, odkąd kniaź został tak dobrze jak domownikiem zamku Birżańskiego, partya nazwana Dyssydencką, a obejmująca omal nie całkowitą Litwę, która dotąd była rozdwojoną między księciem Bogusławem Radziwiłłem, a kniazem Danielem Dorohostajskim, zjednoczona stosunkami tych dwóch wodzów, jakby w jednym działała kierunku, gdyż kniaź wszystkim swoim oświadczył, żeby za jego

przykładem odtąd byli posłuszni rozkazom księcia. Właśnie wtenczas Szwedzi naszli Rzeczpospolitą. Książę i kniaź, jakkolwiek nieżyczliwi swojemu królowi, próbowali im stawić czoło. Własnymi milicyami i dworami złączyli się z hetmanem Gąsiewskim i wspólnie działali przeciwko Szwedom; pokilkakrotnie próbowali z nimi szczęścia i sprawiedliwość winna być im oddana, że obaj niepospolite dawali dowody odwagi żołnierza, i roztropności wodza. My na to patrzyli, bo znajduwaliśmy się w tych wszystkich potyczkach; a nawet Gaskold przez nadzwyczajną dzielność ściągnął ku sobie uwagę wszystkich trzech wodzów. Ale wszędzie po mężnym oporze zostaliśmy pobici. Nigdzie nam szczęście nie sprzyjało, a że wytrwanie nie jest przymiotem naszego narodu, więc pan hetman Gąsiewski pierwszy wszedł w umowę z królem Szwedzkim, a wkrótce potem i książę i kniaź za jego przykładem odstąpili swojego króla, z wielkim naszym żalem, bo chociaż nam źle szło ze Szwedami, jednak nie było czego rozpaczać. Bardzo nam niemiło było przejść na stronę tych, co pierwsi zaczęli naszego króla. Ale cóż było robić? Pan każe a sługa musi.

Powróciliśmy do Birzów. Książę pan pod powagą króla Szwedzkiego zarządzał całą Litwą; siedział więc w swoim zamku, gdzie coraz częściej bywał, a coraz dłużej przesiadywał kniaź Daniel, jakoby dla wspólnej narady. W Litwie wszystko się

uspokoiło, a i w Koronie omal że nie to samo, kiedy pan Stefan Czarniecki nie zdołał obronić Krakowa, a Warszawa wrota swoje otworzyła Szwedowi. Tyle tylko, że Częstochowa się jeszcze trzymała, i że gdzieś niedziedzie w Małej-Polsce pokazywały się niewielkie oddziały uzbrojonych stronników króla Jana Kazimierza. Otóż—ale tu mówię to, co mi koledzy powiedzieli, bo książe pan był mnie wtedy zabrał z sobą do Wilna—jakaś okropna scena zaszła w naszej niebytności między kniazem Danielem a naszą księżniczką, po której nasz Gaskold zniknął; a wkrótce po powrocie księcia pana, księżniczka zezwoliła na swoje zamęczenie z kniazem. Co się między nimi stało, nikt o tem dokładnie nie wiedział; ale po cichu jeden przed drugim mówił o swoich domysłach, tak, że i o moje uszy to się obilo. Już to i my wszyscy zauważyli, że od pierwszej chwili kniaz krzywo patrzył na Gaskolda, i ten nawzajem zawsze się marszczył, kiedy się z nim znajdował. Owóż tedy wszyscy dworzanie na to się godzili, że jakoby kniaz podszedł Gaskolda u nóg księżniczki, która mu dawała dowody współczucia; że kniaz rozgniewany do najwyższego stopnia, rzucił się na nieszczęśliwego współzawodnika, a jejmości wiadoma jego olbrzymia siła, i miał go swojemi własnymi rękami udusić, a trupa pod swoją delią wynieść i rzucić w rzekę po pod zamkiem płynącą; poczem miał zagrozić księżniczce, że wszystko co widział odkryje przed księstwem, jeżeli mu nie da sło-

wa, że pójdzie za niego, i to w przytomności księstwa obojga. A jejmość wyobrazić sobie nie możesz, do jakiego stopnia księżniczka bała się swoich rodziców, i wiedziała, jakiby były następstwa, gdyby się oni dowiedzieli o szwanku, który zadała swojej sławie. To pewna, że księżniczka pomimo wstrętu, jaki zawsze okazywała kniazowi, w przytomności nas wszystkich oddała mu swoją rękę.

Wszyscy się na jedno godzili w opowiadaniu tego, co się wydarzyło w zamku podczas niebytności księcia. Wszakże jedna z pokojówek więcej zbliżonych do księżniczki, powierzyła swojemu narzeczonemu, który będąc obowiązany moim przyjacielem, nie miał tajnego dla mnie, że to co ludzie mówią, co do pierwszej części jest prawdą, ale że kniaz nie zamordował Gaskolda, gdyż księżniczka, przyrzekając mu swoją rękę, położyła niektóre warunki, na które kniaz zezwolił i stwierdził słowem honoru, że ich dotrzyma. A te były, że praw swoich małżeńskich względem niej dopominać się nie będzie, że pozwoli Gaskoldowi się oddalić, i że nigdy na jego życie czyhać nie będzie, i że to co mógł widzieć, do śmierci przed nikim nie objawi. Żal nam było naszej księżniczki, a jeszcze więcej naszego kolegi; bo wielka pani jakoś sobie poradzić może; ale w co się obróci nasz brat, kiedy narazi się jednemu, a cóż dopiero dwom możnowładcom? Bo chociaż wszyscy mówili o śmierci Gaskolda, jakoś nie mogli się przyzw-

czaić do myśli, że już nie żyje. A ja mniej od innych, mając, jako się już powiedziało, jakieś powody przekonywające, że jeszcze gości na tym świecie; ale gdzie? tego odkryć nie mogłem, i w tym względzie mojej troskliwej przyjaźni dla niego, to co mi jejmość raczyła powiedzieć o nim, bynajmniej nie zaspokoilo. Racz że mnie jejmość uszczęśliwić jakakolwiek wiadomością o okolicy, w jakiej teraz się kryje.

— Jeżeli mam prawdę waszmości powiedzieć, wyznam, że nie pewnego nie wiem o miejscu, w którym jego matka się znajduje; a co do niego samego, przekonana jestem, że musi być gdzieś między stronnikami Jana Kazimierza, naszego prawego monarchy, a którego interesu, jak ludzie mówią, zaczynają przybierać postać pomyślniejszą; bo jakkolwiek krótko z nim obcowałam, jednak poznałam, że Szwedów nienawidzi, a wszelkie jego życzenia są dla prawego króla. Aleśmy zanadto z sobą rozmawiali; już brzasku początki objają się o szyby od okien, a świece się dopalają. Za dobrą godzinę mój zięć opuści małżeńskie łóżko, żeby się wziąć do pracy, a i kolega waszmości stanie na nogach. Coby też pomyśleli, gdyby nas zastali w bezsenności zadowolnionych z siebie, jakby jaką parę romansową? A żart na stronę, przyznam się waszmości, że mnie starej już powieki się kleją.

Pan Dawid nisko się skłonił poważnej matro-

nie, która zniknęła w alkierzu. A sam, zgasiwszy dopalającą się już świecę, na palcach poszedł do bokówki, żeby nie obudzić czujnego towarzysza. I nie rozebrawszy się, ale tak jak był, w swoim podróżnym ubiorze, położył się na łóżku dla siebie przygotowanym, żeby choć cokolwiek wypocząć. I za ledwo głowę na poduszce złożył, zasnął snem młodości.

— Aj panie Dominiku, zmiłuj się, choć półgodzinki pozwól się przespać.

— Co! waszmość drwisz ze mnie? na co te żarty? Nie było rozgadywać się w nocy z babunią, a użyć wezasa za moim przykładem. Nic z tego nie będzie, a jeżeli nie staniesz mi zaraz na nogach, oto jest konew wody, która prędko rozbudzi.

Ten ostatni argument tak był przekonywający, że mu się pan Dawid nie oparł. Równemi nogami zerwał się z pościeli, wyciągnął ramiona, ziewnął po raz ostatni, umoczył ręcznik w wodzie, obtarł sobie wilgotnem płótnem oczy, i rzekł już zupełnie orzeźwiony: „Gotów jestem“. Pachołki upakowali tłómoki podróżnych, wynieśli je na wózki już zaprzężone, umocnili siedzenie dla panów, którzy już się zabierali siadać, kiedy podstarości im zastąpił drogę z ogromną misą piwa grzanego. Pan Dominik z początku wymawiał się od śniadania, ale jak ich zaczął gospodarz prosić, żeby mu tej krzywdy nie robili naczczo wyjechać z domu, zmiękczył się nakoniec, wypróżnił misę z kolegą, poczem czule pożegnawszy podstarościę, i podziękowawszy mu za łaskawą gościnność, jakiej doświadczyli w jego domu, a nie zapomniawszy polecić mu, żeby ich ukłony złożył żonie i matce, przecie puścili się w podróż.

Przez czas jakiś do siebie nie mówili. Pan Dominik w milczeniu ruminował, jakby najakura-

## ROZDZIAŁ VI.

Pan Dawid spał jak zabity, wynagradzając sobie bezsenność nocy, a już pan Dominik i skończył swoje poranne modlitwy, i opatrzył w stajence folwarcznej konie, i już się krzątał po izbie z pachołkami około pakunku. Nakoniec porwał za rękę towarzysza podróży, potrząsnął ją silnie, mówiąc:

— Wstawaj waszeć!

Pan Dawid otworzył wielkie oczy, ale leżał nieruchomy.

— A jaki leniuch! Nawet się nie rozbierał! No! wstawaj waszeć, a oczów nie wytrzeszczaj! Już słońce się podnosi.

tniej dopełnić zlecenie dane mu od księcia, a pan Dawid nucił nową piosnkę, dopóki wsi nie zostawili za sobą. Gdy ujechali stają otwartym polem, pan Dawid odezwał się do starszego towarzysza podróży:

— A co, panie Dominiku, z sobą zrobimy? Wszak to jesteśmy tylko o trzy mile od Słonimia.

— Zabawne pytanie! Złożymy w Słonimiu nasze uszanowanie JW. wojewodzie Witebskiemu; opowiemy mu się, w jakim celu jedziemy do Dolska, i zapytamy go, czy nie ma nam do dania jakich rozkazów dla sług swoich, lub poleceń do JW. wojewodziny.

— A ja coś innego bym poradził.

— Cóż takiego?

— Ruszaj waszmość do Dolska prosto, nie zaczepiając kołem o Słonim, a ja w Słonimie zatrzymam się, będę służył panu wojewodzie, i nie mu takiego nie powiem, z czego by nam jakaś szkoda przybyć miała.

— A to znowu co? A cóżby powiedział na to wojewoda, gdybym przez Słonim jadąc do jego żony, i to z ojcowskim poleceniem, by ją wywieźć do Warszawy, zapomniał, że przecie on jest jej mężem. Z bratem szlachcicem nie dopuściłbym się podobnej niegrzeczności, a cóż dopiero z zięciem te-

go, czyj chleb obaj jemy. Czy waszeć oszalał z taką radą?

— Oj nie, panie Dominiku, ja daję radę dobrą. Nigdy nie trzeba oddawać pewne za niepewne.

— Co przez to chcesz powiedzieć?

— Oto, że jedziesz po wojewodzinę; a że nie zastaniesz jej męża w Dolsku, bez najmniejszej trudności spełnisz rozkaz księcia pana. Dziś jesteś w Dolsku, a jutro z wojewodziną będziesz na wielkim gościńcu. Nie nakwasi ona czasu wybieraniem się, bo jak o tem wszystkim nam wiadomo, jej aby z domu. A nuż kniaź, jak mu powiesz, że jedziesz po jego żonę, znajdzie coś przeciwko temu? Żebyś czasem waszmość nie osiadł na lodzie! A czy można się księciu panu pokazać bez jego córki?

— To niepodobna, żeby kniaź opierał się woli teścia.

— Niepodobna? jednak być może. Na co się narażać na niebezpieczeństwo bez najmniejszej potrzeby? Kto przewidzi, co wielkim panom przyjsć może do głowy?

— Już to jest coś w tem, co waszmość mówił. Ale z drugiej strony, jakże narazić się kniaziowi? Bo, jak się dowie, że przejeżdżałem przez Słonim, by się udać do Dolska, a nie jawiłem się jemu po jego rozkazy, on mi tego nie odpuści, i oskarży mię przed księciem panem.

— Wielkie święto! Waszmości obowiązkiem

ślepo się trzymać instrukcyi, jaką masz na piśmie a w niej nie ma wzmianki, żebyś się udawał po rozkazy do kniazia wojewody, dlatego, że po drodze przejeżdżałeś przez miejsce, w którym się przypadkiem znajdował. Waszmości obowiązkiem przywieźć wojewodzinę do Warszawy, niczego innego nie masz potrzeby się domyślać. Jak ją odwieziesz, dajmy na to, że kniaz wymówi księciu, że jego dworzanin przed nim się nie jawił, a tem ominął się z grzecznością należną wielkiemu panu, tem więcej, że jest jego zięciem. Zawsze mieć będziesz waszmość na to gotowe tłumaczenie, że tak śpieszyłeś, by dopełnić jak najrychlej rozkazów pańskich, że nigdzie ani chwili zatrzymać się nie chciałeś. Co najwięcej ksiązę waszmości da burę, przez politykę względem zięcia, a w duciu pomyśli:—Mój Haraburda dobrze się spisał, że mu w głowie nic innego nie było, kromie przywieźć mi córkę; bo to jest grunt sprawy, a reszta zwyczajnie akcesorya. — Ale jeżeliby ze strony kniazia była jaka przeszkoda, że broń Boże pokazałbyś się przed księciem bez pani wojewodziny, dopiero byłaby burza! I ksiązę i sama księżna na waszmość by napaśli, bo tym panom, jak się nie uda to co ukartowali, zaraz winę na sługi składają; miałbyś się częgo nasłuchać. To ksiązę, to księżna z kolei do waszmości: — A po co waść pokazał się kniazowi? kto waści to polecił? na co tu waścinego rozumu? wszystko było przewidziane w instrukcyi; a to kara Pana Bo-

ga, że śludzy chcą mieć więcej rozumu, niż ich panowie! — Ot panie Dominiku, chociażęś wiekiem i zdaniem starszy odemnie, pozwól, że czasem i młodemu uda się to spostrzedz, co starszy przeslepił. Wszak i ślepa kura trafi niekiedy na ziarno. Posłuchaj mojej rady: przed Słonimem ja się przesiądę na mój wózek, a waszmość na swoim omiń miasto, i o milę dalej popasaj w pierwszej gospodzie na gościńcu, a ja zostanę w Słonimie i złożę moje uszanowanie kniazowi.

— I cóż mu waść powiesz?

— Wyrozumiem go. Niewielka dla mnie sztuka tego jałopa w pole wyprowadzić. Jak zobaczę, że on nie jest od tego, żeby żona wyjechała do Warszawy, to mu powiem, że waszmość sam śpiesząc do wojewodziny, stosownie do instrukcyi danej mu od księcia marszałka, mnie wysłałeś do kniazia z jego pokornym ukłonem, oraz żeby go zapytać, czy nie ma do dania jemu jakich rozkazów, a ja z niemi po pod Dolskiem dopędzę tego, który mię posłał; a jeżeli pomiarkuję, że kniaz nierad żonę wypuścić z Dolska, to nie mówiąc, jeszcze prędzej wysunę się ze starościńskiego zamku i waszmości dogonię. A jak się od kogoś innego dowie, że pojechaliśmy po jego żonę, niech sobie gońców posyła do niej, kiedy już będziemy za przewozem.

— Minister z ciebie, panie Dawidzie! Tak mówisz ad rem, że gdybym był uparty jak kozioł, mu-

siałbym dać się przekonać. Mówisz jak z książki; wszystko przewilujesz! Wszelką pychę zrzuciwszy z siebie, wyznam, że bez ciebie możebym podrwił głowę: dobrze mieć swoje zdanie, ale dobrze też i zasięgnąć rady, bo cztery oczy lepiej widzą niż dwa. Stańto więc na tem, że musimy się z sobą rozstać. Jak Słonim ujrzymy jakby na dłoni, ja przez manowce ominę go na moim wózku, a waszmość sobie zatrzymaj się w Słonimie. Obaczysz kniazia, a co więcej hetmana wielkiego Litewskiego. Tylko żebyś się nie upoił widokiem tylu mężów z rycerskiego, a nawet z senatorskiego stanu aż do zapomnienia swoich obowiązków. Młody jesteś, panie Dawidzie, a choć miewasz rozsądek nad lata, młody zawsze młodym. Nie daj się zabałamucić. Zabawa zabawą, a służba służbą. — Waszmość wiesz, że czasu nie lubię marnować. Obowiązek na mnie włożony tak mi cięży, że mam rad z niego jak najprędzej się wywiązać. Jak stanę w Dolsku, a wojewodzinie wręczę listy od jej rodziców, pokoju jej nie dam, a zmuszę żeby nazajutrz siadła do pojazdu. Kto ma tyle sług ile ona, niewiele potrzebuje czasu do wybrania się, a jak wyruszym, a waszeci nie będzie, Bóg wie gdzie się zjedziemy. Może nawet do siebie już nie trafimy, bo, jak ludzie mówią, wojna do Litwy się przybliżyła, a w kłamstwie każdym jest odrobina prawdy. Szukajże potem jeden drugiego, kiedy aż przyjdzie przedzierać się przez wojska!

— O to bądź spokojny, panie Dominiku; ani senatorowie, ani hetmani nie nowalią dla mnie, żebym się miał na nich zagawronić. Napatrzyłem się na to w Birzach, że aż kością w gardle stawało ciągle na nogach im asystować. Zabawię ile tego będzie potrzeba, a potem tak się wysunę, że kiedy mnie szukać będą po mieście, już ja na dyszlu dążyć będę z ciekawymi wiadomościami do waszmości.

— Pamiętajże waszec o tem, że doby nie przepędzę w Dolsku. A jak się zemną rozminiesz, to może chyba na Józefatowej Dolinie się znajdziemy.

Resztę podróży, jaką z sobą razem jeszcze odbywali, pan Dominik siedział zamyślony. Będąc nadzwyczaj oględnym, jakkolwiek dał się przekonać przez kolegę, że mu nie trzeba pokazywać się w Słonimie, obawa narażenia się panu wojewodzie nie przestawała wpływać na jego humor. Przestał rozmawiać z panem Dawidem, a tylko przemyślał, jakiegoby użyć obrotu do wytlómaczenia się przed wojewodą, na wypadek jeżeliby kiedy wymówił mu to uchybienie; a pan Dawid, uradowany, że mu się udaje wywinąć gładko od towarzystwa, które mu ciążyło, nie żeby nie miał czuć szacunku i przyjaźni dla starszego wiekiem kolegi, ale, że mu było w głowie spełnienie posłannictwa księcia, a przytem przyłączenie się do konfederatów, i odnowienie trybu życia więcej zgodnego z jego przyrodzeniem, jeszcze rubaszniej niż kiedykolwiek śpiewał dumy ruskie.

I podczas kiedy jeden śpiewał, a drugi w milczeniu ruminował, wieże starościńskiego zamku i klasztorów Słonimskich nagle przed ich oczami zaczęły się rysować nad widokresem.

Pan Haraburda kazał woźnicy zatrzymać konie.

— Panie Dawidzie—rzekł do towarzysza—stosownie do naszego układu tu nam rozdzielić się wypada. Oto w prawo pokazuje się drożyna; jej się chwycę, a waszmość prosto ruszaj do Słonimia, starajże się przez dzień dzisiejszy uporać się z temi magnatami, a jutro, kiedy oni jeszcze spoczywać będą, niechaj wózek waszmości już się toczy po trakcie Dolskim, a na końcu języka przywieź mi wszystko co zachwycisz w Słonimie.

Pan Dawid wyskoczył z wózka, na którym gościł, uściskał się serdecznie z panem Dominikiem, a kiedy ten ostatni wyruszył, siadł na swój własny, obok lutni, wiernej swojej towarzyszki.

Że dziejopisarz w opowiadaniu nie powinien ukrywać żadnej prawdy tyczącej się jego bohaterów, wyznaję, że po oddaleniu się pana Haraburdy, pan Dawid wahał się czas jakiś, nim się puścił do Słonimia. Brała go chętka imać się traktu Brzesko-Litewskiego, żeby jak najrychlej dostać się do Małej-Polski, która, wedle rozpowszechnionego odgłosu, już była zajęta siłą zbrojną konfederatów. Ale z drugiej strony wiedział, że w Słonimiu mają się zebrać wodzowie partyi Szwedzkiej na Litwie. Chciał i ich

wyrozumieć, jeżeli mu się uda, żeby w potrzebie do swojego poselstwa dołączyć ważne wiadomości. Mając się i nie bez słuszności za sprężynę polityczną, nie chciał zaniedbać nic takiego, co by mu w tym zawodzie posłużyć mogło. Nakoniec, jako młodego człowieka bodła go ciekawość, co też się ukartuje z tego zjazdu. Bo co się tyczy Dolska, jakkolwiek rad był popatrzeć na wojewodzinę, której wdzięki niepospolite wrażenie zawsze na nim sprawiały, tu sprawiedliwość winna być oddana, że ani w myśli mu nie powstało tam obracać swoje kroki. Puścił się więc do Słonimia, i wkrótce stanął na jego rynku. Mógłby jako dworzanin księcia marszałka prosto zajechać do starościńskiego zamku, gdzieby wszelką wygodę darmo dostał. Ale tyle był ostrożny, że nie chciał jarzma na siebie nakładać. W zamku o każdym jego kroku wiedziano, byłby w zupełnej zależności od widzimisię wojewody, a gdyby mu się ubrdało nie puszczać go od siebie, musiałby wszystkie swoje zamiary, a nawet polecenia pańskie schować i na pomyślniejszą chwilę odłożyć. Szukał więc złoju dla koni i kąta dla siebie po domostwach żydowskich. Słonim tak był napełniony gośćmi, że gdyby nie wrodzona Litwinów gościnność, nigdyby tego nie znalazł. Na jego szczęście jakiś szlachcic z możniejszych, widząc go zakłopotanego, a nie mogącego dać sobie rady, ofiarował mu podzielić się z nim izdebką, co naturalnie przyjął pan Dawid z wdzię-



cznością. Roztasował się wtedy w izbie, a konie umieścił przy żłobie obok koni swojego łaskawcy. Dowiedział się od niego, że od dwóch dni książę wojewoda stanął w zamku z licznym swoim dworem, że już tam przygotowane mieszkanie dla hetmana, który co godzina jest oczekiwany. Przy tem poznaniu opowiedzieli sobie nawzajem swoje nazwiska, nie bez wielu ceremonialnych ukłonów. Dowiedział się pan Dawid, że jego dobrodziej nazywa się Butrymowicz, że jest osiadłym szlachcicem powiatu Pińskiego, i że zjechał do Słonimia na wezwanie księcia wojewody, żeby brać udział w naradach szlachty. Pierwszy raz się widzieli, ale zaledwo kilka minut upłynęło, już tak rozmawiali poufale, jak gdyby byli z sobą bezkłę soli zjedli. Tak dalece, że pan Dawid ośmielił się go zapytać:

— A co też tam u panów słychać *ex publicis*?

— Nie najlepiej dla waszmości; bo jakeś mnie oświecił, że jesteś dworzanimem księcia marszałka Litewskiego, musisz tem samem dobrze życzyć Szwedom.

— W czem nie zdaje mi się, byś waszmość różnił się odemnie, będąc przyjacielem księcia wojewody.

— A nie inaczej, nie inaczej, tyle tylko, że Bóg wie, czy nasza życzliwość im wiele pomoże? Bo tu krążą wieści wcale dla nich niepomyślne, a nie muszą

one być zupełnie płonne, kiedy nas, szlachtę, wezwano na zjazd.

— Jakież przecie?

— Albo waszmości uszów jeszcze nie doszły? Tylko prawda, że jedziesz ze Żmudzi, gdzie wiadomości z Korony nie prędko dochodzą, bo nie jedno i nie dwa województwa przedzielają was od Małej-Polski. Otóż ludzie mówią, a co więcej żydzi, którzy o wszystkim najpierwej się dowiedzą, że cała Mało-Polska na nowo posłuszna Janowi Kazimierzowi; że po domach obywatelskich tylko białogłowy i dzieci zastać, bo każdy szlachcic, który na nogach utrzymać się może, bez oparcia się na kij, teraz na koniu dokazuje. A z nieprzyjaciołmi rzeczypospolitej tak idzie, jak na mszy łacińskiej: na każde *Domine vobiscum*, gotowe *et cum spiritu tuo*. Pan Jerzy Lubomirski dusi Rakoczanów, pan Rewera Potocki gniecie Jurka Chmielnickiego, a pan Stefan Czarniecki tak dopieka Sudermanowi, że wedle żydowskich relacji, w całej Mało-Polsce Szweda na lekarstwo nie dostać. Tylko niepotrzebnie rozwodzę się nad szczegółami, które nie mogą być od waszmości przyjemnie słuchane, bo, jako mię o tem raczyłeś oświecić, należysz do dworu pana, który jest głową partii Szwedzkiej w naszej rzeczypospolitej, będąc ściśle związany z najjaśniejszym królem Gustawem i węzłem osobistej przyjaźni i jednością wiary.

— Wszak i waszmość do tej partyi należysz.

— A tak, tak, i tego się nie zaprę, chociażby w przytomności króla Jana Kazimierza. A czy waszmość myślisz, że nie dałem dowodów mojej żyźliwości dla króla Szwedkiego? Kosztuje już ona mnie do dwunastu tysięcy w zbożu, płótnie i skórach, a nawet i w gotowym groszu. Ale tego nie żałuję, bo wiem że całość i szczęście rzeczypospolitej na królu Szwedzkim polega (te ostatnie słowa wyrzekł z podniesionym głosem).

— O tem nie wątpię, a jednak, lubo należę do tejże partyi, jakiej waszmość jesteś gorliwym stronnikiem, powiem mu z tą otwartością, jaka być powinna w stosunkach szlachcica ze szlacheicem, że byłajmniej nie doświadczam przykrego wrażenia, słuchając tego co wychodzi z szanownych jego ust o popisywaniu się naszych przeciwko Szwedom i ich sprzymierzeńcom, bo koszula bliższa ciała, niż suknia.

— Mów waszmość ciszej, bo w Słonimiu już nie Litwa ale Szwecya. Wszakże tu pan wojewoda Wittebski rozkazuje; a komuż tajno, a dopiero waszmości, należącemu do dworu jego jaśnie oświeconego teścia, że dla niego cudzy swoim, a swój cudzym? Broń Chryste Jezu odezwać się przed nim z czem podobnem. Niech to będzie między nami, a to wściekły zwierż! Gdzie tylko jego władza się rozciąga, a doniosą mu, że jaki szlacheic wymówił się z przychyl-

nością chociażby najmniejszą dla tamtego, niedługo nieborak czeka póki mu sadłem skóry nie zaleją. Nie tylko Słonim, nad którym jest starostą, ale wszystkie inne starościąnskie zamki na całym Polesiu pod siebie zagarnął. A w nich ile to jęczy szlachty w łańcuchach, i z taczkami uwija się po wałach, za to że do nich coś upatrzył! Jemu wszystko wolno; żaden król nie odważyłby się czegoś podobnego dopuszczać względem nas.

— A przecie wy wszyscy jesteście jemu posłuszni.

— Robimy ofiarę z siebie dla dobra ojczyzny; przynajmniej wszyscy to powtarzają. A co do mnie, żeby się okazać dla waszmości równie szczerym, jak się nim okazujesz przedemną, to ośmielę się powiedzieć, pomimo mojego przywiązania dla króla jegomości Szwedkiego, że to niemiło, kiedy się swoich przyjaciół mowy nie rozumie. A czyż to się nie mówi z własnego doświadczenia? Miałem oddział Szwedów w moim mająteczku; nad kilka dni nie gościli, a tak się sprawili, że jak wyszli, prędzejbyś się wé wsi spotkał z Feniksem, niż z kurą lub prosięciem. Rotmistrz, który miał nad tym oddziałem dowództwo, zdawał się być dobrym człowiekiem, a jednak do niego po sprawiedliwość na próżno było chodzić. Bo kiedy bywało czego odemnie żąda, to przez piąte i dziesiąte za pomocą migów jakoś wypowie swoją

chęć, a kiedy ja do niego przychodzę ze skargą, choć się i namęczę, żeby się wytłómaczyć, nigdy nie zrozumie czego chcę. Zwyczajnie czasy niespokojne, gospodarza w domu nie ma, a więc pierwszy lepszy gospodaruje, i jak powie: daj! nie pyta, czy masz? Minęły dla nas te czasy, co to szlachcie w swojej wiosce żył jak w raju, że mu było ciężko z niej się na dobę oddalić; teraz aby z domu, bo w domu zgryzota całym przybytkiem. A co nam szlachcie się skarży? Albo i pany teraz nie mają swoich zgryzot?

— A cóż stać się może złego na Litwie tym pansom, co trzymają ze Szwedem jak waszmość? W ich dobrach własne milicje stoją, a tylko szlacheckie żywią Szwedów.

— Masz waszmość słuszność, panu bieda nigdy nie dopiecze, a wszystko u nas się skrupi, i zmiele na szlachciu. Wszakże i pany mają swoje zgryzoty, tem dotkliwsze że nie są do nich wzwyczajeni jak my. Wczoraj miałem zaszczyt siedzieć za stołem J.W. wojewody Witebskiego, i zauważyłem, że chociaż miną nadrabiał, wielce go frasowały wiadomości, które świeżo odebrał. Była mowa u stołu, że Łuków, ostatni zamek co go partya Szwedzka jeszcze trzymała w Małej-Polsce, już zajęty został przez Kazimirówskich. Pan Modzelewski, starosta Łukowski, jakim się zdawał gorliwym stronnikiem króla Szwedzkiego! A jednak mu nie dopisał. On, jako wódz prze-

zorny, skoro tylko chwiać się zaczęło w Małej-Polsce, tak opatrzył swój zamek obronny, któremu równego nie ma w tamtych stronach, że nie wiedzieć dopóki mógłby się w nim trzymać. Otóż jeden z wódców przeciwnej strony, o którym teraz wiele mówią, a znany jest pod nazwiskiem Rycerza Lizdejki, podstąpił po pod zamek Łukowski na czele silnego oddziału jazdy. Z czem tu było porywać się na wały opatrzone armatami, a bronione od silnej załogi? bo tam była nie tylko milicya starościńska, ale i Szwedzi niedobitki z wojska Karolsona, którym się udało tam schronić przed pogonią pana Stefana Czarnieckiego. Owóż tedy rycerz Lizdejko otrzymał od starosty Łukowskiego zezwolenie widzenia się z nim sam na sam. Rozmowa ledwo godzinę zajęła, ale z niej niemałe rzeczy się wywiązały; bo pan starosta Łukowski zaraz po tej rozmowie rozkazał Szwedów rozbroić, wraz ze swoją milicyą odnowił dawną przysięgę wierności królowi Janowi Kazimierzowi, i akces podpisał do konfederacji Tyszowieckiej. Było widzieć, jak pan wojewoda zrywał się; talerz srebrny, który był przed nim, zwinął w trąbkę ze złości. A waszmości wiadomo jaka u niego siła. Po tem złożył pana Modzelewskiemu, nazywając go zdrajcą, a odgrażając się, że jak wpadnie w jego ręce, każe go wbić na pal. Dostało się i rycerzowi Lizdejce:—A co to—mówił—ten urwisz, któremu wszystko się udaje, czy nie zechce czasem dobywać mego

Dolska? Tylko nie dla psa kiełbasa, a jednak i o tem już przychodzi myśleć. Chwila po chwili, najgorsze dla nas wieści sypią się jak z rękawa. A ta baba, ten hetman Gąsiewski, nie może się wyrwać z Nowogródka; gdyby tu przybył, tobyśmy coś przecie uradzili; szlachta się zjechała, wojska tu zebranego mamy dość, na niego tylko czekamy. Mamy siły aż nadto, żeby Małopolskie oczyścić od tych wszystkich hultai. — A co też to było po obiedzie, kiedy robił przegląd wojska! Jednego rotmistrza Bóg wie za co kazał rozstrzelać.

— Najgorszy dyabeł na wylocie. Musi być źle koło nich, kiedy już i na hetmana narzeka, boć to ścisła przyjaźń ich łączy.

— Nie wierz waszmość temu. Oni z sobą politykują, ale jeden drugiego nienawidzi. Kniaziowi Dorohostajskiemu markotno, że wielka buława nie w jego, ale w pana Gąsiewskiego zostaje ręką. A pan Gąsiewski, mąż światły i ukształcony, jaki pociąg czuć może do człowieka gwałtownego, nieokrzesanego, za którym nie przemawia, oprócz dzikiej odwagi i olbrzymiej siły? Zresztą że kniaź nie odstąpi nigdy króla Szwedzkiego, o tem można być pewnym; nie tyle dlatego, że mu dał słowo, ile że dla własnego bezpieczeństwa musi się go trzymać, bo tak szlachcie się naraził, że gdyby Szwedzi wyszli, i jemuby pójść za nimi. A co się tyczy pana Gąsiewskiego, niech to będzie między nami,

a ludzie mówią, i to tacy, którzy są blisko niego, że on nie byłby tak daleki od zgody z królem Janem Kazimierzem, gdyby była jakaś nadzieja dla niego, i gdyby się upewnił, że od niego otrzyma pełne przebaczenie. Póki Moskwa w zмовie ze Szwedami, póty pan hetman ich trzymać się będzie, bo mając znaczne dobra w województwie Smoleńskim, dziś Moskwie posłusznem, nierad się z nimi pożegnać. Ale niechby tylko ona Szwedów odstąpiła, zaraz co innegoby zaśpiewał.

— Kiedy tak, to niech przyjaciele króla Jana Kazimierza wyperswadują sobie, by się mieli kiedyś pojednać z hetmanem, bo car jest tak ściśle związany z królem Szwedzkim, że nie ma nadziei aby bez niego w umowy jakie wchodził.

— Otóż właśnie rzeczy się mają inaczej. Rosyianie mówią, że wcale sobie nie życzą widzieć potęgi Szwedów w dwójnasób powiększonej. A pomimo tego, starszy syn hetmana, pan starosta Orszański, który Szwedów nie cierpi, a tylko przez uszanowanie dla ojca z nimi trzyma, będąc w Pińsku dał się słyszeć, że posłowie cesarza Rzymskiego i króla Francuzkiego bardzo pracują około cara, żeby go oderwać od króla Szwedzkiego, i że car ku temu zaczyna się skłaniać.

— Bardzo dziękuję waszmości za tę dobrą dla naszej rzeczypospolitej wiadomość. Bo chociaż my

dopiero się z sobą poznali, przecie zrozumieliśn.y się nawzajem, że obaj w duchu sprzyjamy tamtym.

— Ale na miłość Boga, waszmość przed nikim z tem się nie wymów, i nie miej mi za złe, że kiedy będziemy na zamku, będziesz mnie słyssał inaczej mówiącego. Mam żonę i dziatki, których nie godzi się gubić. Bóg mi za grzech nie pocztya, że nie-szczerze mówię przed takiemi, co bez sądu i prawa mogą przed porą wyprawić człowieka przed oblicze Przenajświętszej Trójcy.

— Macie zupełną słuszność; i ja tej drogi się trzymam. Jeżeli się waszmość będziesz odzywał przeciw naszemu królowi, i ja z tyłu nie zostanę, jeszcze głośniej będę gardłował za Szwedami, a swoje dlatego zrobię. Ale zdaje mi się, że już pora pokazać się kniaziowi. Pozwól mi waćpan dobrodziej się przebrać, żeby przyzwoicie stanąć w zamku.

— I ja, za pozwoleniem waszmości, służyć mu będę do kniazia wojewody; jestem gotów. Waszmość ubieraj się zdrów, pomogę mu do zawiązania pasa, a potem moje konie zawiozą nas do zamku.

Pan Dawid kazał swojemu pachołkowi otworzyć kufer podróżny, gdzie był jego paradny kontusz z aksamitu szafirowego, obwinięty misternie w ręcznikach, żupan z materyi jedwabnej żółto-gorącej w złote kwiateczki, i pas lity w Lugdunie wyrobiony, dar księżnej marszałkowej wielkiej Litewskiej. Wziął się do przebioru, nie zapomniawszy wprzód

głowy sobie kazać podgolić. Nadział na się kontusz i żupan i nałożył żółte buty. Pan Butrymowicz, sam okręcając go pasem, nie przepomniał węzła rycerskiego. Pan Dawid ani szabli w jaszczur oprawnej, ani czapki z Krymskim wyporkiem nie zapomniał. Wózek pana Butrymowicza zajechał przed gospodę; obaj na nim siedli i kazali się zawieźć do warownego zamku Słonimskiego.

## ROZDZIAŁ VII.

Pan Dawid z panem Butrymowiczem wkrótce ominęli most zwodzony starościńskiego zamku. Stąpawszy na dziedzińcu, gdy spostrzegli pana wojewodę siedzącego na ławie przed wrotami zamku, obaj wyskoczyli z wózka i pieszo przybliżyli się do niego. Wojewoda siedział, pieszcząc przyłaskawionego niedźwiedzia, a mnóstwo dworzan, wojskowych i obywateli stało w okolo, oczekując jego rozkazów.

Nowa przybyli powitali kniazia niziuteńkim ukłonem; on rzucił na nich okiem i powiedział:— „Kłaniam się waści, panie Butrymowicz.“ Sam zakielznał niedźwiedzia, który przeraźliwie mruczał, a jednak nie śmiał się opierać; kazał swoim strzelcom odprowadzić go, poczem spojrzawszy na pana Dawida:

— A i waść tutaj? Cieszę się z waćcinego niespodziewanego przybycia. Księżna marszałkowa śpiewa psalmy bez wtoru, kiedy waści wypuściła. A księżę teść co porabia w swoich Birzach? czy nie przywozisz mi z tamtych stron jakiego listu?

— Księżę wie, że JW. pan nie lubisz pisać, będąc ważniejszymi czynami zaprzątnięty, a więc nie chciał mu być przykrym. Kazał mu tylko złożyć swoje ukłony, oraz i JW. wojewodzinie, a potem jechać do Warszawy, i tam mu opowiedzieć wszystko, o czembym się w tych stronach dowiedział. Jechałem do Dolska, gdzie miałem nadzieję obójga państwa zastać. ale już będąc w jego starostwie, gdy dowiedziałem się, że JW. pan bawisz w Słonimie, skierowałem się ku jego stopom. Co się tyczy księcia mojego pana i jego JO. małżonki, są oboje w dobrym zdrowiu; tęsknią i za synem i za córką. Kiedy mnie wyprawili w te okolice, sami się zabierali do Warszawy. A wielceby sobie życzyli, żeby pani wojewodzina także przybyła czas jakiś w niej przemieszkać z rodzicami. Nie wiem tylko, czyby się to zgadzało z wolą JW. pana?

— I owszem, nic nie mam przeciwko temu. Zresztą, pani wojewodzina jest panią woli swojej. Domyślam się o co rzecz idzie. Że się udało temu, co to jego nazwiska nigdy nie umiem przypomnieć sobie, pobić Karolsona, już się zdaje księztwu marszałkowstwu, że nawet Dolsk nie jest bezpiecznym

dla ich córki. Jakże się nazywa ten szlachcic, co tośmy go wyparowali z Krakowa, że nie wiedzieć w jakiej jamie się schował, póki teraz z niej na nowo do czasu nie wylazł?—Tu się obrócił do swojego najpoufalszego dworzanina pana Szuksty, stojącego zawsze przy swoim panu, jakby jego cień.

— Cóż waśc stoisz jak drąg, a nie podajesz mi jego nazwiska?

— Czarniecki, JW. panie.

— Ale ale, już to moja natura, że jeżeli z kim nie mam żadnej kolligacyi, a u mnie nie służy, a do mojej klienteli nie należy, takiego nazwiska nigdy się nie nauczę. Otóż właśnie ten jegomość ani u mnie, ani u żadnego z moich nie służył. Czy waśc nie powiesz, w jakim domu on się kierował?

— W żadnym— odezwał się pan Niezabitowski, podkomorzy Słonimski, mąż z wieku i urzędu powszechnie poważany, a który, jeżeli się liczył między klientami księcia Bogusława Radziwiłła, to jedynie dlatego, że był jak i on kalwinem.—Pan Stefan Czarniecki, chociaż z ubogich rodziców, w żadnym prywatnym domu nie służył, lubo to najmniejszej krzywdyby mu nie robiło, ale ciągle służył Rzeczypospolitej. Znałem go, kiedy nie miał nad lat osiemnaście, a już był towarzyszem pancernym w chorągwi pana Lancokorońskiego, wojewody Braclawskiego.

— Mniejsza z tem — odrzekł książ, patrząc na

niego z ukosa—Co mi wchodzić w procendencye takiego, co ni z wiary, ni ze szlachećwa nie jest ani bratem ani swatem. To pewna, że teraz pokazał się dla niego szczęśliwy planeta. Udało mu się z Karolsonem, a nawet, o czem waśc może jeszcze się nie dowiedział, gości panie Odyniec, jakiś Lizdejko, urwisz z jego psiarni, świeżo zajął zamek Łukowski przez zdradę starosty. Ciekawy jestem tylko wiedzieć, czy długo ta gwiazda potrwa. Ani jeden, ani dwa skowronki jeszcze wiosny nie stanowią.

— O co to, to prawda — na to pan Szukszta.— Nie wielka sztuka pobić Niemca, lub podejść koroniarza. Niech-no ten pan Czarniecki z naszą Litwą się spróbuje. My oczekujemy jak dusznego zbawienia jego spotkania się z JW. panem.

— Tego tylko i ja czekam, a doczekać się nie mogę. Nie jestem hetmanem, tylko zwyczajnie sobie prosty szlachcic, zawsze posłuszny JW. hetmanowi wielkiemu Litewskiemu. Wszakże król szwedzki pod najstroższą odpowiedzialnością zalecił mi niczego nie przedsiębrać bez woli hetmana. I dlatego siedzę z założonemi rękoma w Słonimiu, czekając na jego przybycie. Nieprzyjaciel pod Brześciem, a on w Nowogródku; zwyczajnie głębokie plany wojenne układa. Nieżal byłoby czekać w Słonimiu, gdy nie było z czem wyruszyć; ale kiedy to człowiek ma o dwa razy więcej niż potrzeba, żeby w puch rozbić całą

hałas trę Kazimirowskich hultaj, a trzymają go na uwięzi, to dopiero pociecha! A może tamci pomyślą o moim Dolsku? Dałby Bóg! Tylko wiedzą oni, że Dolsk nie Łuków, że nie koroniarze go bronią. A już księżę nasz teść lęka się o swoją córkę, kiedy ją rad mieć przy sobie. I owszem, i owszem: niech sobie jedzie do Warszawy, jakoś się bez niej obejdzie. Białołęka nie na wiele się przyda obronemu zamkowi w czasie wojny. Czy nie przyjdzie czasem w nim szturmy wytrzymać?

— O to pokój, jaśnie wielmożny panie — wznowił pan Szukszta — Dolsk nie taka to kość, żeby ją przegryść mogła nieprzyjacielska psiarnia.

— I ja tak myślę. Z tem wszystkiem, jestem zawsze powolnym zięciem księcia marszałka. Może, panie Odyniec, waść ze mną oczekiwać będziesz przybycia pana hetmana, żebyś miał coś ciekawego do opowiadania księciu teściowi, a potem udasz się do Dolska, ukłonisz się od nas pani wojewodzynie, a jeżeli jej wola, przeprowadzisz ją do rodziców. Ale jak widzę, na całym wózku przywłókłeś się do mojego tutejszego zamku; spodziewam się, że się do nas przemiesz. Przecie znajdzie się jakiś kąs i jakaś wiązka siana dla sług i przyjaciół mojego teścia.

— W raję nie może być mi lepiej, jak na dworze JW. pana. Ale ściele się mu do nóg, żeby mi pozwolił zostać na gospodzie, gdzie z łaski pana Bu-

trymowicza mam przytułek. Człowiek blisko swoich koni, jakoś ich lepiej dopilnuje, a dziś moja czwórka, to i mój majątek. Cały dzień służę w zamku, a tylko kiedy JW. wojewoda uda się do wczasu, zawitam na kwaterę.

— Nie sprzeciwiam się woli waścinej, niech i tak będzie. Tyle tylko, że zamawiam sobie jego asystencyę do mojego stołu, i pomoc do bawienia moich gości. Nie spodziewam się, żeby waść zbyt wiele czasu u mnie zmarnował, bo dziś, a najdalej jutro, musi tu zawitać pan hetman. Od dnia wczorajszego codziennie zastawiony stół na niego czeka w moim starościńskim zamku. A możesz obaczyć, z jakim przepychem ubrałem kwaterę dla niego przeznaczoną. Omal, że nie połowa moich makat na to poszła; warto im się przypatrzeć, bo makaty domu Dorohostajskich przez kilka pokoleń się zbierały — nie dziw, że są głośne w całej Rzeczypospolitej. A pan hetman bardzo źle odplacił moją grzeczność, jeżeli dziś jak dnia wczorajszego zawiedzie naszą najzwięź przyjęcia go przy naszym stole.

Poczem obracając się do pana Szukszty, który przez pochlebstwa, niemniej przez podobieństwo z panem swoim i w obyczajach, i w sposobie myślenia, wbił się do największych łask, tak dalece, że pan wojewoda nic nie robił bez jego porady, rzekł:

— Panie Tomaszu, przybycie tego nowego go-



ścia spóźniło naszą zwykłą zabawę; od niej wszakże nie myślę się odrzec. Siła i zręczność bez ciągłej wprawy w gnuśność się obróca. Waśc, mości Odynie, wiesz o moim zwyczaju, że co dzień godzinę z okładem obracam na porządne wymachanie się szabłą z moim Szuksztą, który jeden dotrzymuje mi zakładu. Tej zabawie winienem moję czerstwość, i że dotąd nie poznałem się ani z lekarzem, ani z apteką. Dla mnie jakby ich nie było na świecie. Jest w Dolsku doktor nadworny, ale dla pani wojewodziny: tyle tylko mam z nim stosunku, że dwa razy na rok podpisuję mu asygnacyę do mojej kasy. Pamiętaj wasc, panie Tomaszu, kiedy pozaprzeszłego roku w Białynieckiej puszczy niedźwiedz mi rozpruł skórę na grzbiecie, jak on się mi naprzykrzał, żebym z rąk jego przyjął jakieś zalewanie, aż kazałem go wypchnąć tak mi dokuczył; a po swojemu się kurowałem. Waśc młody, mości panie Odynie, naucz się odemnie. Mój wyżeł Patent póty mi grzbiet lizał, póki się rana nie zgoiła; dwie niedziele nie upłynęły, a już byłem w ostępie. Taki to doktor z mojego Patenta.

Tu zaczął głaskać ogromnego wyżła, wziął go na ręce i rzucał go, jakby pieska Bonońskiego; nakoniec dał mu pokój.

— No, mości panie Tomaszu, do roboty!

Pan i jego dworzanin, dobywszy szabli z pochew, zaczęli się składać. Lubo pan Dawid często

bywał świadkiem ich popisów, z niemałym upodobaniem patrzył na dowody ich siły i zgrabności. Brzeszczoty, chociaż jasny dzień przyświecał ciągle, sypały rześiste iskry. Książ, jak czytelnikowi już wiadomo, był obdarzony nadzwyczajną siłą, jakiej pan Szukszta sprostaćby nie mógł; ale jego zręczność równowagę utrzymywała. Cięcia były tak zamasyście, jak kiedy w puszczy topory obalają dęby; gdyby takowe cięcie lbu się dostało, rozplątałoby go niezawodnie; ale jakkolwiek razy były i szybkie i gęste, zawsze brzeszczot spotykał się z brzeszczotem, i nawzajem się szczyrzyły. Nie była to igraшка, ale rzeczywiście potyczka na ostre. Widać było, że książ chciał koniecznie obznaczyć współzawodnika, nie wchodząc w następstwa tego obznaczenia; niemniej poznać się dawało, że pan Szukszta, chociaż wielki pochlebca, zagrzany walką bynajmniej oszczędzać nie chciał kniazia, a jednak jeden drugiemu żadnej szkody nie mógł wyrządzić. Nakoniec ten ostatni, po całogodzinem szamotaniu się, widocznie upadł na siłach, tak, że nareszcie odskoczył o kilka kroków, szabłę opuścił i powiedział: — Jaśnie Wielmożny panie, składam broń, bo już nie czuję ręki, tak mi omdlała.

— Siadaj, siadaj panie Tomaszu — odrzekł wojewoda, śmiejąc się. — Nie pierwszy raz dowiodłeś, że ani siłą, ani zręcznością waści nie wzmogę; tyle tylko, że jestem wytrwalszy. Pot leje się z waści

jak z cebra, a ja ani trochę nie czuję się znużonym; na dowód tego, hola! przynieść mi podkowę!

Duchem wybiegł jeden z pokojowych.

— Patrzcie—mówił dalej książę.

Wziął podkowę, natężył dłonie, i połowę podkowy oddał panu Szukszcie, który siedział zaspány.

Po tym popisie, książę wojewoda zdawał się być w dobrym humorze. Rozprowiał poufale ze szlachką, która coraz gromadniej skupiała się na dziedzińcu, i słuchał z nieudaną wesołością dykteryjek jowialistów prowincjonalnych, i ucinkowych konceptów swoich trefnisiów nadwornych, a zwłaszcza pana Szukszty, który najwięcej miał do niego śmiałości. Często dawały się słyszeć dość ostre przymówki do niego samego, co bynajmniej nie zdawało się go obrażać. Było to w dawnej obyczajowości naszej, że jeżeli możnowładca był przywykły do słuchania pochlebstw, niemniej musiał być przygotowanym i do przycinków od swoich klientów, a nawet sług, byle w narodowy dowcip obleczonech. Bo jeżeli szlachcic ulegał chętnie przewadze pana, jako wodza stronnictwa, jakiego z przekonania czy z potrzeby sam był członkiem, albo którego chleb pożywał, to nigdy nie wyzwał się z przekonania, że nie wyższej istocie, ale równemu sobie urodzeniem obywatelowi ulega. I to przekonanie kiedy niekiedy umiał przed nim wy-

nurzać, ile razy widział go usposobionym do słuchania prawdy, chociażby niemiłej. A takowe usposobienie nie było rzadkie, ze względu na stan obyczajowy naszej dawnej społeczności. Bo możnowładca Polski w swoim zamku ani księgozbioru, ani galeryi obrazów, ani zbiorów ciekawości nie posiadał, a nawet ich użytku nie wiele pojmował; nawet nie widział w nim tych wykwintnych sprzętów, w jakie dziś już i pomierne domy obfitują. Zgola nie takiego, coby mu uprzytomnić zdołało odosobnienie się od ludzi. Obcowanie towarzyskie było dla niego jedyną rozrywką; im więcej było domowników i gości, tem weselej czas mu schodził. Bez wątpienia i jedni i drudzy wiele od niego znosić musieli, będąc od niego zawisłymi; wszakże nie do tego stopnia, żeby i on nawzajem nie musiał być wyrozumiałym na ich wybryki, gdyż bez tej wyrozumiałości musiałby poprzestać na służebnictwie i dworakowstwie poddanych swoich, a tem samem skazać się na najnudniejsze życie; bo towarzystwo ludzi, wyzutych z wszelkiej swobody w obcowaniu, nie wieleby się różniło od obcowania z posągami. Człowiek towarzyski, chociażby najdrażliwszej miłości własnej, pomimowolny wstręt czuje do takiego, który bez cienia oporu zgadza się z każdym jego zdaniem, który w niczem nigdy mu się nie sprzeciwi. Jest to tak oczywista prawda, że kiedy monarchowie żyli otoczeni tylko takimi, którzy z niczem się nie odzywali, jedno z tem, co było zupeł-

nie stosownem do zdania ich pana, a z których ust oprócz pochlebstw nic nie wychodziło, potrzeba słuchania czasem prawdy chociażby niemiłej tak dalece im czuć się dawała, że aż się wyrobili urzędowi gadacze, których językiem wszystko było pozwolono, a którzy, znani pod imieniem nadwornych błaznów, dowcipne ale cierpkie prawdy bezkarnie władcom ludzi głosili.

Ale ten dobry humor kniazia wojewody stopniami znikał od południa, a kiedy dano znać, że gotowo na stole, zasiadł, ale tak był kwaśnym, że omal nie w zupełnem milczeniu, uczta, owa dźwignia wesołości, się skończyła. A to ztąd, że spodziewał się mieć u siebie hetmana na obiedzie, a ta nadzieja go ominęła. Spóźnił obiad więcej niż o dwie godziny, a nie doczekawszy się pożądanego gościa, siadł ze szlachtą. Widać było na nim tak silną irytację, że nikt się nie odzywał, nawet pan Szukszta. Właśnie obok niego siedział za stołem pan Dawid, i cicho mu powiedział: — A to odkąd żyję, pierwszy raz mi się zdarza między tyloma obiadującymi głosu ludzkiego nie słyszeć. Niech-no waszmość odsznurowe głowę, a i gospodarz i goście się rozweselą; aby tylko zacząć, samo z siebie zaanimuje się towarzystwo.

— A daj waszmość pokój—odparł pan Szukszta.—Znam go ja lepiej, niż on sam siebie. To silne a dzikie jak niedźwiedź; póki wrzeszczy a łaje, to

jeszcze pół biedy, ale kiedy milczy rozdąsany, to ani się przybliżaj, ani odzywaj do niego; gotów podrapać, a wiadomo co to jest drapanie niedźwiedzia.

Skończył się nareszcie obiad, przy którym każdy siedział jak na szpilkach. A po obiedzie goście jeden po drugim wysuwać się zaczęli do miasta, każdy do swojej kwatery, tylko domownicy zostali przy wojewodzie, który z nimi poszedł do stajni: bo jakkolwiek było usposobienie wojewody, nigdy nie omieszkał dwa razy na dzień robić przeglądu swoich koni. Pan Dawid miał chętkę pójść z panem Butrymowiczem, bo i jemu zły humor gospodarski wcale nie był miły; ale pomiarkował, że będąc sam sługą jego teścia, powinien był się uważać nie za gościa, ale za domownika, poszedł więc do stajni wraz z innymi za kniazem. Tam kniaz ostatnie skutki swojego gniewu na hetmana zwałił na koniuszego przez słowa obelżywe, a jeszcze boleśniej na masztalerzów. Bóg święty wie, co do nich upatrzył. Wedle pana Szukszty miał to być powrót jakiś do łagodniejszych myśli, bo już nie milczał sapiąc jak to było dopiero, ale strasznie krzyczał. Ale nie zdaje się, żeby stajenni zdanie tego dworaka podzielali, gdyż ich wszystkich tak kazał poobdzierać batogami, że każdemu z nich po kilkadziesiąt się dostało. A chociażby się i dowiedzieli, że to hetman wielki Litewski ukarany został na ich skórze, wątpię żeby to miało ulżyć im bólu. A sług nałajawszy i nabiwszy do woli, czoło

mu zaczęło po troszę się wypogadzać, że został do-  
stępniejszy do słuchania tych dykteryjek, któremi  
pan Szukszta już się odważył go częstować. Dopie-  
ro kiedy książę po odbytych przeglądzie wrócił do  
swojej komnaty, by użyć wedle swojego zwyczaju  
półgodzinnego wczasu, a za nim ulubiony kozaczek  
Pekotyło, który jeden miał wolny wehód do jego sy-  
pialni, żeby muchy opędzać, pan Dawid pedibus apo-  
stolorum dostał się do swojej miejskiej kwatery,  
z której nazajutrz poszedł do zamku, gdzie takie  
sceny na nowo się powtórzyły.

Przez dziewięć dni było to samo. Hetman zaw-  
sze oczekiwany nie przybywał, a wojewoda chimer-  
ował. Naprzykrzyło się panu Dawidowi być tego  
świadkiem, i bezkorzystnie czas tracić. Dziesiątego,  
idąc do zamku, postanowił, że czy się doczeka, czy  
nie, hetmana, nazajutrz opuści Słonim, żeby jaknaj-  
rychlej dostać się do księcia Lubomirskiego. I prze-  
jęty tą myślą stawił się przed księciem wojewodą,  
którego niecierpliwość codzien gwałtowniej się wy-  
rażała. Kiedy go powitał, najmniejszego ukłonu nie  
otrzymał, bo właśnie wtedy książę był w najwyższym  
ferworze gniewu przeciw hetmanowi. Dotąd narze-  
kając na niego, trzymał się jakiegoś umiarkowania,  
przynajmniej jakoś się targował z wyrazami, ile razy  
o nim mówił. Ale teraz tak był rozdrażniony, że już  
nie oglądając się na tłum szlachty, pośród której  
było wielu stronników i przyjaciół obowiązanych

hetmanowi, na nim czei i wiary nie zostawiał.  
Wściekłość podniosła w nim głos do najwyższego  
diapazonu. Wszyscy ze strachem w milczeniu stali,  
bo każdy poznawał, że z lada słówkiem się odezwać,  
byłoby to samo, co chcieć gwałtowność przywołać na  
siebie, a nikt nie chciał się narazić na skutki pychy,  
gniewu i siły, razem połączonych w osobie możno-  
władcy, mogącego w każdej chwili rozrządzać ra-  
mieniem kilku tysięcy siepaczy.

— Co to! — powiedział — czy ja pacholę, żeby ze  
mnie żarciki stroić? Zawsze miałem Gąsiewskiego  
za ba i bardzo, ale nie spodziewałem się, żeby nim  
był do tego stopnia. Że pierwszy raz buława do-  
stała się do jego ladajakiego domu, to mu tak gło-  
wę zawróciło, że uroił sobie, że może jeździć po wo-  
jewodach.

Moi przodkowie byli samowładnymi panami na  
Rusi, a książę panujący w Kurlandyi uważał za  
wielkie Boga błogosławieństwo, że jego synowica  
a matka moja weszła w dom Dorohostajskich. A ten  
przybłąda Gąsiewski, który swojego pradziada po-  
kazać nie potrafi, myśli że mu się uda mnie obró-  
cić w swojego służalca? A dopóki ja na niego cze-  
kać będę? Co mu się roi? że ja jego władzy het-  
mańskiej się ustraszę? A żeby się tego nie docze-  
kał! Albo ja nie mam własnych zamków i milicyi  
nadwornej, liczniejszej od tych komputowych wojsk,

któremi hetman tak się nadyma? albo ja prowadzić nie umiem żołnierza i nie dawałem tego dowodów? Wszakże on najpierwszy przylgnął do króla Szwedzkiego, i ta jego przyjaźń dopiero wtedy poszła mu na korzyść, kiedy wszedł w umowę zemną i z księciem teściem. To też, że się jemu ulegało, to nie przez szacunek dla jego osoby, ale jedynie przez wzgląd na księcia teścia i króla Szwedzkiego. Ja drwię z władzy hetmańskiej. Kiedy dotąd Gąsiewski nie przybył, pomimo obietnicy danej na piśmie, niechże już nie przybywa, bo nie tylko, że mu wypowiadam posłuszeństwo, ale doczeka się tego, że każę go powiesić na wałach mojego starościńskiego zamku. I kto mi tego zabronić może? A potem, nie udam się do tego jezuitę, co uciekł z Polski, jak mu w niej zaczęło być kręto, a którego usiłują wydzwignąć pan Czarniecki i pan Lizdejko — wielkie imiona! A będę wojnę na mój własny rachunek prowadzić; mam z czem i o czem. Mnie Litwa i Polska ni śmierdzą ni pachną: ja Ruski kniaź; jak zechcę, Jurko Chmielnicki na wierność mi przysięgnie, a ja go za to zrobię hetmanem, lepszym niżeli ten Gąsiewski. Pokażę co umiem.

Ledwo na tem stanął, a już towarzysz z jego zamku cwałem omijał bramę zamkową, i zatrzymał się na dziedzińcu o kilka kroków od wojewody, skoczył z konia, i doniósł mu, że już straż hetmańska w mieście, a sam hetman w kolasie z generałem Szwedz-

kiem Pöntusem wjeżdża na groblę prowadzącą do miasta. Ktoby myślał, słysząc co dopiero wygadywał wojewoda na hetmana, że jego przybycie okropną burzę wywoła. Przeciwnie; to oznajmienie w jednej chwili ukoilo dumnego możnowładcę. Krzyknął na dworzan, żeby natychmiast wierzchowe konie osiodłać i przyprowadzić mu, gdyż chce wyruszyć z asystencyą na spotkanie hetmana. Rozkaz zaraz wykonanym został. Kniaź wskoczył na swojego rumaka, dworzanie i wodzowie poszli za danym przykładem, i wszystko cwałem wyruszyło za wojewodą. Pan Dawid, dorwawszy konia, wcisnął się między nich uradowany, że przecież doczekał się hetmana.

Kawalkata spotkała hetmańską kolasę o kilka sążni od bramy miejskiej. Hetman na widok wojewody kazał kolasie się zatrzymać. Wojewoda oddał masztalerzowi swojego konia i pieszo przybliżył się do hetmana, żeby go powitać, i stosownie do praw wojennych zdać mu sprawę z tego wszystkiego, co się tyczyło siły zbrojnej, nad którą miał dowództwo w Słonimiu. Cała buta wojewody rozbiła się o przytomność hetmana; największą uniżoność mu okazywał, a lubo i tamten był dla niego grzecznym, bo nawet wyszedł z pojazdu, żeby się mu odkłonić, i żądał konia; chcąc razem z gospodarzem stanąć w

zamku, jednak można było zauważyć na nim ten półuśmiech nieco ironiczny, który rzadko opuszcza ludzi światłych, ile razy obcuje z takimi, co chociaż trafem jakieś wysokie zajmują stanowisko w społeczeństwie, nie posiadają żadnego z tych warunków moralnych, które są zdolne zrównoważyć człowieka z jego położeniem. Hetman był z liczby tych ludzi, którzy są gotowi wszystko poświęcić dla widoków osobistych. Wyznawca szczęścia, zawsze gotów odmieniać swoje przekonania polityczne gwoździem niestatecznego bóstwa, do wysokiego ukształcenia i nadzwyczajnej przebiegłości łączył głęboką znajomość słabej strony serca ludzkiego. I to mu szczególnie posłużyło do szczęśliwego a w dość krótkim czasie odbytego zawodu, w którym szlachcic, bezwątpienia zanie urodzony, ale miernego majątku i bez świetnych koligacji, pomimo oporu panów spadkowo przewodniczących na Litwie, przyszedł do ogromnych dóbr, do wysokich dostojenstw, a nakoniec do wielkiej buławy Litewskiej. Wielki wódz, zły obywatel, równie mściwy względem nieprzyjaciół, jak hojny dla swoich stronników, skorszy do zamordowania podwładnego szlachcica, któryby się odważył mu sprzeciwić, niż do obrażenia go nierozważnym słowem, nie był lubiony nawet w stronnictwie, któremu przywoził; ale wszyscy, počawszy od najmniejszych panów, bali się go tak dalece, że się dobijali, że tak powiem zaszczytu połączenia swoich sta-

rodawnych domów z nazwiskiem dopiero poznanem w narodzie. Wprzód jeszcze, nim otrzymał od króla Władysława w województwie Smoleńskiem i Mściławskiem ogromne nadania, któremi mógł sprostać spadkowym magnatom, swoje córki bezposażne świetnie usadowił: jedną wydał za Oskierkę strażnika Litewskiego, drugą za Obuchowicza wojewodzica Smoleńskiego, trzecią za Chodkiewicza kasztelana Trockiego. A później udało mu się swojego jedynaka ożenić z księżniczką Radziwiłłówną, wojewodzianką Wileńską. I co najwięcej utwierdziło jego przewagę w narodzie: i syn i zięciowie służyli ze ślepem posłuszeństwem jego widokom. Chociaż już usadzony między pany i z pierwszymi domami skoligacony, nigdy nie przestawał czuć do nich tego wstrętu, jaki ma zwykle przybysz szczęśliwy do tych, którym świetnością urodzenia sprostać nie może. Jakkolwiek to usposobienie przybiera dla pokrycia się szumne nazwy demokracji, miłości praw ludzkości, zwolnienia od przesądów, w rzeczy samej jest tylko przyrodzoną zawiścią, a tem samem najnikczemniejszą z pomiędzy wszystkich złych skłonności. Ani wysoki rozum, ani zręczność hetmana nie mogły w nim przytłumić tej słabości. Sam możnowładca, tem dumniejszy, im mniej był oswojony ze swoim położeniem, powstawał na możnowładców i żadnej okoliczności nie opuszczał, żeby ich poniżyć. W tem jednym zawodziła go jego znajomość serca ludzkiego,

bo narażał się magnatom, bynajmniej nie obowiązując szlachty, która chętniej przebaczy wyniosłości potomka spadkowego rodu, niżeli takiego, co świeżo wyniósł się z jej łona.

I to się dało widzieć w ciągu całego dnia, w którym kniaź, jakkolwiek zuchwały i zaniedbanego wychowania, pewien rodzaj zwycięstwa otrzymał nad hetmanem w tem, iż pokrzepiając niedostatek przymiotów osobistych obejściem się, którego podanie po wielkich domach tylko się zachowuje, ani jednej chwili nie wypuścił z uwagi obowiązków gospodarza, podczas kiedy niejednokrotnie pan Gąsiewski rozmaitemi przycinkami i obraźliwą ironią mógłby wprowadzić w mniemanie, że nie przypuszcza żadnych praw, którymby gość był obowiązany ulegać.

Na oko wszystko szło najlepiej. Kniaź wojewoda, skoro zajechali na rynek Słonimski, wypuścił konia, żeby pieszo mógł gościa przyjąć u progu zamkowego, przy którym gość i gospodarz bez końca sobie ukłonów narobili. Przy obiedzie, już po trzecim półmisku, garncowym kielichem obeszło zdrowie hetmana, któremu wtórzyły wystrzały wszystkich armat warownego zamku Słonimskiego. Pod koniec obiadu huk kotłów i trąb nieco zadziwił tych biesiadników, którym się nigdy nie zdarzyło być świadkami ugoszczenia najwyższych a dożywotnich wodzów wojsk rzeczypospolitej. Kotły się odezwały z powodu, że pieczeń hetmańska, to jest żrebię na różnie upieczo-

ne stół obchodziło. Był to obrzęd symboliczny, obmyślony niewiadomo kiedy i przez kogo, a w obyczajach narodu wojowniczego ze ścisłością zachowany, że kiedy obywatel pierwszy raz przyjmował w domu swoim hetmana, na pieczyste musiało być koniecznie żrebię, a wszyscy biesiadnicy musieli je pożywać przy odgłosie trąb i kotłów. Hetman Gąsiewski nie mógł w duchu odmówić sprawiedliwości kniaziowi wojewodzie, że o niczem nie zapomniał. Po wstał więc z krzesła, stojąc spełnił kielich za zdrowie gospodarza, dziękując mu, iż w obliczu tak znakomitego obywatelstwa raczył go uczcić. Ale te etykietalne grzeczności, krótkotrwałe, przerywały zakusy rozmowy niewiele przyjemnej dla gospodarza a które także prędko się urywały, bo ten ich nie podrywał, jakby nie rozumiejąc, że to do niego jest obrócone. Nakoniec hetman, głębiej chcąc dotknąć wojewodę, odezwał się niby z niechcenia:

— Mości wojewedo, żyj jak najdłużej dla ojczyzny i dla nas swoich przyjaciół, bo jak pożegnasz ten świat, żadnego Dorohostajskiego na nim nie zostawisz, któryby to świetne nazwisko przekazał potomności.

— Nie myślę jeszcze umierać, mości hetmanie, lubo nie oszczędzam mojego życia, ani tracę nadziei cieszyć się potomstwem, lubo w tem zgadzam się z wolą Pana Boga.

— Na taką nadzieję nie ma czego się spuszczać, mości wojewodo, ile że waszmość masz pewniejszy środek do zapobieżenia temu, by jego dobra nie przeszły w inne domy.

— Niewiele mnie obchodzi co się z niemi stanie po mojej śmierci, i w tem waszmość dobrodziej jesteś troskliwszy odemnie, za co składam mu podziękę.

— A jednak ludzie mówią, że masz sukcesora krwi swojej po mieczu.

— Pierwszy raz o tem słyszę — odparł kniaź nieco poruszony. — Jak uważam, ci ludzie do zbytku się zajmują tem, co mnie tylko obchodzićby powinno.

— Dziwić się nie trzeba, że u nas nikt nie może być obojętnym na to wszystko, co się odnosi do tak znakomitego męża, tak wysokiego rodu jak waszmość. I wszyscy się cieszymy, że młodszy jego brat nie zszedł bezpotomnie, ale zostawił syna, który, jak mówią, wychowywał się za granicą. Dziwi mnie, że waszmość dobrodziej dotąd żadnego kroku nie uczynił, żeby tego kawalera sprowadzić do kraju. Wszakże on jest właścicielem jednej połowy domu Dorohostajskich, nim po najdłuższem życiu waszmości dobrodziejza zostanie spadkobiercą drugiej.

— O nowych zupełnie dla mnie rzeczach pan hetman wspominasz, i o tyle do nich przywiązuję

wagi, o ile to wychodzi z jego szanownych ust. O żadnem ożenieniu się mojego świętej pamięci brata ani wiem, ani chcę wiedzieć. Co do spadku, jaki mi się po nim dostał, tyle długów po nim pozostałych musiałem opłacić, że nie warto o tej sukcesyi mówić, i gdyby nie troskliwość o sławę braterską, pewniebym się od niej odprzysięgł, idąc w tem za radą moich prawników. A ponieważ pan hetman raczysz rozciągać opiekę swoją nad moim domem, powiem mu otwarcie, że ile czułem się być w obowiązku z własną moją szkodą zaspokoić wierzycieli mojego brata, o tyle nie myślę, żeby ten obowiązek rozciągał się aż do brania na mój karb wszelkich błędów jego młodości. Zresztą, jeżeli się znajduje ktoś, mieniący się być jego synem, i roszczący sobie prawo do naszego imienia, poradziłbym mu, żeby tem nie obciążał władzy hetmańskiej, która ma zbyt ważne powołanie, abym miała się zatrudniać interesami prywatnymi obywatelów.

Pan hetman zmarszczył się na te słowa. Zabrał się do odpowiedzi, i gdyby nie przytomność kniazia Wankowicza, stolnika Słonimskiego, pełniącego obowiązki wice-gospodarza, rozmowa dość cierpka mogłaby się przemienić w kłótnię między dumnymi możnowładcami, politykującymi z sobą, ale rzeczywiście nienawidzącymi się wzajemnie, a w tej chwili rozdrażnionymi. Wstrzymał albowiem odpowiedź hetmana wniesieniem zdrowia jego wnuczka



z księżniczki wojewodzianki Wileńskiej, i spełnieniem go półgarncowym kielichem w ręce kniazia wojewody. Ten natychmiast przypomniawszy sobie powinność gospodarza, uprzejmie go przyjął i wypróżnił na cześć nadziei domu Gąsiewskich. Hetman wywzajemnił się kielichem dziękczynnym, i tak wszczynająca się sprzeczka utonęła w strugach węgrzyna, że odtąd nic już nie zachmurzało biesiadniczej zgody.

Skończony obiad nie przerwał zabawy; goście i domownicy ruszyli za wojewodą i hetmanem do komnaty bawialnej, gdzie już kielichy nie przestawały krążyć. Wojewoda i hetman ciągle zakrapiali wzajemne oświadczenia jedności i niczem nierozzerwanej przyjaźni. Wielu, a między nimi i szwedzkiego wódza, bez przytomności pokojowi wnieśli do komnat im do spoczynku przeznaczonych. Sam hetman tak się uraczył, że lubo jeszcze na nogach, dał za wygraną, i wyprosił się, że mu gospodarz pozwolił odejść, tem się przed nim tłómacząc, że ma ważne rozporządzenia do ułożenia nazajutrz, zamawiając sobie odnowienie zabawy na czas swobodniejszy. Wojewoda jeden nie opuszczał placu, chociaż tak podpity, że zaledwo trzymał się za pomocą pana Szukszty, który, jakkolwiek pijany, nie przestawał używać ramienia swojemu panu. Ale już mu słowa się plątały, tak że trudno było domyślić się ich znaczenia. Już i jego zabierano się odprowadzić do przygotowanej pościeli,

kiedy raptem wpadł dowódzca od warty z oznajmieniem, że pan Olesza, gubernator zamku Dolskiego dopiero przybył, i że koniecznie potrzebuje się widzieć z kniazem wojewodą.

## ROZDZIAŁ VIII.

Wpuszczono pana Oleszę, który wszedł pomieszany i pochyłony, jakby pod brzemieniem jakiego wielkiego nieszczęścia. Książ do niego przemówił dość niewyraźnie, wszakże jednak można było sklecić, że mu powiedział:—po coś tu przyjechał, i co słychać w Dolsku?

— Żle — odpowiedział. — Nieszczęście, hańba, zdrada. Dolsk w ręku nieprzyjaciół pańskich.

Jakkolwiek książ wojewoda był pijany, na te słowa jakby ręką odjął, zaraz się wytrzeźwił.

— Co to jest? Czy waśc oszalał pleść mi podobne androny? Żeby mój Dolsk, moje oko w głowie, miało się dostać w cudze ręce, to być nie może! Upamiętaj się waśc!

— Nie inaczej, JW. panie. Ten zamek wzmocniony staraniem i kosztem kilku pokoleń, ta załoga, na którą my się tak spuszczały, całe to księstwo tak ludne, tak bogate, wszystko to dawszy się wwikłać w zdradę, posłuszeństwo JW. panu wypowiedziało.

— Wszakżeś waśc miał sobie odemnie powierzone dowództwo nad zamkiem i załogą, a jeszcze żyjesz?

— Ach panie, Bóg świadkiem, że chciałem iżby mnie zabili, a nawet tej łaski otrzymać nie mogłem. Wszystko tak się stało niespodzianie, że dotąd rozbrać nie umiem, jak to się stać mogło. Na to wspomnienie od przytomności odchodzę. Jest to rzecz bezprzykładna, okropna, wyraźne dopuszczenie Pana Boga, żeby czart igraszkę sobie robił z nami.

— Jakże to było? Mów, niech się dowiem o wszystkich szczegółach tego nieszczęścia? Niech wiem na kogo mam wymierzyć skutki mojej zemsty.

— Wszystko JW. panu wypowiem, niech tylko skupię moje myśli. Jak przed skonaniem wszystko przed księdzem, który mnie na tamten świat wyprawi opowiem, w niczem siebie nie oszczędzając, tak też przed JW. panem niczego nie utaję. A jeżeli JW. pan osądzi, żem w czem przewinił, poddam się pod całą ostrość zasłużonej kary. Chociaż jestem herbowym szlachcicem, niech mnie JW. pan każe powiesić. I owszem, tak mi życie obrzydło, że zgadzam się na

to, by mi było haniebnie odjęte; bo na cóżby ono mi się przydało, kiedy już cześć utraciłem? JW. pan powiedział mi dopiero: miałeś dowództwo, a jeszcze żyjesz? To słuszne zapytanie; w samej rzeczy, mnie żyć nie trzeba. Tyle tylko, że błagam, byś JW. pan o mojej duszy pamiętał, a z ciałem rób co ci się podoba. A na jakie set dyabłów, z respektem, przydało mi się życie, kiedy człowiek oczów nie śmie podnieść między ludźmi, taki wstyd?

— Ale dobrze, dobrze! mnie nie idzie o to, co czujesz i myślisz, a o to co się zrobiło; mów rzecz po prostu!

— JW. panu powiem więc to, co bodajbym nie wymówił. I po szczegółach. W zamku Dolskim było na wałach dwanaście armat, i cztery śmigownice. A armatnicy tak wyuczeni, że każdy do celu trafiał jakby z rusznicy; teraz czterysta halabardników milicyi nadwornej pańskiej, zawołanych strzelców, i tyleż luźnych kozaków. Oprócz tego osmdziesiąt bośniaków uzbrojonych w proporcy; nie liczę w tem szlachty, której było dwustu, a koń w konia. Zdaje się, że było wszelkie bezpieczeństwo.

— Wiem o tem, wszakże to bezemnie się nie obeszło; ale cóż dalej?

— Każdy znał swoją powinność. Bywało po kilka razy w nocy się zrywam; idę na wały, czy który czasem nie zasnął? jako żywo, wszystko jak potrzeba,

i ofycjalista i szeregowy. A jak JW. panu wiadomo, bo to było z jego wysokiego rozporządzenia, JW. wojewodzina bawiła w Dolsku. Jeszcze to JW. pan odjeżdżając mi powiedział: Oleszo, powierzam tobie zamek i panią wojewodzinę, żebyś mi je w całości zachował! — A ja na to:—biore wszelką odpowiedzialność na moją głowę:

— Dobrze, ale dalej do rzeczy!

— Otóż mnie nie było kłopotu myśleć o zamku, bo aż nadto byłem jego pewny; turbowałem się tylko, żeby czasem JW. wojewodzina nie zachorowała z tęsknoty za JW. panem, a pokazało się nakoniec, że JW. wojewodzinie nic złego się nie stało, a właśnie zamek kaduk spiskał. Tak to spuszczać się nie można na rachuby roztropności ludzkiej.

— Tylko proszę cię, mój Oleszo, zaniechaj tych morałów.

— Słucham JW. pana. My pilnujemy naszej rzeczy, a JW. wojewodzina siedzi w swojej komnacie, jak przystoi tak wielkiej pani. Wieczorem tylko przechadza się po wałach z swoim fraucymerem, który za nią opodal zawsze stoi przez uszanowanie, a tylko panna Kudrewiczówna, która świeżo do niej przybyła z Małej-Polski, gdzie nawiedzała swoich krewnych, obok niej przechadzała się, i JW. pani na jej ramieniu się opierała, i zawsze miała coś z nią do mówienia; bo jak wiadomo, ona z nią razem

się chowała w zamku Birżańskim, i ztąd też, kiedy po długim rozstaniu panna Kudrewiczówna przybyła do naszego zamku, potrzeba było widzieć, jaka to radość była JW. wojewodziny. Z początku bywało, ile razy JW. wojewodzina stanie na wałach, ja każe walić z armat na jej uczczenie, ale ona mnie potem prosiła, żebym tego zaniechał, bo inaczej nigdy nie będzie używać przechadzki. Prośba tak wielkiej pani jest rozkazem. A nakoniec sam zauważyłem, że szkoda prochu, bo czas zaczynał być niespokojnym, i już Ogar na czele swoich hultai pokazywał się w naszej okolicy, a nawet jedną ekonomię należącą do księstwa Dolskiego ośmielił się najść i zrabować. Ja zaraz naprzeciwko niego wyprawiłem mojego syna z bośniakami i luznemi kozakami, ale Ogar nie dotrzymał placu. Gdzie tam! jak tylko dowiedział się, że nasi chcą się z nim przywitać, a zawsze się znajdzie taki, który tych rozbójników ostrzeże, rzucił się ku Maniewiczom, gdzie na pewne cały tydzień rabował. Myślę sobie: — uciekł, ale może się znowu pokazać, i jeszcze w większej sile, bo, jako się pisze, dyabeł wypędzony powraca z dziesięciu dyablami jeszcze gorszemi. A więc kto może przewidzieć co się stanie; dobrze więc proch oszczędzać.

— Tak jesteś rozwlekły, że prawdziwie nadużywasz mojej cierpliwości. Rzucasz się to w prawo, to w lewo, a nie trzymasz się najprostszej drogi w opowiadaniu.

— Otóż właśnie to nie są zбочenia, ale najpotrzebniejsze szczegóły do zrozumienia tego, co się tyczy głównej rzeczy. Pan nie może znieść opowiadania tego, co jego sługa doświadczył, i nie dziw—jednem słowem okropność. Pani się nudziła w takiej samotności, bo jak zaczęli się Kazimierczycy jawić, to tam, to owdzie, już i sąsiedzi przestali być w Dolsku, żeby tem u nich nie wpaść w podejrzenie. U nas mało się znajdzie takich, coby nie lubili na dwóch stołkach siedzieć. Panu Bogu się kłania, ale nie zapomni i przed dyablem świeczki zapalić. A pojechać-no w naszą okolicę, jak nie dawno jeszcze tameczni obywatele czci ni wiary nie zostawili na ex-królu; proszę teraz z niemi pomówić! albo wcale o nim nie mówią, albo go z okazaniem jakiegoś współczucia wspominają. Zawsze króla Szwedzkiego chwala, ale wszystko nie tak jak to było, kiedy jeszcze ta konfederacya Tyszowiecka nie była się podniosła. Ot! na co mam w bawełnę obwijać przed jaśnie panem? całkowite nasze obywatelstwo zaczyna wierzyć w odmianę szczęścia, i bardzo wielu jest takich, którym nie co innego w głowie, jak tylko pogodzić się z królem Janem Kazimierzem, o którym nawet mówią, że już ma się znowu znajdować na ziemi polskiej. Bóg święty wie, czy to jest prawda? relata refero.

— Ale zmiłuj się, Oleszo, nie bałamuć! Na ja-

kie lichy mi się przydadzą twoje uwagi? co one mają do rzeczy? czyż już nigdy z tobą do końca nie trafię?

— Dojdziemy do końca, jasnie panie, dojdziemy aż nadto prędko. W samej rzeczy, trzeba użyć więcej czasu do opowiadania wypadku, niż go było potrzeba, ażeby się ziścił. Przybyło kilku kozaków bandurzystów, z takich, co to po całym kraju błakają się, żeby śpiewem i tańcem zapchać sobie żołądek, podlatać skórę i nie chodzić boso. To stanęło przed bramą, prosząc o przyjęcie łaskawe. Bliźni bliźniemu nie powinien pozazdrościć zarobku, ile że byłem rad czem niebądź rozerwać tęsknotę JW. pani po jej JW. małżonku, który ją odjechał, a któregooby rada zawsze przy swoim boku widzieć, bo JW. pan nie uwierzysz....

— I co to do waści należy, czy wojewodzina tęskni, lub nie? Co to ma do straty Dolska? Mów waść, co masz do mówienia, a niczego się nie domyślaj, to zalecam pod łaską moją.

— Słucham, jasnie panie. Kazałem wpuścić to szmatułowstwo do zamku, oni też zaraz mnie się odwdzięczyli, śpiewając różne pieśni, o kniazjach Dorohostajskich, Sołomereckich, Zbarawskich, i inne o sielskich przygodach, zwyczajnie bandurzyści. A żołnierze straży radzi byli temu się przysłuchiwać, każdy z nich im rzucił przy podziękowaniu jakiś szelązek. A kozacy luźni omal że nie poszaleli z rado-

ści, że swoich, a takich mądrych widzą. Zameldowałem ich JW. wojewodzinie, która także uprzejmy wzrok rzuciła na ich tańce, a słuch na ich piosnki. Otóż przychodzi mi do myśli, że kto wie, czy od nich nie poszedł początek biedy? czy ich nie wysłano umyślnie na wywiady? i żeby w kozakach wierność osłabić, chociaż niczego i szlachcie, bo prawłą a Bogiem, jak piorun trzasnął, każdy był lepszym. Już dochodziły do mnie wieści, że się podniosła konfederacja naprzeciw Szwedom, i tym co z nimi trzymają pewnie nie na złe ojczyzny, jak śmiać utrzymywać ci, co to im piątej klepki nie dostaje, ale na jej największe dobro. Naprzykład JO. książę marszałek wielki Litewski, potężny teść jasnie pana, albo sam jasnie pan, a czyście nie dali dowodów jeszcze świętej pamięci królowi Zygmuntovi, że gdzie Rzeczpospolita tam i wy? A ci ludzie nیکczemni, co niewarci dobrego słowa jasnie pana, śmieją języki na niego podnosić!

— Zostaw waść na stronie, co ich języki o mnie głoszą! Moja sława jakoś się obejdzie bez cudzej opieki, a kończ swoje, bez tych ustępów.

— Słucham, jasnie panie. Owóż tedy te wieści o konfederacji, o porażeniu Szwedów przez pana Stefana Czarnieckiego, o ogłoszeniu się za królem

JO. księcia marszałka Lubomirskiego i JW. hetmana Potockiego, o powrocie do kraju samego króla do mnie dochodziły, bo o tem wszystkiem szlachta mówiła. Ale to we mnie najmniejszej nie obudzało trwogi. Wszelako miałem w baczeniu, żeby te się nie rozniosło w załodze zamkowej. Ale jakże się przegrodzić od złej wieści? Słowo ptaszek; jeżeli nie przeskoczy, to przeleci; od czegoż skrzydła? Trudno nie pozwolić żołnierzowi wypić czasem kieliszek gorzałki w karczmie. A byle się dotknąć żyda, już się wie, co się dzieje i w okolicy, i za okolicą. Bywało, żołnierze mnie powtarzają co słyszeli; ja wybijam im z głowy jak mogę te wiadomości dla nich wcale niepotrzebne. Ale z respektem, zje dyabła, kto przeskodzi złej wieści obić się o ludzkie uszy. A coraz częściej Ogar w naszej okolicy się pokazywał; a co gorsza, jakiś Lizdejko, o którym w prostym ludzie, a nawet pomiędzy szlachtą, od niejakiego czasu cuda opowiadają, z nim się połączył, a Ogar jemu był we wszystkim posłuszny. Póki Ogar był sam, nie było czego obawiać się w polu; nie raz i nie dwa wysłałem naprzeciwko niemu oddział, ani razu im nie śmiał pokazać czoła. Moi go zawsze wypłoszą, że wpadnie jak w wodę; potem dowiadujemy się, że gdzieś o kilka mil w stronie czasem przeciwnoległej wybrnął i kogoś ograbił; ale kiedy już i Lizdejko był z nim, wiele ztego dwóch na jednego. Nie można było wysyłać od-

działów na rzeź; tyle tylko że patrolowali w okół dla wywiadów i wracali do zamku zdać sprawę z tego co widzieli i słyszeli, bo im srodze zalecałem, żeby unikali potyczki. Oprócz patrolów, nikomu nie pozwalałem o krok wydalić się z zamku, a o niego byłem spokojny. Muru łbem nie przebijesz; wiedziałem, że ani u Ogara, ani u Lizdejki żadnej połowej armatki nie było, coż dopiero takiej co łamie wały. Czekam co to będzie; ani mi było w głowie niebezpieczeństwo, bo jak jaśnie panu wiadomo, Dolsk jest tak warowny, że w nim zamknąwszy się, a klucze podłożwszy pod poduszkę, można spać spokojnie, z największą oszczędnością prochu. Myślę sobie, a czy czasem oni w tej okolicy nie czekają na armaty, żeby coś przedsięwziąć stanowczego? Choćby i tak, będę się trzymał; jest chwała Bogu żywność, chociażby i na rok, a dolskie wały niebardzo się boją armat nawet ciężkich, bo nasze armaty, a zwłaszcza śmigownice, jeszcze dalej biją, przystępu im nie dopuszczają. Bardzo byłem spokojny; cała mi rzecz o to tylko chodziła, żeby JW. wojewodzina, moja pani, nie doświadczała jakiejś turbacji, jeżeli przyjdzie do tego, że nieprzyjaciel podejdzie pod nasz zamek. Wtem przyjeżdża do Dolska pan Haraburda, dworzanin JO. księcia marszałka Litewskiego, z ekspedycją do JW. naszej pani, od jej dostojnych rodziców, a mnie pokazał ordynans księcia, żebym mu był posłusznym. Jaśnie pana mam rozkaz na piśmie, żebym nigdy się nie ważył oporu sta-

wieć wszelkiej woli JO. księcia marszałka. Wprowadziłem natychmiast pana Haraburdę do JW. wojewodziny; ta pani z największą uprzejmością przyjęła domownika JO. jej ojca, zaszczyconego jego zaufaniem, a jego sługi od czasu dobrze poprzedzającego jej urodzenie. Ale było widzieć jej radość, jak się dowiedziała z listów rodzicielskich, że ma się z nimi połączyć w Warszawie; bo w niebytności jasnie pana, jakież powab mógł ją zatrzymać w zamku, który był dla niej istnem więzieniem? Bez zwłoki spełniła zalecenie. To się stało o samem południu, a już przed czwartą z swojemi kobietami, kilkoma sługami i panem Haraburdą była na wielkim gościńcu warszawskim, gdyż pokojówki JW. Wojewodziny tak były rade opuścić Dolsk, że piorunem się wybrały; w jednej godzinie wszystko było gotowe. Co do mnie, oddzieliłem dwadzieścia koni pod najlepszymi moimi ludźmi do glectowania JW. wojewodziny; bo lubo nie bez tego, żebym nie żałował dzielnych wojaków, ale jej bezpieczeństwo nad wszystko ważyłem, a z drugiej strony nie tak to była wielka strata, bo już postanowiłem wycieczek nie robić, a trzymać siebie i swoich w zamku na smyczy. Niech no do mnie przyjdą! na co mam ich szukać? A więc jazda nie tak mi była potrzebna, ile że pozostało mi jeźdźców aż nadto, a co do odjazdu JW. pani, wcale nie byłem od niego. Białogłowa, a dopiero wielka pani, wcale

niepotrzebna w zamku obronnym, do którego lada dzień szturm przypuścić mogą. Człowiek o siebie nie dba, a o nią bać się będzie, już serce oziębione; a jak wódz szwankuje na duchu, niewielka nadzieja w podwładnych. I kiedy ją ujrzałem już za zwodowym moście, zdało mi się, że wielki ciężar spadł mi z głowy.

— Zaklinam waści na miłość Boga, mów zwyciężej! Na co te wszystkie wyboczenia się przydadzą?

— Słucham, jasnie panie. Jasnie wielmożna wojewodzina opuściła zamek o czwartej po południu, a już nazajutrz przed wieczorem jeden z tych, co to ich w okolicy posełam na wywiady, czasem o dwadzieścia mil od Dolska, sprawne i wierne żydzisko, do mnie przybywa z doniesieniem. Oto: że był wpadł w ręce Kazimierczyków, a ci widać że musieli się do myśleć co on za jeden, bo go powiesić chcieli, a że żył, to jedynie dlatego, że ci co go byli wzięli, spotkali się z naszą JW. panią. Wedle jego relacji, oni go dnia poprzedniego zachwycili i ciągle badali. Widział on ich dowódcę, Lizdejkę, jak go tam nazywają, ale to musi być przybrane nazwisko. Kto tam dojdzie prawdziwego u tych, co to pod godłem Jana Kazimierza pładrują Rzeczpospolitą. Mówił o nim, że ma postać wielkiego monarchy, jak to żydzi nazywają naszych wielkich panów; że jest wielce wspałały, że wszyscy co służą pod nim, i wielce mu ufa-

ją, i okrutnie go się boją. A nie tylko ci co się zaciągnęli pod jego znaki, ale nawet tacy, którzy przypadkowo z nim się złączyli; i miał tego dowód w tym, że między tymi co otaczali tego pana Lizdejkę, poznał Ogara, którego dobrze pamiętał, bo podróżując przed rokiem przypadkiem znajdował się w Kocku, właśnie wtedy, kiedy napadł na to miasteczko i zrabował je do szczytu. Otóż zauważył, że lubo ten Ogar jest z liczby tych rozbójników, co na swój rachunek wojnę prowadzą, przecie jemu nadskakiwał jak podwładny. Był tedy biedny żydek w ich szponach, strachał się nieborak, a tylko czekał, kiedy mu stryżek nałożą na szyję; ale nad nim nie pastwiono się, tyle tylko, że go pan Lizdejko po ludzku wybađywał, kto on taki, zkąd jedzie i dokąd dąży, a patrzył mu w oczy, jakby go chciał na wylot wzrokiem przeszyć. A ma mieć wzrok tak straszny, że nie sposób go wytrzymać. Wtem pokazuje się na gościńcu poczet otaczający kolasę naszej JW. wojewodziny, i dwa inne pojazdy, które za nią się toczyły z jej dworem. Jak to obaczył, żyda zaniechał, kilku żołnierzom kazał go mieć na oku, a jednego towarzysza z trębaczem wysłał naprzód z językiem do tego pocztu; towarzysz zbliżywszy się do naszych, otrąbił się, i zapytał:—Jakiej wy wiary? czy królewskiej, czy cudzej?

— Jeden ze starszych naszej straży odpowie-

dział: nasza wiara jest taka, jaką być powinna. Jesteśmy słudzy Rzeczypospolitej i kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego. Glejtujemy jaśnie wielmożną małżonkę naszego pana do Warszawy, gdzie mamy ją oddać jej rodzicom, a jeżeli kto temu zechce przeszkodzić, gotowi jesteśmy gwałt gwałtem odpierać.

— Rozumiem—odrzekł towarzysz strony przeciwnej—wy trzymacie ze Szwedem. A choć jesteśmy wierni poddani króla Jana Kazimierza, my z biało-głowami nie wojujemy. Owszem, u nas dla nich zawsze gotowa opieka. Niechże wasz dowódca raczy przystąpić do naszego wodza, dla umówienia się z nim względem swobodnego przejścia; a żebyście nie myśleli, że w tem jest jakiś podstęp, ja gotów zostać między wami jako zakładnik, dopóki umowa się nie skończy.

Na te słowa pan Haraburda wysunął się naprzód i rzekł:—Tyle ufamy honorowi żołnierskiemu, że zakładników nie potrzebujemy. Nazywam się Haraburda, jestem dworzanielem J. O. księcia Bogusława Radziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, i jego córkę JW. wojewodzinę wiozę do Warszawy. Jej straż mnie jest posłuszną. Racz waszmość mnie zaprowadzić do swojego wodza; jestem gotów mu służyć. Udał się więc z przewodnikiem swoim do ryceza Lizdejki, który czekał na niego otoczony swoją starszyzną, podczas kiedy straż JW. wojewodziny



ścisnęła się około jej kolasy. Zapomniałem powiedzieć, że w kolasie tylko panna Kudrewiczówna jej towarzyszyła, będąc respektową panną, a reszta francuzymu siedziała w osobnych pojazdach.

— Mniejsza z tem, to do interesu nie należy.

— Słucham, jasnie panie. Co się wtedy działo z JW. dostojną jego małżonką, to tylko żołnierze jej straży powiedzieć mogą, a ja żadnego z nich dotąd widzieć nie mogłem, bo oni poszli do Warszawy, gdyż żydek, co mnie z tego wszystkiego uczynił relacją, nie mógł być tego widzem, będąc zatrzymanym przez rycerza Lizdejke. Owóż tedy pan Haraburda, stanąwszy przed nim, nisko mu się skłonił, a tamten z uprzejmością się odklonił, i zaraz weszli w rozmowę. Pan Haraburda opowiedział mu się, że ma dowództwo straży, która JW. wojewodzinę glejtuje, że wziął na siebie obowiązek odwieźć ją księciu ojcu, albo zginąć, a skończył temi słowy:—Ja mam garść ludzi w porównaniu tego, co widzę przy panu wodzu, a jednak klnę się na Boga i na mój klejnot herbowy, że będę bronił do upadłego pani wojewodziny, a krew niewinna, która się przeleje, spadnie na tego, który zaczepił, a nie na tego, który się bronił. — Na to rycerz Lizdejko: Ani o wierności, ani o męztwie waszmości nie wątpię, ale o czem nie wiesz, że całość i bezpieczeństwo wojewodziny może mnie obchodzić niemniej od waszmości. Żadnej przeszkody z mojej

strony nie doświadczy, ani ona, ani jej słudzy, i to jest prawdziwe szczęście, żeście się ze mną spotkali, bo oddziały nasze ciągle się kręcą przy gościńcu Warszawskim. Możecie się spotkać z takim, od jakiego napaści nie ujdziecie; dość powiedzieć, że Burczymucha dnia wczorajszego za moim rozkazem odemnie się oddzielił, a jak musi być waszmości wiadomo, dla niego kto w oczy to nieprzyjaciel, a cóż dopiero żołdacy kniazia Dorohostajskiego. Dopiero teraz waszmość możesz być pewnym, że nie złego się nie stanie wojewodzinie, bo dam waszmości na piśmie swobodne przejście aż do Warszawy; jak spotkacie jaki oddział uzbrojonych, wiernych poddanych naszego prawego króla, najjaśniejszego Jana Kazimierza, pokażecie tylko dowódcy to moje pismo, a zaręczam, że żadnej przeszkody nie doświadczycie, a owszem wszelką pomoc od niego dostaniecie. Pozwolisz waszmość, żebym osobiście złożył moje uszanowanie pani wojewodzinie, a potem ruszajcie sobie z Bogiem ku celowi waszej podróży.—Jeden ze starszyzny podał mu papier i ołówek; zapisał na nim swój rozkaz, czyli zalecenie, czyli co innego, bo jużci nie wyobrażam sobie, żeby wszyscy co trzymają z Janem Kazimierzem, byli mu posłuszni, boć tam są i Lubomirscy, i Potoccy, i Wiśniowieccy i Lanckorońscy, a to wszystko senatorowie, ministrowie, dygnitarze, którzy coś więcej na świecie znaczą, niż ten pan rycerz Lizdejko, cho-

ciaż od dwóch lat z górą jak się mu powodzi. To prawda, że jeszcze o tej konfederacyi Tyszowieckiej nikomu się nie śniło, a on już dokazywał. Wszelako znam ambicyę panów; toć to być nie może, żeby oni dali się ucziwszy uszy za nos prowadzić przez niego.

— Do kroć dyabłów! czy mnie na złość, wszystko zbaczasz od materyi?

— Słucham, jasnie panie; święte jego słowa. Owóż tedy rycerz Lizdejko, a za nim pan Haraburda, do kolasy co koń mógł wybiedz. Pan Haraburda krzyknął, żeby się szeregi rozwarły. Rycerz Lizdejko kazał jemu i straży oddalić się, bo chciał mówić z wojewodziną bez świadków, a już tak wziął górę, że bezzwłocznie jego rozkaz został spełnionym. Więcej kwadransa z nią rozmawiał, a o czem, chyba jasnie wielmożna pani to wie, jak się z jasnie panem obaczy. Nawet panny Kudrewiczówny nie ma się czego pytać, lubo musiała być świadkiem tej rozmowy, bo mój żydek zauważył, jak go zaprowadzono do tego utrapionego Lizdejki, że jeden młodzian poufalszy z nim od innych ciągle odzywał się do niego jakimś niezrozumiałym językiem, a takimże samym i pan Lizdejko mu odpowiadał, a że nasza pani wszystkie języki posiada, bo byłam świadkiem, kiedy jakiś przybłąda Włoch, słowa nie umiejący ani po polsku, ani po rusku, z małpami zawitał do Dolśka, że z nim mówiła jego mową, jakby była rodowi-

tą Włoszką, ztąd wnioskuje, że musiała pani z nim rozmawiać obcym językiem, a więc niezrozumiałym pannie Kudrewiczównie, która, oprócz ojczystego, żadnego nie zna.

— I cóż to ma do rzeczy? Prawdziwie, chcesz doświadczyć mojej cierpliwości, aż nakoniec się doigrasz, bo waści głupia gadulia nie do wytrzymania.

— Słucham, jasnie panie. Nagadawszy się z J.W. wojewodziną ile mu tego potrzeba było, rozkazał straży, ażeby na nowo otoczyła jej kolasę i powrócił do swoich, gdzie zastał pana Haraburdę tak rozgoszczonego, że przechadzał się z Ogarem, i w dobrej komitywie z sobą rozmawiali, jedno, że pan Lizdejko tę rozmowę urwał: — Ruszaj waszmość co prędzej — rzekł — przed kolasę wojewodziny; masz odemnie co tylko może zapewnić jej bezpieczeństwo, a o jej wygodach waszmość sam pamiętaj. Bywajże waszeć zdrów, i ruszaj co prędzej do swoich. — Czego pan Haraburda dwa razy sobie nie dał powiedzieć, bo zaraz skoczył na koń, dał mu poczuć ostrogi i poleciał do taboru J.W. wojewodziny. A jak tylko kolasy i poczet zniknęły w oddaleniu, rycerz Lizdejko powiedział żydkowi: — Podziękuj Bogu, żeśmy się spotkali z panią wojewodziną; dnia tak uroczystego dla mnie niczyjem nieszczęściem kazić nie chcę; gdyby nie to, kazałbym cię powiesić, żeby

cię od szpiegostwa odzwyczaić. Puszcza cię w świat, możesz śmiało udać się do Dolska; jak obaczysz pana Oleszę, kłaniaj mu się odemnie i powiedz, żeby był gotów nas przyjąć. Spodziewam się jutro z nim widzieć, by go poprosić o oddanie mi swojego zamku. On się nam więcej przyda niż jemu, a jeżeli okaże się twardym, może być pewnym, że i z naszej strony niewiele miękkości doświadczy. — Żydek jeszcze tej samej nocy przybył do mnie, i wszystko mi co do joty opowiedział. Przyznam się jasnie panu, że ta relacya z razu nieco mnie zatrwożyła; ale pomyślałem sobie: to strachy na Lachy! bo jakkolwiek wedle tej relacyi oddział jazdy tego rycerza Lizdejki był silny, jednak bez armat, nawet bez piechoty chcieć dobyć zamek warowny, i jeszcze z taką załogą, zdawało mi się być równie rozsądnem, jak porwać się z motyką na słońce. Wszelako wedle przysłowia, że strzeżonego Bóg strzeże, i tej pogroźki mimo siebie nie puściłem. Natychmiast zrobiłem przegląd mojej załogi, opatrzyłem wały, usiłowałem wyczytać w twarzy żołnierzy co oni myślą, i nic nie znalazłem takiego, coby mogło najmniejszą trwogę wzbudzić. Wszystko mi się pokazało jak najlepiej, a jednak najhaniebniejsze nieszczęście dla mnie dojrzało. Zapomniałem powiedzieć, że ci bandurzyści, których wpuściłem do zamku, żeby za ich sprawą rozerwać tęsknotę JW. pani, w dniu poprzedza-

jącym przybycie pana Haraburdy nas opuścili, sowitą nagrodę otrzymawszy od pani. Im więcej zaciekam się nad niektórymi okolicznościami naszego nieszczęścia, tem więcej utwierdzam się w przekonaniu, że to byli urwisze wysłani przez hersztów Kazimirowskiego stronnictwa, żeby naszą załogę obalamucić. Bo chociaż oni się pokazali w postaci Rusinów, a jednak zauważyłem, że więcej przestawali ze szlachtą, niżeli z nadwornymi kozakami. Mnie to się nie podobało; jakby jakieś przecucie ostrzegało, ale kto mógł przewidzieć co się stanie? Nareszcie trudno było temu zapobiedz. Milicyi nadwornej i kozakom człowiek rozkazuje i ostrą karą ich przekonywa, żeby byli posłusznymi, ale naszą szlachtę prosić trzeba o każdą rzecz, a czego od niej nie uprosisz, tego nie wystraszysz. A jak jasnie panu wiadomo, miałem przeszło dwóch set szlachty, która bogdajby w swoich domach siedziała, bo konfuzya jaka mnie spotkała, nie Ogara, ani rycerza Lizdejki, ale jej była sprawą. Czekam co z tego będzie; aż tu trzeciego dnia, o czwartej z rana, budzi mnie sotnik kozacki, w którym pokładałem i dotąd pokładam największą ufność, Zawalidroga. Wszak i jasnie pan łaską go swoją zaszczycaasz, i pojutrze oglądać go będziesz; on powie, czy w czemkolwiek z prawdą się minąłem. Ja się zrywam i pytam co takiego? a on mnie: niech no pan pójdzie na

wały, a obaczy tyle jazdy, że aż ziemia się pod końmi ugina. Ja kładę zbroję na siebie i z nim wychodzę, każę bić w bębny na alarm i śpieszę na wały, a niedługo cała załoga stanęła pod bronią. Ja na wałach, a wkrótce i całkowita szlachta, żeby w nią piorun trzasł! przy mnie. W samej rzeczy, jak mogłem zauważyć na prędce, było tamtych do tysiąca, ale nie widzę ani piechoty ani armat. Moje były nabite, a przy nich stali puszkarze z lontami zapalonymi. Daję rozkaz, jak tylko tamci na wystrzał się przybliżą, żeby zaraz ich przywitać. A mówię do szlachty: — Przepraszam, że waszmość panów obudzilem; myślałem, że to coś straszego, ale jak widzę, możecie użyć wczasu do woli; ani księżycą zębami nie ukąsisz, ani proporcem i pistoletem muru nie złamiesz. Macają nas, azali na kpów nie natrafili, ale pokażemy im, że oni sami kpy. — Wtem przybliża się ku wałom młodzieniec na przecudnym koniu, w zbroi skłniającej się jakby zwierciadło, z podniesioną przyłbicą, a przy nim trębacz. Czekamy co z tego będzie. Trębacz zatrąbił na znak, że chce coś powiedzieć; ja obracam się do pana Wodźbona, mojego bokowego towarzysza pancernego znaku, i mówię mu: — Ruszaj, waść, pomów z nim, i najspieszniej powracaj, żeby nam donieść czego chcą od nas. — Towarzysz poleciał i po kilku minutach powrócił.

— A co waść przynosisz?—zapytuję go.

— Ten rycerz ze mną w żadne rozmowy wdać się nie chciał. Prosi tylko, żeby go wpuszczono do zamku, gdyż przynosi jakiś rozkaz na piśmie do pana gubernatora i jego załogi.

— Żadnego rozkazu nie przyjmuję od tych panów—odrzekłem—ani ciekawy jestem wiedzieć co na nim stoi. A więc zapowiedz mu waść, żeby wracał tam z kąd przyszedł, a zaniechał nas zatrudniać bez potrzeby.

A szlachta na to:

— Dlaczegoż nie wysłuchać? może z czem dobrem do nas przybywa. Nie zawadzi dowiedzieć się, czego od nas chce choć nieprzyjaciel. Przyjdzie-li z ulepkiem, to mu oddać dobre za nadobne; a jeżeli z groźbą, to mu podziękować, bo kto grozi to przestrzega. Jednego wpuścić można, on ci zamku nie zawojuje. I inne podobne zdania. Rad nierad musiałem od swojego odstąpić, i zezwolić, żeby go puszczono, chociaż to mi wcale nie było do smaku; ale trudno ze swojemi się kłócić, zwłaszcza kiedy nieprzyjaciel pod murami. Bo szlachta tak była rozciekawiona, że gdybym nie uczynił zadość jej woli, gotowaby przeciwko mnie konfederacją podnieść i jeszcze przywołać tamtych na pomoc. Usiłowałem temu zapobiedz, a jednak nic gorszego by się nie stało od tego co się zrobiło. Otóż tu dopiero zaczyna

się scena, bodajby słońce nigdy podobnej nie przyświecało! Wjeżdża na dziedziniec zamkowy rycerz w zbroi, ale bez szyszaka, młodzieniec piękny, z czupryną muskaną w jasne pierścienie, z rumieńcem młodości. Zdało mi się, że nie pierwszy raz go widzę, ale gdzie i kiedy, tego przypomnieć sobie nie mogłem. Proszę, żeby zsiadł z konia i raczył ze mną pomówić na osobności. A on na to: — Na co mamy się chować przed ludźmi? ja tu nie przywożę rozkazu do jednego waszmości, ale do całkowitej braci szlachty tu zebranej. — I dobywa jakiś papier; ja się opieram, mówię, że mając dowództwo, wszelki rozkaz przezemnie tylko ma być ogłoszony, że do mnie należy go przyjąć lub nie, a obcemu znosić się z tymi, co zostają pod moją zwierzchnością, nie pozwolę. A szlachta dawaj szemrać, a najzuchwalej odzywał się pan Przebora, cześnik Rzeczycki, mający u niej takie zachowanie, iż rzeczywiście był jej głową.

— A co to? my w poddaństwo się zapisali, żeby kto o nas, bez nas traktował? My żołdu nie pobieramy, a tylko o swoim chlebie służymy Rzeczypospolitej; nie milicya nadworna pana wojewody, ale my, szlachta, jesteśmy Rzeczypospolitą. My nie służy jak waszeć, ale przyjaciele wojewody. Waszeć rozkazuje swoim kozakom i oficyantom księstwa Dolskiego, a o nas, bez naszej rady i zezwolenia, żaden z nas nie pozwoli stanąć.

Ja się nasrożyłem, każę milczeć i krzyknąłem na rycerza, żeby natychmiast powracał do tego, który go posłał, i zaniósł mu moją odpowiedź, że od nikogo żadnego rozkazu nie przyjmuję, tylko od hetmana wielkiego Litewskiego, od księcia marszałka i od kniazia wojewody Witebskiego, mojego pana, lub od takiego, co od którego z nich jest upoważniony. Ale szlachta jeszcze głośniej zaczęła krzyczeć:

„Życzymy z nami spuścić z tonu, bo żaden z nas waszeci się nie boi. Są między nami tacy, co ich senatorowie, hetmani, a nawet sam król nie wstydzi-li się poradzić, a waszmość myslisz, że bez naszej rady obejść się możesz? Tego się nie doczekasz, a wolałbyś tej zarozumiałości zaniechać. My nie zdrajcy, żeby nas się wystrzegać. Mości kawalerze, nie uważaj waszmość na chimery pana gubernatora, a przeczytaj głośno co masz do nas.“ Miarkuj, jaśnie panie, co się ze mną dziać musiało. W przytomności wysłanego nieprzyjaciela wyglądam jak malowany gubernator, a tu nie było sposobu zachować powagi, bo na nieszczęście milicya była na wałach, a tylko sama szlachta mnie otaczała na dziedzińcu zamkowym; gdybym się jej sprzeciwił, rozsiekalaby mnie, a swoje zrobiła.

Szlachta okrążyła rycerza zawsze na koniu sie-

dzącego, a ja najbliższy stałem, żeby usłyszeć, co nam przeczyta. On zaczyna; aż mrowie przeszło po mnie słysząc wstęp w tych wyrazach: W Imię Przenajświętszej i nierozdzielnej Trójcy! my Senatorowie duchowni i świeccy, urzędnicy ziemscy, grodzcy, rycerstwo, szlachta, stanowiące pełność Rzeczypospolitej zjednoczonych trzech narodów Polskich, Litewskich i Ruskich, zebrawszy się w mieście Tyszowcu, tam pod powagą Najjaśniejszego i Najmiłościwszego Jana Kazimierza króla Polskiego i Szwedzkiego, pana naszego, związawszy się w konfederację rozkazujemy... i tak dalej. Był to kęs niełada do strawienia. Ja ze złości kolejno to czerwieniłem się, to ble dniałem, a szlachta słucha jakby Ewangelii. To było tylko preludium; a jakie były horrenda w osnowie. Dość, że koniec końców był rozkaz, ażebyśmy zamek Dolski oddali panu Lizdejce z wszelką amunicją, nic z niego nie wynosząc; żeby milicya nadworna była oddaną pod jego rozporządzenie, i żeby szlachta w zamku znajdująca się akces do konfederacji podpisała. A kto się temu rozkazowi poważy sprzeciwić orężem, ten, jako niewierny poddany króla, podły obywatel i zdrajca, na majątku, gardle i czei ukaranym zostanie. Ja wytrzymać nie mogłem; do niego przystępuję i mówię mu: — zuchwależe, precz mi z oczów! Gdyby nie to, że jesteś posłanym, każałbym cię na wałach powiesić: — A szlachta: uspokój się waszmość, panie gubernatorze; nas jest wię-

cej, my krzywdy nie pozwolimy wyrządzać temu za cnemu kawalerowi. Wszakże on nam rozkaz przynosi od starszych, niż waszeć. To darmo! my nie urwisze, ani wałesy, my osiadła szlachta. Rozkazu generalności mimo siebie puszczać nie możemy.

— Jakto, ichmość panowie wypowiedacie posłuszeństwo kniaziowi wojewodzie i JW. hetmanowi?

A na to pan Przebora: Gdyby tu był pan wojewoda, znany go o tyle roztropnym, że pewnie nie inaczejby postąpił, jak my postąpimy. A mojem zdaniem, nie opierać się woli króla i narodu, ale oddać zamek i to co w nim jest temu, co tu jest posłany od generalności, i jak najspieszniej podpisać akces do konfederacyi.

— Zgoda, zgoda—krzyknęła szlachta — my tu akcedujem do konfederacyi Tyszowieckiej; i na marszałka naszego powiatu zapraszamy pana Przeborę.

— Przyjmuję z wdzięcznością to, czem mnie obarczycie, bo jestem i będę zawsze sługą waszym. A waszmość, mości kawalerze, donieś o tem coś widział swojemu wodzowi, i powiedz mu, że natychmiast rozkażę otworzyć bramy, żeby w imię króla i generalnej konfederacyi objął zamek.

Tu zaczynam perswadować, żeby takiej niewiary względem jaśnie pana i hetmana naszego się nie

dopuszczali, — że Jan Kazimierz już od dawna prze-  
stał być naszym królem, a ta mniemana konfederacya  
Tyszowiecka jest tylko spiskiem tych, co dla wido-  
ków osobistych pragną zamieszania w Rzeczypospo-  
litej. A pan Przebora: — At, wolałbyś waszeć mil-  
czeć, niż odzywać się nic do rzeczy. Życzę waści iść  
za naszym przykładem.

— Nie, tego nigdy nie uczynię—odrzekłem.

— A kiedy tak, mniejsza z tem; obaczmy jak  
na swoim uporze wyjdiesz. — A na nieszczęście głó-  
wna brama była otoczona przez ludzi należących do  
szlachty; zaraz posłuchali rozkazu swoich panów  
i wrota otworzyli. Tak rycerz Lizdejko wszedł do  
pańskiego zamku jakby do swojego. Ja widzę, że  
i milicya jaśnie pana po większej części z niemi trzy-  
ma, a tylko kozacy pozostali wierni. Z niemi więc  
zamknąłem się w baszcie, i chciałem w niej do upa-  
dłego się bronić. Ale jak rycerz Lizdejko kazał  
pod basztą podsypać prochu, i oświadczył, że jeżeli  
nie wejde w umowę, na powietrze zostanę wysadzony  
z moimi ludźmi, spostrzegłem, że i kozacy ducha straci-  
li, i nie dziw; rad nierad musiałem kapitulować. Na  
rycerza Lizdejkę nie mogę się żalić, bo jużci nikt  
nie odrzeczę się od dobra, które mu trafem w ręce  
wpada. Zemną obszedł się uczciwie, bo pozwolił za-  
brać z sobą tych wszystkich, co zechcą pójść. I tym  
sposobem do półtorasta kozaków jaśnie pana się oca-

liło, bo nie tylko szlachta, ale nadworna milicya  
i całe Dolskie poddaństwo nas odstąpiło i oddało się  
w poddaństwo nieprzyjaciołom pańskim. Ta tylko  
pociecha pozostała, że przynajmniej JW. wojewodzi-  
na bez szwanku dostanie się, albo może już się do-  
stała do Warszawy.

— A żeby waści przez całą wieczność szatan  
taramosił za taką pociechę! Jak to! moja milicya,  
okryta mejmi dobrodziejstwami, moi poddani mnie  
zdradzili? To być nie może! Powiedz, jaki bies ich  
opętał? Wszakże ja byłem dla nich ojcem, a nie pa-  
nem. Szlachcie się nie dziwię, ale poddani, moi pod-  
dani! Kto ich do tak czarnej zbrodni nakłonił?

— Ot wiedz, jaśnie panie, że może oni i nie-  
winni, jak jaśnie pan o tem się przekonasz, jak się  
dowiesz co się stało; a jednak nie śmiem tego wymó-  
wić, bo wiem, że to jest z pomiędzy tych wszystkich  
ciosów, jakie w jednej chwili na Dolsk uderzyły, mo-  
że dla jaśnie pan najdotkliwszy.

— Mów śmiało! bo nie gorszego mi nie powiesz  
nad to, coś już powiedział. Bo cóż można przydać do  
utruty warownego zamku, gdzie większa część moich  
skarbów była zamkniętą? do zdrady moich przyja-  
ciół, sług i poddanych?

— Co do skarbów, jaśnie pan bądź spokojny;  
prócz mnie i dwóch kozaków, którzy jaśnie panu naj-  
dalej pojutrze służyć będą, nikt nie wie, w którym  
miejscu one są zamurowane. A choć jaśnie pan je

niby utracił, i tamci z nich pożytkować nie będą, bo jak się uspokoi w Rzeczypospolitej, jaśnie pan do nich trafisz, chociażbyś nawet wprzód orężem nie odzyskał swojego zamku. Owóż ten rycerz Lizdejko wszedł na dziedziniec zamkowy z częścią swojego wojska, bo reszta już była zajęła wszystkie najważniejsze stanowiska zamku. A przy nim był Ogar, i ten kawaler co go był wysłał, ażeby skłonić załogę do poddania się, a szlachta krzyczała: Wiwat król Jan Kazimierz! wiwat z jego ramienia rycerz Lizdejko! A kiedy się zajmowała sporządzeniem urzędowego aktu swojego akcesu do konfederacji, rycerz Lizdejko kazał sprowadzić milicję nadworną. Ona przed nim stanęła pod bronią. Dopiero pokazał im tego rycerza, o którym mówiłem. „Poddani Dolscy—rzekł do nich—oto jest wasz pan, książę Wojciech Dorohostajski, syn księcia Stefana, który umarł za granicą z tęsknoty za swoim krajem, gdyż za to, iż się ożenił nie po myśli nieboszczki kniahini starościny i żyjącego księcia wojewody, a nie chciał się zaprzeczyć żony, którą pobożemu zaślubił, i matka i brat jego się zaparli, ani żony, ani syna, co go widząc, nie chcieli przyznać za swoją krew. Otóż ja wam oddaję pana waszego, bo jużci połowa wszystkiego, co pan wojewoda posiada, jest własnością jego synowca, dopóki po najdłuższem jego życiu wszystkiego nie zabierze. Aż wtenczas przypomniałem sobie, że kiedyś będąc

w Birżach z jaśnie panem, widziałem tego mniemanego synowca pańskiego. Nazywał się Gaskoldem i był pokojowym u dworu. Wtedy ani mnie, i pewnie ani jemu przez głowę nie przeszło, żeby kiedyś udało mu się przywłaszczyć i dobra Dorohostajskich. Ale do czasu dzban wodę nosi. Dolsk znowu będzie nasz, chyba Pana Boga nie było na świecie.

— Tylko proszę dla siebie zachowaj te uwagi. I cóż moja milicja na to?

— A cóż! zwyczajnie motłoch. Nie ustępowała szlachcie w krzykach radości i zezwolenia; u niego pan niech będzie gorszy, byle tylko nowy. Złości mnie brały, słysząc jak starsi z tem się odzywali, że on tak jest podobny do świętej pamięci księcia Stefana, iż wątpić nie można, że jest jego synem.

— A galgany! a chamy! dam ja im! Jak odbiorę mój zamek, w pień ich wytnę co do nogi.

— I warto, jaśnie panie. Oni zdradzili, bo z nadto mieli rozkoszy. Tyle tylko, że nie można przeżyć ani Lizdejce, ani Gaskoldowi znajomości rycerskiego rzemiosła. Bo co prawda, to prawda.

— I w czem dali się waści poznać z tego względu?

— W tem, iż nie tracąc ani chwili, zajęli się zaraz obroną tego zamku na każdy wypadek. Opatrzyli wszystkie jego zasoby wojenne, poustawiali posterunki jak prawdziwi znawcy, wprzód zrobi-



wszy przegląd załogi, i od razu szlachtę wzięli w kluby. Ja czekałem co o mnie postanowią. Rycerz Lizdejko, choć nie do smaku, jednak po ludzku do mnie przemówił. Powiedział mi: — Ruszaj sobie waść do swojego pana, i pokłoń mu się od nas. Kto zechce wyjść z waszecią, nikt mu nie przeszkodzi, niech sobie z Bogiem idzie; pozwalam wam zabrać z sobą co waszego. — I szlachta i milicya zostali co do jednego, i wręcz mi powiedzieli, że kniazia Wojciecha mają za swojego, a kniazia Daniela znać nie chcą; tylko kozacy mnie odstąpić nie chcieli, wyszli za mną. Rycerz Lizdejko swojego Ogara mianował gubernatorem, a ten zaraz się wziął do zarządu. Jeszcze to wtedy ten niby kniaz Wojciech kazał wynieść na dziedziniec wszystkie srebra pańskie, i zrobił z nich ofiarę Ogarowi; nie sztuka być hojnym z cudzej kieszeni. Aż serce się krajało, patrząc jak dobro pańskie się marnuje. A kiedy Ogar nawet podziękować nie umiał z wielkiej radości, że raptem został bogaczem, bo gdyby takie srebra na kilka folwarków zamienił, jeszczeby się oszukał, otóż przywłaściciel imienia i dóbr jaśnie pana powiedział Ogarowi: — Pożytkuj z tego bez wyrzutu sumienia, bo połowa tego jest moją własnością, a o drugą jakoś się pokombinujemy ze stryjaszkiem. Mamy rachunki z sobą; wszakże on dość długo użytkował z mojej własności.

— Tego się nie doczeka ten bękart. Dawnoby go ziemia zasypała, gdyby nie moja wspaniałomyśl-

ność. Ale ja go znajdę! Będzie on wisiał na wałach tego zamku, którego wrota zdrada mu otworzyła. Nie długo cieszyć się będzie swoją zdobyczą.

— Aż nadto pewny jestem, że milicya jaśnie pana, a tem więcej szlachta, teraz bardzo żałuje, że się ująć dała. Bo ten Ogar tak ich wziął w swoje szpony, że wszyscy czuj duch przy nim. Swoim rozbujnikom wszystko powierzył, między nich porozdzielał wszystkie oddziały załogi, i nawet szlachta musi być im posłuszna, bo powiedział swoim w naszej przytomności: — Macie ich pod waszemi rozkazami, a jeżeli który z nich, czy szlachcic czy nie szlachcic nie spełni waszego rozkazu, palić mu w łeb natychmiast! — Niech Bóg broni, jak wszyscy się ich boją. Gdybyś się jaśnie pan tylko pokazał pod murami Dolska, a ich upewnił, że im odpuścisz zdradę, wszyscy do jaśnie pana przylgną, bo dopiero teraz dowiedzieli się, co to jest bieda; szkoda tylko, że jaśnie pan ani Lizdejki, ani Gaskolda nie znajdziesz w Dolsku.

— A gdzież się podzieli?

— A cóż? Oddali zarząd Ogarowi, zostawili mu swoich ze sto, a natomiast zabrali jeszcze więcej z jazdy, jaką zastali w zamku, a co najboleśniej, kasę pańską, której pilnowałem jak oka w głowie, zabrali i w wielkiej części zaraz roztrwonili, bo jakieś zaległe zółdy zapłacili i swoim i naszym, że do nich przystali. Zgoła, że tak rządzą się w Dolsku,

jak w swojej własności; aż serce omal nie pęka. Ja z mojami kozakami opuściłem zamek; ale uszedłszy parę mil, ich zostawiłem pod rozkazami mojego bokowego towarzysza, który mnie nie chciał opuścić, a którego z tego względu polecam łasce jaśnie pana, i zaleciłem mu, żeby tych wiernych kozaków doprowadził do Słonima, a sam siadłem na wózek, za pieniądze konie po drodze mieniając, żeby jak najprędzej dostać się do jaśnie pana.

— A to wyraźna kara Boga mnie dotknęła! Ja, który tyle lubiłem się chwalić z mojego Dolska, który go miałem za twierdzę niezdobytą, straciłem ją bez oporu, a teraz pójdę na ludzkie pośmiewisko.

— A czyż jaśnie pan nie masz tylu innych zamków? a Chotyński, a Dorswiacki, a Radwonicki, a najwarowniejszy z nich Berezdowski na Białej Rusi?

— At, nie trąb mi w uszy temi zamkami, co mi ich jeszcze ten bękart nie odebrał! Wszystkie razem oddałbym za jeden Dolsk. W Bogu nadzieja, że wkrótce powróci on w moje ręce. O to pokój, ale cóż! ani Lizdejki, ani tego samozwańca w nim nie znajduję. A choć uchwycę tego pana Ógara, który teraz w nim rozkazuje, do niego złości nie mam, i chociaż go powiesić każe, to tylko dla sprawiedliwości, ale dla żadnej mojej pociechy.

— Ale! Zapomniałem jaśnie panu powiedzieć,

że wkrótce, albo może już i teraz, jest w Dolsku ktoś starszy od Ogara, bo słyszałem na własne uszy, jak ten, jak go jaśnie pan słusznie nazwałeś, samozwaniec, powiedział Ogarowi: Wkrótce przybędzie tu moja matka, kniahini Stefanowa; proszę cię, mój Ogarze, bądź dla niej powolnym, i miej ją za panią i właścicielkę Dolska.

— Idźże sobie do kata z twojami szczegółami! Co mnie ma obchodzić ta Niemka? Nigdy waści mądrym nie znałem, a teraz zupełnieś ogłupiał. To darmo! i jak tylko mi oddasz moich pocziwych kozaków, wynieś się z przed oczów moich.

— Czemże zasłużyłem na taką nielaskę pana, któremu od lat czterdziestu służę, żeby na starość nie wiedzieć gdzie się podzieć?

— Eh, bo nie idzie o to, żebym waści posądzął, ale szczęścia nie masz, a nieszczęście tak jest żaźliwe jak dżuma. Gdybyś waść był przy mnie, zupełniebym stracił odwagę. Bo komu tak się nie powiodło jak waści, czy z jego własnej winy, czy nie? cóż on wart? i na co się komu przydał? Waść nie jesteś bez kawałka chleba; masz odemnie dobry folwark w dożywociu, tam sobie osiądź i czekaj śmierci na piernacie, a o wojaczce ani myśl; za nadto waścina służba się przedłużyła u mnie, sam to teraz poznaję— mądry Litwin po szkodzie. A więc kiedy łaska nie pokazuj mi się, aż waści zapotrzebuję, bo waści wi-

dok przypomina mi największą sromotę, jakiej kiedy mogłem doświadczyć. A teraz pójdę obudzić hetmana! niech on poradzi, kiedy z niego tak wielki wojownik.

## ROZDZIAŁ IX.

Na gościńcu ciągnącym się z Kocka ku Białej jest pagórek, wznoszący się nad płaszczyzną całej tej okolicy. Na nim przywabiła podróżnych karczma murowana, a tem samem w owym czasie mogąca uchodzić za osobliwość w Polsce. W ciągu tej długiej wojny właśnie w części kraju, w której się odbywały najliczniejsze jej ustępy, ta karczma wedle dzisiejszego języka byłaby nazwana punktem strategicznym; dawniej tego wyrazu nie rozumiano, ale tylko zdrowym rozsądkiem kierowany każdy dowódca oddziału, znajdujący się w tych stronach, do jakiegobądź stronnictwa należał, usiłował zająć stanowisko, z którego wzrok najobszerniejszą przestrzeń mógł

objąć. To też żaden urzędnik francuzki, teraz żyjący, rozmaitych przysiąg wierności nie wykonał, ile ta karczma przechodziła razy z rąk do rąk, od początku zamieszkań krajowych.

Ale tylko pod względem wojennym i politycznym, bo co się tyczy jej przychodów, te statecznie zostawały w rękach Pinkusa Moszkowicza, arendarza spadkowego tej karczmy, należącej wówczas do ekonomii królewskiej.

Kolejno Szwedzi, Rakoczanie, kozacy Chmielnickiego, chorągwie hetmana Gąsiewskiego, milicyanty księcia Radziwiłła i kniazia Dorohostajskiego, oddziały Kazimirowczyków, samopas wojujących lub uporządkowanych królewskich stronników, zajmowali tę karczmę, opuszczali ją, znowu do niej wracali, tak że nie jedna krwawa potyczka przed jej oknami się odbyła.

Jakie były przekonania polityczne Pinkusa, o tem niikt z pewnością wiedzieć nie mógł, i on sam przed sobą z tego nie umiałby zdać liczby; ale wątpliwości nie ulega, że był gorliwym stronnikiem każdego, któremu się udało zająć jego karczmę, dopóki tylko w niej zostawał. Tak był nawykły do tych nawiedzin, że zdaleka nauczył się poznawać, jakiej partyi żołnierze przybywają do niego; ile razy w krótko trwałych chwilach swojej niepodległości zdala spostrzegał, że jakiś oddział uzbrojony ku niemu dą-

ży, już i wie co to za jeden. I nie tracąc czasu, daje swojej karczmie wszelkie pozory współczucia do jego stronnictwa, a to tym sposobem: uprowidował się w różne portrety sztychowane, które trzymał pod strychem w plewie. A często chodził na strych, dla dowiedzenia się, co się święci w okolicy. Jeżeli jawni się Szwedzi, można było być pewnym, że znajdują na ścianie zawieszony konterfekt Karola Gustawa; jeżeli Siedmiogrodzanie, oczywiście obraz Rakoczego ich uderzy. Tak z kolei luzowali się na gwoździu: król Jan Kazimierz, hetman Gąsiewski, Piotr Mogiła, książę Bogusław Radziwiłł i Rewera Potocki. Przebiegły Pinkus nigdy omyłki się nie dopuścił. I podczas kiedy ta wojna i obca i domowa tyłu ludzi majątnych do żebractwa przyprowadziła, jednemu Pinkusowi szła w korzyść. Prawda, że po kilkakrotnie, i to w pierwszym roku, kiedy jeszcze nie był utartym do wojen domowych, został przez różne przechodzące stronnictwa zrabowany, a nawet obity porządnie, raz przez Szwedów, drugi raz przez kozaków, trzeci przez ochotników Świerszcza. Ale to mu straty rzeczywistej nie przyniosło; a tylko służyło za tekst do skarg na swoje ubóstwo, i wymówki za nieuiszczenie się raty poborcom ekonomii. Bo oprócz okien i kieliszków, cóż jest tak dalece w karczmie do rozbicia? tapczan z kilku poduszkami i tyłuż piernatami, stołków inwalidów ze trzy, skrzynia którą otworzwszy, można w niej było znaleźć stary łapserdak,

szabasówkę, oko kredy, pęcherz barani z tabaką zieloną, parę kłębków niepobielanej nici, kilka tuzinów drewnianych łyżek, kilka tafli zapaśnego szkła do okien, flaszeczkę terpentyny, smółkę do kadzenia i woreczek jałowcu. Zdaje się, że w tem wszystkim nie było nic takiego, coby pobudzić mogło chciwość rabusia.

A jednak nie wyszedł bez jakiegoś szwanku z nawiedzin synów Marsa, i miał czarno na białem spis wszystkich szkód i krzywd, jakich doświadczył, w nadziei że kiedyś rząd, nie wchodząc jaki, ale ten który się utrzyma, ma to wszystko wynagrodzić. Za rzeczywistą szkodę możnaby chyba poczytać gorzałkę, którą żołnierstwo wypilo, nawet dobrem słowem za nią nie zapłaciwszy; ale tej nigdy nad dwa a najwięcej trzy garnce nie było w szynkowni, a swój zapas przezorny Pinkus trzymał w piwnicy tak misternie skrytej i mającej tyle kryjówek, że o nią mógł być spokojny. Przez myśl nie przyszło żadnemu żołnierzowi, zwłaszcza mającemu, że tak powiem, nogi w strzemieniu, tam jej szukać. A co się tyczy szkody poniesionej w szynkowni, tę sobie łatwo wynagradzał, bo tem samem, że padł ofiarą rabunku, który w opowiadaniu jego do bajeczności był przesadzony, w dwójnasób albo jeszcze wyżej podnosił cenę gorzałki dla tych, co darmo jej nie pili.

Co do cielesnych krzywd, jakich doświadczył,

te bezwątpienia były ciężkie. Rajtary Szwedzkie za to, że od nich zażądał zapłaty za ich podochocenie się w jego karczmie, próżny gąsiorek w drobne kawałki na jego łbie rozbili. Kozacy Chmielnickiego znowu pejsy mu poobrywali, a razu jednego rozbójniki Świerszcza wśród białego dnia zniósłszy posterunek kozacki, napadli na jego karczmę, wypili mu wszystką gorzałkę, jaką znaleźli w szynkowni, i jeszcze dopominali się, żeby im dał na drogę. A gdy żył się wzbraniał, rozciągnęli go i okładali nahajami, dopóki zwyciężony bólem, nie oddał im odczepnego, pół tuzina łyżek srebrnych, będących u niego w zastawie, a które trzymał w komorze, ugrząźnięte w kadłubie z jagłami. Przed Szwedami odtąd się zalił na krzywdy, jakich doświadczył od wojujących z niemi Polaków, a przed Polakami opowiadał, co ucierpiał od Szwedów i kozaków za swoje przywiązanie do króla Jana Kazimierza, a tym sposobem najzarliwsi między sobą nieprzyjaciele, każdy ze swojej strony, mieli go za gotowego stronnika.

Wprawdzie niepospolitą dyplomacją Pinkus umiał zdobyć dla siebie to godne zazdrości stanowisko. Z najskrupulatniejszą wiernością bezpłatnie szpiegował wszystkim. Nikogo nie oszukał fałszywym doniesieniem. I ktokolwiek do niego zawitał,

nie miał powodu lękać się zdrady. Tak dalece umiał sobie pozyskać łaskę w najprzeciwniejszych sobie stronnictwach, że wkrótce przestał doświadczać tych uścisków, jakie mu się czuć dawały w początkach tej wojny. Przyszło do tego, że nawet dobra wiara ugruntowała się między nim a najwyuzdańszem żołnierstwem, tak że nawet kredytu u siebie nie odmawiał tym, co przychodzili nawiedzać jego karcznię, a chcieli się uraczyć, mając pustki w kieszeni. A co dziwniejsza, przy drugim lub trzecim spotkaniu często żołnierz, jeżeli zachował życie, jemu się uiszczal, a że dobrze przesalał swoje rachunki, więc jeden co się opłacał, sownie pokrywał straty, jakie mógł mieć z czterech mniej rzetelnych dłużników. Oprócz tego to od jednych, to od drugich kupował za bezcen zrabowane rupiecie, często drogocenne. Zgoła, tak mu się dobrze powodziło, że kiedy wszyscy obywatele, wieśniacy i żydzi, prosili Boga, ażeby koniec przyspieszył temu stanowi udręczeń i pokuty, on jeden życzył sobie, ażeby nigdy pokoju nie było w Rzeczypospolitej, co mu niemało przyciągało sympaty u żołnierzy kraj plądrujących. Bo jak wiadomo, jeżeli wodzowie i wyższych stopni zapaśnicy radziby wojnę, która ich wślawiła, uwieńczyć chwalebny pokójem, żołdak i ochotnik lękają się pokoju, jak morowego powietrza, gdyż w czasie pokoju trzeba poprzestać na żołdzie i wrócić pod kluby karności, w czasie wojny rozwolnionej.

Odkąd po zawiązaniu konfederacji Tyszowieckiej dostojniejsi i doświadczeni mężowie przyjęli kierunek rzeczy Polskich, położenie Pinkusa zaczęło być mniej dogodne dla jego osobistych widoków. Dotąd tylko nieliczne oddziały spotykały się z sobą; był to długi szereg pięknych ustępów, ale na jednorodnej i wyrozumowanej akcji zbywało. Karczma, przez garść żołnierzy zajęta, wkrótce opuszczoną była, póki drugi oddział niewielu liczniejszych przeciwników jej nie zajął. Pinkus był więc stałym gospodarzem, a oni przemijający goście. Ale jak tylko wodzowie głęboko świadomi rzemiosła wojennego, jako Czarnecki, Rewera Potocki, Jerzy Lubomirski i inni, na szerszą skalę przedsięwzięli prowadzić wojnę, zaraz poznali całkowitą ważność pozycyi, której ta karczma była jakoby kluczem. I dlatego ją zająwszy, niczego nie zaniedbali, żeby ją zachować. Pierwszy raz silny oddział piechoty usadowił się przy niej, a nawet pan Siemiątkowski, zawołany artylerzysta, wzmocnił wałami tę pozycyę, i kilkoma sztukami armat ją obsadził.

W samej rzeczy to stanowisko w ręku konfederatów, a silną załogą obsadzone, wielce utrudnić mogło związki między królem Szwedzkim, zajmującym Mazowsze, a Brześciem i Pińskiem, gdzie się zebrała była siła Litwinów, których hetman Gąsiewski i książę Dorohostajski utrzymywali w posłuszeń-

stwie królowi Szwedzkiemu. W ciągu niespełna pół roku, po kilkakrotnie, w poważnej liczbie wysłani, to Szwedzi, to Litwini Gąsiewskiego, usiłowali zdobyć to stanowisko, i o to bywały krwawe, zażarte bitwy. Ale zawsze konfederaci byli szczęśliwsi, i nieprzyjaciela ze stratą odparli. A im więcej przekonywano się z doświadczenia o korzyściach, jakie z zajęcia tego stanowiska otrzymać mogło wojsko w tej okolicy wojujące, o tyle usiłowano je wzmocnić. Coraz więcej szańców dla jego obrony sypano, tak że wkrótce karczma ze swoim dziedzińcem wyglądały jakby jaka twierdza; a w czasie wojny, że zbywało na środkach do wyniesienia gmachów, naryto ziemlanek tyle, że zapas żywności i amunicji, i pomieszkanie dla oficerów i żołnierzy załogi zostały zabezpieczone.

Już odtąd w karczmie statecznie na gwoździach były pozawieszane obrazy Jana Kazimierza i naczelników konfederacji Tyszowieckiej. Pinkus zdawał się nie posiadać z radości, że przecież już jego karczma, jak mówił, przestała służyć za schronienie nieprzyjaciółom prawego króla Polskiego; ale gdyby kto mógł zajrzeć w głąb jego duszy, w niejby wyczytał wcale co innego, niż to z czem się oświadczał głośno, i że niczego tak gorąco nie pragnął, jak pozbycia się swoich opiekunów, nie żeby przyznawał królowi Szwedzkiemu jakieś prawo do korony Polskiej, bo te zadania polityczne aż nadto były dla nie-

go obojętne; nie żeby swawola żołnierska mu dokuczyła, gdyż owszem karność nigdy nie była tak sprężysta w Polsce, jak odkąd wojska zaczęły się tworzyć i walczyć pod hasłem konfederacji Tyszowieckiej. Ale załoga polska kością w gardle mu stawała tem, iż przecięła mu te wszystkie zyski, do jakich od początku wojny był nawykły. Nie można już było nabywać za bezcen plonów rabunku od kolejno przechodzących oddziałów rozmaitych wojsk, plundrujących całkowitą przestrzeń kraju; ani zapychać sobie worka przez kolejne szpiegowanie, to dla jednej, to dla drugiej strony; ani karmić się nadzieją, że kiedyś Szwedzi i ich sprzymierzeńcy uiszczą mu się z kwot nakarbowanych za gorzałkę i miód, co u niego na borg wypili. Nawet te wały w około wzniesione, to przemienienie jego siedziby w jakiś rodzaj twierdzy, wielce mu dokuczały. Bo już nie można było nawet bezstronnemu podróżnemu samowolnie do karczmy przybywać. Straż go zatrzymywała, badała, trzęsła, tak iż nakoniec każdy wołał omijać ją, by choć nałożeniem drogi nie narazić się na podobne przykrości. Pinkus musiał więc poprzestać na zyskach wyszynku dla załogi, ale i te były podkrzesane przez władzę, której był zmuszony ulegać. I tak żołnierzom nie wolno było wchodzić do karczmy, a tylko przed nią im wynosił gorzałkę, i to po jednym kieliszku na głowę. Przy rozdawaniu stali zaufani podoficerowie, którzy

przestrzegali, ażeby z tego pozwolenia nie było nadużycia. Razu jednego kilku żołnierzy z oddziału Świerszcza, który tam stał pod rozkazami hetmana Rewery Potockiego, najostrzejszego wojownika owych czasów, a który właśnie wtedy znajdował się w Potuszy (tak się nazywała ta karczma), poszli w nocy do Pinkusa, u niego się popili i tak zaczęli dokazywać, że patrol, który w nocy obchodził postęrunki, na ich wrzaski wpadł do karczmy i zabrał ich wraz z Pinkusem na odwach. Nazajutrz z rana dowódzca warty poszedł do namiotu hetmańskiego z raportem o tem co się stało. Hetman, który właśnie odmawiał różaniec, przerwał go na chwilkę dla wydania rozkazu, żeby ich wszystkich przyprowadzono. Kiedy przyszli, hetman zawsze zajęty swoim różaniem dał znak, żeby zaczekali; dopiero kiedy skończył dziesiątkę, rozkazał żołnierzom ciągnąć na losy, który z nich ma być ukarany, i tego, na którego zły los wypadł, natychmiast w przytomności swojej kazał rozstrzelać, a żydowi za to, że pomimo zakazu wazył się ich przyjąć, kazał odliczyć dwieście łoz, że o mało ducha nie wyzionął. Poczem skończył przerwany różaniec. Odtąd Pinkus nie považył się zgrzeszyć nieposłuszeństwem, ale nic dziwnego, że po takiej nauce uszkodzony w zyskach, uszkodzony na własnej skórze, nie najlepiej życzył partyi Kazimirowskiej, lubo w duchu może i sam był przekonany, że na to co go spotkało zasłużył.

Rewera Potocki udał się w województwo Bełzkie, zagrożone przez Jurka Chmielnickiego, gdzie miał się złączyć dla wspólnego działania z Jerzym Lubomirskim. Ten kilkakrotnie zwyciężywszy Rakoczego w jego własnym kraju, złupiwszy jego miasta i rozproszywszy jego wojska, zmusił go do zawarcia pokoju z Rzeczpospolitą, do przeproszenia króla Jana Kazimierza, a nawet do wypłaty znacznej kwoty pieniędzy, która użyta została do werbowania i utrzymywania żołnierzy węgierskich na żoździe konfederacyi. Po tak świetnym pokoju już kraj zabezpieczony został od strony Karpatów, a Lubomirski w większej sile, niż ją miał w chwili kiedy rozpoczął wyprawę przeciw Rakoczemu, śpieszył w Bełzkie do Rewery Potockiego, żeby z nim pospołu coś stanowczego przedsięwziąć przeciwko Jurkowi. Chodziły nawet wieści, że na wezwanie konfederacyi król już się pokazał na ziemi Polskiej, i że dąży do Bełzu, gdzie najdostojniejsi wodzowie konfederacyi dla przyjęcia go mieli się zebrać.

Rewera Potocki, kiedy opuszczał Potusze, wszystkim zapowiedział, że wkrótce pan Stefan Czarniecki przybędzie dla objęcia głównego dowództwa od strony Litwy i Mazowsza, i że z sobą tyle wojska przyprowadzi, iż nie będą mieli potrzeby siedzieć jak teraz za wałami, ale że wyruszy w pole za Szwedem, żeby go zgnieść zupełnie, co nie jest niepodobnem,



gdyż posiłki nie tak prędko ze Szwecyi przyprowadzone być mogą, a z drugiej strony wątpliwości nie ulega, że Brandeburczyk w zupełnem jest poróżnieniu z Karolem Gustawem, a nie mogąc nic oglądać się na cesarza niemieckiego, przyjmuje jego pośrednictwo do zgody z królem Janem Kazimierzem. Z czego wnioskowano, że lada dzień pokój z nimi nastąpi, a posiłkowy jego żołnierz opuści obóz Szwedzki, a może wzmocni Polski. Wszakże udając się ku południowi, hetman nie puścił Potuszy na los szczęścia. Zostawił w niej silną załogę pod dowództwem Tomasz Zamoyskiego, herbu Róża, który niejednokrotnie odkrył się piękną sławą od początku tej wojny; i na dowód, jak mu wiele chodziło o zachowanie tego obronnego punktu, zostawił Zamoyskiemu nie tylko Świerszcza, zawołanego partyzanta, ale nawet rycerza Lizdejkę, świeżo przybyłego z Wołynia, a poprzedzonego nową sławą jaką sobie zjednał zdobyciem zamku Dolskiego. Część tylko jego żołnierzy zabrał z sobą, gotując się na krwawe zapasy z kozactwem ukraińskiem, które ostatnich sił dobywało, żeby raz na zawsze wyzwolić się z pod jarzma, jak ich nazywało z przekąsem: Lachów i Wyzuwitów.

Jako się powiedziało, nie tylko konfederaci, ale i ich przeciwnicy wojsk zagranicznych, poznali nakońiec, ile zajęcie Potuszy korzyści zabezpieczało wojsku wojującemu w tej okolicy. Ale tu winna być od-

dana sprawiedliwość Stefanowi Czarnieckiemu, że on pierwszy powziął myśl szczęśliwą wzmocnienia tego punktu, tak żeby był przynajmniej bezpiecznym od wypadkowego napadu. Tomasz Zamoyski z niego wysłał silne podjazdy, które czasem kilka mil naprzód się posuwały, a potem wracały do Potuszy, by mu przynosić wiadomości o obrotach nieprzyjaciela i o duchu mieszkańców. Te podjazdy prowadzone przez wodzów wyćwiczonych w sztuce wojny partyzanckiej, nigdy nie oszukały dowódcy zamkniętego w Potuszy płonną wiadomością, tak że mógł śmiało spuścić się na nie. Tym partyzantom udawało się często korzyści odnosić w utarczkach z nieprzyjacielem, którego jazda była nieco za ciężka, żeby się jej wiodła wojna w zbyt małych oddziałach. Ona była sposobną do decydowania ogólnych batalii, a nie do tych obrotów cząstkowych, w których owszem lekka jazda polska celowała. Oddziały Polskie napadały na Szwedzkie. Jeżeli był stosunek w siłach, robiły im niemałe szkody: jeżeli nieprzyjaciel był mocniejszy, uciekały przed nim aż do Potuszy, gdzie już było dla nich wszelkie bezpieczeństwo. Niejednokrotnie udawało się im przyprowadzić do Potuszy jaki wóz z amunicją lub żywnością, przeznaczony dla Szwedów, jakąś karoceę generalską, jakies luźne konie zabrane w okolicy, nawet ochotników, którzy po drodze do nich przystawali.

Nim jeszcze Tomasz Zamoyski przybył do Po-

tuszy, i kiedy mniej wałów miała w około siebie, Szwedzi po kilkakrotnie usiłowali wstępny bojem ją zająć. Nawet na kilka tygodni wprzód nim on objął dowództwo, a załoga zostawała pod rozkazami Aleksandra Polanowskiego, nocną porą przypuścili na nią atak zażarty, i gdyby nie nadzwyczajne męstwo Polaków i przytomność ich wodza, niezawodnie Potusza byłaby wpadła w ręce nieprzyjacielskie, bo już Szwedzi byli się wdrapali do połowy wzgórza, tak że armaty będące na wałach już im szkodzić nie mogły. Ale Polanowski omal, że nie całą swoją piechotę zabrał na ten zagrożony punkt, i na jej czele po uporczywej bitwie, zepchnął ich nakoniec z góry, że w największym nieporządku wzięli się do uciezki. Pamiętna to była klęska dla Szwedów, bo nie tylko że w zabitych i jeńcach stracili do ośmiuset ludzi, gdyż przed pogońią polską ani jednego ze swoich rannych uprowadzić nie mogli, ale nawet udało się Świerszczowi zabrać jedną armatę i kilka pulwerkarów, i zaprowadzić do Potuszy. A to wszystko pan Polanowski obrócił na pożytek Rzeczypospolitej, własnym groszem wykupiwszy zdobyczą Świerszcza, który jako wszyscy dowódcy ówczesni partyzantów nie pobierał dla swoich oddziałów żołdu, a żołnierzy swoim przemyśłem utrzymywał. Po takiej nauce już Szwedzi zaprzestali kusić się o zdobycie przebojem tej nowo wyniesionej warowni, a tylko czekali,

aż świeże posiłki pozwolą im to przedsięwzięcie odnowić.

Generalność wysłała Aleksandra Polanowskiego, męża równie przydatnego do rady, jak do boju, w poselstwie do Hana Krymskiego, który że coraz w większym nieporozumieniu zostawał z Jurkiem Chmielnickim, tem samem można było puścić wodze nadziei, że okaże się przystępniejszym do jakichś układów z Polską. Generalność nie mogła lepszego wyboru uczynić, bo oprócz zręczności, rozważli i cierpliwości, Polanowski miał i to w przydatku, że ośm lat będąc w jassyrze u Turków, znał wszystkie obyczaje bisurmańskie, i umiał ich językiem tak mówić, jak swoim własnym. I tak zluzowanym został przez Tomasza Zamoyskiego.

Ten wódz niczego tak gorąco nie pragnął, jak wsławić się jakimś nowym a świetnym czynem, nim Stefan Czarniecki przybędzie do Potuszy i da mu inne przeznaczenie. A tymczasem nie zaniedbał dawać dowodów największej przezorności. W przeciągu niespełna tygodnia wszystkie swoje podziemne składy tak pozapeśniał zapasami, że nie tylko jego załoga miała pewne opatrzenie, ale nawet licznemu wojsku na niczemby w niej nie zbywało. A wiedząc, ile próżnowanie jest szkodliwe dla żołnierza, ciągle to go używał do kopania wałów, to go ćwiczył w obrotach wojennych, tak że tyle tylko mu pozwalał wypocząć, ile to było niezbędne do zachowania

w nim czerstwości i siły. A nawet gdy się udało jednemu podjazdowi, który się posunął o mil ośm w głąb kraju ku północy, uchwycić transport kilku kuf gorzałki, i doprowadzić go do Potuszy, kazał na każdego żołnierza rozdać po jednej poreyi darmo, a zabronił wszystkim nie tylko wchodzić, ale nawet przybliżać się do karczmy.

To już było ostatnim ciosem na kieszeń Pinkusa. Nie dość, że żaden obcy nie przybywał do karczmy, ale jeszcze odjęli mu żołnierzy, jedynych konsumentów jego trunków. Żyd miał liczną rodzinę do wyżywienia, i dotąd o to się nie wiele troszczył, bo zarobki tak były znaczne, że już po kryjówkach piwnicy były złożone i posagi dla córek, i fundusze dla rozpoczęcia handlu dla synów, jak dzieci podrosną, i jeszcze coś nadwyż dla siebie samego. Przytem zawód jaki przebiegał, aż nadto mu zapewniał, że te kwoty ciągle pomnażać się będą. Odkąd jego karczma była na stopie wojennej, bezwątowania jego położenie nieco się pogorszyło, wszakże nie do tego stopnia, żeby aż zmuszony był dla własnej potrzeby ruszyć zaklęty zapas, bo siaki taki grosz z rąk żołnierzy do rąk jego przenosił. Ale odkąd te nieszczęśliwe kufy stały przed wałami, tyle tylko mógł zbyć gorzałki, ile sam jej wypił. To już było zanadto dla niego; krzepił się jak mógł czytaniem Biblii, której nie rozumiał, ale kiedy niezbędna konieczność zmusiła go do położenia jakoby świętokradzkiej ręki na swój za-

pas pieniężny, dla kupna kilku korcy zboża, a zboże było drogie, jak zwyczajnie w kraju będącym teatrem wojny, tego pocisku przenieść nie umiał. Przyrowadzony został do rozpacz, a rozpacz jest złą doradczynią.

Przypadała kolej na rycerza Lizdejkę. Noc była pochmurna; doświadczony wódz porozstawiał placówki, objeżdżał je, sam z patrolem chodząc, a nakoniec zapewniwszy sobie i swoich o wszelkiem bezpieczeństwie, zsiadł z konia, i ze swoim ulubionym towarzyszem, kniazem Dorohostajskim, ale zawsze noszącym imię Gaskolda, przechadzał się pieszo, żeby nie zmęczyć koni. Chodzili chwil kilka w milczeniu, dopóki głębokie westchnienie nie wy dobyło się z piersi Gaskolda.

— Wzdychasz, przyjacielu? — rzekł do niego rycerz Lizdejko—jak gdyby smutne marzenia przeważały w twoim umyśle rzeczywistość, która się do nas uśmiecha. Widziałem cię weselszym w czasie, kiedy tak słabe były nadzieje dla sprawy, która nasze przekonanie zhołdowała. Przypomnij sobie pierwiastki naszego zawodu, kiedy z garścią ochotników błakaliśmy się po kraju, w ciągłych potyczkach, bez chwały dla nas, bez pożytku dla kraju, zbratani z walecznymi zbrodniarzami, którzy chęć rabunku pokrywali miłością dla ziomeków,—kiedy cena była naznaczona na nasze głowy, jako złoczyńców. A jednak jakieś przecucia nas wspierały, przecucia, które tak świetnie ziszczają się zaczynają. Dziś już walcym nie jak zgraja wywołańców, ale jak uzbrojeni obywateli, przy hetmanach, przy władzach prawych, przy naszym królu, który lada dzień ma do nas przybyć.

## ROZDZIAŁ X.

Pan Tomasz Zamoyski sam z piechotą swoją ciągle stał przed wałami, a podjazdy konne wysłał w okolice, i te czasem się oddalały tak, że aż w kilka dni powracały z doniesieniami, z plonem i z przybyłymi ochotnikami, najczęściej z szlacheckiego stanu, który jeden i położeniem i czuciem był sposobny do brania udziału w tem wszystkim, co dotykało Rzeczpospolitą. Ale zawsze część jazdy, zwłaszcza nocną porą, odbywała służbę zewnątrz warowni, żeby czasem nie było jakiegoś podejścia. A dozór nad tą strażą kolejno bywał poruczony jednej doby rycerzowi Lizdejce, drugiej Świerszczowi. Bo i ten, lubo nie w tym stopniu jak pierwszy, jednak był pozyskał afność dowódców konfederacyi, i na nią zasługiwał.

Uczucie publicznego szczęścia wszelkie troski wygnać powinno z serc naszych, a smutek ze względów osobistych nie powinien znaleźć miejsca w sercach tych, którym jest przeznaczony działać dla dobra i sławy ogółu.

— Od lat trzech dzielam twoje trudy, wodzu; jakaś część tej chwały, którą sobie zjednałeś i na mnie spada, i szczerze miłuję zawód, któryśmy obrali. A jednak często pomimowolnie, te boje, te mordy, te spustoszenia nagromadzone na gruncie ojczystym, to złupienie obywateli, nie tylko przez ręce najezdnicze, ale i bratnie, sując się przed myślą moją, boleśnie rozdzierają duszę. Wojna wypływa z praw konieczności, ona ukształca narody, jest źródłem szlachectwa, hartuje cnoty publiczne. Z tem wszystkim coś przekonywa sumienie, że ona nie jest przeznaczeniem człowieka, i że jego cele są wcale inne, niż ofiara krwi własnej dla przelewania cudzej.

— I ty to mówisz? ty, który wzbudziłeś w mojej duszy żądę sławy, któremu winienem, że przestałem płużyć żywot w miękkości, że wzgardziłem temi ponętami, które zwykle w sidłach swoich krępują ulubieńców fortuny? Tyś mnie przekształcił na rycerza, a teraz śmiesz potępiać zawód, który dobrowolnie przebiegamy, a w którym uzyskaliśmy w obliczu całego obozu pochwały największego bo-

hatera terażniejszego okresu, niezrównanego Czarnieckiego.

— Pochwały jego były dla ciebie, wodzu, a nie dla mnie, który jestem tylko wiernym żołnierzem twojego znaku. Ale choćby nawet żaden udział tej powszechnej chwały, jakąś sobie zyskał, na mnie nie spadał, sprawiedliwość tobie wymierzona przez najgłówniejszy filar ojczystego gmachu już jest dla mnie sowitą nagrodą. Byłbym najnikczemniejszym z ludzi, niegodnym nazwiska przodków, które przy łasce twojej tuszę odzyskać, żebym do końca nie wytrwał w zawodzie, wybranym przez sumienie i uczucie powinności. Ale czyż grzeszę, kiedy czasem puszczając wodze wyobraźni przyspieszam te błogie chwile, w których uprawiać będziemy ten grunt ojczysty, co go teraz zraszamy krwią i znojem rycerskim? Kiedyż obywatele pod słodką opieką praw i rządu dość silnego, by im wykonanie zapewnić, złożą oręż już niepotrzebny, i bez obawy zaczną lemiem rozdzierać żyzną ziemię, karmicielkę narodów; a ludy ościenne podadzą im bratnie, a nie mordercze dłonie? Wojna trwa tylko od lat kilku, a jak okropne już są jej skutki! W wielu miejscach spotykamy goły step, gdzie jeszcze niedawno wesole siola nęciły podróżnego. A jego niegdyś mieszkańcy z głodu i nędzy giną po lasach, w nich jedyne znajdując schronienia. Te

miasta kwitujące w pokoju, gdzie już się zaczęły budzić handel i przemysł, źródła niewyczerpane bogactwa powszechnego, już po wielkiej części są zasypane gruzami; ci co niedawno jeszcze je zaludniali, albo jak trawa na przekosach padli pod mieczem rozbrykanego żołdactwa i kozactwa, albo jeszcze nie-szczęśliwsi, w jasyrze bisurmanów gorzkie łzy wylewają, przypominając sobie utraconą swobodę. Jak mała jest liczba takich, których ta nawalność niedoli powszechnej oszczędziła! Czyż ciągle datkiem miłosierdzia nie wspierasz starców i niewiast, zamożnej niedawno szlachty, a którzy teraz żebranym chlebem przedłużają nędzny żywot? Bywamy w zamkach obronnych naszych panów. Wały ich chronią od rabunku, ale potrzeby kraju wyzuły ich wewnątrz nie tylko z wszelkiej okazałości, ale nawet z tego, czego się domaga skromna wygoda. Zamiast kobierców i sprzętów, wszędzie gołe ściany. Nie znajdziesz w nich srebrnego naczynia. Miedź nawet złożoną została na ołtarzu publicznym, tak, że stoły właścicieli obszernych włości garnkami i drewnianymi łyżkami są zastawione. A poważne żony senatorów i nadobne ich córki, już nie w jedwabiu, ale w płótnie, często przez nie same tkanem, przyjmują nawiedzających przyjaciół. Pozwól, panie, że kiedy człowiek to wszystko przed sobą, stawi, wolno mu czasem westchnąć.

— A mój drogi! właśnie te kobierce bogate po ścianach zawieszono, te srebra pod którymi stoły się uginały, te jedwabie i złoto, którymi nasze kobiety się pokrywały, przyprowadziły Rzeczpospolitą o ten smutny stan, nad jakim wzdychasz. Błogosławiłbym jej terazniejszym klęskom, jeżeli przez nie obywatele odwykną od tych zbytków podkopujących posady państw, a rozpraszać będą dostatki prywatne. Ani upadek miast mnie nie zasmuca. Nie jest to w naszym przyrodzeniu zamykać się w murach; nam potrzeba stepów i lasów, w których swobodniej się od-dycha. Mieszkaniec miasta będzie zawsze dla nas cudzoziemcem, albo tubylcem wynarodowionym. Jeszcze trochę cierpliwości, a szlachcic odhartowany kilkoletnim niedostatkiem podniesie strzechę gościnną, siola się odbudują, a wypoczniona ziemia sówiciej niż kiedyś wynagrodzi rolnika, który na nowo otworzy jej łono. Ubolewam nad losem mieszczan, jęczących w jasyrze tatarskim, i tych którym niedola skon przyśpieszyła, a jeszcze więcej nad nędzą, której od początku tej wojny padają ofiarą rozproszeni po lasach nasi włościanie; ale obywatel nie żyje samoistnym żywotem, szczęście i życie winien poświęcać dla dobra ogółu, dla pomyślności następnych pokoleń, a wewnętrzne przeświadczenie, iż dopełnił swojej powinności, aż nadto wynagradza wszelkie ofiary, jakie z siebie mógł uczynić.

— To co mówisz z takim zapalem, wodzu, i ja czuję, ale ofiary, które pospołu czynimy, są dla ciebie łatwiejsze, bo twoja bohaterska dusza nigdy dostępną nie była ponętom miłości. Nie pojmiesz, co to jest mieć za nieodstępного towarzysza myśli obraz ukochany, którego wzoru nie masz nadziei oglądać na jawie, od którego jesteś przegrodzony niecofnionem przeznaczeniem. Gdybyś mógł mieć o tem wyobrażenie, wyznałbyś, że wszystkie najdotkliwsze męki są niczem w porównaniu cierpień tego, który dźwiga brzemień nieszcześliwej miłości.

— Przyjacielu! jakkolwiek wiesz, ile mi jesteś drogim, są jednak tajniki, których najpoufalsza przyjaźń odsłaniać nie powinna. Rozważ te słowa mężkim umysłem, ile razy zboleła twoja dusza zapragnie szukać ulgi, wynurzając się w łono przyjaciela. A znam cię tyle szlachetnym, że z podobnej słabości się wydzwigniesz. Nie ci takiego nie mówię, czego byś nie zrozumiał. A co do mnie nie myśl, że bym był nieczułym. I ja mam kochankę, której obraz wspiera mnie w krwawych zapasach, i podwaja mężtwo moje. O niej nigdy nie przestanę myśleć; ale moja miłość dla niej zdradzała się przez czyny, a nie przez wzdychanie. Tą kochanką jest ziemia, w której są zasypane kości wszystkich moich naddziadów i moich braci. O żadnej innej kochance myśleć mi niewolno. O! jakże się cieszę jej szczęściem, że jej

małżonek, nasz król, który był zmuszony ją opuścić, wraca do niej, i że w tej chwili może już jest w jej objęciach. Ale czy nie słyszysz przed nami tentu koni?

— Nie inaczej! może nieprzyjacieli! Na koń bracia, do bronii!

Na ten głos donośny, a zawsze prowadzący do zwycięstwa, cały oddział zbliżył się do wodza, już siedzącego na koniu, i uszykował się w porządku.

W samej rzeczy silny oddział konny przybliżył się do nich o kilkadziesiąt kroków i stanął.

— Kto idzie?—krzyknął rycerz Lizdejko.

— Swój!—odpowiedział dowódca oddziału.

— Niech żyje król Jan Kazimierz! i jemu wierna konfederacya Tyszowiecka!

— A to nasi, chwała Bogu! — Rozkazał dowódcy przystąpić, ten jak najspieszniej spełnił dany rozkaz.

— To nasz Grzeszniczek! Jak się masz, panie bracie? Dawnośmy się nie widzieli. A z których stron przybywasz?

— Aż z po pod Słonima; do niego nie mogłem dotrzeć, bo tam są opiekunowie, hetman Gąsiewski z wojskiem litewskim, z odrobiną Szwedów i częścią milicyi tego łotra Bogusława Radziwiłła.

— Tylko proszę z umiarkowaniem mówić o dostojnym ministrze Rzeczypospolitej.

— Co to za minister, co jej nieprzyjaciołom pomaga!

— To do waszmości nie należy; są tacy, którzy o tem stanowić będą. Dotąd on nie jest odsądzony od swojego urzędu, i my winniśmy to mieć na względzie. Waszmość wiesz, że ja nie pozwalam z lekceważeniem mówić o naszych przeciwnikach, którzy są krwią krwi, i kością kości naszych. Dopiero przyszły sejm, da Bóg doczekać, nauczy nas, czy mamy ich szanować, czy niemi pogardzać, a nie nasza rzecz o jego wyrokach przesądzać. Jakież waszmość nam wiadomości przynosisz?

— A cóż! Litwini bardzo nam są życzliwi, a tylko z musu nam się sprzeciwiają. Bo już im Szwedzi zanadto się naprzykrzyli. Boją się otwarcie za nami ogłosić, żeby ich kraj, który jakoś w całości się zachowuje dotąd, tak nie wyglądał jak nasza Małopolska. Miły to kraj ta Litwa. Tu same pustki, a tam jeszcze wszystkiego dostać można. Wiozę z sobą kilka fornalek dobrze naładowanych z łaski tamecznych obywatelów. Mam płótno, skóry, sukno, wiktuały, które złożę w Potuszy. Jest czem nakarmić i odziać załogę. A za naszą fatygę co łaska dowódcy, o to targować się nie będziemy. A co do tego co się tam dzieje, panu hetmanowi Gąsiewskiemu nie bardzo po myśli poszło. On zebrał siły i chciał iść na spotkanie konfederacyi do Małej Polski, ale

kniaź Dorohostajski od niego się odłączył, żeby odebrać swój Dolsk. Hetman i groźbą i prośbą na niego nalegał, żeby go nie opuszczał, ale na upór nie było lekarstwa.—A co to? — odpowiedział — ja się w poddaństwo oddałem panu hetmanowi, żebyś mną obracał wedle swojego widzi mi się? Jak odzyskam moją szkodę, będę mu służył, bo nim pójdę wojować pod rozkazami pana, muszę wprzód postarać się, aby było o czem wojować. Pan mi nie nagrodzisz mojej straty, a więc jej zaniedbać nie myślę. A czy to Dolsk funt kłaków, żebym o nim zapomniał? — Karności u nich niewiele, kiedy Dorohostajskiemu udało się na swój własny rachunek wojować, i zostawić hetmana przy nie tak potężnej sile, żeby na wielkie rzeczy mógł się porywać. A jednak nie odstępował od swojego zamiaru, i widać, że trwa w ostatecznym przedsięwzięciu spróbowania się w Małej Polsce z panem Stefanem Czarnieckim; bo wątpliwości nie ma, że posuwa się ku Brześciowi.

— Waszmość to wszystko po szczegółach opowiesz panu Tomaszowi Zamoyskiemu, który jest teraz naszym dowódcą.

— Ale, ale! Oprócz wiktuałów, które przywożę z sobą, udało mi się złowić dwa ptaszki, jednego wczoraj. Jest to żyd, któremu z oczu tak źle patrzy, że gdyby nie te nowe rozporządzenia, które konfederacya Tyszowiecka wprowadziła, byłbym go kazał



powiesić, ale teraz tego nie wolno. A drugiego dziś jeszcze, i to prawie pod Potuszą. Jestto, jak mówi, szlachcic rycerskiego rzemiosła, a jednak chociaż pokazny, nie chce mi się wierzyć w jego dzielność rycerską, bo w dwóch rzemiosłach razem trudno być mistrzem. A on tak pięknie gra na lutni, i tak miłym głosem śpiewa, że nawet za dawniejszych czasów, kiedy to człowiek oprócz Pana Boga nikogo nie znał nad sobą, gdyby był wpadł w moje ręce, ja choć nie bardzo miękkiego serca, darowałbym mu życie, lubo podejrzewam go, że musi być szpiegiem.

— I na czem waszmość to podejrzenie opierasz?

— Na tem, że w jego mowie jedno drugiego się nie trzyma. Przyznaje się do tego, że jest dworzaniem księcia Radziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, a utrzymuje, że w te strony się udaje, żeby z naszymi się połączyć, gdyż sprzyjać ma królówi Janowi Kazimierzowi. Powtóre, mieni się być herbowym szlachcicem, a gra na lutni jak Niemiec. A czy kto słyszał kiedy, żeby brat szlachcic znał się na podobnych rzeczach? Po trzecie, mówi o sobie, iż jest Litwinem, o czem sama jego wymowa tak przekonywa, że nie ma potrzeby szukać na to innych dowodów, a znowu mówi, że ma jakiś ważny interes do księcia Jerzego Lubomirskiego, marszałka nadwornego koronnego. Jakby książę Jerzy, z antena-

tów pan Małopolski, mógł mieć jakiś interes z Litwinem!

— Muszę oddać sprawiedliwość logice waszmościej. Udasz się więc z swojemi, oraz z tem i z tymi, których ci się udało po drodze zachwycić, do pana Zamoyskiego, za wały, a ten i wami rozporządzi i postanowi o żydzie i szlachcicu. Jednak proszę na kilka chwil tego szlachcica przed nami stawić. Mówi, że jest dworzaniem księcia marszałka; łatwo się przekonać, czy on ładaco, czy coś dobrego. Wszakże Gaskold nasz kolega zna wszystkich dworzan Birzańskich, gdyż z niemi długi czas kolegował.

Przyprowadzono szlachcica:

— Zkąd i dokąd? i co jesteś za jeden? — zapytał rycerz Lizdejko.

— Dokąd się udaję? o to już nie mnie, ale waszmość panów zapytać trzeba; ale relację mojej podróży ał ovo wypada wyprowadzać. Jadę z Birzów, i z nich jechałem, dopóki nie zagrzałem w Słonimie. A Bóg świadek, że jechałem do waszmość panów, stronników naszego króla, którego Majestatowi chciałem zanieść poddańskie posłuszeństwo. Ale gdy miałem zaszczyt spotkać się z waszym oddziałem, który ma szczęście być posłusznym wielmożnemu jegomości panu Grzeszniczkwowi, nie mogę się zalić, żeby mnie chciał rozpieścić zbytkiem gościnnos-

ści. Bo wręcz oświadczył i wielką chęć powieszenia mnie na pierwszej gałęzi, i żal, że tej chęci nie może skutecznie, z powodu nowych rozporządzeń generalności, która tylko wyższym od niego w stopniu wodzom ten przywilej zostawiła. Ale nie omieszkał dodać: nie będziesz waść wisiął w lesie na gałęzi, ale w Potuszy postaram się u wodza, żebyś wisiął na szubienicy. Z tem wszystkiem winienem podziękować, że odkąd mnie usłyszał grającego na lutni i śpiewającego rycerskie piosnki, odtąd okazał się dla mnie łaskawym, i nawet obiecał za mną dobre słowo powiedzieć w Potuszy temu, od którego los mój będzie zależeć.

Na te słowa Gaskold na cały głos się rozśmiał.

— Jak się masz, kochany Dawidzie? po ciemku nie mogłem cię poznać, aż dopiero głos twój mnie oświecił. Ale wiedz, Dawidzie, że stoisz przed rycerzem Lizdejką, którego tylko najezdnic obcy, nie poczciwy ziomek obawiać się powinien. Wodzu, pozwól niech ci przedstawię Dawida Odyńca, mojego wielce drogiego przyjaciela, tak, że przez dość długi czas, póki nie opuściłem Birzów, co moje, było jego, a co jego, było moje. Za jego uczciwość ręczę z najmniejszą śmiałością, jakbym ręczył za własną. On jest ze wszech miar godny łaski wodza, a że mówi, iż chce przystać do nas, ja zaręczam, że tak jest,

a nie inaczej. A przybędzie nam dzielny żołnierz, i w pierwszej potyczce przekona pana Grzeszniczka, że jego biegłość w muzyce bynajmniej nie uszkodzi zdolności rycerskiej.

— Wielce są pochlebne dla mnie te słowa JW. kniazia. Dowiedziałem się w Słonimie, że pan odzyskałeś swój dziedziczny zamek za sprawą rycerza Lizdejki, którego pociemku widzieć nie mogę, ale jego głos miałem szczęście gdzieś słyszeć. Głos miły, słodki, prawdziwie bohaterski, a który we mnie obudził jakieś dawne wspomnienia.

— Na tem nie masz potrzeby zatrzymywać się, mości Dawidzie, zwłaszcza, jeżeli żądasz bym był twoim przyjacielem — rzekł rycerz Lizdejko nieco surowo — poczem dodał łagodnie: — Cieszę się, że jest jedno wspólne uczucie między nami. Książę Dorohostajski, który jeszcze jest dla nas Gaskoldem, zgłosił się ze stateczną przyjaźnią dla waszmości, a ja pochlebiam sobie, że nikt odemnie nie jest bliższy jego serca.

— Ach, panie — na to pan Dawid obracając się do kniazia — pozwól, żebym ci z serca powinszował zaszczytu tobie należnego, a o którym aż dopiero kilka godzin przed mojem przybyciem dowiedziałem się od poczciwej staruszki, niejakiej pani Korkuciowej, wielce przywiązanej do kniaziowej Wilhelminy, czciwej matki waszej kniaziowskiej mości. A bądź

panie pewny, że tyle go kocham, iż z duszy rad jestem z jego wysokiego położenia, chociaż mi już nie pozwala tej poufałości, bym się ośmielał nazywać przyjacielem tego, o czyję łaskę tylko przystoi mi się starać.

— Nie, mój Dawidzie, jeszcze jestem dla wszystkich Gaskoldem, a dla ciebie być nim nie przestanę nigdy. A nie tracę nadziei, że służąc pod rycerzem Lizdejką, to imię Gaskolda sprostą świetnością starożytnemu imieniu Dorohostajskich.

— Wkrótce noc się skończy, nie mamy czasu do stracenia. Zdaję na ciebie, Gaskoldzie, straż zewnętrzną Potuszy, a sam śpieszę obudzić dowódcę w swoim namiocie spoczywającego. Waszmość, mój panie Grzeszniczku, za mną ze swoim oddziałem, z żydem i z wszelką swoją zdobyczą. Żyda dowódcę wybada, i postanowi czy ma być ukarany jako zbrodniarz, czy wynagrodzony za niewinnie ucierpiany ucisk. Wszakże nie omieszka waszmości podziękować za jego ostrożność, która w czasie wojny nigdy nie może być zbyt dobrą. A pana Odyńca zostawiam z Gaskoldem; dawni przyjaciele mają z sobą wiele do mówienia, być może że o rzeczach, które do nas wcale nie należą. A kiedy po wschodzie słońca druga straż naszą zluzuje, będę miał zaszczyt przyjąć go w Potuszy.

Rzekł, i natychmiast zlecenie spełniać się zaczęło. Ciężko obciążone wozy Grzeszniczka, a na

jednym z nich żydek związany, posunęły się ku wnijściu warowni, a za nimi oddział znużonych długim pochodem żołnierzy, prowadzony przez rycerza Lizdejkę, obok którego postępował Grzeszniczek.

## ROZDZIAŁ XI.

Kiedy tamci odeszli, pan Dawid swobodniej oddał się uczuciom radości, jakie w nim wzniecało spotkanie się niespodziane z przyjacielem, ile że miał już zapewnienie, że to nowe położenie Gaskolda jemu przynależne, ale równie niespodziewane jak świetne, w niczem nie ma uszkadzać ich dawnej poufałości, a nawet dano mu samemu do poznania, że w niniejszych okolicznościach jeszcze wypada mu zachować to przybrane nazwisko, jakim swoje prawdziwe pokrywał.

— Gaskoldzie — rzekł do niego — ile jestem szczęśliwy, że przecie upewniłem się o twojem życiu

i powodzeniu. Długi czas po twojem zniknięciu z Birzów chodziły wieści, żeś zamordowany został przez kniazia Daniela; to pewna, że byli i tacy, którzy te wieści zbijali więcej mnie pocieszającymi wiadomościami, — wszakże grubą pomroką było zakryte twoje przeznaczenie. Doświadczałem tego nieznośnego stanu, że ani przypuszczałem twojego zgonu, ani nie śmiałem pocieszać się nadzieją, że kiedyś będę ciebie oglądał. Dopiero co przed kilkoma dniami upewniłem się, że żyjesz, ale ani mi w głowie nie powstało, żebym tak prędko się z tobą połączył. Albo rycerz Lizdejko! Wszakże nie mogąc po ciemku rozpoznać rysów jego twarzy, a tylko słysząc jego głos, który zdawał mi się być cokolwiek znajomym, wpadłem na myśl, która coraz więcej potwierdza się w mojem przekonaniu, że on nie jest tem czem się wydaje, i że...

— Słuchaj, przyjacielu, nigdy nie usiłuj domyślać się tajemnicy u swoich, chociażby domysł był rzeczywisty, jeżeli oni ją pragną mieć ukrytą. Bo tego nie nagrodzisz sobie zaspokojeniem ciekawości, cobyś utracił na zmniejszeniu ich życzliwości ku tobie. Żyjemy w czasach trudnych, wywołanie dotąd na nas ciąży, sama roztropność nakazuje nam tać nasze nazwiska, a skoro my je taimy, nasi przyjaciele nie powinni ich zdradzać. Rycerz Lizdejko być może, że jest tem czem się wydaje, a nie kim innym,

a jeżeliby było inaczej, bądź pewny, że nigdyby ci nie przebaczył, gdybyś usiłował to przeniknąć, o czemby nie chciał żeby wiedziano.

— Ja się tu niczego nie domyślam, a jeżeli się wyraziłem z czem niepotrzebnem, to nie w złej myśli, ale zwyczajnie z dyskursu.

— Na tem koniec, mój przyjacielu; dobrej głowie dość dwie słowie. Więc do nas chcesz przystać, Dawidzie?

— Nie inaczej, chyba że mnie przyjąć nie zechcecie. A źlebyście zrobili, bo możesz za mną słówko powiedzieć rycerzowi Lizdejce, że wiesz z doświadczenia, iż mogę się do czegoś przydać. Wszak nasze wojenne koleżeństwo nie musiało jeszcze wyjść z twojej pamięci. A ja postanowiłem sobie, że pod inny znak zaciągnąć się nie chcę, tylko rycerza Lizdejki.

— Nie słówka, ale długich mów za tobąbym nie szczędził, gdyby to było potrzebne. Ale już cię mam za naszego kolegę, bo nie ma wątpliwości, że zostaniesz przyjętym. Jednak dziwna rzecz, że nas szukałeś.

— Dlaczego, wszakże i ty się tu dostałeś?

— Co do mnie, rzecz bardzo prosta. Od początku tej wojny razem z wami broniłem sprawy naszego króla, a kiedy książe, w którego dworze oby-

dwaśmy się żywili, wierność swoją przeniósł do przeciwnika, już w dalszych jego postępkach żadnego nie miałem udziału, i wkrótce Birze opuściłem. Ale ty Dawidzie, ulubiony dworzanie księcia marszałka, najzaciętszego naszego przeciwnika, najgorliwszego przyjaciela Karola Gustawa, że chcesz przystać do naszych znamion, jest to rzecz tak dziwna, tak niespodziewana, że ledwo uszom moim wierzę, słysząc to od ciebie.

— I cóż w tem tak nadzwyczajnego? Żyjemy w takich czasach, że ludzie najwytrwalsi z jednego do drugiego obozu przechodzą bez niczyjego zgorszenia, bo złe gorszy, dopóki nie wejdzie w obyczaj. Pany o wszystkim u nas stanowią, a jeżeli my, biedna szlachta, na przekór własnemu przekonaniu, że na ich wozach siedząc, ich piosenki śpiewamy, Bóg widzi, na pobłażanie zasługujemy. Wiele robi kto musi; gdyby człowiek zawsze robił co chce, nie byłby szlachcicem, ale panem. A i pany nie zawsze idą za swoją skłonnością, i oni ulegają okolicznościom. Omal, że nie wszystkie magnaty Litewskie są teraz przyjaciółmi króla szwedzkiego, i tę przyjaźń stwierdzają, narażając swoje zdrowie. Bo na jego rozkaz biegną nie na tańce, nie na uczyty, ale tam gdzie świszczą kule. A z tem wszystkim, gdyby zajrzeć

w ich serca, nie wieleby się takich znalazło, co mu szczerze sprzyjają. Jeden za nim gardłuje, bo mu wygodniej iść za szczęściem, niż narażać się dla sprawy, której się nie powodzi; drugi, bo ma znaczne dobra, któreby nierad stracił. Inny, a pomiędzy pocziwemi takich najwięcej, myśli sobie: To darmo! my już u siebie sami gospodarować nie będziemy, a więc między cudzemi iść za takim i takiemu pomagać, który zdaje się być najlepszym, a przynajmniej najmniej złym. Mam-li wpaść w garście tureckie lub tatarskie, czy tego rozbójnika Rakoczego, albo co jeszcze gorzej, zbuntowanego chłopstwa, a sto razy bezpieczniej mi będzie ze Szwedem, bo nic złego się nie dzieje z temi ludźmi co żyją w jego poddaństwie, jako Niemcom tylu księstw rzeszy, a nawet naszym braciom Pomorzanom, których to jeszcze Gustaw Adolf wcielił do swojego własnego państwa. Każdy z nich w duchu o nic innego nie obwinia króla Jana Kazimierza, tylko że nie ma szczęścia. I po części nie można na nich kamieniem rzucić, że się zrażają niepowodzeniem, i pragną bezpieczeństwa swojego i swoich rodzin. W Litwie powtarzają, że kiedy pan Białożor, koniuszy Litewski, siedemdziesięcioletni starzec, wymawiał panu hetmanowi Gąsiewskiemu, że odstąpił dla Szwedów króla Jana Kazimierza, poczytując mu to za ciężki grzech przed Bogiem, ten miał mu odpowiedzieć: — „Gdyby Pan

Bóg sprzyjał królowi, toby mu nietrudno było dać mu więcej szczęścia. A że go sam odstąpił, pewnie mnie nie ukarze za to, że poszedłem za jego przykładem“.

— Co za nikkzemnik!

— Bał trzeba brać ludzi za ludzi, a nie mieć ich za coś większego. Nie każdemu być bohaterem, a dopiero męczennikiem dobrowolnym. Teraz lepiej okolo Jana Kazimierza, i przyjaciół też mu przybywa. Co do mnie, zabierałem się do was przystać, kiedyście jeszcze nie mieli ani hetmanów, ani senatorów, i kiedy was wieszano jak hultajów; ale bo też ja nie mam nic do stracenia. Na co patrzę, to cudze,—a co uchwyćę, to moje. Czysty mi zysk iść na zbrojną włóczęgę; ale niechbym-no miał własną wioseczkę, a dopiero żonę i dziatki, może nie byłbym lepszym od drugich. Fortuna toczy się na kole, a z nią razem i przyjaźnie, i zasady, i przekonania ludzkie. A czy to dawno, jak w Małej Polsce wszyscy pod niebo wynosili Rakoczego? Szlachta za nim przepadała, ale jak pan Jerzy Lubomirski raz i drugi porządnie go przetrzepał, czyż wielu przyjaciół zachował? Ani jeden szlachcic nie poszedł za nim do Siedmiogrodza. A że nie mając o czem nachodzić Rzeczpospolitą, upokorzył się i pokój podpisał, że już go nikt się w Małej Polsce nie boi, to też najzaufańsi jego przyjaciele te-

raz psy na nim wieszają. Natury ludzkiej nie prze-robisz. Wam lepiej idzie—już i w Litwie zaczynają za wami tęsknić. A niech no nam uda się pobić Szwedów, ale tak, żeby aż pomyśleli o powrocie do domu, to się nie opędzim od przychylnych Karolowi Gustawowi Litwinów, tak będą do nas przystawać. Niech król Szwedzki wtedy nie rachuje ani na Tyszkiewicza starostę Żmujdzkiego, ani na Obuchowicza wojewodę Smoleńskiego, ani nawet na hetmana Gąsiewskiego, chociaż ludzie mówią, że on jest u niego okiem w głowie. Każdy się ukloni przed wschodzącym słońcem po jego zachodzie. Może jeden książę Dorohostajski, wojewoda Litewski, podzieli jego złą dolę, nie żeby go więcej od tamtych w duchu miłował, bo kogo taki człowiek może miłować, ale że szlachcie tyle krzywd narobił i na zdrowiu i na mieniu, że gdyby statut Litewski, który teraz śpi, raptem się przebudził, a pewnie się przebudzi, jak tylko się karta przewróci, to gdyby żył Matuzalowe lata, nie wysiedzi wszystkich wież, coby je na nim szlachta uzyskała. A może czegoś gorszegoby się doczekał niż wieży, bo nad nim coś cięższego wisi; a wszakże on w Dolsku nie mało zakonników utopić kazał! Proszę miarkować, ile się musi obawiać powrotu króla Jana Kazimierza, bo zwłaszcza ta ostatnia okoliczność pewnie książęciu wojewodzie nie ujdzie na sucho. Ale źle robię, że osmielam się tak otwarcie mó-

wić o książęciu, gdyż, jakem się dowiedział, on będąc blizkim...

— Dajże pokój — przerwał Gaskold z pośpiechem — jak widać z tobą każda nauka idzie w las. Wróćmy do swojego. To co mówisz o innych, trafia i do mojego przekonania. Ale nie wspomniałeś o naszym niegdyś panu, księciu marszałku wielkim Litewskim, a przecie on jest między niemi najpotężniejszy.

— A jak ci się zdaje? Coby on robił, gdyby szczęście porządnie się uśmiechnęło do króla Jana Kazimierza?

— Ile go znam, przewiduję, że i w takim nawet razie jego pojednanie z królem jest niepodobne. Raz, że trzebaby się przed nim upokorzyć, kęs za twarde dla tak wyniosłego męża; powtóre, i to jest najważniejsze, że stojąc na czele dyssydentów Litewskich, i będąc sam tak gorliwym wyznawcą wiary helweckiej, przeniesie utratę majątku i dostojęństw, i wygnanie, nad życie pod panem, który w jego obliczu jest fanatycznym i zaślepionym poplecznikiem, jak go nazywa, obrządku Rzymskiego. Czy to raz słyszeliśmy w Birzach, jak się odzywał przeciwko królowi, z jakim przekąsem mówił o jego przywiązaniu do Jezuitów, dodając, że sam był Jezuitą? Pamiętasz, jak to wkrótce po uczynionej przez siebie submissyi

Karolowi Gustawowi, na zjeździe panów szlachty dyssydentów w Trokach, w głosie do nich mianym, powiedział: — „Teraz trzymajmy się gorliwie Najjaśniejszego króla Szwedzkiego, i nie żałujmy ani majątków, ani krwi naszych, ażeby ustalić to szczęście, które zwycięstwami swojemi zniewolił. Bo jeżeli Jan Kazimierz, broń Boże powróci, nasze świątynie, gdzie czyste słowo naszego Zbawiciela, wyzwolone od wszelkich wymysłów ludzkich, daje się słyszeć, gruzem będą zasypane. Sprawa Najjaśniejszego Karola Gustawa jest sprawą Boga, a sprawa Jana Kazimierza jest sprawą mnichów“. Na co się macie próżną nadzieją? Prędzej uwierzę, iż Karol Gustaw wróci królowi naszemu tę koronę szwedzką, którą sobie przywłaszczył, niż że książę Bogusław Radziwiłł odnowi hołd poddaństwa swojemu prawemu panu.

— Gadaj sobie zdrów! A ja wiem, że nie tak się rzeczy mają. Książę życzliwy królowi szwedzkiemu, ale wszystko nie to co było. I między niemi są niesnaski. Aż nadto książę mógł się przekonać, że król jemu nie dowierza, i że mu zostawuje więcej władzy pozornej, niż rzeczywiście. A czyż to tylko jemu jednemu? Gąsiewski hetman, jak zdaje się być położonym u niego! I w oczy i za oczami powtarza: — Gąsiewskiemu omal że nie więcej ufam, niż sobie samemu — a jednak z miejsca nie ruszy, żeby nie był

pod okiem jakiegoś generała szwedzkiego, który o każdym jego kroku donosi. W cudzym wzniesieniu zupełne zaufanie, jest to chcieć przyrodzenie ludzkie na jakie inne zamienić. Czy wiesz, że kiedy przyszła do Birzów pierwsza wiadomość o nowym wybuchu na korzyść króla Jana Kazimierza, i o zupełnej porażce Karolsona, książę więcej okazał zadziwienia niż smutku? I po kilkakrotnie powtarzał: Tęgi Czarniecki, nie ma co mówić. Za kim taki bohater się ogłosi, ten rozpaczać nie powinien. Obaczycie, że to jest tylko prolog, a sama sztuka będzie straszną. — Jeszcze to wtedy książę Daniel wymówił naszemu księciu, że chwali pana Czarnieckiego, a ten mu odpowiedział: — Niech król szwedzki, tak zaufany w swoich, przemie pozna co wart Polak, choć przeciwnej partyi. A co się tyczy fanatyzmu rzymskiego naszego króla, ten bezwątpienia wzniesie jakieś obawy między nami dyssydentami, bo każdy przynajmniej w swoich stosunkach z Bogiem potrzebuje być swobodnym. Ale i to wiemy, że nigdy królowi panowie nasi nie dopuszczą mieć takiej siły, żeby mógł narzucić swoją wiarę tym obywatelom, którzy inną wyznawają. Ta chęć nawracania już się dała we znaki Janowi Kazimierzowi, tak, że jeżeli utraconą koronę odzyska, pewnie nie puści jej powtórnie na losy wzniesieniem wojny domowej. Jeszcze gdyby Karol Gustaw ze swojemi Szwedami zupełnie tak wierzył jak my, toby



może mógł więcej rachować na naszą stałość. Ale on luter, a my kalwini. A im więcej wiary są do siebie zbliżone, tem się więcej ich wyznawcy nienawidzą.

— Jest coś w tem co mówisz, Dawidzie. Ale członkowie Generalności inne mają przekonanie. Rycerz Lizdejko mi mówił, że ksiązę Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, jeden z najroztropniejszych i najdzielniejszych naszych wodzów, a krewny księcia Bogusława, dał się z tem słyszeć w jego przytomności, że ma nadzieję jednego po drugim wszystkich stronników partyi szwedzkiej do nas przyciągnąć, byle się nam poszczęściło, nawet hetmana Gąsiewskiego. Że tylko księcia Bogusława nie ma podobieństwa pojednać z królem po takich dowodach nienawiści, jakie sobie dali nawzajem.

— O! niech-no ksiązę Lubomirski daruje mi parę chwil posłuchania, a wcale inaczej mówić będzie. Na co w bawełnę mam obwijać? Ja do was przystaję z przekonania; z tem się nie tailem w Birzach, że lada dzień drapnę, i to wprzód jeszcze, nim się porobiły historye Tyszowieckie, a wam Pan Bóg dał pierwsze błogosławieństwo, odkąd Szwedy do nas zawitali. I to tak otwarcie oświadczałem, że moje słowa dochodziły do uszów i księcia samego, i księżnej pani, czem jednak nie straciłem ich łaski. A kiedy po nas zaczęły chodzić wieści, że co pocziwego w Małej Polsce, to nakoniec z wami trzyma,

już mnie nie zatrzymałyby nie zdołało w Birzach, i zabierałem się podziękować za służbę księciu, mojemu panu. I wedle mojego zwyczaj, chciałem mu otwarcie powiedzieć: — Jestem szlachcic, wolno mi pójść za mojem przekonaniem. A że to przekonanie jest za królem Janem Kazimierzem, a więc przychodzę do księcia pana z prośbą, aby raczył przyjąć moje uwolnienie się z jego zawsze dla mnie miłej służby, i dał mi swoje błogosławieństwo. — Bo nie chciałem splamić mojego nazwiska, uchodząc pokryjomu z domu, jakby jaki złodziej. A jeżeliby ksiązę nie chciał mnie odprawić, to już z czystem sumieniem byłbym mu nieposłuszny. Ale kiedy już to moje postanowienie miałem uskuteczyć, ksiązę pan poseła po mnie, i sam od tego zaczyna, że mu wiadomo, iż pragnę moją osobą zrobić akcess do nowej konfederacyi związanej w Małej Polsce; że nic nie ma przeciwko temu, bo szanuje przekonanie szlachcica, który z serca, a nie z musu winien iść za zdaniem swojego pana, równego jemu urodzeniem i prerogatywami szlachcica. Że tego nie zniesie, abym bez jego opatrzania miał się wydalić w tak oddaloną stronę. I obdarzył mnie (niech mu Bóg Najwyższy na tym i na tamtym świecie wynagrodzi) prawdziwie po pańsku. Ale tem mnie dobił, gdy dodał: — Nie przestaję mieć waści za domownika mojego. I jeżeli waścinej no-dze się powinie, przybywaj śmiało do Birzów, a w

nich zastaniesz mnie dla siebie takiego samego, jakim byłem dotąd. A staraj się widzieć z księciem Jerzym Lubomirskim, moim krewnym, który ma dla mnie jakieś obowiązki. Między czterema oczami kłaniaj mu się odemnie, i jakoś z niego wyrozumiej, czego mamy się spodziewać od króla Jana Kazimierza, na wypadek, jeżeliby mu się udało na nowo zostać naszym królem. I jak będziesz mógł najprędzej daj mi wiedzieć to wszystko, o czem się w tym względzie dowiesz, a co ci nie dopowiem, tego się sam domyśl: mądrej głowie dość dwie słowie.

— Wielce mię to, co mówisz, uszczęśliwia. Trzeba, żebyś to wszystko powtórzył przed rycerzem Lizdejkiem, a tem zaskarbisz sobie jego łaskę. Chwała Bogu, tak rozwidniać się zaczęło, że już cię mogę widzieć w twojej własnej postaci, a nie rozpoznawać cię po głosie w ciemności, jak dotąd. Nic się nie odmieniłeś, a jednak przeszły trzy lata, odkąd ostatni raz widzieliśmy się z sobą. Nie tak jak ja, któremu każdy dzień coś uroni z młodości; przyznaj, Dawidzie, żebyś mnie nie poznał, gdybym się nie odezwał do ciebie?

— Prawda, że od razu poznaćby cię nie mógł, ale nie żebyś się zestarzał, tylko, że nieco inaczej wyglądasz. Zamiast podgolonej czupryny, włosy pierścieniste wydobyte z pod szyszaka igrają z wiatrem, podobne do fal morskich. Wąs zawiesi-

sty zajął miejsce tego mchu, który dopiero zaczynał się wysypywać w czasie naszego dworskiego koleżeństwa. Ta cera, której dziewiczej białości pierwsze nasze wyprawy uszkodzić nie mogły, dziś ogorzała od kilkoletniego znoju, ma już ustaloną rycerską barwę. Jest coś w tobie zmężniałego, tak zwiastującego nadzwyczajną siłę, która cechuje wasz ród, że ten co się rozstał z tobą przed laty, już poniekąd nową zawierać musi znajomość. Ja kilkoma latami starszy, jestem takim samym jakim mnie znałeś; ale ty luboś ostrogi świetnie zyskał pod księciem, któremu my obaj dworakowali, byłeś młodzieńcem, a teraz jesteś uzupełnionym mężem.

— Poznają cię, Dawidzie, po tym poetycznym sposobie, jakim się tłómaczysz. Wieszcz, artysta i żołnierz, szczęśliwie łączysz w sobie to, co stanowi siłę, sławę i ozdobę narodu. Musisz być mistrzem, kiedy twoja lutnia zdołała obudzić jakieś współczucie dla ciebie w okrutnem sercu Grzeszniczka. W chwilach, w których nam wolno zrzucić z siebie twarde pancerz, i złożyć szyszak, popisywać się będziesz przed rycerzem Lizdejkiem, który jest wielkim znawcą, a nawet sam jest artystą. Po sławie, muzyka jest to co najnamiętniej miłuje. Przewiduję, jak często będziecie z sobą śpiewali. Rycerz Lizdejko jest mężem nadzwyczajnym. Dla niego próżnowanie jest nieznośne; nigdy go nie widziałem bez

jakiegoś zajęcia. Po ciężkich pochodach, przeplatanych walkami, kiedyśmy wszyscy oddawali się spoczynkowi, on się włóczy po naszych posterunkach; opatruje, czy wszystko się odbywa, jak się należy, czy każdy dopełnia swojej powinności. A po tych nowych trudach przychodzi do kwatery dla niego przeznaczonej, ale nie prędko udaje się do spoczynku. Albo jakąś książkę wydobędzie z swojej podróżnej walizki i czyta, albo jakie pół godziny pogra na fletrowersie, i dopiero zwalczony naturą pozwala sobie snem pokrzepić omdlewające siły. Jakież - bo też szczególne zdrowie! W jak silnem ciele ta szlachetna dusza obrała sobie mieszkanie!

— I zawsze w pochodach wozi z sobą książkę i fletrowers?

— Zawsze. I kiedy inni starają się uprowadzić torbę kielbasą i wędzonym sadłem, żeby nie przestać na suchym chlebie, który nie zawsze nawet dostać można, u niego w niej jest tylko kilka książek. Żołądek puszcza na los szczęścia, a ku temu tylko obraca baczenie zapobiegliwe, żeby jego głowa znalazła gotowy pokarm. Jest to wódz, jakich niewiele nawet w kronikach; bo to na koniu harcuje jak Tatar, bije się, jak towarzysz pancernego znaku, a żyje tak, że nie wiem, czy Kartuz poprzestałby na strawie, jakiej często używa. Wina tak dobrze jak-

by nie znał ze smaku. Razu jednego obóz sprawował ucztę dla pana Czarnieckiego. Wszyscy pili co się w gardło wlało, sam pan Czarniecki, choć znany z trzeźwości, jednak podochocił się. Rycerz Lizdejko jak mógł wypraszał się; nie było sposobu wymawiać się od spełnienia jednego kieliszka za zdrowie naczelnego wodza. Ale potem tak się rozchorował, że nam wszystkim strachu nabawił, omal że nie przez całą dobę. I odtąd, ile razy się znajduje na jakiej uczcie, wodę tylko pije, i nikomu przez myśl nie przechodzi naglić go do kielicha, bo jego zdrowie nam wszystkim zanadto potrzebne, byśmy go nie szanowali. U niego aby kawał czarnego chleba, i szklanka mleka, to i nie pragnie obiadu, a jeżeli mleka nie dostanie, wodą tak chleb popija, że aż miło patrzeć. A jaki skromny w obyczajach! Kiedy kto w jego przytomności odezwie się z czemś zanadto rubasznem, jak to zwyczajnie bywa u ludzi naszego rzemiosła, tak się rumieni, jak szesnastoletnia dziewczica. Niech cię Bóg broni, Dawidzie, od wszelkiego przy nim zapomnienia w tym rodzaju; zaraz wypadłbyś z łaski. On z tem często daje się słyszeć, że człowiek ponury może być dobrym wodzem, ale rzadko bywa z niego dobry podwładny. Ztąd lubi wesołość i do niej zachęca, ale tylko o tyle, o ile w niej nie ma Boskiej obrazy.

— A to osobliwszy wódz! Ostrzejszy dla sie-

bie, niż pustelnik starodawnych czasów. Wina nie pije, swawoli nie lubi, i zamiast żywności opatruje się książkami. Dziękuję tobie za przestrogi. Będę się pilnował, żebym czasem przed nim z czemś niepotrzebnem się nie wyrwał. Bo przyznam się, że choć łaskawie się obszedł ze mną, tak, że od razu za serce mnie uchwycił, a już go się boję.

— Bał ty nie pierwszy! W jego oddziale, który wcale nie szczupły, jest taka karność, że cuda dokazuje. My wszyscy go się boimy, że żadnemu z nas przez myśl nie przejdzie, by rozkaz przez niego dany mógł nie być wykonany; najniepodobniejsze rzeczy dały się przez nas skutecznie. Daję ci na to słowo szlacheckie, i jeżeli z nami trochę pobędziesz, sam się o tem przekonasz, że gdzie tylko rycerz Lizdejko pokazał się ze swoim oddziałem, nigdy naszym noga się nie pośliznęła. Bywało koło nas kręto, bo czy to raz zdarzało się jednemu z trzema mieć do czynienia, a zawsze bez szwanku umiał nas wyprowadzić. Jest to wódz, mało powiedzieć, doświadczony, ale natchniony. Prawda, że my staramy się jego myśli uprzedzać, ale on zgaduje myśli nieprzyjaciela i nigdy się nie omyli. My się go boimy, ale też nieograniczoną ufność w nim pokładamy, i to jest podstawą tej bezprzykładnej w wojsku polskiem karności, jaką on umiał wprowadzić. Bo nie tylko, że nie jest skorym do karania, ale nigdy przykrego słowa

nie powie podwładnemu. Razu jednego, mając do czynienia z kozakami Chmielnickiego, dał rozkaz jednemu rotmistrzowi swoich znaków, żeby nie ruszył z miejsca, a dopiero, jak się cofać będą, żeby na nich natarł. Nam się szczęśliwie udało, ale że Nasuta, takie było nazwisko tego rotmistrza, zanadto wcześniej uderzył na kozaków, im się udało ujsć od pogoni, z czego nasza korzyść nie była tak wielką, jakbyśmy ją mieć mogli. Otóż, kiedy już było po wszystkim i zatrzymaliśmy się dla wypocznienia, rycerz Lizdejko tyle tylko powiedział: — Dziękuję wam, bracia, w imieniu króla i narodu, żeście się tak w dniu dzisiejszym popisali, ale jeszcze czulejby wam podziękował, gdyby pan rotmistrz Nasuta był się ściślej trzymał instrukcyi odemnie danęj. — I to mówiąc, na niego ani spojrział. Cóż powiesz? Biedny Nasuta tak to uczuł, że wyraźnie potem śmierci szukał, i znalazł ją też wkrótce pod Bazalią, gdzie jak kiedy będziesz, obaczysz grób i pomnik, jaki mu kazał wystawić rycerz Lizdejko, ażeby jego pamięć nie zginęła między ludźmi. Razu jednego pan hetman Potocki, niemniej z ostrości względem podwładnych, jak z wielkich czynów słynny w narodzie, powiedział mu: — Revera (bo takie jego przysłowie), od dwóch tygodni jak waszmość zostajesz pod moim rozkazem, nie dałeś mi ani razu powodu do narzekania. To tylko podziwiam, że mając zbieraninę z różnych części kraju, ani karzesz swoich ludzi, ani

nawet na nich krzyczysz.—A rycerz Lizdejko na to: — A po co mam ich karać i łajać, kiedy na to nie są służący? Ale oto pan Swierszcz ze swoją komendą przybywa, ażeby nas zluzować. Ruszajmyż do Potuszy, gdzie cały dzień mamy do spoczynku. Tam się jeszcze lepiej obeznasz z rycerzem Lizdejkiem, który cię przedstawi JW. Zamoyskiemu, i oświeci cię o dalszem twojem przeznaczeniu. Ulokuję cię w moim namiotku, ale wprzód oprowadzę cię gdzie potrzeba. A potem, niech to będzie między nami, położę się i do południa wyleżę, bo nie jestem rycerzem Lizdejkiem, który snu i strawy tak dobrze jak nie potrzebuje; dyabelnie czuję się być zmęczonym. Oj ta wojna, źródło i hart prawdziwego szlactwa, jest rzeczą piękną, ale kiedy już się skończy, że tylko w pamięci istnieje. Nieraz tak człowiekowi tęskno, iż końca tych zamięszań doczekać się nie może, że aż wstyd. A jednak czuję, że jak się uspokoi w kraju, za ledwo jakie półrocze zakosztuję błęgiego pokoju, będziemy tęsknić za nową wojną. Bo takie nasze przyrodzenie, że tam dobrze, gdzie nas nie ma.

To wyrzekłszy, siadł na konia, a drugiego kazał podać Odyńcowi; poczem przybliżył się do Swierszcza, i zluzowanie posterunku odbyło się wedle wszelkich prawideł wojskowości. Pan Dawid, który dość był obeznany z rzemiosłem, ażeby to umieć

ocenić, nie mógł się dość wydziwić nad porządkiem, jakiego był świadkiem i omal że nie w zachwyceniu przebył z Gaskoldem tę przestrzeń, która oddzielała posterunek od wałów Potuszy.

stanowcze wypadki historii, było skutkiem konieczności.

W szlachcie wyłącznie pozostawała siła chroniąca narody od obcego podboju, i pokąd się nie poznano z ognistą bronią, ta siła była dostateczną, i w rzeczy samej innej być nie mogło. Bo gdy rzemiosło rycerskie opierało się wyłącznie na sile i zręczności osobistej, tem samem tak długiego ćwiczenia wymagało, że aż potrzeba było kasty jedynie jemu oddanej, a wychowaniem, nałogiem i podaniami do niego usposobionej; kmieć lub mieszczanin, najwięcej barczysty, nie zdołałby dźwigać ciężkiej zbroi, upod którą szlachcic tak lekko się związał, jakby tylko miał na sobie odzież wełnianą, właśnie dlatego, że od lat dziecińczych do niej się wzwyczajał. Trzeba było szlachcicowi być obdarzonym od przyrodzenia siłą fizyczną, żeby zadość uczynić swojemu powołaniu, ale ta siła na małoby się mu przydała, gdyby wychowaniem i doświadczeniem jej nie rozwijał. Wychowanie też jego nie czem innem było, tylko ciągłym rozwijaniem siły i zręczności. Uprawy umysłowej, wedle znaczenia, jakie do tego wyrazu przywiązuje niniejsze pokolenie, nie było. Szlachcic często ani pisać, ani czytać nie umiał; jakążby cenę mógł przywiązać do sztuk i nauk? Za ledwo muzyka i poezya bohatera podbudzały w jego duszy współczucie. A jednak nie był barbarzyńcem; bo

## ROZDZIAŁ XII.

W czasach, które opisuję, wojska regularne były wszędzie małowliczne, a w Polsce bardziej niż gdzie indziej. Mniej więcej w całej Europie obrona narodów była powierzona stanowi szlacheckiemu jakiejś niewielkiej ilości plebejuszów wybranych, obdarzonych od przyrodzenia duchem wojowniczym, a którzy pragnęli do tego stanu być przypuszczonymi. Później dopiero, kiedy użycie ognistej broni ułatwiło rzemiosło żołnierskie, wodzowie zaczęli werbować Szwajcarów, rajtarów, lancknechtów, którzy za pieniądze sprzedawali swoją krew, czem stopniami ułatwiała się poetyczność z zawodu rycerskiego. Ale i to wynaturzenie tego zawodu, jako wszystkie

jeżeli ukształcenie niczem innym nie jest, tylko zastosowaniem do czynu prawideł, nie mogących być zaprzeczonemi w obliczu rozumu i sumienia, a których urzeczywistnienie wymaga nieustających ofiar, oczywiście każdy prawy chrześcianin, jakkolwiek obcy wszelkim naukom świeckim, jest mężem ukształconym. Jużci jeżeli kunszta, nauki, filozofia nie tylko ozdobą cywilizacyi, ale mają być jej podstawą, bez względu na stan moralny ich uprawiaczy, a więc ów władający światem uczeń Seneki, mistrz w filozofii, muzyce, wymowie, wierszopistwie i igrzyskach scenicznych, byłby więcej ucywilizowanym, niż Karol Wielki, porządkodawca Zachodu, rozprze-strzeniacz chrystyanizmu, zwycięzca zdziczałych ludów, założyciel pierwszej wszechnicy europejskiej, a który podpisywać się nie umiał. Wiem, że to utrzymywać można, a nawet uczenie dowodzić. Wszakże jest w sumieniu jakaś siła, która podobnemu wywodowi intuicyjnie oprzeć się musi.

Cywilizacya naszych wcale nie uczonych przodków miała za podstawę głębokie uczucie powinności, a to wpływało z dwóch źródeł: nauki Kościoła ogłaszanej przez kapłanów zarówno uczonym jak i prostaczkom, i podania przekazanego od pokolenia do pokolenia. Pierwsza nauczyła ich co mają wierzyć,— drugie, jak mają postępować. Obudwom przyznawano samowładztwo tak dalece, że niktby nie pojął,

izby rozum indywidualny mógł w czemkolwiek z pod nich się wyłamać. Wierzę jak mój Kościół, czynię to co czynili moi przodkowie. Oto był cały kodeks stanu szlacheckiego, który w owym czasie wyłącznie zajmował scenę historyi.

Bezwątpienia surowe przekonania kasty były pod pewnym względem poświęceniem siły, i nie przeczę, że ta siła fizyczna, bez której sama waleczność nicby nie znaczyła, zanadto miała szacunku, i zanadto przyznawano jej prawa. Ale i to wątpliwości nie ulega, iż na niej wyłącznie opierała się niepodległość narodów; dla narodów nie było środka; trzeba im było ulegać częstym wybrykom dumy i porywczności stanu szlacheckiego, który piastował siłę zastosowaną do obrony kraju, albo schylić karki pod jarzmem i bułatem wyznawców Koranu, jedynych zewnętrznych nieprzyjaciół jeszcze nie doświadczał (\*). Tu wybór nie mógł być wątpliwym.

Zrazu może kto powie, że w takim stanie rzeczy, gdzie siła jest wszystkim, sama intelektualność

---

\*) Państwo wschodnie było wielce ucywilizowane, wedle znaczenia, jakie pospolicie przywiązujemy do tego wyrazu. Kwitnęły w niem nauki, kunszta, przemysł i filozofia. A jednak w całkowitości pochłonięte zostało

zmeteryalizować się może, a wtedy społeczeństwo wpaść musi w Chińszczyznę, albo, jak dowcipnie powiedział jeden mój krytyk: w jakieś arystokratyczne baragolstwo. Ale to nastąpić nie mogło właśnie dlatego, że był drugi żywioł społeczński, przeważający pierwszy w opinii powszechnej, a z którym siła materialna żadnej nie miała styczności. Stan duchowny był upustem dla inteligencji społeczńskiej, i w nim i przez niego odbywał się rozwój umysłowy narodów chrześcijańskich. I nic więcej nie udowadnia mądrych rozporządzeń Opatrzności, jak ten podział siły i inteligencji w dwóch kastach, z której jedna była dzie-

---

przez bisurmanów, którym Zachód tak dzielnie umiał się oprzeć. Tego fenomenu niczemu innemu przypisać nie można, tylko, że w państwie wschodniem, obcem ruchowi feudalnemu Europy, nie była się wyrobiła kasta wyłącznie piastująca siłę materialną, która jedna w owym czasie mogła wyratować ciało społeczńskie. Na Wschodzie był patrycyat, ale nie było szlachty, której przeznaczenie sam jej źródłosłów tłómaczy. Dziś nawet, mimo postępu umysłowego Europy, gdzie tylko się pozbyli szlachty, tam mogą być paroksyzmy wojenne, ale ducha wojennego nigdy nie będzie. Jeżeli logika rozumowań temu zdaniu zaprzeczy, przynajmniej logika faktów je stwierdza.

dziczną, a druga ciągle się odnawiała ze wszelkich źródeł narodowych.

Rzecz prosta: intelligencya jeszcze nie była obmyśliła środków, któremi by siła materialna mogła być przeważoną przez siłę umysłową. A że [siła materialna, zastosowana do rzemiosła wojennego, musiała być wyłącznym udziałem kasty jemu poświęconej, więc o ile szlachcic oddawałby się kształceniu umysłowemu, o tyle w jego osobie społeczeństwo doświadczałoby szkody na swojej obronie i bezpieczeństwie; a z drugiej strony, gdyby intelligencya narodowa była puszczoną odłogiem, narody wydziedziczone z postępu zaskorupiałyby w formie szorstkiej a statecznej, z którejby nakoniec wszelka żywotność się ulotniła.

Od tych ostateczności chrystyanizm zachował społeczeństwa, w jakich zdołał wzniecić ku sobie wiarę, żadnym obcym żywiołem nie zboczoną. I tak szlachcic, jeżeli był obdarzony od przyrodzenia siłą fizyczną do przyjęcia wychowania rycerskiego, jemu się oddawał, i z niego czerpał wszystkie przymioty i wady stanu uprzywilejowanego w narodach i przez ich potrzeby, i przez prawo konieczności. A jeżeli w tem był upośledzony, dla uniknienia pogardy, jakaby go niezawodnie spotkała między rówienikami, wprawionemi do użycia oręża, i znoszenia znojów rycerskich, obierał sobie stan duchowny, piastujący si-



łę innego rodzaju, a przed którą szlachcic okryty sławą i nieugięty w swojej bucie czoło schylał, nie dlatego, że ta siła była dźwignią postępu i ukształcenia powszechnego, bo na tem poznać się nie umiał, ale że była piastowana przez poświęconych, według jego przekonania, mężów, którzy mu rozkazywali nie w imieniu własnej mądrości, do jakiejby najmniejszego nie przywiązywał szacunku, ale w imieniu Boga, jedyne go szafarza wszelkiego dobra doczesnego i wiecznego (\*). Opinie narodowe wyrażają się w ich obyczajach. Są one wypływem koniecznych ich potrzeb; ale i to pewna, że pomimo usunięcia tych potrzeb, one trwają uporczywie i bardzo powolnie się przekształcają. A zwłaszcza w naszym społeczeństwie to się widzieć dawało. Już za ostatnich Pia-

\*) Wzgarda, jaką czuła szlachta dla przemysłu, kunsztów i nauk, była niesprawiedliwa, ale logiczna. Sprawiedliwość winna być oddana duchowieństwu, że ono to uczucie ujemne umiało prostować, kiedy dokazało, że przyznano prawo i przywileje stanu szlacheckiego mistrzom siedmiu nauk wyzwolonych, chociażby nie zanie urodzonym. Że szlachta na to zezwoliła, był to może najświetniejszy tryumf, jaki chrystyanizm otrzymał nad siłą brutalną. Bo już cywilizacya oprzeć się mogła na niewzruszonej posiadzie.

stów, a cóż dopiero za Jagiellonów, nauki kwitnęły w stanie świeckim; już ogniste bronie były rozpowszecznione; już posiadaliśmy mężów, którzy nie tylko siłą i odwagą osobistą, ale stosowaniem głębokiej sztuki otrzymywali zwycięstwa, a jednak szlachta uporczywie trwała w swoich przesądach, i o ile tylko od niej zawisło, w organizacyi swojej wojennej trzymała się trybu dawnego.

I tak: w okresie, który przedstawiam, wodzowie ochotników własnym przemysłem ich utrzymywali, czyli po prostu żyli z rabunku; więc każdy z nich w swoim oddziale miał w ręku swoim szafunek stopni, nagrody, zasług i kar za przewinienia. Tym sposobem był samowładnym panem swoich ochotników, jednakże dopóty tylko, dopóki ci chcieli mu być posłuszni. A jednak w ciągu tej wojny, pomimo nieśtałości szczęścia, nie było przykładu, aby wódz został opuszczonym przez swoich podwładnych, tak silne jest spowinowacenie między uzbrojonym tłumem, jakkolwiek uporządkowanym, a uczuciem honoru. Marszałkowie konfederacyi wojewódzkich i ziemskich, a w ich niebytności regimentarze, naczelnicy swoich pospolitych ruszeń, wprawdzie nie samowolnie, ale wedle przepisów prawnych rozrządzali stopniami w hierarchii władz nad uzbrojoną szlachtą, która im była posłuszna. Hetmani i regimentarze generalni tylko w kawaleryi narodowej i wojskach

zöld stały pobierających, mianowali oficerów i rozciągali pełną szczegółową władzę.

Jednak i pospolite ruszenie, i wodzowie oddziałów wolnych ochotników zawsze ślepo wypełniali ich rozkazy. Bo nad nimi wszystkimi wznosiła się władza tajemnicza generalnej konfederacji. Byle kto od niej otrzymał upoważnienie, ipso facto nie było w obrębach możności ludzkiej rzeczy, którejby nie otrzymał. Kto nie uznawał konfederacji, dla takiej ona była niczem; ale byle kto do niej uczynił access, czy to senator, czy to urzędnik, czy prosty szlachcic, już najmniejszego oporu jej woli nie przypuszczał. Im mniej umiał wyrozumować naturę tej władzy, tem więcej był jej uległym, tak dalece, że nieposłuszeństwo przybierało w jego przekonaniu niejaki cechy świętokradztwa. Każdy wiedział tyle tylko, że konfederacja generalna była konwulsją praw, że była przejściem czasowem z rządu normalnego i prawnego pod rząd przechodowy i osobisty, i dlatego nikt nie umiał stawić jakiegokolwiek granicy jej władzy. I „to, czego król z sejmem nie zawsze wyprosili od narodu, konfederacja jednym rozkazem z niewypowiedzianą łatwością otrzymywała.

Kiedy oddział rycerza Lizdejki po swoim zlurowaniu wrócił do Potuszy, nikt się o niego nie troszczył, tyle tylko, że Gaskold zameldował swój powrót generałowi dziennemu. A potem poszedł do

swojej ziemianki z Dawidem Odyńcem. Przedstawienie tego ostatniego JW. Zamoyskiemu odłożone zostało na dzień następny, gdyż wielce był zajęty, raz, że oczekiwał pana Stefana Czarnieckiego, któremu świeżo generalność powierzyła władzę nad wojkiem zupełnie taką, jaką mieli hetmani, to jest, prawo życia i śmierci; a obok tego żyd przywieziony przez Świerszcza tyle podejrzenia w nim obudził, że wziął się do najściślejszego badania, gdyż pragnął wyświecić cały interes przed przybyciem JW. Czarnieckiego. Na to zwołał do swojego namiotu radę wojenną, do której i rycerz Lizdejko i Świerszcz zaproszeni zostali. Obwieszczono w całym obozie, że oprócz generała dziennego nikomu nie wolno do naczelnika przez całą dobę przystąpić. Zostawmy na czas Potusze, i to co się w niej robiło, a cofając się nieco, przenieśmy się do Polesia Litewsko-Wołyńskiego, i do działań kniazia Daniela Dorohostajskiego.

Już czytelnikowi wiadomo, że poróżnienie między hetmanem Gąsiewskim a kniazem Danielem było najgłówniejszym skutkiem zdobycia zamku Dolskiego przez rycerza Lizdejkę, i że kniazia nie już wstrzymać nie mogło od skutecznienia powziętego przez niego zamiaru odzyskania ojczystego zamku. Napróżno hetman i prośbą i groźbą usiłował go wstrzymać; napróżno mu przekładał, że ich połączone

sily są dostateczne, iżby sobie zwycięztwo obiecywać nad wojskiem konfederacyi w województwie Lubelskiem, póki rozproszeni jej wodzowie nie skupią się w tym punkcie tyle ważnym dla działań wojennych. Zapewniał, że takowem zwycięztwem skuteczniej odzyska swój Dolsk, niż przez walkę o niego, kosztem, a może upadkiem ogólnej sprawy.—Zważ, mości wojewodo—dodał—i z tem się odzywam, bo wiem, że nie od dnia wczorajszego wojujesz, iż na wojnie wszystkie drugorzędne korzyści odniesione są niczem, jeżeli na głównym punkcie się nie powiodło. Skoro się odzielisz odemnie, odbierzesz mi wszelką możność działania zaczepnego z konfederatami. Jeżeli póki pora nie rozbijem ich w Lubelskiem, bądź pewny, że byle tylko się wzmogli w dostatecznej sile, co niezawodnie wkrótce nastąpi, nie tracąc czasu uderzą na naszą Litwę. A ja nie zdołam ich wstrzymać z wojskiem o połowę zmniejszonym przez waszności upór. Dajmy na to, że owdadniesz Dolsk. Cóż to pomoże? Oddzielony odemnie, bez związku z wojskiem szwedzkim i naszym, wcześniej czy później będziesz zmuszony oddać go nieprzyjaciołom. Przeciwnie, jeżeli pójdziemy razem na Kock, i tam zniemiemy konfederatów, złączymy się z królem szwedzkim, i wspólnie działając z nim, zadamy cios śmiertelny konfederacyi. Rewera Potocki, pomimo zwycięztwa, które odniósł wspólnie z Jerzym Lubomirskim nad kozactwem, Ukrainy opuścić nie może, póki zbuntowane chłop-

stwo w zupełności się nie upokorzy. Lubomirski tylko wraca do swojej Mało-Polski, a lubo on, Czarniecki, bracia Sobiescy i Tomasz Zamoyski, doświadczeni wodzowie, stawiać nam będą czoło, zdaje się, że bez zarozumiałości spodziewać się możemy wygranej. Natenczas sam z siebie Dolsk powróci do waszności. Wszakże waszności nie o Dolsk, ale o całość sprawy, której obaj służymy, iść powinno. — Na to innej odpowiedzi nie otrzymał, tylko:—Bliższa cięla koszula niż suknia. Cudza rana nie boli. A co to! Czy ja oszalał, żebym jakiemuś bękartowi dopuścił spokojnej intromissyi do moich dóbr?—Nie było u nich króla, nie było jak u tamtych konfederacyi, któraby rozciągała władzę tajemniczą, poświęconą w przekonaniu pobożnych, a związanych rzysięgą jej podwładnych, a więc nie było posłuszeństwa. Z początku hetman przemyślał odjąć mu dowództwo nad jego milicyą i szlachtą, która mu służyła, ale rychło tego zaniechał, bo przenikliwym swoim rozumem poznał, że to było niepodobnem do skutecznienia.

Kniaź w zapędach swoich często dopuszczał się niesłychanych okrucieństw, nie tylko względem spokojnych mieszkańców, ale nawet względem swoich uzbrojonych podwładnych. A jednak żołdacy jego milicyi wielce do niego byli przywiązani. Rzecz dziwna ale udowodniona dziejami, że srogość wodza, który zresztą jest prawdziwym wojownikiem, nigdy

nie odstręczy żołnierzy pod nim służących. Łagodność, cierpliwość, słodycz obyczajów, tak niezbędną w zawodzie cywilnym, że urzędnik, który się z niemi omija, omal że nie zawsze wzbudzi na siebie podejrzenie, iż musi być podłym,—dla naczelnika wojska najczęściej są szkodliwymi, bo nigdy nie wywołują szacunku u jego żołdactwa. Żołnierz potrzebuje silnych wzruszeń, bo te tylko do jego duszy dochodzą, a takich od wodza łagodnego nie otrzymuje. Sam gwałtowny i okrutny, zwłaszcza w okresie, gdzie jego czynność osobista w wojnie jeszcze nie zupełnie była wsiąkniętą w poruszeniach ogólnych, nauką obmyślonych, lubił widzieć w swoim wodzu urzeczywistnienie własnych nałogów i skłonności, a choć częstokroć gwałtowność wodza jemu samemu czuć się dawała, umiał być na to wyrozumiałym. Żołnierze kniazia miłowali go, bo się go bali, a więc szanowali, gdyż to jest w przyrodzeniu żołnierza, że pogardza wodzem, który nie umie w nim wzniecać obawy; zresztą kniaz żadnego nie miał względu na skargi obywateli, na krzywdy ponoszone od jego żołnierzy. Nie tylko, że im nie wzbraniał rabunku, ale nawet do niego ich upoważniał, a ich najwięcej szkodował nadzwyczajną odwagą osobistą. Żołnierz wszystko odpuści wodzowi prędzej, niż brak odwagi. Jakże nie miał miłować tego, który w każdej potrzebie obierał sobie stanowisko najniebezpieczniejsze, który w boju

niczego od niego nie wymagał, czego by sam przykładu nie dawał? Jakże mógł go odstąpić?

Do szlachty z położenia swojego więcej myślącej, kniaz Dorohostajski był mniej szczęśliwym. Nie miał ani tych przymiotów, ani tej zręczności, któremi się jej przywiązywanie nabywa. Szorstki w obcowaniu, niepowściągliwy w mowie, zwłaszcza kiedy był poruszony, wyjąwszy żołdaków, dla których był hojnym, oględny aż do zbytku na wydatki, a nawet niełatwy w interesach jakie z nią miewał, jako właściciel szerokich włości, lekceważący prawa i ustawy krajowe, był przedmiotem jej nienawiści. Ale obawa jaką wzniecać umiał, to sprawiła, że gdyby nawet od niej był namiętnie miłowany, pewnie wierniejby nie służyła wszelkim jego widokom. Szlachcic, który bądź z familijnego podania, bądź z potrzeby, bądź z wypadku, raz się wpisał do jego klienteli, już jej nie opuszczał, pomimo wstępu jaki musiał uczuwać dla swojego patrona; a to jedynie przez bojaźń narażenia siebie z całym swoim rodem na zemstę, o której wiedział, że żadne granice nie umiarkowałyby jej zapędów. Szlachtą z przyrodzenia butną, do swawoli skłonną, trwożliwą o swoje swobody, obracał gwoli jakby poddaństwem, jedynie przez postrach, jaki w niej wzniecał, a ciągle pomnażał. Jeżeli szlachcica obraził, ofiarował mu z siebie sprawiedliwość w pojedynczym boju, a kiedy ofiara przy-

jętą została, najczęściej kończyło się wszystko śmiercią przeciwnika, a zwycięzca miał się za zupełnie czystego przed swoim sumieniem. Razu jednego, gdy pewien jego klient, uczuwszy się być przez niego skrzywdzonym, nie dość mężny, żeby go wezwać w szranki, pokryjomu opuścił jego znaki i udał się do Birzów, dla szukania protekcyi księcia Bogusława Radziwiłła, żadnego zadość uczynienia nie mógł od księcia otrzymać. Bo choć książę był jego teściem, zwierzchności nie mógł przywłaszczyć nad panem równym jemu w dostojenstwie, a nie wiele słabszym w potęgę; tyle tylko, że mu dał list instancyonalny do księcia, aby mu wynagrodzić krzywdę. Ale kiedy zajechał do swojej wioski, ani jej, ani domu nie znalazł, a tylko czyste i puste pole. Bo książę najechał mu wieś, mieszkańców przeniósł do swoich dóbr, dwór i wieś zburzył, obszar, który zajmowała, kazał wyrwać i zasiać, a jego żonę i dzieci zabrał i później sprzedał Tatarom.

Nielatwa była sprawa z barbarzyńcem, który ani ludzi, ani Boga się nie lękał. Szlachta kipiała złością, pałała chęcią zemsty, a jednak nie odważyła się ciemniejszego swojego odstąpić, jakkolwiek hetman do tego ją namawiał. Nikt nie odstąpi potworu nawet, któremu służy, dopóki szczęście go nie zdradzi, tej chwili tylko oczekiwała szlachta z niecierpliwością; ale pomimo, że ku temu zdawała się

pora przyjazna, bo hetmańskie wojsko już przewyższało siły księcia, a cóż dopiero, gdyby szlachta pod nim służąca przeszła pod jego chorągwie, wszakże gdy się nie odważyła wziąć inicjatywy nad szczęściem, skrycie złorzecząc księziowi, szła jednak na wyścigi w okazaniu mu wierności z milicyą nadworną z jego poddanych złożoną. Hetman osłabiony nieposłuszeństwem i uporem księcia, do bezczynności przeprowadzony został. Nie będąc już w możności działać zaczepnie z konfederatami w Małej Polsce, nie opuścił stanowiska, które był zajął w województwie Brzeskiem, i postanowił z niego nie wyruszyć, pokąd nie doczeka się posiłków, któreby zastąpiły ubytek, jakiego doświadczył. I w tym celu wyprawił gońca do króla szwedzkiego, zajmującego Mazowsze, z listem, który miał go oświecić o stanie w jakim został, przez wyłamanie się z pod jego władzy księcia, zaufanego i w łaskę królewską, i w siły, któremi samowolnie rozrządzał.

Pochód księcia od Słonimia do Dolska odznaczył się gwałtem i okrucieństwem, więcej niż inne jego pochody, bo nigdy do tego stopnia nie był rozłozoszczony. Biada wsiom, przez które przechodził, jeżeli one były własnością jakiego stronika konfederacyi. Wszystko, co w nich było, zosta-

ło łupem żołnierstwa. A jego wojsko ciągle się zwiększało, to ochotnikami przywabionemi żądzą rabunku, to ludźmi, których gwałtem po drodze zaciągał, a których bojaźń w wierne jemu żołnierze przekształcała. Przyszło do tego, że lud opuszczał swoje siedziby i uciekał w lasy z tem wszystkiem, co mógł za sobą uprowadzić, tak dalece, że wojsko, same pustki zastając, często cierpiało niedostatek pierwszych potrzeb życia. Na co książę zdawał się obojętnym, ile że tu sprawiedliwość winna mu być oddana, że i siebie bynajmniej nie oszczędzał. Żołnierz biedę cierpliwie znosił, bo widział, że wódz ją w pełni podziela. A i temu umiał zaradzić. Szlachtę trzymał zawsze przy sobie, bo jej nie dowierzał, ale kozaków swoich wysełał w bok, często o mil kilka, a ci na miejscu umówionem przybywali z tem, co się im udało zrabować na potrzeby ludzi i koni.

Nakoniec stanął na gruncie księstwa Dolskiego. Popłoch był wielki między podstarościami, bo oni wszyscy bez wyjątku instrumentowani przez niego, podzielili się administracją folwarków na korzyść księcia Wojciecha. Wielu z nich poniciekało z rodzinami w sąsiednie lasy, ale wkrótce powracali, bo skoro tylko książę przybył do swoich dóbr, raptem się odmienił. O ile go znano srogim, gwałtownym, mściwym, o tyle się pokazał łagodnym, wyrozumiałym, oraz niepamiętnym. Oświadczył wszystkim oficyantom, że im za złe nie poczytuje, że ulegli prze-

mocy, nie mając siły do jej odparcia. Że ma ich zawsze za wiernych sług, że jego ufności nie utracili, oszem, czuje dla nich wdzięczność, że przechodząc w służbę samozwańca, zachowali porządek w jego dobrach, któryby się bez tego rozprzął, a tem samem niewyrachowane przyniósł mu szkody. Nadto miał doświadczenia, żeby nie poznał, iż bez nich obejść się nie mógł, bo na nich opierała się administracja księstwa, i że tylko przez ich współdziałanie mógł do skutku doprowadzić odzyskanie swojego zamku.

To zachowanie posad urzędniczych tym, co jakby klina klinem, starą przysięgę nowszą wybili, rozpowszechnione teraz w Europie zachodniej, nie jest żadną nowością, kiedy już książę Dorohostajski w XVII stuleciu umiał poznać co w tem było korzystnego. Z tą jednak różnicą, że rządy terażniejsze, uważając urzędników jako maszyny administracyjne, używają ich bez żadnej myśli wstecznej, z pełną ufnością, tak jak wódz wojska używa armat wpa-  
dłych w ręce nieprzyjacielskie, a które mu się udało odzyskać; podczas gdy książę Dorohostajski zawiesił tylko skutki swojej zemsty, bo w duchu bynajmniej nie odstąpił od zamiaru ich przykładowego ukarania, skoro przestaną mu być niezbędnymi. I w samej rzeczy, nie wiedząc że plotą rzemień na własną skórę, z najgorliwszą wiernością przysparzali oni panu to wszystko, co mu było potrzebnem do zdobycia zamku, tak że wkrótce książę z dobrze wycopcztem wojskiem

wyruszył ku zamkowi, prowadząc za sobą liczne wozy z faszynami, toporami, drabinami, jednym słowem z tem wszystkim, co było w użyciu do zdobycia wałów, otoczonych rowami, i do łamania lub wdrapania się na mury.

### ROZDZIAŁ XIII.

Nim jeszcze książę Dorohostajski stanął na ziemi należącej do księstwa Dolskiego, Ogar o każdym jego poruszeniu był uwiadomiony przez podjazdy, które w różne strony wysłał. Z ich doniesień przekonał się, że nie był w możności oprzeć mu się w czystym polu, bo wojsko, kniaziowi posłuszne, do czterech tysięcy głów wynosiło, z niemi ciągnęły trzy armaty polowe dobrze obsłużone, któreby od razu rozstrzygnęły los bitwy. Na nich właśnie zbywało Ogarowi, gdyż miał tylko armaty wałowe, niesposobne dla ciężaru do użycia po za murami zamku. Położenie jego nader było krytyczne. Nie pozostało mu albowiem nic innego, tylko zamknąć się

w zamku warownym wprawdzie i obronionym przez załogę półtora tysiąca żołnierzy należycie uzbrojonych, ale gdzie najmniejszą nadzieją odsieczy nie mógł się cieszyć. Gdyby przynajmniej mógł rachować na wierność tej załogi; ale ta będąc złożoną z ludzi zaciężnych kniazia, którzy tyle lat, i jeszcze przed kilkoma tygodniami jemu służyli, niewiele w nim ufności wzbudzała. W istocie mógł śmiało się spuszczać tylko na tych kilkudziesiąt ochotników, których z sobą był przyprowadził; ale cóż to było w stosunku licznego wojska nieprzyjacielskiego i załogi, której zdrady lękał się w każdej chwili? Wszakże rąk nie opuścił, i lubo przywykły do wojny partyzanckiej, gdzie żołnierz jak to mówią kąta nie zagrzeje, w tym dla niego zawodzie, kierowany przyrodzoną roztropnością, niczego nie zaniedbał dla ocalenia zamku, jego wierności poruczonemu, a gdzie postanowił bronić się do upadłego. Do wyobrażeń honoru, nakazujących wytrwałość, łączyło się jeszcze uczucie osobistej korzyści. Żał mu było opuścić srebra, któremi kniaz Wojciech go obdarzył, a które zbyt trudno było uprowadzić z zamku z garścią jeńców: a jako się powiedziało, ich wartość sprostала znacznemu szlacheckiemu majątkowi. Oprócz tego dowiedział się, że wielkie skarby były złożone w zamku, a gdzie, o tem go nikt oświecić nie mógł, gdyż to była tajemnica dla wszystkich, kromie samego kniazia

Daniela i pana Oleszy. Świdrował ci on wprawdzie po różnych miejscach, a zawsze bezskutecznie. Przeklinał wspaniałomyślność rycerza Lizdejki, że wypuścił pana Oleszę, bo gdyby miał go pod ręką, jakoby go potrafił zobowiązać do odkrycia przed nim tej ważnej tajemnicy; ale że nie stracił nadziei dobrać się z czasem do tych skarbów, więc i to nie mało przyczyniło się do chęci zachowania tego zamku, o ile tylko toby się dało zrobić. A że jego ochotnicy wiedzieli, iż udział do tych bogactw ich ominąć nie może, więc i oni ile możliwości zagrzewali go do wytrwania, lubo tego nie potrzebował.

Zamek był sownie opatrzony w amunicję wszelkiego rodzaju. Chleba, słoniny, solonego mięsa i gorzałki było do zbytku. Tego wszystkiego wódz nie żałował dla swojej załogi. Było czem i o czem się bronić. Cała rzecz chodziła tylko o to, czy milicya i kozacy będą wierni.

Zamknął się więc Ogar, ściągawszy do siebie wszystkich co pod nim służyli, a kniaz Daniel na czele swoich postąpił ku zamkowi. Ten ostatni od tego zaczął, że posłał z trębaczem jednego ze swoich dworzan, ofiarując kapitulację. Ogar kazał go wpuścić z zawiązanymi oczami, żeby się dowiedzieć, jakie warunki mu podają, ale zawsze ostrożny, nie pozwolił nikomu z nim mówić, ani jemu samemu się odzywać. Wyraźnie mu zapowiedział, że jeżeli gębę



otworzy, nim na to pozwolenie otrzyma, natychmiast w łeb mu wypalą. Dopiero kiedy dworzanina wprowadzono do komnaty Ogara, ten rozkazał odwiązać mu oczy, tym co go przyprowadzili dał znak, żeby odeszli a sam na sam z nim zostawszy, tak zagaił:

— Mości panie, kupić nie kupić, a potargować się nie zawadzi. Przysłany jesteś od kniazia, żeby skłonić załogę do oddania mu tego zamku? Bezemnie się to obejść nie może, bo żebyś o tem wiedział, że masz przed sobą wodza, który jeden tu daje rozkazy (na te słowa dworzanin skłonił się niziuteńko). A więc zapytuję waści, na jakich warunkach ma być oddany ten zamek: jednym słowem, czego chce wasz kniaź odemnie? Waśc, jako jego poseł, znać musisz jego wolę, a więc racz o niej mnie oświecić?

— Kniaź wojewoda, mój pan, żąda ażeby załoga z jego poddanych składająca się otworzyła mu wszystkie trzy bramy zamkowe, i przed niemi złożyła wszelką broń, jaką nosi. A on jej objawi co myśli z nią zrobić. Przyrzeka, że żołnierzom bezwarunkowo przebacza, a tylko ich oficerów ukarze, jak mu się zdawać będzie. Ale to, jako sprawa między panem a jego sługami i poddanymi, do waćpana nie należy.

— Czy należy, to nie waścina rzecz o tem sądzić. Ale to zostawiwszy na stronie, musi być i je mu i waści wiadomo, że w mojej załodze są tacy, któ-

rzy nigdy nie byli ani poddanymi, ani sługami waszego kniazia. Cóż więc im przeznaczą po zajęciu Dolskiego zamku?

— Kniaź, mój pan, jest nadto uczciwy, żeby chciał siebie wiązać obietnicą, której nie może dotrzymać. A więc, aby nie karmić pana płonąną nadzieją, kazał mu oświadczyć, że tym wszystkim, których znajdzie w swoim zamku, a których uzna być obcemi, każe losy ciągnąć; każdy piąty na którego zły los padnie, powieszonym zostanie, a ci co ich los ocali, obróconemi będą w poddaństwo kniazia, i odesłani pod strażą do dóbr, które posiada w województwie Witebskiem.

— Czy tak? a zemną co myśli zrobić?

— Boję się waćpana obrazić wiadomością, która nie może mu być miłą, a jednak jestem obowiązany ogłosić mu ją, bo jestem na to posłany.

— Mów śmiało. Wszak nie swoją, ale cudzą wolę przynosisz.

— Kniaź kazał mi otwarcie powiedzieć dowódcy załogi, żeby się niczego innego od niego nie spodziewał, tylko, że jak opanuje swój dziedziczny zamek na powrót, czy szturmem, czy bez oporu, każe go żywcem ze skóry obedrzeć, idąc w tem za przykładem jego niektórych kolegów, którzy nie inaczej postępowali z jeńcami wojsk szwedzkich i polskich z niemi sprzymierzonych.

— Tam do kata! A na jakie sto dyabłów człowiekby kapitulował, jeżeliby przez to nawet życia swojego nie ocalił? Po antyfonie jaką zaśpiewałeś, i tchórz musi mężnym zostać. Bo cóż ma do stracenia? Samego waści zapytuję: Jeżeli odprawię waści z kwitkiem, cóż kniaź myśli uczynić?

— Oto natychmiast szturm przypuści do zamku.

— A potem?

— Jak go zdobędzie, już wtedy nie pozwoli ciągnąć losów, ale wszyscy bez wyjątku będą zamordowani. Kniaź ufa w dobrem sercu waćpana, że siebie poświęcis dla ocalenia tych ludzi niewinnych.

— Dziękuję za tak dobre o mnie mniemanie. Ale wyznaję, że na nie nie zasługuję. Wracajże do swojego pana, i oświadczyć mu wdzięczność Ogara za ten zachęt, który mu daje do dzielnej obrony, oraz radę, żeby sam nie miękko się potykał, bo może być pewnym, że jeżeli wpadnie w moje ręce, nie będę się oglądał na jego senatorską godność. Nie jest to w moim obyczaju pastwić się nad jeńcami. Kto z jego wojska się podda, zaręczam, że włos mu z głowy nie spadnie, ale jeżeli samego kniazia dostanę, niech będzie pewny, że go natychmiast powiesić każę. Taką jest moja odpowiedź na jego poselstwo.

— A która bynajmniej mojego pana nie zatrwoży, bo...

— Dobrze, dobrze, nie pora nam się klócić. Do obaczenia.

I krzyknął na straż. Weszło kilku żołnierzy do komnaty. Ogar do nich się obrócił: — Zawiązać mu zaraz oczy, i odprowadzić za bramę zamkową.— A do podoficera mającego nad niemi zwierzchność:— Piawko (bo takie było jego imienisko), masz pistolet nabity w rękę? rozkazuję ci, żebyś jeżeli choć słówkiem odzwie się po drodze, w łeb mu wypalił, nie czekając aż drugie wymówi.

Straż odeszła z posłannikiem, Ogar poszedł na wały, gdzie rozporządził wszystko co tylko mogło posłużyć upartej obronie, bo co chwila spodziewał się szturm. I nie długo na niego czekał. Z daleka ujrzał postępujące wojsko i poznał nieustraszonego kniazia po tem, iż o kilkanaście kroków wyprzedzał wojsko za nim idące. Jak tylko przystąpiło na strzał armatni, ogień straszliwy z wałów rozpoczął się za danym znakiem. Ale doświadczony kniaź jak najspieszniejszym krokiem poszedł naprzód, tak że wkrótce kule przechodziły po za wojsko, już mu nie szkodziąc. I stanął przy rowie rzniętym, przed wysokimi murami zamku. Już armaty wałowe skutecznie nie mogły działać, ale rześisty ogień z ręcznej broni się rozpoczął. Kozacy i piechury załogi nad nadzieją Ogara się popisywali. Na cel brali przeciwników i na nich śmierć sypali, sami w pół zakryci murem nie wie-

le szkody doświadczając. Ogar podziwiał waleczność kniazia, który na koniu zagrzewał swoją piechotę, nie zważając na własne niebezpieczeństwo. Kule w koło niego świsnęły. Sam Ogar brał go kilkanaście razy na cel, a chociaż był zawołanym strzelcem, chociaż miał swoją rusznicę doświadczoną, ani razu w niego nie trafił; wściekał się ze złości, przychodziła mu do głowy myśl, że musi być charakternikiem, to jest mistrzem w nauce zamawiania kul. Bo w owym czasie między mężami rycerskiego rzemiosła wierzenie w gusła było rozpowszechnione. Jakkolwiekby, to pewna, że w dniu tym jeszcze ostatnia godzina dla kniazia nie wybiła.

Odwaga wodza zawsze wznieca nieustraszonosc w tych, którzy pod nim służą. Zjednoczenie uczuć nigdzie tak nie jest ściśle, jak na polu bitwy, kiedy zapałnicy stoją u wrót innego świata. Szlachta, z przyrodzenia obdarzona męstwem, swoją powinność spełniała; motloch, z przyrodzenia lękliwy, czerpał wzgardę życia z przykładu wodza, który lekcewał to życie, tak ozdobne i świetnym rodem i wysokimi dostojeństwami i szerokimi dostatkami. Jakieżby żołdak mógł się oszczędzać, patrząc na tak nieogłędny na siebie wodza? Oni wszyscy byli mężni jego męstwem. I pomimo straszliwego ognia, pod którym ludzie jak grad padali, wkrótce rów faszynami zasypany został, i już drabiny zaczęły się opierać o mury.

Szturm się rozpoczął. Żołnierze kniazia uporczywie drapali się na wały. Ale kozacy dzielnie bronili swoich murów, i z nich spychali oblężców. Bezprzykładna w zaciętości walka trwała przez kilka godzin; nie było sposobu dostać się do zamku. Każdy co już ręką chwycił za wierzch muru, albo strzałem, albo toporem zrzucony zostawał z drabiny. Książ, jakkolwiek uniesiony gniewem, przecie poznał, że tylko ludzi marnuje; nakazał więc odwrót, i straciwszy z półtora żołnierzy, cofnął się, ale w takim porządku, że Ogar nie śmiał zrobić wycieczki, ile że się obawiał wyprowadzać kozaków za mury, gdyż oni, mając rodziny i gospodarstwa po wsiach okolicznych, mogliby się nie oprzeć chęci ich nawiedzenia choć na chwil kilka, czemby się karność rozprzegła, a co więcej, możeby kozactwo już nie wróciło.

Zirytowany książ, tem więcej że nie mógł na nikogo swojego gniewu zwalić, bo czuł, że każdy swoją powinność zrobił, i że sam sobie przypisać winien stratę jaką poniósł, gdyż odmówieniem wszelkich warunków, któreby mogły skłonić dowódców załogi do oddania mu zamku o rozpacz ich przyprowadził: zatrzymał się w folwarku o pół mili od zamku. Wszakże nie zaniedbał wszelkich środków ostrożności, żeby się upewnić od nocnego napadu przez może uzuchwalonego pomyslnością Ogara. Dwa dni

spoczynku pozwolił żołnierzom. O ich wygodzie nie zapominał, szafował im mięsiwa i gorzałki z największą hojnością. Ale im zapowiedział, że po tym wypoczynku poprowadzi ich powtórnie na mury Dolska, upewniając ich, iż tak zaradzi wszystkiemu, że im lepiej pójdzie, i że bez wielkiej straty do zamku się dostaną, na co dał rycerskie i senatorskie słowo, a każdy wiedział, że w nim przynajmniej ta cnota pozostawała, iż dane przez niego słowo zawsze dostrzymane było.

Stanąwszy w domu folwarcznym, gdzie swoją kwaterę główną był założył, książę znużony pracą, a jeszcze więcej różnemi wzruszeniami, które jego duszę skołatały, jakkolwiek to go kosztowało, pokazał się spokojnym. Po daniu rozporządzeń dotyczących się wojska, którem dowodził, pokrzepił otrętwiałe członki kąpielą, i udał się do wczasu, zdawszy na doświadczonych podwładnych wszelkie staranie aż do chwili w której się obudzi, z ostrzeżeniem jednak na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego wydarzenia, by go natychmiast obudzono. Ale że, jako się powiedziało, Ogar nie odważył się wyjść z zamku, a tylko był zajęty oczyszczaniem rowu z faszyn, więc nie mu snu nie przerwało aż do następnego poranku.

Skoro się sam przebudził, zaraz wziął się do pracy, wyprawił posłańca do wioski należącej do księstwa Dolskiego, a na której pan Olesza miał do-

żywocie, z rozkazem, ażeby go odszukać, gdzieby się znajdował, i sprowadzić do Dolska, i dał rozkaz, ażeby natychmiast do niego przybył pan Mikorsza rządcą, i od lat trzydziestu akuratny wykonywacz władzy właściciela księstwa; widać że nie wchodził w to, kto był tym władcą, gdyż po zdobyciu Dolskiego zamku młody książę zachował mu jego posadę, a książę Daniel, przybywszy napowrót do swoich dóbr, nie rugował go z zarządu — co za jego rozumem przemawiało, że każdemu umiał być potrzebnym.

Skoro stanął na rozkaz pański, książę rzekł do niego:

— Powiedz waść, czy między kozakami piechurami, znajdującemi się w zamku, jest wielu żonatyh?

— Omal że nie wszyscy mają żony i dzieci, i swoje gospodarstwa po wsiach okolicznych.

— Dobrze! Rozkazuję waści, żebyś natychmiast pod strażą tu pospędzał ich wszystkich żony i dzieci, i to bez żadnego wyłączenia. A pamiętaj! żebyś jeszcze tej nocy mógł na tym dziedzińcu zrobić ich przegląd. — Skłonił się pan Mikorsza i wyszedł, ażeby jak najspieszniej wykonać rozkaz odebrany.

Jak to zwykle bywa w każdej bitwie, strata była nierównie większa w rannych niż w zabitych.

A wszyscy ranni uniesieni zostali do miasteczka na rękach towarzyszków broni. Miasteczko od strzałów armatnich zamku było zupełnie bezpieczne, a przytykało do folwarku, gdzie książę założył swoją kwaterę. Sprawiedliwość winna mu być oddana, że jakkolwiek mógł być poruszony niepowodzeniem szturm, i zmęczony kilko godzinną walką, w której się potykał nie tylko jak wódz, ale jak prosty żołnierz, bo to pewna, że jeżeli cudzej krwi nie żałował, i swojej własnej nie oszczędzał, jednak nie pozwolił sobie spoczynku, aż wprzód zabezpieczył wszelki ratunek dla swoich rannych. Kilka domostw żydowskich w jednej chwili wypróżniono, z całego miasteczka wszystkie bety żydowskie tam pościągano, na nich poskładano rannych. Cyruliczki miejskie przydani zostali do lekarzów nadwornych księcia. Godzina nie upłynęła, a już urządziły się lazarety porządne, gdzie na opatrzeniu nikomu nie zbywało. A książę nie udał się do swojej kwatery, póki się nie upewnił, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Po odprawieniu pana Mikorszy, książę w asystencyi kilku swoich dworzan i wyższych stopni podwładnych poszedł nawiedzić swoich rannych, żeby się jeszcze więcej upewnić, czy wszelkie jego około nich rozporządzenia wykonane zostały. Przy nich zabawił dość długo, pomagał do wszelkich posług, sam opatrywał niektórym rany, a lubo był znany z twardości serca, pewnie czuły ojciec nie więcejby okazał pieczy nad rannym synem, niż on dla swoich żołnierzy.

To wszystko nie małe sprawiło wrażenie, nie tylko na tych co byli przedmiotem jego troskliwości, ale niemniej i na tych, co byli tylko świadkami. A wiadomo, że jest w przyrodzeniu żołnierza zachować wdzięczność, i wszystko znosić od takiego wodza, który umie pamiętać o nim, kiedy Pan Bóg na niego dopuści niemoc.

Wyszedł nakoniec z lazaretu i poszedł robić przegląd swojego wojska, które już go oczekiwało pod bronią. Przegląd był zawsze chwilą straszną dla jego podwładnych, bo najmniejsze jego niezadowolnienie niebezpieczną burzę przywoływało. Jednak w dniu tym nie tylko że nie pokazał się gniewliwym, ale owszem poufałym i nie oszczędzającym tych słów zachęty, które tak magiczny urok wywierają na żołdactwie. Raz tylko ofuknął jednego z wodzów, który, że mu wiele ufał, miał do niego więcej od innych śmiałości. A to z następnego powodu.

Po skończonym przeglądzie, gdy zapowiedział żołnierzom, że jutro rano powtórnie ich poprowadzi do szturm, upewniając ich pod słowem honoru, że musi się im udać, zaufany wódz odważył mu się powiedzieć.

— Panie! czyby nie lepiej szturm przypuścić w nocy, gdyż po ciemku nie tak kule mądre, jak wśród białego dnia?

Na te słowa gniewem zakipiały źrenice kniazia.

— Ja nie potrzebuję—krzyknął—takich, co się boją nieprzyjacielowi zajrzeć w oczy. Do kroć dyabłów! nie bałamuć mi waszmość moich ludzi. Ja was pod mury doprowadzę w nocy, bo czy widno czy ciemno o trzysta kroków nie poznasz tego, co strzela z armaty. Ale szturm przypuścić nie pozwolę przed białym dniem, bo chcę widzieć, z kim mam do czynienia.—Zmięszął się ten, do którego te słowa były wymierzone. Ale wkrótce kniaz wrócił do dobrego humoru, i nawet później do niego ze zwykłą poufałością przemówił.

Wszyscy zauważyli, że w kniazia źrenicach błyszczała jakaś dzika wesołość, coś takiego co dowodziło, że musi być pewnym siebie, i że nie wątpi o skutecznej pomyślności swoich zamiarów; ale na czem się to gruntowało, tego nikt przeniknąć nie umiał. Tylko tyle, że to jego zaufanie rozprzestrzeniło się i w żołdactwie. Starszyznę zaprosił do kwatery na wieczrę, gdzie ich częstował winem z obfitością, ale bez zbytku, mając na baczniu, ażeby nikt się nie zapił. Nad wszelki zwyczaj był wesołym i dla wszystkich poufałym. A przy ich odprawie powiedział im:

— Do zobaczenia! Słońce wschodzi o godzinie szóstej; o czwartej jeszcze ciemno. Zalecam waszmościom z ich komendami zebrać się na wygonie przy

tym folwarku o samej czwartej, a bądźcie pewni, że moja gotowość waszą uprzedzi.

Gdy wyszli, kniaz zalecił, żeby skoro tylko pan Mikorsza przybędzie, zaraz go obudzone. Poczem zdjął z siebie tylko ferezyę, a nie odpasawszy się na wet, w żupanie rzucił się na siennik, zabronił światła przygasić i wkrótce zasnął.

Jeszcze był w pierwszym śnie, kiedy szatny go obudził, donosząc mu, że pan Mikorsza mnóstwo narodu przypędził na dziedziniec folwarczny, i że prosi o posłuchanie. Kniaz się zerwał, wziął na siebie koszulkę żelazną, którą zawsze przyodziewał, kiedy gotował się do boju, na niej grubo podszyty kaftan łosiowy, doczepił szablę do boku, i dał znak, żeby pana Mikorszę wprowadzono.

Wszedł sługa pochyłony bojaźnią, ażali pan nie osądzi, że nie dość gorliwie i prędko spełnił jego rozkaz, i zabierał się do wytłómaczenia się z tego, ale kniaz nie dał mu czasu mówić, a zaraz zapytał, ile bab i dzieci przyprowadził?

— Wszystkie żony i dzieci kozaków zamkowych mam z sobą; ani jedna sztuka w chałupie nie została. Niech jaśnie pan raczy wyjść na dziedziniec, a obaczy, że przez tłum precisnąć się zaledwo można.

— O co tak to ale — odrzekł kniaz wychodząc

z izby, i stanął na ganku, z kądem przy świetle smolnych beczek pozapalanych wzrok prowadził po całej tej tłuszczy, drżącej ze strachu, bo każdy oczekiwał co o nim postanowi pan.

— Druga po północy — odezwał się kniaź, patrząc na swój kieszonkowy godzinnik — mamy parę godzin przed sobą. Ale do uszykowania tego wszystkiego potrzeba czasu. Niech mi darują moi, ale ja im spać nie dam. — Poczem, obracając się do oficerów dziennych, których już zastał na ganku: — Natychmiast w trąby i kotły alarm, żeby wszyscy się zebrali na wygoniu. — Piorunem rozkaz dopełnionym został; pół godziny nie upłynęło, a już wszyscy zebrani byli i starszyzna weszła na dziedziniec po rozkazy naczelnego wodza.

— Panowie bracia! — rzekł do nich. — Ruszajmy naprzód w milczeniu aż po pod mury. Niech po dwóch żołnierzy będzie przy każdej kobiecie, które tu widzicie zebrane, a żeby żadna nie uciekła. Która ma dziecko, niech postępuje trzymając je na rękach. Są to żony kozaków załogi zamkowej, tych samych co nas onegdaj odparli. Jak się dobrze rozwidni, przypuścim szturm, żony z dziećmi naprzód na drabiny, a za nimi żołnierze. Kozacy nim do naszych trafią z rusznic, muszą wprzód pozabijać własne żony i dzieci; skoro przyjdzie do tego, zobaczycie że im serca zmiekniją! Mam ja i na upór lekarstwo.

Rzekł, i zaraz starszyzna i gmin wojenny wzięli się do uskutecznienia jego rozkazów. Cała ta tłuszcza babskiego narodu, popychana od żołnierstwa jak niewinne owce do rzezi, sama nie wiedząc co się z nią zrobi, poszła w przymuszonem milczeniu aż pod mur zamku, i tam kniaź ze swoją starszyzną i wojskiem, jak to z góry postanowił, oczekiwał aż się dobrze rozwidni, jednak nie w bezczynności, bo na nowo rów faszynami zaścielony został.

Coraz jaśniejszy brzask dzienny pozwolił nakoniec rozpoznawać przedmioty. Obłączeni już wpatrywać w siebie mogli. Zamknięci kozacy poznali swoje żony i dzieci, poznali także i dawnego pana. Ten kiwnął ręką na znak, że chce mówić; oni w milczeniu czekali na to, co im powie. Odezwał się temi słowy:

— Kozacy! póki jeszcze pora, słuchajcie ostaniej mojej przestrogi. Jeżeli powiążecie waszych sockich i atamanów, a mojemu wojsku otworzycie bramę zamkową, daję wam słowo, że pełne otrzymacie przebaczenie, przyjmę was na nowo w służbę moją, a wszystko co było puszcę w niepamięć. Bo nie wam, ale waszej starszyźnie przypisuję waszą niewierność. Jeżeli zaś odrzucicie moję łaskę, natychmiast szturm przypuszczę, a wasze żony i dziatki utworzą nam drogę do tych murów.

W samej rzeczy przymuszone kobiety, po większej części z dziećmi na rękach, zaczęły się drapać na drabiny, popychane od żołnierzy za nimi kryjącymi się. Wszczął się wielki lament tych biednych istot; wśród rozlegającego się jęku można było słyszeć ciągle powtarzające się wyrazy: Mężu, nie gub nas! — Ojcze, nie zabijaj nas! — Było to widowisko, któreby serce najtwardsze poruszyło.

Napróżno Ogar, stojący od dawna na wałach i prośbą i groźbą zachęcał do strzelania. Do tego kozaków nie potrafił namówić. Nakoniec krzyknął na jednego z nich blisko siebie stojącego: — Jeżeli nie będziesz swojej powinności robił, ja tobie w łeb wypalę. — Ale jeden Assaula, który nazywał się Szamray, wielce roztropny kozak i mający więźność u swoich, rzekł do niego:

— Pan nas nie namówisz do tak ciężkiego grzechu, żebyśmy mieli nasze żony i dziatki zabijać, na to tylko, by dotrzeć w nieposłuszeństwie względem naszego pana. Radzę więc panu, żebyś o nas zapomniał, a tylko o sobie i o swoich ludziach pamiętał, póki jeszcze pora. — I w samej rzeczy już kozactwo zaczęło się brać do wiązania swoich, wedle nakazu kniazia.

Nie było dla Ogara czasu. Położenie jego tak było smutne, że już nie pozostawało mu nic, tylko myśleć o swoim osobistym i ludzi swoich ratunku, a było ich blisko pięćdziesięciu. Sprawiedliwość winna mu być

oddana, że ani pomyślał o wywiezieniu swoich srebber, a tylko swoją usilność na to obrócił, aby dwóch swoich obłożnie chorych uprowadzić. Wmieścił ich w karocę kniazia, która się znajdowała na dziedzińcu zamkowym, kazawszy do niej zaprządz cug najlepszy, jaki był w stajni. Już wszyscy jego ochotnicy byli na koniu, most od bramy przeciwnoległej tej, przy której się pokazał kniaź, już był spuszczoney, tym mostem karocę wyprowadził. Ale ledwo go przeszedł, a ujrzał silny oddział jazdy przecinający mu drogę, a drugi niemniej silny, pędzący cwałem dla poparcia pierwszego. Musiał więc opuścić karocę, a przeznając się przez szyki nieprzyjacielskie, które mu się udało przełamać, gdy drugi ten oddział zastąpił mu drogę do odwrotu.

Był to sam kniaź, i Ogar go odrazu poznał. Ludzie kniazia już byli na murach, do których kozacy zamkowi im podali ręce. Więc jemu samemu już nie szło o zdobycie zamku, bo już o poddaniu się onego był upewnionym, ale żeby oddział Ogara nie uszedł jego zemsty, a zwłaszcza żeby samego Ogara mógł dostać. Aż nadto było widoczne, że on przeciwną bramą będzie się starał uchodzić, i dlatego, zaledwo kozacy zamkowi okazali jakieś wahanie w chęci bronięcia powierzonego im stanowiska, zaraz w tamą stronę wyprawił silny oddział swojej jazdy, ażeby uciekających z zamku wstrzymać. Ale skoro już najmniejszej nie było wątpliwości, że kozacy bez wy-



jątku do niego powracają, już się nie spuścił na oddział wysłany. Najwięcej zaufanemu podwładnemu wodzowi polecił rozporządzenie zdobytego zamku i oczyszczenie mu komnat ze śmiecia, jak on mówił, Kazimirowskiego, a sam na czele całkowitej swojej jazdy, co koń mógł wyskoczyć, wyruszył na podtrzymanie bijącego się od tamtej strony oddziału. Ogar ze wszystkich stron został otoczonym. Ale wiedząc, co czekało jego i swoich, postanowił przynajmniej drogo sprzedać życie, bo już nie miał nadziei ocalić go, gdyż miał do czynienia z siłą więcej niż o cztery razy większą od tej, która w jego szafunku zostawała. Rzucił się więc na masę, co ją książę prowadził, usiłując sobie drogę otworzyć. Ale liczni a dzielni wojownicy przełamać się nie dali; nie było środka ratunku, bo ci, przez których dopiero się był przeznął, już się byli uszykowali, i z tyłu na niego nachodzili.

Wtem o kilka kroków od siebie poznał księcia, idącego na niego z koncerzem, którym tak lekko obracał, jakby zwyczajną szablą. Na jego widok Ogar spuścił szablę na tępaku, i uchwycił swój garłacz. A wzięwszy przeciwnika na cel, dał ognia. Koń księcia wstrząsł się; widać że jedna z kul garłacza musiała go trafić, ale po chwili sam książę przeżliwie jęknął, i zwiesił się na szyję konia. Żołnierze przyskoczyli na ratunek pana, i wyniesiono go

z pobojowiska. Wiadomo, jakie wrażenie sprawuje na wojsku wieść o śmierci wodza. A wszyscy byli pewni, że cios śmiertelny w niego ugodził. Bój na chwilę się zawiesił, ale Ogar umiał z tej chwili korzystać. Rzucił się ze swoimi na punkt, który mu się wydał być najsłabszym, ile że po przygodzie księcia energia jego żołnierzy i ich wytrwałość znacznie się zmniejszyły, co nie uszło oka doświadczonego ryce-rza. Udało mu się przełamać wahających się w szeregu żołnierzy, a zobaczywszy przed sobą czyste i swobodne pole, wzięł się ze swoimi do już bezpieczniejszej ucieczki. Wprawdzie po pierwszym wrażeniu żołnierstwo księcia się opamiętało, jeden z jego wodzów, zebrawszy do dwóchset koni, puścił się za Ogarem w pogoń — ale ten miał przed sobą kilka minut, i potrafił z nich korzystać. Pędził za nim ten silny oddział około godziny, ale już nie mógł go dogonić; zaniechał więc bezskutecznej pogoni, i wrócił się ku zamkowi na zmęczonych koniach, a Ogar wprawdzie stracił dwóch swoich rannych, których uwieźć nie mógł, i srebra, dar księcia Wojciecha, niemniej kilkunastu żołnierzy, którzy w potyczce zginęli, ale przynajmniej z duszą i z około czterdziestu walecznymi ochotnikami umiał się wyratować. Stanął więc w bezpiecznym od wszelkiej napaści miejscu, gdzie sobie i swoim pozwolił wypocząć i dobrze podkarmić konie, póki się ich na nowo nie zapotrzebuje. Tam mógł swobodnie

układać w swojej głowie dalsze przedsięwzięcia. Zostawmy go w jego smutnych czy dobrowieszczyńskich myślach, a przenieśmy się napowrót do zamku Dolskiego.

---

#### ROZDZIAŁ XIV.

Na noszach zanieśli kniazia do zdobytego zamku złożyli go słudzy na pościel w przygotowanej komnacie, i co rychlej pobiegli po lekarzy nadwornych, żeby mu opatrzyli rany.

Kniaź, lubo z bólu i straty krwi zupełnie był opadł na siłę, wszelką przytomność zachował, i acz omdlałym głosem dawał swoim rozkazy. Jednak gruchnęła między jego żołnierzami i sługami wieść, że jest śmiertelnie ranny, co na nich rozmaite sprawiło wrażenia. Jedni go szczerze żalowali, drudzy cieszyli się, że się srogiego pana pozbędą, a kozacy frasowali się z następstw, jakieby z jego śmierci na nich spaść mogły.— Być może, mówili między sobą, że

ak nasz pan skończy, jako po bezdzielnym stryju bezspornie dostaniemy się temu młodemu panu, który się mieni jego synowcem, a któremu byliśmy już posłuszni. Jeżeli obejmie nasz zamek, a co też z nami się stanie, żeśmy odstąpili tego, którego nam dał za gubernatora, a powrócili w posłuszeństwo naszemu dawnemu panu? Czy on będzie na to wyrozumiałym, że trudno własne żony i dzieci zabijać? A bez tego nie było sposobu być mu wiernym. — Wszyscy w zamku byli zarówno niespokojni, chociaż rozmaite były pobudki tej niespokojności.

Przybyli lekarze. Z niemałą trudnością kniazia rozebrali, bo każde poruszenie niewypowiedziany ból czuć mu dawało. Trzeba było łośiowy kafftan rozpruć, a kiedy przyszło do zdjęcia kołczugi, kilka razy zemdłał, tak że ledwo tego dokazać mogli. Mało co mniej było kłopotu z innymi częściami jego odzieży. Krew spieczona tak była zespoliła w kilku miejscach, a zwłaszcza przy ranach, kosztując z ciałem, że aż potrzeba było odwilżać ją letnią wodą, żeby ją od niego oderwać, a kiedy to się zrobiło, krew zaczęła płynąć obficie z ran, czem do reszty kniaz z dawał się utracać siły.

Podnieśli już zupełnie obnażonego kniazia lekarze, wzięli się do opatrzenia ran i zaraz się przekonali, że nie było niebezpieczeństwa. Ran było dwie:

jedna kula trafiła go w lewe ramię, druga z ukosa w pierś. Kule przerzwały się przez ogniwo kołczugi i ugrzęzły przy kości, już nie mając dość siły, żeby ją zgruchotać. Lekarze na nowo złożyli kniazia w pościeli, obłożyli uszkodzone członki płótnem obmoczonym w jakimś balsamie, i wyjęcie kul odłożyli na dzień jutrzejszy.

Kniaź większą część nocy przejęczał z bólu, ale jednak udało mu się zasnąć przed porankiem, co go pokrzepiło tak, że kiedy przyszli lekarze z narzędziami chirurgicznymi, tak zadowolnieni byli z jego stanu, że już nie odkładając wyjęcia kul, zaraz się wzięli do tego. Kniaź, zawsze odważny, za ledwo po jakimś sporze pozwolił by go trzymano. Odbyto operację wielce bolesną, bo nim mu wyjęto kule, trzeba było wyjmować okruszyny żelaza od kołczugi, które pędem kuli wgrzążnięte w ciele boleśnie je rozdzierały. Cierpiał kniaz jak potępieniec pod biustrem swoich chirurgów, ale postanowił nawet jękiem nie zdradzić swoich boleści, i umiał tego postanowienia dotrzymać. Kiedy chirurg wyjął mu kulę z ramienia, oglądając się na to, co już kniaz wycierpiał, chciał odłożyć na dzień następny wydobycie drugiej kuli, żeby mógł przynajmniej odpocząć; ale kniaz na to nie pozwolił:

go chirurga w całym mieście. Ten, opatrzywszy moją skaleczoną nogę, od tego zaczął, że chciał mnie przestraszyć. — Jest to rana bardzo niebezpieczna — odezwał się. — Oprócz mnie nie ma lekarza na całej Litwie, któryby jej dał radę. Ja jeden mogę zaręczyć, że wróćę zdrowie kniaziowi, a w rękach każdego innego pewnie umrze.

— Ja na to: — Dobrze! więc bierz się waść do mojej nogi, kiedyś tak pewny swojego. — A on do mnie: — Ale radbym wiedzieć o co idzie gra? — Cóż to ma znaczyć? — zapytałem. A on na to: — Ja kniazia starościcowi otwarcie powiem, że skoro biorę na moją odpowiedzialność kurację wielkiego pana, rad jestem z góry być upewnionym o mojej nagrodzie. Człowiek z innym duchem pracuje, kiedy wie, że nie darmo. — Jakiejże waść chcesz nagrody? — Pięćdziesiąt czerwonych złotych.

— Zgoda na to; zaczynaj zaraz!

Wziął się do mnie, jak waść dopiero bierze się do wyjęcia kuli, nakrajawszy mnie ciała po waszemu. Ja ledwo, że nie zachodzę się z bólu. — Wtem mówi do mnie: — JW. kniazin! Bóg świadek, że pięćdziesiąt dukatów za mało za taką operację; wymówiłem się za prędko, niech kniaz narzuci jeszcze jakie trzydzieści sztuczek złotych. — Ja mu na to: — Dobrze, dobrze, dam ośmdziesiąt czerwonych złotych, tylko

kończ! — Trudno było targować się pod jego nożem. Udało mu się, bo i kulę wyjął, i nieco uszkodzoną kość naprawił tak gładko, że oprócz blizny wszystko tak było jak wprzód. Jak stanąłem na nogach, kazałem mu odliczyć ośmdziesiąt dukatów, ale razem i trzydzieści bizunów, żeby go oduczyć od nakładania haraczu na tych, którzy się oddali w jego ręce. Powiedźże, waść, mości lekarzu nadworny, czy nie po sprawiedliwemu postąpiłem z Niemcem?

— Sprawiedliwie może, ale też i bezprawnie. To szczęście, że go kniaz drugi raz nie potrzebował.

— Otóż waść się mylisz; bo trzy lata nie minęły, a znowu byłem w jego ręku. Mówiłem o dwóch kulach com je dostał, a o trzeciej jeszcze nie wspomniałem. Uważaj waść, jak się to zrobiło! Zjechałem do Wilna na sprawę z lichwiarzami, którzy się domagali, żebym im uiszczył się z tego, co nakarbowali na moim bracie, z którym nie mogę doczekać się końca. A wszakże ja i teraz leżę z łaski jakiegoś bękart, co się gwałtem przyznaje do synostwa nieboszczyka, a którego jakiś urwisz ogłosił był kniazem Dorohostajskim. Dam ja im obydwom kniazia Dorohostajskiego. Świat zdaje się szeroki, a jednak on zaciasny dla nas trojga; aż mi wstyd, że tych łotrów wywołanych obok siebie przychodzi

wspominać. Otóż juryści pilnowali w Wilnie mojej sprawy, która nie najlepiej poszła, a ja polował po lasach Starościńskich i nie Starościńskich całej okolicy. Otóż niejaki Suzin, prosty szlachcic, bo u niego było tylko jedna czy tam dwie wioszczyny, miał to, czego ja pan nie miałem, charta i charcię personaty, ale takie, że każdy wilka pojedynczo chwycił. Ja z początku temu nie wierzyłem, aż własnymi oczami się przekonałem, że nie inaczej. Mówię mu, żeby mi odstąpił te charty; ponizam się aż do prośby, ofaruję mu dwie wsie w dożywocie. Szlachcic uparty ani słuchać tego chce. Rozgniewałem się; mówię mu: — At, nie wymyślaj, a bierz co ci dają. Na jakieset dyabłów takie psy tuzinkowemu myśliwemu się zdały? Te psy dla mnie się urodziły. — A on jakbym grochem o ścianę rzucił, tak się zaciął. Rozgniewał mnie; nakoniec powiedziałem mu: — Nie chcesz wziąć co ci dają? otóż nic nie dostaniesz, a psy będą moje.

— A to jak?—odpowiedział.

— Jak? oto że gwałtem je zabiorę.

— Obaczymy—odrzekł zuchwały szlachcic.

Nie wiele myśląc, nazajutrz zebrawszy moich ludzi, zrobiłem najazd na szlachcica, ale go zastałem przygotowanym. Szlachta okoliczna z nim są-

siadująca przybyła mu w pomoc. Nie ma co mówić, bronili się dzielnie. Wszelako noga by ich nie uszła, gdybym był dosiedział konia. Ale kiedy już wdarem się był z mojami na dziedziniec, ten pan Suzin, jak palnie do mnie z rusznicy, zaraz spadłem z konia. Wyniesiono mnie jak wczoraj, ale nieżywego, i wzięli się moi do odwrotu. Nikt ich nie ścigał; tyle tylko, że się im udało uprowadzić z sobą charty. Dałbym ja im, żeby ich zostawili. Dopiero w Wilnie przyszedłem do przytomności, i zaraz sprowadziłem tego samego doktora, co miał odemnie podwójną pamiątkę, bo i w kieszeni i na skórze. I dobrzem sobie poradził, bo choć ranny byłem w krzyżach, i kulę wyjął, i tyle mi swojemi zalewaniami pomógł, że po kilku dniach byłem zdrów jak rybka, i dałem mu za to sto czerwonych złotych, chociaż się już z góry o nagrodę nie dopominał. Podobało mi się, że z nim moja nauka nie poszła w las.

— A czy jaśnie pan nie pociągnął tego pana Suzina do sądu za ranę, co odważył się mu zadać?

— Ja? a co to, waśc oszalał? Odkąd żyję, miałem spraw jakich kilka set, a nigdy nie byłem stroną powodową. Zawsze tylko w odwodzie stawałem. Na mnie każdy się skarżył, ja na nikogo. A cóżby ja był wart, gdybym się mógł przyznać do odebranej od kogoś krzywdy? albo ja nie mam słuz, poddanych,

a nadewszystko własnych rąk, żebym sprawiedliwości zebrał po jurydykcyach sądowych? Suzin, to prawda, że mnie pozwał. Radzono mnie i ja sam ku temu się skłaniałem, żeby nie stawać z nim do sądu, i przewłokami niszczyć szlachcica. Jedno, że świeżo otrzymałem był kasztelanię Witebską, nimi w kilkanaście lat później postąpiłem na województwo. Myślę sobie, jak nie stanę, szlachcie otrzyma na mnie kondemnatę, i z nią, nie dopuści mi zasiadać w Senacie. Stawiłem się przed grodem, ale jedynie dla wytłómaczenia się, bo żadnej skargi na stronę przeciwną podawać nie chciałem. A broń Boże! Dla senatorów wspaniałomyślność przed wszystkim! Owóż tedy nakarbowano na mnie nawiązek przezysków prawnych, grzywien, luitów, a nawet kazano mnie wysiedzieć sześćo-niedzielną wieżę, z której okupiłem się gotowym groszem. Ale psy zostały przy mnie, bo na inkwizycyi moi juryści dowiedli, że oba pozdychały. I to niemało mnie kosztowało. Ale pieniędzy nie żałowałem. Na to człowiek ma dobra, i na nich pracuje, żeby mógł czasem dogodzić swojej fantazyi. Koniec końców, wszystko najlepiej się ukartowało. Kto czego więcej potrzebował, to i dostał. Suzin moje pieniądze, a ja jego psy. A więc na moje wyszło. A oto widzisz, mości doktorze, ten woreczek ze złotych ogniwek; w nim znajdziesz te trzy kule ołowione. A dodajże do nich i te dwie co

wyjąłeś, będzie ich teraz pięć. Dyabelny one ból sprawiają, i teraz okropnie mnie strzyka, a gdzie? sam nie wiem; bo całe ciało zbolałe, ale mniejsza z tem, bo wiem z doświadczenia, że po zagojonej ranie od wystrzału, człowiek zawsze zdrowszy niżeli był wprzód. Pięć kul, a więc pięć świadectw, że nie baba. A na jakie licho człowiek by smakował w wojaczce, gdyby na pewno wojował. Nademnie nie ma myśliwego w całej rzeczypospolitej, a dla mnie ani zając, ani ptak nie zwierzyna. Kogo to bawi, niech sobie nawet chodzi na kucharskie polowanie, z rozjazdem i wabikiem, i napelnia torbę przepiórkami! A co do mnie, mało dusza nie wyskoczy z radości, kiedy widzę bieżącego odyńca, spiętego niedźwiedzia, z biedy wilka, bo przynajmniej człowiek się naraża, a nie gra na pewne, jak oszust kartowy.

Kłopotał się lekarz, że kniaź tak się rozgadawał, ale takiemu nie było sposobu mówić o tem, co mu się nie podobało. Dał więc pokój i poznał, że pacjent wpadał w stan gorączkowy. Dotąd przynajmniej był zrozumiałym, ale coraz silniej gorączka się wzmagała, tak że już plątały mu się myśli. Było tam coś o łowach, o wojnach, o jego przodkach, kilkakrotnie wspominał nieboszczyką brata, ale to wszystko tak się jedno drugiego nie trzymało, że na pró-

żno było chcieć coś z tego skleić. Był to nadzwyczaj silny paroksyzm gorączki, a lekarze dopiero odeszli, gdy go ujrzeni twardo śpiącym.

## ROZDZIAŁ XV.

Wracał powoli do zdrowia książę Dorohostajski, a zarazem i do czynnego życia. Skoro mógł wstać z łóżka i przechadzać się po swojej komnacie, chociaż oparty na jakim ze swoich dworzan, zaczął myśleć o swoich więźniach, którzy zamknięci w podziemnych pustkowiach zamku, oczekiwali swojego przeznaczenia. Już pan Olesza objął był zarząd zamku i księztwa Dolskiego, i stosownie do woli pańskiej nowych podstarościch instrumentował po folwarkach, a dawnych zabierał się odesłać pod strażą do zamku. Ale ci, domyślając się co ich tam czekało, wszyscy puciekali z żonami i dziećmi, unosząc z sobą to, co im się udało zabrać na pędce.

Musiał wytrzymać pan Olesza burzę od swojego pana za tę ich ucieczkę, a nawet w uniesieniu mu powiedział:

— Żałuję, że waści poleciłem przystawienie tych sług złodziejów i zdrajców po należyte ich ukaranie. Nic dziwnego, że, będąc obłożnie chorym, wyszło mi z myśli przysłowie, że kruk krukowi oka nie wykole.

Tyle tylko, że kazał dobytek i rupiecie tych podstarościch zabrać, i niemi poobdzielał tych żołdaków swojej milicyi nadwornej, których uważał być godniejszymi jakiejś nagrody.

Wszystko powróciło w zamku Dolskim do dawnego porządku; a jego właściciel do przyrodzonej srogości. I dał tego wkrótce uroczysty dowód. Bo gdy lekarze odezwali się przed nim, że dobrzeby było, gdyby użył wolnego powietrza, on kazał się wynieść w głębokiem krześle, umyślnie na to sporządzonem, na wały zamku, od tej strony gdzie za rowem już były przygotowane szubienice.

Pospędzano atamanów i sockich kozaków, którzy mu się byli sprzeniewierzyli, dla odebrania przeznaczonej kary. Było ich kilkunastu; żadnemu nie przebaczył. Dzika radość malowała się na jego schorzałym obliczu, w czasie kiedy patrzył na konanie tych nieszczęśliwych ofiar. Nigdy go nie widziano równie wesołego, jak w tym dniu tak stra-

sznym, nie tylko dla nich samych, ale nawet dla tych widzów, którzy jeszcze coś ludzkiego zachowali w sercu.

Jednak te ofiary nie były zdolne zaspokoić mściwej duszy kniazia. Przypomniawszy sobie, że ma więźniów z oddziału Ogara; było ich dwóch, jeszcze nie wyzdrowiałych, a których Ogar pomimo swojej usilności nie zdołał wywieźć z zamku, i musiał na los puścić, a był jeszcze trzeci, pod którym że konia ubito, w tej potyczce gdzie kniaz został raniony, a więc nie zdołał się uratować ucieczką.

— Przyprowadzić mi zaraz tych hultajów — rzekł kniaz do otaczających go sług. — W tem miejscu otwieram jurysdykcję, będę ich sądził wedle wszelkiej sprawiedliwości, jako Senator. Wszakże oni są buntownicy przeciwko tej rzeczypospolitej, której jestem wierną radą? Oni nie są moi poddani; bez sądu nie mam prawa ich wywieszać.

I zaczął się śmiać, zadowolniony z swojego konceptu.

Przyprawdzono tych trzech nieszczęśliwych przed oblicze kniazia. Dwóch było tak schorzałych, że ustać nie mogli na nogach, tylko oparci na swoich przewodnikach. Kniaź jak ich zobaczy, że ciągle był w humorze żartobliwym, rzekł do pana Oleszy:



— Niewielka to dla nich krzywda, że będą zaraz wisieć, bo i tak niewiele się im należy.

I w samej rzeczy nie zdawało się, żeby zbliżająca się śmierć bolesna na nich sprawiła wrażenie. Owszem z jakimś pragnieniem oczekiwali końca swoich cierpień. Na zapytania, które im książę czynił, odpowiadali z ciężkością, ale skromnie, i widać było, że się zgadzali z wolą Pana Boga z zupełną uległością. Prosił o księdza, żeby im ulżył przechód do innego świata; ale srogi książę i tej ostatniej pociechy im odmówił. Dopóki ich nie przyczepiono do szubienicy, nie przestawali się modlić z tak widocznym podniesieniem ducha, że wszyscy przytomni nie mogli utaić współczucia dla tych nieszczęśliwych ofiar zemsty i przemocy.

Ale kiedy przyszło do trzeciego jeńca, ten wcale się inaczej pokazał. Był to żołnierz wysokiego wzrostu, barczysty, rudo zarastający, o tyle zuchwały, o ile jego współtowarzysze pokazali się skromni. Ludzie księcia, którym się udało go zabrać, oddawali mu sprawiedliwość, że nigdy im się nie zdarzyło mieć do czynienia z równie odważnym przeciwnikiem. Po zabiciu swojego konia, odstąpiony od kolegów, którzy w ucieczce już znaleźli byli ocalenie, chociaż otoczony licznym hufcem nieprzyjaciół, sam jeden długo się bronił przeciwko wszystkim, szukał śmierci, nie mając żadnej nadziei zwycięstwa. Żał było żołnierzom księcia zglądzić tak walecznego przeci-

wnika. Obrzucili go płaszczami, i tym sposobem żywcem dostał się w ich ręce. Kiedy go przyprowadzono na plac kaźni, z suchym okiem patrzył na wszystkie przygotowania swojej śmierci. Zauważano, że ani drgnął, kiedy o kilka kroków od niego wieszano oficerów milicyi księcia, i że nawet uśmiech szyderczy pokazał się na jego ustach. A kiedy jego scho-rzałym kolegom zaciągano szyję postronkiem, rzucił wzrok tak pogardliwy na księcia, że wszyscy przytomni strachem zostali przejęci.

Książę z nim rozpoczął swoje mniemane sądy. Ich oczy spotkały się z sobą. Książę nie mógł znieść jego spojrzenia, i omal że nie z drżącym głosem czynił mu zwykle zapytania:

— Jakie nosisz imię i nazwisko? jaki twój stan? ile masz lat?

— Mam lat dwadzieścia sześć, mój stan jest być żołnierzem dobrej sprawy. Znają mnie swoi i obcy pod imieniem Susła.

— Jest to imienisko, jak te wszystkie, co wy wywołanie umiecie sobie przybierać. Ja się ciebie pytam o prawdziwe twoje nazwisko?

— Twoja ciekawość wcale niepotrzebna. Bo nie staram się o rękę ani twojej córki, ani twojej siostry, a jakiegokolwiek byłoby moje nazwisko, ono mnie od śmierci nie ocali.

— Jak ty śmiesz tak zuchwale odpowiadać?

Czy zapomniałeś nędzarzu, że jesteś w moim ręku, i że odemnie zależy zadać ci tysiąc mąk? Jeżeli nie spuścisz z tonu, każę cię żywcem ze skóry obdrzeć.

— Ty sam jesteś nędzarzem, bo duszy nie masz. Obmyślaj sobie na mnie tortury; nic nie obmyślisz gorszego od tego, coby ciebie czekało, gdybyś był wpadł w moje ręce.

— To ty taki? Obaczmy, czy ta zuchwałość ciebie nie opuści. Pokażcie mu nóż, który mu skórę zedrze.

Jeden z oprawców przed jego oczami przeprowadził nóż zakrzywiony, duży i ostry, i zapytał go ze śmiechem:

— A czy dobry?

— Dobry, dobry! Jeżeli ty, kniaziu, go wymyślił, przekonywaj mnie, żeś sposobniejszy na rzeźnika, niż na senatora.

— Proszę uniżenie, tak się zaciął, że na widok noża ani się zmięszął; lubię go za to. Mospanie Olesza, chodź waść tu!

Stary dworak schylił się nad krzesłem pańskim, a kniaź mu powiedział cichym głosem:

— Co powiesz, Oleszo? Wyraźnie opadłem na siłach. Nie mam odwagi kazać zamordować tak walecznego człowieka.

Po kilku chwilach głośno się odezwał:

— Susle, czy jak się tam zowiesz, poproś mnie o jaką łaskę, a kto wie? może ją otrzymasz odemnie.

— Ja żadnej łaski od ciebie nie potrzebuję. Jak widzę starzejesz, że robisz się takim gadułą. Lepiejbyś rozkazał swoim oprawcom, żeby mi już skórę pruć zaczęli.

— Żal mi ciebie, Susle, bo wyznaję, że równie nieustraszonego męża nigdy mi się nie zdarzyło spotkać. Posłuchaj, gdybym ci darował życie pod warunkiem, byś został moim przyjacielem i sługą, cobyś ty na to?

— Ja twoim przyjacielem i sługą? Nigdy! Wskrzęs-no wprzód tych moich dwóch poczciwych kolegów, których dopieroś kazał powiesić, a wtedy pomówimy o przyszłej naszej przyjaźni.

— Ty gardzisz łaską, którą ci ofiaruję? Otóż ja cię proszę o jedną łaskę: powiedz mi, kto ty jesteś? Ty musisz być z szlachetnej krwi, bo między rzeźniczym nożem a szubienicą żaden cham nie znalazłby się jak ty.

— To ci mogę uczynić, bo śmierć za dobrą sprawę, chociażby na szubienicy, a zwłaszcza za rozkazem twoim, mojemu herbowi nie hańbę, ale owszem sławę przyniesie. Jestem szlachcicem róż-

wnym tobie w urodzeniu, lubo Opatrzność mojego domu między magnackimi nie usadowiła. Moje imię Tadeusz, nazwisko Jezierski, herb Rogala; mój ojciec był urzędnikiem w województwie Nowogrodzkim, gdzie dotąd moja matka ma po nim dwie wioski w dożywociu. Ojciec z przypadku życie skończył, wkrótce po mojem urodzeniu. Jeżeli pozostanie w tobie choć cień poczciwości szlacheckiej, o to cię tylko proszę, jak mi zadasz śmierć po twojemu, zawiadom moją matkę, że już nie żyję, ażeby pamiętała o duszy mojej. Masz więc czegoś żądał, a teraz rób koniec ze mną.

— Tyż jesteś synem Iwona Jezierskiego, pisarza grodzkiego Nowogrodzkiego?

— Nie inaczej.

— Teraz nie dziwię się, że coś się we mnie opierało, bym na twoją zgubę zezwolił. Gdybyś nie był odkrył przedemną kim jesteś, tyle tylko miałbym litości nad tobą, żebym cię kazał rozstrzelać, a nie hańbił twojej szyi stryczkiem. Ale przez całe życie wyrzucałbym sobie śmierć twoją. Posłuchaj, młodzieńcze! Twój ojciec był spadkowym przyjacielem mojego domu, i póki pozostawał w kawalerstwie, był moim domownikiem, a że jak ja, był namiętnym myśliwym, z tego powodu najściślejsza między nami związała się przyjaźń. Nawet po ożenieniu się swoim z twoją matką, jak tylko św. Michał nastanie

przyjeżdża do mnie na kilkoniedzielne polowanie, któremu przywodził, bo w tem miał największe doświadczenie. Otóż razu jednego postrzeliłem niedźwiedzia, który rozjuszony prosto poszedł na mnie; byłby mnie rozdarł, gdyby twój ojciec nie był się rzucił między nas, i do niego nie wypalił, czem dał mi czas na nowo nabić strzelbę, obracam się, widzę twojego ojca w łapach niedźwiedzia. Pokazało się, że go nie trafił śmiertelnie, a raną powtórna jeszcze do większej wściekłości doprowadził, i stał się jej ofiarą. Zabiłem niedźwiedzia na nim, ale on tak był rozdarty, że kiedyśmy go wynieśli w bezpieczne miejsce, zaledwo trochę przytomności zachował. Jednak przed skonaniem swoim zebrał ostatki sił, i rzekł do mnie: — Kniaziu Danielu, wkrótce umrę; ale nie umrę spokojnie, jeżeli mi nie dasz słowa, że mój jedynak Tadeusz, dziś przy piersiach, póki ty żyć będziesz nigdy od ciebie krzywdy, ani nawet przykrości nie doświadczy, i że owszem zawsze mu dasz wsparcie i opiekę. — Ja mu ścisnąłem rękę i zaprzysiągłem spełnienie tej jego ostatniej woli. A po kilku chwilach twój ojciec skonał na moich rękach. Nigdy nie umiałem przebaczyć urazy; musiałeś słyszeć o moich zemstach, gwałtownościach, wżgardzie wszelkich praw Boskich i ludzkich, i miałeś tego dowody. Ale nigdy nie słyszałeś, żebym kiedykolwiek shańbił moją sławę niedotrzymaniem słowa przezemnie danego. Jako przyrzeczenie, które uczyniłem twojemu umie-

rającemu ojcu było bezwarunkowe, tak też żadnych tobie nie podaję warunków do zgody. Wracam ci twoją zbroję i oręż. Wybierz w mojej stajni konia, jaki ci się najwięcej podoba, wracaj do swoich, odnawiaj z nimi przeciwko mnie boje. Ale bądź pewny, że o ile to odemnie będzie zależeć, zawsze zostaniesz w każdym wypadku oszczędzonym. O to tylko cię proszę, żebyś powiedział swojemu Lizdejce, i temu bękartowi, który przywłaszczył sobie zamek moich przodków, że między nimi a mną żadnej zgody być nie może, — że świat, jakkolwiek szeroki, jest za ciasny dla nas, i że ich obu zgubię, chociażbym sam miał z nimi się zgubić.

Ta mięszanina zbrodni i uczuć honoru tak silne wrażenie zrobiła na umyśle młodego Tadeusza, że długi czas stał jak skamieniały, uszom i oczom swoim nie śmiejąc wierzyć. Skłonił się nakoniec przed krwawym, ale na ten czas wspaniałomyślnym kniazem. Podczas gdy giermkowie wkładali na niego zbroję, kilka koni wierzchowych stało w pełnym orderunku; jednego z nich wybrał. Odprowadzono go za rogatki zamkowego mostu; jeszcze raz uklonił się kniaziewi, siedzącemu na wałach w swoim krześle, ścisnął dzielnego rumaka ostrogami, i zniknął w kurzawie z przed oczów zadziwionych tyłu wypadkami widzów.

Niemoc kniazia przeciągała się wedle jego nie-

cierpliwości, bo chociaż rzeczywiście był w stanie, jakiego żądać mogli jego lekarze, on ciągle narzekał i miał się za bardzo chorego dlatego, że nie mógł jeszcze przywdziać swojego pancerza, ani się rąbać z panem Szuksztą, jak to było w jego obyczaju, ani w dobrach swoich polować. Ofukiwał swoich lekarzy za ich opieszałość, a oni za zawsze jedno a jedno powtarzali: — nie ma kuracyi lekarskiej bez współdziałania cierpliwości pacyenta. W jednej chwili można stracić zdrowie, ale żeby je odzyskać, trzeba na to czasu. — Przykrzyła się kniaziewi ta bezczynność cielesna, na którą jeszcze był skazany, bo wszelkie zatrudnienia i rozrywki umysłowe były dla niego obce, ani ich nawet pojmował. Póki był dzień, bądź z okna swojej komnaty, bądź przyniesiony po pod kolumnę facyaty zamkowej, przynajmniej przypatrywał się obrotom swojej milicyi, które codziennie się powtarzały z jego rozkazu na dziedzińcu. Wtedy albo milczał, co było u niego oznaką zadowolenia, albo kiedy te ich obroty niezupełnie po jego myśli się wykonywały, unosił się w gniewie, krzyczał na swoich ludzi, lub w przytomności swojej rozkazywał im wymierzać kary; to wszystko go rozrywało. Ale wieczory przedłużone, zwłaszcza pory jesiennej, były dla niego nieznośne. Bo chociaż siedział otoczony dworzanami, obawa jaką w nich wzniewała stawała na przeszkodzie wszelkim poufałym stosunkom. Pan zasepiony milczał, a za-

den dworzanin nie ośmielał się powszechnego milczenia przerywać.

Jednego wieczoru, kiedy jak zwykle siedział znudzony, dano mu wiedzieć o przybyciu nowego gościa. Był to Joś Dreczker, żyd, rodem z Kocka, ale ważna figura owego czasu. On był liwerantem Szwedów i panów polskich z nimi związanych. Koni, broni, żywności i wszelkiego rodzaju amunicyj dostarczał dla wojska, a panom polskim, potrzebującym gotowych pieniędzy, które coraz robiły się droższymi, nigdy kredytu nie odmawiał, czem wkrótce przyszedł i do ogromnych bogactw, i do niemałej wziętości, tak dalece, że nawet do króla Karola Gustawa miał wolny przystęp, a król ten często w rozmaitych okolicznościach zasięgał jego rady.

Kazimierz Wielki lubił żydów, nie jak to niektórzy dziejopisarze mu wyrzucają, z powodu że był w sprośnych miłostkach z nadobną żydówką, ale że był kierowany rozsądną polityką. Żadna społeczność polityczna nie może się nazwać uzupełnioną, póki w niej się nie wyrobi klasa przemysłowi oddana. A ta w Polsce powstać nie mogła z żywiołów narodowych. Szlachta, jedyna obrona kraju, żeby się była poświęciła przemysłowi i handlowi, musiałaby zaprzeczyć się swojego jestestwa. Rolnik, przywiązany do gleby, żywiciel całego stowarzyszenia, ale bez zasobów intelektualnych i pieniężnych, cho-

ciażby mu i była przyznana wolność osobista, zostałby włóczęgą, nigdy przemysłnikiem. Przybycie więc przychodniów przemysłnych, oszczędnych, pracowitych, cierpliwych, gorliwych wyznawców religii moralnej, w której znajdują się korzenie religii wszystkich narodów cokolwiek ukształconych, było wówczas pod względem okoliczności miejscowych wypadkiem szczęśliwym dla Polski. A Kazimierz Wielki bynajmniej nie zblądził, nadając przywileje narodowi obcemu bezwątpienia, ale przynoszącemu nowy, a niezbędny element cywilizacji materialnej, któraby mogła być z czasem uduchowniona przez przykłady cnót chrześcijańskich. Obiedwie religie były nadto sobie nienawistne, żeby ich wyznawcy mogli wzajemnie zawierać te ścisłe związki, które rodziny jednoczą z sobą; do tego intolerancja moralna jednych, a intolerancja obyczajowa drugich nieprzełomne zapory stawiały.

Umiał poznać Kazimierz Wielki, że warunków czasu nie można zgwałcić, i zabezpieczył żydom swobodne wyznanie ich religii. I tej drogi trzymali się jego następcy, aż do ostatniego Jagiellona. Stało się prawo, przypuszczające każdego żyda, któryby przyjął wiarę katolicką, do wszelkich zaszczytów i prerogatyw stanu szlacheckiego, i niemało żydów z tego przywileju korzystając, zostało szczepami wielu rodzin szlacheckich zasłużonych krajowi. Ale to była rzecz dobrowolna. Żyd, wytrwały w swoim

przekonaniu, wszelkiej opieki prawa doświadczał. Oddawał się swobodnie handlowi, nadawał wartość najpośledniemu produktom naszej ziemi, lub zostawał rzemieślnikiem, czy szynkarzem; często uprawiał sztuki wyzwolone, zwłaszcza lekarską.

Wprowadzenie reformy XVI wieku wzbudziło i rozterki między obywatelami i intolerancją, element wprzódki nieznany w całej Słowiańszczyźnie. Nie tu jest miejsce wyłuszczyć, kto był tego nowego zjawiska powodem. To pewna, że odtąd los żydów pogorszył się w Polsce, a przytem zmniejszało się ich przywiązanie do kraju. Między katolikami a dyssydentami ciągle były sprzeczki religijne. Ale uczucie religijne ulatniało się stopniami z serc jednych i drugich. Szlachta po prowincjach zamieszkała po wielkiej części była pobożną, ale ci co się dotykali steru rządowego, odznaczali się wolnem myśleniem, przy zachowaniu wszelkich form pobożności. Zaczęto obdzierać żydów, podburzać na nich motłoch chrześcijański, odsuwać od opieki prawa, oskarżać całkowite gminy o przelanie krwi dzieci chrześcijańskich, jakoby dla obrzędu ich Paschy, i ciągnąć je do sądów, gdzie oskarżyciele byli sędziami, czem ściągano przeciw nim nienawiść polskiego narodu. Zwłaszcza pod panowaniem Jana Kazimierza te zagęszczone prześladowania, to odmówienie żydom wszelkiej sprawiedliwości, jeżeli opłaconą nie była, rozjątrzyły ich do najwyższego stopnia. Kiedy Szwedzi naszli Polskę,

żydzi im sprzyjali, i choć skrycie, gorliwie im pomagali, jako i innych wyznań dyssydenci, wyjąwszy mahometanów, którzy nie przestawali okazywać współczucia dla oddalonego króla. Nienawiść żydów do partyi królewskiej była tem większa, iż była się rozeszła pogłoska po całym narodzie, jakoby Jan Kazimierz ślubował Najświętszej Pannie, że jeżeli wróci na tron swój, wypędzi żydów ze wszystkich dzierżaw Rzeczypospolitej \*).

Jeśli Dreczkier rozciągał dyktaturę nad żydami Korony i Litwy, tem potężniejszą, im mniej była widoczną. Ze wszech stron żydzi do niego się zbiegali z doniesieniem, co się dzieje u każdego z kolei, co każdy myśli; często mu przywozili podatki z postów przez rabinów gminom nakazanych. On im dawał rozkazy swoje, wszyscy go słuchali jakby jakiej wyroczni, i gdyby naród żydowski był bitnym, z największą łatwością Dreczkier stanąłby mógł na czele wojska liczniejszego niż Szwedów i z nimi sprzymierzonych Polaków. Miał on też niepospolite przymioty: cierpliwość niczem niezmordowaną, zręczność naj-

---

\*) W samej rzeczy Jan Kazimierz ślubował Najświętszej Pannie, że jeżeli go z kłopotu wyprowadzi, wypędzi z kraju żydów i arianów. Kiedy odzyskał swoje królestwo, żydzi się opłacili i zostali, a na arianach się skrupiło.

większą, przenikliwość aż do wyczytania myśli tych, z którymi miał do czynienia, i sztukę przypodobania się panom.

Skoro poznajmili kniaziowi przybycie Dreczkiera, tak okazał się zadowolonym tą nowiną, że gdyby był zdrow, powstałby ze swojego krzesła, i na stronie zostawując swoją godność, może byłby wybiegł przeciw żydowi. Ale jeszcze był niezupełnym rekonwalescentem, więc tylko poruszył się w głębokim krześle i powiedział: — Joś, nasz Joś, a wprowadzić go czempredzej!

Wszedł żyd, stary na twarzy, bo i brodę miał siwą, ale młody na ciele, bo tak ruchliwy, że momentu na miejscu ustać nie mógł. Był wzrostu miernego, z brzuchem wydatnym, nos orli, małe oczy siwe, pełne wyrażenia, pejsy długie szpakowate, usta wąziuteńkie, które całej twarzy dawały wyraz pospołu i chytrłości i szyderstwa, a do tego wszystkiego pleć żółto-śniada, najwyrazistszy typ potomków Abrahama, a który coraz staje się rzadszym. Miał na sobie z atlasu czarnego w najlepszym gatunku suknię, dziś nazwany łapserdak, a rzeczywiście była naśladowaniem stroju naszych szlachejnych przodków, którą nasi żydzi aż dotąd zachowali. Pas morowy także czarny opasywał długą suknię, z pod której wyglądały bawełniane białe pończochy i trzewiki srebrnymi sprzączkami zaciągnięte; na głowie jarmułka aksamitna, w lewym ręku kij długi hebanowy, z wielką

skówką srebrną, na nim czapka szabasówka z bogatym sobolem, a ręką prawą dotykając łydki kniazia, i całkiem pochylony, tym ukłonem go powitał. Książę wziął go za brodę na znak życzliwości i rzekł:

— Witam cię, pocziwczel! Zkąd jedziesz i co mi przynosisz nowego?

— Zkąd? z domu, jasnie panie, to jest z bryki. Od czterech lat ja gościem w domu, i to nie na długo, a gospodarzem na bryce. Od mojego ojczystego domu w Kocku już się odrzekłem; a ktoby tam siedział, odkąd rozbójniki go zajęli? Moja żona mieszka w mojej kamienicy w Warszawie. Mojemu synowi oddałem domostwo w Brześciu. To żydek bardzo uczony, wielki hussyt, ani handlem, ani gospodarstwem się trudni, tylko jednemu Bogu służy, a drugi syn ma dom i sklep sukienny w Grodnie. A ja panom i monarchom służąc, to do jednego to do drugiego dziecka przyjeżdżam, żeby czasem z pracy odetchnąć. A teraz będąc w tych stronach, nie mogłem nie wyboczyć do Dolska, żeby jasnie panu wojewodzie powinszować szczęścia, że Pan Bóg mu oddał Dolsk, który był się dostał rozbójnikom, a także i rozczulić się nad nieszczęściem, co jasnie pana spotkało na zdrowiu, a które chwała Bogu już ustaje. Że można Panu Bogu podziękować, patrząc że tak pięknie wygląda jasnie pan po swoim strasznym przypadku.

— Toć to, mój kochany, nie ma czego ani mi

tak bardzo winszować szczęścia za jedno, ani ubolewać nad drugim. Odebrałem co było moje, a to nie bez szkody. Wy kupcy najlepiej wiecie, że kiedy kto tylko na swoje wychodzi, a nie nie zarobi, niewiele się cieszy. A co do tego, że mnie parę razy postrzelili, zwyczajnie wojna. Co to mi za rycerz, co mu tylko cyrulik krew wypuszczał. To tylko bieda, że moja kuracya zanadto się przedłuża, i że trzeba jeszcze czas jakiś posiedzieć w krześle, a o kulbace ani pomyśleć. Zresztą czuję, że codzień jestem zdrowszy, bo już mi moi lekarze pozwalają od dnia zawczorajszego wypić codzień parę szklanek wina; ale ile to było korowodów, nim otrzymałem to pozwolenie! Wiesz co, Josiu? Zrabowali mi hultaje moją piwnicę, ale nie tak, żeby kilka flasz nie zostało. Jeszcze jest odrobinka waszego wina koszerne, z Węgier sprowadzonego, żeby na wypadek, jeżeli jaki porządny żyd wstęp u mnie znajdzie, z suchem gardłem nie odchodził (\*). Tobiem rad, Josiu, bo

\*) Gościnność była tak wielka w Polsce, że nikt nie omijała. W Bibliotece Nieświeżskiej zdarzyło się czytać książkę wydatków księcia kanclerza Radziwiłła; w tym rejestrze uderzyły mnie te wyrazy:

Na wino koszerne złotych 30.

Nie wiem co to jest wino koszerne, ale oczywiście musiało ono być przeznaczone dla żydów, którzy z po-

z ciebie rozumny żyd, i czasem dobrze poradzisz. Hoła podczaszy (\*!) Zaraz mi tu przynieść wina, mój lekarz nadworny należy mi w kielich tyle, ile mi pozwoli wypić, a żeby była szklanka dla Josia, i to wino które jego żydowskiego sumienia nie obciążą. Pokaż mu na butelce pieczęć rabina, na przekonanie, że nie ma czego się obawiać zdrady, dla mnie waść sam dobędziesz korek, a przywołasz węgrzynka, żeby tę samą posługę robił Josiowi. Bo on wie, że choć go lubię, nie jest on wykuty z takiego kruszcu, żeby aż szlachta mu usługiwała.

Dworzanin wyszedł, a kniaź siedział zawsze w swoim głębokim krześle z twarzą coraz więcej wypogodzoną. Dwór milczał, a żyd nisko się skłó-

wodu jakiegoś interesu z księciem przypuszczeni byli do rozmawiania z nim na jego pokojach.

\*\*) Na dworze przemożnego pana, było zawsze siedmiu dworzan, jakoby dygnitarzów, mających wiele powagi, a którzy cielesnej karze nie ulegali. Oto był ich porządek w hierarchii dworskiej: marszałek, podczaszy, koniuszy, łowczy, podskarbi, sekretarz i szatny. Podczasostwo było rzeczą tak ważną w wiekach średnich, że w bulli złotej, którą cesarz Karol IV urządził rzeszę niemiecką, godność podczaszowska była przywiązana do korony Czeskiej, pierwszego elektorstwa z porządku w świętem państwie Rzymskiem.



niwszy wyprężył się oparty lewą ręką na długiej lasce, a prawą założył za pas, ciągle patrząc z ukosa na kniazia, jakby się go chciał na pamięć nauczyć.

Kniaź przerwał milczenie.

— Powiedz prawdę, Josiu, ty nie tylko dla samej attencyi przybyłeś do Dolska? Ja widzę, że musisz mieć jakiś interes do mnie, i to mnie samego tycający się; a co, czy zgadłem?

— To już wielki interes dla mnie popatrzeć się na takiego monarchę jak jaśnie pan, a potem, zapytać się: czy nie potrzebuje moich usług? Bo Joś Dreczkier zawsze gotowy na pańskie rozkazy; to dla niego największe szczęście. Kiedy jaśnie pan mu powie, Josiu, mnie potrzeba tego, lub owego, czy możesz to dla mnie zrobić? A wtedy Joś Dreczkier odpowie:—Chyba cuda jaśnie panu potrzeba, że nie potrafi tego zrobić, a jeżeli cudu, to będzie się starał go wyprosić u Pana Boga.

— Dziękuję ci. Ty dobrze wiesz, że do ciebie nigdy nie udawałem się po pieniądze jak to inni panowie robią. Człowiek tak się jakoś rządzi, że jeżeli pokój, to mu to wystarczy, a jeżeli wojna, ma jakiś zapas, że bez cudzej pomocy obejść się może. Jeżeli tylko z oświadczeniem do mnie przybyłeś, to nie wielki mi z tego przybytek.

I to rzekłszy, nieco się zasepił Joś w około siebie poprowadził wzrok niespokojny, a potem spojrzął na kniazia. Ten od razu go zrozumiał.

Przybył podczaszy, a za nim Węgrzynek z tacą, a na niej dwie butelki, kielich i szklanka. Lekarz nalał wina w kielich księcia, w porcyi cokolwiek większej, niż dnia wczorajszego. Węgrzynek pokazał żydowi pieczęć na korku, poczem wydobyl i nalał mu sporą szklanicę aż do brzegu nektaru madziarskiej ziemi. Żyd skłonił się tak nisko, że omal łbem nie stuknął o ziemię. A potem wyprężywszy się, podniósł szklankę i powiedział:—Niech Pan Bóg da JW. monarchowi, który mnie biednego żyda tak łaskawie przyjmuje, tyle szczęścia, tyle zdrowia, tyle panowania, ile jest kropel wina nie tylko w tej szklance, nie tylko w tych dwóch flaszach, ale w całej jego piwnicy.

To rzekłszy, przybliżył szklankę do ust swoich, i jak prawdziwy amator kroplami zaczął spuszczać płyn do gardła. Kniaź swój kielich wziął w lewą rękę, jakby próbując, czy już zaczyna na nowo mu dopisywać, a prawą dał znak dworowi, żeby go samego z żydem zostawiono. W jednej chwili wypróżniła się komnata, że tylko kniaź i Joś Dreczkier w niej pozostali.

## ROZDZIAŁ XVI.

Kniaź pierwszy się odezwał.

— Josiu! jesteście teraz bez świadków, powiedź że zkąd jedziesz? i jakie wiadomości mi przywozisz?

— Jadę z Brześcia, i przed samym moim wyjazdem JW. hetman Gąsiewski kazał mnie zawołać; miał do mnie interes, a ten się skończył jak zwyczajnie. Pan żydkowi wiele pięknych słów powiedział, a żydek musiał panu dać pieniędzy, które ma kiedyś odebrać z produktów leśnych jego dóbr w województwie Smoleńskim. Otóż my kończyli z sobą interes, kiedy przyszła wiadomość, że jasnie panu udało się odebrać to, co było jego.

— A jakże hetman tę wiadomość przyjął? nie musiała mu być bardzo miła?

— To już jasnie panu mówić nie trzeba, bo swoim delikatnym rozumem sam wszystko odgadnie. Hetman powiedział, z przeproszeniem, bo nie swoje, a jego słowa powtarzam. — I cóż z tego? kniaź tak zrobił, jak ten co poluje na grubą zwierzynę: proch swój wystrzela na ptaszki. Cieszy się, że torbę wypełnił wróblami, a nie uważa, że wilki i lisy pouciekały. Obaczymy, jak długo swój Dolsk zachowa?

— Dłużej może, niż on swoją wielką buławę. Ował jaki mądry z niego człowiek. A to wszystko, że jakoś bez jego pomocy się obeszło. Gdzie jego nie było, musi być źle koniecznie. On mnie oskarżył przed królem szwedzkim, wiem o tem. To tylko bieda, że o to niewiele dbam. Żebym nie miał mojego Dolska, a kto wie? możeby mnie bojaźń nielaski króla i zafrasowała. Ale teraz o to pokój, bo ja potrzebniejszy królowi, niż król mnie. Wierz mi, Josiu, że człowiek jakibądź sam z siebie niewiele wart; dopiero zamki, posłuszeństwo i pieniądze, póki je posiada, dają mu cenę. Gdyby Dorohostajski był sobie at zwyczajnie, jak ci, co to mając jedną duszę i jedną wioszczybę, radzi że im wystarcza na strawę i barwę, niktby go nie spytał, do jakiej partyi chce należeć, ale obracano by nim, czy w prawo czy w lewo. Bo tu

niema środka:—kto nie ma o czem rozkazywać, musi innych słuchać, czy po woli, czy po niewoli. Albo to ja jednym popycham, o którym wiem, że w duchu rad, by tamci nam kurtę wykroili? A co ja dbam o jego myśli, kiedy musi iść, gdzie ja rozkażę? Ale że książę Dorohostajski ma swoje zamki, swoje wojsko, to i szlachcie czołobitność swoją mu ofiaruje, i król nazywa go swoim przyjacielem. A czy wierz czy nie wierz, Josiu, że na całym Polesiu niema warownego zamku, któryby był tak mocny jak Dolsk. Że go odzyskałem, to jestem prawdziwym panem, i wiele ważę u króla Szwedzkiego, choć mi hetman Gąsiewski buty szyje u niego. Bo on wie, że ten mój zamek jest kęssem tak smacznym, że chociaż mówią, że Jan Kazimierz bardzo na mnie zawzięty, a jednak i zgodę i nawet najściślejszą przyjaźń u niego dostanę, jeżeli zechcę Dolsk oddać jego konfederatom, i moją milicję z niemi połączyć! Zabawny to człowiek ten Gąsiewski; już to samo dowodzi, że Janowi Kazimierzowi piątej klepki nie dostawało, kiedy takim dał wielką buławę. Nie złej rzeczy mu się chciało! mnie na charłaka wykierować, żebym mu się oddał jakby w poddaństwo, bo cóż ma robić wyłączonego pana? Ale on tego nie doczekał! Trafiło się do swojego, bo się nie słuchało jego rady; ja jak byłem panem, tak jestem panem, a to winienem mojej głowie.

— To też ja winszowałem jaśnie panu tak szczęśliwego odzyskania swojej szkody.

— Szczęśliwego! tego nie powiem, bo mi nabi-to i nakaleczono niemało ludzi. Zanadto prędko zaufałem wierności moich kozaków; wyznaję, że podrwiłem głową, bo każdy człowiek z natury szelma, a jeżeli poczciwy, to że własna bieda, albo cudzy batorog do tego go zmuszają. Otóż ten Ogar, choć hul-taj, ale gracz, nie ma co mówić, potrafił zmusić moich ludzi, że mu wiernie dopisali. Odparli nas, co prawda to prawda,—musiałem się cofnąć ze szkoda i wstydem. Ale na mus lepszy mus wymyśliłem. Ogar wzmówił kozakom wierność dla jakiegoś bękartą, dla którego gospodarował w moim zamku, ale nie do tego stopnia, żeby aż do własnych żon i dzieci strzelali. Kozak, żeby go jak chciać zaprawiać do krwi, zawsze ma miękkie serce dla swojej rodziny. Ty, Josiu, aż nadto to rozumiesz, bo i wy żydzi przepadacie za waszemi dziećmi, co wam się nie gani, boście do łokcia i kwaterki, a nie do szabli i rusznicy stworzeni. Otóż kozacy wrócili do swojego prawdziwego pana, i z serca odpuściłem im przewinienie. Tyle tylko było pociechy, że tam coś z ich starszyny naczepiano do szubienicy, a prostemu ludowi włoska z głowy nie wyrwana.

— Jaśnie pan zawsze miłosierny, nawet wtedy kiedy się gniewasz.

— Co to miłosierny! mnie serce tak zmiękniało, że nie poznaję siebie. Że przebaczyłem temu motłochowi, to jeszcze nie osobliwsza rzecz. To moi poddani; kto powie, że sam sobie nie chciałem robić szkody i będzie miał słuszość. Juści nikt swojej trzody nie zarznie, chociażby go przewróciła i kopytkami podeptała. A cudzy wpadł był w moje ręce, a jednak puściłem go z Bogiem.

— Czy podobna! żeby jaśnie pan tak sprawiedliwy, rozbójnika, rabusia nie chciał ukarać?

— Otóż widział! pytaj się wszystkich, oni ci powiedzą. Jak zamek już został moim, mnie oto chodziło, żeby Ogar ze swoimi rozbójnikami nie uciekł. To też nie wszedłem do zamku, choć bramę mi otworzono; tyle tylko, że moich piechurów do niego wyprawilem, a sam z całą moją jazdą puściłem się tam, gdzie już byłem wysłał oddział, a to żeby spłować Ogara, bo tylko tamtą stroną mógł uciekać, ile że na ten oddział spuścić się nie mogłem, bo mnie tam nie było. Dotarłem zwierzynę; noga by ich nie uszła, gdyby sam Ogar nie był mnie przywitał swoim garłaczem. Sprawiedliwość winna być oddana jemu i jego ludziom, że dyabelnie się bronili. Mnie samemu podobali się tak dalece, że chociaż wymówiłem się z tem, że jak dostanę Ogara, żywcem każę go zedrzeć ze skóry, a jednak brałamnie pokusa rozgrzeszyć siebie z danego słowa, i po prostu kazać go po-

wiesić. Jak padłem, moi głupcy zamiast skończyć z tamtym, rzucili się do mnie z ratunkiem, za co wcale im nie jestem wdzięczny, bo Ogar uciekł ze swoimi. Jak go wypuścili z ostępu, tak go i pożegnali. Była mi korzyść, jak psu mucha; dwóch jego chorych kazałem powiesić, ale tem ich nie ukrzywdziłem, bo to było tak wynędzniałe, że gdyby nie szubienica, toby może żyło parę dni najwięcej w większych cierpieniach, niż te których doświadczyli na szubienicy. Ot! dobrze porachowawszy, powinni byli mi podziękować, że ich powiesić kazałem. Jednego tylko porządnego Kazimirowczyka moim ludziom udało się uchwycić, bo konia pod nim zabito. Oto ale był chłop! Tak się zaciął, że ani się skrzywił, kiedy go do szubienicy ciągniono, a na moje zapytania tak zuchwale odpowiadał, jakby ja w jego, a nie on w moich był rękach. Powiadam ci, że w życiu mojem równie odważnego człowieka nie zdarzyło mi się spotkać, chociaż człowiek zęby zjadł na szukaniu ludzi odważnych i na próbowaniu się z niemi! Otóż cóż powiesz? nie tylko że temu zuchwalcowi darowałem życie, ale go wolnym puściłem, a nawet dałem mu na pamiątkę konia z całkowitym rynsztunkiem i broń, żeby miał z czem na nowo przeciwko mnie wojować.

— I jaśnie pan nieprzyjacielowi, co mu tyle szkody narobił, przebaczył? To już anielska dobroć. Bo u nas się pisze: ząb za ząb, a oko za oko.

— Otóż widzisz, że mi serce mięknieje.

— Jaśnie pan wielką łaskę masz u Pana Boga, że dla jego miłości odpuszczasz takim, co go krzywdzić pragną.

— At co tam dla miłości Boga! Tak do mnie mówisz, jakbym był dziadem kościelnym. Ja nie żyd, ani papieżnik, ani turek, żebym się dawał powodować takim rzeczom, jakich nie rozumiem. Miałem ja gruntowniejsze pobudki do wspaniałego z nim postępowania. A czy dobrze, czy źle zrobiłem, to moja rzecz. Nie warto o tem mówić. Zresztą, żeby sam Ogar z całym swoim oddziałem był się mnie dostał, nie długoby się cieszyli żywotem. Zrobiłbym sobie z nich zabawkę, a i moi lekarze mówią, że w moim stanie trzeba się rozrywać ile możności. Byłaby z tego jakaś pociecha dla mnie, ale toby mnie jeszcze nie zrobiło zupełnie spokojnym. Mnie czegoś innego potrzeba.

— A czego jaśnie panie?

— Czego? mówią że masz rozum, żydzie, a tego nie domyślasz się. Co tam plótl hetman przed tobą o ptaszkach, i o grubej zwierzynie. Dolsk zamek nie ptaszek, niech mi daruje. Ja lepiej wiem od niego co to jest wojna, i o co w niej trzeba się starać, a co zaniechać. A ja ci co innego powiem: ten motłoch Kazimirowczyków, to prawda, że są ptaszki, któremi za ledwo warto torbę myśliwską ładować. Ani tych

Ogarów, Świerszczów, Burczymuch, i innych mam za grubą zwierzynę: jak który z nich wpadnie w moje ręce, każę go powiesić dla zaspokojenia sumienia, i na tem koniec. Jako za życia niewiele mnie niepokoją, tak i odbywszy zasłużoną karę, po bardzo krótkiej chwili pociechy, wyjdą mi z pamięci. To wszystko nie warte, żeby myśl moja niemi się zajmowała. Nawet nie tak to wielką zawziętość mam na Lubomirskiego, Rewerę Potockiego, Czarnieckiego; rad jestem bić się z niemi, zwyciężyć ich i na tem koniec. Nie zapieram się szacunku, jaki dla niektórych z pomiędzy nich czuję. Mam nawet coś podobnego do przyjaźni dla obudwóch panów Sobieskich, kasztelanów Krakowskich. Zwyczajnie u nas, dziś się z niemi bije, a jutro może wypadnie żyć z niemi, pić i kolegować. Dwóch tylko jest na świecie, co mi są w oku solą. Ta ziemia jest za ciasna, żeby nas trzech razem na niej żyło. A temi są: ten bękart, który zęby ostrzy na moje imię i mój majątek, pomijam inne krzywdy, o które mniej dbam. Mógłbym się go pozbyć, uniosłem się rycerską wspaniałomyślnością. Gdzie czart nie może dać rady, babę narychtuje, a ta mu dopisze. Zresztą był to skutek ofiary wymaganej od mojego stronnictwa. Wódz niby kieruje swoim stronnictwem, ale często zmuszony jest to czynić, co ono żąda. Ty tego nie rozumiesz, Josiu. Nakoniec dyabeł-by się domyślił, co się robi z tego obzarpańca Gaskolda, na moje udreczenie. Otóż nigdy

spokojnym nie zostanę, pokąd ten urwisz będzie żyć, i jego poplecznik Lizdejko. Oj to także bicz na mnie. Wiele domysłów snuje mi się w głowie, ale ktokolwiek on jest, poprzysięgam mu wieczną nienawiść. Gdybym mógł się z nim mierzyć w pojedynczym boju! Ja pewny siebie. Ale cóż! On przeciwko mnie nie stanie, bo poddał się pod władzę konfederacyi, a ta mu nie pozwoli przyjąć wyzwania, gdyż on jej nadto potrzebny. Odłożyć trzeba to do pory, aż będzie pokój w Rzeczypospolitej, a tu każda godzina jego żywota staje mi za wiek udręczenia. Ale to darmo! Lizdejkę i Gaskolda muszę zgubić, chociażbym sam pospołu z nimi miał się zgubić.

— Na co jaśnie pan ma się gubić, kiedy i bez tego może ich zgubić? Joś Dreczkier na to przybył do jaśnie pana, żeby mu poradzić; wszystko się da zrobić, aby tylko jaśnie pan szczerze tego chciał.

— Powiedz kochany Josiu, co wiesz, a bądź pewny, że jeżeli co dobrego, wszystko czem rozrządzić mogę jest na twoje zawołanie.

— Niechże jaśnie pan mnie posłucha. A można będzie i pana Gaskolda i pana Lizdejkę tak złapać, że ani się spostrzegą. Jaśnie pan wiesz, że konfederaci okopali się na górze w Potuszy, w województwie Lubelskiem. I mają Potuszę za bardzo wielką rzecz, ale i Szwedzi nie gorzej o niej trzymają, bo kilka razy próbowali tam się dostać, tylko że konfederaci im

się nie dali. A tam nie ma ani miasteczka, ani wioski, tylko jedna karczma murowana, a w niej siedzi arendarz, poczciwy żydek Pinkus, mój swat. Choć on nie bogaty, a zwyczajnie porządny gospodarz, i żyje z tej karczmy, gdzie już pomarli i jego ojciec i dziad, ja ożeniłem syna z jego córką, bo on „Bali-ches“, jakby to z przeproszeniem po waszemu, wielki familiant. Moja synowa z dziećmi pojechała do swego ojca w goście na kilka tygodni; ja ją odprowadzałem z jej mężem do Potuszy, i my ją tam zostawiliśmy. A pojechaliśmy w tutejsze strony, gdzie mamy kawałek interesu, ale dla mnie największy interes jaśnie panu się pokłonić, dowiedzieć się czy zdrów po swoim tak strasznym przypadku, który cały kraj, cały świat przeraził, bo cóż z innymi stać się może, kiedy nawet Pan Bóg na tak wielkiego monarchę nieszczęście dopuścił!

— Bardzo ci dziękuję, żeś mnie żałował i nawiedzasz. Z tem wszystkiem nie o tem rzecz; miałeś mnie nauczyć, jakim sposobem mogę dostać Lizdejkę i tego utrapionego Gaskolda, a zapuszczasz się w jakieś androny, które do niczego nie prowadzą.

— I owszem, jaśnie panie, ja idę do tego, co go najwięcej obchodzi. Rzeczy tak się mają: Konfederaci tak pilnują Potuszy, jakby oka w głowie. W niej siedzą i Lizdejko, i Gaskold, i Świerszcz i inni między nimi tacy, w których konfederacya wielkie na-

dzieje pokłada. Mówią, że pan hetman Gąsiewski dał się z tem słyszeć, że wodzowie szwedzcy bardzo chybili, że zaniedbali wzmocnić Potuszę, a dali się uprzędzić przez konfederatów. I że teraz nic im nie pozostaje, jak wszystko łożyć, żeby to stanowisko zająć. Bo póki z tamąd nie wypłoszą nieprzyjaciela, nigdy rady nie dadzą konfederatom w Małej Polsce, zwłaszcza odkąd książę Rakoczy pokój z niemi podpisał. Otóż jaśnie panie, niełatwo przebojem wziąć Potuszę, bo śmiałe i doświadczone żołnierstwo jej broni: co prawda, to prawda. A nawet chodzi pogłoska, że już umowy między carem Moskiewskim a królem polskim zbliżają się do końca. Już mówią głośno, że król Jan Kazimierz zrzeka się swoich praw do Smoleńska i Kijowa, a car mu za to wraca swoją przyjaźń. Jeżeli broń Boże to nastąpi, hetmani koronni z wojskami swojemi opuszczą Ukrainę, bo w niej nie będą mieli nic do czynienia, i zbiorą się ze wszystkimi siłami pod Potuszą, żeby szukać potem wojsk szwedzkich. To co mówię, jaśnie panie, to nie z mojej głowy; powtarzam tylko co słyszałem od ludzi, którzy się na tych rzeczach znają.

— I jakaż z tego dla mnie pociecha? kiedy wedle tego, co mówisz, wszystko tak dobrze jak przepadło.

— Otóż jeszcze nie przepadło. Trzeba tak zrobić, żeby i Potusza i ci co jej bronią, wpadli w ręce naszych, nim hetmani przyjdą.

— A to jakim sposobem? Wszakże mówisz sam, że ona jest broniona przez ludzi mężnych, i znających swoje rzemiosło.

— Nie tak to trudno, jak się zdaje z pierwszego rzutu oka. Niech tylko jaśnie pan posłucha. Kiedyś to przed laty, był jeden arendarz w Potuszy który pokryjomu zajmował się handlem koni. Bywało komu się uda wyprowadzić konia, choćby ze stajni wielkiego monarchy, ten zaraz prowadzi zdobycz do Potuszy. A arendarz ze swojej piwnicy wyrył kanał, którym aż do lasu wyprowadzał konie, tak że kiedy do niego ich przyprowadzono, jakby w wodę wpadły. Można było trząść całą karczmę, a naderemno, bo już koń nie wiedzieć gdzie się znajdował. Bóg szczęścił temu arendarzowi, że przez całe swoje życie nie wpadł w podejrzenie. Otóż mój swat wie o tem, i mnie mówił, że najłatwiej w nocy doprowadzić wojsko w środek okopów Potuszy. I tak można z nienacka napaść na tych, co składają jej załogę, że ani się spostrzegą. Ten kanał, który prowadzi do piwnicy, wychodzi w gęsty las, a tak ukryty, że oprócz mojego swata nikt się o nim nie domyśla. I konfederatom przez myśl nie przechodzi pilnować się od tej strony, tak mają się za ubezpieczonych. Jeżeliby tysiąc żołnierzy przebrało się przez kanał do piwnicy, a z piwnicy przez karczmę uderzyli na ziemianki, noga nieprzyjacielska nie uszłaby.

— Ach, Josiu, co ty powiadasz? Choć z ciebie żyd, tyś mi więcej jak brat, tyś mój dobrodziej. Tylko cóż? Ani mi jeszcze sięść na koń, ani pokazać co umie żelazo w moim ręku. Moi lekarze dopiero za dni dziesięć obiecują, że będę takim, jakim byłem wprzód, nim mnie ten urwis Ogar tak przywitał. A bezemnie niepodobna, żeby taka rzecz się obeszła.

— I owszem, jaśnie panie. Tamci najwięcej jaśnie pana się boją, bo im wiadomo, że z pomiędzy wszystkich panów, co trzymają z królem Szwedzkim, może pan jeden ani wprost, ani przez przyjaciół, nigdy nie szukał przybliżyć się do łaski króla Jana Kazimierza. Oni o każdym pańskim kroku starają się dowiedzieć, mają oni i na dworze tutejszym takich, co im języka i uszów nie żałują. W Potuszy teraz wielka radość, że choć jaśnie pan odebrał Dolsk, ale przynajmniej z tak uszkodzonym zdrowiem, że jeszcze myśleć nie możesz o nowych pochodach. O tyle mniej pilności z ich strony. A gdyby jaśnie pan sam wyruszył z swoim wojskiem, zarazby o tem ich uwiadomiono, i pewnie w Potuszy żaden z nich w nocyby nie zasnął. A potem, ja prosty żydek ze prostym rozumem, jaki mi Pan Bóg dał, sądzę, że lepiej to złać na Szwedów, bo jaśnie pana żołnierze albo bardzo wierne, ale nie z takim sercem rznęliby swoich rodaków, chociaż przeciwnej partyi, jak Szwedzi, którzy zupełnie z cudzemi będą mieli do czynienia.

— I czemu z tem nie udałeś się do Szwedów, a tylko na próżno nakwasileś mi czasu? Ty, Josiu, masz rozum do handlu, ale nie rozumiesz co to jest wojna. Otóż wiedz, że na wojnie godziny to lata; każda chwila stracona często nie do odzyskania.

— Widzi jaśnie pan, generałowie szwedzcy są tak ostrożni, tak podejrzliwi, że żaden z nich żydowi nie uwierzy. Gdzie tylko jest naczelnik szwedzki, zawsze przy nim jest jakiś pan nasz z ich partyi, któremu wierzy. Na co gadać, jaśnie pan sam o tem wiesz, że jeżeli żyd albo mieszczanin pojedzie do niego z jakimś projektem, zaraz się radzi tego pana, i czeka aż ten mu powie, że to z dobrem, bo na zły wypadek przynajmniej przed królem ma na kogo winę zwalić? I będzie obwinionym, że lada chłystkowi dał się uwieść.

— Więc i owszem; a jakież z naszychby powiedział, że to co radzisz jest bezzasadne?

— Ba, z przeproszeniem jaśnie pana, tam gdzie wszystko opiera się na sekrecie, bardzo niebezpiecznie radzić się pana polskiego. A choćby go tak zakląć, żeby się i z niczem nie wymówił, już po twarzy jego można zaraz poznać, że ma coś, co mu ciąży na sercu. Te wszystkie narady, które tu tak lubią, do niczego nie prowadzą, jedno do marnowania czasu i do opóźnienia, a nawet do przepuszczenia pomysłnej chwili. U nas w Talmudzie się pisze, że więcej ludzi



wzbogaciło się własnem głupstwem, niż cudzą mądrą radą. A potem, czy jaśnie pan nie wiesz, co to się po panach i szlacheie robi, kiedy nastaje zamieszanie i tworzą się partye? Albo to nie bywa, że familia magnacka z sobą zawczasu się umawia? I tak: starszy, głowa familii, mówi naprzykład bratu młodszemu, albo braciom, kiedy ich więcej jest: — Ja będę trzymał z królem szwedzkim, a ty bracie z królem polskim. Jak wasza partya w łeb weźmie, to ja ciebie wyratuję, i otrzymam przebaczenie od króla pamiętnego na moje zasługi, a jeżeli nam się noga powinie, to ty wypatronujesz mi łaskę u króla, za to żeś go nie odstąpił w złej przygodzie. A tak będą i wilk sity i koza cała. — Każdy mówi o ojczyźnie i swoim dla niej przywiązaniu, bo do języka każda rzecz łączy się. A najwięcej jest takich, dla których dom własny jest ojczyzną.

— To prawda, ale każdy, czy to z potrzeby, czy z przekonania przyłączył się do jakiej partyi, wiernie jej służy. Odkąd nastąpiła wojna domowa, ani z jednej ani z drugiej strony nie było zdrajcy.

— Zdrajców nie, ale ciągle przysługi jednych dla drugich. Czy to każdy jak jaśnie pan, co jak raz obrałeś sobie drogę, po za nią ani okiem rzucisz? Jaśnie pan jeden, co nigdy ani pomyślałeś o zgodzie z Janem Kazimierzem i w żadne konszachty z jego przyjaciółmi się nie wdawałeś.

— Dodaj, że nawet nie rozmawiałem z żadnym z nich. Bo aby wpadł w moje ręce, od tego zaczynam, że go wieszczę każę.

— I dobrze! Dlatego król szwedzki i wszyscy jego hetmani więcej jaśnie panu wierzą, niż wszystkim innym. Człowiek uszów w domu nie zostawuje; słyzy co ludzie o jaśnie panu mówią. Ale inni, mój Boże! Gdybym się udał do generała szwedzkiego, tenby zaraz poradził się pana z jego partyi, i jemuby odkrył wszystko. Tenby go nie zdradził, nawet poszedłby z nim, i łba nadstawił jak się należy. Ale pomyślałby sobie:—Jakto zarządzić rycerza Lizdejke, albo go oddać na szubienicę? A wszakże to najpierwszy ulubieniec króla Jana Kazimierza! Bóg święty wie, kto on jest? A broń Boże karta się przewróci, toby ziemia nie uchowała ani mnie, ani mojej rodziny przed zemstą króla i panów, którzy z nim trzymają. A na co mi się to zdało? — Robiłby swoją powinność, a z tem wszystkim głowę moją dam na to, że niczego nie zaniedba, żeby Lizdejke ostrzedz i ocalić. Dajmy na to, że Potuszę wezmą, ale pewnie Lizdejko ucieknie, a właśnie jaśnie panu więcej idzie o niego, i jego przyjaciela, niż o Potuszę.

— Masz rozum, żydzie. Ale cóż na to poradzić? Człowiek wyruszyć nie może, a żaden jego zastępca równie gładko rzeczy nie prowadzi. Pocieszyłeś mnie, Josiu, ale razem rozpacz w sercu wznieciłeś,

bo mi pokazujesz największe szczęście, obok przekonania, że do niego dostąpić nie mogę.

— Wszystko pójdzie dobrze, niech tylko jaśnie pan zrobi jak ja powiem. Generał szwedzki, Redyng, stoi teraz o mil cztery od Potuszy: nie ruszając z miejsca, czeka aż przybędzie do niego czy hetman Gąsiewski, czy może sam król szwedzki, a tymczasem ma na oku konfederatów, i tylko zbiera wiadomości od naszych żydków, i te królowi posęła, a ma z sobą do dwóch tysięcy Szwedów i Niemców z Infant. Niech jaśnie pan napisze do niego przezemnie, że ja mam sposób na to, żeby Potusza jemu się dostała, byle nikogo się nie radził, nikomu ani słówka o tem nie mówił, a tylko mnie samemu zupełnie zaufał. Z przeproszeniem jaśnie pana, możesz mu napisać, że za mnie ręczysz, że ja nie żaden oszust, ale uczciwy żyd, i że sam mnie nieraz doświadczyłeś. Bo choć mnie zna i widział, że i król szwedzki na mnie łaskaw, i że ja wszystkie potrzeby wojsk jego opatruję, wszelako ja wiem, że generał Redyng tak szanuje jaśnie pana, że jedno słowo jego więcej dla niego znaczy, niż długie mowy wszystkich polskich wielkich monarchów, co z jego królem trzymają. Jaśnie pana nie trzeba uczyć, jak ma napisać, a ja jeszcze tej nocy wyruszę do niego z listem. A do Pinkusa wyprawię mojego syna, także z listem moim, w którym go nauczę co ma robić. Zwyczajnie żydek jedzie

do żony i dzieci. W Potuszy wszyscy go znają. A choćby jaki rozbójnik króla Kazimierza po drodze na niego napadł, jak mu powie, że jedzie z listem do Pinkusa, nikt nie pomyśli jego życia ukrzywdzić. A Pinkus tylko czeka na mój list, i jak go dostanie, wszystko przygotowuje, i wyprawi zięcia do mnie, a ja na niego czekać będę u generała, a mój syn sam poprowadzi go przez lasy, podziemny kanał i piwnice, aż w sam środek Potuszy.

— Tak mówisz, Josiu, jak z książki, a nawet żadna książka tak rozumnie się nie odezwie. Nie lubię pisać, ale w takiej okoliczności gwałt zadam mojej naturze. To szczęście, że nie papieżnik, bobym chyba po polsku lub po łacinie napisał, a Redyng bez tłumacza nie mógłby się obejść, otóż i po sekrecie. Ale że po kalwińsku wychowany, język niemiecki jest moim jak rodowitym językiem, a nawet łatwiej mi się nim tłumaczyć, niż moim własnym, tyle mi zostało z mojego wychowania; a dopiero dziś poznałem, na co mi się to przydać może. O to teraz idzie cała rzecz, żeby się nikt nie domyślił, że przez ciebie coś napiszę. Bo po prawdzie, słudzy moi nie są przywykli do tego żebym pisał; jak się o takiej nowalii dowiedzą, zaraz będą na rozum brali, co to jest? Żadnemu z nich nie wierzę; to wszystko hultaje, choć

to niby do mnie przywiązani wedle ich gadania. A ktoby tam na ich gadanie uważał! Guba truba, jak to mówią Rusini. Jabym to szmatałajstwo dawno odpędził, ale cóż! że będą inni nowi, nie będą lepsi, a będąc panem, ani sposobu nie mieć sług. Powiedz, Josiu, jakby to zrobić, żebym pisał, a nikt się jego nie domyślił?

— Niech jaśnie pan powie mi, gdzie jest papier i kałamarz, ja to przyniosę. Nikt tu nie przyjdzie, a jaśnie pan list i zacznie i skończy.

— Ba... domyślna to psiarnia, i tak zanadto długo z sobą bez świadków rozmawiamy. Poczeka! Dobra myśl mi przychodzi do głowy. Masz ty złoto?

— A na co jaśnie panu złota?

— Głupiś; ja ciebie się pytam, czy masz?

— Jest z tysiąc czerwonych złotych węgierskich. A coby Joś Dreczkier był wart żeby nie miał cokolwiek złota?

— Otóż zróbmy tak. Wejdźmy z sobą w umowę o jaki produkt; pieniądze jakie masz mi odliczysz; a ja moim fagasom każę napisać kontrakt; będą tym sposobem papier i pióra bez niczyjego podejrzenia. A jak kontrakt będzie gotowy, ja im każę pójść precz, i to ich nie zadziwi, bo oni wiedzą, że nie mam w zwyczaju, ażeby przy świadkach liczono mi pie-

niądze. Ty będziesz liczył, a ja przez ten czas będę list pisał.

— Najpiękniej. Bardzo łatwo możemy interes zrobić. Jaśnie pan ma towarowy las w swoich dobrach nad Dźwiną. Ja za trzyletni wrąb w tym lesie dobrze jaśnie panu zapłacę. Tak las mu darmo stoi i próchnieje; czy nie lepiej wziąć na niego pieniądze?

— Patrzaj dokąd zajechał! A za kogo ty mu nie masz, żydzie, żebym ci pozwolił przystąpić do moich lasów? za bankruta, który nie wie co będzie jutro jadł? A czy ty nie wiesz, że odkąd władam dobrami, ani topor, ani nawet siekiera nie pokazały się nigdy w moich puszczech? A tobym oszalał, żebym pozwolił wypłaszać moich łosi i niedźwiedzi. Milszy mi jeden niedźwiedź w ostępie, niż dwa miechy złota w kasie. Także mądry żyd, myśli że wszystko kupi za pieniądze. O tem mi ani gadaj, jeżeli dbasz o moję łaskę.

— Nu, a jakże będzie?

— Mam zboże w Rydze, bo co rok moje wiciny tam idą. Spodziewam się, że Ryga jest bezpieczna od napaści Kazimierowskich hultajów. A jest chleba parę tysięcy beczek. Mój sekretarz pokaże ci raport, który mi z Rygi świeżo szyper przysłał. Pisz, co dają za zboże, i czy pozwalam po tej cenie go sprzedać, bo u mnie bez mojego pozwolenia nie się nie ro-

bi. Chcesz, kupuj! tobie daję pierwszeństwo. Dasz mi na zadatek co masz złota przy sobie, resztę szyprowi odliczysz, a on ci wyda towar za pokazaniem kontraktu. Na co tobie wozić z sobą pieniądze w stornach, gdzie każdy ci je wydrzeć może? Czy zgoda?

— Zgoda, pan każe, sługa musi.

— Idź po mojego sekretarza. Wiesz z czem ma przyjść do mnie, więc to powiedz. A ruszaj za żywcami; nim przyjdiesz, kontrakt będzie spisany, i będziesz mi mógł odliczyć co masz.

Żyd wyszedł, a po chwili sekretarz przyszedł do kniazia wojewody z papierami potrzebnymi, po jego rozkazy. Już był uwiadomiony od żyda, a nawet posmarowany. Zatem już dobrze wiedział o co chodziło. Kniaź mu powiedział co ma robić. Posłuszny sługa przyniósł papier, kałamarz, lak, pióra, to wszystko położył na stoliku, przy krześle kniazia stojącym, i zabierał się pisać umowę.—A nie możesz tego robić za drzwiami? Zostaw mi kawał papieru i co potrzeba do pisania, bo swoje rachunki i adnotacje chcę dla pamięci zapisać. Uciekajże waś i powiedz, żeby nikt się nie ważył przychodzić bez mojego pozwolenia, oprócz Josia Dreczkiera. Ruszajże z Bogiem! A wynieś na stronę tacę z butelkami, bo ten stolik zanadto zawalony.

Skoro sekretarz wyszedł, kniaź wziął się do niemilej, wszakże naówczas niezbędnej dla niego ro-

boty pisania. Zapisał się więc często, przerywając zmuzną pracę przekleństwami, że do niej jest zmuszony. W tych alternatach i cierpkich, i wesółch, które kolejno nim miotały, a gdzie nadzieja zadość uczynienia zemście górę brała, więcej godziny strawił na pisaniu listu wcale nie długiego, a którego jednak w zupełności nie skończył, kiedy Joś powrócił do niego z pieniędzmi.

— No, mój Josiu—odezwał się — nie próżnowalem bez ciebie; oto list na dokończeniu. A niech dyabli wezmą, jak to mnie męczy. Niech mi darują, ale kto wymyślił pismo, był wielkim kpem. To prawda, że teraz bez tego ani rusz. Chyba Pana Boga nie byłoby na świecie, gdyby ten bękart ze swoim protektorem nie dostali się w nasze ręce. Na to zasłużyłem, choćby tylko tym listem, com musiał napisać. A nic podobnego mi się dotąd nie zdarzyło. Ja pan, muszę ślęczyć nad papierem jak pauper szkolny, albo podpisek gdrodzki. Żeby nie co innego, to samo jużby najdrażliwsze sumienie uspokoiło, jak ich obudwóch powiesić każe. Mam nadzieję, że to nam się uda. A wszelako poszłoby gładziej, gdybym sam mógł tam się znajdować. Bo oko pańskie konia tu czy. Gdyby przynajmniej paraliż naruszył tego utrapionego Ogara, za ranę co mi dał w ramię. To jeszcze dobrze, że nie w prawą, bobym pisać nie potrafił. Zapłacę mu ja kiedyś za tę ranę. Niech się wola Bo-

za dzieje! Musi wszystko pójść dobrze, bom tego wart.—Josiu, licz złoto, a ja tymczasem skończę list. A patrz, jak czytelnie piszę, choć tego w używaniu nie mam. Tylko że ty tego nie rozumiesz.

Kniaź wziął się do pióra, a Joś do worka. Jak złoto zabrząkło, niewypowiedziany wyraz wewnętrznej pociechy wypogodził oblicze niemniej chciwego, jak mściwego można-władcy. Zdawało się, że jakoś mu gładziej szło dokończenie listu przy tak miłym dźwięku. Jeszcze Joś nie dorachował wszystkich pieniędzy, a już kniaź zakoptował list, nie zapomniawszy obrzezki z koperty rzucić w komin, żeby śladu pisania nie zostawić. Zapieczętował pismo, zapisał adres na kopercie, okiem śledzić zaczął dukaty, które Joś w małe kolumny na stole składał. Widać było, że to widowisko wielce go zajmowało. Joś Dreczkier skończył swoje. Kniaź mu wręczył list, który żyd najspieszniej schował za nadry. A potem zaczął wkładać do worków złoto, pod jednym stępem wybite, a miłym połyskiem wabiące serce, więcej niż nadobna dziewica urokiem swoim ponętów. Kniaź napełnione worki położył przy sobie w krześle, i dał rozkaz żydowi, żeby sekretarza przywołał.

Przyszedł z wszelką gotowością, bo dobrze nauczony od żyda. Odczytał kontrakt, czego kniaź dość obojętnie słuchał, i podpisawszy go oddał żydowi.

Żyd się skłonił, nasypał jeszcze zwykłych przy podobnych okolicznościach pochlebstw, pożegnał kniazia, i wyszedł, chcąc jeszcze przed nocą wyruszyć, jak mówił przed dworem kniazia, do Brześcia.

## ROZDZIAŁ XVII.

Pan Tomasz Zamoyski wezwał niektórych stopniowych mężów swojego wojska, do wybadania tego żyda, który tyle podejrzenia wzbudził w Grzeszniczku. W namiocie naczelnego wodza, którego przystęp był wszystkim zabroniony, zasiedli byli: pan Zamoyski prezydujący, a z nim rycerz Lizdejko, Paweł Fredro, porucznik chorągwi pancерnej, Łukasz Olizar porucznik chorągwi ussarskiej, Osman Bielak dowódca chorągwi tatarskiej, ale duszą i ciałem Polak, Świerszcz i Grzeszniczek, obaj nadto zasłużeni, żeby jakikolwiek wódz konfederacyi mógł o nich zapomnieć. Ich siedmiu składało sąd, i bez stracenia czasu zaraz wzięli się do żyda.

Jak go wprowadzono, za ledwo Świerszcz okiem nań rzucił, zaraz go poznał.

— A! to Godel Josiowicz—krzyknął—zięć arendarza tutejszej karczmy, a bogaty kupiec; znam go jak najlepiej, i nie ma żołnierza w naszej załodze, któryby tego samego mógł nie powiedzieć. Że to jest poczciwy żyd, ja za to zaręczam. On jest naszym. Jego żona i dzieci tu się znachodzą u Pinkusa; on pewnie dla nich tu przyjechał. Dajcie mu pokój państwo, a pozwólcie mu powitać się z żoną i teściem. Nie tylko ja, ale każdy nasz żołnierz za jego poczciwość zaręczy. — Inni członkowie juryzdykcyi także się odezwali, żeby puścić tego biedaka, i że ręczą za jego nieszkodliwość.

— Kiedy waszmoście odpowiadacie za jego poczciwość — rzekł na to pan Tomasz Zamoyski — a więc ja z mojej strony przyłączam się do waszego zdania; nic mi nie pozostanie, jak mu powinszować, że umiał pozyskać przychylność tylu zacnych mężów, i puścić go wolno.

— Za pozwoleniem! — odezwał się rycerz Lizdejko. — i powstawszy poprosił wodza, żeby mu użytył ucha na osobności.

Pan Tomasz, u którego zdanie rycerza zawsze było ważne, wziął go na stronę, żeby mu dać sposobność odkrycia przed nim swojego zdania. Rycerz tak zaczął:

— Mości Regimentarzu, żyjemy pośród okoli-

czności tak trudnych, jesteśmy otoczeni tyloma podstępami, że nigdy nie możemy być dość ostrożni. Ja przyznaję się waszmości, że chociaż wszyscy nasi koledzy są pewni tego żyda, co do mnie nie jestem względem niego swobodnym od wszelakiego podejrzenia.

— I na czemże waszmość to podejrzenie opierasz?

— Oto na tem, że ten żyd jest synem Dreczkiera, liweranta wojsk szwedzkich, związany korzyściami osobistemi z partją nam przeciwną, a tem samem nie mogący być dla nas życzliwym.

— Jest coś w tem, co waszmość mówisz. Jednak radbym widzieć podejrzenie waszmości oparte na czemś gwałtowniejszem, niżeli na tem, że jest synem liweranta nieprzyjacielskiego wojska. Każdy człowiek przemyślny, jeżeli nie jest obywatelem, szuka zysków z największą obojętnością dla zasad tych, z których takowe zyski ciągnie. Bylebyśmy Dreczkerowi za liwerunek więcej chcieli zapłacić, niżeli Szwedzi, z równą wiernością nam służyć będzie jak tamtym. Zresztą, jeżeliby nawet przeciwko nam przewinił, nie widzę, żeby ta wina spaść miała na jego syna.

— To też nie jest mojem zdaniem, żeby go karać, ale tylko żeby ściśle wybadać. Bo wiem, że zęgnął się przed dwoma tygodniami z teściem, żoną

i dziećmi, tak jak gdyby nie miał nadziei tak prędko z niemi się zobaczyć. A tymczasem znowu do nich przybył. Bo wedle zeznania Grzeszniczka, kiedy ten go zapytał dotąd jedzie, bez wahania odpowiedział: że do Potuszy, dla nawiedzenia swojej rodziny. Może to być rzeczą małej wagi, wszakże w naszym położeniu żadna rzecz nie jest małoważną. Nie wiem, czy to trafi do waszmości przekonania, i w każdym względzie wolenem mu być posłusznym. Ale śmiem przełożyć moją radę, żebyśmy go dobrze wybadali, nim go puścimy swobodnie. Ja jego nie obwiniam, tyle tylko, że go podejrzewam. I radbym się przekonał, że moje podejrzenie było niesprawiedliwe. Nie jest to w mojem przyrodzeniu, być skorym do posądzenia kogoś o zdradliwe zamiary. Wszakże nie ma dwóch tygodni, jak Joś Dreczkier znajdował się między nami, z tymże samym swoim synem. Całą dobę przepędził w karczmie swojego swata. Zwierzchności się jawił, my go wszyscy widzieli. A lubo i waszmość, mości Regimentarzu, któremu jesteśmy posłuszni, i my dobrze wiedzieli, że wzbogacony od Szwedów nie może być dla nas życzliwym, jednak z naszej strony najmniejszej nie doświadczył przykrości. Nie wzbroniłeś mu waszmość obcować z rodziną tu zamieszkałą, a z nim ściśłym węzłem związaną; dopuściłeś mu niemniej swobodnego odjazdu. Ani się odezwałem z przełożeniem, żeby go przytrzymać. Bo nie

wchodzę w cudze przekonanie, dopóki nie mam powodu myśleć, że to przekonanie zaczyna się urzeczywistniać w czyny, mogące być szkodliwymi dla sprawy, której mam zaszczyt służyć. Otóż właśnie teraz, ten tak prędko powrót żyda do swojego teścia, to pomieszanie, które się objawia tak widocznie na jego twarzy, a które nie powinny być tak wielkie, gdyby czuł się zupełnie czystym na sumieniu—zresztą nie umiem panu Regimentarzowi zdać dokładnej liczby z powodów mojej niewiary w niewinność tego żyda. Niech to będzie przeczucie, przewidzenie. Z tem wszystkim coś we mnie głośno przemawia, że tu jakaś zdrada przeciwko nam się knuje, i że ten żyd jest jej narzędziem. Póki najściślej on nie będzie wybadany w mojej przytomności, póty nie będę spokojnym. A jeżeli zgrzeszę przez zbytek ostrożności, jeżeli żyd mnie przekona, że niczem usprawiedliwić nie zdołam krzywdy, jaką mu przynoszę mojem podejrzeniem, nie tylko że z radością przyznam się do winy, ale niczego nie zaniedbam dla wynagrodzenia wedle mojej możliwości tych przykrości, jakich uniewinniony żyd mógłby doświadczyć z mojego powodu. Nakoniec moja rzecz przełożyć waszmość panu, „jurata fide“ sumienną radę, a jego, jako naczelnika i krwi naszej szafarza rozkazywać; co pan regimentarz postanowi, pewnie nikt gorliwiej odemnie nie będzie się starał dopełnić.

— Hm, hm, hm, za wiele mi waszmość klina w głowę. Cztery oczy lepiej widzą niż dwa. Nikt nas nie słyszy, wypowiadam się przed waszmością. Człowiek choć stary, a czasem podrwi sprawę. I jeżeli coś się wydarzy, do czego nie bardzo się czuję być sposobnym, rad aby najprędzej uwolnić siebie od ciężaru, i skłania się ku temu, co najwięcej jest odpowiednie jego usposobieniu. I rad, że mu to radzą, czego sam życzy. Miseria humana, mości Lizdejko. Przyznam się waszmości, że nigdy nie było mojem rzemiosłem prowadzić inkwizycje, wybadywać podejrzanych i wyrokować o nich sędownie. Każą mnie sądzić żyda, a tu co innego u mnie w głowie. Wczoraj otrzymałem rozkaz udania się jaknajspieszniej do Lwowa, gdzie nasza generalność zasiada, i gdzie się znajduje nasz król okryty wawrzynami, jakich nabierał zwycięstwem swoim nad Jurkiem Chmielnickim. Wątpliwości nie ulega, że już pokój zawarty z carem Moskiewskim. A więc tem samem Ukraina tak dobrze jak już uspokojona, i oprócz Szwedów nie mamy komu pokazać czoła. Mnie potrzeba stanąć na wezwanie króla i generalności, a tu trzeba jakiś koniec zrobić z tym utrapionym żydem. Myślę sobie, tu nie ma czasu do marnowania: albo kazać powiesić żyda, albo go puścić, byle jak najprędzej. Wszyscy mówią: puścić; mniejsza o to, byle już jutro wyjechać do Lwowa. A tak, gdyby nie waszmość, człowiek żeby



sobie dogodzić, możeby nieodżałowaną szkodę wyrządził. Dziękuję waszmości, żeś mnie zreflektował. Ale jakeś zaczął tak i kończ. Ja jeszcze dziś wyjeżdżam do Lwowa. A waszmości zdają aż do powrotu mojego wszelką moją władzę, byś jej używał dla dobra króla i narodu.

— Wielce mi jest pochlebną ufność pańska, ale czy jestem sposobny tej ufności zadość uczynić?

— O to pokój, mości panie Lizdejko; wiem, że król jegomość za złe mi jej nie poczyta. A nasza załoga, złożona z tylu różnorodnych żywiołów, bo w niej jest i kawalerya narodowa, i szlachta pospolitego ruszenia, i ochotnicy, nie tylko waszmości, ale i Świerzcza i Grzeszniczka, jednak nikomu nie będzie z równą radością posłuszną jak waszmości. To wszystkim wiadomo, nie tylko tu zebrany obroncom dobrej sprawy, ale generalności i samemu Najjaśniejszemu naszemu pomazańcowi! Zaraz ogłoszę przed całym wojskiem, że na waszmości spuszczam pełną władzę podczas mojej niebytności. Waszmość sobie badaj żyda, jak ci się podoba.

A wróciwszy do koła, pan Tomasz Zamoyski głośno się odezwał:

— Panowie moi! rycerz Lizdejko, za którego radą idąc, nigdy nie miałem powodu tego żałować, przekonał mnie, że z tym żydem nie wypada kończyć

obcesowie, i że przy cierpliwości można czasem dowiedzieć się o czem takim, czego się nie spodziewamy. Król jegomość wzywa mnie osobiście do Lwowa; ja przed odjazdem chciałem na prędce ułatwić się z żydem byle jak, ale jak waszmościom powinno być wiadomo, robota nagła warta dyabła. Polecam tę sprawę waszej roztropności, a do powrotu mojego wszelką władzę moją nad wami w pełni zlewam na rycerza Lizdejkę. Zdaje mi się, że takowy wybór nie może nie być dla was miłym. A więc, panowie moi! rozkazuję wam w imieniu Najjaśniejszego króla, pana naszego miłościwego i generalnej konfederacyi z nim połączonej, abyście we wszystkim byli jemu posłuszni.— Szmer pochlebny dla rycerza Lizdejki wzniósł się z rycerskiego koła.

Poczem, obracając się do rycerza Lizdejki, rzekł:

— Mości panie! powierzam waszmości z zupełną ufnością i Potuszę i dzielne rycerstwo, które jej broni. Od tej chwili jesteś tu naczelnym wodzem. A kto się tu znajduje jest waszmości podwładnym. Rozporządzaj wszystkim i wszystkimi wedle woli swojej. Co do mnie, tyle tylko jeszcze zabawię w Potuszy, ile mi potrzeba czasu do ogłoszenia rozkazu dziennego, który całkowitą załogę oświeci o tem mojem postanowieniu. Żegnam was, panowie bracia, a bądźcie pewni, że nie omieszkam donieść królowi, ile wam winienem wdzięczności za trudy przez was podjęte, odkąd mam

zaszczyt być waszym wodzem. Powiem mu, ileście się jemu i krajowi zasłużyli, nie tylko waszem mężstwem, ale karnością i posłuszeństwem. Dotąd pokazałem się oszczędnym w pochwałach, na jakie nie przestaliście nigdy zasługiwać, ale przy tem pożegnaniu ciążyłoby mi na sumieniu, gdybym nie wynurzył przed wami i szacunku i wdzięczności, jakie wam winieniem.

To rzekłszy, wyszedł z widocznem wzruszeniem, podzielonem przez całe koło. Namiot, w którym sesya się odbywała, dotykał się ogromnej szopy, jeszcze przez Polanowskiego wyniesionej, a w niej była ryta w ziemi głęboko obszerna sala, przeznaczona na więzienie, tak że z namiotu można było się dostać do niego niewidzianym od tych, co się znajdowali w namiocie. Rycerz Lizdejko, po wyjściu naczelnego wodza odezwał się głosem donośnym:—solwuję sessyą do dnia jutrzejszego, na godzinę ósmą z rana. Zaprowadzić mi zaraz żyda do więzienia, z największą pamięcią o jego potrzebach. A teraz wszyscy udamy się, żeby JW. Regimentarza wyprawić.

Rozkaz dzienny ogłoszony został całej załodze, która będąc wielce przywiązaną do rycerza Lizdejki, rada była zostawać pod jego rozkazami. On ze starszą odprowadził Regimentarza za wały, na trakt idący przez Zamość, Tomaszów, Żółkiew do Lwowa. Regimentarz w kilkanaście koni kawaleryi narodo-

wej, żeby mieć się czem bronić na wypadek jakkolwiek niespodziewany spotkania jakiegoś partyzanta nieprzyjacielskiego, zniknął im z oczów, a rycerstwo wróciło do Potuszy. Resztę dnia rycerz Lizdejko zajął się wyłącznie służbą wojskową. Zebrał załogę, przemówił do niej krótko, oświadczył jej, że w skutek zawartego pokoju z carem, Ukraina zachodnia już jest posłuszną królowi Janowi Kazimierzowi, że hetmani z bitnem rycerstwem ciągną ku nim, że wkrótce będzie można coś więcej stanowczego przedsięwziąć przeciwko Szwedom, już teraz jedynym prawie nieprzyjaciółom Polski. Wprawdzie ich siły są tak wielkie, iż niemało z nimi pozostanie pracy, ale ma wszelką nadzieję w Bogu, w królu i w mężstwie i wytrwałości wojska, że wypędzą Szwedów z ziemi polskiej. Przytem zapowiedział wszystkim podwładnym, jakiegokolwiek były ich stopnie, że jako ślepo jest posłusznym rozkazom hetmanów, marszałków i regimentarzów królewskiej i narodowej konfederacyi, tak też niemniej nieograniczonego posłuszeństwa od nich się domaga, oświadczając, że każdego, który broń Bożę przewini w tym względzie przeciw niemu, na gardle ukarze. To jego przymówienie się tak dobre sprawiło wrażenie, że okrzyk zadowolenia wznosił się ze wszystkich szeregów.

Nazajutrz o godzinie ósmej z rana już koło są-

downicze zebrane było w namiocie, do którego był się przeniósł nowy dowódca załogi. On jako prezydujący siedział na pierwszym miejscu, po jego prawicy i lewicy zasiedli koledzy; wprowadzono żyda, tak pomięszanego, tak wybladłego, że wszyscy to zauważyli, co jednak można było przypisać temu, iż całkowitą dobę przepędził w ciemnicy.

Czas jakiś trwało milczenie, które rycerz Lizdejko przerwał, rozpoczynając wywód słowny.

— Żydzie, jeżeliś niewinny, będziesz sownie wynagrodzony za niesłuszne podejrzenie, jakieś na siebie ściągnął. Biada tobie, jeżeli to podejrzenie będzie usprawiedliwione. Jednak chociażbyś był najwinniejszym, jeżeli się przyznasz na wstępie do wszystkiego, włos ci z głowy nie spadnie. Czy rozumiesz?

— Ja jestem niewinny, wszyscy panowie mnie znają. Ja poczciwy gospodarz z Brześcia, mam tam swoje domostwo i kramnice. Mnie nie pierwszy raz być w Potuszy, mam tu moją żonę i moje dzieci, u teścia który jest arendarzem tutejszej karczmy, i po nich przyjechałem, żeby ich z sobą zabrać. Ten pan co tu siedzi zabrał mnie na wielkim gościńcu, a za co nie wiem.

— Zkąd jechałeś, kiedy cię pan Grzeszniczek nadybał?

— Z domu, z Brześcia.

— Mości panie Grzeszniczkul potwierdź to je-  
o tłumaczenie się; czy on z Brześcia jechał, kie-  
yś go waszmość zatrzymał? To coś się nie klei  
bo waszmość zeznałeś, że właśnie z Brześcia a nie  
do Brześcia szedłeś, kiedyś go dostał. Chybaś go  
napędził; ale jakim sposobem mogłeś go spotkać?

— Ja go nie napędził, ale spotkał pod karczmą  
nazwaną Zastępną, pod którą schodzą się dwa go-  
ścińce, jeden Lubelski a drugi Łucki. Uderzyło  
mnie, że jego brykę ciągnęły cztery konie siwe,  
a wcale nie żydowskie, ale takie, któremiby i osia-  
dły szlachcic nie powstydział się jeździć. Gdyby nie  
dobre konie, a wcale niewłaściwe żydowi w podartym  
łapserdaku, byłbym go ani na chwilę nie zatrzymy-  
wał. Ale konie, które zdadzą się pod moich żołnie-  
rzy, a w tak niegodnych rękach będące, zaraz wzbudziły  
we mnie podejrzenie, że muszą być kradzione. Gdyby to  
cokolwiek dawniej, byłbym przynajmniej kazał go powie-  
szyć, jedno że nam generalność teraz zabroniła naszą  
własną jurysdykcję zakładać, a tych co mamy za hultajów  
każe dostawiać starszym, żeby o nich stanowili. Skończyło  
się, że konie zabrałem i lada dzień wystąpią w bojowym  
szyku pod moimi wiarusami. A jego samego tu dostawiłem.  
Ale wracając do jego sprawy, nie wiem zkąd był wyruszył,  
ale to pewna że nie z Brześcia.

— Więc — rzekł rycerz Lizdejko, groźnie patrząc na żyda — na wstępie zacząłeś od kłamliwego zeznania. Po cóż mówiłeś, żeś jechał z Brześcia, kiedy w tem nie ma kawałka prawdy?

— Ja jaśnie wielmożnemu panu, tak jak przed Bogiem wszystko opowiem. Ja prawdę powiedział, tylko z wielkiego strachu nie umiem się w porządku tłumaczyć. Chcę mówić jedno, a tu drugie wychodzi z ust moich. Ja do żony i dzieci jechałem. Wierz mi pan, niech oni wszystkie przepadną i ja z niemi, jeżeli kłamię. Ale to prawda, że nie z Brześcia, owszem jechałem do Brześcia, nie żeby w nim siedzieć, ale żeby choć trochę okiem rzucić na moje gospodarstwo, zostawić konie, co je kupiłem pod Łuckiem, a które odemnie odkupił ten jaśnie wielmożny pan, co mnie z sobą zabrał, ale za jakie pieniądze, aj! aj! żeby moje wrogi podobnem bogactwem się cieszyli. A potem chciałem najętą bryką jechać do Potuszy; o to w Brześciu nie trudno. Albo to mi nie tęskno być bez żony i dzieci? Pan Bóg za moje grzechy nie tylko, że mi odebrał przez ludzkie ręce moje konie, ale tak mi rozum poplątał, że nie umiem znaleźć wiary u tych, w których ręku jest moje życie;—tu żyd zaczął szlochać, a nawet gwałtu wrzeszczyć.

Jeżeli to było tylko udawaniem dla pozyskania litości, źle się porachował żyd, bo jest w przy-

rodzeniu mężów rzemiosła rycerskiego, że bojaźń sprawia w nich wstręt o tyle silny, o ile odwaga tego, którego los w ich ręku zostaje, pobudza w nich współczucie. Nawet Świerszcz, który dotąd sprzyjał żydowi, nie mógł wytrzymać, i odezwał się z niecierpliwością:

— Cicho, tchórze przeklęty! Musisz mieć sumienie dyabelnie zbrudzone, kiedy do tego stopnia śmierci się lękasz. Gdyby to odemnie jednego zależało, za to samo kazałbym cię powiesić.

Rycerz Lizdejko zgromił Świerszcza jednym spojrzaniem, i łagodnie rzekł do żyda:

— Wyszlochaj się jak najprędzej, i odpowiadaj z przytomnością na nasze zapytania, a bądź pewny, że nikt tu nie jest chciwy twojej zguby i podejść ciebie nie myśli. Zkądżeś ty jechał?

— Z Łucka.

— Coś robił w Łucku?

— Ja wszystko powiem jaśnie wielmożnemu panu, tak jak gdybym Panu Bogu odpowiadał na jego pytanie. Ja byłem w Gdańsku, dla handlu, i tam się zjechałem z moim ojcem, Josiem Dreczkierem, a już moja żona z dziećmi była w Potuszy. Mój ojciec mi mówi: — Godelu, ja jadę ku Wołyniowi, po drodze wstąpię do mojego swata, żeby pobłogosławić wnuczka, jedź i ty zemną. — Ja i bez tego miałem jechać. Ruszyliśmy razem. Przyjeżdżam do Potu-

szy, wszyscy państwo byli łaskawi i na mnie i na Josia Dreczkiera. Ja chciałem żonę i dzieci zabrać z sobą do Brześcia. Ale Joś Dreczkier do czego innego mnie namówił. Mówi mi: — Godelu, jedź ze mną na Wołyń, ja potrzebuję kupować konie na rajmanta, a dam tobie część mojego zarobku. — Każdy chce coś zarobić, żeby z gołemi rękoma nie wracać do domu; pojechałem z nim. Po drodze wstępowaliśmy po domach panów, i kupowaliśmy u nich konie. Wtedy dostała mi się ta czwórka, co ją ten jaśnie wielmożny pan mi zabrał, niech mu służy na zdrowie, niech mu moja szkoda pójdzie na szczęście.

— Do jakichże domów wstępowaliście?

— Po różnych panach, u których Joś Dreczkier ma zachowanie. Byliśmy w Leśni, w Piasecznej, w Łokaczach, w Szamburze, gdzie wszędzie łaskawie nas przyjmowano.

— A czy czasem nie ominęliście po drodze Dolska?

— Byliśmy i w Dolsku.

— A długoście się w nim zatrzymali?

— Kilka godzin, przyjechaliśmy do Dolska po południu, a w nocy się rozjechali. Joś Dreczkier miał jechać na Ukrainę, a ja puściłem się napowrót, chciałem przez Brześć dostać się do mojej żony.

— Cóż tobie powiedział w Dolsku książę Doro-hostajski?

— Ja go nie widział.

— Kłamiesz żydzie.

— Jak Boga kocham nie widziałem. Jeżeli kłamię, niech ze wszystkim przepadnę z żoną i dziećmi. — Tu był nowy wybuch szlochów, jęków i płaczu.

Rycerz Lizdejko wytrzymał chwil kilka, żeby żydowi dać czas, by wrócił do przytomności, która zdawała się go odstępować. Potem odezwał się łagodnie.

— Uspokój się, żydzie, a mów tylko prawdę. Zaręczam ci, że na tem źle nie wyjdiesz. Jeżeli zaś zechcesz nas uwodzić, to ci się nie uda, a sobie tylko przypiszesz wszelkie złe następstwa, jakie ztąd na ciebie spadną.

— Ja prawdę mówię — odrzekł Godel nieco spokojniejszy. — Jak my przyjechali do Dolska, Joś Dreczkier przebrał się i poszedł do zamku, gdzie, jak nam mówił gospodarz zajezdnego domu, książę wojewoda leżał chory, bo bardzo był ranny. Joś poszedł, a ja się zostałem w gospodzie przy koniach.

— Czy długo bawił twój ojciec u kniazia, i coś się dowiedział o jego nawiedzinach?

— On dwa razy chodził do zamku; pierwszy raz niedługo siedział, i powrócił do gospody, gǳie

zabrał z sobą worek węgierskich dukatów, ja sam ten worek dobyłem ze skrzyni na bryce. On wziął z sobą ten worek, i z nim powrotnie poszedł do zamku, gdzie dłużej posiedział. A jak powrócił, ale już bez worka, powiedział mi: — Godelu, zrobiłem dobry interes z jaśnie wielmożnym kniazem wojewodą, i będzie z tego coś i dla ciebie. Ja teraz ruszam w moją stronę, a ty wracaj do żony i pokłoń się jej odemnie. Jest tu z nami kilkanaście koni luźnych, wybierz sobie z nich cztery, kup sobie siaką taką brykę i uprząż; z naszych żydków co prowadzą konie weź sobie jednego na furmana. Mnie trzeba zaraz jechać. Tobie wypada przemocować, bo musisz się nałazić, nim dostaniesz wszystko co potrzebujesz, a do tego pomoże ci gospodarz, na którego rękę zostawuję i konie i ludzi. I wyjechał nie wiem gdzie. A ja przez noc, za pomocą gospodarza dostałem wszystkiego co mi było potrzebne. I nazajutrz z rana puściłem się w drogę, na której tak wielkie nieszczęście mnie spotkało. Bo oprócz moich pięknych czterech koni, miałem z sobą bez czegoś dwa tysiące złotych. Ale to wszystko mi zagrabił ten jaśnie wielmożny monarcha co tu siedzi.

— A gałganie—odezwał się Grzeszniczek—rób komu dobrze, to nabędziesz wroga. Że się uniosłem litością, że nie kazałem ciebie powiesić, jak na to zasłużyłeś, to mnie jeszcze oskarżasz.

— Broń Boże, ja to mówię, bo mi jaśnie wielmożny pan, który z przeproszeniem jaśnie panów, między wami zdaje się być najstarszym, kazał wszystko powiedzieć. Tu już jego a nie mój rozum. Ale ja żadnej pretensyi nie mam do jaśnie wielmożnego pana za konie i pieniądze co byli przy mnie. Bo wiem, że Pan Bóg wam przykazał, że na wojnie co widzicie to już wasze. Ja nie tylko za tę moją szkodę, ale nawet żeby mię jaśnie pan kazał był i powiesić, pewnie na niegębym się nie skarżył. Bo wiem, że pan bardzo sprawiedliwy.

Na te słowa rycerz Lizdejko nie mógł wstrzymać uśmiechu, i na twarzach wszystkich członków koła sądowego błyszczała wesołość, pobudzona nawną bojaźnią żyda.

Trzeba wiedzieć, że w ciągu tej sesyi, której obradom kierunek dawał rycerz Lizdejko, pióro było przy jego sekretarzu i nieodstępny towarzyszu. Był to mąż sędziwych lat, ale czerstwy; zdawał się być uczonym, bo zauważano, że rycerz z nim rozmawiał rozmaitemi a wszystkim nieznanymi językami. Polski język posiadał doskonale, ale jednak kiedy w nim się tłómaczył, poznać można było, że był cudzoziemcem. Za rycerzem Lizdejką szła zawsze bryka naładowana książkami, która była pod jego dozorem; w chwilach wolnych, kiedy inni oddawali się spoczynkowi, rycerz Lizdejko ze swoim sekretarzem

zajmowali się czytaniem tych ksiąg, i wprawianiem się w naukach, o jakich jego podwładni zaledwo mieli jakieś wyobrażenie. Kim był rzeczywiście ten sekretarz, była to zagadka równie niedocieczona, jak prawdziwe nazwisko jego pryncypała. Znano go pod nazwiskiem Domarata. Wszyscy go lubili, zwłaszcza, że będąc biegłym w sztuce lekarskiej, nie jednemu wojakowi staraniem swoim zdrowie powrócił. Zauważano, że rycerz Lizdejko nie tylko ufność, ale nawet jakiś rodzaj uszanowania jemu okazywał, i już to samo było dostateczne, żeby mu zapewnić niemalą powagę między obrońcami sprawy króla Jana Kazimierza, ile że wszystkim było wiadomo, że zawsze z nim i Gaskoldem się radził, nim zabierał się coś przedsiębrać. W ciągu tych inkwizycji czasem, ale zawsze w jakimś języku niezrozumianym od innych członków tej jurydykcyi, odzywał się do rycerza Lizdejki, jakoby czyniąc mu uwagi, które zawsze dobrze przyjętemi były. Domarat siedział więc przy małym stoliku, na którym pytania i odpowiedzi pilnie zapisywał.

Po krótkiej przerwie rycerz Lizdejko, postępując w ciągnieniu z żyda inkwizycyi, zapytał go, czy ma jaki list z sobą od ojca do kogoś pisany?

— Żadnego nie dał mi listu, jasnie wielmożny panie, a tylko ustnie powierzył, co mam teściowi od niego powiedzieć.

— To być nie może, żebyś nie miał czegoś na piśmie?

— Jasnie wielmożny pan Godelo si nie wierzy? niechże mnie każe rozebrać od głowy do pięty, a obaczy, czy jest co przy mnie. Można się zapytać tego jasnie wielmożnego co tu siedzi, a który mnie tu przyprowadził. Niech powie, jak jego ludzie mnie trzęśli w jego przytomności, ja żadnego szeląga nie mogłem wyratować, a bardzobym dbał o schowanie listu po żydowsku pisanego; a oniby go nie znaleźli.

— Już to prawda—odezwał się Grzeszniczek — że nie było kąta w jego ścierwie, gdzieby moi wiarusy nie zajrzeli. Na nich śmiało spuścić się można. Żeby przy nim nie tylko list, ale nitka była schowana, pewnieby ją wynaleźli.

— Wszelako na to się nie spuszcza, i powtórnie każe go rozbierać — odrzekł rycerz Lizdejko. — A obracając się do żyda: — Słuchaj, Godelu; wprawdzie nie mało złego można nam zarzucić, ale największy nasz nieprzyjaciół nigdy żadnego z nas nie obwinił o niedotrzymanie szlacheckiego słowa. Masz jaki list przy sobie? wyznaj to otwarcie, a ja ci przysięgam na moją rycerską cześć, że będziesz puszczoney na wolność: ale jeżeli kłamiesz, a kłamstwo udowodnione będzie, jako ojciec dzieciom, zważ jakie nieszczęście na całą rodzinę twoją przywołasz.

— Wierz mi, jasnie wielmożny pan, że żadnego listu nie mam.

— Ja na twoje gadanie spuszczać się nie będę. Rozbierzcie żyda.

Czterech ochotników oddziału rycerza Lizdejki wzięło się do rozbierania obwinionego. Zdjęto z niego łapserdak, kaftanik, gacie. Szukano nawet pod jarmułką, niczego nie znaleziono. Już rycerz Lizdejko zabierał się go puścić, kiedy jeden rotmistrz zasiadający w radzie zrobił uwagę, żeby mu zdjąć pończochy i trzewiki. Żyd zbladł jak trup. I nie bez słuszności, bo z pończochy wytrząśnięto list zapieczętowany, zapisany po żydowsku.

Rycerza Lizdejko pierwsze poruszenie było chwycić za list, żeby go odkopertować; ale wtem zatrzymał się, pieczęci nie tknął, a list schował w zanadrze. Wszyscy jednogłośnie krzyczeń zaczęli:

— Powiesić tego żyda! na co tu więcej dowodów jego szelmowstwa?

Na te krzyki żyd raptem odzyskał przytomność, i z rezygnacją zwykłą żydom, kiedy już nie mają nadziei wybrnąć z nieszczęścia, które ich dotyka, rzekł dość spokojnie:

— Kieły Panu Bogu się podobało, żebym z rąk waszych ginął, niech imię jego będzie błogosławione.

— Dobrze, dobrze — odezwał się Grzeszniczek — te morały od szubienicy cię nie zasłonią. A ja za nim przemawiałem, jak za czemś pocziwem! Nie ma czasu do stracenia. Powiesić go jak najrychlej, o to się domagam z miejsca mojego.

— Zgoda—powtórzyli wszyscy.—Na co go męczyć przewłoką?

Na to rycerz Lizdejko zdawał się być obojętnym; dał znak Domaratowi, żeby się do niego przybliżył, i przez chwil kilka z nim rozmawiał, zawsze w języku dla innych niezrozumiałym. Potem dał rozkaz tym ochotnikom, którzy dopiero rozbierali nieszczęsnego, żeby go odprowadzili do jego ciemnicy. Wszakże nim odszedł, powiedział głośno:

— Co do mnie, pomimo wszelkich pozorów, jeszcze go nie potępiam. Jeżeli powezmę przekonanie, że jest zbrodniarzem, oczywiście na gardle go ukarzę; jeżeli nie, swobodnie go wypuszczę. Nie trać więc nadziei, żydzie, i nie oddawaj się rozpaczcy. A bądź pewny, że żadną niesprawiedliwością nie obciążę mojego sumienia.—A skoro żyda odprowadzili, rzekł do kolegów:—Sądy solwuję do dnia pojutrzejszego.

— Ach! panie rycerzu — na to wszyscy — na co te dylacye, kiedy już mamy wszelkie przekonanie o jego zbrodni?

— Mam słuszne podejrzenie, ale wcale nie przekonanie. Ten list przy nim znaleziony jest jedynym dokumentem, który go może potępić, lub



usprawiedliwić. A żaden z was przeczytać go nie zdoła. Zostawcie mnie dośledzenie tego, co się w nim znajduje.

— Jakże może być jego uniewinnienie? — rzekł na to Świerszcz; to samo, że się nie chciał przyznać, że ma list przy sobie, jest oczywistym dowodem, że to co w nim zapisane potępia go. Nie potrzebujemy go czytać, mości rycerzu. Pan się uwodzisz wspaniałomyślnością, a na tem z przeproszeniem pańskim sprężystość sprawiedliwości cierpi.

I inni za przykładem Świerszcza w ten sposób się odzywali. Ale rycerz Lizdejko, zmierzyszy ich wszystkich wzrokiem poważnym i dumnym, rzekł:

— Taka jest wola moja; kto się waży jej sprzeciwić?

Wszyscy umilkli i wkrótce potem za przykładem wodza rozeszli się.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Pinkus był w wielkiej radości, bo rycerz Lizdejko, dla przyczyn, które później będą wiadome czytelnikowi, cofnął rozkaz wzbraniający żołnierzom przystępu do jego karczmy. Poczet zwłaszcza Grzeszniczka, ostatni przybyły do Potuszy, a który jeszcze nie miał czasu roztrwonić tego, co mu wojna przyniosła, odznaczał się pewnym rodzajem buty, jaką zwykle u nas okazują ci, co są ożywieni tą wielką myślą: mam pieniądze. Ci żołnierze, zaledwo karczma przestała być dla nich zakłętą, tłumnie rzucili się do niej, pili sami, i wyszastanych z pieniędzy kolegów częstowali. Pinkus wypróżnił butle i beczki, a zapełniał worek długim postem wychudzony, i korzystał z łaskawszej okoliczności, bo

dobrze wiedział, że władza rycerza Lizdejki była tylko chwilową, i że jak pan Regimentarz przybędzie, wedle wszelkiego podobieństwa wszystko do wprowadzonego przez siebie porządku powróci. Cieszył się więc z przyjaznej pory, a nie wiedział, że o kilkanaście kroków jego zięć zostawał między życiem a śmiercią, i że o włos chodziło, czy szala jego przeznaczenia przechyli się na prawo lub lewo. Gdyby się był dowiedział o jego smutnem położeniu, zarazby stał się obojętnym na wszelkie swoje zyski, i nie wahałby się całe swoje mienie zaryzykować, jeżeliby tam zdołał otrzeć łzy rozpaczy córki i wnucząt \*).

\*) Żydzi, jak każdemu wiadomo, są chciwi, a więc zbyteczny mają szacunek dla pieniędzy, w czem uprzedzili naszą cywilizację, która na to ich stanowisko zwraca. Chciwość Europejczyka z tyłu nie pozostała. Zostawmy tę złą stronę, która w każdym narodzie, jako z ludzi, a nie z aniołów złożonym, musi koniecznie się objawiać, a nad którą zastanawiać się zanađto nie godzi. Wyszukajmy raczej ich dobrą stronę. Jest jedna cnota rozpowszechniona między Żydami, która im największy zaszczyt przynosi, a to jest przywiązanie do dzieci, i radość jaką czują z pomnożenia rodziny. Liczne rodzeństwo jest skutkiem wielkiego Boskiego błogosławieństwa. Ciężkim jest grzechem smuć się z płodności swojej małżonki, bo w

Gdyby to się działo w czasach więcej do naszych zbliżonych, niktby nie przypuszczał, żeby

tem okazuje się nieufność w Opatrzności, a cóż dopiero, jeżeli ta nieufność krzywdząca Boga, doprowadzi aż do zadania gwałtu prawom przyrodzenia? Nie świętszego, jak wskazanie siebie na bezpłodność dla większej chwaly Boskiej, ale nie każdy jest powołany do podobnej ofiary. W stanie małżeńskim trzeba pragnąć chociażby najlicniejszego potomstwa, i cieszyć się z jego pomnożenia. Jest to fakt łatwy do sprawdzenia, że u nas rodziny pańskie i szlacheckie, które się najwięcej rozrodziły, są właśnie te, które posiadają najwięcej dostatków i zaszczytów. A jednak kiedy ubogi żydek, już mający dziesięcioro dzieci, przyjmuje z radością jedenaste, jako nowe przymierze między Bogiem a nim, i pełen ufności w jego Opatrzność ani się troszczy o to, czem go wykarmi i wychowa, moŹny częstokroć obywatel, wyznawca prawa Chrystusowego, kiedy trzecie lub czwarte dziecko mu się urodzi, smuci się, narzeka na płodność swojej towarzyszki, przewiduje z powodu podziału jego fortuny już upadek swojego domu, jakby odrzucając z pogardą błogosławieństwo jedynego dawcy szczęścia i bogactw. W tem się objawia nie tylko poniżenie moralne, ale najsmutniejsze zaślepienie.

przybycie Godela i badania go, jako podejrzanego o szpiegostwo, tylu ludziom wiadome, mogły się utaić przed jego teściem, mającym stosunki ze wszystkimi aktorami tej sceny. Ale w narodzie jak wówczas pobożnym, to bynajmniej zadziwiać nie może. Przed otwarciem każdej jurydykcyi, członkowie mający ją składać zaczynali od przysięgi, w której były i te słowa: „secretum stubae non revelabo“, i to było aż nałto dostateczne, dla zachowania najskrupulatniejszego milczenia. A co się tyczy żołnierstwa, każdy przysięgał być posłusznym wodzowi, do którego znaku się zaciągał. Skoro więc wódz na mocy tej przysięgi rzekł do swoich podwładnych: — Przykazuję wam, ażebyście z tem lub owem przed nikim się nie wymówili! — już był pewny ich posłuszeństwa. I z tego powodu szczególnie wielkie, a nawet niepodobne rzeczy dawały się uskuteczniać.

Po solwowaniu sesyi, dowódcy zajęli się spełnieniem rozmaitych rozporządzeń rycerza Lizdejki, tyczących się li tylko służby wojskowej. Bo z daleka przewidując niebezpieczeństwo, ów rycerz wszystko chciał mieć przygotowane, jakby co chwila spodziewał się napadu nieprzyjaciela. Nie spuszczał się na dowódców oddziałów, jakkolwiek doświadczonych i gorliwych, sam objeżdżał posterunki za wałami ustawione, po kilkakrotnie obchodził wały i warty, i dopiero własnymi oczyma przekonywał się, że

wszelkie jego rozkazy są należycie spełnione, poszedł z Gaskoldem i Domaratem do namiotu, który był zajmował jako naczelny dowódca, a przy którym stał sztyldwach, mający rozkaz nikogo oprócz oficera od warty do niego nie wpuszczać. Wszyscy myśleli, że się udał po tylu pracach do spoczynku. A właśnie on wtedy zabierał się najgorliwiej do najprzykrzejszej dla jego serca pracy.

Zasiadł przy tym samym stole, gdzie przed kilkoma godzinami przewodniczył sądowi wojennemu, i swoich dwóch towarzyszków zaprosił do zajęcia miejsca. Oprócz nich, było jeszcze w namiocie dwóch Turków, niegdyś niewolników hana Tatarskiego, a którzy jako plon zwycięstwa wpadli w ręce rycerza Lizdejki. Rycerz był wielce rad z tej zdobyczy, bo posiadał język turecki, i miał już z kim codziennie tym językiem mówić. Obaj Turcy byli młodzi, przystojni, silni, a gdy rycerz Lizdejko ich wziął na usługi swojej osoby, a wkrótce na sług jedynych, oni przywiązali się do niego z całym zapalem wschodnich narodów. On był dla nich więcej niż ojcem, był dla nich rodziną, ojczyzną, tak dalece, że wolność i powrót do własnego kraju, okupiony rozstaniem się z dobrym panem, już dla nich utraciły wszelki powab. Rycerz Lizdejko z swoimi dwoma towarzyszami siedział, a Osman i Eyub stali, gotowi choćby z narażeniem życia wszelki jego rozkaz spełnić.

Rycerz Lizdejko wyjął z kieszeni list zapieczętowany i odczytał z Domaratem napis na kopercie. Zapalił potem świecę. Domarat dobył z zana drza pudełko, otworzył, porozkładał z niego na stole rozmaite małe narzędzia, i za ich pomocą oraz płomienia świecy, wyjął list z koperty bez uszkodzenia pieczęci. List był napisany w języku polskich żydów, to jest mieszaniną zepsutego języka niemieckiego, z wieloma wyrazami hebrajskimi, niemniej pokaleczonemi. Domarat był biegłym w świadomości tej mowy i dał tego dowód, bo na rozkaz rycerza Lizdejki przełożył go natychmiast na język niemiecki, z którym wszyscy trzej byli spoufaleri. A skończywszy swoje tłumaczenie, głośno im odczytał.

Ten list był nader ważny, w nim albowiem Dreczkier wypisał się z wszystkim, aż do najdrobniejszych szczegółów. Z niego dowiedzieli się, w jakim została załoga niebezpieczeństwie, kiedy wnijsiemy ukrytem w lesie nieprzyjacieli mógł przez piwnicę karczenną dojść aż do środka Potuszy, byle się porozumiał z arendarzem. Było tam zalecenie Pinkusowi dane, żeby, jak mu tylko wyprawia posańca z interesem na pozór obojętnym, miał się na gotowości, bo skoro on przybędzie, tej samej nocy jego zięć wprowadzi Szwedów przez kanał, a jemu samemu pozostanie tylko ich do karczmy wpuścić. A więc, że mu posyła swojego syna, a jego zięcia,

który pod cherymem się zaklął, że z największą gorliwością, choćby z poświęceniem własnego życia, spełni instrukcyę jaką mu dał, a która niezawodnie zapewni spokojność całemu ludowi izraelskiemu osiadłemu w Polsce, a jego rodzinie sławę i bogactwo.

Skoro Domarat skończył czytanie, rycerz Lizdejko rzekł z uniesieniem:

— Jeślibym miał najmniejszą wątpliwość, że Bóg sprzyja naszej sprawie, ten list jużby o tem mnie przekonał. Bo któż zapoznać może palec Boży w ostrzeżeniu? Nic nam nie pozostaje, jak umieć z niego korzystać. Cóż waszmoście na to powiecie? co mi poradzicie?

— Skoro nasze niebezpieczeństwo — odezwał się Gaskold — jest nam objawione, tem samem dzięki Najwyższemu istnieć już przestało. Samo z siebie wypada nam opatrzyć się od tej zdradliwej piwnicy, a co się tyczy żyda, nie jestem tak skory do środków gwałtownych, jak Grzeszniczek lub Burczymucha, ale jednak głosuję bez zadania szwanku sumieniu, żeby oświecić całą naszą załogę o zdradzie, jaka była dla nas przygotowana, i w jej przytomności ukarać żyda śmiercią jak może być najboleśniejszą, bo jużci ten potwór na żadne uczucia ludzkości nie zasługuje.

— A twoje, Domaracie, jakie jest zdanie?

— Prawa wojenne są stanowcze; żyd śmiercią winien być karany, jakkolwiek nie uważam go być wyzutym z wszelkich praw do litości.

— Jakto!—odrzekł Gaskold—i ty śmiesz odzywać się za nim?

— Nie żeby go uwolnić od głównej kary, bo prawa nam już wskazują nasz postępek, a niczyja wola nie może przeważać woli prawa. Więc jako sędzia zgadzam się z waszmością, ale jako człowiek widzę w tym nędznym żydzie siłę przekonań religijnych. Przyjął na siebie klątwę, jeżeliby powierzono mu polecenia nie starał się ile w jego możliwości spełnić. Szczerem wyznaniem mógłby się wyzwolić, a jednak nie chciał złamać przysięgi. Przeto, jakkolwiek zasłużył na karę, przecie jakiegoś szacunku nie możemy mu odmówić.

— Słusznie mówisz, Domaracie rzekł rycerz Lizdejko. — Może to was zadziwi, ale oświadczam wam, że wcale nie jestem przekonany o potrzebie ukarania żyda, i że owszem podam mu środki do zachowania życia, a nawet wolności.

— Jakto?

— Nie inaczej. Bóg nam dał ostrzeżenie: nasz obowiązek z niego korzystać, ale w taki sposób, żeby raz na zawsze odzwyczaić nieprzyjaciół naszych od knowania zrad. My w obronie ognisk i ołtarzy wojujemy, jak przystoi rycerzom; nigdy nie splami-

liśmy poczciwości słowiańskiej podłością. Ani umiemy, ani pragniemy szukać zwycięstwa przez podstępny niegodny chrześcijańskiego narodu. I dlatego Bóg nam błogosławi. Niechże nikczemny wróg sam wpa-  
da w sidła, jakie na nas zastawił.

— I cóż myślisz, panie, przedsięwziąć?

— Wkrótce obaczycie. Domaracie, włóż list na nowo w kopertę, ażeby śladu nie pozostało, że był otworzony.

Biegły Domarat zadość uczynił temu zaleceniu, tak że najostrożniejszy znawca nigdyby się nie mógł domyślić, że ktoś ten list przeczytał. A rycerz Lizdejko po turecku przemówił do swoich niewolników, którzy natychmiast płótno z jednej ściany namiotu podnieśli od strony szopy, i za sobą je spuścili. Gaskold i Domarat stali w milczeniu, usiłując odgadnąć, jaka była myśl wodza, który siedział zamysłony, i zdawał się w umyśle roztrząsać jakiś plan stanowczy. Wtem Turcy powrócili tą samą ścianą przez którą wyszli, prowadząc z sobą żyda.

Ten był wybladły, wychudzony, jako delinkwent wskazany na śmierć. I widać było, że już go wszelka nadzieja odstąpiła. Zauważano, że ustami ruszał w cichości, oczy podnosząc w górę, i polecał się Bogu, zawsze gotowemu do przyjęcia każdego opuszczonego od ludzi. Było coś uroczystego w postaci tego nieszczęsnego, który stał się dobrowolnie narzę-

dziem okropnej zdrady, a jednak czuł się czystym na sumieniu. Milczenie powszechne długo jeszcze trwało w jego przytomności. Nakoniec rycerz Lizdejko przerwał je temi słowy:

— Żydzie! posłuchaj tłumaczenia listu, który miałeś przy sobie. A sam potem osądź, co za to zasłużył?

Domarat przeczytał go głośno i powoli. Każdy wyraz był jakby uderzeniem piorunu na żyda, na którego obliczu malowały się kolejno i strach lada chwila rozstania się, a może przy niesłychanych mękach z życiem, i zadziwienie, że między chrześcianami znaleźć się mogli ludzie tak świadomi jego mowy. Po skończonem czytaniu, rycerz Lizdejko rzekł do żyda:

— Jak myślisz, co ciebie czeka?

— Co mam mówić? To już do panów należy; ja wiem tyle, że ze wszystkim zginąłem.

— Sam czujesz, żeś zasłużył na karę śmierci. Jednak od ciebie zależy od niej się wyratować.

Żyd okazał silne zadziwienie, ale nie odpowiedział.

— Posłuchaj, żydzie! Cały twój postępek jest mi wiadomy. Twój ojciec cię wciągnął do zdrady, której mieliśmy paść ofiarą, gdyby ten sam Bóg czynny zarówno od chrześcian jako i żydów, nie znisz-

czył waszych zamiarów. Wmówiono w ciebie, że knując przeciwko nam tak szkaradny spisek, wywiązujesz się ze swoich obowiązków dla własnego twojego narodu, i przez to wysługujesz się Bogu. Związano cię przysięgą, że niczego nie zaniechasz, ażeby do skutku doprowadzić to co ci powierzono, i poddałeś się pod klątwę na wypadek, gdybyś się z tem wymówił chociażbyś zachowanie tajemnicy miał życiem przypłacić. Odpowiedz: czy tak? lub nie?

— Tak jest. Państwo wszystko wiecie, bo Pan Bóg za wami. — I lzy puściły mu się strumieniem.

Rycerz Lizdejko po krótkiej przerwie rzekł do niego:

— Chociażes wykonał przysięgę w niegodziwym celu, sprawiedliwość winna ci być oddaną, że z męstwem, wytrwałością i poświęceniem się umiałeś ją dotrzymać. Jeżeli wasz spisek odkryty został, to nie twoja wina. Mogłeś przyznaniem się do wszystkiego wyratować zagrożony żywot, a nawet odzyskać wolność. Jednak odrzuciłeś ofiarowaną łaskę, ażeby być wiernym twojej przysiędze. Powiedzże otwarcie, czy wywiązałeś się zupełnie z obowiązków, jakie przyjąłeś na siebie w Dolsku? czy myślisz owszem, że jeszcze się twoje powołanie nie skończyło, i że ta klątwa, pod jaką się poddałeś, dotknie cię, jeżeli nadal nie będziesz nam szkodził? Odpowiedz

na to sumiennie jak człowiek, który lada chwila ma stanąć przed Bogiem.

— A co ja winien, że państwo o wszystkim wiecie? Ja to na co przysiągłem, o ile odemnie zależało, dopełniłem. Wszystko się skończy z mojem życiem. Ja sam znam, że wy mi odpuścić nie możecie. Ale gdyby Pan Bóg chciał cud uczynić, uwalniając mnie od tej strasznej a ostatecznej dla mnie godziny, tobym drugą przysięgę pod cheyrymem wymówił, że odtąd nie tylko nie będę szkodził tym, których Pan Bóg swojemi aniołami zasłania, ale że im odtąd wiernie będę służył, i to wszystko zrobię co mi każą.

— Otóż możesz zupełne przebaczenie otrzymać, to od ciebie zależy; ale sam zważ, że tego bez warunków wyjednać tobie nie mogę.

— Jakie warunki? Niech jasnie pan powie. Ja wszystko przyjmuję na siebie. Oprócz jednego. Byle panowie nie wymagali, żebym się pozwolił ochrzcić, a resztę co każecie zrobić.

— Nie, mój kochany, my naszej wiary nikomu nie narzucamy. Czego innego od ciebie wymagam. Widzisz ten list, który nosiłeś przy nodze; śladu w nim nie ma, żeby był czytany. Jak cię puszcze, ten sam list oddaj twojemu teściowi. Ani się wymów, że on był w naszym ręku. Powiedz mu, żeś był przed sądem, że przez kilka dni byłeś między życiem

a śmiercią, ale że ci się udało usprawiedliwić przed sądem i że cię wypuszczono. Potem pojedziesz do twojego ojca, z tem co ci da twój teść, czy pismem czy słowem. Ojciec twój zaprowadzi cię do generała Redynga; podejmiesz się wszystkiego co ci każe generał, i wprowadzisz żołnierzy Szwedzkich do tego podziemnego kanału, który się styka z piwnicą twojego teścia.

— A jak to będzie?

— Posłuchaj z uwagą co ci powiem, żebyś o każdym mojem słowie pamiętał. Dziś wtorek. Trzeba żeby po szabasie Szwedzi byli wprowadzeni do kanału przez ciebie. A w piątek wieczór przed szabasem stanie tu żydek, posłaniec od ciebie do twojego teścia. Skoro przybędzie, już będę rozumiał co to ma znaczyć. Jeżeli to twoje zlecenie wypełnisz, daję ci słowo rycerskie i szlacheckie, że nie tylko, że więcej, niż się spodziewać możesz, będziesz wynagrodzony, ale że włos nie spadnie z głowy twojego teścia, że wszystko pójdzie w wieczne zapomnienie, że nikt oprócz nas nigdy wiedzieć nie będzie, żeś z nami się porozumiewał.

— A co się stanie z Josiem Dreczkierem?

— On głupi, choć ma się za mądrego. Jak mu nie było poznać, że już nasza na wierzchu? Nie ma roku, jak siedem państw przysięgło się na naszą zgubę, a już dziś nie mamy przeciwko sobie tylko Szwed-

dów, i kilku panów przez nich uwiedzionych, a którzy jeden po drugim już ich odstępują. Dotąd im niby służą ze szlachtą ich partyi, ale to nie na długo. My lubimy kłócić się z sobą, jeden na drugiego rzUCA potwarze, ale łatwo się porozumiemy; u nas zawziętości nie ma, bo każdy po swojemu do wspólnego celu dąży. Bóg z twoim ojcem! Ja ci przyrzekam, iż wezmę na siebie, że za tę usługę jaką nam uczynisz, chociaż on dużo od początku tej wojny przeciwko nam przeskrobał, zupełne przebaczenie mu wyjednam, i że ani grosza mu nie wydrą z tego, co z łaski Szwedów nałupił.

— No kiedy tak, to wszystko tak się stanie jak chcecie.

— Poczekaj żydzie, jeszcze wszystkiego nie wysłuchał. Nie myśl, żebyś miał do czynienia z człowiekiem lekkomyślnym, któryby na twoje słowa się spuszczał. Mam ja się na ostrożności, i nie zostanę bez zakładników, którzy mi służyć będą za rękojmię twojej wierności. Najpierw wykonasz przysięgę wedle waszych obrzędów, z którymi mój Domarat jest oswojony. Czy gotów jesteś ją wypełnić?

— Oh! i bardzo gotów.

Na znak rycerza Lizdejki, Domarat wyszedł z namiotu, ale wkrótce powrócił z biblią hebrajską, całunem w jakim grzebią Izraelitów, Filakterem

i zwierciadełkiem. Obwinięto żyda w całun, nałożono na niego Filaktery, położono jego prawą rękę na księdze otworzonej w tym rozdziale, gdzie Jehowah Mojżeszowi dał te przykazania, które jedne przetrwały wszystkie znikome prawodawstwa ludzkie. Postawiono mu przed oczyma zwierciadełko. Domarat czytał rotę przysięgi, a żyd drżącym głosem ją powtarzał. Po wykonaniu przysięgi żyd do tego stopnia był poruszony ważnością tego obrzędu, że omdlał, i aż go trzeźwić wodą potrzeba było.

Skoro przyszedł do siebie, rycerz Lizdejko rzekł do niego:

— Straszną przysięgę wykonałeś, żydzie; jeżeli ją zgwałcisz, będziesz przeklętym od Boga i ludzi. Muszę ci jeszcze dodać, co cię czeka na tym świecie, jeżeli po szabasie Szwedów nam nie przyprowadzisz. Bo niczemu innemu tego nie przypiszę, tylko żeś zdołał dać im jakieś ostrzeżenie. Jeżeli się zawiedziemy w naszej nadziei, poprzysięgam na honor szlachecki, że w tej karczmie zamiast teścia, żony i dzieci, znajdziesz ich porznięte członki. Jest to okrucieństwo, nad jakim dusza się wzdryga. Ale nasze bezpieczeństwo tego wymaga. Całość twojej rodziny zostaje w twoich rękach. Jeżeli nas zdradzisz, jeżeli nawet nie dość gorliwie wypełnisz to, do czego zobowiązałeś się przysięgą, nie my, ale ty będziesz jej zabójcą. Teraz wrócisz do twojej ciemnicy, a ju-



tro zbiorę radę sądową, która uzna twoją niewinność i wróci ci wolność swoim wyrokiem. Tymczasem rozpamiętywaj twoje obowiązki i co cię czeka, jeżeli dopuścisz się wiarołomstwa.

To rzekłszy, kazał Turkom odprowadzić żyda tam, z kąd go wyprowadzili, i wyszedł z Gaskoldem i Domaratem. Obaj milczeli, zadziwieni roztropnością wodza, niemniej mądrego w radzie, jak nieustraszonego w boju.

Już się powiedziało, że rycerz Lizdejko pozwolił żołnierzom w chwilach wolnych od służby biesiadować w karczmie, czego dotąd nie bywało, a co nie mało radowało załogę i arendarza. To nie było bez celu wyrozumowanego. Bo skoro zięć był podejrzanym, to podejrzenie spadało i na teścia. A rycerz Lizdejko i z jego strony chcąc się ubezpieczyć, jedynie w tym celu pozwolił ugęszczać jego szynkownie. Bo wybrał między żołnierzami swojego oddziału czterech, którym szczególnie ufał, i zalecił im, żeby w dzień i w nocy mieli ciągle na oku gospodarza, jego córkę i jej dzieci; ale w taki sposób, żeby oni się tego nie domyślili, oraz żeby żadnemu z nich nie dopuścili uciec. Mieli się oni luzować z kolei co pół doby po dwóch, tak żeby karczma nie była bez ich przytomności ani jednej chwili.

Jeszcze tego samego wieczora obwieścił swoim kolegom sądowym, żeby o siódmej z rana nazajutrz

zebrali się na sesję. Zebrali się więc stosownie do jego rozkazu. Już był na stole list żydowski napisany przez Domarata, a w kształcie podobny zupełnie do tego, który był znaleziony u żyda. W przytomności kolegów, rycerz Lizdejko dał rozkaz Domaratowi, żeby to pismo przełożył na polski język, a potem odczytał je głośno przed sądem. Ten list był zupełnie nic nie znaczącym, obejmował tylko interesu handlowe, które pod żadnym względem sprawy publicznej dotyczyć nie mogły. Kiedy więc go odczytał, rycerz Lizdejko odezwał się:

— Z wielkiej chmury mały deszcz. Mojem zdaniem jest puścić tego biedaka, który Bogu duszę winien.

— Dlaczegoż się upierał tać co miał przy sobie, chociaż był zagrożony śmiercią?—rzekł pan Fredro.—Musi być w tem coś złego?

— Nic innego tylko głupstwo—odrzekł rycerz Lizdejko.—Żydzisko tak się przelękło, że aż od rozumu odszedł. On nie wiedział gdzie się znajduje, a miałby pamiętać, że list w pończosze nosi? Ja wszystko kładę na rachunek strachu.

— Jednak — na to pan Bielak — jeżeli ten list nic innego nie zawiera nad to, co nam dopiero przeczytał pan Domarat, dlaczego z taką ostrożnością był schowany?

— I cóż w tem dziwnego? Ten list, dla nas nic

nie znaczący, jest dla niego wielkiej wagi, bo w nim są dotknięte interesa pieniężne. Schował list, bo bał się, żeby jaki oddział, czy nasz, czy nieprzyjacielski, nie trafił na niego na wielkim gościńcu i nie odebrał mu go. A że go przed nami taił, to nie z innej przyczyny, jedno że nie przypuszczał do myśli, aby między nami znalazł się taki, co umie po żydowsku. Bał się więc, żeby list od nikogo niezrozumiany nie stał się powodem jego zguby, i przez głupstwo tając go, poszedł z deszczu pod rynnę.

— Kiedy pan chcesz go koniecznie puścić. — wniósł Świerszcz—niechże przynajmniej na pamiątkę dostanie ze sto łoz, żeby nie zapomniał, że z zwierchności nie można żartować bez odpowiedzialności na skórze.

— Na co nam być wspaniałemi przez pół? W mojem przekonaniu, obwinionego trzeba albo powiesić, albo mu zupełnie przebaczyć. Tak postępując, można nieprzyjaciela w stronnika zamienić. Ale zostawić go żywym, a nową urazę przydać do jego złych chęci, jest-to usprawiedliwić jego nienawiść. Moje więc zdanie puścić go, uniewinnwszy go wyrokiem. Czy waszmoście zgadzacie się na to?

Nie było przykładu, żeby po krótszych lub dłuższych rozprawach, wola rycerza Lizdejki nie zjednała woli powszechnej. Wszyscy wykrzyknęli: — zgodą! A rycerz Lizdejko kazał swoim Tur-

kom przyprowadzić żyda z jamy, którą miał pożegnać na zawsze.

Wprowadzono żyda całkiem drżącego, chociażby powinien był być w dobrej nadziei. Ale właśnie takie jest przyrodzenie omal że nie każdego człowieka, że póki ma jakąś nadzieję ocalenia, póty czuje jakąś obawę, a kiedy już niczego dla siebie spodziewać się nie może, podnieca się w nim odwaga do najwyższego stopnia, jak to pięknie i właściwie wyraził ten wiersz:

*Una salus victis, nullam sperare salutem.*

Trzęsły się więc wszystkie członki u żyda, i niewiele zdawał się rozumieć wyroku, który mu odczytał Domarat, lubo ten wyrok go uniewinniał, a dopiero pełny duch w niego wstąpił, kiedy rycerz Lizdejko do niego przemówił temi słowy:

— Żydzie, wolnym jesteś! Ci mężowie uznali twoją niewinność, i powodowani uczuciem sprawiedliwości nie mieli na to względu, że jesteś synem takiego, który służy Szwedom i z ich łaski się wzbogaca, a tem samem nie może być dla nas życzliwy. Niech to cię nauczy, że nie zasługujemy na potwarze, jakie na nas miotają nasi nieprzyjaciele. Spodziewam się, że wiernością swoją odtąd będziesz się

Rycerz Lizdejko. III. „Gazeta Polska“.

starał odslużyć tej ziemi to życie i to mienie, które z niej otrzymałeś.

Żyd jednemu po drugim wszystkim zasiadającym padł do nóg na znak dziękczynienia, wyszedł z namiotu, i prosto poszedł do karczmy.

Można wyobrazić sobie, jakie było zadziwienie jego rodziny, kiedy on jej się pojawił, a jeszcze większe, kiedy jej opowiedział, w jakich dopiero był opałach. Żyd nie mógł się nacieszyć swojemi milemi dziatkami. Może zostawiwszy za sobą wały Potuszy, wzięłaby go chętka wypowiedać się przed ojcem z wszystkiego, wyznać mu, że ani myśleć można o podejściu Potuszy, gdyż dowódca konfederatów wie o wszystkim i będzie się miał na ostrożności, a potem osiąść spokojnie w Brześciu i odrzeknąć się na zawsze od tego wszystkiego, co nie jest handlem. Prawdziwym cudem wykreślił się od szubienicy polskiej; czyż potrzeba narażać się jeszcze na szubienicę szwedzką, a czyby nie lepiej obmyć sobie ręce od tych kłopotliwych, a tak niebezpiecznych przedsięwzięć? — Bez wątpienia podobne marzenia musiała przeważać pamięć strasznej przysięgi, dopiero na nim wymożonej, ale z drugiej strony pieśczęoty dziatwy zwracały go na tor obowiązków. Jakże stać się przyczyną zguby, zamordowania tych miłych, tych niewinnych stworzeń, tej jedynej jego pociechy? Na samą tę myśl wszystkie fibry jego duszy drętwiały. I to właśnie zupełnie zniewoliło jego

przekonanie na stronę konfederatów, tak iż te walki toczone w jego umyśle rozwiązały się nakoniec postanowieniem służenia Polakom najgorliwiej, i spełnienia tego wszystkiego, co im pod straszną przysięgą przyobiecał.

Od tego zaczął, że wzięwszy na stronę swojego teścia, oddał mu list pisany do niego przez ojca, i z tak naiwną szczerotą wyklamał mu wszystkie przejścia inkwizycyi z niego ciągnionych, że Pinkus najmniejszej wątpliwości o ich prawdziwości nie miał. A że miał nieograniczoną ufność w wysokim rozumie Dreczkiera, tak że każde jego słowo było dla niego wyrocznią, nie tylko że nie odwracał zięcia od niebezpiecznego przedsięwzięcia, ale owszem usiłował wzniecić w nim pewność, że z łatwością będzie uskutecznione. Brał na siebie ułatwienie wszystkiego, tak że po szabasie, którego już oczekiwał z niecierpliwością, przyrzekał wprowadzić Szwedów do Potuszy z taką łatwością, jak do ich własnych siedzib. Żadnego pisma zięciowi nie dał, bo mu ustnie z większem bezpieczeństwem powierzył wszystko, co mu było potrzebne wiedzieć. Naglił go o najrychlejszy wyjazd, zaledwo mu pozwolił pożegnać się z żoną i dziećmi, — dał mu swoją brykę z trzema końmi, i jakby dla zapewnienia się o jego wyjeździe, siadł obok niego i przeprowadził go aż na gościniec za wałami Potuszy. Tam się z nim rozstał, i dawszy mu ojcowskie błogosławieństwo i kilka talarów na drogę, bo wie-

dząc, że był w rękach Grzeszniczka, tem samem był przekonany, że już ani szeląga nie mógł mieć przy duszy, powiedział mu: — Synu, powiedz generałowi szwedzkiemu, jeżeli mu cię Dreczkier przedstawi, że może być pewny, iż Potusza po szabasie będzie jego, jeżeli to wszystko zrobi co mu poradzi Dreczkier. Ja go czekam z niecierpliwością. — Po tych słowach Godel Josiowicz oddalił się dobrym kłusem, siedząc na bryce, a Pinkus piechotą powrócił do swojej karczmy.

## ROZDZIAŁ XIX.

Godel więc toczył się po gościńcu, już z szczerem postanowieniem dopełnienia obowiązków, których się podjął, a to postanowienie w miarę oddalenia się od żony i dziecku utwierdzało się. Mawiał sam do siebie:—To prawda, że jadę na to, żeby własnego ojca oszukać, ale Bóg widział jak to się zrobiło. On mi tego za grzech nie poczyta, raz że rycerz Lizdejko dał mi słowo, że mu nic złego się nie stanie, a na jego słowo spuścić się można,—a powtóre, czy mogę zarznąć żonę i dzieci? aj waj! mojego Josia, żeby w kawałki pokrajano! A potem i ojciec mi podziękuje, bo nie tak dobrze koło Szwedów, jak to było roku przeszłego. Oni już teraz jeden na drugiego, bo jak ludzie mówią, Polaki z wszystkimi innemi

już się pogodzili. U nas się pisze, że kiedy idzie źle, to coraz pójdzie gorzej, a kiedy dobrze, to coraz lepiej. A jak Polacy wypędzą Szwedów, bo to wszystko być może, a nuż napaść na Josia za te liwerunki, co je dostarczał od tak dawna? Teraz oni go nie zaczepiają, bo jeszcze nie zupełnie wyleźli z jamy; kiedy go gdzie spotkają, po ludzku z nim rozmawiają. Ale jak będą ze wszystkim panowali, przypomną oni sobie, że on był przyjacielem króla szwedzkiego. Jak to nie czepiać się żyda, a jeszcze pieniężnego? U nich powiesić żyda, a zabrać jego pieniądze, to nie grzech, to rozum. Otóż kiedy będzie źle koło niego, on gniewać się nie będzie, jak ja przypomnę rycerzowi Lizlejce jego słowo szlacheckie, że Josiowi włos z głowy nie spadnie. A ja tego cheyrymu co na mnie rzucił rabin Dolski nie boję się. Dochowałem przysięgi do końca; przyszło do tego, że już stryczek był tak dobrze, jak na mojej szyi, a ja to wszystko wytrzymałem. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, bo jeżeli się o wszystkim dowiedzieli, to nie przezemnie, tylko że Bóg dał im ten rozum. A przeciwko Panu Bogu najmędrszy hussyt nic nie poradzi. Jakże! Bóg za nimi, a biedny żydek mógłby im zaszkodzić? Aj waj! Już tamten interes ze wszystkim skończony, a teraz nowy. Trzeba mu służyć z taką wiernością jak tamtemu. Bo i teraz jestem pod cheyrymem. A jak będę przeciw niemu szachrować, to przepadnę. Wszelako, jak to łąać przed

ojcem? U nas się pisze, że się nie godzi ojca oszukiwać, jednakowo ja go oszukam, bo to dla jego dobrego. Może on się o tem nie dowie, a choćby się kiedy i dowiedział, to jeszcze mi podziękuje. Bo to pewna, że już konfederaci górę biorą, a tylko co nie widać, jak Szwedzi nas pożegnają. A u nas się pisze, że kto trzyma z mocniejszym, ten ma wielki rozum.

Nasz Godel jak widać był niepospolitym politykiem, i dał tego dowód przybywszy do Rzędzin, wioski, gdzie generał Redyng miał swoją kwaterę, i gdzie znalazł Josia Dreczkier, do którego z porządku rzeczy najpierwej się udał. Po czułem powitaniu ojca z synem, pierwszy zaraz się wziął do interesu i zapytał syna, jak się sprawił?

— Dobrze, jak najlepiej, a jednak z wielką moją szkodą. Ojciec mi podarował cztery konie, a te o włos że mnie o śmierć na szubienicy nie przyprowadziły.

— A to jak?

— Żeby to były zwyczajne fornalskie konie, niczyjej uwagi by nie ściągnęły. Ale już niedaleko Brześcia spotkał mnie ten rozbójnik Grzeszniczek, i jak tylko okiem rzucił na te piękne konie, zaraz się znalazła na mnie i napaść. A zkąd? a dokąd? a po co? Ja mu się tłómaczył, że jestem zięciem arendarza Potuszy, że mam żonę i dzieci, i że do nich jadę. Ale jakże puścić żyda, który ma konie mogące się zdać

pod jego żołnierzy? Byłby mnie kazał powiesić, tylko że konfederacya już im tego nie pozwala, a każe im, jak to oni ich nazywają, ludzi podejrzanych, którzy wpadną w ich ręce, odwozić do ich starszych komend. Nakrzyczał na mnie ten nie Grzeszniczek, ale cały Grzesznik, zabrał mi konie i trzos, którym opasywałem koszulę, a gdzie znalazł więcej tysiąca złotych, i powiedział: — Ja idę do Potuszy, tam ciebie zawiozę i przedstawię panu regimentarzowi, który da Bóg, każe cię powiesić, bo mnie pomimo najlepszej mojej chęci, nie wypada robić z tobą końca. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

— Aj waj! co za złodziej, co za niegodziwiec!

— Tatele, nie przeklinaj go; ja kontent że na gorszego nie natrafiłem. Dobrze że mnie nie kazał powiesić, bo choć to mu nie było wolno, albo ktoby się upominał o biednego żydka? Albo nawet kto niepotrzebny panu Grzeszniczce byłby się o tem dowiedział?

A czy to tatele nie wie jak oni wszyscy z sobą trzymają. Kazał mię tedy położyć na bryee; tyle tylko, że powiedział swoim:—Jak spróbuje uciekać, trzaśnij mu z pistoletu w łeb!—A na co mnie uciekać, kiedy na maie patrzą? a potem ja nie byłem od tego, żeby dostać się do Potuszy, gdzie wszyscy mnie znają. Ja i bez tego tambym pojechał. Myślę sobie, tam będzie koniec wszystkiego; mój teść, który tam

u wszystkich panów i sług i żołnierzy ma łaskę, zaraz się o mnie upomni, bo i pan regimentarz Zamoycki go lubi, a ten każe mnie puścić do żony. Otóż inaczej się zrobiło. Bo stanęliśmy przed wałami Potuszy już późną nocą, i zaraz mnie porwano i zanesiono do namiotu pana regimentarza, i tam czekałem co o mnie postanowią między dwoma żołnierzami, którzy mnie z oka nie spuszczała. A choć między ludźmi tyloma, tak wszystko się robiło cicho, że ani żona, ani Pinkus nie wiedzieli, że o kilka kroków od nich Godela biorą w obroty.

— Przecież cię puścili?

— Ale, puścili, prawda że nakoniec puścili, ale przez wiele to ja kłopotów i niebezpieczeństw i strachu przejść musiałem, póki nie wykręciłem się z napaści? Bóg widział, że przez cztery doby nie było dla mnie ani oka mgnienia, w którembym nie był między życiem a śmiercią, a zawsze bliżej śmierci niż życia. A przez kilka godzin tak byłem pewny śmierci, że to co teraz żyję, mam za darowane, bo to już nie moje.

— I jak to było?

— A to, zrobili na mnie sąd, i ten pan Grzeszniczek w nim zasiadał. Zaczęto mnie pytać, ja odpowiadałem, a pan Grzeszniczek na mnie, że muszę być szpiegiem, bo powiedział: że jechałem do Potuszy, a on mnie spotkał jadącego ku Brześciowi, a więc, że koniecznie trzeba mnie powiesić. Ale

wszyscy za mną przemówili głośno, że ja poczciwy żyd, zięć arendarza, że za mną ręką, tak że już pan regimentarz kazał mnie puścić. Ale rycerz Lizdejko, który był między niemi, a ma u nich takie znaczenie że każdy go słucha, temu się sprzeciwił i na swoim pęstał, tak że pan regimentarz, mając potrzebę odjechać, cały ten mój interes zdał na niego, żeby zrobił ze mną co mu się podoba.

— Co to za łajdak ten Lizdejko! Król szwedzki nie może słyszeć jego nazwiska bez wpadnięcia w gniew. A kniaź wojewoda Dorohostajski mówi, że nie umrze, aż wprzód go zgubi, tak zawzięty na niego.

— Wierz mi, tatele, że ten rycerz Lizdejko to pan dobry i wielki. To prawdziwy monarcha, a jaki piękny; jaki mądry!

— Czy za to go chwalisz, że cię chciał powiesić?

— To tylko tak było z prędkości; chciał się przekonać, kazał mnie rozebrać, czy czasem jakiego listu nie mam przy sobie.

— I jakżeś też uchował ten list, coś go miał odemnie do Pinkusa?

— Żebym go nie uchował, to jużby dawno mnie wrony jadły, bo u nich taka mądrość, że jak kogo powieszają, to go chować nie pozwalają. Szukali u mnie listu, ale on był schowany między łydką a pończochą.

Na moje szczęście nie domyślili się tam go szukać, bo byłoby po mnie. A pan rycerz Lizdejko, jak obaczył że u mnie nie było tego czego szukali, przyznał że prawda z mojej strony, kazał mnie puścić i powiedział mi kilka dobrych słów, w nagrodę strachu, którym mnie nabawił.

— I oddałeś list mój Pinkusowi?

— A jakże! jak się wieczór zrobił, Pinkus zaprowadził mnie z sobą do swojej piwnicy, i mieliśmy z sobą pół kopy szabasowych świeczek, żeby nam czasem światła nie zabrakło. To osobliwsza piwnica, bo tak wygląda jak studnia, i do niej drabinką spuszczać się trzeba. Ale ja ją dobrze znałem. Ciekawa rzecz, jak to można było spuścić w tę piwnicę konia; a jednak to pewno, że chciałbym mieć te wszystkie konie, które tym otworem wyprowadzone zostały. Byłby to lepszy kawał chleba, niż moje domostwo w Brześciu. Otóż Pinkus mi kazał tatuli powiedzieć, że wszystko będzie przygotowane, żeby zaraz po szabasie nas tam przyjął, nie wprzód, nie później. Ja Szwedów dobrowadzę aż do karczmy, a już tam będzie nas czekać z drabinką. A jak nią przeleziemy do sieni, już to będzie rzecz szwedzkiego wodza napaść na załogę, która się tylko od strony wółów pilnuje. Pinkus wszystko bierze na siebie, i kazał mi tatula zaręczyć, że wszystko pójdzie jak z kłębka.

Uradowany Joś Dreczkier uściskał syna, i nie

tracąc czasu, zaraz z nim poszedł do generała Redyng, który w folwarku miał swoją kwaterę. Już on był przygotowany do tej nowiny listem od kniazia Dorohostajskiego, co mu go był wręczył Dreczkier. I z niecierpliwością oczekiwał jego syna. Kiedy mu oznajmiono ich przybycie, kazał ich wpuścić do siebie, i więcej godziny z nimi bez świadków rozmawiał, co nikogo zadziwić nie mogło, gdyż wodzowie tak jednej jako i drugiej strony zwykle swoje wojenne działania stosowali do doniesień, jakie żydzi z ich stronnictwami im przynosili; doniesienia zawsze tak rzetelne, że nie było przykładu, iżby wódz, który im zawierzywszy, miał powód tego żałować.

Generał Redyng, jeden z najznakomitszych wodzów Karola Gustawa, potomek starożytnego rodu, spadkowo przodkującego w arystokracji szwedzkiej, a sam osobiście głęboko wkorzeniony w zaufaniu swojego pana, był mężem surowych obyczajów, doświadczonym w swoim rzemiośle, nieubłaganym na wszelkie przewinienia swoich podwładnych przeciwko karności, a przytem nadzwyczajnie przedsiębiorczym w działaniach wojennych. Jego wojsko przenosiło trzy tysiące głów; cała jego piechota złożoną była z samych Szwedów, wyćwiczonych żołnierzy: Jazda, wynosząca do sześciuset koni, dzieliła się na dwa oddziały, jeden Inflanctyków pod dowództwem barona Liwena, drugi Litwinów, których prowadził młody Ogiński, kasztelaniec Trocki. Ale czem gene-

rał Redyng był najsilniejszy, to dziesięcioma armatami, doskonale usłużonemi przez Niemców. I to mu dawało wyższość nad wojskiem konfederacyi, któremu na armatach zbywało. Właśnie ta jego artylerya dała mu sposobność zachować ważny posterunek, który zajmował, pomimo wszelkiej usilności strony przeciwniej; wprawdzie ona po kilkakrotnie pokusiła się z tego stanowiska Szwedów wyparować, ale zawsze bezskutecznie. Polacy zaprzestali nakoniec myśleć o rzeczy niepodobnej do osiągnięcia, odkładając to do chwili, kiedy im nadejdą polowe działa, i jednym z powodów odjazdu pana Zamoyskiego z Potuszy do Lwowa było przynaglenie generalności, ażeby przyspieszyła wysłanie armat, które się lały w ludwisarni Dobromilskiej z dzwonów kościelnych, i przełożenia jej, że bez nich stanowczych przedsięwzięć z silnym nieprzyjacielem uskutecznić nie było sposobu. W samej rzeczy od dwóch z okładem miesięcy, oprócz utarczek partyzanckich, z jakich najczęściej korzyść była na stronie Polaków, a które coraz rzadszemi były, gdyż Redyng swoich narażać nie chciał, oba wojska były tak dobrze jak w nieczynności, wielce tak dla jednych, jak dla drugich dokuczliwe. Posterunek generała Redynga był nader ważny, bo ułatwiał stosunki między wojskiem króla szwedzkiego, zajmującym Warszawę i Mazowsze, a oddziałem hetmana Gąsiewskiego, będącym w okolicach Brześcia, a znacznie osłabionym oddzieleniem się od nie-



go kniazia Dorohostajskiego. O tem doświadczony generał był aż nadto przekonany; ale że i jemu ta bezczynność w jakiej zostawał ciężyla, gdyż po kilku niepomyślnych usilnościach zaniechał wstępnym bojem kusić się o niepodobne zdobycie Potuszy, więc list kniazia Dorohostajskiego, który mu był wręczył Joś Dreczkier, wielce go ucieszył, i przygotował go do zupełnej ufności względem żyda, z którym zostawał i bez tego w dość ścisłych stosunkach.

Skoro odczytał list kniazia, nadzieja, omal że nie pewność opanowania bez straty swoich Potuszy, a przytem rozbrojenia jednego z świetniejszych oddziałów wojsk nieprzyjacielskich, a nadewszystko schwytnie rycerza Lizdejki, utkwiała w jego sercu; oczekiwał przybycia syna Dreczkiera, żeby skutecznie przedsięwzięcie, z którego tyle korzyści dla swojego pana, a sławy dla siebie obiecywał. A jednak, skoro mu przedstawił Dreczkier tego syna, którego przybycia z taką niecierpliwością wyglądał, okazał jakieś zmieszanie się, jakie nie uszło przed wzrokiem przenikliwego żyda, a które nie było bez przyczyny.

Gorliwe spełnienie rozkazów najwyższej woli jest duszą zawodu wojennego, a cóż dopiero, jeżeli te rozkazy są tak wyraźnie skreślone, że o ich znaczeniu nie można przypuścić najmniejszej wątpliwości. Bywały zaiste chwile natchnienia, którym ulegając podwładny wódz ocalał wojsko tem, że się odważył

ominać z rozkazem swojego naczelnika. Ale uleganie podobnym natchnieniom jest rzeczą wielce niebezpieczną, bo skoro nie jest uwienieczone zwycięstwem, przywołuje sromotną a zasłużoną karę na nieposłusznego podwładnego (\*). I właśnie w takim położeniu

---

\*) Jest kilka wypadków w historii, że nieposłuszeństwo dało, lub dać mogło zwycięstwo. I tak przytaczają przykład Torstensa, który przemienieniem samowolnym rozkazu, który miał powieźć od Gustawa Adolfa jednemu z jego wodzów, stał się sprawcą jednego z najświetniejszych zwycięstw tego króla. Niemniej świeższy mamy przykład marszałka Grouchy, który dlatego, że zaanadto ściśle trzymał się rozkazów Napoleona, stał się poniekąd przyczyną jego porażenia pod Waterloo. Ale nierównie więcej jest przykładów bitw przegranych przez nieposłuszeństwo podwładnych, a wyłączenie nie może być przyjęte za regułę. Prawo karności powinno być wykonane, jak wszystkie inne prawa. Być może, iż czasem natchnienie sędziego będzie sprawiedliwsze od litery prawa i procedury. A jednak biada narodowi, gdzie sędziowie więcej ufają natchnieniom własnego rozumu, niżeli wyraźnym przepisom mądrości całego narodu, wyrażonym w prawie. Umieli to poznać nasi przodkowie, kiedy wymagali od sędziów przysięgi, że nie wedle własnej wiadomości, ale wedle dokumentów i statutu Litewskiego sądzić będą.

zostawał generał. Po kilku albowiem bezskutecznych uderzeniach na oszańcowanych Polaków w Potuszy, otrzymał był rozkaz od króla swojego pana, żeby ludzi pod jego dowództwem będących nie marnował, a trzymał się odpornie na swoim stanowisku, dopóki bądź hetman Gąsiewski, bądź on sam nie złączą się z jego oddziałem, dla rozpoczęcia działań wojennych na obszerniejszą skalę.

Kiedy więc Joś Dreczkier przybył do niego z pismem kniazia Dorohostajskiego, pierwsza jego myśl była zakomunikować cały ten plan królowi, przełożyć mu łatwość z jaką może go wykonać, i oświadczyć, że oczekuje w tym względzie jego rozkazów. Ale z drugiej strony pomyślał sobie, że gdy wykonanie tego zamiaru jedynie zależy od najściślejszej o nim tajemnicy, jakże go powierzyć gońcowi, który tak łatwo mógłby być schwytanym od jakiegoś partyzanta? Bo oddziały jezdne Kazimierowczyków po całym kraju się pokazywały, i częstokroć utrudzały jego komunikację tak z królem, jako i z hetmanem. Natenczas Polacy ostrzeżeni w niewecz obróciliby zamiar, a on sam niezawodnie popadłby w niełaskę królewską, że przez brak determinacji opuścił okoliczność, która stanowczy wpływ wywrzeć mogła na pomyślność dalszych działań wojennych. Zaniechał więc posłania do króla, i bądź co bądź, postanowił wszystko wziąć na siebie. Ale kiedy przybyli do niego Joś Dreczkier z synem, pomi-

mo odważnego postanowienia, do jakiego się był skłonił, wszystkie jego obawy na nowo przed nim stanęły, tak dalece, że zamiast radości z ich przybycia okazał jakieś wahanie się, i dość zimno ich przywitał.

Joś Dreczkier tą oziębłością się nie zraził. Prześladowania, jakie od tylu wieków doświadczali żydzi, wyrobiły w nich do najwyższego stopnia i przenikliwość i cierpliwość. Vexatio dabit intellectum, mówi Pismo Święte. Nikt więcej od żydów służyć nie może za dowód tej wielkiej prawdy wyrzeczone przez samego Boga. A Joś Dreczkier nawet między żydami odznaczał się wygórowaniem tych przymiotów swego narodu. Z pokorą przedstawił generałowi swojego syna, i schylony na swojej lasce czekał co mu powie. Po niejakiem milczeniu generał odezwał się machinalnie, ale z widocznem wahaniem:

— Jaki macie do mnie interes?

Na to Joś Dreczkier odpowiedział:

— Przybył tu mój syn, żeby miał szczęście być poznanym jaśnie wielmożnemu panu, a co do interesu jaki mieć może, czekać będzie chwili swobodniejszej, w której upoważnionym zostanie od jaśnie wielmożnego pana do niego się z nim odezwać, bo, jak mówi przysłowie: sprawa w porę odłożona, jest jakby na

pół skończona. A więc odkładając ją do pomyslniejszego czasu, nic nam nie pozostaje jak tylko na osobności go oczekiwać, i jasnie wielmożnego pana pożegnać.

To rzekłszy, zabierał się odchodzić i już był przy drzwiach, kiedy generał raptem go zatrzymał.

— Stój, żydziel! Powiedz co wiesz dobrego?

— Niech jasnie pan pozwoli, a mój syn wszystko opowie.

— Gadaj! słucham.

Godel zaczął opowiadać wszystko jak dobrze nauczony, ani się zaciął, lubo większą część prawdy utaił, a tego tylko nie tail, co generała jak ptaszka w samotrzask napędzić mogło. Generał był oddany swojemu powołaniu namiętnie; żądza sławy była w nim niepohamowana; w miarę więc łatwości, jaką mu wystawiał Godel, do spełnienia powziętego zamiaru, jego wahanie się zmniejszało, tak że jeszcze żyd nie dokończył swojej relacji, a już generał utwierdził się w postanowieniu, bądź co bądź ślepo iść za przewodnictwem żyda. I przez te kilka dni, które poprzedzały ów oczekiwany szabas, o niczem innem nie myślał, jak tylko o owładaniu Potuszy, z czem się jednak przed nikim nie wymówił, lubo każdy patrzący na niego łatwo się mógł domyśleć, że jego umysł był obarczony jakąś ważną myślą, która w nim widoczny niepokój pobudzała.

Że mu na czasie nie zbywało, że wszystkich wsi okolicznych, zebrał do tysiąca opończ i czapek włościańskich. A w dzień szabasu tyleż żołnierzy swoich w nie poprzestrajał, w ten sposób, żeby każdy z nich miał broń schowaną pod opończą. A że w Potuszy były działa, które mu wpaść miały w ręce, wielką część swoich artylerzystów wyprawił, ażeby na każdy wypadek te działa były usłużone. Ten silny oddział, złożony z najdobroniejszej części jego wojska, z jego rozkazu wyszedł za przewodnem Godela po zachodzie słońca. Dokąd dążyli, o tem żaden z nich nie wiedział, oprócz pułkownika Hesteko, dzielnego i doświadczonego żołnierza, a któremu generał Redyng powierzył dowództwo tej wyprawy. Dał mu rozkaz, żeby skoro tylko rozbroi, czy zamorduje załogę, otworzył bramę od Potuszy, przez którą on z resztą swojego wojska wejdzie, gdyż postanowił wyruszyć inną stroną ku temu warownemu miejscu, mając z sobą siłę dostateczną do dania odprawy tym oddziałom jazdy nieprzyjacielskiej, które co noc kręciły się w okół warowni, ażeby zniemacka nie została napađnięta.

Już jakiś żyd służący u Josia Dreczkera wyprawiony został do Pinkusa z kufą gorzałki. Ten o niczem nie wiedział, ale jego przybycie do Potuszy miało mu służyć za ostrzeżenie, żeby był gotowym do wprowadzenia Szwedów przez swoją piwnicę, i żeby kanał był

oświecony przynajmniej tyle, by żołnierze iść mogli w kierunku gdzieś zapalonych łożówek. Wszystko się gładko zdawało kartować. Obaczmy, w co się obróćą te zamachy roztropności ludzkiej przeciwko tym, któremi się Przenajświętsza Rodzica opiekowała.

## ROZDZIAŁ XX.

Rycerz Lizdejko ze swojej strony nie zasypiał, a jakkolwiek mógł być pewny powodzenia, niczego nie zaniedbał, żeby to powodzenie zabezpieczyć. A działał z taką ostrożnością, że oprócz tych dwóch swoich powierników, nikt się nawet domysleć nie mógł, że się coś nadzwyczajnego gotowało dla załogi. Przez te dni kilka poprzedzające chwilę stanowczą, wszystko szło dawnym trybem. Codziennie wedle obyczaju raz na zawsze wprowadzonego były musztry, przeglądy, wysełane za wały patrole. Zawsze ta sama ostrożność, ta sama służba, do jakiej już byli nawyknięci.

Dopiero kiedy w piątek przed wieczorem przybył żyd z kufą gorzałki do Pinkusa, rycerz ostrzeżo-

ny, że chwila działania się zbliża, pokazał całą swoją zapobiegliwość. Jednak dopuścił mu rozpocząć szabas spokojnie z gospodarzem, i żydom nocnego spoczynku nie przeszkodził. Ale nazajutrz z niemałym zadziwieniem wszystkich, około południa kazał przyprowadzić do siebie wszystkie dusze żydowskie, znajdujące się w karczmie, bez względu na wiek i płeć. Żołnierstwo ich wszystkich co do nogi przypędziło do namiotu naczelnika. Na złodzieju, jak to mówią, czapka gore. Pinkus, na którym wiele ciążyło, tak był pomięszany, że można go było kazać powiesić z miny. Inni, choć trochę przestraszeni, okazywali więcej spokojności, bo nic nie mieli sobie do wyrzucenia. Kiedy stanęli przed rycerzem, on rzekł do nich łagodnie i bez żadnego uniesienia:

— Moje dzieci, dla waszego bezpieczeństwa postanowiłem, żebyście wszyscy jedną dobę przesiedzieli w więzieniu podziemnym, w którym twój zięć, Pinkusie, kilka dni bawił, a przez co przecie nic złego mu się nie stało. Mam doniesienie, że tej nocy Szwedzi mają napaść na nas. Przeprawa może być i gorąca i krwawa; na co wy, spokojni poczciwi ludzie, macie się narażać na niebezpieczeństwo, i waszą bojaźnią przerażać moich ludzi? Jak zaczną huczyć działa, tylebyście mieli w zysku, że ta biedna działwa z samego przestraszuby się rozchorowała. Czyż nie lepiej dla was oczekiwać w bezpiecznym schronie-

niu, co tej nocy Bóg o nas postanowi? Wy zwykle szabas przesypiacie, a więc prześpicie go w miejscu, gdzie nikt wam spoczynku nie przerwie. A ja tak dalece pamiętam o waszych wygodach, że dałem rozkaz, ażeby wam zniesiono z karczmy wszystkie wasze bety i naczynia, w których znajdziecie to wszystko, co macie pożywać w czasie szabasu.

Pinkus chciał coś powiedzieć, ale rycerz Lizdejko kiwnął ręką, a jego wierni Turcy wyprowadzili całe to pokolenie do szopy, gdzie jednego po drugim wszystkich spuścili do piwnicy.

Tak zabezpieczywszy się od żydów, rycerz Lizdejko kazał wtoczyć do sieni karczemnej wóz amunicyjny dobrze okuty, na którym położyć kazał dla większego ciężaru kilka kul działowych, a przy nim postawił kilku żołnierzy z jednym oficerem, któremu na osobności dał instrukcję, wedle jakiej miał postępować; a przed wieczorem, kiedy już się zbliżała godzina stanowcza, cichaczem wyprowadził do dwóchset żołnierzy od tej strony Potuszy, gdzie było wejście do podziemnego kanału, tam ich ukrył w chwastach, polecając ten oddział rozkazem Gaskolda, który niejednokrotnie prowadził ich po drodze sławy.

A jemu samemu dał instrukcję w tych słowach:

— Twój żołnierze niech leżą ukryci w tych chwastach. Nieprzyjaciel za parę godzin, prowadzo-

ny przez Godela, tu się pokaże. Żeby żaden z was się nie ruszył, póki nie zniknie Szwed w kanale. A że wątpić nie możemy, że zostawi jakąś straż przy otworze kanału, ty miej tę straż na oku, zawsze nieruchomy; dopiero jak ostatni Szwed wejdzie do kanału, przetrzymaj kwadrans, a po upłynieniu onego uderz na straż, rozbij ją, stań przy otworze i zatknij go czem możesz, żeby żaden Szwed z pułapki nie mógł się wysunąć. Nie obciążaj się jeńcami tej straży, na którą uderzysz, ale bez miłosierdzia kół każdego, co ci wpadnie w ręce. Jest-to srogość, ale cóż robić? nie pora być wspaniałym; a odłączać ludzi w tak nagłej potrzebie, ażeby pilnowali jeńców, byłoby nieroztropnością. Bywaj zdrów, Bóg za nami. Mam nieprzełomne przekonanie, że wszystko nam pójdzie jak najlepiej.

To rzekłszy, śpiesznie powrócił do Potuszy. Przewidywał, że Redyng, jako wódz doświadczony, wyśle silny oddział z tamtej strony, jakoby chciał uderzyć na warownią, żeby wyprowadzić część załogi w pole, a tem ułatwić działania tych, co niespodzianie wejść mają do jej środka. Powróciwszy więc, na prędce zwołał wszystkich dowódców oddziałów, i dopiero im odkrył całkowity swój plan. Ci wodzowie podziwiali roztropność, z jaką tak młody naczelnik całą rzecz poprowadził, zaczynając od tego dotąd dla nich zagadkowego przebaczenia Godelowi. A po tak

długiej bezczynności, nadzieja że wkrótce walczyć będą z nienawidzonym od nich wrogiem, napełniła ich serca zapalem i radością.

Wszyscy byli pod bronią, z wszelką gotowością do boju. Rycerz Lizdejko poruczył dowództwo twierdzy mężnemu i odznaczającemu się zawsze zimną odwagą Pawłowi Fredrze, i to wszystko co mu wypadło działać z chytrym nieprzyjacielem. I mógł być aż nadto pewny, że jego instrukcyje co do punktu będą spełnione. Sam z całkowitą swoją jazdą wyszedł za wały, i rozstawił ją wedle technicznego wyrazu *en échelons*. Każdy oddział miał dowódcę, na którego mógł się spuścić. I jakżeby nie miał być pewnym, że swoją powinność dopełnią, kiedy te oddziały prowadzone były przez wojowników takich, jak Świerszcz, Grzeszniczek, Osman, Bielak, Łukasz Olizar? A sam, jako główny dowódzca, na wszystkich miał oko, gotując się tam pójść, gdzie tego najgwałtowniejsza pokaże mu się potrzeba. Było przy nim kilku rycerzy, dla noszenia jego rozkazów dowódcom oddziałów, a między nimi Dawid Odyniec, który świeżo był wykonał przysięgę wierności dla konfederacyi królewskiej, i który był mu szczególnie zalecony od Gaskolda. Obaczmy teraz, co się działo w Rzędzinach.

Jeszcze trwał szabas, kiedy generał Redyng, jakkolwiek pełen nadziei, że wojsku szwedzkiemu największy zaszczyt, a sobie najszczególniejsze względy

u króla wkrótce zarobi, jednak żeby zmniejszyć przynajmniej odpowiedzialność, jaką brał na siebie, w przypadku gdyby rzeczy nie tak pomyślnie poszły, jak sobie obiecywał, zwołał radę swoich pułkowników, i przed nią odkrył cały swój plan i wszystkie okoliczności, które go do niego skłoniły, pytając ich o zdanie. Wszyscy Szwedzi jednomyślnie przyznali, że ten plan jest najlepszy, i że się nie godzi wahać ani chwili; że byłby występny względem króla i ojczyzny, gdyby zaniechał tak łatwej i pewnej zdobyczy. Tak silne było w tym względzie przekonanie wszystkich wodzów szwedzkich, że trzeba było nieco odwagi, aby w czem przeciwko temu się odezwać. Miał ją jednak Ogiński, jedyny wódz polski, będący pod rozkazami Redynga. Wyraźnie oświadczył, że powszechnego zdania nie podziela, że żyda nie posądza o zdradę, ale że mu znana jest lekkomyślność i łatwowierność żydowska, a więc na jego słowo narażać znaczną część wojska wydaje mu się być rzeczą nadto ryzykowną. Przeprowadzenie przez drabinę takiej ilości żołnierzy, jakiej potrzeba dla opanowania Potuszy, nie da skutecznici się ani w jednej, ani w dwóch godzinach, a więc lada hałas może ostrzedz załogę, złożoną z ludzi doświadczonych i walecznych. A wtedy wysłani żołnierze, w sieni karczemnej ściśnieni, mogą pójść na rzeź. Nawet nie ma przekonania, żeby ten kanał podziemny był zachowany w tak dobrym stanie, iżby nigdzie nie było jakiegoś zasypu, utrudzić mogącego

przechód; że wartoby przynajmniej rekognoskować go przez kilku żołnierzy doświadczonych, wprzód niż puścić się na oslep w przepaść. W każdym razie lepiej kilku żołnierzy zaryzykować, niżeli większą część swojej piechoty, i omal że nie wszystkich puszkarzy. A więc protestuje przeciw zdaniu powszechnemu, i ten protest do protokołu dołączy, i w każdym wypadku wytłómaczy się przed królem szwedzkim z powodów, które go do tego zmusiły.

Wielki hałas powstał na niego w całym kole. Generał okazał mu swoje nieukontentowanie, a pułkownicy nie szczędzili mu wyrzutów dotkliwych i obraźliwych. Nawet stary Lilienplat, zawołany inżynier, a wielce lubiony od króla szwedzkiego, ośmielił się powiedzieć: — Że to go bynajmniej nie dziwi, że pan Ogiński ciągnie za Polakami, i że nierad, żeby Potusza ze swoją załogą i tyloma dzielnymi wodzami, między którymi mogą być i jego krewni, stały się trofeami wojsk naszego króla. Ale co do mnie, śmiem dopominać się od naszego naczelnika, ażeby nie opuszczał szczęśliwej okoliczności, która raz opuszczona, nigdy już nie powróci. Ani mogę przypuścić, żeby się znalazł jaki Szwed, któryby się wahał, kiedy jest powołany do wieńczenia swojego czoła najświętniejszym może wawrzynem od początku naszej wyprawy. A coby to nasz król powiedział, gdybyśmy mając tak dobrze jak w rękach naszych tak główne

stanowisko jak Potusza, przez zbytek ostrożności ją wypuścili?—Liczne i głośne applauzy uwieńczające to przymówienie, zagłuszyłyby każdego, coby przeciw niemu odważył się zgłosić. Ogiński, że wszystko co miał na sercu już był wypowiedział, obojętnym zdawał się być na te wszystkie wykrzyki. Lecz protest swój z oszczędnością wyrazów, a na gruntownych zasadach oparty, jak najspieszniej zapisał.

Generał Redyng po tej naradzie, silny i własnem przekonaniem, i przyzwoleniem wszystkich swoich wodzów szwedzkich, natychmiast zajął się rozporządzeniem wyprawy. Pułkownik Hestesko swoją piechotę i puszkarczów małemi oddziałami wyprawił ku lasom, otaczającym zachodnią część wzgórza, nad którem unosiła się Potusza, a sam z ostatnim oddziałem i z żydem Godelem wyszedł ostatni. W lesie dopiero wszyscy mieli się złączyć, i razem pod przewodnictwem Godela wstąpić w podziemne wejście, które miało ich doprowadzić do Potuszy. Już się powiedziało, że żołnierze, mając na mundurach siermięgi, wyglądali jak wieśniacy. Była w tem ostrożność do zbytku posunięta, bo gmin instynktownie przeczuwając, w którym miejscu mogą toczyć się krwawe walki, od nich się oddala, tak iż te oddziały po drodze niktogo nie spotkały, i po kilkogodzinnym pochodzie zebrały się wszystkie w lesie, w pełnem przekonaniu, że nieprzyjacieli o ich poruszeniu zapewne jest nie-

uwiadomiony, a nie domyślali się, że Gaskold z silnym oddziałem leży nad otworem kanału, i że żaden ich krok nie ukrywa się przed jego badawczym wzrokiem.

Podczas gdy pułkownik Hestésko, mający sobie dodanego Lilienplata, któremu przeznaczone było dowództwo nad twierdzą, skoro tylko opanowaną zostanie, dążył do swojego przeznaczenia, generał Redyng, zostawiwszy pod opieką niewielkiego oddziału swoje działa, swój tabor i swoją kwaterę, zebrał całkowitą swoją jazdę i z nią wyruszył ku błoniom, dotyczącym wschodniej części Potuszy, ażeby ją na nich rozwinąć i walczyć z jazdą konfederacyi, która niezmordowanie pilnowała się od tej strony. Do żywego obrażony oporem Ogińskiego, pierwsza jego myśl była zostawić go w Rzędzinach, i nie dopuścić go do udziału w tej sławie, jaką już był pewny uzyskać. Ale wkrótce odstąpił od tego zamiaru, bo poznał, że bez niego obejść się nie może. Ciężkie rajtary szwedzkie mało były sposobne do działania w rozsypce z jeźdźcem polskim, nie wiele obciążonym, mającym pod sobą zwinnego konia, a który na rozkaz swojego wodza z szybkością błyskawicy rozsypywał się, i znowu się zbierał w linii. W wojsku generała nie było innej jazdy lekkiej, tylko silny oddział Ogińskiego, przywykły do tego rodzaju obrotów, a który pod jego okiem nieraz dawał tego za-



szczytne dowody. Przesuwało mu się przez myśl zabrać z sobą ten oddział, a jego wodza zostawić w Rzędzinach przy straży swojego obozu, ale i tego zaniechał, bo wiedział, że oddział Ogińskiego z klientów jego domu i własnych jego poddanych składający się, a tem samem przywiązany ślepo do jego osoby, nie byłby posłuszny szczerze wodzowi obcemu, nie mającemu nic takiego, coby w nim ufność obudzić mogło. Lękał się, i nie bezzasadnie, żeby w czasie walki z ziomkami żołnierz, osierocony od swojego przyrodzonego wodza, nie poszedł chętniej za głosem bratnim, chociaż przeciwnika, niż jakiegoś Szweda lub Niemca, którego nawet mowy nie rozumiał. Zabrał więc z sobą Ogińskiego, bo rachował na jego uczciwość i zdatność, i w tem się nie omylił, bo jakkolwiek Ogiński najmniejszej nie pokładał nadziei w pomyślność tej wyprawy, a nawet od powrotu króla Jana Kazimierza do Polski wcale innem okiem patrzył na stronnictwo, do którego z woli ojca się zaciągnął, wszakże postanowił z największem poświęceniem i swojej osoby i swojego nawet przekonania, dopełniać swojej powinności, jak przystoi mężowi czci i znakomitego rodu.

Podczas gdy generał Redyng zaczynał swoją jazdę rozwijać od przeciwnoległej strony, pułkownicy Hestesko i Lilienplat przybliżali się i stawali u kresu swoich życzeń, bo już dotykali wnijsčia

otworu, ukrytego tak, że bez świadomego przewodnika nie byłoby możności go wynaleźć. Można wyobrazić sobie, jaka była ich radość, kiedy Godel skurczywszy się zniknął, a wkrótce potem znowu się pokazał, i zaprosił ich z sobą. Wnijscie było ciasne, ale sam kanał był tyle przestronny, że czterech ludzi w linii mogło się w nim zmieścić. Hestesko z żydem wszedł pierwszy, za nimi wojsko, a Lilienplat miał szlusować, ażeby żaden nie pozostał. Gaskold ze swojemi, leżąc na brzuchach jak węże, każde ich poruszenie śledził. A chociaż noc była ciemna, przecież nie tyle, żeby mogli nadchodzący ukryć się przed jego wzrokiem. W najgłębszem milczeniu jedni wchodzili pod ziemię, drudzy z góry na nich patrzyli, wszystko tak było cicho, że niekiedy liście z drzew spadające słyseć się dawały, i one tylko tę cichość przerywały.

Jakież było zadziwienie Gaskolda, kiedy spostrzegł, że wszyscy, a nawet i pułkownik szlusujący, zniknęli z przed jego oczów z taką pewnością pomyślności, że nawet nie zostawili porządnej straży przy wnijsciu, a tylko pikietę z ośmiu żołnierzów. Jeszcze z pół godziny wytrzymał, żeby dać czas nieprzyjacielowi wnurzyć się głębiej w ten kanał. A po upłynieniu onej, raptem powstał ze swojemi i rzucił się na pikiet, który niespodzianie napadnięty nawet się nie bronił. Siedmiu zamordowano, jednemu tylko

za pomocą ciemności udało się umknąć, i manowcami przedrzeć się ku wschodniej części Potuszy, żeby oznajmić naczelnemu dowódcy, w jakim niebezpieczeństwie zostaje oddział przez niego wysłany, a który składał całkowitą jego piechotę.

Hestesko szedł sobie śmiało obok swojego żyda, zupełnie nie wiedząc, że za nim Gaskold, faszynami i ziemią, odejmuje mu wszelką sposobność do odwrotu. W samej rzeczy, pół godziny nie upłynęło, a liczny oddział Gaskolda, opatrzone w siekiery i łopaty, tak się był rześko wziął do roboty, że śladu nie pozostało jakiegoś otworu we wzgórzu, i że taki, któryby nawet przez całe życie z nim był obeznany, nie mógłby wynaleźć miejsca, w którym kiedyś się znajdował. Szwedzi byli więc jak ptaszki złowieni w samotrasku, tylko że żaden z nich o tem się ani domyślał, i wszyscy szli wesoło za Godelem, tem więcej uradowani, że o kilkanaście kroków jedna od drugiej rozstawione lampy rzuciły światło po ścianach wydroża, co było jasnym dowodem, że są oczekiwani, i że w Potuszy jest wszelka gotowość do ich przyjęcia.

Skoro Gaskold upewnił się, że wniście do podziemnego kanału tak szczerlnie jest zatarasowane, iż nie ma sposobu Szwedom z niego się wydobyć; na każdy wypadek oddzielił od siebie trzydziestu żołnierzy, pod dowództwem jednego roztropnego oficera,

na którego mógł śmiało się spuścić, i kazał im ukryć się w gęstwinie.

— Być może—rzekł do nich—że jaki silny oddział szwedzki tu się pokaże, wysłany od wodza, uwiadomionego o nieszczęsnej przygodzie jego piechoty, bo było w pikiecie tu postawionej ośmiu żołnierzy, z tych siedmiu padło pod naszym orężem, ale ósmy, który ocalał, musiał udać się do naczelnego wodza z swoim językiem. Wasz oddział nieliczny, ale stanowisko, jakie zajmujecie, stanie za liczbę. Ukryci w gęstwinach, miejcie strzelby w pogotowiu; póki Szwedzi będą macać, stojcie spokojnie, ale gdyby natrafili na miejsce, gdzie dopiero był otwór, i brali się do jego wznowienia, nie oszczędzajcie waszych ładunków, bijcie w nich jak w kaczkę, ale dobrze bierzcie na cel, boć to nie na wróble polujemy. A ja ruszam na tamtą stronę do naszego naczelnika, żeby donieść mu, iż wszystko tu się zrobiło stosownie do jego rozkazów, przyprowadzić mu nasz oddział, który może mu się bardzo przydać.

Obawa, aby jaki świeży oddział szwedzki nie pojawił się w tem miejscu, pokazała się być zbyteczną. A pan Grzymała, bo takie było nazwisko oficera, któremu ten mały oddział zostawiony był posłusznym, zamiast stania w bezczynności, rozstawiło kilka

dziesiąt kroków od siebie w różnych stronach trzy placówki, każda z dwóch żołnierzy, którym dał rozkaz, żeby na wypadek pokazania się jakiej siły, wielkiej czy małej, dali natychmiast ognia, dla jego ostrzeżenia, i jak najspieszniej po tym wystrzale wracali do niego. A z dwudziestu czterema żołnierzami, którzy mu pozostawali, jakby jeszcze nie dowierzał dość gruntownemu zatarasowaniu wnijsia do kanału, do którego dopiero Szwedzi byli weszli, wziął się do roboty, żeby go jeszcze więcej ziemią zasypywać.

Podczas gdy to się robiło, Hesteko i Lilienplat z tą wesołością, jaką daje przecucie powodzenia, pod przewodem żyda i blasku lamp co kilkanaście kroków pozapalanych, ze swoim rycerstwem coraz głębiej wnurzyli się w ten kanał, jak już się powiedziało. Pochód odbywał się w najgłębszym milczeniu, nakoniec wstąpili do piwnicy, której drzwi były otwarte, a która była o kilka razy szerszą od kanału. Dalej postępując, uderzyło ich światło z góry spadające; ale jakaż była ich radość, kiedy spostrzegli drabinę opartą o ścianę, i dotykającą otworu, a nad nią głowę żydowską, bo w czapce szabasowej i brodatą, opartą. Jeszcze nie wiedzieli, że to był Domarat przystrojony.

Godel wlaży pierwszy na szczebel wąskiej drabiny, a za nim Hesteko. Domarat podał mu rękę. Skoro żyd już stanął nad przepaścią, Hesteko za nim

zaczął się wydobywać. Ale zaledwo rękę położył na krawędzi, i do piersi się pokazał, i już zabierał się nogę położyć w sieni karczemnej, żołnierz stojący nad otworem, w oka mgnieniu uderzył go po łbie toporem. Ani jęknął; padł bez duszy na swoich żołnierzy, stojących przy drabinie. A w tej chwili, nakrycie piwnicy na zawiasach zapadło, i wóz z kulami armatnimi już przygotowany został na nie zato czony.

Szwedzi krzyknęli: Zdrada! ale już ich nikt na wierzchu usłyszeć nie mógł. Długo stali w ponurem milczeniu, spoglądając na siebie z rozpaczą: Nakoniec Lilienplat odezwał się:

— Zginęliśmy! nic nam nie pozostaje, jak wziąć się do odwrotu. Nie łudźmy się marną nadzieją, że ten odwrót może być bezpiecznym. Przewiduję aż nadto, że zastaniemy przy otworze takich, co z bronią w rękę staną na przeszkodzie naszemu wyjściu z tej przeklętej matni, w którą daliśmy się uwikłać. Nic nam nie pozostaje, jak tylko drogo sprzedać nasze życie, jak przystoi mężom Skandynawskim.

Wzięli się więc Szwedzi do cofania tą samą drogą jaką przeszli, innej nie było. Ale jaka była ich rozpacz, kiedy zamiast otworu, który, jakkolwiek strzeżony, mógłby przecie być przebyty, zastali ścianę; a nie mieli żadnych środków do jej wywró-

enia.—Co będziemy teraz czynili?—powstały głosy między Szwedami.

— Przepadliśmy na wieki—odezwał się Lilienplat.—Oddajcie duszę Bogu, bo już niczego innego spodziewać się nie możecie, tylko umrzeć z głodu w tej ciemnicy. Nadejdzie chwila, w której zmuszeni zostaniecie ciągnąć na losy, którego kolegę zamordować macie, dla przedłużenia nędznego waszego żywota. Ażeby odwlec tę chwilę nieszczęśliwą,—mnie macie!

To rzekłszy, dobył krucicę, którą w kieszeni nosił, włożył ją w gębę, i pociągnięciem cyngla wysłał szlachetną swoją duszę przed sąd Najwyższego. Szwedzi, już bez żadnego wodza, krzyk przeraźliwy wydali. Potem osłupieli i z rozpaczycy stali jak nieruchome posągi. Bo cóż w przyszłości oczekiwać mogli, prócz śmierci w najokropniejszych męczarniach?

Zostawmy ich na chwilę, a przenieśmy się na przeciwnoległą stronę Potuszy.

Generał Redyng tak był pewny, że wysłana jego piechota lada chwila opanuje Potuszę, że o niczem nie myślał, jak tylko żeby jak najspieszniej stanąć u wrót twierdzy. W szumie tem większą łatwość sobie obiecywał, że wiedział z doświadczenia, iż tylko szczerpłe oddziały jazdy krążyły nocną porą około twierdzy, nie w celu staczania bitw, ale jedynie żeby

ostrzegać zamkniętą załogę na wypadek zbliżenia się nieprzyjaciela. Postępował więc śmiało, nie wiedząc, że już nie ma przeciw sobie małego oddziału, ale że będzie miał do czynienia z całkowitą jazdą polską, prowadzoną przez samego rycerza Lizdejkę.

Ten ze swoim oddziałem wolnym krokiem cofał się przed nim, a inne oddziały w prawo i w lewo wyselał, żeby przeskrzydlić Szwedów, a z takimi dowódcami, jakich miał pod sobą, jakież przedsięwzięcie nie byłoby do skutku doprowadzone? Do tego, że noc była ciemna, a szwedzki dowódca upojony marną nadzieją, ominął się ze zwykłą swoją ostrożnością, tem łatwiej jego plan dokonany został. Redyng, o niczem nie wiedząc, postępował śmiało na rycerza Lizdejkę, a tuż za nim Świerszcz, Grzeszniczek, Bielak i Olzar rozwinęli swoje hufce.

Zostawiliśmy Gaskolda, dążącego z silnym swoim oddziałem piechoty ku tej stronie, gdzie rycerz Lizdejko stał ze swoją jazdą. W ciągu swojego pochodu, raptem odmienił swój plan. Zamiast postawienia się na błoniach otaczających Potuszę od wschodu, a gdzie piechota na mało mogła być pożyteczną, szczęśliwym natchnieniem kierowany rzucił się w lewo, o kilkanaście stajów na drogę idącą do Rzędzin, a przez którą Szwedzi byli przeszli. Była tam grobla obsadzona wierzbnami. Gaskold myślał, że to stanowisko jedyne, przez jakie Szwedzi na wypadek od-

wrotu dostać się mogli do Rzędzin, musiało być silnie obsadzone, i postanowił bądź co bądź na nich uderzyć, żeby im ten odwrót utrudnić. Jakież było jego zdziwienie, kiedy nikogo tam nie zastał? Szwedzi tak byli upewnieni o zwycięztwie, że ani przypuścili, iżby była potrzeba myśleć o odwrocie. Uradowany Gaskold zajął groble swoją piechotą, którą ukrył między wierzbami, i oczekiwał chwili, w której Polacy na niego napędzą Szwedów.

Podczas gdy Gaskold zajmował to ważne stanowisko, oddziały jazdy, wysłane przez Lizdejkę na skrzydła i za plecy Redynga, skuteczniły swoje poruszenie. Świerszcz pierwszy uderzył na Szwedów z tyłu, a jednocześnie Bielak i Olizar rzucili się na prawe, a Grzeszniczek na lewe ich skrzydło. A sam rycerz Lizdejko nie przestawał stawiać im czoła. Szwedzi ze wszystkich stron otoczeni zostali. Wkrótce zrobiło się zamieszanie, gdzie już nie oddziałów obrotu, ale tylko pojedyncze boje w rodzaju Homerycznych toczyć się zaczęły między walecznymi Polakami, a niemniej od nich mężnymi Szwedami. Zostawuję naszym mistrzom lutni przekazać potomności wdzięcznym śpiewem imiona tych dzieci Odyna! których wyprawiła do Walhali prawica Grzeszniczka, Świerszcza, Bielaka i innych, a nadewszystko rycerza Lizdejki. Twarde pancerze, hartowne szyszaki, nie były zdolne zasłonić ich od pocisków słowiańskie-

go miecza. Padali i Polacy śmiercią walecznych, ale cóż to było w porównaniu do straty Szwedów, którzy, napadnięci znienacka, obudzeni ze snu uludy, mało sposobni do pojedynczych obrotów, bo przywaleni ciężarem zbroi, a których konie dotrzymać nie mogły zwinności i wartkości sarmackich wiatronogów, na stepach Ukrainy zrodzonych i wyrosłych, padali jak trawa na przekosy. Jeden tylko Ogiński ze swoją lekką jazdą, w zmieszanych szeregach, z mniejszem nieszczęściem, toczył z rodakami pojedyncze boje, i odwlekał zgubę wojska, któremu pomagał. Kilka razy udało mu się wyrwać generała Redynga z rąk nieprzyjacielskich, ale czuł, że dla wojska nie pozostaje, tylko albo dać się wytepić co do nogi, albo zebrać się w masę i pójść na przebój przez chmury jazdy polskiej, azali się nie uda przynajmniej część tych mężnych żołnierzy, tak marnie ginących, odprowadzić na to stanowisko, które za wyraźnem czarta omamieniem tak lekkomyślnie zostało opuszczone.

Przedarł się przez chmurę walczących do generała, potykającego się jak lew, z siłą przynajmniej o dwójnasób potężniejszą od tej, której dawał rozkazy jak wódz, a przykład jak prosty żołnierz. I swój zamiar przed nim otworzył.

— Mości generale, namarnotrawiliśmy ludzi niemało, a nieprzyjaciół zdaje się być coraz silniejszym; nie ma podobieństwa tu się utrzymać. Nic nam

nie pozostaje, jak tylko wszelkich środków użyć dla wycofnięcia się z tego okropnego stanowiska. Bóg wie, czy to nam się uda. Wszakże trzeba koniecznie tego próbować. Każ mości generale zatrzeć odwrot; ja z mojami naprzód będę się starał utorować mu drogę przez hufce nieprzyjacielskie. Waszmość ze swojemi wyrusz za mną. Przynajmniej choć cokolwiek uprowadzim z sobą.

Generał Redyng odrzucił ten jeden jeszcze możebny środek zbawienia, bo jeszcze nie był obudzony ze swojego omamienia. Nie przestawał oczekiwać na silny posiłek, który miał mu przyjść ze zdobytej przez jego oddział Potuszy, a który wedle niego lada chwila miał przybyć. Aż tu zaczęły się pokazywać pierwsze brzaski dnia.

Dotąd noc była tak ciemna, iż nie można było rozemnieć przedmiotów o kilka kroków oddalonych, tak że żołnierze, bojąc się zadawać razy własnym kolegom, odzywali się przed natarciem, żeby po słuchu unikać omyłki. I to umniejszało srogość bitwy i liczbę jej ofiar. Na tem szczególnie zyskiwał oddział Ogińskiego, bo niejednemu z jego żołnierzy udało się zachować życie tem, że po polsku się odzywał, a przez to mianym był za żołnierza konfederacyi. W miarę zwiększającego się blasku, coraz więcej niebezpieczeństwo mogło się powiększać, i to nie uszło uwagi Ogińskiego.

— Mości generale—odezwał się po raz ostatni—na miłość Boga, zaklinam waszmości, żebyś pamiętał o swoim i naszym ratunku. Odwrot nasz już i tak trudny; skoro się cokolwiek rozwidni, stanie się niepodobnym. Ani chwili nie mamy do stracenia; pozwól żebym kazał mojemu trębaczowi zatrzeć odwrot.

Generał Redyng milczał.

W tem od strony okopów powstał krzyk w szeregach polskich, będących między twierdzą a pobojowiskiem. Można było wyraźnie rozemnieć okrzyki radośne, a w nich złowieszcze wyrazy:

— Niech żyje król Jan Kazimierz! jego wrogowie są pokonane. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Cała piechota szwedzka teraz siedzi w zatarasowanym z obudwóch końców podziemnym kanale.

Te słowa obły się o uszy generała i aż nadto przez niego zostały rozumiane. Dopiero się przebudził jakby ze snu, i ze świata wymarzonego wrócił do świata rzeczywistego; dopiero poznał całą okropność swojego położenia.

— Mości Ogiński—rzekł—nie ma co robić, teraz widzę moją karę za to, że nie poszedłem za radą waszmości. Każ zatrzeć odwrot i staraj się ratować z tem co się da uratować, a o mnie zapomnij.

Podczas gdy Ogiński szukał miejsca, któreby

mógł przełamać, generał w rozpaczy siedział na koniu nieruchomy. Kilkunastu żołnierzy go otaczało, gotowych śmierć z nim podzielać, i chociaż na nich nalegał, żeby za Ogińskim ratowali się ucieczką, żaden z nich go nie odstąpił, każdy go zasłaniał swojemi pierściami. A tu coraz jaśniej wydobywały się przedmioty z nocnych cieni, i coraz więcej od strony Potuszy przybywało nieprzyjaciół.

Nakoniec Redyng dobył puginał, który wedle zwyczaju owoczesnych rycerzy nosił za pasem, i wprawna ręką porozrzynał rzemienie, które zaciągały jego szyszak i pancerz. Wszystko to padło z łoskotem o ziemię, a nieszczęśliwy wódz rzucił się między nieprzyjaciół, nie już dla ocalenia swojej osoby, ale żeby utworzyć sobie w przejściu do innego świata jak najliczniejszy orszak. Pociski jego ramienia, obnażonego z wszelkiego ciężaru były straszne; już ci wierni żołnierze, którzy do końca nosili mu nieskażoną służbę, albo byli powaleni, albo w rękach Polaków. On jeden walczył, zewsząd otoczony, i dzielną prawicą wywracał każdego, który się przybliżył do niego.

Tu nowa scena zaczęła się; Grzeszniczek pojawił się między zapastnikami, którzy go otaczali. Nadzwyczajna odwaga zawsze wrażenie silne wywiera na sercach ludzi prawdziwie odważnych. Jakkolwiek Grzeszniczek był krwawym, nieubłaganym,

na widok męża tak dzielnie jeden przeciwko wszystkim potykającego się, powziął chęć ocalenia go, ile że poznał, iż to był naczelnik Szwedów, i tem więcej, że wzięcie go w niewolę zapewniało mu i znaczny okup i chwałę nie mogącą być zaprzeczoną, podczas gdy śmierć jego, w zamieszaniu ogólnem, nikomu w szczególności przypisanaby być nie mogła. O to mu zatem chodziło, żeby go wzięść w niewolę. Przyskoczył więc do niego i odezwał się:

— Mości generale! poddaj się waszmość—i porwał za cugle jego konia.

— A dobrze! — odpowiedział generał — zostaję waszym jeńcem.

Grzeszniczek, uradowany taką zdobyczą, jeszcze więcej się zbliżył do niego i podał mu rękę. Redyng z szybkością błyskawicy, z pistoletu, który trzymał, wypalił mu w samo czoło. Grzeszniczek padł bez duszy. Na ten widok nie już wstrzymać nie mogło Polaków; w jednej chwili waleczny Redyng został rozsiekanym.

Udało się Ogińskiemu, skupiwszy się w massie ze swojemi i ze Szwedami, przetrwać się przez szeregi Świerszcza, na które uderzył. Wielu ludzi utracił, ale przecie z resztą mógł otwartym krajem umykać. Stanął na miejscu bezpieczniejszym, bo przynajmniej nie miał nikogo przed sobą, i tam zatrzymał się dla rozpatrzenia się, jaka była jego siła, i dla postano-

wienia, w jaką stronę ma się udać. Z całej tej pięknej jazdy, która przenosiła półtora tysiąca koni, pozostało mu jednak przeszło sto koni w jego własnym oddziale, który mniej od innych był ucierpiał, i do sześciuset Szwedów; reszta albo już do tego świata nie należała, albo była w polskiej niewoli. Jednak miał jeszcze poważną siłę, która w potrzebie przydać się mogła sprawie króla szwedzkiego. Wprawdzie Polacy ścigali go, ale jakby tylko dla zaspokojenia rycerskiego sumienia. Bo tak wielkiej masy, już wolnym krokiem ustępującej, a która za każdym napa-  
dem zwracała czoło i zdawała się oczekiwać natarcia, nikt szczerze nie myślał przełamać, ani było siły ku temu, gdyż rycerz Lizdejko całej swojej jazdy w pogoń rozpuścić nie chciał, a tylko się szykował po długiej walce i zamięszaniu, żeby ją do porządku przyprowadzić. Dawidowi Odyńcowi polecił jeńców, których było mnóstwo, zapędzić do Potuszy i tak się rozrządzić, żeby żaden z nich umknąć nie mógł. Jednak nie zaniedbał wysłać naprzód silny oddział jazdy, nie żeby przeszkodzić Szwedom odwrotu, ale żeby wiedzieć, w którą stronę dążą.

Ogiński w pochodzie swoim zebrał na przód dowódców szwedzkich i oświadczył im, że jego zamiarem jest iść ku Brześciowi, dla złączenia się z hetmanem Gąsińskim. Ale oni ku temu skłonić się nie dali, przekładając, że ich obowiązek jest wracać

na to samo stanowisko, które opuścili. Napróżno im wystawiał nieroztropność tego przedsięwzięcia.

— Nie ma wątpliwości—dodał—żeśmy się dali uwikłać w zdradę, i że nieprzyjaciel był ostrzeżony o każdym naszym kroku. Być może, że lasy, które nas przedzielają od Rzędzin, są już obsadzone jego piechotą. I cóż my wtedy poradzić? Dajmy na to, że moja obawa jest bezzasadna; że znajdziemy wolny przechód przez te lasy; cóż nam przyjdzie z tego, że dostaniem się do Rzędzin? Bez piechoty nie zdołamy zachować tego mocnego stanowiska, o które zwycięzca niezawodnie się pokusi. Czyż nie lepiej udać się do Brześcia, pokrzepić naszą jazdą wojsko dość silne hetmana, by z nim działać dla odwetowania naszej przegranej, niż się na bezczynność skazywać? Bo sami nic rozpoczynać nie możemy. — Kilkudziesięciu Szwedów dało się nakoniec namówić i poszło za Ogińskim; reszta, trwając w swoim uporze, rzuciła się ku tej samej grobli, którą była przysła.

Niestety, tam na nią czekał Gaskold ze swoją piechotą. Już był poranek. Gaskold, ukryty ze swojemi strzelcami między wierzbami, był we wszelkiej gotowości. Jak tylko Szwedzi zaczęli się odłamywać dla przejścia grobli, Gaskold rozpoczął ogień. Szwedzi przerażeni natychmiast zmięszali się w kupę i, straciwszy przytomność zaczęli wołać, że się podają. — Rzućcie broń i zsiadajcie z koni—krzyknął



Gaskold. — A już się pokazywał za niemi oddział, któremu dowodził Olizar. Przeszło pięćset jeńców, tyleż koni i broni zostało zdobyczą zwycięzcy. Ludzie Olizara rozbrojonych Szwedów zapędzili do Potuszy, a Gaskold ze swoją piechotą za niemi także wyruszył. Każdy strzelec po trzy konie zdobyte prowadził. I kiedy Ogiński ze swoim oddziałem z wszelkiem bezpieczeństwem dążył ku Brześciowi, reszta tak dopiero pięknego jeszcze wojska już była w niewoli polskiej.

Uradowany rycerz Lizdejko przyjmował tę świetną zdobycz u bramy Potuszy. Okrzyki radości rozlegały się z warowni i z szeregów bratnich. Było to jedno z najświetniejszych zwycięstw, jakie konfederacya Tyszowiecka od swojego zawiązania się odniosła, a skutki tego zwycięstwa były niewyrachowane.

Skończywszy przegląd swoich jeńców, rycerz Lizdejko oddzielił od siebie Bielaka z jego Tatarami, i kazał mu iść do Rzędzin, gdzie wedle zeznania tych jeńców było kilka armat i ledwo kilkadziesiąt żołnierzy do ich straży, żeby te armaty zabrać i wyprawić do Potuszy. Przyszła teraz kolej pomyśleć o tych Szwedach, którzy zamknięci byli w ciemnicy, a których nieszczęście ze wszech miar zasługiwało na litość. Natura polska, o ile w boju pokazuje się okrutną i nieubłaganą, o tyle staje się miękka, i mi-

osierną dla zwyciężonych, którzy już żadnej obawy wzniecać nie mogą. Wszyscy dowódcy oddziałów podzielali współczucie naczelnego wodza względem tych nieszczęsnych, którzy w tak rozpaczliwym zostawali położeniu. Jeden tylko Świerszcz odezwał się przeciwko nim.

— Mości naczelnny wodzu—rzekł—zwycięstwo zwycięstwem, ale nie zapominajmy, żeśmy go nie otrzymali bez kosztu. Dziewięciu najlepszych chłopców moich nie dostaje; żelazo szwedzkie ich na tamten świat wyprawiło. A co mi ich nakaleczyli! To większa szkoda, niż tych wszystkich Szwedów, co od początku tej wojny ziemia polska zasypała. Albo ten poczciwy Grzeszniczek, co z ich łaski poległ w połowicy dni swoich! Wiem, że i na tantym świecie będzie miał pociechę, jak zobaczy, że Szwedzi jeden drugiego jedzą w piwnicy. To najlepsze byłyby po nim egzekwie. Mości naczelnny wodzu! dla spoczynku jego duszy nie odmawiaj mu tej pociechy! Zostaw Szwedów w jamie, niechaj w niej gniją! Jeszcze ich zostanie zanadto.

— Wstydz się, Świerszczu, takiego okrucieństwa względem bezsilnych nieprzyjaciół, błagających naszego miłosierdzia. Ile że z jeńca może być jakiś pożytek, a z trupa żaden. — I to rzekłszy poszedł ze starszyzną do karczmy, gdzie już Pinkus z synową i wnuczętami, wypuszczeni z więzienia, nie

mogli się nacieszyć i wrócić im wolnością, i przytomnością Godela.

Rycerz Lizdejko rozkazał otworzyć zaporę piwnicy. Skoro Szwedzi ujrzeli światło, hurmem ku niemu się wtoczyli, bo ich świece od dawna już się były wypaliły, tak że w zupełnej ciemności zostawali. Już głód, a zwłaszcza pragnienie dotkliwie im czuć się dawały. Na głos rycerza Lizdejki, który ich zapytał:— Czy chcą się poddać? oni jednomyślnie odpowiedzieli, że poddają się bezwarunkowo, że chętnie na całe życie zostaną niewolnikami, byle im pozwolono oddychać wolnym powietrzem i cieszyć się światłem słońca.

— A kiedy tak, zostawcie wszelki oręż, a bezbronni w porządku wychodźcie po tej drabinie co macie. Podadzą wam rękę, żebyście tu stanęli, by dowiedzieć się o waszem przeznaczeniu.

Zaczęli wylazić Szwedzi za pomocą gościnnych dłoni, jakie im podawali Polacy. Niem mało czasu potrzebowało około tysiąca ludzi, żeby po drabinie pojedynczo wylazić. Rycerz Lizdejko polecił swoim wodzom zrobić około nich rozporządzenie, zaczynając od rozdania im chleba, na czem nie zbywało w Potuszy. Żołnierze polscy im chleb przynosili, pocieszali ich jak umieli. Patrząc na te dowody ich czułości, ktoby poznał tych ludzi tak krwawych, tak zaciętych z nieprzyjacielem uzbrojonym? A jednak czułość i waleczność z tegoż samego źródła wypływają.

{Szwedzi, wyzwoleni, dobroczynne ręce Polaków całowali, do nóg padali ich wodzom. Był to widok rzewny, a razem i miły dla zwycięzców. Jeden tylko Świerszcz na to wszystko był obojętnym, a nakoniec odszedł nieukontentowany, mruczając pod nosem: — Póki to się bije, to zdaje się mieć męskie serce, a po bitwie prawdziwe baby. Omal że nie płaczą z radości, że ten gad został przy życiu.

I rycerz Lizdejko nie czekał, aż ostatni Szwed wydobędzie się z nory; wyszedł żeby spisać korzyści, jakie oręż polski w dniu tym otrzymał. Korzyści były niewyrachowane. Oprócz Ogińskiego, któremu się udało około dwóchset koni wyprowadzić za sobą ku Brześciowi, gdzie się złączył z hetmanem Gąsiewskim, cały korpus generała Redynga albo był wyprowadzony w inny świat, albo był w niewoli polskiej. Mnóstwo koni i broni stało się łupem zwycięzcy. Nim wieczór się zbliżył, goniec wysłany od Bielaka przybył do rycerza Lizdejki z doniesieniem, że już Rzędzin zajęty, że tam znalazł niespełna stu Szwedów, którzy przed nim broń złożyli. Wszystkie papiery generała Redynga wpadły w jego ręce, dziecięć armat zabrał, nie licząc pulwerkarów, wozów, amunicji wszelkiego rodzaju, koni wierzchowych generała, i tak dalej. A oczekuje on jego rozkazów.

Rycerz Lizdejko poległym kazał wyrządzić ostatnią posługę. Dotąd przy Potuszy widzieć można dwie mogiły: pod większą spoczywają kości

iedy  
kole-  
rzy-  
nego  
tman  
elni-  
Tam  
czem  
nie  
dla  
cych  
po-  
Sła-  
trze-

Szwedów, pod mniejszą Polaków. A nazajutrz wyprawił Dawida Odyńca do Zamościa, gdzie król i generalność wedle najświeższej wiadomości mieli się znajdować. Własną ręką napisał do króla raport obszerny, i Odyńcowi powierzył, polecając go łasce króla jegomości. W nim po szczegółach opisał wszelkie korzyści, którei Bóg pobłogosławił wojsko króla i Rzeczypospolitej, dodając, że, zawsze wierne królowi, zawsze jest gotowe spełniać wszelkie jego rozkazy, i niczego nie pragnie, jak tylko jeszcze świetniej wywiązać się ze swoich obowiązków dla niego.

## ROZDZIAŁ XXI.

Był to dzień pamiętny dla całej Polski, kiedy król Jan Kazimierz, wrócony do kraju, po kilkoletniem wygnaniu odbywał wjazd do Brześcia, przywołany przez hetmana Gąsiewskiego, przynaglonego wolą obywatelstwa, któremu przewodził. Hetman wyjechał był do Sławatycz, gdzie król z naczelnikami konfederacyi Tyszowieckiej stał obozem. Tam padł do nóg królowi, oddając siebie i wszystko czem rozrządzał pod jego rozkazy. Król przyjął go nie tylko z łaską, ale z uprzejmością, nie szczędząc dla niego tych wyrazów uroczych, tak obowiązujących poddanego, a których tajemnicę władcy świata posiadają. Hetman Gąsiewski, kiedy przybył do Sławatycz dla przeproszenia króla, uległ tylko potrze-

bie, bo klęski, które od niejakiego czasu rzesisto padały na Szwedów, przekonały go, że pokładać w nich jakieś nadzieje byłoby nieroztropnością; ale po odbytem posłuchaniu u króla, już nie tylko ulegał samym widokom polityki i oglądaniu się na szlachtę sprzyjającą królowi od niej wybranemu, ale nawet uczuł w sobie tę miłość, jaką poddany winien zachować swojemu panu, bez względu na jego dobrą lub złą dolę. I kiedy u nóg królewskich złożył tę buławę, której nie czuł się być godnym, a król mu ją znowu oddał, mówiąc: — że nie chce pozbawić rycerstwa litewskiego tak znakomitego hetmana, że mu za zbrodnię nigdy nie pocztywał, iż nie czuł się być obowiązany do posłuszeństwa królowi, który zmuszony okolicznościami opuścił był swoje królestwo, a tem samem że jest wyrozumiały względem wszystkich tych, co zrażeni nieszczęśliwym oporem, ocalili swoje majątki, swoją wolność, a może i życie posłuszeństwem dla zwycięzcy, a przez to zachowali się dla lepszych czasów, które z miłosierdzia Opatrzności dla pobożnego ludu już nakoniec wróciły. Wszystko więc co się w Polsce i Litwie robiło przeciw niemu, jako dzieło musu, puszcza w wieczne zapomnienie, a tylko zasługi poddanych nigdy mu nie wyjdą z pamięci. Nakoniec tuszył, iż hetman Gąsiewski, gdyby nawet miał sobie coś do wyrzucenia, wszystko to zdoła wynagrodzić, walcząc za dobrą sprawę. — A wyciągnąwszy rękę ku niemu dodał: — Mości het-

manie, podajemy waszności naszą rękę na znak tej nieograniczonej ufności, z jaką wam na nowo powierzamy tę samą buławę, którą tak wielką sławą okryłeś pod świętej pamięci królem Władysławem. — Hetman powtórnie padł do nóg królowi, i rzekł z okiem zalanem łzami: — Najjaśniejszy panie! słowa moje byłyby marne, ale poprzysięgam waszej królewskiej mości, że odtąd jemu służąc, jeżeli śmierci nie znajde, to pewnie nie będzie moją winą.

Po tem pojednaniu się z królem, hetman Gąsiewski przedstawił królowi swoich wodzów, uszczęśliwionych że przecie własnemu panu na nowo służyć będą. Król ich wszystkich corde et anima przyjął do łaski swojej i oświadczył im podziękowanie za przykład, jaki dają innym swoim rodakom, którzy jeszcze się ociągają z powrotem do prawego monarchy, ile że jest pewny, iż wkrótce i oni pójdą drogą przez nich wskazaną; a nazajutrz król zrobił swój wjazd do Brześcia.

Tłumy ludu, nietylko miejskiego, ale z całej okolicy, zebrały się dla powitania swojego pana, którego powrót nie był skutkiem usilności ludzkich, ale nastąpił wyraźną wolą Opatrzności. Król siedział na koniu, mając po prawej stronie Rewerę Potockiego, a po lewej Gąsiewskiego. W poczcie, który go otaczał, znajdowały się wszystkie znakomitości narodu, jako: Jerzy Lubomirski, Michał Pac, Tomasz Zamoyski, Stanisław Lanckoroński, Prokop Sieniaw-

ski, Jan Sobieski, Maksymilian Fredro, Jan Krasinowski i tylu innych mężów okrytych sławą wojenną, a dzierżycieli pierwszych dostojenstw polskich i litewskich, których nazwiska we wszystkich wielkich wypadkach dziejów naszych zawsze spotykamy. Byli tam i mężowie przodków niewiadomych, ale którzy osobistemi czynami rozpowszechnili w narodzie swoje nazwisko, czy przybrane, czy rzeczywiste, ale wprzódki nieznane, jako to: rycerz Lizdejko, Gaskold i Świerszcz, Ogar, Burczymucha i inni wodzowie oddziałów, zawsze wiernych królowi, a którzy jedni nigdy nie wątpili o jego szczęśliwym powrocie. Jednego tylko Stefana Czarnieckiego, owego największego bohatera konfederacyi Tyszowieckiej, w tym dostojnym poczcie nie było widać. Miał on inne polecenia, które śpieszył wykonywać, łamiąc po drodze wszystkie przeszkody, jakie Szwedzi mu stawiali. A mając pod swojemi rozkazami niespełna trzy tysiące doświadczonych, a przez siebie wybranych wojowników, ów Scypion nowożytny opuszczał rodzinną ziemię, by boje i mordy przenieść do Szwecyi, a przez to od napadniętej ojczyzny tych najezdniczków odciągnąć, dla ratowania własnych ognisk i ołtarzy. Nastąpiło to wskutek przymierza, za staraniem cesarza rzymskiego zawiązanego między Janem Kazimierzem a królem Duńskim. Stefan Czarniecki, żegnając króla i przyjmując jego ojcowskie błogosławieństwo dla siebie i swojego rycerstwa, prosił

go, aby rycerz Lizdejko mógł wziąć udział w jego wyprawie. Ale król na to nie zezwolił, oświadczając, że mu jest zanadto potrzebnym, aby go miał od siebie oddalić \*). Brześć samem położeniem swoim był stanowiskiem nader ważnem. Umiał to poznać król Stefan, i polecił Hejdenstejnowi umocnić go wałami. Sześć bastyonów broniło przystępu do miasta; w jednym z nich była jedyna brama, przez którą można było do niego się dostać. Tam oczekiwali króla, wedle starożytnego obyczaju ludów słowiańskich, z chlebem i solą, pochylony wiekiem Antoni Kossakowski, starosta Brzeski, na czele urzędników ziemskich i grodzkich i szlachty; wójt z ławnikami i mieszczanstwem, dalej kahał, gdzie się znajdował i Józef Dreczkier z synem swoim Godelem.

---

\*) Tu zrobim nawiasem jedną uwagę: Niejednego obeznanego z dziejami dawnej Polski zadziwia, że tak mało pism mamy o tej epoce tak obfitej w wielkie czyny. Ale to wypływa z natury rzeczy. Im mniej pokolenie jest sposobne do czynów, tem więcej w niem jawi się zdolności do gadania i pisania. Mężowie czynu są zwykle małowówni, a jeszcze mniej piśmienni. Historya przekonywa, że okresy obfitujące w książki, jedna po drugiej rychło wychodzące z pod pras i rozchodzące się po znudzonem społeczeństwie, zawsze były ubogie w czyny.

Przebiegły żyd wielkie pokładał nadzieje w planie, jaki był podał kniaziowi wojewodzie Dorohostajskiemu i generałowi Redyngowi. Nieszczęśliwego skutku tej wyprawy niczemu innemu przypisać nie mógł tylko wyraźnej opiece Opatrzności nad wojskiem polskiem, bo nawet później Godel ani przed nim, ani przed nikim nigdy się nie wymówił, że kiedy prowadził Szwedów, nie im, ale już przeciwniej stronie służył. Po tak uroczystym dowodzie, że Bóg sprzyja królowi polskiemu, i on nie chciał z tyłu pozostać, ile że niczego dla siebie spodziewać się nie mógł ze strony Szwedów, chyba kary za to, iż stał się poniekąd sprawcą ich klęski. Zaledwo więc doszła do niego wieść o cudownem ocaleniu Potuszy, i że z tego pięknego wojska przeznaczonego na zdobycie, część zasypana mogiłą, a reszta w polskiej niewoli, postanowił ile będzie w jego możności, unikać i wojsk króla szwedzkiego, i tych któremi dowodził rycerz Lizdejko, zarówno lękając się tych dwóch ostateczności, alias szubienicy, do której, że już jego syn i swat musieli być przyczepieni, o tem bynajmniej nie wątpił. Ani mu było w głowie, że jemu znaczne sumy należały się od króla szwedzkiego za rozmaite liwerunki, a tylko chcąc życie ocalić, jak najspieszniej przedarł się do hetmana Gąsiewskiego, u którego miał łaski, i dostał się do ojczystego Brześcia, w największym strachu oczekując, co Bóg o nim

postanowi. Hetman go dobrze przyjął. W owych czasach bogaty liwerant był zawsze miłym gościem dla wodza, który dowodząc bitnem rycerstwem, często nie miał czem opatrzeć jego niezbędnych potrzeb. Już hetman był uwiadomiony o tem, co się stało w Potuszy, a żyd po pierwszej rozmowie z hetmanem zaraz poznał, że on wcale jest niedalekim od oddania siebie z swoim wojskiem pod rozkazy króla i konfederacyi, byle się zapewnił, że królewska łaska zostanie mu wrócona. Już przed tem posłuchaniem nie uszło badawczego wzroku żyda, że w wojsku hetmańskiem jawiło się sprzyjanie dla sprawy Jana Kazimierza, z którą od niejakiego czasu szczęście zdawało się być w zgodzie.

Joś Dreczkier słuchał w milczeniu półzwierzeń hetmańskich. Ani słówka nie pozwolił sobie wyrzec, bądź dla potakiwania, bądź dla zbicia, bo sam nie wiedział, co z dwojga mogło być dla niego niebezpieczniejszem. Był między dwoma ogniami. Albo hetman dotrwa w wierności królowi szwedzkiemu, albo pojedna się z królem polskim. W pierwszym przypadku, wcześniej czy później doczeka się szubienicy szwedzkiej; w drugim, wpadnie w ręce rycerza Lizdejki, który za ten podstęp, o którym pewnie musi być uwiadomiony, że był przez niego insynuowanym, niezawodnie poczęstuje go szubienicą polską. Biedne żydzisko umysłem wisiało między dwiema

szubienicami na powietrzu, jak trumna wielkiego oszusta arabskiego w Medynie. W tak niewygodnym dylemmacie, jego przekonanie nie mogło nie oscylować. A jednak przechyliło się na stronę polską; raz, że żydzi mają dziwną zdolność do zwąchania, z której strony powiewa wiatr szczęścia; powtórę, że każdy woli wisieć pojutrze, niż dzisiaj.

Pokilkakrotnie był powoływany do hetmana, i z nim zawierał umowy o dostarczenie rozmaitych rekwizytów dla jego wojska, nie odmawiając mu kredytu, czem coraz głębiej wkorzeniał się w jego ufność. Wszakże nie wychodził z milczenia, ile razy hetman potraçał materyi pogodzenia się z królem. Dopiero kiedy przybył do Brześcia z żoną i dziećmi Godel, z którym nie spodziewał się spotkać na tym świecie, a ten go zapewnił, że rycerz Lizdejko najmniejszej sierdzistości nie zachowuje przeciwko tym ziomkom, co służyli i służą królowi szwedzkiemu; a tego dowód oczywisty w tem, że chociaż wprowadził Szwedów do piwnicy teścia i został jeńcem ostrzeżonych nie wiedzieć jakim sposobem Polaków, jednak nic złego mu się nie stało i może oglądać ojca: Joś Dreczkier otwarcie się zdeklarował za stronę polską. A że w Polsce od dawna nic ważnego się nie robiło bez pośrednictwa jakiegoś żyda, bądź jawnego, bądź pokrytego płaszczem chrystyanizmu kłamanego, a więc Joś Drecz-

kier został osiłą, na której się obracały wszystkie układy między królem a hetmanem. Ten ostatni poddał się bezwarunkowo królowi, ale jednak umiał się upewnić o jego względach. Sam jeden pojechał do Lublina, gdzie pierwszy raz tylko prywatnie złożył czołobitność; tam mu padł do nóg, oświadczając, że swoją głowę mu przynosi, gotów za rozkazem jego położyć ją na rusztowaniu, jeżeli nie da się przeprosić. Ale jak się powiedziało, nie chwycił się tego kroku, aż doskonale się upewnił od otaczających króla magnatów, że wszystko co nabroił przeciwko niemu, pójdzie w zapomnienie. I w samej rzeczy, król nie mógł się pokazać twardym dla takiego, co w naddatku swojej wierności, którą uroczyście zaprzysiągł w Sławatyczach, omal że nie całą Litwę mu przynosił, Litwę, która zawsze dla domu Wazów była mniej przychylną, niż inne prowincye rzeczypospolitej.

Nim nastąpiło to uroczyste pojednanie się króla z hetmanem, a pokąd trwały jeszcze układy, które to pojednanie przygotowywały, już Dreczkier pokazał się i czynnym i zręcznym. Wszelkie listy hetmana do członków generalności, i tych odpowiedzi, on jeden rozwoził z jednej do drugiej strony; latał z ustnemi poleceniami i zawsze się tak dobrze sprawiał, że skarbił sobie ufność i względy wszystkich przywódców partyi narodowej, tak dalece, że

nawet Rewera Potocki, głośny z nienawiści jaką miał dla całkowitego plemienia żydowskiego, oddawał sprawiedliwość jego zasługom. Później, to jest kiedy hetman Gąsiewski akces do konfederacji Ty-szowieckiej podpisał w swoim i wojska swojego imieniu, Joś Dreczkier jeszcze wyżej postąpił, bo nie tylko panów rady, ale samego króla pozyskał względem, dając mu dowód największy jaki żyd dać może, że pokłada wiarę w jego szczęście. Nie wahał się bowiem wejść w umowę z generalnością o przyjęcie na siebie obowiązku dostarczania niezwłocznie dla wojska polskiego potrzebnych koni i innych rekwizytów, na których mu zbywało, warując sobie opłatę swojej należności dopiero po uspokojeniu Rzeczypospolitej. Prawda, że przy jednym ogniu, jak mówi przysłowie, dwie pieczenie chciał upiec, bo co go najwięcej skłoniło do borgowania Polakom, to właśnie że na nich chciał odzyskać sumy, należne mu od Szwedów, a które miał za przepadłe. I w umowie, jaką zawarł na te liwerunki z komisarzami królewskimi, zrobił ustępstwo tych sum dla skarbu Rzeczypospolitej, zastrzegając sobie ich zwrot z ekonomów koronnych po ukończonej wojnie. Już więc odtąd Joś Dreczkier stał się najgorliwszym sługą partyi narodowej, gdyż był z nią tak związany, że o ile jej pomyślność zapewniała mu niezmiernie bogactwo, o tyle jej upadek przyprowadziłby go do zu-

pełnego ubóstwa; nie więc dziwnego, że skwapliwie spieszył na spotkanie króla. A panowie rady i sam król przychylnem skinieniem głowy i spojrzeniem uprzejmem dawali mu poznać, że są mu życzliwi.

Król ze swoim poczem udał się do klasztoru Ojców Bazylianów, gdzie mu hetman sporządził kwatery, a to dlatego, że gdy król, mając przyjąć liczne obywatelstwo, skupione w Brześciu dla odnowienia jemu wierności, potrzebował sali obszernej, więc przeznaczył mu tę, gdzie przed trzydziestu laty odbywał się sobór, na którym dzieło zjednoczenia dwóch Kościołów, przerwane we Florencyi, dało się dokonać w Brześciu za gorliwą usilnością Ojców zachodnich i wschodnich \*).

Jednak król nie poszedł do komnat jemu prze-

---

\*) Rzecz dziwna! Społeczność polska słusznie była obwinioną o tego ducha niezgody, który nakoniec śmierć jej zadał. A jednak w niej dały się skutecznie dwa najdziwniejsze zjednoczenia, na stanowisku politycznym dwóch narodów obcego pochodzenia, a na stanowisku religijnym dwóch wyznań dotąd sobie przeciwnych. A co dziwniejsze, jest-to fakt, nad którym żaden dziejopisarz ani narodowy, ani obcy się nie zastanowił.



znaczonych, ale stanął przed cerkwią Stauropigialną, której klasztor był attynencyą. U podwoi świątyni Pańskiej, na czele duchowieństwa, z krzyżem i mową, przyjął króla wielebny Atanazy Kiniewicz, biskup Włodzimierski a opat Brzeski, i zaprosił go do wysłuchania dziękczynnego Molebenu za jego szczęśliwy powrót do osierocalej tak długo ojczyzny. Pobożny król ukląkł przed carskimi wrotami, i klęcząc, jednoczył głos swój ze śpiewem zakonników i kornego ludu. A dopiero po ukończonem nabożeństwie, za przewodem biskupa, z panami rady i swoim dworem, przez zakrystyę dostał się do sobornej sali, przy której były komnaty jemu przeznaczone, a gdzie już hetman czekał go z obiadem.

Około dwóchset panów i szlachty siadło za stołem królewskim. W dawnych czasach uczta nie była jak teraz zbiorem ludzi innego celu nie mających, tylko nakarmienie i nabawienie siebie wydatkiem jednego. Zawsze do niej mieszały się jakieś wyższe cele, odnoszące się bądź do losu prywatnej rodziny, bądź czasem do dobra całego kraju. Na niej zawiązywały się małżeństwa, zjednoczenia powaśnionych domów, umowy między stronnictwami, kierunek następnych sejmików poselskich i deputackich. Ztąd prowadzenie uczty wymagało od gospodarza pewnej wprawy i zręczności, w braku których jej cel byłby zupełnie chybiony. Uczta nie była wyłącznie bie-

siadą, ale zgromadzeniem w jakimś poważnym celu zebranem; wszystko w niej było ważne, a tem samem pewnym prawidłom uległe — prawidłom, których zaniedbanie niezawodnie ściągnęłoby (niechęć i gniew przynajmniej jakiejś części towarzystwa \*). Jeżeli przyjmowanie nawet prywatnych gości takiej ostrożności wymagało ze strony gospodarza, cóż dopiero, kiedy miał szczęście ugaszczać pana i ojca narodu? Hetman Gąsiewski z każdego względu był mistrzem tej wówczas tak znaczącej nauki, i to mu dawało

---

\*) Ta etykietalność wzajemna między gospodarzem a gośćmi nawiedzającymi go, zachowywała się w naszym obywatelstwie jakiś czas nawet po podziale kraju. Kto się w czemkolwiek z nią omijał, uchodził za prostaka. Dający więc ucztę, nie spuszczał się na własne doświadczenie, zawsze się starał mieć na niej przyjaciela świadomego doskonale tych prawideł, a przytomnego, bez którego rady ani kroku nie robił. Ten układał porządek toastów, tańca polskiego, a nawet jakie i komu z kolei miał grzeczności powiedzieć. Sam jeszcze znałem ośobiście kilku takich mistrzów ucztowych, ani możnych, ani zaszczyconych urzędem, o których przyjaźń magnaci się starali, ażeby ich mieć gotowych, ile razy im wypadało zgromadzić u siebie obywateli. Kto nie zaopatrzył się podobnym mistrzem, narażał się na waśnię z swoimi gośćmi i niechęć obywatelstwa.

tyle popularności w narodzie, ile jego czyny rycerskie wywyższyły jego sławę nad wszystkich wodzów litewskich, że aż uwieńczone zostały wielką buławą. Dał tego dowód na tej uczcie Brzeskiej, której pamięć dotąd jeszcze się zachowuje w podaniach niektórych starodawnych szlacheckich domów na Litwie, gdyż węzeł zgody między królem a szlachtą Litewską, dotąd mu przeciwną, dopiero zawiązany, tak się tam zacisnął, że nim się uczta skończyła, jużby król nawet w Małej Polsce wierniejszego i więcej poświęconego dla siebie poddaństwa nie znalazł.

Wedle obyczaju polskiego, w przytomności króla, innego uroczystego zdrowia oprócz królewskiego nie obchodzonego kielichem. Szlachta siedząca za stołem, jeden za zdrowie drugiego spełniał kielich niewidocznie, dając mu poznać lekkim skinieniem głowy swoją życzliwość. Ale kiedy hetman przy kończącym się obiedzie przystąpił do króla z kielichem, i klęcząc go wypróżnił za Najjaśniejszego zdrowie, było widzieć zapał szlachty, jak klękała przed królem, prosząc o jego ojcowskie błogosławieństwo; jak mu przysięgała, że Szwedów wymiecie co do nogi za jego przywództwem, i jak go przeproszała, że przez czas jakiś ulegała Szwedom, nie z powodu jakiejś skłonności, ale że w tych zamięszaniach była zwątpiła o szczęściu prawego swojego monarchy, którego Bóg nakoniec powrócił, zmiękczonej jej gorącami modłami.

Król okazał się i rozczulonym i uradowanym, zawierając poniekąd nowe przymierze ze swoimi poddanymi. Oświadczył im, że nawet w ciągu swojego wygnania nigdy nie wątpił o ich przywiązaniu dla siebie; że nikomu za złe nie poczytuje, iż dla osobistego bezpieczeństwa ulegał okolicznościom, a wszystko co się robiło w jego niebytności przeciwko niemu, już jest zapomniane, i tylko zasługi miłych poddanych nigdy mu nie wyjdą z pamięci. Jeżeli jeszcze ma między nimi jakiego przeciwnika, nie tylko, że przeciw niemu nie czuje sierzdystości, ale niczego nie pragnie, tylko przycisnąć go do swojego ojcowskiego łona. Nakoniec powiedział im:

— Jutro powracam do obozu, a ztamtąd za natchnieniem Bożem pośpieszę, przy dzielnej pomocy mojego rycerstwa, oswobodzić resztę kraju. Resztę tego dnia z wami chcę przepędzić.

Temi słowy do reszty zniewoliwszy szlachtę, wstał od stołu wraz ze wszystkimi biesiadującymi, i poszedł z niemi na drugi koniec sali.

## ROZDZIAŁ XXII.

Podczas gdy hajducy i pajuki hetmańskie wynosili stoły, i składali ich nakrycie, król rozmawiał z wodzami, a szlachta oświecona, przyrodzoną Polakom delikatnością trochę opodal od nich stała, żeby nie przeszkadzać poufnej rozmowie.

Hetman między innemi, których przybliżał do łaski królewskiej, przedstawił mu tego samego Ogińskiego, któremu jednemu się udało ze swoją chorągwią ocalić od klęski szwedzkiej przy Potuszy. Kiedy on padł do nóg królowi, ten mu powiedział:

— Wiem od rycerza Lizdejki, jak mężnie popisałeś się waszmość pod Potuszą; dzielność wszędzie gdziekolwiek się okaże, zasługuje na szacunek mę-

zów rycerskich. Tuszę, że wkrótce waszmości męstwo stanie się pożytecznem dla nas i dla kraju.

— Najjaśniejszy panie—na to Ogiński — co do dzielności, jaką mi łaskawie przyznaje rycerz Lizdejko, jemu samemu winienem tę pochwałę zwrócić. Bo jeżeli z pod Potuszy udało mi się wycofnąć z moją chorągwią, którą Bóg zachował dla usług Waszej Królewskiej Mości, to jedynie nastąpiło, że rycerz Lizdejko, jako prawy obywatel obrócił gonitwę przeciwko obcym, a swoich ziomków zaniechał o zgubę przyprowadzić. Teraz dopiero, walcząc za moim prawym panem, da Bóg, że zasłużę na pochwały Waszej Królewskiej Mości.

— Nie, nie, Najjaśniejszy Panie — odezwał się rycerz Lizdejko—pan Ogiński mówi to przez skromność, która zawsze towarzyszy prawdziwej dzielności. Ale ja winienem tę sprawiedliwość oddać, że walczyłem jak lew przeciwko mnie, i gdyby Szwedzi byli poszli za jego radą, ich strata skończyłaby się na tych, co dali się złowić w podziemnym kanale, a co tylko było w otwartym polu, ochroniłoby się od naszej pogoni, tak jak jego oddział. Ale wierzę, że to jest niczem w porównaniu tego, co zrobi walcząc za Waszą Królewską Mością. Bo jeżeli pokazał się tak dzielny dla złej sprawy, cóż dopiero, jak wystąpi w sprawie narodu i prawego pana!

— Ani o tem wątpię—odrzekł król—już nazwisko które nosi, jest mi na to dostateczną rękojmią. Ojciec waszmości, pan wojewoda Trocki, był kiedyś moim przyjacielem. Wielce mię boli, że nie widzę go między tymi, z którymi tu się pojednałem. Rad-bym, żeby go kto upewnił, że jakkolwiek się opóźnia, zawsze go przyjmę z otwartymi ramionami.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł hetman Gąsiewski—pan wojewoda Trocki długo się opierał najazdowi szwedzkiemu, i sumiennie winienem dać mu świadectwo, że dłużej od nas dotrwał w wierności dla Waszej Królewskiej Mości. Dopiero kiedy już wszelką nadzieję utracił, poszedł za naszym przykładem, który radzibyśmy naszym żywotem zetrzeć z pamięci ludzkiej. Teraz nie śmie oczów pokazać przed naszym pomazańcem. W tem jest mniej śmiałym od nas winniejszych od niego, a którzy jednak tulimy się do naszego miłosiernego króla.

— I wielce waszmościom jesteście wdzięczni, żeście poznali nasz sposób myślenia. Zresztą oświadczyliśmy wam dopiero, że tylko zasługi naszych miłych poddanych nigdy nam nie wyjdą z pamięci, a o żadnego z nich przewinieniu wiedzieć nie chcemy. Pan wojewoda Trocki może być pewny, że jak do nas przybędzie, i my, i ci co pragną zachować naszą łaskę, o niczem przed nim mówić nie będziemy, tylko o dawnych jego usługach dla Rzeczypospolitej, i w

obozach i na sejmach. I naszym jest życzeniem, mości wojewodzie, byście o tem uwiadomili waszego rodzica.

— Po tak łaskawej dla mego ojca odezwie Waszej Królewskiej Mości, jakkolwiek i wiekiem i pracą są stargane jego siły, z młodzieńczą rześkością będzie szukał naszego pana, żeby mu paść do nóg.

— A gdzie teraz się znajduje?

— W Wilnie, Najjaśniejszy Panie.

— A więc waszmości polecam zawieźć mu nasze przebaczenie królewskie. Powiedz mu, że go zapraszamy, ażeby jak dawniej, tak i teraz był zawsze naszą wierną radą.

Ogiński powtórnie padł do nóg królowi, który mu podał ręce do pocałowania.

Po krótkiem milczeniu, król obracając się do pana Gąsiewskiego, rzekł:

— Mości hetmanie, możemy z sobą pomówić otwarcie, bo tyle ufamy naszym miłym poddanym tu zebranych, że nic tajnego przed nimi mieć nie chcemy. Mamy dowody wierności naszej szlachty Nowogrodzkiej i Brzeskiej. Ale w nich dopiero cząstkę Litwy widzimy. Do waszmości należy resztę pojednać z królem swoim. Tyle pokładamy nadziei i w świętość naszej sprawy, i w pomoc Boga, którego ła-

ski od niejakiego czasu tak świetne mamy dowody, że śmiało puszczać w wodze nadziei, iż wkrótce ci obłąkani Litwini, których radziłyśmy jak najspieszniej przytulić do naszego ojcowskiego łona, dadzą się przekonać, że szczęście i sława narodu są ściśle połączone ze szczęściem i sławą jego prawego pana. Lecz jeżeli ta nadzieja nas pokrzepia w naszym zawodzie, ona nas nie zaślepia. Tać przed sobą nie możemy, że kilku znakomitych panów litewskich, statecznych w niechęci przeciwko Majestatowi naszemu, a nie zrażonych klęskami, które od niejakiego czasu Bóg dopuścił na Szwedów przez walecznych a wiernych naszych poddanych, dotąd im służą i nie przestają im zanosić w ofierze i zdrowia i dóbr swoich. Północne województwa Litewskie zwłaszcza są zamieszkałe przez ich stronników. Przewidujemy, mości hetmanie, że będziesz miał wiele do czynienia, nim Żmujdz, Trockie i Wileńskie przyprowadzisz do posłuszeństwa; że będziesz potrzebował całego swojego wojska, dla prowadzenia wojny domowej, ze wszystkich najstraszniejszych. I to nam na rękę nie idzie, bo naszym jest zamiarem jutro wyruszyć z rycerstwem ku Mazowszu, dla odzyskania naszej stolicy. Waszmości wojsko bardzoby nam było przydatne do tych zapasów, które nas czekają ze Szwedami, gdyż wiemy, że oni wszystkie siły swoje nateżą, dla zachowania Warszawy, a jednak nie śmiemy osłabiać waszmościnego obozu, który co kroku

może będzie miał do czynienia z nieprzyjacielem licznym, a mogącym ciągle posiłki mieć z Inflant.

— Nie wierz temu, Najjaśniejszy Panie. Nieprzyjaciel niewiele może rachować na Litwę; wszakże dotąd miałem najwyższe dowództwo nad wszystkimi siłami Litwy, połączonej z królem szwedzkim. Co w nich było najsposzobniejszego do wojny, wraz ze mną odnowiło przysięgę wierności Waszej Królewskiej Mości. Reszta zajmuje zamki rozsypane po kraju. Niektóre z nich bezwzględnie są obronne, tak, że długie oblężenie mogłyby wytrzymać; jak np. Troki, Wilno, Birże, Kiejdany, Jurbory i inne; ale niektóre za mojem pokazaniem się otworzą bramy. Pierwsze Wilno, gdzie mój zięć Oskierka w mojem imieniu daje rozkazy, toż i inne, które nie będą głuche na głos swojego hetmana. Zamki księcia Radziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, jedne mogą dotrwać w oporze, ale i na to znajdzie się rada. Wreszcie ludzie zamknięci w murach, moim działaniom przeszkody skutecznej nie postawią. Mam tu cztery tysiące żołnierza z sobą; zostawię przy sobie moją chorągiew hetmańską i pułk lekki Tatarów, co wszystko pięciuset głów nie przenosi i z niemi pójdę uspokoić Litwę, a resztę mojego wojska oddaję Waszej Królewskiej Mości, żeby wraz z Małopolanami i Rusinami pośpieszyli wprowadzić do swojego zamku naszego pomazańca. A co do mnie, tylko z Ra-

dziwiłłowską milicyą spodziewam się mieć do czynienia.

Tu się wnięszął do rozmowy pan Jerzy Lubomirski, hetman polny koronny.

— Jeżeli— rzekł — opór księcia Bogusława ma być jedyną przeszkodą do zupełnego uspokojenia Litwy, mogę powinszować Waszej Królewskiej Mości i nam wszystkim, a zwłaszcza jegomości hetmanowi wielkiemu Litewskiemu, zupełnej pomyślności bez krwi przelewu. Gdyż temi dniami jeden szlachcic, z liczby tych co są posłuszni rycerzowi Lizdejce, który niedawno zaciągnął się do jego chorągwi, a już dzielnie pokazał się pod Potuszą, nader pocieszające wiadomości przywiózł mi z tej strony. O tem Wasza Królewska Mość łatwo możesz się przekonać, gdyż go w tej sali widzę między naszym rycerstwem. Nazwisko jego Odyniec znane jest na Litwie. On był dworzaniem księcia marszałka wielkiego Litewskiego, mojego powinowatego, a niegdyś ścisłego przyjaciela. Nie tylko że do nas przystając nie poszedł na przekór jego woli, a poniekąd był do tego od niego samego upoważnionym. Długośmy rozmawiali ze sobą semotis arbitris dnia wczorajszego, a dziś zabrałem się jurata fide to, co mi powiedział, komunikować Waszej Królewskiej Mości, jako rzecz największej wagi w niniejszych okolicznościach.

— I cóż waszmości powiedział, mości hetmanie polny koronny?

— Oto, że pan marszałek Litewski jemu zalecił mnie szukać, żeby oświadczyć w jego imieniu, że nie jest tak dalece związany ze Szwedami, aby ich nie mógł opuścić, byle był pewny, że dawna łaska Waszej Królewskiej Mości przy zupełnem przebaczeniu zostanie mu wróconą.

— O tem nie powinien wątpić. A gdyby nawet mściwość była w naszym przyrodzeniu, on jeden nie miałby powodu jej się obawiać. On nie wie jeszcze, ile mamy obowiązków dla jego domu; czas byście wszyscy o tem wiedzieli.— Rycerzu Lizdejko, kłamane nazwisko, któreś dla siebie przybrał, tak zostało uświetnione twojemi bohaterskimi czynami, że bezwątpienia musi być dla ciebie drogim. Wszakże musisz je zrzucić z siebie i powrócić do twojego własnego, w dziejach naszego narodu już tylekrotnie okrytego chwałą, a które nowym blaskiem oświetliłeś. Znieważyłbyś popioły twoich wielkich przodków, gdybyś dłużej tał ich nazwisko, tem więcej, że pragniemy zbliżyć się do twojego ojca, który tem chętniej powróci do swoich obowiązków, gdy się dowie, że jego syn szlachetnym przykładem do tego utorował mu drogę.

Tu król dał znak, żeby rycerstwo i szlachta

przy drugim końcu sali zebrana do niego się przybliżyła. A gdy rozkaz pański został spełniony:

— Mości panowie—rzekł do nich, pokazując rycerza Lizdejkę — oto macie przed sobą Księcia Olbrachta Radziwiłła, jedyne go syna księcia marszałka wielkiego Litewskiego. Ten zacny młodzieniec, gdy kończył nauki pod opieką dostojnego wuja elektora, Falcgrafa Reńskiego, nie był głuchy na jęki swojej rodzinnej ziemi. A lubo wszystko jej zapowiadało nieodzowny upadek, kiedyśmy żyli na wygnaniu, a wszyscy nasi poddani już karki byli uchylili przed zwycięzcą, tak że nam nic nie zostawało, oprócz kilku walecznych ale mało licznych oddziałów, których wodzowie tu stoją między nami, — oni jedni nigdy zachwiać się nie dali w wierności swojej dla rzeczypospolitej i Majestatu naszego, ani utracili nadziei naszego powrotu, który można powiedzieć, że za ich sprawą nastąpił. Bo i konfederacja Tyszowiecka skutecznie by się podnieść nie mogła, gdyby te oddziały, rozsypane po kraju, nie były jej zapewniły gotowych nasion męźnych i doświadczonych wojowników. Nim nadejdzie pora, że będziemy mogli naszą wdzięczność wam okazać, przyjmcie, dzielni wodzowie, wywołani od najeźdźców, nasze podziękowanie, — i dowiedzcie się od waszego króla, kim jest ten wasz kolega, który waszą ufność tak umiał pozyskać, że ile razy który z waszych przypadkiem się z nim złączył, zawsze

z własnej chęci był mu posłusznym. On, lubo cały jego dom, wraz z jego rodzicem, ulegli zwyciężkim Szwedom i wierność swoją do ich króla przenieśli, pospołu z wami ani chwili nie zwątpił o świętości naszej sprawy. Kiedy sami na wygnaniu, w gościnnym Szlązku, zaczynaliśmy upadać na duchu, widząc jak wszystko się od nas odwróciło, jakież było nasze radosne zadziwienie, gdy do nas przybył ten książe ze swoim nauczycielem, uczonym Oldenkopffem, ofiarując nam swoją wierność i usługi. Zapal jego młodzieńczy ożywił w nas już gasnącą nadzieję. Niedługo u nas się zatrzymał; na granicy Szlązka z Polską zebrał oddział ochotników, utaił swoje rodowite nazwisko, a co pod imieniem Lizdejki dokazywał, wam wszystkim jest wiadomo. Od niego zaczęć opłacać dług wdzięczności, jaką wam wszystkim winienem, dzielni dowódcy oddziałów, którzy walczyliście za prawem waszego króla od wszystkich opuszczonego. Generalstwo artylerji Litewskiej od dwóch lat wakuje. Tobie, mości książe Olbrachcie, to dostojęństwo przeznaczam, i w całym naszym wojsku ani jeden nie znajdzie się taki, któryby nie był uradowany tym naszym wyborem, który zadość czynimy i jemu i sobie.

Książe Olbracht ukląkł przed królem i ucałował rękę dobroczynną swojego pana, a wszyscy przytomni w tej sali połączyli swoje dziękczynienia do

tej oznaki wdzięczności dla ulubionego i zasłużonego kolegi.

Na znak dany przez króla, książę powstał i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, w tej chwili jestem szczęśliwszy łaską Waszej Królewskiej Mości, niż inni moi koledzy, ale ciężkim grzechem obciążylbym moją duszę, gdybym przyznał się do wyższych zasług nad te, które oni nabyli nietylko pospółu zemną, ale i wprzód, nim miałem zaszczyt być ich kolegą. Jeszcze z moim Oldenkopfem, który potem pod imieniem Domarata był moim nieodstępnym towarzyszem w każdej potrzebie, śleczyłem nad książkami bez pożytku dla Waszej Królewskiej Mości, kiedy już oni, walcząc za jego sławę, byli postrachem Szwedów i ich sprzymierzeńców. Jeżeli ja, który poszedłem za ich przykładem, tak świetną otrzymuję nagrodę, na jakąż oni nie zasługują, którzy mi ten przykład dali? Nawet ta moja skwapliwość do opuszczenia dworu mojego wuja, by się z nimi połączyć, nie jest w zupełności moją iścizną. Miłość, jaką czuję dla panującego nad naszą rzecząpospolitą szlachecką, jest skutkiem wychowania, jakie przyjąłem w rodzicielskim domu od czasu niemowlęstwa, a którą przy wyższych naukach rozplómił mój poczciwy Oldenkopf, który tu będąc przytomnym, niech raczy przyjąć hołd wdzięczności, jaki w obliczu sterników

narodu, w przytomności samego króla, ośmielam się mu składać. A jeszcze jest inny, prawdziwie bohaterski sługa Waszej Królewskiej Mości, który winien wziąć udział w pochwałach i łasce, któremi dopiero, miłościwy królu, raczyłeś mnie zaszczyścić, a który wraz zemną na Szlązku złożył także hołd wiernego poddaństwa. Wiadomo już Waszej Królewskiej Mości, że kiedy jeszcze się wahałem, czy mam opuścić Manheim, by stanąć za moim panem bez przyzwolenia moich rodziców, on to wahanie moje rozproszył, przekonywając mnie, że chwili nie mam do stracenia. Winieniem wyznać, że on umyślnie się udał się do Manheimu, by mnie ztamtąd wywieść na grunt ojczysty. On mi dopomógł zebrać hufiec ochotników, na czele którego miałem szczęście zasłużyć na względy Waszej Królewskiej Mości. On podzielał wszystkie moje trudy, i to pewna, że Bóg przy szczęściu Waszej Królewskiej Mości ani jednym mnie nie pobłogosławił zwycięstwem, żeby z niego słuszny udział jemu nie przynależał. A pod Potuszą zręczny jego obrót to sprawił, że całe wojsko Redynga, przez nas na niego rzucone, broń złożyło przed naszymi orłami. Oto masz przed sobą, miłościwy panie, tego Gaskolda, a raczej kniazia Dorohostajskiego, który od rodzzonego swojego stryja, wojewody Witebskiego, najzaciętszego wroga Waszej Królewskiej Mości



i skonfederowanej Rzeczypospolitej, został wyzuty z majątku i z imienia. A chociaż na nieszczęście stryj jego jest moim szwagrem, błagam przeciwko niemu sprawiedliwości u Majestatu twojego, za moim przyjacielem i bratem broni.

— Mości generale artylerji Litewskiej, te okoliczności są nam wiadome. Radzibyśmy wszystkich dotąd niechętnych nam poddanych przycisnąć do naszego ojcowskiego łona, i przyjąć ich, jak ojciec przypowieści ewangelicznej marnotrawnego syna. Puszczamy w niepamięć to, czego przeciwko naszej osobie się dopuścili; ale wojewoda Witebski w innym jest położeniu. Wahamy się w przyznaniu sobie prawa, odpuszczać krzywdy, jakie nie przestawał wyrządzać naszym poddanym; iluż ich padło ofiarą jego okrucieństwa! Ze wzgardą wszelkich praw ludzkości i honoru rycerskiego, bezbronnych jeńców mordował, których krew o pomstę do Boga woła. Bądź pewny, mości generale artylerji, i waszność, mościu kniazii Wojciechu, że swego czasu sprawiedliwości otrzymacie. W każdym względzie wojewoda Witebski jest jedyny z pomiędzy wszystkich przestępców stanu, który bezwarunkowego przebaczenia obiecywać sobie nie może. A nam zostawcie układ tych warunków.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Ogar — z przeproszeniem księcia generała artylerji, jego niegodziwy szwagier nie zasługuje ani na bezwarunko-

we, ani na warunkowe przebaczenie Waszej Królewskiej Mości. Dla tego człowieka nie ma nic świętego. I my nie baranki; okrzyczano nas za okrutników. Ale cóż było robić? żyliśmy z tego, co nam udawało się orężem zdobyć; rabunek był naszym całkowitym żołdem; nasze kulbaki były dla nas jedynym przytułkiem; nie mieliśmy ani zamków, ani okopanych schronień do umieszczenia naszych jeńców. A że naszych Szwedzi i ich przyjaciele wieszali, nie obciążało naszego sumienia, że czasem oddawaliśmy za swoje. Ale bez potrzeby nigdyśmy się nie pastwili nad nieprzyjacielem bezbronnym. Po zdobyciu Dolskiego zamku, rycerz Lizdejko mnie go oddał; czyż choć jeden z podwładnych i poddanych kniazia wojewody z mojej strony najmniejszej krzywdy doświadczył? A kiedy on piekielnym konceptem wyparował mnie z zamku, wszystkich moich chorych powywieszał. To potwór, to zwierz. Jeżeli jemu jaki członek zostanie w całości, to już w Rzeczypospolitej pożegnać się trzeba ze sprawiedliwością.

Na ten wyskok żołnierski król się zmarszczył, a Ogar, poznawszy przecie, że za daleko się posunął, cofnął się między szlachtę.

Królewskie oblicze wkrótce się wypogodziło; obrócił mowę do szlachty i rzekł:

— Mościwi panowie, dotąd dzielni wojownicy, którzy jeszcze przed zawiązaniem konfederacji Ty-

szowieckiej na czele swych ochotników opierali się Szwedom, tają swoje rodosłowne nazwiska. Jeżeli nie chcieli się do nich przyznawać, to z obawy, żeby nie były splamione haniebną śmiercią, jaką najezdnik im przeznaczał, gdyby żywcem wpadli w jego ręce. Dziś podobna obawa byłaby bezzasadną, bo nasze zamki małopolskie tak są pozapełniane jeńcami szwedzkiemi, między którymi nie mało ludzi stopniowych, że przez myśl nie przejdzie żadnemu dowódcy szwedzkiemu pastwić się na kimbaż z naszych, któryby się dostał do jego niewoli, wiedząc dobrze, że zdradzieckie zamordowanie każdego z naszych odwetowaneby było z nadatkiem. A zresztą, kiedy po tylu niefortunnych kolejach doczekaliśmy się stateczności w powodzeniu, kiedy już nadeszła pora, że trzeba pomyśleć o wynagrodzeniu tych, co z takim poświęceniem bronili naszej sprawy, niechże przynajmniej wiemy, kogo mamy przypuścić do udziału łask naszych. Według praw tej Rzeczypospolitej, których jesteśmy stróżem, tylko szlachcic jest zdolny do piastowania urzędu, lub otrzymania królewskiej, a plebejusz ma tylko prawo domagać się o klejnot szlachecki, który jego zasługom nie może być odmówiony. Oświećcie nas, mości panowie dowódcy oddziałów wolnych ochotników, kogo z was mamy uszlachcić? a kogo obdarzyć chlebem przeznaczonym dla zasłużonej szlachty? Tyleście wstawili kłamane wasze nazwiska, że mogli się już stać dla was drogiemi; wszakże czas, że-

byście wrócili do własnych, już od przodków waszych wstawionych, idąc za przykładem księcia Radziwiłła i kniazia Dorohostajskiego.

Najpierwszy przybliżył się do króla Ogar. Nizko schyliwszy głowę rzekł:

— Najjaśniejszy panie, poddając się woli Waszej Królewskiej Mości, żegnam na zawsze nazwisko Ogara odemnie wymyślane, żeby mi przypominało moje powołanie, kłaniania Szwedów, jak ogary dzika. Teraz staję w mojej własnej postaci, a błagam Waszą Królewską Mość o instancję do mojego ojca, żeby mi odpuścił, że na kołku zawiesiłem nazwisko, z którego tak się pyszni. A przecie byłoby mu jeszcze dotkliwiej, gdybym z mitrą książęcą był przyczepiony do szubienicy, na wypadek wpadnięcia w niewolę szwedzką. Mój ojciec ma zaszczyt być znanym Waszej Królewskiej Mości; był kiedyś pułkownikiem chorągwi świętej pamięci króla Zygmunta III, a teraz jest podkomorzym województwa Braclawskiego.

— Jaktol waszmość miałbyś być synem księcia Czetwertyńskiego?

— Nie inaczej, Najjaśniejszy Panie. Mój ojciec, zawsze wierny poddany i sługa Waszej Królewskiej Mości, nie zważając na swój wiek podeszły, opierał się ze swojemi nadwornemi żołnierzami Chmielnickiemu, a zawsze nieszczęśliwie, aż nakoniec został jego jeńcem. A jednak ów srogi najezdnik szlachty z nim

po ludzku postąpił, bo wiedział, że był od niego do chrztu trzymanym, co było mojemu ojcu wyszło z pamięci. Żadnej mu szkody ani na osobie, ani na majątku nie wyrządził, tylko, że wymógł na nim podpis, że spokojnie siedzieć będzie w swoim zamku Kitajgrodzkim, i że już nie będzie mięszał się do wojny. A sam przykazał swojemu kozactwu, żeby żadnych jego dóbr nie zajmowało. U nas wyznawców wschodniego obrządku, kmotrostwo jest wielką rzeczą, kozacy w okolo nas wszystko pustoszyli, ale co tylko należało do ojca chrzestnego ich hetmana, było dla nich święte jak sprzęt cerkiewny. To też zamek Kitajgrodzki był schronieniem wiernych Waszej Królewskiej Mości obywatelów, wystawionych nasztych rozbrykanego poddaństwa. Sam hetman razu jednego przybył do nas w gościa. Mój ojciec go przyjął jak zwyczajnie się przyjmuje takiego, którego wola jest najwyższem prawem. A to był człowiek, któremu straszno było w oczy spojrzeć. Jeszcze to wtedy chwalił świętej pamięci króla III, a zwłaszcza króla Władysława, dodając, że gdyby ten król nie był umarł, nigdyby nie powstał na Rzeczpospolitą. Ale że pod panowaniem Waszej Królewskiej Mości, nie ma rady dla narodu ruskiego innej, jedno tylko w mieczu. Wszyscy przytomni na to milczeli, ja że już byłem wyrostkiem, śmiałem mu się oprzeć, czem nie mało strachu nabawiłem mojego ojca, i od niego zostałem strofowanym, że się wdaję w nieswoje rze-

czy. A hetman wtedy powiedział: — kniaziu podkomorzy, a mój ojciec chrzestny, ty jesteś kniazem ruskim i jednej z nami wiary. Dlatego zlachy co otaczają króla nie dopuszczają ciebie do senatu. A ja i moi ciebie szanujemy, bo wiemy, że ty słowa nam zaprzysiężonego nie złamiesz, i przeciwko nam niczego knować nie będziesz. Ale pilnuj swojego syna, bo jak widzę już go zlachy obalamucili. A jak do nich przystanie, a moi go złapią, to nie zważając na nasze kumostwo a jego mitrę, bez najmniejszego wahania go powieszają. — To kiedy hetman nas odjechał, pilnowano mnie w domu, żebym nie uciekł, a nie upilnowano. Bo udało mi się podmówić kilkunastu dworskich, i ze trzydziestu szlachty czynszowej w Kitajgrodzkiej włości osiadłych, i jednej nocy wypróżniłiśmy i stajnię i zbrojownię ojcowską, a potem w dalszy świat. A że pan Bogdan zapowiedział, co mnie czeka jeżeli mnie złapią, to i ja jego mołojców nie bardzo oszczędzał. Człowiek się wdroył do wojaczki, pięć lat nie rozstając się z kulbaką, trzeba być wielkim gapiem, żeby się nie nauczyć rzemiosła, a tak się do niego przywykło, że aż strach pomyśleć, że może nastąpić pokój w Rzeczypospolitej, i że przyjdzie człowiekowi kopy liczyć w Kitajgrodzie. Kiedy o tem pomyśli, aż mrowie po ciele przechodzą. Niech powie rycerz Lizdejko, a raczej książę generał artylerji, czy widział, żebym nie złamał nieprzyjaciela, ile razy na niego natarłem. Toć to tak się ludzie

przemieniali w mojej chorągwi, że z tych kilkadziesiąt co ich wyprowadziłem z domu, ledwo kilku zostaje, a jednak chorągiew lepiej jest pokryta, niż kiedy wyszła z Kitajgradu. U nas o żołnierza nietrudno. A dobrze policzywszy, za każdego z moich com utracił, pewnie dziesięciu nieprzyjaciół poległo. Ani kozak, ani Tatarzyn, ani Szwed, ani Węgier nigdy mnie nie zastraszył, a jednak baby mnie zwojowały.

— A to jak?—rzekł król śmiejąc się.

— Nieinaczej, Najjaśniejszy panie, a to tak się stało. Książę, terażniejszy generał artylerji, miał nad nami dowództwo, kiedyśmy zdobyli zamek Dolski; rzecz poszła gładko. Książę mnie go zdał, a sam poszedł. Myślę sobie, człowiek przywykł wojować w czystym polu, a nie wie czy potrafi bronić się za wałami; ale cóż robić? co wyższy każe, niższy musi brać na kiel, żeby to wypełnić, a zresztą były tam złożone skarby, których połowa po Bożemu jest własnością naszego Gaskolda, alias kniazia Wojerecha Dorohostajskiego, w którego imieniu byłem objął zarząd zamku i dóbr do niego przynależących. Książę rzekł do mnie:—Ogarze, połowa tych skarbów, jako własność mojego stryja, winna być świętą i nienaruszoną, a druga, że jest moją, tobie ją ofiaruję na utrzymanie twoich żołnierzy. Było z nich coś na wierzchu, ale ludzie mówili, że było tego mnóstwo zakopane. Czy człowiek trafi do Kitajgradu czy nie,

dobrawszy się do takich bogactw o to nie wieleby dbał. Powiedziałem sobie: będę się trzymał do upadłego, a wcześniej czy później trafię na miejsce, gdzie te skarby są złożone: na milicyę kniazia wojewody mogłem rachować, bo ona w całkowitości przeszła była na stronę jego synowca. To też kiedy napadł książę wojewoda na mnie z siłą o kilka razy większą od mojej, grzecznie ofiarował mi za poddanie się, żywcem obdrzeć ze skóry; ja mu nabiłem tyle ludzi, że odstąpić musiał. Ale nazajutrz przed świtem dają mi znać, że znowu zabiera się uparty wojewoda nas szturmować. Biegnę na wały, aż widzę baby uszykowane, które przystawiają drabiny. Co to jest? A do kądzieli baby! przywitać mi to rusznicą! Ale... to były żony kozaków zamkniętych ze mną. Kozacy nie słuchają, chociaż im powiedziałem, że każdemu za jedną młodycę swoją którą położy, dam dwie na wybór z całego księstwa Dolskiego, a było z czego wybierać, bo kilkadziesiąt wsi należy do Dolska. Gdzie tam! kozacy już co żywo otwierają bramy swojemu dawnemu panu. Źle, zbieram moich, bo oprócz nich każdy skrewił. Już mi nie były w głowie skarby zamkowe, a tylko chciałem uwieźć moich chorych. Ale i to mi się nie udało. Bo ten utrapiony wojewoda zastąpił mi drogę z chmurą swoich rozbójników. Co złamię kupę, druga jeszcze silniejsza się szykuje. Ze wszystkich stron zostaliśmy

otoczeni. A książę Daniel sam swoich prowadził, ale jak... Koniec końcem, żebym go nie był poglaskał kulą, że aż spadł z konia, to grzeszny Wasil (bo takie jest moje imię chrzestne) byłby postąpił na Św. Bartłomieja. Jakoś człowiek skorzystał z zamieszania, że mógł przerznąć się ze swojemi, ale nie udało się chorych wyratować, których później ten poganin, jak tylko cokolwiek wylizał się z mojego strażu, kazał w przytomności swojej wywieszać. Otóż to jest, Najjaśniejszy Panie, rzetelna relacja, jak mnie baby zwojowały; bo gdyby nie one, zamek Dolski dotąd byłby w naszym ręku. Lubo da Bóg, niezadługo do nas się wróci. A wtedy może Wasza Królewska Mość mnie pozwoli skończyć mój rachunek z księciem Danielem, żeby nasz szanowny książę Wojciech nie miał potrzeby dzielić się ze stryjem, a wszystko sobie zabrał.

— Co Wasza Królewska Mość wdajesz się z tym gadułą—odezwał się książę Wojciech—jak się rozgada, nigdy z nim nie ma końca. Byle mu tylko użyć ucha, to usta mu się nie zamkną. Albo to wie jak i co powiedzieć swojemu panu?

— I owszem, książę Czetwertyński wielu nas zajął swoją relacją, o której w części nas uwiadomił książę Olbracht. A kto tak dzielnie jak on użył nam swojego ramienia, taki ma prawo żądać, byśmy mu naszego użyli ucha. Teraz na waszmość z ko-

lei wypada objawić nam swoje prawdziwe nazwisko, mości panie Burczymucha. Słuchamy, co powiesz o sobie.

— Najjaśniejszy Panie, po takich mitrach i splendorach moje szlacheckie nazwisko nienajlepiej się wyda, a jednak mój ojciec, osiadły na małej wioszczynie w okolicach Kołomyi, a cześnik Trembowelski, liczy królów między swojemi przodkami, a nie było dnia, w którymby tego nam dzieciom nie powtórzał. Moje imię Antoni, nazwisko Zapolski, a w moim klejnocie szlacheckim widzieć można koronę Świętego Stefana, która kiedyś uwieńczyła głowę jednego z moich naddziadów. Dawne te czasy gdzieś tak w kronikach są wspomniane. Otóż kiedy zaczęły się rozruchy w Rzeczypospolitej, byłem już wyrostkiem, umiałem czytać bez zająknięcia się, cokolwiek pisać, a co lepsza, jeździć konno, trafiać do celu z rusznicy lub z pistoletu i robić szabelką. A z pięciorga dzieci byłem najstarszy. Owóż tedy nasz ojciec nie wiem w jakim interesie był wyjechał do Łowa, a nas przy matce zostawił. Aż tu jednej nocy napadają na naszą wioskę siepacze Rakoczego księcia Siedmiogrodzkiego. Mój mocny Boże, co też oni narobili okrucieństw! natura się wzdryga na samo ich wspomnienie. Mało na tem, że nasz dom zrabowali do szczeru, ale zamordowali naszą matkę i wszystkie jej dzieci, że mnie jednego stary kredencarz domowy wypro-

wadził w lasy okoliczne, gdzieśmy żyli samemi koczownikami, jak święci pustelnicy. Nakoniec i kredencarz wytrzymać nie mógł nędzy; umarł, mnie sierotę zostawując na losy. W tych lasach kryli się rozbójnicy, i ja dostałem się w ich ręce. Rozbijaliśmy po całej okolicy, a że z krwi miałem jakąś zdolność, że w wielu wyprawach pokazałem się mężniejszym i roztropniejszy od innych, wkrótce zostałem od nich wybrany na naczelnika, i na większą skalę urządziłem nasze rabunki. Chciwy zemsty nad Węgrami, których prowadził Rakoczy, zaprzysiągłem mu wieczną i nieubłaganą nienawiść. Namówiłem moich rozbójników, że się przekształcili w żołnierzy Waszej Królewskiej Mości, i ogłosili się obrońcami jego świętej sprawy. O konie nie było trudno. Zabieraliśmy je wraz z ryszunkiem po domach szlacheckich, i wkrótce stanąłem na czele chorągwi ciągle wzrastającej w liczbie. A że miałem na sercu zamordowanie całej mojej rodziny przez Węgrów, których przodkowie byli poddanymi mojego przodka, wyznaję że nie było okrucieństwa, którego bym się względem nich nie dopuszczał, nie tylko ich samych, ale i tych, którzy z nimi trzymali. Nadokuczaliśmy Rakoczemu; wprzód jeszcze nim ksiązę Lubomirski, hetman polny koronny, zmusił go do pokoju. W Tyśmienicy czterystu Siedmiogrodzian, którzy mu w posiłku przyszli, napadliśmy na kwaterach nocną porą i udało nam się co do nogi ich w pień wyrznąć. Na drodze między

Zółkwią a Zamościem uchwyciliśmy jego nadwornego lekarza; kazałem go ze skóry obedrzeć i przez jednego żyda odesłałem tę skórę dobrze wyprawną Rakoczemu, z listem w którym był dla niego panegiryk za zamordowanie mojej matki i mojego rodzeństwa, a razem zapowiedzenie, że dopiero jak jego samego ze skóry obedrę, z nim się pogodzę. A chociaż przeszedłem w okrucieństwie wszystkich wodzów oddziałów, wiernych Waszej Królewskiej Mości, to wszystko com uczynił bynajmniej nie obciąża mojego sumienia, bo nie moją osobistą, ale mojej całej rodziny krzywdę miałem do pomszczenia. Odtąd to będę czynił, co Wasza Królewska Mość mi rozkaże, ale wprzód, że nie miałem innego wodza prócz siebie samego, człowiek szedł tylko za własnym instynktem; jeżeli się omylił, nie było komu go sprostować. A jednak ksiązę Olbracht, póki był rycerzem Lizdejkiem, dał mi świadectwo, że ile razy byłem z nim, umiałem mu być posłusznym, że w wielu potyczkach na jakie patrzył, nabyłem jakichś praw do łaski Waszej Królewskiej Mości.

— I wielce cenię waszmości zasługi, o których niejednokrotnie donosili nam wodzowie, pod którymi waszmość służyłeś, a mianowicie ksiązę Olbracht w raporcie, jaki nam posłał o tem wszystkim, co się stało w Potuszy. Da Bóg wkrótce, moście panie Zapolski, że będziemy mogli wiernych naszych

poddanych przekonać, ile umiemy wynagradzać tych, co z takim poświęceniem walczyli za prawami naszymi. A waszmość, mości panie Świerszczu, cóż nam o sobie powiesz?

— Ja, Najjaśniejszy Panie, nie jestem ani księciem, ani kniazem, ani koron w mojej prozapii nie widzę. Jestem sobie po prostu szlachcic karmazynowy; do mojej głowy przystaje więcej misiurka i szyszak, niż czapka, a cóż dopiero mitra lub korona, a jednak, gdyby i ta na nią spadła, jakośby się utrzymała, bo szlachcic Polski, chociaż chudy pacholek, do niej się przecie rodzi. Mój ojciec, niech go Bóg zachowuje w czerstwym zdrowiu, chociaż ani księciem ani nawet hrabią, nie jest przecie chudym pacholkiem, bo kto posiada kilkanaście wsi nad Dnieprem, a kilka w ziemi Chełmskiej, taki i między panami za możnego uchodzi. Mój ojciec, Ignacy Trypolski, starosta Trechtymirowski, ze swoimi Bośniakami i kozakami opierał się czas jakiś Chmielnikiem, ale przekonawszy się wkrótce, że z motyką słońca nie pokonać, zabrał z sobą żonę, nas dwóch wyrostków i moje dwie siostrzyczki pod opieką spis naszej wiernej milicyi, opuścił Trypol, i jakoś bez szwanku przeniósł się do zamku, który posiadał w Chełmskiem. I tam próbował popierać sprawę waszej królewskiej mości. Ale jakoś się nie wiodło ze Szwedami. Jeden po drugim szukali z niemi zgo-

dy. Goły rozboju się nie boi, ale ten co ma coś do stracenia, rad nierad musi się zgodzić z wolą Pana Boga. Mój ojciec nie mało poniósł szkody, i to mu tak się naprzvkrzyło, że idąc za przykładem panów od niego możniejszych, przysiągł na wierność królowi Szwedzkiemu, i tyle łaski u niego znalazł, że mu ten król powierzył zarząd kilku województw. Siedział tedy w Lublinie na swoim nowym urzędzie, a matka gospodarowała na wsi i nas wychowywała. Mój brat młodszy, nieco papinka, bardzo dobrze się uczył pod naszym dyrektorem, ale ja taki wstręt czułem od książki, że nigdy nie nauczyłem się czytać jak potrzeba, i dotąd z pamięci tylko się modłę, ile razy zdarza mi się być w kościele. Ale dziwny z małych lat miałem pociąg do spisy i szabelki, do ujeżdżania koni i trafiania w cel z pistoletu, pędząc konia cwałem. Nasz dyrektor cieszył się postępami w nauce mojego brata, a ze mnie miał wielką zgryzotę, że nie mógł niczego nauczyć, a że to przypisywał mojemu uporowi, często cieleśnie mnie karał. Naprzykrzyło mi się to wszystko, a że już byłem pod wąsem, a Bóg mnie obdarzył niepospolitą siłą, jednego razu, kiedy dyrektor kazał mi się położyć na stolku, dla odliczania mi plag, ja zamiast go słuchać rzuciłem się na niego i omal że mu wszystkich kości nie pogruchotałem; tylko że słudzy na jego krzyki przybiegli i ledwo go wyrwali z rąk moich. Wielki był z tego powodu kweres mojej matki, sama nie wiedziała co zemną

rozpocząć. A miał u niej wielkie względy Świerszcz, Ukrainiec około czterdzieści lat mający, ataman naszych nadwornych kozaków, człowiek wielkiej roztropności i nadzwyczajnej odwagi, a który nas z Ukrainy przeprowadził przez zbuntowane chłopstwo, że nikomu włos z głowy nie spadł. Owóż tedy on powiedział mojej matce: — Młodszemu panyczu buty chot professorom w Kijowskiej akademii, a starszoho pozbawyste zdrowia, a taki zneho hramotny ne bude. Win na wojaka sotworony. Imość ne pozwalajte ieho muczyty, bo bude wam grich pered Bohom.—Matka dała się przekonać, uwolniła mnie od tych utrapionych ksiązek, a już odtąd tylko Świerszcz mną się zajmował, i jemu winienem, że przecie wyszedłem na człowieka. On mnie miłował jak syna, a ja do niego więcej byłem przywiązany, niż do ojca i matki. Był to kozak pobożny jak Czerniec, a Szwedów nienawdził, bo oni zbezczęścili ikony świętych w cerkwi Żółkiewskiej, i za to im wieczną zemstę zaprzysiął. Otóż kiedy zaczęły się tworzyć oddziały przyjaciół waszej królewskiej mości, którzy nie chcieli króla Szwedzkiego uznać za pana swojego, Świerszcz, że wszystkich naszych kozaków miał jak w kieszeni, jednej nocy z niemi wyszedł na wolą Bożą, i mnie w domu nie zostawił, bo bezemnie żyć nie mógł. Kiedy my wychodzili, było nas około koni czterdziestu, ale wkrótce mieliśmy ich więcej stu, bo

szlachta do nas się garnęła. Nadokuczaliśmy Szwedom i tym co z nimi trzymali, a Rakoczemu daliśmy się we znaki, wprzód jeszcze nim JO. ksiązę Lubomirski hetman polny koronny na jego własnem legowisku zmusił go do uległości; bywało, co w oczy, to nieprzyjaciel. Ani Szweda, ani Rakoczana nie braliśmy w niewolę, a na co nam się obciążać rzeczą niepotrzebną? Świerszcz to wszystko wytępił. Aż nakoniec i jemu się dostało, ale nie wstępny bojem, tylko zdradą. Licho nadało, że był odpust w Krasnostawskiej cerkwi, a my wtedy w około Krasnegostawu płądrowali okolice. Szwedzi stali w mieście, a byli silni, ani pomysleć, aby ich ztamtąd wyparować. Był z nami i Grzeszniczek ze swoim oddziałem, który niedawno pod Potuszą na tamten świat zaniósł swoje szlachectwo, bo nikt z nas nie wie kim on był. Tyle tylko, że z mowy można było poznać, że był ze szlachty Mazowieckiej. On się napierał z początku, żeby na Krasnystaw uderzyć; ale Świerszcz go przekonał, że poszlibyśmy na rzeź, i tyleby było naszego. Ale sam przebrał się w siermięgę i poszedł Bogu się pomodlić, i nikomu nie pozwolił iść ze sobą. Miał on tam swojego kuma, który rzemieniem handlował, i do niego poszedł, żeby czekać godziny nabożeństwa. Ale Szwedzi po tyle od sztuki byli naznaczyli opłatę za głowę każdego dowódcy oddziału; opłata była sowi-



ta, psiawiara na nią się złakomił. Świerszcz przyszedł do niego wieczorem, a on w nocy Szwedów naprowadził. Porwali go, nim się obudził, a nazajutrz na rynku Krasnostawskim został na pal wbity, że kilka godzin się męczył, nim Panu Boga ducha oddał. Co to był za płacz u nas, kiedyśmy się o tem dowiedzieli! Nasi mnie wybrali za wodza, jako najbliższego serca nieboszczyka. A ja, wywdzięczając się pamięci ojca broni, wzięłem jego nazwisko na siebie, i tem nie zaszkodziłem jego sławie. Bo kiedy po odpuście Ty-szowieckim pan Stefan Czarniecki dobrze przetrze-pał Szwedów, ja z moim oddziałem jemu dopisałem. Zajęliśmy i Krasnystaw. Tam załatwiłem nasz rachunek z tym niegodziwym handlarzem rzemienia. Kazałem zakłuć go jak wieprza, ale tak, że poczuł rozstanie psiej duszy z pogańskim ciałem, i była mnie o to bieda ze strony pana Stefana Czarnieckiego, ale odpuścił mi samowolność, bo miałem już zasługi u niego, za to iż kilka razy do przodu się postawił. Może kto powie o nas, że choć my w boju śmiali (bo jużci tego nikt nam nie zaprzeczy), ale że my niesfor-ni; a jednak niech powiedzą hetmani pod któremi służyliśmy, czy umiemy być posłuszni? Kiedy kto w nas ufność umie pobudzić, jak ci wielcy wodzowie, którzy otaczają teraz waszą królewską mość, czy był jaki ich rozkaz, którego byśmy zaraz nie spełnili? A niech mi zadadzą kłamstwo, jeżeli mówię nieprawdę.

— A któż o tem wątpi? — na to król. — Nic nam

nie pozostaje, jak ponowić wam dzięki nasze. Jak to mówi przysłowie, dziękuję za już, a proszę o jeszcze. Już się pora późni, a mamy jeszcze do mówienia wiele z hetmanami i wyższymi dowódcami. Najstraszniejszy dyabeł na wylocie, a wojna kiedy przy końcu. Trzeba nam się dobrze przygotować, żeby ją prowadzić jak należy. Waszmoście ruszajcie sobie do obozu, a jutro nas obaczycie na waszem czele.

Skłonili się wojacy przed królem, i jeden po drugim wypróżnili salę.

### ROZDZIAŁ XXIII.

Król odprawivszy wojaków, udał się do swojej komnaty, gdzie za nim poszli hetmani, Rewera Potocki, Jerzy Lubomirski i Gąsiewski, i kilku panów zaszczyconych szczególnemi króla względami, jako ksiązę Olbracht Radziwiłł, Jan Krasieński podskarbi koronny i inni.

Gdy król został tylko z nimi, pierwsze jego słowa były:

— Przedziwne chłopcy, ci naczelnicy oddziałów ochotników. Jaka waleczność, jakie zapomnienie o sobie, jakie zamiłowanie swojego rzemiosła! Póki trwa wojna, z takimi o pomyślności wątpić nie można. Ale jak rzeczpospolita doczeka się pokoju, cóż rozpoczniemy z niemi? Jakże zmusić tych burzli-

wych ludzi do poddania się pod jarzmo prawa? Nad tem warto zawczasu pomyśleć.

— Nie tak to straszne jak się wydaje, najjaśniejszy panie—na to hetman Gąsiewski. Polak z wiekiem przyciodzi do statku, zwłaszcza jeżeli ma kawał ziemi dziedzicznej. Bo to w naszym przyrodzeniu, że jeżeli lubimy wojaczkę, niemniej jest nam miłe rolnictwo. Jak się wszystko uspokoi, ci wszyscy wodzowie ochotników jeden po drugim wrócą do rodzinnych domów pomagać rodzicom w gospodarstwie. Każdy, jak w obozach był posłusznym hetmanom, tak w domu słuchać będzie ojca. A że to po większej części ze szlachty zamożnej, potrafią i swoich ochotników osadzić na swoim gruncie; tego na gumiennego, owego na domowego sługę, innych na gajowych. Wszystko to się pozeni i będzie statkowało. A jeżeli któremu wojaczka tak zasmakowała, że już bez niej obejść się nie może, nigdy takiego pokoju u nas nie będzie, żeby i on nie był potrzebny. Będzie dla niego coś do czynienia, a to z Zaporozcem, a to z Tatarzynem, a to gdzieś ze zbuntowanym chłopstwem. Umieścimy jakoś tych, co w domu nie zechcą siedzieć, o to można być spokojnym. Wszakże każdy rotmistrz zapragnie choć po kilku tak mężnych żołnierzy przyjąć, dla pokrycia swojej chorągwi. Zresztą, najjaśniejszy panie, nie można twierdzić, aby te oddziały ochotników, którzy jedni nie utracili nadziei doczekania się powrotu swojego prawego pana, kie-

rowały się samem bezprawiem. I one wyrobiły dla siebie pewne prawa, które z największą ścisłością wykonywane były. Odkąd mam szczęście na nowo służyć waszej królewskiej mości, przekonywam się, że nigdzie większej jak u nich nie ma w wojsku naszym karności.

— W samej rzeczy — dorzucił Rycerz Lizdejko — winienem to wyznać przed moim panem, że nie tylko ludzie mojej chorągwi zawsze byli posłuszni moim rozkazom, ale i inne chorągwie, ile razy zostawały pod mojem dowództwem, nie tylko że cienia nieposłuszeństwa się nie dopuszczały, ale usiłowały, że tak powiem, przeniknąć wolę moją, aby zadość jej uczynić. Dzieje nasze aż nadto wiele przytaczają przykładów tych związków obozowych przeciw swoim hetmanom, które sprawiły to, że najświetniejsze zwycięstwa zostały bez pożytku dla Rzeczypospolitej. Ale te niegodziwe spiski zawsze się knowały między szlachtą pospolitego ruszenia. Żaden hetman tej zbrodni nie wyrzucił kwarciannemu żołnierzowi, ani nadwornym milicyom. Ci zawsze umieli być posłusznymi.

— Nie prawdziwszego — odrzekł hetman Gąsiewski. — Nasza szlachta, czy polska, czy litewska, czy ruska, jest prawdziwym stanem rycerskim. Ztąd każdemu z nich czegoś nie dostanie, jeżeli nie dopełnił swojego wychowania w służbie wojskowej, nie wypadkowej, ale statecznej, gdzie człowiek nawyka

do porządku i karności. Taki nie tylko zdatny do wojny, ale do czego by go użyć, będzie z niego pociecha. Bo wojsko regularne jest szkołą, która do wszelkiego zawodu usposabia. Wyznaję otwarcie, że niewielką pokładam ufność w tych wychowaniach książkowych i papierowych. Wychowanie praktyczne jest wszystkim, a to w służbie wojskowej istnieje. Ten tylko umie rozkazywać, który w długim zawodzie nawykł być posłusznym.

— Święte słowa waszmości, mości hetmanie — rzekł król. — Mówisz jak żołnierz i obywatel, i wielce bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś o tem całą naszą szlachtę przekonał. Bo gdyby ona do tej swojej przyrodzonej odwagi łączyła jeszcze tego ducha karności, który się wyrobił w ościennych narodach, najmniejszej nie mielibyśmy obawy o przyszłe losy Rzeczypospolitej. Jednak wyznajemy przed wami szczerze, że ile razy o nich myślimy, nie umiemy się uwolnić od smutnych przeczuc. Wszakże niech tak będzie, jak Bóg rozrządzi. Naszym obowiązkiem jest bronić tej korony, którą za natchnieniem wam danem od Opatrzności uwieńczyliście naszą głowę. Ta korona jest cierniową, a jednak oręż nieprzyjacielski nie strąci nam jej z głowy, chyba wraz z głową. Możecie nam oddać sprawiedliwość, że zawsze okazaliśmy się w każdej potrzebie pierwszym do postępu, ostatnim w odwrocie. Mości panie Potocki, hetmanie wielki koronny, śmiało powtarzam własne słowa waszmości,

któremis nas powitał pod Beresteczkiem, kiedyśmy tak świetne zwycięstwo otrzymali nad wojskiem Chmielnickiego i nieprzeliczonym tłumem Tatarów, z nim połączonych na pogębienie narodu chrześcijańskiego. Czujemy całą ważność naszych obowiązków. Nie zdejmemy twardego pancerza, nie rozstaniemy się z tą szablą, póki ostatniego naszego nachodcy nie wyrzucim do jego Szwecyi. A po ocaleniu naszego kraju, kiedy pokój powszechny pozwoli nam myśleć o zagojeniu tych ran, jakie ta straszna a długoletnia wojna zadała w Polsce, wtedy....

— Wtedy, najjaśniejszy panie — odezwał się wielki Rewera Potocki — powoli zestarzejesz się z nami poddanymi twoimi, a daj Boże, z naszymi synami i wnukami.

— Nie, nie, mości panie hetmanie. Jak będziecie bezpieczni, opuścim was, i resztę naszego żywota poświęcim Bogu, codziennie dzięki mu oddając za łaski, jakich nam nie skąpił, a które jedne wydzwignęły kraj z ostatniej toni.

— Jakto? — dodał Rewera — wasza królewska mość miałbyś myśleć nas opuścić?

— Nie inaczej. Pierwsze nasze powołanie było do życia zakonnego, i w młodości naszej nosiliśmy sukienkę św. Ignacego. Później Bóg inaczej nami rozrządził. Zruciliśmy tę sukienkę dla purpury, najprzód rzymskiej, później królewskiej. Z zakonnika zostaliśmy królem i małżonkiem. I ten świat, który

byliśmy porzucili, na nowo porwał nas w swoim wirze. Niefortunne koleje, przez które musieliśmy przechodzić, dały nam aż do dna wychylić kielich goryczy wielkości ziemskich. Co chwila silniej czuć się nam dawała tęskność za\* tem życiem błogiem, cośmy je niebaczni opuścili. Królowa, jedyna nasza pociecha w tych zgryzotach, jakie nam bez ustanku towarzyszyły, że aż nakoniec włos mężki szronem zgrzybiałości przesypały, niszczy się jakąś wewnętrzna niemocą, na którą najzawołani lekarze rady obmyśleć nie umieją; ale ona i my aż nadto wiemy, że jej hędzny żywot niedługo się przeciągnie, i że wkrótce przeniesie się w świat szczęśliwszy, gdzie otrzyma nagrodę za te wszystkie poświęcenia dla sławy małżonka i całego narodu. Ślubowaliśmy Najświętszej Pannie w Częstochowie, że skoro tylko za jej przyczyną nastanie pokój dla Polski, a utracimy pocieszycielkę naszego żywota, wrócimy do życia zakonnego. A że ten ślub nasz podniósł się do podnóża Najwyższego, o tem wątpić nie możemy; gdyż od-tąd wszystko nam iść zaczęło pomyślniej. Żlebyście odpłacili ufność jaką w waszmościach pokładamy, gdybyście rozgłaszali to, co wam powierzamy. Ale to pewna, i na to dajemy nasze królewskie słowo, że nasze powołanie już się dopełniło, a gdy Bóg rozrządzi naszą towarzyszką, złożymy to berło, które wśród tytuł trosk musieliśmy dźwigać, a przy naszym roz-

staniu się głos przestrogi będzie ostatniem pożegnaniem waszego monarchy.

Tu powstał szmer wszystkich mężów otaczających króla.

— Najjaśniejszy panie — dał się słyszeć głos Jana Krasińskiego podskarbiego Koronnego—twoje powołanie może się skończyć tylko z życiem twojem. Podzielałem twoje wygnanie, nie odmawiaj mi nadziei, że raczysz podzielać nasze szczęście.

— Węzeł jednoczący panującego z poddanymi, bez ciężkiego grzechu rozerwanym być nie może—odezwał się książę Jerzy Lubomirski, hetman polny Koronny.

— Jako małżonek małżonce — dodał Rewera Potocki hetman wielki—ślubuje, że jej aż do śmierci nie opuści, tak niemniej święty obowiązek króla dla królestwa. My, wierna rada waszej królewskiej mości, nie dopuścimy takiej sromoty dla Rzeczypospolitej, żebyś ją najjaśniejszy panie miał opuszczać.

— Nie przystoi mi, najjaśniejszy panie—rzekł hetman wielki Litewski — śmiało się odzywać przed moim panem, bo czuję że względem niego nie jestem czystym na sumieniu; a jednak głos ojczyzny wydobywa się z niegodnych piersi moich, i zmusza mnie łączyć go z głosami tych wielkich mężów, którzy niezachwianą wierność zachowali bez przerw dla waszej królewskiej mości. Położymy się na drodze, przez którą Polskę dla zagranicy opuszczysz.

Przez trupy nasze przejeżdżać będziesz. Gdyby my, wierna rada waszej królewskiej mości, pozwolili na takie zhańbienie Rzeczypospolitej, potomność ze zgrozą powtarzałaby nasze nazwiska jako zdrajców kraju.

— Jeszcze mniej mnie najmłodszemu wiekiem przystoi dołączać moje uwagi do uwag tych sędziwych i tak wielce zasłużonych mężów — odezwał się rycerz Lizdejko—ale obowiązki wiernego poddanego i przysięgłego sługi waszej królewskiej mości do tego mnie ośmielają. Zawsze naśladowałeś króla Władysława Łokietka, który wyższy nad wszelkie nieszczęścia nigdy nie chciał odrzec się od praw swoich. Miałebyś po zniewoleniu losu na naszą korzyść, pójść za przykładem Henryka Walezyusza?

— Dość na tem — odrzekł król, nieco zmarszczywszy czoło. — Teraz o niczem innem nie godzi się nam myśleć, jedno o odzyskaniu Warszawy. W dniu jutrzejszym zrobimy przegląd wojska Litewskiego, i ułożymy przy waszej radzie, jaka jego część ma z nami wyruszyć do Mazowsza i Wielkiej Polski, a jaka zostanie przy swoim hetmanie, ażeby skłonić do posłuszeństwa tych, co się opierają jeszcze przyrodzonemu, a tyle razy zaprzysiężonemu zjednoczeniu dwóch narodów, z których się składa nasza Rzeczpospolita.

— Miałem zaszczyt — na to hetman Gąsiewski — po kilkakrotnie oświadczyć waszej królewskiej

mości, że moja chorągiew jest aż nadto dostateczna dla poparcia tłumów wiernych majestatowi twojemu Litwinów, które tylko oczekują hasła, aby się jawnie i skutecznie oświadczyć na stronę prawości. A co się tyczy tej małej ilości obywatelów, którym miłsze są rozprawy teologiczne na obcej ziemi wyległe, niż sława i całość wspólnej ojczyzny, ich nadzieja opierała się dotąd na potędze króla Szwedzkiego, na sławie jakie jego rycerstwo nabyło pod Gustawem Adolfem, na ilości jego sprzymierzeńców, na tem omal że nie rozpowszechnionem mniemaniu, że szczęście już na zawsze dało się przykuć do jego zwyciężkiego wozu. Ale teraz widzą, że wszyscy sprzymierzyńcy Karola Gustawa jeden po drugim go opuścili, że niejednokrotnie udało się rycerstwu wiernemu waszej królewskiej mości świetne zwycięstwa odnosić nad temi przechwalonemi Skandynawami, że nasz Czarniecki, tyle razy zgromiwszy ich na naszej najechanej ziemi, już przeszedł za morze, by na ich ojczystym gruncie odplacać im te pożogi, które tak długi czas u nas rozpościerali. Bądź pewny, miłościwy królu, że już innej nadziei nie mają, tylko że zawsze łaskawe serce waszej królewskiej mości pokryje przewinienia obłąkanych poddanych tem samem miłosierdziem, jakiego skutki ja sam, może od nich wszystkich najwinniejszy doświadczyłem.

To co już kilkakrotnie powiedziałem, i teraz powtarzam, że oprócz zamków Birżańskich i Dolskich,

nie ma piędzi ziemi na całej Litwie, któraby nie była albo uległa waszej królewskiej mości, albo już przygotowana do uległości. Całe moje rycerstwo z zapalem jednoczy się z hufcami polskimi, aby swojego pana doprowadzić do jego stolicy, i nie ma przeszkody, którejby nie było gotowe przełamać. Zresztą przekonany jestem, że stolica za przybliżeniem się koroniaszów połączonych z mojami Litwinami, wrota otworzy swojemu królowi. I mam pewne doniesienie, że go oczekują z niecierpliwością. Książę Radziwiłł, marszałek wielki Litewski, zawsze był prawym obywatelem. Jeżeli przeszedł na stronę króla Szwedzkiego, któż ma prawo obwiniać go, że kiedy nasza sprawa zdawała się być opuszczoną od Boga, wszedł w umowy ze zwyciężkim królem, aby przynajmniej zabezpieczyć życie i majątki obywatelów, aby ich zasłonić przed zemstą nieprzyjaciół, i tem ocalić ołtarze i ogniska ojczyste? Mężny opór, z zupełnem zapomnieniem o sobie i o wszystkich, jest zapewne bohaterstwem, ale w życiu narodów bywają okresy, w których uległość nie tylko że jest roztropnością, lecz nawet świętym obowiązkiem. Bo jeżeli dla honoru osobistego, dla sławy, nawet dla jakiegoś odgłosu, mąż poświęcający siebie zniewala jakieś uszanowanie nawet swoich nieprzyjaciół, podobna ofiara nie powinna przechodzić szranek osobistości własnej. A kto nierozważnym krokiem przywołuje klęski na swoich współobywatelów, taki w obliczu rozsądku

i sumienia jest zbrodniarzem. Z otwartością żołnierską śmiem wyznać, że jeżeli swawola szwedzka nie zamieniła w pustynie domów obywateli litewskich, jeżeli nie tylko oni, ale nawet ci koronni wielcy mężowie, którzy podnieśli konfederacją Tyszowiecką, a w tej chwili otaczają waszą królewską mość, służą jego świętej sprawie, zamiast jęczenia w zamorskich ciemnicach, to jedynie przez tę ufność, jaką książę marszałek wielki Litewski był pozyskał wiernością, której dawał dowody dla króla Szwedzkiego, a którą zawsze obracał na korzyść ziomków.

Rycerz Lizdejko na te słowa chwycił za rękę hetmana, i rzekł do niego z zapalem: — Szlachetnym jesteś mężem, mości hetmanie, że stojąc przed majestatem najjaśniejszego pana, siebie nie oszczędzając, oddajesz sprawiedliwość mojemu ojcu. — Nie inaczej, miłościwy królu. Jeżeli mój ojciec wszedł w umowy z Karolem Gustawem, to dlatego, że widząc iż opuścił królestwo, pozostawało mu myśleć jedno o ubezpieczeniu współobywatelów, których daremny opór tylko o zgubęby przyprowadził. Przysiągł na wierność królowi Szwedkiemu, bo bez ciebie, on przez swoje zwycięstwa mógł być uważanym za prawego władcę wielkiego księstwa Litewskiego. Do tego co powiedział nasz hetman, śmiem dodać, że jako i w boju i w radzie był zawsze wiernym sługą Waszej Królewskiej Mości, pokąd sam broniłeś praw swoich, takby i dochował wierność królowi Szwedkiemu

I nigdyby nie wyprawił swojego dworzanina do księcia Lubomirskiego hetmana polnego Koronnego, gdyby ten król nie był zostawił Litwy własnym jej siłom, czem poniekąd odrzekł się od jej władztwa, a tem samem nie ma prawa obwiniać jej pierwszego ministra, że ma siebie za uwolnionego od przysięgi warunkowej, jaką się wględem niego zawiązał. Śmieć zaręczyć Waszej Królewskiej Mości, że mój ojciec niczego tak gorliwie nie pragnie, jak pojednania się ze swoim dawnym panem, bo tem ani przeciwko sumieniu chrześcijańskiemu, ani przeciwko honorowi szlacheckiemu nie wykracza. Wszystkie jego obowiązki dla Karola Gustawa ustały od chwili, w której ten król opuszczając Litwę, wchodził w umowy, aby ją, jakby jaki sprzęt, odstąpić inemu. Pozwól Wasza Królewska Mość, abym do niego wyprawił tego jego dworzanina, który pod Potuszą, pod mojemu rozkazy, dzielnie się zasłużył Waszej Królewskiej Mości. A pewny jestem, że ojciec skwapliwie się podda pod wszelki rozkaz swojego pana, i to bez żadnego warunku.

— Zawsze, mości książę generale artylerji, niepospolity szacunek czuliśmy dla waszmościnego dostojnego rodzica, i umiemy być wyrozumiałymi. A gdybyśmy nawet mieli jakiś żal do ojca, już zasługi syna aż nadto są dostateczne, aby go zmasać z naszej pamięci. Wyprawiając tego dworzanina, który się zdaje posiadać ufność księcia marszałka, nie

omieszkać waszmość mu zalecić, aby oświadczył w naszym imieniu księciu Bogusławowi, że bez żadnego warunku ofiarujemy mu naszą przyjaźń i naszą królewską łaskę, a na znak tego podajemy waszmości naszą rękę.

Młody książę wziął ją z uniesieniem w swoją, i przycisnął do ust.

— Mości panie hetmanie—dodał król—jest nadzieja omal że nie pewna, iż książę marszałek wielki Litewski pójdzie za przykładem waszmości i swojego zacnego syna. Jakiegoż jeszcze nieprzyjaciela mieć będziesz do pokonania w Litwie?

— Odkąd stanęło przymierze między Waszą Królewską Mością a Carem, w skutku którego Ukraina uspokojoną została, żadna siła obca nie zagraża Litwie. Było jeszcze trochę Szwedów w Wilnie, ale i ci, wedle ostatnich doniesień, jakie mi nadesłano, już opuścili naszą stolicę, i śpiesznie dążą ku Warszawie. Widać z wszystkiego, że król Szwedzki zupełnie stracił nadzieję utrzymania się przy Litwie i Małej Polsce. Nawet Warszawę opuścił, bo już dochodzą wieści, że i ten niewielki oddział Szwedów, dotąd stojący w Warszawie na załodze, już wyszedł z miasta, a jego obrona jest poruczona księciu Bogusławowi, który go zasłania z częścią swojej milicyi nadwornej, z nienajwiększą siłą szlachty Litewskiej i Wielko-Polskiej, jeszcze trzymającą ze Szwedem i z mieszczanami Niemcami osiedlonymi w Warsza-

wie, którzy się uzbroili, aby bronić sprawy monarchy takiegoż jak i oni wyznania. Wątpić nie można, że Karol Gustaw swoich Szwedów, rozproszonych po różnych częściach naszej ziemi, ściga między Poznaniem a Kaliszem, pochlebając sobie, że może mu się uda oderwać od ciała Rzeczypospolitej te kilka jej województw, więcej zbliżonych do tych księstw, które posiada w rzeszy Niemieckiej. Mówią nawet, że jak się dowiedział o przybyciu pana Stefana Czarnieckiego do Danii, i że się zabiera wraz z Duńczykami uderzyć na Szwecyą, tu wiadomość tak mu pomieszala szyki, iż miał się z tem wymówić, że już nadchodzi pora, w której trzeba będzie pomyśleć, jakby z honorem opuścić Polskę. To pewna, że od roku w jego obrotach wojennych pokazuje się wahanie, jakaś nieśmiałość, czego wprzód nigdy nie bywało. Tymczasem im więcej Szwedzi się ściskają, tem się stają uciążliwszymi dla tej części Polski jaką zajmują. Mnóstwo zamków nawet swoich stronników zasypali gruzami. Miasta, których nie mają nadziei zachować, w popiół obracają. Dopuszczają się rabunków, gwałtów, mordów, jakich przykładu nie było w narodach chrześcijańskich. Bywały z tego powodu ostre wymówki księcia marszałka nie tylko wodzom szwedzkim, ale nawet samemu królowi. On miał tyle odwagi, iż przełożył królowi Szwedzkiemu, że w umowie jaką z nim zawarł, wy-



rażnie było zastrzeżone bezpieczeństwo majątków obywatelskich; że to było głównym warunkiem jego submissyi, a że jednak ten warunek ze strony Szwedów nie jest dochowany. To samo już jest dostateczne, aby księcia rozgrzeszyć, jeżeli Szwedów opuści, a powróci do prawego pana. Bądź pewny miłościwy królu, że oprócz kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego, ani jednego nie ma obywatela w Koronie i Wielkiem Księstwie, któryby nie był w duchu życzliwym dla Waszej Królewskiej Mości.

— Jakież są siły—odrzekł król—które mi kniaz Dorohostajski rozrządzać może?

— Nie są one tak znaczne, żeby aż sobie mógł pochlebić, iż przeważy szczęście Waszej Królewskiej mości; ale tać przed sobą nie możemy, że z tak małym oddziałem jaki sobie zostawuję, przebojem nie zdołam do posłuszeństwa go zmusić. On zajmuje Polesie Litewskie i Wołyńskie, ma kilka tysięcy żołnierza, a zwłaszcza kozaków dobrze wyćwiczonych. Kilka zamków warownych, a mianowicie Piński i Dolski zostają w jego ręku. Szlachta Polska, lubo go nienawidzi, tak się obawia jego zemsty, że póki on będzie siedzieć na koniu, póty go nie odstąpi. Zresztą, jak wiadomo Waszej Królewskiej Mości, kniaz nie tylko że jest żołnierzem nadzwyczajnej odwagi, ale i wodzem doświadczonym. W swoim Polesiu może prowadzić wojnę uporczywą, ile że kraj, którym jeszcze włada, sprzyja odpornej wojnie. Może

nawet wysłać podjazdy swoich kozaków dla podżegania buntów w świeżo uspokojonej Ukrainie, tak słabo spojonej z rzecząpospolitą. Z tem wszystkiem, miłościwy panie, nie odrywaj myśli swojej od zajęcia swojej stolicy i oswobodzenia Wielko-Polski od Szwedów już jedynych naszych zewnętrznych nieprzyjaciół. A powrót księcia maszałka wielkiego Litewskiego do powinności poddanego i sługi, o którym, że rychło nastąpi, wątpić nie można, to wszystko aż nadto łatwo do skutku doprowadzi. A co do mnie, jak bądź uciążliwe byłyby warunki, które Wasza Królewska Mość podać raczysz kniazowi dla otrzymania przebaczenia, tuszę, że zdołam go nakłonić do ich przyjęcia. Mam już napiętego posła, wielkiego dyplomata, dla podobnych układów. Często go już używałem, a zawsze dobrze mi się sprawił. Jak tylko w tym względzie dowiem się o postanowieniu Waszej Królewskiej Mości, zaraz mojego posła wyprowadzę do Dolska. Jeżeli ten go nie namówi, to już swojego czasu potężną siłą trzeba będzie go przekonywać. Wszakże mam niezachwianą nadzieję, że wszystko się ułatwi nie ołowiem, nie żelazem, ale zręcznością mojego Josia Dreczkiera.

— I waszmość myślisz, że kniaz miałby się powodować radą tego żyda, który dopiero ciałem i duszą był ze Szwedami, a teraz do nas przeniósł swoje usługi?

— Najjaśniejszy panie, musztuk dla jedne-

go konia niezdatny, dla drugiego w sam raz. Gdy sprawa była z moim kolegą tu przytomnym, JW. Potockim hetmanem wielkim Koronnym, do niej pewniebym nie użył żyda, bo tem samem byłaby utopiona. Ale wiem z kim do czynienia. U kniazia Dorohostajskiego, czego szlachcie ani senator nie dokaże, to żyd jakoś wymoże. A potem, nie myśl miłościwy królu, żeby Joś Dreczkier był pospolitą figurą. Jest to minister w jarmulce; jak się zawężmie, roztropnego z rozumu wyprowadzi. Alboh ja go nie doświadczył? Król Szwedzki jak lis, a jednak często szedł za jego radą.

— A jednak—odezwał się Krasieński podskarbi Koronny—pod Potuszą Szwedzi nie najlepiej wyszli, że poszli za jego radą.

— Ba, rada była dobra, wszystko było wyrachowane, i gdyby nie prawdziwie cudowne natchnienie, którem Bóg ostrzegł księcia generała artylerji Litewskiej, Szwedzi byliby opanowali Potuszę.

— Ale czy można zaufać temu żydowi?—dorzucił JW. Potocki hetman Koronny.

— Dlaczego nie? — odrzekł hetman wielki Litewski.—Ja mam w nim pełną ufność, bo jego los teraz zależy jedynie od szczęścia rzeczypospolitej. Od Szwedów nie ma się czego spodziewać, chyba szubienicy, a musiał dobrze wyrachować, że przyszłość jest naszą, kiedy na niej oparł bezpieczeństwo całego swojego majątku. Czekam tylko na rozkaz Jego Kró-

lewskiej Mości; jak tylko dowiem się o warunkach, jakie raczył obmyśleć, wyprawię z niemi Josia Dreczkiera, a zaręczam, że najlepiej się sprawi.

— Już pora nieco spóźniona, wszakże jeszcze przed wczasem uwiadomimy waszmość, czego żądamy od kniazia Dorohostajskiego. Waszmość i ksiązę Olbracht Radziwiłł odprowadzicie nas do komnaty dla nas przeznaczonej, i tam usłyszycie nasze rozkazy.

To rzekłszy, skinieniem głowy pożegnał panów i szlachtę zebraną w sali, i odszedł, przeprowadzony stosownie do swojej woli, przez hetmana Gąsiewskiego i ryercza Lizdejkę.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Już koguty pianiem swoim witały nadchodzącą jutrzenkę, a jeszcze rolników Sławatyckich nie byli przebudzili; wszystko spało. W obozie rozłożonym pod wsią, słyhać było tylko kiedy niekiedy odzywania się szyldwachów, i szelest broni tych co przychodzili luzować strażę. Jeden rycerz Lizdejko w swoim namiocie czuwał przy stoliku i pisał całą noc przy świetle palącej się lampy. Na słomie leżał książę Dorohostajski, w głębokim śnie pogrążony, a Dawid Odyniec w pełnym ubraniu siedział na stołku za rycerzem, z głową opartą o poręcz krzesła księcia Olbrachta i chrapaniem przerywał ciszę. Książę zajęty pracą nie zdawał się tego uważać, a raczej nie chciał przeszkodzić tych chwil kilku wczasu swojemu

podwładnemu, który wkrótce miał się puścić w podróż daleką.

Zresztą książę zajęty pracą nie był zdolny uwagi zwrócić do tego, co nie miało stosunku z tem zajęciem. Pisał do najdroższej matki, do ulubionej siostry, a nadewszystko do ojca, dla którego do najtkliwszego przywiązania łączyła się w jego sercu i bojaźń synowska, cecha obyczajowości ówczesnej. Ani wiek, ani stan, ani dostojęństwo i zasługi w rzeczypospolitej, w niczem nie uszkadzały bezpośredniej władzy ojców nad synami, bo ona nie opierała się na prawach pisanych, ale na głęboko wkorzeniem w sumieniu przekonaniu. Wyobrażenie oporu choćby najwięcej umiarkowanego rozkazom ojca, jakkolwiek twardym, zawsze przerażało syna, bo do lekceważenia rodzicielskiej powagi łączyła się niechęć taka, jaką dziś zaledwo przywiązują do podłej czynności. Nierzadkie aż do ostatnich czasów bytu rzeczypospolitej dawały się widzieć przykłady, że obywatel żonaty, żyjący o własnym chlebie, a nawet zaszczycony urzędem, ulegając wysokom chimery ojca, prostego szlachcica, przyjmował z pokorą z rąk jego cielesne karanie, a tem powiększał swoją wziętość w obywatelstwie, gdyż taka pokora służyła mu za rekojmie, że musi być szlachetnym obywatelem, a tem samym pocziwym urzędnikiem. Bez tej karności rodzinnej rozprzęgłoby się ciało społeczne. Głęboka wiara i ta karność, która z niej wypływała, były to

dźwignie bytu społeczeńskiego. One jedne w pomoc przychodziły słabości władz politycznych i administracyjnych. Jest to albowiem pewnik, któremu zaprzeczyć nie można, bez zadania gwałtu rozsądkowi przyrodzonemu, bez odrzucenia nauki doświadczenia czerpanej z rozważań nad dziejami rodu ludzkiego, że jeżeli siła obyczajów zastąpić może niedostatek praw i urzędów, najdoskonalsze prawodawstwo i najmądrzejsze ustawy nigdy nie zdołają zastąpić niedostatku obyczajów i uczuć religii, która jedna, wywołując ofiary, używa siły do ich wykonania.

Książę był zatopiony w pisaniu listu do księcia marszałka. Była to wielka dla niego sprawa, bo z ojcem. Jego drażliwe sumienie czuć mu dawało, że przewinił przeciwko niemu. Jakkolwiek mógł się nieść za wymówionego, iż nie czekając na przyzwolenie ojcowskie, a nawet o nie nie prosząc, poświęcił się usługom swojego prawego pana i swojego kraju,—jakkolwiek był przeświadczony, że tym krokiem ułatwił ojcu powrót do utraconej królewskiej łaski, czuł jednak, że nie zupełnie był czystym względem niego. Układał więc najpokorniejsze tłumaczenie powodów, które go znagliły do opuszczenia dworu księcia Kurfirsta Falcegrabi, i do postawienia się w stronnictwie przeciwnem temu, które było pozyskało jego życzliwość i wsparcie. Oświadczając przytem, że lubo powodzenie, jakim Bóg pobłogosławił jego przedsięwzięciu, zdaje się go usprawiedliwiać, wszakże nie

tylko że nie pragnie mieć słuszości przeciwko swojemu ojcu, ale nawet gotów jest bez szemrania poddać się karze, jaką uzna być dostateczną do zgładzenia jego nieposłuszeństwa. A tak zadość uczyniwszy obowiązkom syna, kończył list swój, oświecając go o dobrem usposobieniu króla względem tych wszystkich, co widząc się od niego opuszczonemi, ulegli zwycięzcom, a zwłaszcza względem niego, którego dawne zasługi nigdy zapomniane być nie mogą. W tym liście ośmielił się najpokorniej mu instynktować kierunek dalszych postępów względem króla, który nie czekając jego zgłoszenia się, pierwsze robi kroki do zupełnego z nim pojednania.

List kończył, kiedy już słońce zaczynało się wydobywać ze wschodu, a jego promienie rzucały złocistą barwę na płócienne ściany namiotu. Zapieczętowaawszy i podpisawszy koperty, dopiero obudził swoich towarzyszy. Na jego głos donośny jednocześnie zerwali się kniaź Wojciech z pościeli, a Odyniec ze stołka! Kniaź zaczął się ubierać, a pan Dawid, który jako na służbie dziennej u wodza nie rozbierał się, stanął na nogach. Książę się odezwał do tego ostatniego:

— Mości panie Odyniec, za godzinę trzeba waszmości ztąd wyruszyć ku Warszawie. Oto są listy, które wręczysz księciu marszałkowi Litewskiemu, jego JO. małżonce i kniazini wojewodzinie ich córce. Byłeś dworzaninem jego książęcej mości, a wiem, że dotąd zachowujesz jego względy. Nie mam

potrzeby dawać waszmości informację, jak się tam masz znaleźć; wiem że jesteś szczanym lisem, dasz sobie radę, zwłaszcza że byłeś w długiem koleżeństwie z tem wszystkim, co otacza księcia. Cała rzecz idzie o to, abyś się dostał do Warszawy.

— Nic łatwiejszego, mości książę; wasza książęca mość pozwoli mi wziąć z sobą Jakubczaka, ochotnika z pod jego znaku, którego przytomność i śmiałość nie uszły mojej uwagi pod Potuszą, a tak ja i on, we dwa konie szczęśliwie zmierzmy przestrzeń między Sławatyczami a Warszawą.

— A ja, za pozwoleniem waszej książęcej mości—przymówił się kniaź Wojciech—ofiaruję się za giermka Dawidowi.

— Jakże miałbym cię narazić na takie niebezpieczeństwo, Wojciechu. Wszakże Warszawa trzyma jeszcze ze Szwedem z całą swoją okolicą. Odyńcowi nic, bo ze strony Szwedów dworzanin księcia marszałka krzywdy doświadczyć nie może. Ale na twoje życie, Wojciechu, cena jest naznaczona; gdyby cię poznano, twoją głową staranoby się przysłużyć zawziętemu przeciw tobie stryjowi. A choćbyś szczęśliwie przebył podróż, czy podobieństwo, aby ktoś cię nie poznał w Warszawie?

— Mości książę, na nas wszystkich jest cena naznaczona oddawna, a jakoś żaden z nas nie wpadł w ręce Szwedzkie. A chociaż nieprzyjaciel się patrzył nad prostymi jeńcami, których mu się udało

pochwyć, odkąd szczęście ku naszej stronie szaleńczo przechyliło, już stał się umiarkowanym. Nie uszło uwagi króla jegomości to umiarkowanie, którem odznaczają się od niejakiego czasu ci Szwedzi, dotąd tak zażarci i krwi naszej chciwi. I odkrył wczorajszego wieczora przed nami tajemnicę nagłej odmiany w ich postępkach, że zamki królewskie, zbliżone do gór Karpackich, tak są przepelnione jeńcami Szwedzkimi, iż jest na kim odwetować okrucieństwo, jakiegobyśmy ze strony ich ziomków doświadczyli. Mości książę, sam jesteś synem; cduwołuję się więc do twojego serca. Mam matkę, kryjącą się w Warszawie, a której od lat kilku nie widziałem. Nieboga może myśli, że ten syn, przedmiot tylu jej poświęceń, a jedyna jej pociecha pośród zgryzot, jakimi pasmo jej żywota było i jest osnute, już nie żyje, bo od lat trzech żadnego znoszenia się z nią mieć nie mogłem. Tyle tylko wiem, iż mieszka w Warszawie pod kłamanem nazwiskiem, w niedostatku, do którego już się wzwyczała, w domu jednej niewiele od niej bogatszej wdowy, i że obie utrzymują się pracą własnych rąk. Muszę koniecznie ją widzieć. Zaklinam cię, drogi Olbrachcie, na uczucie natury, na honor rycerski, nie wzbraniaj mi dopełnić obowiązku otarcia łez najdroższej, najcenniejszej matki.

— Mości książę—dodał pan Dawid — na moją głowę, na moją sławę biorę odpowiedzialność, że

kniazia Wojciecha bez szwanku doprowadzę do kresu naszej podróży, a co się tyczy niebezpieczeństw, jakieby go spotkać mogły w Warszawie, książę aż nadto możesz być pewny, że tam gdzie rozkazy daje J.O. książę marszałek wielki Litewski, dostojny rodzic waszej książęcej mości, nic złego stać się nie może posłannikom naszego króla.

— Niechże i tak będzie. Nie czuję się być w prawie opierać się prawom natury, ale zaklinam cię nawzajem na tę przyjaźń, która się zawiązała prawie w naszym niemowlęctwie, a która już się stała naszym jestestwem, nie narażaj się! Pamiętaj, że masz przyjaciela, który bez ciebie żyć nie może.

Obaj przyjaciele rzucili się w swoje objęcia, a łzy ich pomieszały się z sobą. I pan Dawid nie mógł się wstrzymać od przydania swoich kilku łez do tych, które tak tkliwa przyjaźń wyciskała z oczów tych znakomitych rycerzy.

Wybranie się w podróż niedługo trwało. Wówczas rycerz miał na sobie to wszystko, co mogło mu być potrzebne. Mały mantelzaczek, do tyłu kulbaki umocowany, w nim jeden ubiór pokojowy i dwie koszule, był jedynym jego pakunkiem. Zbroję już od czasów Zygmunta III zaczęto zaniedbywać. Kaftan łośi, na nim kolczuga, z kapturem okrywającym głowę, na koleczudze zarzucona ładownica z trzydziestoma ładunkami i kilkoma skałkami do przemiany, szabla u boku, koncerz, dwa pistolety w olstrach przy

kulbace, topór u niej wiszący, i połowa fiasza blaszana z wodą, oto był całkowity jego rynsztunek.

Tak stanęli i wyruszyli z obozu pan Dawid Odyniec, książę Wojciech jako jego giermek, i Jakóbczak, doświadczony żołnierz, a od niejakiego czasu posiadający wszelką ufność pana Dawida, chociaż nie tak to dawno jak z nim zabrał znajomość.

Kraj aż o kilka mil po za Lublin zostawał w zupełnem władaniu króla Jana Kazimierza, a że od lat dwóch Szwedzi, lubo ustawicznie do niego się wdzierali, jednak w nim gościć długo nie mogli, i ciągle albo się bili, albo gotowali do bitwy z Polakami, więc rabunki, których sobie w nim pozwalali, nie nosiły cechy zupełnego zniszczenia. Zamki obywatelskie stały w całości i służyły za przytułek wieśniaków i ich dobytku, bo ile razy Szwedzi opuszczali wieś, zawsze ją podpalali, tak że szczęśliwem było dla niej zdarzeniem, jeżeli jakaś jej część ocalała. Wszędzie więc nasi rycerze mogli znaleźć po zamkach gościnność i wygodę. Ale za zbliżeniem się do Siedlec, ślady okropnych spustoszeń przedstawiły się przed ich oczyma. Na wielkim gościńcu obraz zniszczenia przerażał. Zamków tylko ściany sterczały, reszta w popiół i gruzy była zamieniona. Po kilka mil przejeżdżali, twarzy ludzkiej nie widząc, i gdyby troki przezornego Jakóbczaka nie były opatrzone owsem, i popas i nocleg rumaki o poście byłyby nie raz odbyły. Pograżony w myślach, które od je-

dynego przedmiotu rzadko kiedy się odwracały, Gaskold na to wszystko nie zdawał się dawać uwagi. Ale razu jednego, kiedy popasali między spustoszałemi ścianami gospody bez dachu, pan Dawid nie mógł wstrzymać swojej niecierpliwości i odezwał się do swojego mniemanego giermka:

— Niechże wszyscy dyabli porwą tych Szwedów za to ich pastwienie się nad naszą niewinną ziemią! A wszakże nasze żyzne Podlasie zamienili in Arabiam desertam. Czego Szwed z sobą nie mógł zabrać, to wyniszczył, że zaledwo jakieś pozostałe szczątki o pomstę do Boga na niego wołają: ale przecie już ta pomsta nadeszła, i dobrze mu czuć się daje, a jednak go poprawić nie może. I myśmy dali mu się we znaki; a co też musi z niemi teraz wyrabiać nasz Stefan Czarniecki, bo rozchodzą się między ludźmi wieści, że już przebył za morze, i gniecie te drapieżne bestye w ich własnem legowisku. Czemuż jemu się nie dostałem? Zamiast żalu co mi teraz serce ściska, opływałbym w szczęściu, odłajac im sownie to, co oni naszym napłatali. Co za niecnoty! co za rozbójniki! co za złodziejskie plemię! Przodkowie rozbijali po morzu, a potomkowie rabują po cudzych łądach.

— Zwyczajnie wojna — odpowiedział Gaskold, którego myśli były daleko od tego dyskursu.

— Bał wiem dobrze, że wojna to nie przelewki, i że kto z własnej ochoty został żołnierzem, to nie na

to, żeby ze swojej kieszeni coś przykładał. Tem więcej, że żołnierza grosz się nie trzyma. Szabla i kopia, to nie kwaterka, ani łokieć, żeby się niemi wzbogacić. Co się uchwyci, to się przehula. A po jakie licho człowiekby łba nadstawiał zrana, nie wiedząc, czy doczeka wieczora, jeżeliby wojna nie przyniosła z czego ubarwić tych chwil kilku, które mu pozostają czasem dla spoczynku? To darmo, nie na wieleby się przydał żołnierzowi oręż, gdyby go tylko bronił, a nie żywił. Ale i tu poczciwy zna jakieś umiarkowanie. Co tobie potrzebnego, bierz i nie pytaj, tak Bóg przykazał; ale pocóż niszczysz ogniem, czego zabrać nie możesz? To już wyraźnie woła o pomstę do Boga; a wiesz, kniaziu, że Szwedzi, kiedy tu się jeszcze im powodziło, nie byli tak niegodziwi jak dziś.

— I cóż było w nich dobrego?—odrzekł kniaź, przerywając zadumanie.

— A juźci! Miałem czas temu się przypatrzeć, kiedy Panu Bogu duszę będąc winnym, trzymałem niby z partyą szwedzką. Cóż robić? nie tylko chudy pacholek jak ja, ale magnat nawet czasem robi co chce, a najczęściej co musi. Zresztą wszystko na Litwie było uległe królowi Szwedzkiemu; jeden tylko Sapiaha, starosta Mozyrski, opierał się w Mścislawskiem. I to naprzykrzyło się Szwedom; wyprawili na niego oddział swoich i milicję księcia marszałka mojego pana. Pan Bóg tego za grzech nie

poczyta, że kiedy i mnie wraz z innemi wysyłali na przeciwko swoich, nie powiedziałem: — palcie mi w łeb, kiedy wola, ale nie pójdę! Poszedłem i robiłem co mi kazano, i siebie nigdzie nie oszczędzałem. To niedługo trwało; Sapiehę rozbito, jego Bychów zdobytym został, a sam był wpadł jak w wodę, że dopiero teraz, jak mówią, miał wypłynąć. Otóż, kiedyśmy wpadli do zamku Bychowskiego, a Szwedzi mieli nad nami zwierzchność, to prawda, że czem który z nich mógł zapchać swoją kieszeń i doczepić do siodła, bo u nich kulbak nie ma, tem ją zapychał lub doczepiał. Mój Boże! co to oni sreber nachwytali! Ale przynajmniej ani zamku, ani miasteczka nie podpálili. Nawet panią starościcę Możyorską, gdy zastali w zamku, otoczoną swoim fraucymerem z samych panieli szlacheckiego stanu, pani starościna i jej panielki od przytomności odchodziły ze strachu. A jednak ta pani nie tylko że nie doświadczyła zniewagi, ale generał szwedzki okazał jej najgłębsze uszanowanie, i pozwolił odjechać ze swoim dworem do Birzów, w tem stosując się do jej żądania. I to pod gólem samych Litwinów, między którymi i ja się znajdowałem. A jednak Elżbieta z Chodkiewiczów Sapieżyna jest niewiastą tak cudownej piękności, że chyba kniahini wojewodzina Witebska z nią porównanie wytrzymać może.

— Rada gęba kiedy pan śpi. Jeszcze się taka nie urodziła, którąby można postawić obok księżniczki Eleonory.

— Wyborniel Niechcący trafiłem dzielnie. Jesteś prawdziwym rycerzem, kniaziu. Nie tylko wyższym od nas, ale nawet rycerz Lizdejko musi przed tobą zwinąć chorągiewkę. Przypominam sobie te czasy naszego młodocianego koleżeństwa w Birzach, kiedy to my czytawali z sobą francuzkie romanse, opisujące dzieje błędzącego kawalerstwa. Jak to my z nich wyprowadzali sens moralny, że rycerz nie zakochany, nie mający damy swoich myśli, jest tylko rycerzem przez pół. Niestety! my wszyscy takimi jesteśmy, i gdyby nie ty, kniaziu, stan rycerski do którego chlubimy się należeć, byłby kłamstwem. Zapewne, że przez wiele trudów przejść musisz, nim ta twoja miłość uwieńczoną zostanie. Bo w żadnym romansie rycerskim nie wyczytaliśmy, aby rycerzowi zakochanemu ona poszła gładko; gdyby tak być miało, na trzynastej lub czternastej stronicy romans byłby skończony. Ale posłuchaj mojej wróżby!

— Zostaw ją przy sobie, bo te twoje niewczesne żarty wcale do smaku mi nie przypadają. Jeżeli jakąś cenę przywiązujesz do mojej przyjaźni, to nigdy przedemną nie wymówisz pewnego nazwiska, któremu obaj winniśmy nadto uszanowania, aby je lekko wspominać.

— Czy tak? A czy to stoi w romansach ry-



cerskich, aby giermek niecierpliwił się na rycerza, któremu służy? Ale w tem moja własna wina, że cię nazywam kniazem Wojciechem, kiedy aż do naszego powrotu do królewskiego obozu, który już dawno musiał wyruszyć za nami, jesteś tylko moim giermkim Gaskoldem. Jakkolwiek bądź, jestem panem tak wyrozumiałym, że uniknę tego wszystkiego, co może być zanadto przykrem dla mojego wiernego sługi. Żart na stronę! Szwedzi klina zabili mi w głowę.

— A jakiego?

— Oto, że ludzie pospolicie zapominają się w szczęściu, ale zwykle są bardzo dobrzy, kiedy bieda zacznie im do żywego dopiekać. Ucisk daje mądrość, mówi Pismo Święte; możnaby dodać, że roznieca cnoty. Szwedzi Bogiem a prawdą nigdy nie byli świętymi, jednak było coś w nich ludzkiego, póki im się powodziło. Ale odkąd klęski jedne po drugich na nich sypać się zaczęły, ja sam ich nie poznaję. Dość okiem rzucić na ten kraj, przez który teraz wędrujem, aby się przekonać, że gdyby czarci weielili się i zbrali w wojsko przeciwko ludziom, nieby gorszego nie wymyślili nad to, co mieszkańcy tutejsi cierpią od Szwedów. Wszakże już się zbliża pora naszego noclegu, a od popasu ani całej chałupy, ani nawet żywego ducha nie zdarzyło się nam spotkać.

— A któżby się nie litował nad temi nieszczęśliwemi ofiarami nachodźców naszej ziemi? Ta przy-

najmniej dla nas pozostaje pociecha, że kiedy zło do najwyższego dochodzi stopnia, wkrótce coś dobrego nastanie. Póki nieprzyjaciel ma nadzieję utrzymać się przy kraju, który zdobył, póty go oszczędza, bo nikt sam sobie szkody nie chce robić. Ale jeżeli wszystko mieczem i ogniem niszczy, to już oczywisty dowód, że nie myśli w nim długo gościć. Najgorszy dyabeł na wylocie, mówi przysłowie, które onegdaj król jegomość powtórzył w naszej przytomności. Święte to przysłowie.

Podczas gdy rycerze tak z sobą rozmawiali, wioska pojawiła się ich oczom. Wioska spustoszona jak omal nie wszystkie, przez jakie przechodzili, odkąd przebyli granice województwa Lubelskiego, a przy końcu tej wioski karczma murowana, w bardzo dobrym stanie, i nie nosząca na sobie śladów nieprzyjacielskiego przechodu. Zbliżył się Jakóbczak do nich i powiedział:

— Chociaż mamy więcej godziny do zachodu słońca, radziłbym państwu w tej gospodzie obrać sobie nocleg. Powinna być w niej wygoda, a jutro zawczasu staniemy w Warszawie.

— Dobrze mówi—na to Gaskold do Odyńca. — Inna gospoda nie o wiele nas przybliży do końca naszej podróży, a pewnie będzie gorsza od tej, bo im więcej się zbliżamy do Warszawy, tem więcej napotyamy spustoszeń.

— Zgoda—rzekł pan Dawid—i przybliżyli się

do karczmy, w której nawet okna były w całości. Przyjął ich u podwoi przy stajni nie żyd, ale opasły Niemiec gospodarz.

— Masz owies i siano?—zapytał Odyniec.

— I dla koni i dla panów znajduje się wszelka wygoda — odpowiedział Niemiec złamanym językiem.

Wojacy zeskoczyli z koni, i poprowadzili je do żłobów, a zdawszy na pieczę Jakóbczaka, weszli pod przywództwem gospodarza do szynkowni wcale porządnej, gdzie gospodyni z wabiącym uśmiechem ich przyjęła. Na to przymilenie już średnioletniej Niemki niewiele zwrócili uwagi, nie tylko Gaskold ale nawet Odyniec, ale gaska na patelni wypieczona zaraz ich uwagę zwróciła ku sobie.

— Chwała Bogu—odezwał się pan Dawid uradowany—przecie po ludzku posilimy się. Przyznaj, mój miły giermku, że Szwedzi jeszcze mają cokolwiek poczciwości, kiedy przynajmniej swoich pobratymców nie niszczą. Wieś zamieszkała przez Mazurów z dymem poszła, a karczma cała, bo Niemiec w niej gospodarzem. Kruk krukowi oka nie wykole, jak mówi przysłowie. No, moja jejmość, zaprowadź nas do izby jaką dla nas przeznaczasz, i zanieś nam tę gaskę pieczoną. Jeżeli masz coś do jej zakropienia, daj; zapłać jak za towar, a przyjmę jak łaskę. Jeżeli nie, to daj choć czystej wody, i za nią podziękuj. Pofatyguj się, aby nam na pościel znieśli sło-

my i siana, gdyż podjadłszy weźmiemy się do wczasu. Jutro przed świtem trzeba nam waszą gospodę pożegnać: albo w Warszawie, albo tu z powrotem jeszcze się obaczmy, a niechcąc jejmości przerywać rannego wczasu, jeszcze dziś ułatwimy z sobą rachunek. Ruszajże jejmość i spraw się tak, abysmy jak najprędzej mogli się najeść, i jej dobrej nocy życzyć.

Zostawmy naszych rycerzy w gospodzie, a nieco cofając się w czas już upłyniony, przenieśmy naszych czytelników do Warszawy.

## ROZDZIAŁ XXV.

Warszawa, jako wszystkie miasta owego czasu, była w stanie obronnym. Była jakoby twierdzą, której cytadelą był zamek królewski. Gdzie teraz ulica Podwał i piękny zjazd, którym się spuszcza do mostu na Wiśle, tam były wały otaczające miasto, jeszcze szczupłe, bo ścieśnione między dwiema bramami, jedną Zyguntowską, która do dni naszych dotrwała, drugą wychodzącą na Fawory, której ślady nawet z pamięci mieszkańców już oddawna są zatarłe. Grzybów i Leszno były wsiami zbliżonemi do Warszawy, ale nie mającemi łączności ze stolicą. Krakowskie Przedmieście składało się z kilku pałaców, a raczej zamków obronnych, gdzie przemożni magnaci ze swojemi milicjami nadwornemi żyli na

stopie wojennej, która jedna zabezpieczała ich wraz z rodzinami od napadu ludzi, dla których rabunek był jedynym przemysłem, plód przyrodzony wojen domowych, w czasie kiedy prawa głosu nie mają, a sędziowie są zmuszeni zamienić swoje togi na pancerze, i złożyć pióro bezsilne, aby wziąć hartowny oręż.

Cała ta przestrzeń między Zyguntowską bramą, Wisłą, kościołem świętego Krzyża, i ogrodami należącemi do mieszkańców Grzybowa i Leszna, które w sto lat później ustąpiły miejsca kamienicom, cała ta przestrzeń mówię, gdzie teraz są ulice Senatorska, Bielańska, Wierzbowa, Nowy Świat, a nade wszystko nadobne Krakowskie - Przedmieście, nie miała kształtu miasta: ani się na niej wznosiły pięknej struktury kamienice, ani wabiły przechodniów sklepy napelnione towarami wszystkich części świata. Zamki feudalne Kazanowskich, Jabłonowskich, Lubomirskich, Krasińskich, Zamoyskich, porozrzucane po tej przestrzeni, zadziwiałały wędrowca innym rodzajem piękności, stosownym do ducha owych czasów. Wszędzie wały opatrzone działami, rohatyny, mosty zwodowe, które podnosiły się co wieczór o godzinie dziewiątej; wszędzie strażę w wojennym rynsztunku, snującą się po wałach. Gdzie niegdzie klasztory, szczuplejsze, ale mało co mniej obronne od zamków pańskich.

Między temi zamkami i co do obszerności, i co do swojej obrony, najwięcej odznaczał się Radziwiłłowski na tem miejscu, gdzie dziś się wznosi pałac rządowy: dwieście żołnierzy nadwornych składało załogę tego zamku. Był on własnością księcia Bogusława Radziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, a od więcej roku jego siedzibą. On w Warszawie dawał najwyższe rozkazy. Wprawdzie ta jego nieograniczona władza, spuszczone mu przez króla Szwedzkiego, była więcej nominalną niż rzeczywistą; ale odkąd Szwedzi opuścili Warszawę, dla skupienia się w Poznańskim i jemu przyległych ziemiach, tak że w niej zostawili tylko około dwóchset piechurów i kilkudziesiąt rajtarów pod generałem Mejdendorfem, obok przeszło półtora tysiąca Polaków i Litwinów, posłusznych księciu marszałkowi, odtąd książę był istotnym i bezpośrednim władcą Warszawy, tem więcej, że oprócz tej siły zbrojnej protestanci wychodzący z Niemiec, którzy składali większą część mieszczaństwa, w nim jedyną pokładając nadzieję przyszłego bezpieczeństwa, byli do niego ślepo przywiązani.

Lubo król Szwedzki był upoważnił księcia, ażeby do zamku przeniósł swoje mieszkanie, on się z tego wymówił, oświadczając, że tak się przyzwyczaił mieszkać u siebie, iż mieszkanie w pałacu chociaż królewskim, ale cudzym, byłoby dla niego niemiłe. A więc rządził miastem ze swojego dziedzicznego

zamku, w którym pod strażą swojej milicyi i uzbrojonych przyjaciół swego domu czuł się bezpieczniejszym, niż w samym mieście, otoczonym wałami i obwarowaniem stosownie do wszelkich prawideł owocnej architektury wojennej.

Całkowity dół, tak korpusu zamkowego, jako i jego skrzydeł, stanowił koszary dla jego milicyi, samo księztwo, z tem co składało bliższą jego usługę, zajmowało piętro korpusu; prawe skrzydło było oddane dworzanom księcia, jego przyjaciółom z Litwy przybyłym i przybywającym do Warszawy, nawet wielu z nich z żonami i dziećmi. W lewym skrzydle mieszkała kniahini wojewodzina Witebska ze swoim dworem, a były drzwi wewnętrzne, któremi ze swoich komnat mogła w każdym czasie wychodzić do księżnej matki.

Pani wojewodzina nigdy się nie pokazywała na pokojach książęcych, przeznaczonych dla przyjęcia gości. Ale codzień widywała rodziców, ile razy byli sami, lub tylko z temi poufalszemi dworzanami, do których obcowania była przywykła. To jej odosobnienie wśród zgielku stolicy nikogo nie zadziwiała; przypisywano to powszechnie uczuciom przyzwyczajenia, gdyż w owym czasie siła obyczajów, potężniejsza niż wszelkie prawa pisane, nie dozwalała przypuszczać, żeby żona oddalona od męża mogła brać udział w publicznych zabawach. Dworzanie tylko

księcia domyślali się istotnych powodów tego smutku, który ją przywiązał do samotności, piętnując w jej duszy wstręt nieprzełamany od towarzystwa obcych. Bo co się tyczy dworzan i domowników, nigdy ich nie spotykała bez przybrania wdzięcznego uśmiechu, i bez wyrażenia im kilku słów życzliwości, zniewalających ich serca.

Brzemie smutku obciążające jej duszę aż nadto wyrażało się na jej czarującym obliczu. Najdroższa jej przyjaciółka, dla której nie miała tajnego, Elżbieta Sapieżyna, starościna Możyrska, po długim z nią rozstaniu się wróciła do Warszawy. Ona za pozwoleniem księcia marszałka była wyjechała w głęboką Litwę, dla powzięcia wiadomości o swoim mężu. Ta podróż jej się powiodła, bo kiedy opuszczała Warszawę, myślała że ten wywołaniec obcej przemocy błąka się po lasach, ażeby ocalić swoją głowę. Miałaby się za szczęśliwą, gdyby mogła się upewnić, że przynajmniej żyje, bo nie pochlebiała sobie wcale, że go będzie mogła oglądać. Jakaż była jej radość, kiedy się dowiedziała pierwszy raz w okolicach Nieświeża, że ten niezachwiany obrońca prawego pana już na nowo wstępował na scenę, i we Mścisławskim województwie ożywił stronnictwo swojego króla. Odważna niewiasta, wierna obowiązkom małżonki, na żadne niebezpieczeństwo nie zważając, a opatrzona pismem glejtowem księcia marszałka, śpiesznie skie-

rowała się ku Białej Rusi. I żadnej przeszkody w tej podróży nie doświadczyła, bo lubo kraj, którym przejeżdżała, był niby posłusznym królowi Szwedzkemu, instynkt powszechny, zawsze nieomylny, tak dalece przeczuwał, że król ten wkrótce opuści ziemię, którą był najechał, że już żadnej nie było gorliwości w urzędnikach, którym był powierzył zarząd województw i ziem przez siebie zdobytych. To wahanie się wodzów partyi Szwedzkiej, dopiero tak silnej, przeszło i do najniższych wykonywaczy ich rozkazów. Stronników Jana Kazimierza już nie ścigali, albo jeżeli nie mogli jakiego z nich nie mieć, tak miękko go strzegli, iż wszelką miał łatwość do ucieczki. Jeszcze nim hetman Gąsiewski oświadczył się za Janem Kazimierzem, już zapaleńsi obywatele temu królowi sprzyjający, rozzuchwaleni nowemi nadziejami, dopuszczali się pogardliwego nieposłuszeństwa rozkazom im danym w imieniu króla Szwedzkiego, zwłaszcza odkąd książę Bogusław przeniósł się z Birzów do Warszawy, i to im uchodziło bezkarnie, bo coś ostrzegało tych, coby mogli ich skarcić, że przyszłość do tamtych należy. Utrata nadziei w szczęściu króla Karola Gustawa, obawa zemsty dotąd prześladowanych przyjaciół Jana Kazimierza, tak dalece były rozpręgły duch rządowy, że lubo w doniesieniach urzędowych nie przestawano ludzi króla Szwedzkiego, iż wszystko idzie jak najlepiej w Litwie, w rzeczy samej była w niej zupełna anar-

chia, a wkrótce wszystkie środki, jakie ona podaje, zostały obrócone przeciw niemu.

Tym sposobem pani starościna Możyrska dostała się do Bychowa, nie doświadczając najmniejszego utrudzenia ze strony władz, lubo każdy wiedział kim ona była, i łatwo się mógł domyśleć, dokąd i w jakim celu dążyła. Tam obaczyła swojego małżonka, do którego pomimo różnicy ich wieku szczerze była przywiązaną, już nie w postaci tułającego się wywołańca, ale naczelnika uzbrojonego stronnictwa, gotującego się do wystąpienia na nowo na plac chwały, dla odwetowania krzywd publicznych, które jego wspaniałą duszę nierównie więcej rozjątrzały, niż te wszystkie osobiste, jakich był doświadczyl. Jakkolwiek był uradowany przybyciem nadobnej Elżbiety po tak długim z nią rozstaniu, ten poświęcony dla kraju obywatel nie pozwolił jej zatrzymać się w Bychowie nad dni pięć, właśnie ile mu wystarczyło czasu, dla skupienia popolitego ruszenia szlachty Mściławskiej i Rzeczyckiej, z którą wyruszył ku Pińskowi; bo już mu było wiadomo, że Gąsiewski wahał się w wierności swojej dla króla Szwedzkiego, a więc chciał do niego zbliżyć, żeby tym śmiałym krokiem skłonić go do stanowczego oświadczenia się na stronę konfederacyi Tyszowieckiej za przykładem województwa Mściławskiego, które pierwsze na Litwie akces do niej zrobiło, a swoim marszałkiem ogłosiło starostę. Nadto już dochodziły do niego

wieści o porażce Szwedów pod Potuszą; sam więc wystąpił na czele przeszło tysiąca szlachty, a swojej żonie kazał wrócić do Warszawy i tam go oczekiwać.

Starościna bez szwanku wróciła do Warszawy, i jako wprzód, ulokowała się w komnatach swojej przyjaciółki. Łatwo można wyobrazić sobie radość tych dwóch anielskich istot, kiedy rzuciły się we wzajemne objęcia. Której radość była większą, tego odgadnąć nie można. Obie równo były przywiązane do siebie, obie nic tajnego przed sobą nie miały. Elżbieta wiedziała, że Eleonora jest nieszczęśliwą, że potrzebuje pociech dla serca, i że pod tym względem ma obowiązki przyjaźnią nakazane, jako strona szczęśliwsza, a jakkolwiek czuła w sobie gotowość do wszelkich poświęceń, zawsze się jej zdawało, że nie dość jeszcze umie ją kochać, że nie dość się wywiązuje względem niej z powinności przyjaciółki. I to uczucie, które czuła serca tylko pojmują, nie dopuszczało jej w pełni kosztować tego szczęścia, jakiego doświadczała przyciskając do swojego serca tę, którą kochała nad życie. Eleonora swobodniej oddawała się radości, bo kto ciągle jest dręczony losem, tak że nawet nie przeczuwa w nim zmiany, ten chwytając z uniesieniem każdą chwilę przerwy w swoich cierpieniach, — upaja się nią jakby rzeczywistym szczęściem, i radby tę chwilę do nieskończoności przedłużyć. I to nam tłumaczy ten fenomen osobli-

szy, ciągle się urzeczywistniający przed naszymi oczyma, że ulubienicy fortuny, ci o których mówią, że wszystko się im powodzi, pośród otaczającej ich wesołości przynoszą zamyślenie i ponurość, podczas kiedy ci, którzy całkowity żywot przehartowali w przeciwnościach wszelkiego rodzaju, w których sercu zgryzoty zapuściły coraz głębsze korzenie, te nieszczęśliwe istoty, lubo rade unikać towarzystwa ludzi, w których nawet bliźnich upatrywać nie mogą, jeżeli jednak jakimś trafem są rzućeni wśród ich zabaw, biorą w nich udział z dziecinną aż do hałaśliwości wesołością, właśnie dlatego, że ona nie będąc ich stanem normalnym, jest jakoby paroksyzmem o tyle gwałtowniejszym, o ile krótkotrwałszym.

Dla tego któremu życie stało się ciężarem, samotność jest powabną. Bo zaprzeczeniu nie ulega, że wyjąwszy małą liczbę wyłączeń, człowiek, który wiele cierpiał, ma wewnętrzną wartość wyższą od takiego, któremu wszystko się uśmiechało. Jeżeli więc jest chwilowo rzucony w zgiełk towarzystwa niezdolnego do zrozumienia go, ta wesołość w której objęcia się rzuca jest dla niego jak odurzający trunk. Skoro się wytrzeźwi, powraca do zwykłych zgryzot, czując, że mu jeszcze ubyło sił do ich znoszenia. Ale obcowanie z przyjacielem nie jest wyjątkiem z samotności. — Jeden starożytny filozof pięknie orzekł przyjaźń temi słowy: — Kiedy jestem z moim przyjacielem, nie czuję żeby nas było dwoje,

a przecie nie jestem samym. — Nieszczęśliwy łaknie przyjaźni, bo zwykle jest usposobionym do spełnienia jej świętych obowiązków, ale ta żądza jego duszy zawsze będzie zawiedziona w okresach wygórowanego ukształcenia, bo któż zechce być przyjacielem nieszczęśliwego \*) i przyjąć na siebie podobny ciężar?

Ale w dawnych czasach, kiedy w życiu więcej było uczucia, niż wyrachowania, przyjaźń nie była umówionym wyrazem, ale rozwijała się w czynach i ofiarach. Eleonora i Elżbieta mogły służyć za wzór tego uczucia dusz szlacheckich, które wszystkie promienie moralne skupiając w podwójnym ognisku, omal że nawet miłości nie przewyższa swoją potęgą. Było widzieć, jak ich oblicza zbliżone do siebie, po niekrótkim rozdziale, jaśniały jakimś uroczym blaskiem, — jak we wzajemnych uściskach do siebie mówiły tylko tym językiem duszy, który dla obcych wydawałby się milczeniem, a jednak tak dokładnie przez nie był rozumianym.

Jeszeze nie były się nacieszyły z siebie, kiedy książe marszałek ze swoją szanowną małżonką przy-

---

\*) Miłują siebie jak biedni—mówi francuzkie przysłowie, a nigdy mądrość narodów więcej filozoficznie nie mogła przemówić. Wszakże dzięki spustoszeniom przez racjonalizm sprawionym, już to święte przysłowie zostało kłamstwem.

byli do komnaty córki, żeby powitać miłego gościa, i powinszować mu powrotu szczęśliwego do opiekuńskiego domu. Księżę, pamiętny na święte obowiązki gościnności, ani potrafił o rzeczy dla niej drażliwe, któreby mogły w czemkolwiek dotykać jej męża, lubo to dla niego nie było tajemnicą. A tylko wraz ze swoją czcigodną księżną robił jej pytania, li tylko jej osoby dotykające, o przygodach jej podróży, i czemu mogli jej uprzyjemnić powrót do domu? I wyszli oboje, nie chcąc dla nich być natrętnymi. Nie uszło uwagi jasnowidzącej przez przyjaźń starościny, że księstwo, które lubo swe dzieci nad wszystko miłowało, zawsze w obcowaniu z córką zachowywało stosowną do ówczesnych obyczajów rodzicielską powagę, zdawało się odstępować od jej prawideł, dopuszczając się względem niej czegoś podobnego do pieszczot.

Kiedy zostały same, po pierwszych a milczących niesieniach, już nacieszywszy się swoim połączeniem, nadeszła chwila zwierzeń. Serce Eleonory przepełnione uczuciami, które od kilkunastu tygodni zamknięte były w jego głębiach, łaknęło potrzeby wynurzenia ich w łonie przyjaźni. W tych wynurzeniach mało było takich, jakichby już Elżbieta nie była świadomą, a jednak skwapliwie i z natężoną uwagą słuchała tych powtarzań, któreby były ciężarem dla słuchacza zimnego, nie umiającego się jednożyć z cierpieniami, jakich sam nie doświadcza. Obie

przyjaciółki usiadły obok siebie na ottomance, spłotszy swoje dłonie, a Eleonora tak zaczęła:

— Droga Elżusiul to, co ci powiem, będzie po większej części powtarzaniem tego, co ci już tyle razy mówiłam. A jednak ulgę znajduję w tem powtarzaniu, przypominając sobie czasy mojego dzieciństwa w pierwszej młodości, roztaczając ich obraz przed tobą, zdaje mi się że do nich powracam, i że te błogie chwile, tak chyżo upłynione, wskrzeszają się mojem opowiadaniem, przedłużają się dla mojej duszy, i uczają mi siły do wynurzenia przed tobą smutniejszych kolei, które już zostały pasmem mojego nędznego żywota.

— Ach, mów! mów, najukochańsza przyjaciółko! Ulżyj swoje troski ciągłym ich wynurzeniem przedemną. Nigdy się nie nasycę twoją ufnością, abym tylko umiała być jej godną.

— Było nas dwoje dzieci, u rodziców. Mój brat, Olbracht, odemnie czterema latami starszy i ja; jeszcze było trzecie między mną a mojem bratem, braciszek, który umarł rok przed mojem urodzeniem. Moja ochmistryni powtarzała mi często, że mój Olbracht, jeszcze prawie niemowlę, nadzwyczajne okazywał przywiązanie dla małego braciszka, zawsze napierał się u niańki, żeby mu pozwalała go kołysać, i ciągle był jego nieodstępnym towarzy-



szem,—tak że kiedy odumarł, Olbracht nie przestawał wołać za nim i płakać, że go nie widzi. A ta czułość w dziecku czteroletniem wielkie wrażenie sprawiła na rodzicach. W tym czasie matka mnie wydała na świat, i dopiero kiedy pokazano Olbrachtowi siostrzyczkę, którą Bóg go obdarzył, powoli zaczął zapominać o bracie, i przeniósł do niej przywiązanie, jakie miał do tamtego. Rośliśmy razem; on starszy, był zawsze moim protektorem. Przywiązanie wzajemne wzmogło się u nas z latami, i była z tego wielka pociecha naszym rodzicom.

Olbracht doczekał się lat dziesięciu, ja miałam siódmy. Dotąd nasze dziecinne przywiązanie nam wystarczało. Nie pojmowaliśmy, żeby mógł być trzeci między nami, któryby brał udział w tem przywiązaniu, kiedy nasz ojciec, powracając z długiej podróży, przywiózł z sobą chłopczyka tych lat, co i mój Olbracht. Nic innego o nim nie powiedział przed swojemi, tylko że to jest sierota, z rodu szlacheckiego, powierzony mu od swojej matki, że przyrzekł jej zatrudnić się jego losem, że chce nieć z niego dla Olbrachta towarzysza i współzawodnika w naukach pod kierunkiem mądrego Oldenkopfa. Zaledwo Olbracht i Gaskold poznali się, ich serca połączyły się z sobą przyjaźnią tak czystą, tak silną, że nie mogła nie wpływać na całe ich przeznaczenie. Przypominam sobie, że patrząc na dowody przywiązania, jakie sobie dawali wzajemnie, długi czas był mi Gaskold

niemiłym; miałam żal do niego, bo widziałam w nim tego, co mi odebrał wyłączną dotąd własność serca mojego drogiego braciszka, i długi czas upłynął, nim się mogłam do niego wzwyczaić. Ten mój wstręt wielce martwił Olbrachta. — Elciu — mawiał często — ty mojego Gaskolda nie kochasz, a więc i mnie nie kochasz. — A ja mu na to: — Ja go nie cierpię, bo ty go lepiej kochasz niż mnie. — Wiadomo wszystkim, że w naszych domach protestanckich nad wszystko baczą, ażeby dzieci czerpały jak najwięcej nauk. Będąc siedmioletnią dziewczynką, już zaczynałam brać udział w ćwiczeniach umysłowych Olbrachta i Gaskolda. Brat starszy odemnie czterema laty, i już postąpiony w naukach, pomagał mi do pojęcia i zachowania w pamięci tego, co Oldenkopf rzucał w moją młodocianą główkę, a w tem dziełnie mu dopomagał Gaskold, z którym już byłam oswojoną. Nam trojgu wszystkie zabawy były wspólne. Gaskold coraz więcej wgłębiał się w moje serce. Wstręt ustąpił miejsca gorącej przyjaźni; przyszło do tego, że nieraz sobie wyrzucałam, że nie umiem już zdać sobie sprawy, kto był dla mnie miłszym: czy mój brat, czy on? W takich to kolejach, w tem błogiem współnictwie uczuć, w tem nierozzerwanem towarzystwie rośliśmy razem. I te lat kilka, które były jakby prologiem dramatu naszego życia, były tak szczęśliwe, że często przychodzi mi ta myśl rozpaczliwa, że już wyczerpawszy aż do dna kielich

szczeńcia, ani jedna jego kropelka nie pozostaje dla naszej przyszłości. Zaczynałam rok czternasty; Olbracht i jego rówieśnik kończyli siedmnasty. Kochałam i byłam kochaną, nie rozumiejąc jeszcze, co to jest miłość. Jednego razu ksiązę ojciec w przytomności mojej rzucił te słowa:— Nasza córka dorasta; trzeba myśleć, jakiegoby męża jej dobrać. — Te wyrazy rzucone może bez myśli, niewypowiedziane wrażenie na mnie sprawiły. Pierwszy raz zaczęłam się zastanawiać, że może być ze mną coś innego, niż to do czego się przyzwyczaiłam, i że to nie jest rzeczą niepodobną, żeby jakiś czwarty do nas się przyłączył, by mnie oderwać od naszego związku, od którego woli jedynej zależeć będę, a któremu sumieniem obowiązana będę być posłuszną, chociażby żądał ofiary z moich uczuć dla brata i Gaskolda. Jakkolwiek byłam przywiązana do Gaskolda, i pewna jego wzajemności, nigdy nie powstała we mnie nawet przelotnie myśl, żeby mógł zostać dla mnie jeszcze czemś więcej, niż przyjacielem, bratem. Kiedy więc ksiązę ojciec odezwał się, że już czas myśleć o mojem postanowieniu, natłok nowych wyobrażeń snuć się zaczął przedemną. One oświeciły mnie o stanie mojego serca, a przytem odkryły mi bezdenną przepaść, nad którą stałam, bo ujrzałam uśmiechające się do mnie szczęście, a przy niem i zaporę, która mnie od niego przegradzała na zawsze. Ty co jesteś córką Chodkiewicza, a żoną Sapiechy, wiesz najlepiej do

jakiego stopnia jest wygórowana pycha naszych historycznych rodów. Wszystkie prawa i ustawy, zabezpieczające równość szlachecką w naszej Rzeczypospolitej, są bezsilne przeciwko tej potężnej namiętności, z jednego do drugiego pokolenia przekazanej, a zwiększającej się z każdym nowym zaszczytem, z każdą nową usługą dla kraju. Przynajmniej w waszych domach katolickich obudwóch wyznań, ta pycha niekiedy zasypia w jakiejś rubasznosci. Ona jest u nich skutkiem nałogu, ku któremu natura ludzka aż nadto się skłania, tem więcej, że się wzmacnia samem ich położeniem w narodzie, i że jest wypięstowany pochlebstwami tych, co z nich czerpią i swój byt i wszelkie nadzieje wyniesienia się nad innemi. Ich pycha jest osobistą, ale że nie jest wyrozumowaną, że nie służy im za zasadę polityczną i za prawo postępków, a więc objawia się tylko jakiemiś wybrykami. Każdy z nich swoją przewagę rad przypisać swojej wartości osobistej; szczerze wierzy w równość szlachecką, i z upodobaniem powtarza, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. A chociaż wybiera zięciów równych mu w położeniu, przynajmniej ma przekonanie w gruncie serca wyrte, że skoligacenie się z ubogim szlachcicem niczem nie kała rodu dzierżącego władzę, a spadkowo piastującego najpierwsze w narodzie dostojenstwa. Nasze domy protestanckie są przywiązane do kraju, radeby go widzieć wzrastającym w sławie i potędze, ale prze-

siątkie wyobrażeniami za granicą rozwiniętemi, widzą w podaniach ojczystych tylko zabytki ciemnoty i barbarzyństwa, a te, ile jest w ich możności, usiłują zatrzeć z pamięci. Położenie warunkowe, jakie zajęły w kraju, radeby wyraźnem prawem utrwalić dla swoich potomków, nie przypuszczając, żeby to czego wzoru nie ma w społeczeństwach zachodniej Europy, zasługiwało na nazwę rządu i ukształcenia. Pycha rodowa już u nich jest nie igraszką namiętności, ale zasadą polityczną, na której opierają w nadziejach swoich trwałość i szczęście kraju. Nie przyznając szlacheckim rodom z sobą równości, nawykli zięciów i synowe szukać tylko w domach historycznych kraju, a często w panujących niemieckich, ani przypuszczają, żeby wolno było potomkom rodów, nie odznaczających się licznemi krzesłami w Senacie, oczy podnosić na ich córki. Mieliby to za największą obelgę, pieszcząc w myśli to przekonanie, że szlachcic polski względem magnata ma być w takich samych stosunkach, w jakich szlachcic niemiecki zostaje względem książęcia rzeszy. Ta sama obyczajowa wyniosłość moich rodziców stała się przyczyną mojego nieszczęścia. W ich myśli powstaćby nie mogło, żeby stosunki księżniczki z młodzieńcem bez imienia miały stać się niebezpiecznemi dla jej serca, — żeby zgodność w wychowaniu, równość w przymiotach, tożsamość w charakterach, zrównoważyć mogły nierówne urodzenie. Obojętnie patrzali na naszą

przyjaźń dzieciinną, i nic innego z niej na przyszłość nie wnioskowali, tylko że kiedyś Gaskold będzie wiernym sługą mojego brata i jego domu. Wtedy dopiero w zupełności poznałam, ile on był dla mnie miłym. Nowa przygoda wydarzyła się dla nas; zaburzenia, napady zagranicznych wojsk, podział narodu na stronnictwa, różne bunty chłopstwa przeciw swoim panom, gotować się zaczęły na nieszczęście naszego kraju. Jednak jeszcze cieszyliśmy się ostatnimi chwilami spokojności naszej Rzeczypospolitej, kiedy księżę ojciec, zadość czyniąc naleganiom księżnej matki, troskliwej o los jedynaka, postanowił wyprawić Olbrachta do naszego wuja, księcia elektora Falcgrafa. Gaskold był z początku przeznaczony jemu na towarzysza, i kiedyśmy w troje rozmawiali o tym przyszłym wyjeździe, tęskność serca łązy często mi wyciskała. Myśl, że wkrótce rozstanę się z temi drogiemi dla mnie istotami, przesywała mnie jakby zimnem żelazem.

Kilka dni przed odjazdem Olbrachta, księżę ojciec oświadczył mi, że zmienił postanowienie, i że Gaskold pozostanie w Birzach. Na próżno brat mój błagał ojca, żeby go nie rozłączał z przyjacielem; jego wola była niezachwiana, i stanowczo odmówił mi w sposobie takim, że zasmucony Olbracht już nie śmiał nalegać. Języki ludzkie były przyczyną tej zmiany. Doszło do wiadomości księcia, że mówiono, iż te szczególne względy, jakie sierota był u niego

pozyskał, na równi będąc wychowany z jego dziećmi, były wywołane głosem natury, — że Gaskold był owocem potajemnej miłości księcia. Usiłowano zgadnąć, kto jest jego matką, i w rozmaitych domysłach niektórzy nawet odważali się ją mianować. Wiadoma ci surowość obyczajów naszych domów protestanckich; jak w nich nie szczędzą ostrych wymówek katolikom za rozwolnienie ich moralności, i jakaby była tych radość, żeby mieli prawo te im czynione zarzuty odwrócić na osobę naczelnika całego stronnictwa protestanckiego w Polsce. Książę lubo czysty na sumieniu, ale oględny na sławę nie tylko własną, ale i swojego wyznania, uczuł w sobie powinność odmienić się zupełnie względem Gaskolda, tak że o ile wprzód sam potakiwał pierwszym związkom jego przyjaźni z synem, o tyle odtąd usiłował ją skrócić. Rozstali się przyjaciele przejęci smutkiem, a co do mnie wyznaję, że w tej zgryzocie mojej po odjeździe brata miałam za pociechę, iż codzień będę mogła patrzeć na Gaskolda, który coraz droższym się stawał dla mojego serca.

Położenie Gaskolda w Birzach znacznie się pogorszyło. Dopiero uznawany niemal za równego synowi, teraz wmięszany w grono zwyczajnych dworzan, oddany był pod władzę marszałka dworu. Przynajmniej ten zwierzchnik książęcej służby wiedział kim był Gaskold, a tem samem zanadto go szanował, by mu dać uczuć brzemień swojego zwierzch-

nictwa. Ale ze strony księstwa już nic innego nie doświadczał, tylko lodowatą oziębłość. Księżciu musiała być przykrą, że się okazywał niesprawiedliwym względem niewinnego Gaskolda; ale że był przekonany, iż w tem ulegał powinności, żadne względy nie były zdolne zboczyć go z drogi, po której postanowił postępować. Z tem wszystkiem Gaskold był nie-szczęśliwym; ja jedna podzielałam współczuciem jego cierpienia, a tem samem coraz więcej przywiązywałam się do niego.

Nikt się nie domyślał w Birzach naszej miłości, a co do nas samych, aż nadto byliśmy o niej przeświadczeni, lubośmy o tem z sobą nigdy nie mówili. Byłabym szczęśliwą, a jednak i wychowanie moje i przekonania, które pomimowolnie były wkorzenione w mojej duszy, dręczyła mnie jeszcze więcej niż bojaźń, żeby moi rodzice nie dowiedzieli się, że odważyłam się rozrządzić mojem sercem bez ich zezwolenia, gdyż żadnego rozwiązania przeczuwać nie mogłam dla moich uczuć. Kochałam miłością czystą ognistą, pożerającą, — kogo? — oto młodzieńca bezimiennego, sierotę bez krewnych, sługę domu mego. Oddana nawet własnej woli, nie mogłabym pomyśleć bez strachu o połączeniu mojej z jego dola. Zestąpić z stanu w którym Opatrzność mnie umieściła, z księżniczki świętego państwa rzymskiego zostać szlachcianką, a może mniej jeszcze niż szlach-

cianką, zerwać wszelkie stosunki z moim świetnym rodem, — nie, nie! nigdybym nie była zdolną tak wielkiej ofiary uczynić dla miłości. Jakkolwiek z lubością pieściłam w mojej wyobraźni obraz szczęścia, które jeden Gaskold mógł mi zapewnić, uczucie wstydu i poniżenia ten słodki obraz oszpecało. Gorzkie łzy wylewałam nad sobą; często przypisywałam tę szaloną miłość, która mnie pożerała, karze Boskiej na potomku za dumę i wyniosłość przodków; poprzyśiegałam, że ile razy spotkam Gaskolda, odwrócę od niego oczy, że rysy jego wypruję z mojej duszy. Niestety, jego widok wszystkie te moje przedsięwzięcia wywracał.

Wszczęła się wojna na Litwie; ksiązę ojciec z początku stanął w obronie króla. Połączony z hetmanem Gąsiewskim, kilkakrotnie stawiał czoło wojsku szwedzkiemu, zawsze nieszczęśliwie. Gaskold, wraz z innemi dworzanami księcia, brał udział w tych wyprawach, i pozyskał chwałę dzielnego wojownika. Wszakże gdy hetman Gąsiewski pierwszy odstąpił królewskiej sprawie, ksiązę ojciec, znękany nieszczęściem, za jego przykładem pogodził się z królem Szwedzkim, i został najwyższym wodzem jego partyi w Polsce. Powrócił więc do Birzów ze swoim rycerstwem, a jakkolwiek pod jego okiem wsławił się był Gaskold, w niczem nie zmienił trybu swojego z nim postępowania.

Tu Eleonora przerwała swoje opowiadanie; potrzebowała odpocząć, odkładając resztę [na później, tem więcej, że już pora była spóźnioną.

## ROZDZIAŁ XXVI.

Nazajutrz zrana przyjaciółki znowu siedziały koło siebie. Eleonora była zamyślona; Elżbieta, nie chcąc jej marzeń przerywać, przez długi czas milczała. Nakoniec odezwała się:—Droga Elciu, opowiedz resztę twoich wydarzeń, wylej je w łono przyjaciółki, nigdyś mi ich nie opowiadała z takimi szczegółami.

— Chcesz, ażebym kończyła? Będę ci posłuszną, a nawet przyznam ci się, że tem mojem opowiadaniem przynoszę sobie jakąś ulgę. Słuchaj:

— Miałam lat siedmnaście. Mówiono o mnie, że byłam piękną. Muszę ci przypomnieć ucztę, na którą król Szwedzki zebrał w Wilnie, co tylko było

najświetniejszego w Litwie. Jeszcze to wtedy, po pierwszym roku twójego pożycia z mężem, oddzielona od niego przemocą, będąc przez niego oddaną księciu w opiekę, długo opierałaś się chęci jego, znajdowania się na uczcie u tego, który wywołał z kraju twójego męża i naznaczył cenę na jego głowę, a na silne nalegania księcia, jako opiekuna, dopiero na wpół z płaczem jego woli uległaś. Jeszcze to wtedy była powstała sprzeczka o nasze piękności, która pomimo naszego smutku, wielce nas rozśmieszyła. Partya, na ziele której był młody książę Karolson, chciała mnie mieć za najpiękniejszą w tem zebraniu; druga, prowadzona przez księcia Kurlandzkiego, za tobą się ogłosiła, a pan hetman Gąsiewski rozochocony, puścił to zadanie na kreski i sam je zbierał. Otóż między nami podzieliła się zupełna równość zdań. Czterdziestu dwóch ogłosili ciebie królową balu, a tyłuż mnie przyznało wyższość. Hetman, odkrywając to przed nami dodał:—Jakże panie nie macie się kochać, kiedy we wszystkim jesteście z sobą równe, że chyba sam król między wami paritatem rozwiąże.

Ty się wkrótce potem udałaś na mieszkanie do Lachwy, za zezwoleniem opiekuna, bo uważałaś to ustronie być przyzwoitszem dla małżonki wywołanego męża, niż zgiełk zamku Birzowskiego, zamieszkałego przez nieprzyjaciół twego męża, a my wrócili do Birzów.

Mnóstwo dostojnych kawalerów zaczęło się ubiegać o moje serce, bo żaden z nich nie wątpił, iż to serce było wolne. Między tymi zalotnikami, bez wątpienia, najsposobniejszym do wzbudzenia miłości w sercu kobiety był mój krewny, książę Janusz Radziwiłł, i gdybym mogła niem rozrządzać, jemubym je oddała, bo do najgruntowniejszych przymiotów duszy on łączy wszystkie zewnętrzne ponęty, i ty, co go znasz dobrze, sama przyznasz, że może służyć za wzór naszym kawalerom. On mnie ubóstwiał; ja dla niego miałam największy szacunek, i oprócz miłości nie było szlachetnego uczucia, którego by we mnie dla siebie nie wzbudził. Sama przed sobą jego sprawy broniłam. Usiłowałam zapomnieć o Gaskoldzie i oddać się Januszowi. Myślałam, że to jedno z czasem zdoła mnie wleczyć z tej gwałtownej skłonności, którą nie przestawałam sobie wyrzucać jako hańbę, jako zniewagę mojej krwi. Książę Janusz był nas odjechał na kilka dni do dóbr swoich. Oczekiwałam jego powrotu z niecierpliwością, postanowiłam, że jak powróci, a do mnie się uda ze zwykłym naleganiem, abym mu nadziei uzyskania kiedyś mojej wzajemności nie odmawiała, moją odpowiedzią upoważnię go, by się udał do moich rodziców i zapewnił ich, że jeżeli jego oświadczenie się o moją rękę łaskawie od nich przyjęte będzie, o czem wątpić nie mogłam, ja z mojej strony zadość czyniąc ich woli, pójdę nie tylko za głosem powinności, ale nawet za uczuciem

serca. Znając szlachetność Janusza, chciałam przed nim odkryć wszystkie tajniki mojej duszy i powiedzieć mu:—Posiadasz mój szacunek, moją ufność, więcej ci dać nie mogę; co do mojego serca, widzisz, czem ono jest zajęte. Powierzam się tobie, chron mnie od uczucia, które mnie upokarza.

O! ile razy zazdrościłam wam waszego wyznania, w którym dziewica może poświęcić się Bogu i odosobniona od ludzi, w jego łonie składać wszystkie swoje troski. Protestantyzm potępia te dobrowolne śluby, bo utracił pojęcie niektórych udręczeń duszy, a tem samem leków zdolnych ją uspokoić. Bezsilny do przyniesienia pociechy cierpiącemu, gwałtem przywiązuje do świata nieszczęsnego, który od niego, samych tylko zawodzeń doświadczył. Jakby nie wiedział, że są takie założenia, o jakie wszelka potęga rozumu rozbić się może, a które jedynie przez wyższe posiłki rozwiązać się dają.

Nigdy zgiełk towarzystwa nie miał dla mnie powabów, a tem mniej w mojem położeniu. Ty, co mnie znasz najlepiej, wiesz, że bez zadania sobie takiego gwałtu nie umiem bawić się w tych licznych zgromadzeniach, do których uczestnictwa stanowisko, jakie zajmujemy w społeczeństwie, tak często nas przymusza. Jeżeli nie mogę obcować z sercem, które moje rozumie, osamotnienie jest mi lube. I w tym względzie rodzice moim skłonnościom za-

dnej przeszkody nie stawiali. Musiałam znajdować się na ucztach i zabawach wieczornych, które często w Birzach się powtarzały. Tam trzeba było pomagać rodzicom do przyjęcia gości, tak ze stanu najwyższego, jako i z braci szlachty, dla których nasza obyczajowość jeszcze więcej uprzejmości od nas wymaga; tu musiałam wypełniać obowiązki córki. Ale oprócz tego byłam panią mojej woli, i rozrządzałam gwoli upodobania czasem, rozrywkami i zatrudnieniami. Wszystko co mnie otaczało, począwszy od mojej ochmistrzyni, było mi posłuszne. Postanowiłam więc raz na zawsze, żeby bez wyraźnej mojej woli nigdy natrętna usługa nie przerywała mojej samotności.

Ogród Birzowski był dla mnie zawsze miłym siedliskiem; lubiałam przechadzać się sama między niebotycznymi świerkami jego chodników. Był jakiś ścisły stosunek między ich poważną ponurością, a stanem mojej duszy. A wtedy, kiedy oczekując przybycia księcia Janusza gotowałam się do ostatniej walki z uczuciem, które mnie udręczało, samotność tych jego pęsepnych ulic stała się dla mnie niezbędną potrzebą. Przez cały dzień pokazałam się mężną; pomagałam jak zwykle rodzicom przyjmować gości, a między niemi byli i tacy, o których wiadano, że ubiegają się o moją rękę, a mianowicie książę Daniel Dorohostajski, wojewoda Witebski. Byłam dla nich grzeczną, uprzejmą, wielomówną, usiłowa-

łam pokazać się wesołą, a co więcej, ani rzutem oka nie zaszczyliłam Gaskolda, który po kilkakrotnie pojawił się wraz z innemi dworzanami w naszym zgromadzeniu. Była to walka nad moje siły, a jednak z taką odwagą w niej się potykałam, że nikt domyśleby się nie mógł, ile ona mnie kosztowała.

Kiedy po skończonym wieczorze wróciłam do komnaty, smutek który mnie przygniatał, o ile tak długo usiłowałam go pokryć, o tyle więcej dał mi uczuć swoje brzemie; lży obfite ulgi mi nie przyniosły; nadaremnie sen przywoływałam, on uciekał z moich powiek. Pasowałam się z sobą w poroszonej łzami pościeli, nakoniec wstałam z łóżka, rzuciłam na siebie ranną szatę, którą jednak starannie opasałam szarfą, i udałam się na balkon wychodzący z mojej sypialni, a z którego widok rozchodził się po ogrodzie zamkowym.

Więcej niż dwie godziny przedzielały naturę od pojawu pierwszych promieni słońca. Ale jego gońce już wątpliwem światelkiem zaczynały mu torować drogę. Wszystko spoczywało pod ołowianem berłem snu, oprócz serc nieszczęśliwych. Noc była przesłizna; księżyc nie przyświecał, ale najmniejsza chmurka nie pozazdrościła ziemi słodkiego blasku gwiaździstych pułków Najwyższego. Jest coś uro-



czystego w tej przezroczystości niebios, letniej nocy Litewskiej. Starożytne jodły i świerki rysowały się pod mdławemi promieniami, na nie z górnych sklepień spadającemi. Wśród powszechnej ciszy zdawało się, że cienie moich przodków błakają się między drzewami, przed wiekami ich ręką zasadzonymi. Było to widowisko tak poważne, tak błogie, tak harmonizujące z mojami myślami, że przez dość długi czas byłam w istotnem zachwyceniu.

Tymczasem coraz gorętsze światelko wyselała przed sobą jutrzienka. Już ptaszki z pod drzew gałęzi przerywać zaczynały ciszę, szczebiotliwy swój hymn podnosząc do Stwórcy. Już drzewa zaczynały przybierać zielonawą barwę. Zdawało mi się, że coś gwałtem popycha mnie do ogrodu, dla powitania rychło nadejść mającego słońca. Budzę jedną z moich służebnic, każę jej wiaść na prędcę jakąś odzież i spuścić się za mną do ogrodu. Idziemy; wstępujemy w ulicę kasztanową najbliższą zamku; ja idę przodem, dziewczyna z tyłu o kilka kroków. Postępuję zatopiona w zadumaniu; wtem napotykam tego właśnie, którego troskliwie usiłowałam unikać.

On siedział na kamiennej ławce, głowę miał pochyloną, a tak był zatopiony w myślach, że nie spostrzegł mojego zbliżenia. Wyraz jego twarzy był tak smutny, zdradzał tak głęboką bolesć duszy, że byłam przerażoną tym widokiem. Wszystkie mo-

je postanowienia w jednej chwili wywrócone zostały. Przybliżyłam się do niego w milczeniu, rada jego duszę przeniknąć, chociaż aż nadto wiedziałam, co się w niej dzieje.

Gaskold przebudził się nakoniec ze swoich marzeń, powstał raptownie i pełnym uszanowania ukłonem mnie powitał. Ja pierwsza do niego przemówiłam. Cóż ci powiem o naszej rozmowie? Dotąd nie mówiliśmy z sobą nigdy o naszych wzajemnych uczuciach, a jednak jakimś tajemniczym związkiem dwóch serc miłością zjednoczonych aż nadto byliśmy ich świadomi. Dopiero wtedy wyznaliśmy je przed sobą otwarcie; o niczem innem nie byliśmy w stanie mówić, ale wyznając sobie naszą miłość, nie tailiśmy przed sobą niepodobieństwa, by ona kiedykolwiek mogła być uwieńczoną.

Gaskold odkrył przedemną tajemnicę swojego urodzenia, że był prawym synem i spadkobiercą kniazia Stefana Dorohostajskiego. Ale jeżeli to jego urodzenie usprawiedliwiało moje uczucie, jeżeli już nie miałam powodu rumienić się z przywiązania dla osoby stanu nieodpowiedniego temu, w którym Opatrzność mnie umieściła, to bynajmniej nie mogło wzniecić w nas jakichś zachęcających nadziei.

Przez długi czas dyssydenci Litewscy dzielili się na dwa stronnictwa: na czele jednego stał książę ojciec, drugiemu przywodził książę Daniel Doroho-

stajski wojewoda Witebski, stryj i prześladowca nieznanego mu Gaskolda. Oba stronnictwa, dotąd sobie niechętnie skutkiem nieporozumienia ich wodzów, były się zjednoczyły. Już wyniosły książę zaczynał się dawać powodować księciu ojcu, a wszyscy dyssydenci pragnęli ten ich związek uczynić jeszcze ścisłym. Dziki Daniel, ulegając wymaganiom swojej partyi, oświadczył się jawnie o moją rękę. A lubo różnica wieku i wychowania zdawały się stawić nieprzełomne zapory podobnemu związkowi, interes stanu, jak to mówili doradcy księcia, winien był przemóżyć wszelkie przeszkody natury i wstręt, którego nie mogłam nie czuć do zalotów kawalera podeszłego, a do tego istnego barbarzyńca.

Książę ojciec, jako mąż stanu, sprzyjał widokom kniazia, bo przez to połączenie zapewniłby sobie ze statecznym, bo już przyrodzonym posłuszeństwem kniazia, wyłączny kierunek całej Litwy, tak że i hetman Gąsiewski, z którym oddawna był w nieporozumieniu, musiałby mu ulegać. Ale że był nietylko dumnym wodzem potężnej partyi, ale i czułym ojcem, oświadczył kniaziewi, że niczego tak wielce nie pragnie, jak go nazwać swoim synem, ale że nie przyznaje sobie prawa przynaglać wolę córki, gdyż pod prawem Ewangelii, której obaj są wyznawcami, całą ważność małżeństwa opiera się szczególnie na wolnej woli stron, które je z sobą zawiązują. Wszakże upoważnia go starać się o przyzwolenie córki, zapewnia-

jąc mu wszelką do tego godziwą pomoc ze swojej strony, a ponieważ serce tej córki jest wolne, więc pochlebia sobie, że wysokie przymioty kniazia zdołają z czasem szacunek jej ku niemu skłonić.

Odtąd książę był tak dobrze jak domownikiem w zamku Birżańskim, i nie było zabiegu, któregoby zaniebwał, ażeby się mnie podobać. Nie żeby mnie kochał, bo podobny człewiek nie kochać nie może, ale żeby ludzie nie myśleli, że może być jakieś jego przedsięwzięcie, któregoby nie mógł do skutku doprowadzić. Naprzykrzał mi się swojemi zalotami; nawet mówić do mnie nie umiał, ale życzliwość tych wszystkich co mnie otaczali, zacząwszy od mojej ochmistrzyni, hojnością swoją zdołał zaskarbić. Umęczoną byłam ich radami, żeby nie odrzucała tego zalotów; ile korzyści cały kraj otrzyma z połączenia domu Radziwiłłowskiego z domem Dorohostajskich. To wszystko, oprócz ckliwości, innego wrażenia na mnie nie sprawiało; istotną byłam męczennicą, aż nakoniec pogroziłam wyraźnie mojej ochmistrzyni, że jeżeli nie życzy sobie być oddaloną, niech się nie waży wtrącać do mojego postanowienia.

O tem wszystkim wiedział Gaskold, a w naszej rozmowie i te okoliczności powtarzane niemało nas zasmucały, bo nie ulegało wątpliwości, że gdyby nawet Gaskold odzyskał to, co mu się prawem urodzenia należało (rzecz niepodobna w położeniu, w jakim

Rzeczpospolita zostawała), i w takim nawet razie nie było mu wolno pochlebiać sobie, że księżę ojciec zezwoli na połączenie córki z nieprzyjacielem tego, z którym był związany tak ścisłym węzłem politycznym. Nadtośmy go znali, żeby przypuścić, iż w nim czułość ojca może przeważać widoki naczelnika potężnego stronnictwa. Nic dla siebie oczekiwać nie mogliśmy z przyszłości, i nasza rozmowa na tem się skończyła, że musiałam mu przyrzec, że codzień o tej samej godzinie będę w tej alei, żeby z nim kilka chwil przepędzić, póki nie opuści Birżów, gdyż mi oznajmił swoje postanowienie udania się do Manheimu, do mojego brata, dla zasięgnięcia rady, co nadal ma z sobą robić.

W tym czasie księżę ojciec, powołany przez króla szwedzkiego, wyjechał do Wilna, a Birże i nas wszystkich poruczył opiece kniazia Dorohoostajskiego. Książę aż do powrotu księcia był istotnym panem w Birżach; wszyscy od niego zależeli, i wszystkich ujął w swoją żelazną rękę. Wszyscy lękali się człowieka, o którym wiadano, że najmniejszego oporu woli swojej znieść nie umie, i że nie ma rzeczy, którejby się nie dopuścił względem tego, któryby się ważył jej sprzeciwić. Zauważyłam ze strachem, że ile razy spotykał się z Gaskoldem, jego widok zdawał się zawsze piętnować na nim jakieś niemiłe wrażenie. Już od niejakiego czasu on jawnie starał się o mnie z tą natrętną odwagą, jaką mu dawało upoważnienie

moich rodziców, a lubo jak zwykle zdawał się być dla mnie uległym, odtąd aż nadto wyraźnie dawał do poznania, że żadnego współzalotnika o moją przyjaźń nie ścierpi, jakiegokolwiek byłoby jego położenie w społeczeństwie. A postrach, jaki był powszechnie wzniecił, był tak wielki, że chociaż zawsze mnóstwo szlacheckich kawalerów bywało w zamku Birżańskim, żaden się nie odważył do mnie przybliżyć. Wśród towarzystwa liczego byłam zawsze odosobnioną, i to bynajmniej nie było dla mnie przykrem.

Niech to ciebie nie zadziwia, że księżę ojciec tyle pokładał ufności w kniaziu Danielu, że aż pragnął mu powierzyć los jedynej córki, bez względu na różnicę wieku, wychowania i uczuć. Książę bez wątpienia, oprócz wstrętu, nic innego nie mógł wywołać w sercu młodej dziewczyny, ale posiadał przymioty zdolne do wzniecenia szacunku w mężczyźnie, a zwłaszcza w naczelniku partii. Okrutny, nieubłagany, gwałtowny, dumny, niesyty bogactw i władzy: w obliczu mężów rycerskiego stanu to wszystko okupuje nadzwyczajna odwaga, jaką natura go obdarzyła. Przebaczają lekceważenia cudzego żywota temu, który swojego własnego nigdy nie oszczędzał, a który do wściekłej odwagi żołnierza łączy roztropność wodza; niemniej przebaczą, zwłaszcza u nas, nieokrzesanie umysłu temu, który umie dosiedzieć nieujarzmionego konia, oszczepem pojedynczo pokonać rozjuszonego niedźwiedzia, rozbroić nacierającego

nieprzyjaciela. W tem książę celuje, i już to jest dostateczne dla zapewnienia mu wziętości w naszym bitym narodzie. A cóż dopiero, kiedy do tego łączy cnotę wprawdzie jedyną, ale właśnie taką, która jest najwyższą szacowną od ludzi szlachetnych, a tą jest dotrzymanie raz danej obietnicy? Ten człowiek, który z wszelkich praw ludzkich i boskich czyni sobie igraszkę, jest niewolnikiem danego przez siebie słowa. I już to samo rozgrzesza go ze wszystkich jego postępków, aczkolwiek niegodziwych, przed rodakami, a zwłaszcza przed naczelnikami stronnictw, i to tłómaczy tajemnicę, dlaczego książę ojciec, tak umiarkowany, tak starownie wychowany, tyle miał szacunku dla tego barbarzyńca, że nie było ofiary, na którąby się nie zdobył, dla uzyskania i zachowania podobnego sprzymierzeńca.

Książę nie mógł nie poznać wstępu, jaki do niego czułam, ale do tego najmniejszej wagi nie przywiązywał. Taki człowiek kochać nie może; on pragnął mojej ręki, ale nie mojego serca. Widział w tym związku zapewnienie dla siebie przewagi na Litwie, połączenie dwóch stronnictw, którymby rej wodził, powiększenie bogactw, skolidowanie się z panującymi w rzeszy Niemieckiej domami, a może i nadzieję być kiedyś obranym na króla. A nadewszystko jego dumą znieść nie mogła myśli, żeby ta, której zażądał, omu innemu się dostała. Winnam mu tę sprawiedliwość oddać, że w swoim natrętym ubieganiu się

o mnie nigdy nie kłamał uczucia. Usiłował przekonać mnie po swojemu, że interes kraju domaga się, bym została jego żoną, i nawet się z tem po kilkakrotnie przedemną wymówił, że jeżeliby nawet miłość nie była wymysłem zniewieściałych próżniaków, ale rzeczywistością, i w takim razie ona byłaby warunkiem jak najmniej potrzebnym do zawarcia związków małżeńskich między ludźmi wyższego stanu, że my oboje, będąc zblizeni do tronu, powinniśmy szukać w tym związkach, tak jak mocarze, korzyści dla naszych rodów, a nie dogodzenia naszym osobistym skłonnościom, — że nigdy nie będzie dla mnie natrętym małżonkiem, ani szturmować do mojego serca, — że z nim będę niewątpliwie szczęśliwą, gdyż we wszystkim pozwoli mi być panią mojej woli.

Tu przychodzi opowiedzieć wydarzenie, o którym wspomnieć nie mogę bez strachu, a które rozstrzygnęło moje przeznaczenie. Nie wiedziałam o tem, że każdy krok mój był śledzony niewidomie przez potężnego nieprzyjaciela mojego szczęścia. Już powiedziałam, że to wszystko co mnie otaczało było kupione od księcia. Nie tylko moje czynności, ale omal że nie myśli były mu doniesione codziennie. Oko jego wszędzie mnie ścigało. Razu jednego Gaskold mi oświadczył, że nazajutrz opuści Birżę. Ja mu odpowiedziałam, że chcę przez niego posłać list mojemu bratu i że o zwykłej godzinie przybędę do tej alei, która tyle razy była świadkiem naszych czułych roz-

mów. Umówiliśmy się z sobą. Wieczorem musiałam jak zwykle znajdować się na pokojach, chociaż myśl, że z Gaskoldem rozstanę się może na zawsze, rozdzierała moją duszę. Książ więcej niż kiedykolwiek zdawał mi się być natrętnym; nie odstępował mojego krzesła, ciągle mi prawił o swoich bogactwach, o zamkach będących w jego władaniu, o liczbie poddanych, sług i klientów, jedynie od jego woli zależnych, nie zważając, że mu wyraźnie okazuję, ile to wszystko co mi mówi jest dla mnie obojętne. Nakoniec pod pozorem silnego bólu głowy wcześniej wróciłam do moich komnat, i nic innego nie było już w mojej myśli, tylko ostatnie pożegnania moje z Gaskoldem w jutrzejszym poranku.

Długo się dręczyłam w tych myślach, nim sen skleił moje powieki. Miałam sen straszny, który napiętnował na mnie silne wrażenie po mojem przebudzeniu. Zdawało mi się, że byłam żoną Gaskolda i że z nim przechadzałam się po obszernej łące; rozmawialiśmy z sobą o naszej wzajemnej miłości, głowę miałam opartą na jego ramieniu. Wtem sęp olbrzymiej wielkości spuszcza się na nas, zapuszcza swoje szpony w biodra mojego Gaskolda, i z nim razem wznosi się w górę. Ja pozostaję na pół umarła, i widzę jak ptak i Gaskold pasują się z sobą w powietrzu. Sęp coraz głębiej zanurza szpony we wnętrzach Gaskolda, a ten obiema rękoma sępa dławi, nakoniec obaj padają na mnie bez ducha i przygniatają swoim cięż-

żarem. Czuję, jak siły mnie opuszczają; już nie mogę oddychać, budzę się, i przez czas jakiś dręcząca duszność mnie nie opuszcza.

Zbliżał się poranek, a z nim i chwila umówiona, w której miałam pożegnać Gaskolda. List do brata leżał gotowy na kantorku, biorę go i spuszczam się do ogrodu, z moją wierną pokojową. Wchodzę do kasztanowej alei, zastaję czekającego Gaskolda. Oddaję mu list. Możesz sobie wystawić, co się z nami działo w tem spotkaniu, może ostatniem dwóch serc zjednoczonych gwałtownem, pożerającym, a jednak najniewinniejszem uczuciem. Umieliśmy oboje poznać niepodobieństwo, ażeby ta nasza miłość mogła być poświęconą u nóg ołtarzy, a jednak pocieszaliśmy się czasem jakąś mgławą nadzieją, że ona cud od Boga wywoła. Wpadaliśmy w uśmiechające się marzenia, które wkrótce groźna rzeczywistość rozpraszała. Wtedy zamieniliśmy z sobą pierścionki na zakład stałości; ja siedziałam na ławeczce z głazu, Gaskold ukląkł przedemną. Podałam mu rękę, on ją przytulił do ust swoich, kładąc na niej gęste i ogniste pocałowania. Oboje byliśmy w zachwyceniu. Radziłyśmy tak uroczystą chwilę przedłużyć do wieczności. Ale jak okropne było nasze przebudzenie, kiedy raptem książ Daniel stanął przed nami na czele kilku swoich siepaczków.

— Nie spodziewałem się, księżniczko, o tej po-

rze zastać cię w ogrodzie—odezwał się książę głosem, który mi się wydał być piekielnym—a jeszcze mniej, żebyś mną pogardzała dla tego nędzarza. Nic mi nie pozostaje, jak tylko dowieść ci, księżniczko, ile mi jest drogą sława twojego domu.—A obracając się do swoich siepaczy rzekł: — Weźcie tego służalca, który się odważył oczy podnieść na córkę swojego pana, i nie tracąc czasu zaciągnijcie mu postronek na szyję, i powieście go na tej gałęzi. — Posłuszni siepacze rzucili się na bezbronnego Gaskolda.

— Stój, okrutniku—krzyknęłam, i ledwo przytomna sobie padłam mu do nóg wyciągając ręce.—Przebac, nie obciążaj sumienia tą niewinną ofiarą, albo nas oboje połącz jednym ciosem.

Książę dał znak swoim oprawcom, żeby się wstrzymali. Podniósł mnie, i oddalwszy się wraz ze mną o kilka kroków, odrzekł:

— Księżniczko! w twojem ręku życie lub śmierć tego nikczemnika, a razem i ocalenie twojej sławy, która powinna ci być droższą jeszcze, niż jego życie. Nikt bezkarnie nie sprzeciwił się Dorohostajskiemu; dotąd on nie umiał przebaczać. A jednak pozwolę mu się oddalić swobodnie, jeżeli zezwolisz na warunek, który jeden ocalić go może!

— Ach mów! mów! wszelki warunek gotowa jestem przyjąć.

— Posłuchaj, księżniczko, i zastanów się nad tem co ci powiem. Wszystko co się tu stało będzie

wieczną tajemnicą pokryte, bo odtąd twoja sława będzie moją. Za dni kilka, jak wiesz, księżę marszałek powraca do Birzów; ja w przytomności zgromadzonej tu szlachty i krewnych Radziwiłłowskiego domu uroczyste będę prosił księcia o twoją rękę. Wiem, że mi odpowie publicznie, tak jak mi odpowiedział, kiedy bez świadków oświadczyłem się przed nim w tym samym zamiarze, że lubo pragnie takiego połączenia, jako chrześcianin nie czuje się być w prawie rozrządzać córką bez jej woli. Dajże mi słowo, księżniczko, że kiedy cię sprowadzą, abys odkryła przed rodzicami ostatecznie twoją wolę, odpowiesz, że z ochotą zezwalasz, bym został twoim małżonkiem. Jeżeli na to nie przystajesz, za mojem skinieniem przedmiot twojego obłąkania żyć przestanie.

Na te słowa odzyskałam zupełną przytomność. Poznałam, że napróżno byłoby odzywać się do wspańiałomyślności tego dzikiego człowieka. Gdyby nóż trzymał na mojem gardle, śmierć umiałabym przynieść nad ten obrzydliwy związek. Ale tu zagrożoną byłam widokiem śmierci wiszącej nad Gaskoldem. Mogłaby być ofiara, na którąbym się nie zdobyła, dla ocalenia tak drogiej głowy? Zdaje mi się, że nigdy tyle nie kochałam Gaskolda, jak w tej chwili, w której miałam się go wyrzec na zawsze.

Przygotowana poświęcić siebie, uczułam w sobie niewypowiedziane męztwo. Zebrałam wszystkie siły duszy i odezwałam się spokojnie: — Zgoda! dam

ci to słowo, którego twoje okrucieństwo się domagał człowiecze bez litości! Ale pozwól mi, bym i tobie podała warunki, bez jakich na twoje żądanie przyzwolić nie mogę. Jeżeli je odrzucisz, dodaj gwoli twojej wściekłości i tę nową zbrodnię do tylu, z jakich osnuło się pasmo twojego żywota, ale bądź pewny że zmuszę ciebie, który oprócz wzdury życia, żadnej cnoty nie szacujesz, do szanowania mojej pamięci. Nic ci więcej nie powiem; obaczysz co słaba kobieta jest zdolna uczynić, kiedy szczęście i sławę utracą.

W mojej mowie była taka uroczystość, że aż lodowate serce kniazia się wzruszyło. Chwycił mnie za rękę i rzekł do mnie głosem łagodniejszym — Uspokój się, księżniczko; powiedz czego żadasz. Trudno ci będzie wynaleźć warunki, na któreby nie pozwolił dla otrzymania twojej ręki.

— Dwa tylko warunki tobie podaję: jeden, ażebyś mi dał słowo, że poprzestając na tem, że będę twoją żoną, że pojedę za tobą, gdzie mi rozkażesz, że we wszystkim będę ci posłuszną, że o ile będzie w mojej możności, przybiorę postać szczęśliwej żony, nigdy domagać się nie będziesz praw małżeńskich odemnie. Wiem, że ty kochać nie możesz, że pragniesz nie mojej osoby, ale związku pochlebiającego twojej dumie, zapewniającego twoją przewagę. A więc to otrzymasz z ręką moją. Czy dajesz słowo, że mogę być pewną, iż tylko dla oka ludzkiego bę-

dę twoją żoną? że w twoim zamku będę miała osobne komnaty, do których bez mojego pozwolenia nigdy nie przystąpisz, gdzie mi nie przeszkodzisz wynagrodzić sobie obfitych łez wylewem zmuszoną pogodę, którą wyklamię na mojem obliczu, ażeby w przytomności obcych ciebie nie zawstydzić?

— Na ten warunek przystaję, księżniczko, i daję ci słowo rycerskie i szlacheckie, że to czego żadasz najświęciej z mojej strony zachowane będzie; a drugi warunek?

— Słuchaj, kniaziu! To nie dość dla mnie, że wypuścisz z rąk swoich oprawców Gaskolda. Znam ciebie, że gotów jesteś zrobić na niego zasadzki, aby moja ręka okupiła tylko może kilkogodzinne przedłużenie jego żywota. A więc musisz mi dać słowo, że nigdy zdradzieckim sposobem nie będziesz usiłował przez siebie, przez swoich, nastawać ani na jego życie, ani na jego wolność; że mu pozwolisz swobodnie wynieść się z naszego kraju.

— I na to przystaję. Słuchaj więc, księżniczko, słów moich, i bądź pewna, że nigdy szwanku nie zadałem mojemu przyrzeczeniu. Poprzysięgam na mój klejnot herbowy, na sławę moją własną i moich przodków, na moją godność senatorską, że w zamian za twoją rękę dozwolę temu Gaskoldowi wynieść się z posiadłości naszej rzeczypospolitej; że nigdy zdradzieckim sposobem nie będę nastawał na niego. Nawet jeżeli powróci do kraju, gotów będę w każdej

chwili stawić się na jego wyzwanie, jeżeli mnie przekonają, że krew szlachecka w jego żyłach płynie; ale nigdy nie narażę go na takie niebezpieczeństwo, którego sam nie podzielał, a jeżeli to dane przezmnie słowo w czemkolwiek nadwerzę, pozwalam, aby mnie za podłego wszędzie ogłoszono.

Cóż powiesz, Elżusiu? Te słowa były wypowiedziane z takim czuciem, nawet zdało mi się, że pierwszy raz ujrzałam na twarzy kniazia jakiś wyraz szlachetności. Było w tem coś takiego, że wątpić nie mogłam, iż żadna przysięga równie święcie dochowaną być nie może. Porwałam go za rękę z uniesieniem, i powiedziałam mu głosem dość śmiałym:—Oddaję ci, kniazniu, moją rękę z pełną ufnością. Możesz się o nią upomnieć u moich rodziców. W ich przytomności dowiodę ci, kniazniu, z jaką odwagą i słaba kobieta umie dotrzymać także słowo przez siebie dane.

Kniazź przybliżył się do swoich, rzucił na nich wzrok surowy, i rzekł piorunującym głosem: — Puście swobodnie tego sługę księcia marszałka. A o tem, coście widzieli, ani słowa! Jeżeli kiedykolwiek który z was z tem się wymówi, każę mu obcęgami wyrwać język. — A do Gaskolda: — Ruszajże w świat, nieśczęsny, i żeby cię oko moje nie spotkało.

Ja oczu nie śmiałam podnieść na Gaskolda, ani go nawet ich rzutem pożegnać. Czułam, że byłam już

niewolnicą kniazia; on mi podał rękę. Drżałam jak liść, musiałam się oprzeć na jego ramieniu, bobym upadła, tak byłam osłabioną. Kniazź mnie pożegnał u podwoi mojej komnaty. Weszłam do niej więcej umarła, niż żywa.



## ROZDZIAŁ XXVII.

Księżę ojciec wcześniej do Birzów powrócił, niż my się spodziewali. Zbliżała się dla mnie fatalna chwila, w której miałam się odrzec wszelkiej nadziei szczęścia. Jeżeli książę wśród zbrodniczego żywota nigdy nie ominął się z prawami honoru szlacheckiego, jedynemi jakie wyznawał, i tem zachowywał szacunek w narodzie, nic mi nie pozostawało, jak okazać się przed własnem sumieniem godną krwi bohater-skiej, która w moich żyłach płynie, i poświęcić szczęście, ażeby honor pozostał w całości. Ani nawet przelotnie nie łudziłam się myślą, bym mogła zawieść ufność mojego przesładowcy niedotrzymaniem obietnicy, którą okupiłam głowę Gaskolda. Czulałam

przygniatający ciężar obowiązku, ale niemniej konieczności, żeby został dopełniony. Ofiara już upełnioną była w myśli; nie pozostawało mi nic, jak tylko ją utwierdzić w czynie, nie tylko z uległością, ale z mężstwem. Miałam przeświadczenie wewnętrzne, że poświęcam siebie dla miłości i honoru; wyznaję, że to mnie wywyższało przed samą sobą, a to uczucie własnej godności dawało mi jakąś niewypowiedzianą siłę do zniesienia wszelkich pocisków nieszczęśliwego losu. Ludzie niższego stanu, zazdroszcząc tym, których traf urodzenia umieścił na wyższych szczeblach społeczeństwa, obwiniają ich o pychę. Zamiast zazdrości litością byłiby przejęci, gdyby się domyślali, jak wielkimi ofiarami zmuszeni jesteśmy okupować tę wyższość naszego położenia (\*).

---

\*) Tak było rzeczywiście w świetnych okresach historycznych narodów. Arystokracja, będąca żywotnym przedstawicielem wielkich podwoi narodowych istnieć mogła, tylko przez nieustanne poświęcenie się swoich członków dla dobra ziomeków. I pokąd była wierną swoim tradycyjnym obowiązkom, potąd przewodniczyła w społeczeństwie. Głównym warunkiem czystości narodów, aby się w nich wyrobiła kasta, nieustannie wyrażająca ducha ofiary, a ta będzie zawsze potężną w narodzie, o ile nie odstąpi od swojego przyro-

W obliczu zgromadzonych krewnych, powi-  
nych, przyjaciół, klientów i sług naszego domu,—  
w obliczu omal że nie całej Litwy, książę wojewoda  
uroczyście oświadczył się przed rodzicami mojemu  
z prośbą o moją rękę. Książę ojciec odwołał się do  
mojego przyzwolenia. Jakież było zadziwienie całej-  
go zgromadzenia, kiedy książę odpowiedział, że gdy-  
by nie był pewny serca księżniczki, tyleby przynaj-  
mniej miał rozumu, żeby nie narazić siebie na zaw-  
stydenie przed tak licznym zgromadzeniem. Posła-  
no po mnie; stanęłam przy rodzicach. Oni mi po-  
wtórzyli oświadczenie księcia, jego przychylności dla  
mnie, i pewnością jaką ma, że mu jestem wzajemną.  
Kiedy książę ojciec dodał:—Miła córko, jakkolwiek

---

dzzonego powołania. Inaczej nie pojmuję arystokracji  
rodowej, i mamy jej wzór w najdoskonalszem społeczeń-  
stwie politycznem Europy. Na jej stałym łądzie ona  
się okazuje w zupełnym upadku; nie żeby niższe klasy  
miały się do niej wywyższyć, ale że sama się poniżała,  
przestawszy być zdolną do spełniania zbyt twardych  
obowiązków; odstąpiła od podań swoich przodków, któ-  
re zanadto trudno było dla niej naśladować. Niech ci,  
co noszą nazwiska historyczne, zostaną jak ich przod-  
kowie, wzorem cnót i światła, a bezwzględnie odzyskają  
swoje utracone położenie w społeczeństwie.

jestem przyjacielem księcia Dorohostajskiego, i rad-  
bym się z nim jak najściślej związkami połą-  
czyć, strzeż mnie Boże, ażebyś miał ciebie przymu-  
szać, do czego by dusza twoja czuła wstręt nieprze-  
łomny. Książę stoi przed tobą i czeka na twoją od-  
powiedź; daj ją taką, jaką ci serce podyktuje.—Mo-  
żesz sobie wyobrazić, droga Elżusiu, co się wtedy  
działo zemną. A jednak umiałam sobą władać do te-  
go stopnia, że z obliczem wypogodzonym głosem wca-  
le nie drżącym zdołałam powiedzieć, że mój los i mo-  
ją przyszłość z zupełną ufnością powierzam księzio-  
wi. Ponieważ moi rodzice wybór męża mojej woli  
zostawiają, oświadczałam, że to co wyrzekłam, gotowa  
jestem u nóg ołtarzów potwierdzić. Wszyscy przy-  
tomni, nie wyłączając najgorliwszych stronników,  
najpoufalszych dworzan księcia, zdawali się włas-  
nym uszom nie wierzyć. Nawet moi rodzice nie mo-  
gli utać jakiegoś zadziwienia. W kilka dni potem,  
w kaplicy zamkowej, mój los został rozstrzygnięty  
na zawsze.

Po odbytem weselu opuściliśmy Birze. Jakkol-  
wiek przy rozstaniu się z rodzicielskim domem smu-  
tek ścisłał moje serce, tyle umiałam sobie wmówić  
męztwa, że rodziców pożegnałam suchym okiem, i że  
przybrałam postać szczęśliwej małżonki. Postano-  
wiłam odtąd, ile było w mojej możności, dopełniać  
moich obowiązków. Moje serce nie było mi podwładne,  
ale czem mogłam rozrządzać, to oddałam knia-

ziowi. Ani w jego, ani w gości nas [nawiedzających] przytomności nigdy nie zdradziłam tej goryczy, którą czułam się być przepełnioną. Zawsze z kłamaną wesołością wywiązywałam się z powinności gospodyni, w takim sposobie, że nikt wątpić nie mógł o mojem przywiązaniu dla niego. Pod tym względem nie mam sobie nic do wyrzucenia. Książ, stosownie do swoich wyobrażeń, był ze mną szczęśliwy; byłam jemu we wszystkiem posłuszną; pochlebiało jego dumie, że pomimo różnicy wieku przeniosłam go nad wszystkich jego współzalomników,—że wszyscy podziwiali, iż mógł wzniecić przywiązanie w dziewczynie, której mógł być ojcem, a która z każdego względu uchodziła za najpierwszą partycję na Litwie, i to było dostateczne dla jego szczęścia domowego. Bo co się tyczy tych stosunków uczuciowych, które osładzają przeznaczenie dobranej pary, o te książ nie dbał, ani nawet ich pojmował. Ale to pewna, że mi sumienie przynosi świadectwo, że wedle swojego sposobu myślenia był ze mną zupełnie szczęśliwy.

I ja z mojej strony winnam mu oddać sprawiedliwość, że umiał się poznać na mojem poświęceniu się, i po swojemu okazywał mi wdzięczność. Poprzedzając na odgłosie szczęśliwego małżonka, ani się pokusił szwank przynieść danemu mi słowu. Dla okazywania ludzkiego żyliśmy z sobą jak mąż z żoną, ale w rzeczywistości każde mieszkało osobno, i nie było między

nami nic wspólnego. A jednak umiałam zyskać jego szacunek do tego stopnia, że nawet Zawalidroga, ulubiony jego kozak, z którym wzrósł i żył, a który jeden jakąś miał nad nim przewagę, użalał się przed innymi sługami, że odkąd pan przywiózł żonkę do swojego zamku, on już nic u niego nie waży.

Zawalidroga był doradcą, ale razem ślepym wykonywaczem wszelkich rozkazów kniazia. Jako jego pan jedną tylko posiadał cnotę, że nigdy danego słowa nie złamał, tak i ten jego sługa jedną miał także cnotę, a tą było nieograniczone niczem przywiązanie do swojego pana. Nie tylko że za jego rozkazem dopuszczał się morderstw i okrucieństw, nad którymi natura się wzdryga, ale przekonana jestem, że gdyby książ mu rozkazał samemu sobie śmierć zadać, ani by się wahał w posłuszeństwie. On był postrachem całej okolicy, i powszechnie mówiono, że gdyby książ jego się pozbył, byłby zupełnie innym. To nastąpić nie mogło, gdyż książ często powtarzał, że tylu ma nieprzyjaciół skrycie czyhających na jego życie, iż gdyby nie miał Zawalidrogi przy sobie, ani jednej chwili nie miałby spokojnej. I w samej rzeczy. Zawalidroga kilka razy ocalił życie swojego pana, narażając swoje własne. Ale do przywiązania, które miał do swojego pana, łączył zazdrość, jakiejby się nie dopuścił zapalony miłością kochanek. Jeżeli książ komu okazywał jakieś względy, jeżeli tylko go

pochwalił, już to było dostateczne, żeby w nim wzniecić nieublaganą nienawiść. On chciał wyłącznie posiadać serce swojego pana, i przed żadną ostatecznością się nie cofał, kiedy mu chodziło o uwolnienie siebie od współzawodnika, choćby najmniej niebezpiecznego. Ten zausznik, głęboko wkorzeniony w zaufaniu kniazia, i na mnie kwaśno spoglądał, bojąc się, bym go nie wyrugowała z tego zaufania. Widać, że tajemnice naszego małżeńskiego pożycia nie były mu znane, i że mąż mój jego o nich nie oświecił, gdyż są rzeczy, których mężczyzna przed swoim najpoufalszym powiernikiem nigdy nie odkryje.

Kniaź mnie szanował, bo chociażby nie za mną nie przemawiało, dość już dla niego, że byłam księżniczką Radziwiłłówną, a kniahinią Dorohostajską, tem więcej, że znał dla mnie osobisty szacunek, a nawet wdzięczność, że w naszym pożyciu zaszczyt mu przynosiłam. Byłam panią w domu. Kniaź wręcz oświadczył swojemu dworowi, że temu, który mi się okaże nieposłusznym, da uczuć ciężar swojego gniewu. Niczego nie żałował, ani dla moich potrzeb, ani dla moich zabaw. Chciał, żeby mój dwór kobiecy był najokazalszym w Litwie; otoczył mnie mnóstwem pannen szlacheckiego stanu. Wszystko było na moje zawołanie, wszyscy ubiegali się, by spełnić rozkazy rzadko kiedy przezemnie dane. I Zawalidroga, jakkolwiek w duchu mi niechętny, nie pozostawał za

innemi w gorliwości przeniknienia, że tak powiem, mojej woli. Bo kniaź może nie zważał na to, że jestem nieszczęśliwą, może tego nie wiedział, gdyż o uczuciach serca nie ma wyobrażenia, a tem mniej o ich stateczności,—ale chciał, i na tem zakładał swoją pychę, aby wszyscy mieli mię za szczęśliwą, aby zazdrościli położeniu żony kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego, pana na obszernych włościach, a wsławionego w narodzie rycerskimi czyny.

Kniaź ma zepsute serce i złem wychowaniem, i trybem życia, do którego się wezwyczał, a który jego popęd do okrucieństwa zamienił w nałóg; a jednak są w tem sercu zarodki cnoty, których chwasty samowolności niezupełnie wysuszyły. Sama jego nadzwyczajna odwaga o tem przekonywa, bo nigdy nie przypuszczę, żeby waleczność dała się pogodzić z podłością duszy. Gdyby w młodości swojej natrafił na jakiś przedmiot, zdolny w jego sercu pobudzić miłość, byłby może został cnotliwym. Ale nie! takie serce nie mogło kochać.

I to było szczęściem, bo kiedy skryty płomień dla drugiego mnie pożerał, kiedy kniaź nie prócz wstrętu dla siebie odemnie otrzymać nie mógł, cóżby się działo ze mną, gdyby był we mnie zakochanym? Na samo wspomnienie, że to być mogło, czuję dreszcz przechodzący po ciele. On mnie miłował po swojemu;

pomimo swojej wygórowanej pychy miał mnie za istotę jakiejś wyższej natury, i gdybym chciała sobie zadać pracę, by go ujarzmić, zamieniłabym go w najuniższego niewolnika,—doprowadziłabym go do tego, żeby on, nieustraszony, lękał się mnie, jak dziecię ciemnej izby. Bo nie łatwiejszego, jak opanować człowieka gwałtownego. Mogłabym ulepszyć jego naturę. Ale w tem jego usposobieniu cienia nie było miłości. Nie tylko że nawet z daleka nie pokusił się otrzymać odemnie rozgrzeszenia ze słowa danego, ale nawet jednego razu, uzalając się, że na nim ród Dorohostajskich się kończy, że sama myśl, iż po jego śmierci zamek Dolski i jego ogromne dostatki dostać się mogą obcym, a jemu niezyczliwym domom, robi go tak nieszczęśliwym, dodał, że wcaleby się nie gniewał na żonę, aby mu na to jakby się jej podobało zaradziła. Obrażona do żywego, wyszłam z pokoju; odtąd nawet u stołu nie chciałam się jemu pokazać, i nie opuszczałam już swojej komnaty, aż wychodząc z kaplicy po nabożeństwie. Ten człowiek tak dumny przybliżył się do mnie, prosząc w imię Boga o przebaczenie za swoją nieroztropną mowę, składając ją na to, że gdy podochocił się ze szlachtą, zupełnie był sobie przytomnym.

Jego sroga dzikość ułagodziła się poniekąd w mojej przytomności. Jednego poranku, przechodząc się po wałach otaczających zamek, trafiłam przy-

padkiem na scenę okropną. Kilku nieszczęsnych przyprowadzono, którzy ośmielili się polować w lasach kniazia, a schwytani zostali na uczynku. Była to zbrodnia, która u niego przebaczenia nigdy nie otrzymywała. Szubienica na nich czekała, a książę, nie chcąc się pozbawić tak przyjemnego widowiska, znajdował się na wałach ze swojemi siepaczami, i przechadzał się wesoło, oparty na ramieniu Zawalidroggi. Przerażona tem przygotowaniem, przybliżyłam się do kniazia z prośbą aby tych biednych ludzi swobodnie rozkazał wypuścić. Zaledwom oświadczyła to moje żądanie, książę się odezwał do swoich:— Ponieważ pani wojewodzina tego pragnie, a więc nacychmiast wypuścić na wolę Bożą tych łajdaków.— Jak się o tem później dowiedziałam, postanowił, aby odtąd, ile razy zawyrokuje karę śmierci, jej wykonanie dopełniało się przed wschodem słońca, w obawie żeby bieg sprawiedliwości już nie był tamowany.

Jakkolwiek książę mnie poważał i okazywał się dla mnie uprzejmym, a ja z mojej strony niczego nie zaniedbywałam, aby świat upewnić że żyjemy przykładnie, i że jesteśmy wzajemnie do siebie przywiązani, jednak różność usposobień naszych była tak wielka, iż nie tylko między nami, chociażby nawet moje serce było wolne, nie mogła się wzniecić miłość małżeńska, ale nawet na jakichbądź innych stanowiskach

w żaden sposób ściślejsze stosunki towarzyskie istnieć nie mogły między żoną, której przyrodzona czułość i delikatność jeszcze rozwinięte zostały starownem wychowaniem, a mężem bez serca, nieokrzesanym, zupełnym barbarzyńcem. Obu nam obcowanie z sobą ciążyło: on wolał polować, ujeżdżać swoje konie, popisywać się ze swojemi siepaczami łamaniem podków i nacieraniem na siebie rapierami, niż wstrzymać się w przytomności mojej od wszelkich wybryków swojej dzikiej natury. Towarzystwo Zawalidrogi przenosił widocznie nad moje; a ja z mojej strony pokazywałam się na pokojach wtedy tylko, kiedy przyjmował gości, do czego mu dopomagałam jak najszczerzej, i to było dostateczne dla jego zadowolenia. Zresztą widywaliśmy się z sobą tylko w kaplicy w dniach świątecznych, i codziennie za jego stołem. Uprawa umysłu czytaniem i muzyka chroniły mnie od nudów w czasie mojego pobytu w Dolsku. Przedkowie kniazia musieli miłować nauki, ile mogę sądzić po ogromnym księgozbiornie, jaki zastałam w zamku. Wprawdzie kniaz Daniel, który jak sam wyznawał, czuł wstręt nieprzewyciężony do wszelkiej nauki, gdy objął zamek po śmierci matki, od tego zaczął, że wszystkie książki kazał w pakach wynieść pod strych, a bibliotekę przeznaczył na skład swoich rynsztunków myśliwskich, aby je mieć bliżej swoich komnat. Skoro się o tem dowiedziałam, zażądałam, aby biblioteka wróciła do pierwotnego swojego prze-

znaczenia, i tej woli mojej, jakkolwiek niemilej dla kniazia, natychmiast zadość uczyniono. Było to dla mnie przyjemne zajęcie, pospołu z naszym pastorem, człowiekiem światłym i moim kapelanem, w Leydzie wychowanym, układać ten księgozbiór, w którym znalazłam skarby nieocenione, zwłaszcza w języku łacińskim, z którym jak wiesz, że jestem spoufaloną. Ile razy u stołu mówiłam kniazowi o przyjemności, jaką doświadczałam z pozwolenia, jakie mi dał, urządzenia swojej biblioteki, on tylko ramionami wzruszał z uśmiechem litości, ale jak we wszystkim, tak i tu zostawił mnie panią mojej woli.

Zresztą kniaz często się wydalal z Dolska: do Birzów, wtedy jechałam z nim do moich rodziców, — albo żeby stawać na polu bitwy, a w takim razie zostawałam w zamku. Jakkolwiek wszystko jeszcze sprzyjało Szwedom, a tem samem ich stronnictwu w rzeczypospolitej, jednak wojna trwała. Po różnych jej częściach pokazywały się oddziały ochotników, walczących pod godłem króla Jana Kazimierza. Byli to godni przeciwnicy kniazia Daniela; podobni jemu w dzielności i w okrucieństwie. Kniaz z nimi często się potykał, czasem pomyślnie, czasem ze szkodą. Jeżeli jaki z nich wpadł w jego ręce, zadawał mu śmierć w najokropniejszych męczarniach, a i tamci z niemniejszym okrucieństwem postępowali z jeńcami kniazia. Ich wzajemna zawziętość prze-

ciwko sobie przechodziła wszelkie granice; a ta zawziętość z czego się wzniesła? Jeden z tych dowódców oddziałów, znany pod nazwiskiem zapewne przybranem Grzeszniczka, przedarł się do dóbr gdzie książę utrzymywał swoje stado. Udało mu się kozaków kniazia przepędzić, poczem zrabował dobra, i wszystkie ogiery, jakie w stajni znalazł pozabierał, a że silniejszy oddział milicyi nadwornej usiłował zastąpić mu drogę do odwrotu, Grzeszniczek nie mogąc wprowadzić ogierów, wszystkim im kazał w łeb wypalić, i ze swojemi z bronią w ręku przedarł się przez milicyę, którą sam książę prowadził. Można sobie wyobrazić wściekłość kniazia na widok poległych tak kosztownych jego koni; że mu się dostało kilku jeńców z oddziału Grzeszniczka, tych kazał wraz z ogierami żywcem w ziemię zasypać, i po całym kraju rozkazywał ogłosić, że kto mu przyniesie głowę Grzeszniczka, dostanie tysiąc złotych, a kto go dostawi żywcem, temu wypłaci dziesięć tysięcy. W kilkanaście dni po tem ogłoszeniu, Grzeszniczek nawzajem ogłosił, że kto mu głowę kniazia przyniesie, temu da dwa szelągi, a kto go żywcem przyprowadzi otrzyma talara bitego w nagrodzie, z oświadczeniem, że ocenia życie kniazia nad jego wartość. Książę na tę odezwę omal że pomięszania zmysłów nie dostał; przyrodzone jego okrucieństwo zdawało się być podwojone. Już odtąd w zamku rzadko kiedy się pokazywał, tylko na czele swoich żołnierzy szukał bitw

z nieprzyjacielem, żeby nasycić się zemstą. Gdzie się pokazał, strach, rozlew krwi i pożogi wszędzie mu towarzyszyły.

Co do mnie, odtąd żyłam w samotności, gdyż w niebytności kniazia żaden gość nie śmiał pokazywać się w Dolsku. Nawet most zwodowy nie byłby dla niego spuszczone, bo książę, podejrzliwy nie względem mej osoby, ale względem bezpieczeństwa swojego warownego zamku, nie ścierpiałby, żeby kogokolwiek do niego wpuszczono podczas jego nieobecności. Książę ojciec, dowiedziawszy się o mojem osamotnieniu, a przewidując, że wcześniej, czy później, nieprzyjaciel może się pokusić o zdobycie szturmem Dolskiego zamku, troskliwy o moje bezpieczeństwo, wyprawił do mnie jednego ze swoich najpoufalszych dworzan, z zaleceniem, ażeby mnie sprowadził do Birzów. Książę znajdował się wtedy w Słonimie, a już rozchodziły się wieści, że rycerz Lizdejko, na czele silnego oddziału, powziął zamiar opanowania zamku Dolskiego.

Już nie pierwszy raz to imię odbiło się o moje uszy, wprzód jeszcze nim konfederacya Tyszowiecka zaczynała przeważać szalę szczęścia na stronę Jana Kazimierza; wprzód nawet, nim się zawiązała. Zaledwo to imię dało się słyszeć, a już było opromienione blaskiem nadzwyczajnej chwały, który w każdej chwili zdawał się powiększać. Nie zadziwiało

nikożo to, co mówiono o mężtwie, o jego zdolnościach udowodnionych jako wodza, bo w niniejszym czasie te przymioty nie są rzadkie w obu stronnictwach, rozdzierających łono Rzeczypospolitej bratobójczym orężem; ale to, że jego wspaniałomyślność, umiarkowanie, szanowanie cudzej własności, tak rzadkie zwłaszcza w wojnach domowych, przez nikogo nawet w stronnictwie przeciwko niemu walczącym nie było zaprzeczane. To imię, ile razy było wymówione w mojej przytomności, jakieś dziwne na moim umyśle piętnowało wrażenie. Było to coś jakby przeczucie, że ten Lizdejko nie może być kim innym, tylko moim bratem, moim nieporównanym Olbrachtem.

To przeczucie coraz silniej w mojej duszy wzrastało, a zamieniło się w przekonanie nieprzelomne, kiedy książę wyprawił do mnie gońca z listem, w którym wyczytałam te wyrazy: „Przed chwilą odebraliśmy wiadomość, że Lizdejko co do nogi wytepił oddział Szwedów i naszych z nimi połączonych w Sandomierskiem województwie. A ten urwisz Gaskold, którego życie imość u mnie wyprosiła, tam się znajdował pod jego rozkazami. Niczego nie pragnę, jak się zmierzyć z Lizdejkiem, owym bohaterem świeżej daty, żeby jego głowę posłać imości“.

A kiedy doszły do mnie wiadomości o późniejszych jego zwycięztwach, a zwłaszcza pod Potuszą,

najmniejsze powątpiewanie, że on jest moim bratem, wydawałoby mi się występkiem.

Stanął przedemną nasz dworzanie Haraburda, z listami od moich rodziców dla mnie, a z rozkazem do gubernatora zamku Dolskiego od księcia marszałka, ażeby mnie jak najrychlej wyprawił do Warszawy. Co też zaraz i nastąpiło.

Nigdy nie opuszczałam Dolska z podobną radością. Zdawało mi się, że przenoszę się na wolne powietrze z jakiejś dusznej ciemnicy; serce moje biło gwałtownie, jakbym kogoś oczekiwała; nie mogłam rozebrać, co się we mnie działo. Kiedy zostawiłmy most za sobą, oddałam się tak dziecinnej wesołości, że moja wierna Kodrunia musiała myśleć, że mi się w głowie przewróciło. Była to siła przeczucia, że mnie jakieś niespodziane szczęście spotka w tej podróży.

Jedziemy; po pierwszym popasie ledwośmy staję ujechali, aż tu widzimy przed sobą silny oddział jazdy. Doświadczony Haraburda poznał, że to byli Kaźmirowczycy. Wszystko co mnie otaczało, strachem zostało przejęte; bo im wiadome było okrucieństwo tych oddziałów ochotników, co pierwsi usiłowali podnieść sprawę wygnanego króla. Moja Ko-



drunia od przytomności odchodziła z obawy, nie tyle o siebie, ile o mnie. Ja jedna nie rozstawałam się z wesołością, od dawna obcą dla mnie. Jakoś mi nie mogło pomieścić się w głowie, żeby coś niepomysłnego miało mi się wydarzyć w tej drodze.

Jednak moja straż przygotowała się do walki, a Haraburda mi powiedział: — Ja udam się do dowódcy tych hultaj; nie odbiegam od jakiejś oflary na okup swobodnego nas puszczenia; jeżeli to nie trafi do ich przekonania, będziemy się bronili do upadłego, i bądź JW. pani pewną, że chyba po naszych trupach do niej przystąpią. — I z jednym trębaczem wysunął się naprzód. Wyznaję, że tu przez chwil kilka uczułam jakąś niespokojność; ale kiedy usłyszałam nazwisko Lizdejki z krzykiem powtarzane, duch we mnie wstąpił, tem bardziej, że wkrótce on sam przybliżył się do mojej kolasy.

Jakkolwiek kilka lat upłynionych od rozstania się mojego z bratem mogły go odmienić, zaraz go poznałam, i przez okno kolasy na wpół mu się pokazałam z krzykiem radości. On mnie wrócił do ostrożności, mówiąc do mnie głosem donośnym i ostrym po angielsku, językiem prawie nieznanym u nas, żebym go nie zdradzała, gdyż jeszcze jest zmuszony z wielu względów do utajenia swojego nazwiska. Rozmawialiśmy zawsze po angielsku, bez obawy żeby nas zrozumiano. Jakże pragnęłam rzucić się w jego

objęcia, przycisnąć go do mojego serca! On te moje zapędy wstrzymał, a choć nasza rozmowa była krótkotrwałą, miał jednak czas oświecić mnie o wszystkim, co mnie najwięcej obchodzić mogło. Z tem się wymówił nawet, że tylko o kilkadziesiąt kroków jestem od Gaskolda, ale że nie pozwoli mi się z nim widzieć, gdyż toby się sprzeciwiało mojej godności. Dodał, żegnając się ze mną ściśnieniem ręki i schyleniem głowy: — Siostró, wkrótce się widzieć będziemy w Warszawie. Bóg się dał ubłagać przez naszego prawego pana, i ani wątp, że przy okrzykach ludu wróci do swojej stolicy. Ale jeszcze nie pora, żebyś się przyznała przed naszymi rodzicami, żeś mnie spotkała. — To rzekłszy, rozkazał mojej straży przystąpić, dał Haraburdzie pismo, które nas ochronić miało od wszelkiej napaści na wypadek spotkania się ze stronnikami królewskimi, poruczył mnie pieczy Haraburdy, zawrócił swojego rumaka, i lotem strzały oddalił się odemnie.

Odtąd nie zdarzyło się nam widzieć oddziałów partyi króla Jana Kazimierza, a nazajutrz wstąpiliśmy w kraj zupełnie uległy księciu ojcu, i najszcześliwiej dojechaliśmy do Warszawy, gdzie rodzice mnie wyglądali z największą niespokojnością. Byłam przez nich przyjęta z miłością, jakiej mi nigdy nie okazywali. Serce rodzicielskie, jakkolwiek nierade się odkrywać, jest zawsze najbezpieczniejszym przy-

tułkiem dla dzieci, ile razy są skolatane niefortunne-  
mi kolejami.

To wszystko, co ci dotąd opowiadałam, po więk-  
szej części już ci było wiadome. Pozostaje mi jesz-  
cze wynurzyć przed tobą, droga Elżusiu, wszystko  
to, co się tyczy mojego obecnego położenia.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Jakkolwiek mogłabym siebie wytłómaczyć przed  
sumieniem, że nie uważam się być żoną kniazia wo-  
jewody, wszakże tem samem, iż przyjąłam jego na-  
zwisko, już on był w obliczu świata moim mężem,  
a droga moich obowiązków była mi wskazaną. Serce  
moje nie było mi podwładne, ale postanowiłam sta-  
tecznie dochować cześć moją i tego, z którym zwią-  
zaną byłam węzłem prawa i wiary. Usiłowałam  
z pamięci wypruć] rysy Gaskolda, a jakkolwiek te  
moje usiłowania były bezsilne, przynajmniej sumienie  
nie mi nie mogło wyrzucić, a przeświadczenie we-  
wnętrzne, iż dopełniłam mojej powinności, dodawało

mi mocy i mężstwa do nieupadania pod ciężarem ofiar, na jakie byłam wskazaną.

Chociaż rodzice moi nigdy o tem przedemną nie zrobili wzmianki, przecie przekonaną jestem, że to co się działo w mojej duszy, nie było dla nich tajemnicą. Bo nigdy z ich strony nie doświadczałam tyle pieszczot, tyle troskliwości, jak odkąd za ich rozkazem przybyłam do Warszawy. Stosując się do woli mojego brata, miałam w pilnem baczeniu, żeby się nie wymówić z tem, iż się z nim spotkałam, a jednak niemniej przekonaną jestem, że moi rodzice wiedzą, iż ich jedynak zbiera wawrzyny w stronnictwie, przeciw któremu jego ojciec się zgłosił. Bo od niejakiego czasu książę z widocznem umiarkowaniem wspomina króla Jana Kazimierza, i co wprzód nie bywało, często mówi o stosunkach krwi i przyjaźni, które gą wiążą z rozmaitemi wodzami konfederacyi. A nawet gdy odebrał doniesienie o wejściu rycerza Lizdejki do zamku Dolskiego, i oddaniu go w posiadłość synowcowi prześladowanemu od rodzzonego stryja, po kilkakrotnie dał się przed swojemi z tem słyszeć, że czynność rycerza Lizdejki uważa być wielce szlachetną; że ten, który może rękę skuteczną podać prześladowanym, a karcie prześladowców, godzien jest zazdrości; że chociaż jego zięć na tem poniósł szkodę, jednak nie może sumiennie zasłaniać jego winy, ani odmawiać najwyższego szacunku dla szlachetnego męża, który uciśnionego sierotę podźwignął.

Później często powtarzał, wychodząc z zamyślenia: —Ktoby się spodziewał, że ten Gaskold jest kniazem Dorohostajskim? że jest synem tego Stefana, co go w Wilnie matki swoim synom za wzór przedstawiała?

Już od niejakiego czasu zauważyłam jakąś oziębłość między księciem ojcem, a moim mężem. Stosunki i znoszenia się wzajemne jeszcze z sobą zachowują, ale że nie są już z siebie zadowoleni, to się aż nadto daje widzieć po każdym liście, jaki książę odbiera od kniazia. Po kilkakrotnie książę się wymówił z tem, że wolałby żadnej wiadomości nie odbierać od kniazia, niż czytać jego listy. A przed kilkoma dniami mieliśmy tu straszną scenę, która na mnie sprawiła nadzwyczajne wrażenie: pojawił się tu ulubieniec kniazia, ów Zawalidroga, o którym wspominałam. Przywiózł listy od swojego pana do księcia i do mnie; było to dla mnie nowalia, gdyż odkąd mieszkam w Warszawie, nigdy do mnie nie pisał: tyle tylko iż w listach do księcia ojca pisanych był zawsze dla mnie ukłon. Teraz domagał się od księcia, żeby mnie jak najrychlej wyprawił do Dolska, i to w sposobie dość cierpkim, a mnie dał rozkaz, żebym na wypadek niezezwolenia rodziców powierzyła się Zawalidrodze, a ten mnie doprowadzi do niego, gdyż to na swoją głowę przyjął. Możesz sobie wystawić, ile mi to wszystko niepokoju przyniosło, zwłaszcza, że nigdy księcia ojca

nie widziałam w podobnem uniesieniu, do jakiego zachwały Zawalidroga go pobudził, kiedy przed nim stanął dla spełnienia swojego poselstwa.

Książę na wstępie mu powiedział, że nie może narażać swojego dziecka na podróż tak niebezpieczną, w której co kroku może być napadniętą przez nieprzyjaciół uzbrojonych, a której kres nie więcej jest bezpiecznym, gdyż nie ma przyczyny, żeby owi, którym już raz się udało zamek Dolski zdobyć, nie pokusili się powtórnie go opanować. A zatem, lubo wojewodzina zawsze powolna względem swojego małżonka, radaby i teraz zadość uczynić jego woli, on władzy ojcowskiej używa, aby tego nie dopuścić, i bierze na siebie wytlómaczyć ją przed kniazem. — Na to Zawalidroga śmiał odpowiedzieć, że poczciwa białogłowa winna być posłusniejszą mężowi niż ojcu, i że jeżeli do księcia marszałka przynosi prośbę od swojego pana, do niej samej przynosi jego rozkaz wyraźny, który wedle wszelkich praw Boskich i ludzkich winna spełnić.

Książę na te słowa tak się oburzył, że jakiś czas słowa wymówić nie mógł, a tylko trząsł się ze złości; nakoniec odezwał się: — Nędzarzu! powiedz swojemu panu, że musi jeszcze zachowywać jakieś względy u mnie, kiedy jego posłannika nie kazałem powiesić na wałach mojego pałacu. Zniknij mi zaraz z oczów, a z miasta jak najspieszniej, żeby cię czasem

nie spotkało to, na co zasługujesz. — A nawet z wielkiem mojem zadziwieniem z tem się wymówił, że kniaź wojewoda nie powinien tak bardzo występować z prawami męża nad żoną, gdyż dobrze wie, jakie to jego małżeństwo. Wtedy pierwszy raz się dowiedziałam, że rodzaj moich stosunków z kniazem Daniłem nie był dla księcia ojca pokrytym tajemnicą.

Jednak zaprzeczyć nie można, że pod względem wierności żaden sługa sprostać nie może kozakowi. Miałam tego dowód, kiedy dnia wczorajszego, Zawalidroga, nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał pokazując się w naszym pałacu, przecisnął się do mojej komnaty, żeby mnie skłonić do opuszczenia rodzicielskiego domu, chociażby potajemnie, ażeby po bożemu być posłuszną mężowi, i ku temu wszelkie mi łatwości podawał. Na to z mojej strony innej odpowiedzi nie otrzymał, tylko że ponieważ kniaź Daniel sam mnie powierzył ojcu, a więc bez woli tegoż ojca do niego powrócić nie mogę. Obrażony sługa niepomyślnym skutkiem swojego poselstwa, odszedł, a kiedy mnie żegnał, zauważyłam w jego wzroku gniew dziki i ponury.

Lituj się, droga Elżusiu, nad twoją przyjaciółką, podwójnie nieszczęśliwą, bo i obecnem położeniem i dręczącym przecuciem smutniejszej jeszcze przyszłości. Bo cóż z niej oczekiwać mogę? Bez wątpie-

nia w obliczu Boga i własnego sumienia książę Daniel nie jest moim małżonkiem, a jednak wcześniej czy później mój los musi zależeć od woli tego, do którego wstręt nieprzewyciężony czuje moja dusza. Możeż być okropniejsze przeznaczenie, jak widzieć się związaną z tym, który nawet na szacunek zasłużyć nie umie, ani nawet czuje jego potrzeby? W książęciu Danielu, oprócz niektórych prawideł honoru, nic ludzkiego nie pozostaje; jest to człowiek bez serca, chciwy krwi, łupieżca, prześladowca wdów i sierot, niesyty bogactw i władzy, potępiający jako słabość niegodną rycerza, jakiegokolwiek umiarkowanie względem tych, których spotyka na drodze swojego samolubstwa. Moje serce nie jest mi podwładne; miłuję Gaskolda nad życie, jego obraz ani na chwilę mnie nie odstępuję, a jednak mojej sławy nigdy temu uczuciu nie poświęcę. Chętniej wszelkie męczarnie poniosę, niżbym miała shańbić krew, która w moich żyłach płynie. Gdyby przynajmniej na mnie jedynie padły wszelkie pociski niefortunnego przeznaczenia, możebym była spokojniejszą; ale widoczna zguba Gaskolda ciągle stoi przed moimi oczyma. Książę Daniel nigdy mu nie przebaczy—nie, że wzbudził we mnie uczucie, które do grobu mnie nie opuści, bo to jest dla niego obojętne, tem więcej że wie dobrze, iż żadnym postępkiem moim niesławy mu nie przyniosę,—ale że jest jego synowcem, prawym spadkobiercą, domagającym się o nazwisko i miano, których mu za-

przecza. Czuję, że dla mnie nie ma innego przytułku, tylko noc grobowa. Rozstawszy się na zawsze z nadzieją szczęścia, niczego nie pragnę tylko śmierci; ona jedna może położyć koniec moim mękom.

— Ach! moja najdroższa Elciu—na to Elżbieta—czy możesz się oddawać podobnej rozpaczce w chwili, kiedy owszem przyszłość dla ciebie się uśmiecha? Czy możesz temu wierzyć, żeby nasz król, którego hufce zwyciężkie lada dzień opanują jego stolicę, zapomniał o zasługach twojego brata? o zasługach swojego Gaskolda? Nieprzyjacieli, w którym ufał twój mniemany małżonek, już opuszcza wszystkie części Rzeczypospolitej, i już ze wszech stron jest ściganym. Może ci niewiadomo, że już i twój ojciec wchodzi z naszym królem w umowy? że z tylu stronników jeszcze niedawno garnących się do szczęśliwych natchodźców, jeden tylko książę Daniel im pozostaje, a i ten wkrótce, otoczony w swoim zamku przez hetmana Gąsiewskiego, będzie zmuszony błagać przebaczenia.

Bądź pewna, Elciu, że jeżeli domaga się twojego powrotu do Dolska, to jedynie dlatego, żeby ciebie mając przy sobie, mógł dogodniejsze dla siebie warunki poddania się wytargować od tych, którzy wiedząc, że z nim jesteś zamkniętą, będą się bali niebezpieczeństwo przywoływać na twoją drogą głowę. Czy myślisz, że twój brat, stojący może na pierwszym

szczelbu łaski króla, nie oświecił go o wszystkim co się ciebie tyczy? a czy jest co takiego, coby król twojemu bratu odmówił? Nie ma pana w obozie królewskim, któryby nie wiedział, że twoje małżeństwo nie jest prawdziwym małżeństwem, kiedy nawet twój ojciec o tem jest świadomym. Przestań się smucić, Eleciu, a słuchaj, co ci najlepsza twoja przyjaciółka wróży. Wkrótce nasz król ze swojemi pany przybędzie pod Warszawę; będą z nim i książę Olbracht i książę Wojciech. Twój ojciec padnie mu do nóg, król go uściska, i razem zrobią wjazd do stolicy. W zamku będzie długa konferencya między niemi, do której będzie przypuszczony twój brat. Po tej konferencyi król wyprawi gońca do hetmana Gąsiewskiego z zaleceniem, żeby oświadczył kniaziowi Danielowi, już obłożonemu w swoim Dolsku, że mu wszelkie jego przewinienia odpuszczone będą, że dostojęństwa i królewszczyzny jakie posiadał zachowa, ale pod warunkiem, że przyzna Gaskolda za swojego synowca, że mu wróci część ojcowizny na niego przypadającej, i że pozwoli na rozwód z tobą; a wkrótce potem poprowadzimy ciebie do ołtarza, i powitamy kniahinią Wojciechową Dorohostajską, nie mniemaną, jaką była pani wojewodzina Witebska, ale rzeczywistą, jak Bóg przykazał.

— Jestem pogrążoną w smutku, a ciebie żarty się trzymają.

— Otóż jest! ja ci zapowiadam to, co niechybnie

nastąpi, a ty nie chcesz tego słuchać, i tylko przemysłiwasz, żeby sztucznie trwać w urojonych zgryzotach. Jeżeli to co ci mówię nie spełni się co do joty, pozwolę się nazwać nieuczciwą.

— Nie znasz kniazia Daniela, on nigdy na podobne warunki nie zezwoli. Jestto mąż nieustraszony; będzie się bronił do upadłego.

— A więc nasi wyłom zrobią w jego murach, i przezeń wnikną do zamku. Nie z Dolskiem porywać się na całą Rzeczpospolitą! A jak książę dostanie się w ręce naszych, krótka będzie z nim sprawa, bo w naszym obozie nie znajdziesz żywej duszy, która by mu dobrze życzyła.

— I cóż z tego, że zginie?

— Cóż z tego? oto, że będziesz wdową, i prędzej jeszcze pójdiesz za Gaskolda.

— Nie, moja kochana. Jeżeli polegnie, w obliczu całego narodu będę uważaną za byłą prawdziwą żonę kniazia Daniela. Wdowa po stryju, gdybym zawierała śluby z jego rodzonym synowcem, sromotą bym siebie okryła.

— Otóż znowu coś nowego! Prawdziwie z tobą oszaleć można! Gwałtem chcesz być nieszczęśliwą. Na cóż masz wyobrażać sobie to, co się nie stanie? Bądź pewna, że książę na wszystko zezwoli; ty sama wiesz, że o ciebie nie wiele dba, i że związek z domem

Radziwiłłowskiemu na nic mu się nie przyda, kiedy jego stronnictwo rozprężone zostanie. Jeżeliby była jaka trudność, to chyba z powodu, że trzeba będzie mu się rozstać z połową majątku; ale, o ile słyszałam o Gaskoldzie, ten pewnie wszelkie łatwości mu do tego zostawi. Obaczysz, jak wszystko gładko się ukarzuje, i że twój mąż, aż nadto będzie się miał za szczęśliwego, jeżeli chociażby największą ofiarą zdoła przebłagać króla. Bądź dobrej myśli, Elciu, a nie obrażaj Opatrzności odrzucaniem poniekąd jej łaski. Pomówmy raczej o czem innym innym. Jakże ci czas schodzi w Warszawie? Już ci lepiej tu z rodzicami; niż z twoim mężem i jego rozbójnikami, albo w samotności Dolska.

— O! bez wątpienia, droga moja Elżusiu zwłaszcza, że jako już tobie powiedziałam, nigdy nie widziałam moich rodziców równie dla mnie tkliwych i wylanych, jak teraz. Widzę, że biorą udział w mojem nieszczęściu, że domyślają się wszystkiego co cierpię, że wiedzą o wszystkich okolicznościach mojego położenia,— że radziby z pod serca wydobyc ulepszenie mojej doli, a sami cierpią, iż zamiast szukania dla siebie jakiejś rozrywki, oddają się samotności. Jednakże znalazłam pociechę, którą mi Opatrzność zesłała, a tą jest nowa przyjaciółka, z którą najściślejsze zawiązałam stosunki. Nie marszcz się, Elżusiu! Mojej przyjaźni jej zazdrościć nie będziesz,

jak się dowiesz, kto jest ta nowa przyjaciółka. Posłuchaj:— Ciebie nie było, w osamotnieniu mojem nie miałem z kim mówić, bo nie było przy mnie serca mogącego mnie zrozumieć. Do wszystkich moich udręczeń, miałam jeszcze w nadatku tęsknotę po tobie. Ale Bóg miłosierny, nawet kiedy karze, obdarzył mnie niespodziewaną pociechą.

Jednego poranku byłam jak zwykle sama w mojej komnacie, której prawie nigdy nie opuszczałam. Był to dzień sobotni, dzień dla mnie ważny, gdyż odkąd bawię w Warszawie, postanowiłam raz na zawsze ubogich w dniu tym przyjmować, żeby ulżyć im nędzy. Moja służba ma rozkaz wpuszczać do mnie wszystkich tych nędzarzy, których klęski kilkoletniej wojny namnożyły w Warszawie. Kto sam cierpi, taki pojmuje cierpienia bliźnich. Ci biedacy są dla mnie miłymi gośćmi, i tak do nich nawykłam, że soboty przez cały tydzień oczekuję z niecierpliwością. Sama rozdaję im szaty, bieliznę, pieniądze, i lubię z niemi rozmawiać, a wierz mi, Elżusiu, rozmawianie z ubogim nad wszystkie datki go pociesza, gdyż w części przynajmniej odejmuje to, co jest upokarzającego w jałmużnie. Pomyślność częstokroć zatwardza swojego ulubieńca, i to jest jedno z niebezpieczeństw bogactwa, ale niedola nadwyczerpała czułość rozwija, tak dalece, że przekonana jestem, iż jeżeliby co było zdolne położyć granice miłosierdziu Boga, to

bez wątpienia wzgarda, albo nawet lekceważenie ubogich. Ten, który rzuca jakąś kwotę ubogiemu, jeszcze się nie wywiązuje ze swoich obowiązków dla niego. Trzeba umieć dać, trzeba mu okazać, że datek z współczucia pochodzi, a nie jest wymuszony naręctwem. Często bogacze, nawet hojni, rozumieć nie chcą, że w obliczu Boga obdarzenie dziesięciu ubogich nie przeważa wzgardy okazanej jednemu. Boski nasz Zbawiciel przykazał nam miłować ubogich; a czy ten ich miłuje, kto im otwiera swój mieszek, a zamyka przed nimi serce, odwracając się od nich ze wstrętem? Dziękuję Opatrzności, że mi dała możność udzielania pomocy ubogim, a jeszcze więcej, że mnie nauczyła ich miłować. Ale też i oni mnie miłują. Inaczej mnie nie nazywają, tylko: nasza pocziwa kniahini; łatwo pojdziesz, ile każdy ranek sobotni pociechy mi przynosi.

Otóż jedna z moich pokojowych daje mi wiadomość, że jakaś uboga chce ze mną mówić na osobności. Każę ją wpuścić do mojej pracowni, z zaleceniem, żeby w niej na mnie czekała, aż się ułatwię z innymi potrzebującymi mojego wsparcia. Odprawiwszy ich, poszłam do mojej pracowni, i w niej zastałam kobietę już nie młodą, ale której rysy szlachetne wielkie na mnie wrażenie sprawiły. Była odzianą skromnie, ale przyzwoicie. Poznałam zaraz, że to nie była żebraczka, ani nawet tak dalece uboga, żeby aż wsparcia pieniężnego potrzebowała.

Oczów od niej nie mogłam odwrócić; poprosiłam ją, żeby siadła przy mnie, — ona swoje miejsce zajęła, i po pierwszych słowach jakie do mnie wyrzekała, po jej obejściu poznałam na wstępie, że była staro równie wychowaną.

Miarkuj, droga Elżusiu, że ta kobieta była matką Gaskolda, ową kniahinią Stefanową, o której tyle słyszeliśmy w naszym dzieciństwie. Ze szlachetną ufnością wyznała przedemną kim była, i czego żądała odemnie. Nieświadoma ani okoliczności mojego zamężcia, ani tego wszystkiego, co się w duszy mojej dzieje, tyle tylko wiedziała, że jestem żoną jej szwagra, a łupiezcy jej syna. Roztoczyła przedemną z największym umiarkowaniem szereg prześladowań, jakich od niego doświadczyła, widać, że się obawiała narażać mi się wyszczególnieniem postępów nieludzkich kniazia Daniela, bo ile możliwości usiłowała je zasłaniać. Dodała, że dla obawy zemsty kniazia, na jaką może sama zasłużyła, kiedy kierowana uczuciem miłości więcej niż rozwagą, dała się nakłonić do wniknięcia potajemnego w dom świetny, bez względu na pozycję jej rodu, pod utajonym nazwiskiem osiadła w Grzybowie pod Warszawą, w domu jednej ubogiej, pocziwej wdowy; że ma czem opatrzeć swoje ograniczone potrzeby; że do niej ubocznie dochodzą wiadomości o jej jedynaku, który postępując torem przodków swoich, okrywa się sławą w obozach swojego króla, a nawet wysłużył sobie jego względy; że to jest jedyną jej pociechą w żywocie, osnutym ciągłymi



przeciwnościami; a po tem wynurzeniu zakończyła temi słowy:

— Szlachetna pani! Jesteś matką nieszczęśliwych, z pełną więc ufnością udaję się do niej, pobudzona nową okolicznością, która mnie strachem przeraża. Od kilku dni jacyś nieznajomi ludzie pokazują się w Grzybowie; po ich mowie poznać można, że to są Ruśniaki. Podejrzewam, że mogą być wysłani od kniazia Daniela, który głośno oświadczył, że póty nie będzie spokojnym, póki nie dostanie mnie w swoje ręce, ażeby się mojemu synowi odwdziżyć za najście swojego Dolska. Błagam więc małżonkę naszego prześladowcy, ażeby nie odkrywając mojego nazwiska, raczyła wyjednać od swojego rodzica jakąś opiekę dla Grzybowa. Tyle łaski z moim synem doświadczyliśmy od tego wspaniałomyślnego pana, że bez obawy idę pod jego opiekuńcze skrzydła, w przekonaniu że nie dopuści, ażeby pod jego prawie okiem gwałt miał być wyrządzony biednej wdowie.

Rzucenie się w jej objęcie było moją odpowiedzią. Stało się to onegdaj, a już miłujemy się wzajemnie, jakbyśmy z sobą całe życie się nie rozstawały. Wszystko co się mnie tyczy przed nią wynurzyłam, oprócz uczuć, które w moim sercu wzniecił jej syn, a którebym rada w niem wyniszczyć. Przekonałam ją, że dla niej nie może być bezpieczeństwa, tylko pod boki moim. Wczoraj otrzymałam od księcia ojca upoważnienie zamieszczenia w moim przybo-

cznym dworze biednej szlachcianki, stosownie do tego, cośmy z kniahinią Stefanową umówili. Namawiałam ją, żeby nie czekając na przyzwolenie księcia, została przy mnie, i już do siebie nie wracała, ale do tego nie dała sobie nakłonić. Wczoraj powtórzyła swoje nawiedziny, w czasie których oznajmiłam jej, że książę mnie upoważnił do jej przyjęcia. Kilka godzin spędziłyśmy z sobą; nakoniec umówiłyśmy się, że dziś sama pojedę do Grzybowa, żeby ją przywieść do naszego pałacu. Dziś jeszcze poznasz tę czcigodną matronę, a wkrótce ona stanie się dla ciebie tak drogą, jak dla mnie. Nieboga musi mnie oczekiwać z niespokojnością, bo tak się z tobą zagadałam, że mi wyszło z pamięci, iż wedle mojej umowy z kniahinią Stefanową, od godziny powinienam już być w Grzybowie.

Kniahini wojewodzina tak skończywszy, powstała, pociągnęła za szuurek wiszący na ścianie. Dwie paniutki jej służby nadeszły.

— Na rozkaz pani!

— Moje dzieci — rzekła do nich wojewodzina — powiedzcie koniuszemu, żeby natychmiast zajechała moja kolasa; chcę przejechać się trochę po za miastem.

Dziewczęta zabierały się odejść, kiedy pani starościna Mozyrska odezwała się:

— Moja Elciu, proszę cię, każ i dla mnie przygotować pojazd. Mam tu kilka ciotek zamieszka-

łych, które mi nawiedzić potrzeba. Wszakże doba minęła, jak jestem w Warszawie, a jeszcze tego obowiązku nie wypełniłam. Tem chętniej będę je objężdżać, bez ciebie wielceby się nudziła.

Służebne panienki wyszły, by zanieść podwójny rozkaz koniuszemu. Niedługo czekały nasze przyjaciółki na jego spełnienie. Wkrótce przybył koniuszy z oznajmieniem, że pojazdy czekają. Wyszły dostojne damy. Pani starościna siadła do swojej karety, której, wedle ówczesnego obyczaju magnatek, asystowało kilku ułanów na koniach, pod rozkazem oficera milicyi nadwornej; zaś kniahini wojewodzina, gdy wyjeżdżała za miasto, dla uniknienia mitrężących honorów, któreby ją co kroku zatrzymywały, chcąc przytem zachować w Grzybowie najściślejsze incognito, z jednym tylko hajdukiem za kolosą puściła się w tę krótką podróż.

Stała tedy w Grzybowie przed skromną chatą, kierując się opisem jaki o niej zrobiła matka Gaskolkolda, i lekko wyskoczyła z pojazdu przed progiem, na którym ją czekała kniahini Wilhelmina, by ją przed sobą przeprowadzić do swojej izby. Gdy zostały same, przywitały się długo powtarzanemi uściskami. Bo lubo dopiero się poznały, czuły do siebie wzajemny a niewypowiedziany pociąg.

Mieszkanie kryjącej się pod kłamanem nazwiskiem szlachetnej pani, było ubogie, ale schludne, a składało się z izby i alkierza. W rozporządzeniu

skromnych sprzętów, w czystości firanek i pościółki było coś takiego, co łatwo dawało poznać, że świetniejsze pokoje byłyby dla niej właściwsze. Kniahini Wilhelmina przedstawiła bratowej swojego męża ubogą szlachciankę, która jej swój domek była otworzyła. A że z góry zawsze opłacała wynajem swojego pobytu, żadnego między niemi nie było rachunku; tyle tylko, że ją obdarzyła wszystkimi temi sprzętami, któremi upiększyła swoje mieszkanie. Czas naglił, bo już słońce było opuściło widnokrąg starego świata. Wyszły więc damy, jedna z nich trzymając w rękę zawiniątko, druga woreczek, z którego wyjęła kilka sztuk złota, by je wręczyć ubogiej właścicielce domku, a ta tylko wielkie oczy otwierała, nie wiedząc, czy to we śnie, czy na jawie tyle szczęścia razem doświadcza. Obie panie siadły w kolonie pod strażą modłów, które obdarzona przez nie staruszka za ich powodzenie do Tronu Najwyższego wznosiła.

Już kolosa toczyła się po ciasnej drodze między sadami, przedzielającemi Grzybów od Warszawy, kiedy raptownie zatrzymała się. Damy patrzą, i widzą przed sobą stojącą karocę z ośmiu końmi, która im przejście tamowała. Woźnica i hajduk krzyczą, żeby ustąpiła im z drogi, albo szła naprzód. Naprózno! karoca stoi nieruchoma. Niespokojna Eleonora powstaje w swojej kolonie, i łączy swój głos srebrzysty i łagodny do krzyków sług, prosząc, żeby obmyślili

jakiś środek, żeby do Warszawy mogły pośpieszyć, ile że już wieczór się opóźnia. Na to żadnej odpowiedzi nie otrzymuje. Wtem widzi kilkunastu kozaków cwałem lecących ku nim; w mgnieniu oka otaczają kolasę, a na czele Zawalidroga. Jej serce zlodowaciało od strachu, kiedy Zawalidroga rzekł do niej z ruska:

— Niech JW. pani niczego się nie boi; ja jestem jej sługa, posłany od pana, żeby ją przywieźć do niego. Lepiej w swoim własnym domu mieszkać przy swoim mężu, niżeli w cudzym, chociaż rodzonego ojca.

— Dobrze, mój kochany Zawalidroga, ale pozwól, żebym pożegnała rodziców.

— O nie, JW. pani! To być nie może! Jaśnie oświeceni jej rodzice gotowi panią nie puścić, a ja mam rozkaz wyraźny od pana, żeby JW. panią do niego dostawić. JW. pani wiesz, że rodzice żadnego prawa nie mają do swojej córki, kiedy ją już wydali, a tylko od swojego męża zależy. Tak Bóg przykazał. Niechże jaśnie pani siada w tę karetę dla niej przygotowaną; a żeby się nie nudziła, i ta imość będzie towarzyszyć jej w tej podróży.

— A jeżeli na to nie zezwolę czy odważysz się, nędzarzu, gwałtu użyć względem swojej pani?

— Nie inaczej. Jaśnie pani będziesz z początku gniewać się na mnie, a potem mi podziękujesz, bo wiem, że JW. mój pan, a jej małżonek, za mnie ją przeprosi. Albo to ja coś z swojej głowy wymyślał?

Pan każe, a sługa musi. A poczciwa żona, jaką jest JW. pani, przykład posłuszeństwa winnaś dać sługom. Niechże jaśnie pani raczy przesiąść się z tą imością, bo póki Zawalidroga żyw, póty wola pańska musi być spełnioną od niego. Niech JW. pani siada; nie mamy czasu do tracenia. Inaczej być nie może, a więc nie pozostaje paniom, jak tylko zgodzić się z wolą Pana Boga.

Poznała kniahini wojewodzina, że wszelki opór na nicby się nie przydał. Tyle tylko, że naraziłby ją na krzywdę ze strony rozzuchwalonego rozkazem pańskim kozactwa. Wyszła więc z kolasy, oparta na swojej towarzyszcze, o którą więcej się lękała, niż o siebie, i obie panie siadły do pojazdu dla nich przeznaczanego.

Zawalidroga rozkazał koła od kolasy porąbać, żeby woźnica nie pośpieszył z doniesieniem do książęcego dworu o przygodzie kniahini wojewodziny, a tem opóźnić pogoń. Co się tyczy hajduka, Zawalidroga mu kazał stanąć za karetą wojewodziny przeznaczoną, żeby być gotowym na jej usługi. Rozkaz natychmiast spełnionym został, bo tu nie kto inny tylko Zawalidroga był panem.

Gdy wszystko duchem roporządził, krzyknął na nowego woźnicę. Karoca, ruchome więzienie tych niewinnych istot, wyruszyła otoczona strażą ludzi determinowanych, z początku zwolna po ciasnej drodze, ale

gdy zjechała na gościniec uboczny, wszakże dość szeroki, woźnica konie ukraińskie, które ich ciągnęły, zaciął batogiem, i zaraz pędem wichru toczyć się zaczęła.

## ROZDZIAŁ XXIX.

Zostawiliśmy Gaskolda i Odyńca w murowanej gospodzie, zabierających się do wczesnego wieczoru, którą się posilili. Zmęczonym konną kilkodniową podróżą, w ciągu której pierwszy raz, zdarzyło im się dostać do gospody dość wygodnej, wkrótce sen skleił powieki. Obaj byli pogrążeni w tym śnie pierwszym, tak twardym, tak orzeźwiającym, że nawet mary nie mają do niego przystępu, kiedy dały się słyszeć stukania w okiennicę sąsiednią, a z niemi i głosy coraz donośniejsze.

Gaskold pierwszy się ocknął; wyskoczył z łóżka, wykrzesał ogień, zażegnał światło, i obudził

Odynca, który za jego przykładem zerwał się pościeli, i zapytał towarzysza broni, co to jest?

— Trwoga! a czy nie słyszysz głosów?

Odyniec przyłożył ucho do okna, i w samej rzeczy usłyszał wpośród szelestu pomieszanych głosów wyrazy: Otwieraj, do czarta! Otwieraj, nawiedzony Niemcze, bo wszystkie twoje okna w puch rozbijem!

— Nie inaczej—odezwał się do Gaskolda—jest to wyraźne najście, a po mowie widać, że to są Ruśniaki. Dyabeł aż tu ich zapędził?

— Nie ma czasu do tracenia; trzeba nam się ubrać i dowiedzieć co to jest?

Ubranie się niedługo trwało. Obaj rycerze stanęli w pełnym rynsztunku, w kołczudze na kaftanach łośich grubo podszytych, z misiurką na głowie, z szablą u boku, z ładownicą na plecach, z pistoletami po każdej stronie i koncerzem w rękę.

— Teraz — odezwał się Gaskold — nic nam nie pozostaje, jak obudzić Jakóbczaka, żeby konie były w gotowości.

Obaj wyszli do sieni ze światłem. Ale Jakóbczak, żołnierz wyćwiczony w wojnach, już był osiodłał jednego konia, i brał się do drugiego. Przyskoczył do niego Odyniec, żeby mu pomógł w robocie, a Gaskold przybliżył się do wrót, i usłyszał wyraźnie te słowa z ruska wyrzeczone, z za dworu pod oknem

izby gospodarza, sienią przedzieloną od gościnnej kwatery.

— A do stu czartów! otwieraj, utrapiony Niemczel!

— A to pan! — odpowiedział Niemiec z za okna na pół zaspany—czem mogę mu służyć?

— Ot kłopot, że człowiek mało nie oszalał. Wywożę wielką panią z Warszawy, a tu mnie nieszczęścia napotkało, że o staję ztąd os od karety się złamałe; ledwośmy ją tu dociągnęli. Trzeba, żebyś mi koniecznie stworzył koła z wasągami, bo ja tu długo gościć nie mogę. Ale otwieraj, a o wszystkim się dowiesz.

— Pozwól, panie, żebym wykrzesał ogień; na biedę trafić nie mogę na pudełko z siarniczkami.

— Jaki z ciebie cap, opasły Niemczel! Przez szpary widać światło w sieni, a ty szukasz siarniczek. A wychodźże, wraży synu, do mnie, jeżeli nie życesz sobie, żebym ci wszystkie okna porozbijał.

Victus rationibus wyszedł gospodarz do sieni, i u progu natknął na Gaskolda, który go zapytał, co to być może?

— A to nasi — odpowiedział Niemiec — należą oni do dworu kniazia wojewoły Dorohostajskiego; mieli przypadek w drodze, na co u mnie szukają rady.

Pozwól, panie, żebym wrota otworzył, a odpuść, że w mojej gospodzie obudzono pana przed czasem. — To rzekłszy, zabierał się otworzyć wrota od sieni; ale Gaskold odezwał się:

— Poczekaj, niech-no własnymi oczyma obaczę co się święci. Wszakże i my z tejże samej partyi co i książę wojewoda, inaczejbyśmy nie odważyli się udawać do Warszawy. Możemy tu być tobie i jego ludziom w pomocy; otwórz więc dzwiczki od wrót, ażebym się przypatrzył, czy niema jakiej zdrady? Idź pozbierać pachółków karczemnych a ja go tu przyjmę.

— Panie, zaręczam, że niema zdrady, i że to nasi. A więc pozwól, żebym natychmiast ich puścił.

— Dajże mi pokój, barania głowo, i rób co ci każe!

I otworzył drzwiczki.

Chociaż noc była ciemna, nie do tego wszakże stopnia, żeby nie mógł spostrzedz kozaka, stojącego po nad oknem gospodarza, a o kilkanaście kroków ztamtąd, wielką karetę pochyloną i otoczoną, ile mógł z pierwszego rzutu osądzić, mniej więcej tuzinem uzbrojonych jeźdźców. Zamknął spieszenie za sobą drzwiczki, i wrócił do swoich koni, które zastał we wszelkiej gotowości.

— To nie przelewki — odezwał się do Odyńca i Jakóbczaka. — Bez bójki się nie obejdzie, bo wyraźnie kogoś gwałtem wywożą, a że do tego są użyty ludzie księcia Daniela, wątpić nie można, że coś poczciwego siedzieć musi w karecie. Nie ma gadania, trzeba to ratować. Ich więcej jest, ale mniejsza z tem! Bóg pomaga dobrej sprawie. Już ci nie na co innego dopuścił na karetę przypadek właśnie pod bokiem naszym, tylko dlatego, żeby nieszczęśliwe ofiary poruczyć naszej opiece. Gospodarza nie widać; musiał zapewne pójść za swojemi pachółkami: Na koń więc i szable w dłoni!

Wtem przybył Niemiec z trzema pachółkami.

— A co? — odezwał się. — Wrota jeszcze nie otwarte? Będzie mi za to!

— Idź ze swojemi ludźmi i otwieraj je sobie; tak są zasunięte, że im nie mogłem dać rady, i dobrze, bo właściwiej gospodarzowi samemu, niżeli nam przyjmować szanownych gości.

Gospodarz z pachółkami zajęli się wrotami, a Gaskold rzekł do towarzysza broni:

— Nic nam nie pozostaje, jak podpalić karczę, żeby ludzie okoliczni, poczciwe Mazury, zbiegli się na pożar. Swego czasu szkoda Niemcowi się wynagrodzi, a co roztropność każe, to trzeba wypełnić.

Rycerz Lizdejko. V. „Gazeta Polska“.

Leżał w stajni ogromny stos siana. Jakóbczak przytknął światło do niego. Jeszcze wrota nie były zupełnie rozwarte, a płomień zaczynał się wznosić pod strych, sam sobie będąc zostawiony.

Wrota już były otwarte, a wietrzyk przedświtowy poruszył wszczynający się płomień. Nasi rycerze byli na koniu; każdy miał szablę na temblaku. Gaskold zapomniał, że był przybrał postać giermka. Zanosilo się się na rychłą walkę, a więc machinalnie wyruszył naprzód, i przed wrotami obaczył stojącego w pełnym rynsztunku kozaka, który już rozmawiał z gospodarzem.

— Kim jesteś?—zapytał go rozkazującym głosem—i kogo prowadzisz w tej karecie?

— Pierwej waszeć sam naucz mnie kim jesteś, że śmiesz mi rozkazy dawać.

— To z naszych—przerwał gospodarz, obrócony do kozaka.—Udają się do Warszawy, do księcia marszałka.

— Nie wtrącaj się do naszych interesów—krzyknął Gaskold — mamy języki, któremi się wytłumaczymy przed sobą bez twojej pomocy. — Ja się ciebie pytam, kozaku, kogo wieszysz w tej karecie na pół przewróconej?

— A jeżeli moja odpowiedź będzie, że to do ciebie nie należy, i że tu ja, nie kto inny daje rozkazy?

— A to wtedy sam się dowiem, kto w niej siedzi.

— To się nie da zrobić tak łatwo — odrzekł zuchwały kozak i chwycił za cugle.

Obrażony rycerz wziął się do szabli, aby gifsem ugodzić w rękę zuchwalca, który go chciał zatrzymać, ale w samym zamachu koń szarpnął, i zamiast w rękę, cios uderzył go między oczami. Kozak jęknął, chwilę się pochytał, i powalił straciwszy przytomność. Drugi kozak, stojący o kilka kroków, wypalił z garlaczka do Gaskolda; kule rozsypały się, jedna z nich tylko przedarła łosi kaftan rycerza, ale oparła się o kolezguę, a ciała uszkodzić nie mogła. Rycerz, uczuł jakoby silne uderzenie kulą w pierś, ani się pochylił, tylko posunął naprzód swojego rumaka, aby ukarać jak najrychlej mściciela powalnego kozaka; ale wierny Jakóbczak zdołał go uprzędzić, toporem uderzył po głowie kozaka, ten padł jak dąb, siekierą odcięty od swojego pnia, i ani jęknął. Później pokazało się, że czerep na dwie równe części rozdzielony został.

— Do karety!—krzyknął Gaskold — już dwóch nieprzyjaciół pokonaliśmy, da Bóg że i resztę odprawimy. Za mną!

I wszyscy trzej obces posunęli się ku karecie.

Tam dopiero rozpoczął się bój straszny, gdyż na odezwę Gaskolda, aby kozacy się oddalili, a zоста-

wili im karete i tych, co w niej siedzą, ogień z rusznie był ich jedyną odpowiedzią. Było ich dziewięciu; to jest trzech na jednego. Ale były okoliczności, zdolne w części przynajmniej równoważyć niestosowność sił. Konie kozackie, jak to zaraz zauważył doświadczony Jakóbczak, po odbytych świeżo pochodzie, ani w zwinności, ani w wartkości, sprostać nie mogły ich koniom, odświeżonym noclegiem i sytym. Powtóre; kolczugi kozackie, ze stali w kraju hartowanej, czemże były w porównaniu do kolczug Gaskolda i Odyńca, omal że nie na wagę złota z zagranicy sprowadzonych, a których kule ze strzelb ówczesnych przedrzeć nie były zdolne? Nadewszystko zaś wszyscy trzej rachowali na wyższość odwagi szlachcica nad kozakiem, rycerzem nie z powołania właściwego jego stanowi, ale z woli wyższej, której winien ulegać.

Pierwszy wystrzał żadnej szkody nie przyniósł naszym szlachetnym wojownikom, którzy nawet nie chcieli się odstrzelić, a tylko z szablą w rękę na nich natarli. Kozacy dzielnie wytrzymali to natarcie; ścisnęli się w linię, spisy naprzód, i nie dali się złamać. Jakóbczak pierwszy odskoczył, rzucił się na skrzydło, i udało mu się zabić kozaka skrzydłowego. Nieprzyjaciel nie dał się zmieszać, ale poszedł w rozsypkę wedle swojego obyczaju, i wziął się do obrotów, kolejno rozsypując się i znowu nacierając, tak,

że po kilkakrotnie przeciwnicy byli przez nich otoczeni. Ale przytomny Gaskold odezwał się do swoich:

— Stójmy na miejscu; niech do reszty pomęczą swoje zgłodniałe konie a dopiero my ich weźmiemy w obroty. — Kozacy pokilkakrotnie nacierali na nieruchomych przeciwników, którzy z miejsca nie ustępowali, a tylko udawało się im szablą odcinać spisy, że czasem tylko nieszkodliwy drzewiec niejednemu pozostawał. Rozzuchwaleni kozacy, że ile razy od nich odskoczą, ich nie ścigają, coraz gęstsze natarcia przypuszczali; a nie mogąc ich przemódz, odskakiwali o kilkanaście kroków, i z rusznie sypali na nich kule. Kiedy już piąty czy szósty raz na nich napadli, zniciępliwny Gaskold kazał ich dopuścić nie więcej jak o dziesiątek kroków, i przywitać garłaczami, byle dobrze brać na cel. Kozaki z krzykiem napadają; ale jak nasi trzej dali ognia, trzech ich padło. Kozacy zniknęli, ale znowu się pokazali; zatrzymali się o kroków kilkanaście, i wypalili ze szkodą naszych, gdy mężny Jakóbczak, którego kolczuga nie była z hartowanej stali jak te, które okrywały piersi Gaskolda i Odyńca, padł z konia ugodzony kulą. Już rycerzy nie wstrzymać nie mogło; rzucili się na kozactwo dla pomśczenia towarzysza, ale i kozactwo, pomiarkowawszy że ich konie są pomęczone, i że ucieczka może się stać dla nich zgubną, nieustraszone czoło postawiło. Zażarta bitwa wszczęła się między nierównymi liczebnie siła-



mi, już nie na ognistą broń, ale na spisy przeciw szablom.

Krzyżowały się szable ze spisami. Wtem raptownie zrobiło się jasno, jakby wpośród dnia. Na ten widok obie strony zawiesiły bój jednocześnie. Austerya była w ogniu; płomień buchał ze wszystkich stron, a rodzina Niemca wraz z nim, tylko załamywali ręce błagając ratunku.

Zawieszenie broni niedługo trwało. Kozacy przekonali się, że tylko z dwoma mają do czynienia (bo nie tylko ludzi, ale szpilki można było policzyć przy takim świetle), będąc sami w liczbie sześciu, na nowo natarli na nich. Po kilkakrotnie spisami godzili w naszych rycerzy, ale ani ich kołczug przebić, ani nawet ich samych poruszyć nie mogli. Bój był zażarty; już dwóch kozaków wyrzuciły szable Gaskolda i Odyńca, a jednak bój nie ustawał, owszem coraz zdawał się być zaciętszym.

Nakoniec ze wsi okolicznych zaczęli zbiegać włościanie, przywołani okropną łuną, która noc ponurą w dzień kłamany przekształciła. A i szlachta w brykach, a nawet w kolebkach, ze swoich wsi na pożar przybywała za wieśniakami, jedni dla przyniesienia ratunku, drudzy pobudzeni ciekawością. I wielce musieli się zadziwić, patrząc na podwójne widowisko, z jednej strony budynek palący się jak stos łuczywa na smołę, a z drugiej bitwa zacięta przy karecie pochylonej, bo tylko na trzech kołach opartej.

Jeden szlachcic, z tych co w pojazdach przybyli, wieku zbliżonego do starości, a osiadły, jak można było poznać po aksamitnej czapce z kutasem złotym, którą nosił na bakier, przybliżył się do zapaśników, i rzekł im głosem na pół rozkazującym:

— Bójcie się Boga, mości panowie. Nieszczęście dopieka ludziom obok was, a wy natomiast, cobyście mieli im przynosić jaki ratunek, zabijacie jeden drugiego, jakby Pana Boga nie było na świecie. Ej do kroć dyabłów! dajcie sobie przynajmniej na ten raz święty pokój i spuście się na ludzi uczciwych, aby was pogodzili. A jeżeli nie zechcecie zaprzestać, toć tu przy karezmie ćma narodu się zbiegła: która strona upartsza, na tę każę uderzyć choć drągami, bo juźci nie pozwolę wam bić się w mojej przytomności.

Nastąpiło powtórne zawieszenie broni, i sprawiedliwość tu winna być oddana kozakom, bez oporu, a nawet ze skwapliwością posłuchali głosu poważnego rozjemcy. Chłop rusniak jest skłonny do ulegania zwierzchności, a tem samem szanuje szlachcica, który w jego obliczu jest jej typem.

Pięciu tylko kozaków jeszcze pozostawało; reszta leżała na pobojuwisku. Jeden z nich podniósł rękę do czapki, i rzekł z uszanowaniem do starego szlachcica:

— Jaśnie wielmożny panie! Jesteśmy poddani i słudzy kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego. Odwozimy do niego naszą panią; wszak

my nie za swoim poszli rozumem, ale spełniamy to, co nam pan nasz kniaź rozkazał. Nieszczęście nas tu spotkało i zatrzymało przy tej karczynie, która się pali. Oś od karety pani pękła jak JW. widzisz. Nasz ataman poszedł obudzić gospodarza, aby mu na to poradził, i do nas nie wrócił, a tylko ci panowie, którzy nie wiedzieć jakim prawem chcieli się przy czepić do naszej kniahini; a że my na to pozwolić nie mogli, na nas napadli. Sześciu naszych zabili, albo tak dobrze jak zabili; bo jużci musieliśmy się bronić od napaści. Niechże JW. pan osądzi, kto tu jest prawnym?

— Mało na tem — odezwał się Niemiec zadyszany i zaszlochany—ale i mnie zgubili na wieki, tak że z żoną i dziećmi to tylko, co mamy na sobie, jest całym naszym majątkiem. Podpaleniem karczmy opłacili swój nocleg rozbójniki. A co my im winni?

Tu cała rodzina Niemca zaczęła wrzeszczyć, i włosy sobie wrywać z ropaczy.

— A moi panowie — na to stary szlachcic — to się nie godzi, to o pomstę woła do Boga. Gospodę podpalić, o żebraństwo przyprowadzić całą rodzinę, szkodę wyrządzić właścicielowi, na którego gruncie stoi ta austerya, a który jest karmazynowym szlachcicem, a nawet niepoślednim urzędnikiem. *Securitas publica violata*. A nadewszystko, zamordowanie podanych i sług senatora. *Et verbum caro factum est*. To już do mnie należy. Nazywam się Grzymała, je-

stem podstarostą grodu Warszawskiego, a substytutem JW. Krasieńskiego, podskarbiego wielkiego Koronnego, i starosty sądowego Warszawskiego. Moja jurysdykcya rozciąga się po całej tej okolicy. W imię prawa przykazuję wam, zawito stanąć na moje wezwanie przed grodem Warszawskim, pod karą wiecznego wywołania. Tam rozprawicie się sądownie; już nie wracam do mojej wioski, ale ztąd jadę do Warszawy; a jako *delictum flagrans, extra cadentiam* zasłucham waszej sprawy. Biada winowajcom! Najście na publicznym gościńcu, podpalenie cudzego budynku, to gardłowa rzecz. Kto z was winien, tego bez ceremonii na śmierć osądzę; jeżeli plebejusz, cum *executione in triduum*, jeżeli szlachcic, cum *beneficio appellationis de trybunału koronnego*; tak prawo każe. Rozkazuję wam natychmiast złożyć broń w moje ręce, i ruszać za mną pod konwojem do Warszawy.

Skoro to usłyszeli kozacy, jakkolwiek nie pozwali się do winy, ten rozkaz im wcale się nie podobał. Bliższa ciała koszula, niż sukmana. Trzeba było najspieszniej im wracać do pana, a tu im każą oddać się wszystkim przewłokom sądowym, a tem samem narazić się panu. Niewiele myśląc, odrzekli się i karety, i swoich towarzyszków rannych i zabitych, zawrócili konie i w nogi cwałem.

Nasi rycerze przeciwnie, oddali broń podstaro-

stowi (\*), zsiadli z koni, powodując się obowiązkiem swojego stanu, nakazującego najpoddanejsze posłuszeństwo prawu i uległość dla urzędu. Gaskold w milczeniu pozostawał, bo wiadomość, że Eleonora tylko o kilka kroków była od niego, takie na nim sprawiła wrażenie, że już do żadnego innego przedmiotu nie umiał skupić swojej myśli. Tylko pan Dawid się odezwał:

— Mości podstarosto dobrodzieju; ulegamy waszmości rozkazom, i oddajemy się w jego ręce. Ale in loco delicti, pozwól i nam się wytłómaczyć; bo już ci my szlachta nie gorsi od kozaków, których oskarżenia waszmość raczyłeś cierpliwie wysłuchać, a którzy, że się nie czują być czystymi na sumieniu, dowiedli ncieczką swoją. Owóż tedy jestem dworzaninem JO. księcia marszałka wielkiego Litewskiego, a najwyższego zwierzchnika w całej tej okolicy. Nazywam się Dawid Odyniec, jestem osiadłym szlachci-

---

\*) Szlachta polska burzliwa, gwałtowna, pochopna do bitek, zawsze się odznaczała posłuszeństwem jurzydykcyom sądowym, tak dalece, że bez środków zmuszających spełnia najuciążliwsze wyroki. Opinia publiczna piętnowała infamią każdego, który ufny w swoje dostatki i potęgę, odważyłby się nie spełnić wyroku prawnego na nim ciężącego. Do podobnego nieposłuszeństwa łączyło się wyobrażenie jakiegoś świętokradztwa.

cem na Żmudzi, gdzie mój ojciec piastuje tenże sam urząd, co i waszmość dobrodziej. A oto jest mój giermek, jak ja z rycerskiego stanu. Udajemy się z Litwy do Warszawy, z ważną ekspedycją. Nadstawiam ucha, słyszę, że kogoś uwożą; siadam na koń z mojami ludźmi, aby się dowiedzieć co to jest. Widzę kilku-nastu kozaków otaczających karetę na pół wywróconą; jeden z nich rozmawiał z po za okiennicy z gospodarzem. Zapytuję go, co to ma znaczyć, i miałem do tego wszelkie prawo, będąc dworzaninem i towarzyszem znaku księcia naczelnego dowódcy. Zuchwały kozak nie tylko że nie chciał się opowiedzieć, ale nawet usiłował nas nie puścić z sieni, za co ukarany został nie brzeszczotem, ale gifesem od szabli. Przyśępujemy do kozaków z językiem, a oni nas przywitani swojemi rusznicami, że gdyby nie nasze hiszpańskie kolczugi, byłoby po nas; jakoż mój luzak, że nie tak dobrze był opatrzone, leży, o którego ratunek błagam waszmości, jeżeli jeszcze żywy. Trudno nam było siedzieć na koniu z założonemi rękoma; musieliśmy napaść odpierać, a jeżeli kilku kozaków padło, to daremna rzecz; gdzie drwa rąbią, trzaski lecieć muszą. Co do karczmy wyznaję, że ją podpaliłem; ale gdyby nie to, nie miałbym szczęścia poznać się z waszmością dobrodziejem; a wreszcie, jakkolwiek bezpieczeństwo osobiste zmusiło mnie na ten raz być podpalaczem, nie odbiegam od wynagrodzenia sowitego i właścicielowi tej karczmy, i temu Niemcowi, który na nas

narzeka. A więc upraszam waszmości o najrychlejsze nas dostawienie do księcia marszałka, a ten, chociażby tylko dla ważności ekspedycyi jaką mu przywożę, pewnie mnie przed waszmością wytłómaczy.

— Jak to? — odrzekł podstarosta — waszmość jesteście dworzaniem księcia marszałka? A to wcale co innego. Wszakże ja mam zaszczyt liczyć się między klientami tego ze wszech miar szanownego pana. Oddaję waszmościom ich broń, a poprzestaję na jego słownem zaręczeniu, że udacie się do Warszawy. Pozwolicie mi panowie zrobić obdukcję prawną w tem miejscu, i złożyć moje uszanowanie kniahini wojewodzynie, która tyle trwogi doświadczyć musiała.

Przystąpił podstarosta do pojazdu, najuniżeniej powitał damy w nim siedzące, i nie ustawał w przeprosinach przed wojewodzina, że w miejscu jego jurzydykcyi uległ taki wypadek ją spotkał. Po czem sam otworzył drzwi od karety, prosząc zaledwo po takim przestרחu nieco uspokojone kobiety, aby z niej raczyły wysiąść.

Wyprowadziwszy je z pojazdu, przywołał Gaskolda, aby był na zawołanie córki JO. marszałka aż do jego powrotu, gdyż musi zrobić obdukcję poległych w tej nocy ludzi, i rozporządzić ułatwienie powrotu JW. wojewodziny do Warszawy. Rozkaz był dany Gaskoldowi, bo Odyniec tak był zajęty ratowaniem Jakóbczaka, że nawet o wojewodzynie zapomniał.

Dogorywający pożar dostatecznie przyświecał tym, co stali w jego pobliżu, a nawet już pierwsze brzaski dzienne z wolna postępowały po widokresie. Jakież było zadziwienie Gaskolda, kiedy zamiast jednego, ujrzał dwa przedmioty, które tak drogie były dla jego serca! Wojewodzina przywitała go z powagą, bo tyle umiała sobą władać, że niktby się domyślić nie mógł, patrząc na ich spotkanie, że między niemi może być jakiś inny stosunek, niż dobrej znajomości. Podała mu rękę, którą z uszanowaniem dotknął do ust, i w krótkich wyrazach oświadczyła mu, iż ją cieszy widzenie go w dobrem zdrowiu, po tylu latach jego rozstania się z dworem Birzańskim, i że wina mu sławy rycerskiej, którą umiał sobie nabyć; ale ten przymus tyle ją kosztował, że zaraz potem odwróciła się do karety, jakoby w niej czegoś szukając, a rzeczywiście żeby nie zdradzić swojego pomieszczenia.

Co się tyczy kniahini Wilhelminy, ta nie miała potrzeby pokrywać swoich uczuć. Zawiesiła się u szyi swojego jedynaka, oblewając jego lica łzami radości. Witowała go jako syna i jako zbawcę, a tak była przepelniona wzruszeniami, że nie umiała skleić porządných wyrazów, dla opisanja przed synem przygód tej zmuszonej podróży, i oświecić go po szczegółach o zdradzie, której gdyby nie on, obie padłyby ofiarą.

Wojewodzina, dla położenia końca tej scenie radości i czułości, która w jej położeniu zanadto była

dla niej drażliwą, oświadczyła chęć przybliżenia się do pogorzelska, ażeby wynagrodzić tych pocziwych wieśniaków, co ratunek przynosili z narażeniem życia. Nie mając innych narzędzi, tylko siekiery i wiadra, zdołali opanować pożar; tak, że oprócz dachu, który ze wszystkim zgorzał, szkoda była mniejsza niż się spodziewano, gdyż można było zaręczyć, że ściany w całości pozostaną.

Gaskold nie śmiał podać ręki wojewodzinie; ta się oparła na ramieniu jego matki, i obie przeszły te niewiele kroków, które przedzielały karetę od austeryi, a Gaskold za nimi szedł zamyślony, aż nakoniec tak utonął w swoich marzeniach, że zapomniał o wszystkim, co było w świecie rzeczywistym. Przeniesiony w inny świat, nic mu z tego, w którym tyle przeciwności doświadczał, nie pozostawało, tylko że jeszcze raz widział Eleonorę, więcej piękną, więcej boską, niż była kiedykolwiek, a której kiedyś serce było jego własnością. Zwiesił ociężałą głowę, oparł się o lipę roztaczającą swoje konary blisko austeryi, i stał jakby skamieniały, nie mogąc najmniejszej uwagi przyłożyć do sceny, która pod jego okiem się odbywała.

Ale za to Dawid Odyniec zdawał się mnożyć siebie, tak był czynny. Jakośmy już mogli go poznać w ciągu tej powieści, był to młodzieniec szlachetny i dowcipny, waleczny, czuły, ale lekkomyślny. Każda rzecz na nim sprawiała wrażenie, zanadto sko-

re, aby miało być długotrwałe. Nowe wrażenie w jednej chwili zacierало poprzednie. Wierny w przyjaźni, pomimo swej burzliwości, wiele znosił od tych, do których był przywiązany, a że słabość charakteru zwykle towarzyszy gwałtownemu ułożeniu, z łatwością dawał się im powodować. Obecę głębokim namiętnościom, serce jego nie umiało się wznieść nad przelotne miłostki; zapalało się widokiem pierwszej nieszpetynej twarzyczki którą spotykał, ale zaledwo znikala z przed jego oczu, zaraz o niej zapominał, i nowym wzruszeniem się oddawał, niemniej gwałtownym, niemniej przelotnym od pierwszych. Z głębokiego na pozór smutku, raptownie przechodził do hałaśliwej wesołości. Zawsze pod wpływem nieumiarkowanym obecnego uczucia, nigdy o przyszłości nie myślał; ztąd o ile z łatwością oddawał wszystko co miał, pierwszemu potrzebnemu, który się udawał do niego po wsparcie, o tyle był trudnym do uiszczenia się z długu, który zaciągnął. Wszystkie te jego przymioty, a nawet wady, nadawały wielką przyjemność jego obcowaniu; to też wszyscy go lubili, nie tylko księstwo marszałkowsstwo, którym był oddany w opiekę, i wodzowie, pod których rozkazami dobijał się sławy, ale i koledzy, chociaż im dokuczal swawolą, a zwłaszcza jego podwładni, bo lubo od nich wymagał poświęcenia, na wstępie umiał ich przekonać, że więcej dba o nich, niż o siebie samego.

Właśnie wtenczas był w paroksyzmie wesołości

do najwyższego stopnia podniesionej, a to z powodu, że się przekonał, iż Jakóbczak, którego stratę już oplakiwał, nie był zabity a tylko ranny; wprawdzie boleśnie, ale wcale nie niebezpiecznie. Rozebranego położył na dobrze wymoszczonym wózku przybyłego na pożar jakiegoś szlachcica, który rad nierad musiał na to zezwolić, a upewniwszy się, że żyć będzie, już był obojętnym na jego jęki. Dla jego pocieszenia na to tylko się zdobył, że mu powiedział:

— Jaka z ciebie baba, Jakóbczaku! wstydziłbyś się tak piszczyć! Kiedy wojak zabity, albo kona, wolno mu nosa na kwintę spuścić, ale rana, i to taka, z której za dni kilka wylizać się można, to marcepan żołnierski; o! nie oburzałbyś Pana Boga i cichobyś leżał. Zaraz mi się roześmiej, abym przecież widział, że Rycerz Lizdejko dał mi człowieka a nie prosiaka. Posłuszny Jakóbczak, chociaż cierpiał jak potępieńiec, roześmiał się i zaprzestał jęczyć. Tacy to byli nasi w owych czasach.

Już tedy ciężar spadł z głowy Odyńcowi i dopiero się opatrzył, że się nie przywitał z córką tego, którego był klientem i sługą. Przybliżył się do niej i ukląkł, przepraszając, że dotąd nie złożył jej hołdu swojego uszanowania; Wojewodzina zaraz go poznała, przyjęła go jako przyjaciela od dzieciństwa, podała mu rękę, dziękując mu z największą czułością za obronę, jaką z narażeniem życia w tak nierównej walce jej przyniósł, dodając, że z nieograniczoną ufnością

powierza się jego opiece w doprowadzeniu jej do rodziców, i że wraz z nimi powtórnie mu podziękuje w Warszawie. Tyle mu do tego przydała tych wyrazów obowiązujących, których szafarstwo wyłącznym jest udziałem naszych niewiast, że pan Dawid był w zachwyceniu.

Tymczasem pan podstarosta skończył swoją obdukcję; pokazało się, że w tej zażartej bitwie dwóch tylko przeniosło się do wieczności, ale było kilku rannych. Nawet Zawalidroga już stał na nogach, gdyż uderzenie, jakie był dostał od Gaskolda, tyle tylko że go przygłuszyło i skrwawilo, a niebezpiecznego szwanku mu nie przyniosło. Zadrzała Eleonora na widok tego, który przemocą i zuchwalstwem tyle strachu jej nabawił, ale jej czułe serce górę wzięło nad wstrętem, kiedy ujrzała go z obwiązaną głową, zakrwawionego, upadającego jej do nóg, dla ubłagania jej litości, a bynajmniej nie usiłującego zasłonić swojej winy kosztem swojego pana. Wspaniałe jej serce było najszlachetniejszym, najwymowniejszym obrońcą Zawalidrogi. Sama go wytłómaczyła przed sobą, nie mogąc odmówić jakiegoś szacunku dla sługi, żadnymi względami nie wstrzymanego, kiedy mu chodziło o spełnienie rozkazów swojego pana, a który nawet dla ocalenia siebie na niego winy swojej nie chciał składać. Podziwiała jego wierność, i chętnie

mu przebaczyła swoją krzywdę, komu innemu, a nie jemu ją przypisując, a nie poprzestając na tem, upewniła go, że żadnego starania nie zaniedba, aby go zasłonić przed gniewem i zemstą księcia ojca.

Tymczasem pan podstarosta ze swojej strony pokoju nie dawał wojewodzinie swojemi oświadczeniami dla niej samej i dla jej dostojnych rodziców. W tym napływie jego wyrazów, zawsze jedno i jedno wypływało, że jest sługą jej domu, że zaszczyca się łaską księcia marszałka, najpierwszego obywatela, najznakomitszego wojownika całej Rzeczypospolitej, i że chwila, w której może się przysłużyć jego krwi, jest najzaszczytniejsza w jego żywocie, a droższą nad jego urząd, i nawet ledwo że nie droższą od jego starożytnego klejnotu herbowego. Wojewodzina jak mogła usiłowała mu oddać dobre za nadobne, aż widząc że szlachcic nie kończy, przypomniała mu nareszcie, że już rozwidniało, a zatem go prosi, aby przyspieszył jej powrót do Warszawy i raczył obmyślić środek, którymby ją najrychlej mógł wyprawić do stroskanych rodziców.

Szanowny podstarosta otrzymał od uczynnej szlachty dwa wózki, bo Jakóbczak za staraniem Odyńca już miał trzeci, na którym leżał. Na tych dwóch wózkach położyć kazał kozaków rannych i samego Zawalidrogę, a nie zważając na wstawienie się dobrej wojewodziny, kazał go związać. Przekładał jej przy gęstych ukłonach, że życie swoje gotów jej po-

święcić, ale że prawa krajowego naruszyć nie jest mocen, a że stosownie do niego herszt hultajów, rozbijających na publicznym gościńcu, a schwytany na gorącym uczynku nie może być dostawiony z wygodami jak jeniec wojenny, ale musi być skrupowany jak złoczyńca, i dostawiony do juryzdykcyi, której będąc podstarostą przewodniczy, a która nie omieszka zastosować mu karę statutami przeznaczoną na podobnych zbrodniarzy. I to mówiąc, przyłożył ręce do gardła, dając do poznania, jakiej natury jest ta kara.

Swoją własną brykę kazał zatoczyć przed wojewodzinę. Była ona wygodniejszą i szerszą od tych wszystkich wozów szlacheckich. Tu nastąpił nowy wylew słów przepraszających za tak niedogodny jej dostojności ekwipaż. Nakoniec pozwolił damom usiąść, a sam, choć szósty krzyżyk na nim był karbowany, rzeško skoczył na konia Jakóbczaka, i zażyciem onego nie zaniedbał popisać się przed niemi. Wyruszyła więc karawana: wózki z Zawalidrogą i ranionemi naprzód, bryka z damami za niemi, a podstarosta, Gaskold i Odyniec na koniu. Wszyscy trzej asystowali bryce; pierwszy jednak ciągle baczył na wózki, jakby w obawie, aby który z nich nie uciekł.

### ROZDZIAŁ XXX.

W ciągu tej podróży kolejno pan podstarosta i pan Dawid przybliżali się do bryki, aby rozmawiać z piękną wojewodziną. Pierwszy ją bez przestanku przeproszał, że nie mógł jej służyć pojazdem stosowniejszym do jej godności, i prosił ją, by go z tego względu usprawiedliwiła przed księciem marszałkiem, a drugi ją bawił opowiadaniem swoich przygód, odkąd z rozkazu księcia opuścił był Birzę. Gaskold za bryką postępował; a co niemal zaszło jego matkę, ani razu nie posunął się, chociażby tylko dla przypomnienia, że i on przecie do ich glectu należy. Nie mogła pojąć podobnej obojętności od syna, który jej zawsze okazywał najtkliwsze przywiązanie, a od tak dawna z nią się nie widział; ale Eleonora aż nadto dobrze rozumiała powody tej pozornej obojętności.

Od kilku godzin podróżowali. Słońce, znacznie już podniesione na widnokręgu, ogrzewało poranek; całe przyrodzenie przybrało było świetniejszą barwę, a wieżyca kościoła świętego Krzyża jak punkcik zaczęła się rysować na powietrzu. Zadrgnęły radością serca obojga dam, kiedy pan starosta pierwszy zwrócił na to ich uwagę, wskazując im zbliżający się cel ich podróży; a pan Dawid zaledwo spostrzegł tę wieżycę, skłonił się przed wojewodziną na znak pożegnania, ścisnął rumaka ostrogami i z miejsca ruszył, co koń mógł wyskoczyć, ku Warszawie, ażeby oznajmić księztwu marszałkowstwu rychły powrót ich dziecka w rodzicielskie objęcia.

Koń pana Dawida, dziecię dolin Siedmiogrodu, nosił kiedyś na swoim grzbiecie księcia Rakoczego. Niepozorny dla oka, trzeba było go doświadczyć, aby się przekonać o jego przymiotach. Kiedy książe Jerzy Lubomirski ze swoim bitnem rycerstwem odpłacał temu łupieżcy na jego własnej ziemi krzywdy, które przez kilka lat wyrządzał Małopolskim obywatelom, przy podziale łupów zdobytych na tym wiarolomnym ksiąźcu, ten koń dostał się rycerzowi Lizdejce, który później obdarzył nim Odyńca. Wartość, a zwłaszcza wytrwałość tego konia były nadzwyczajne; i niktby się nie domyślił, patrząc na lekkość, z jaką unosił ciężko uzbrojonego rycerza, że dopiero odbył kilkogodzinną walkę.

Rycerz, okryty kurzawą, wstrzymał rumaka



zlanego potem przed wartą pałacu Radziwiłłowskiego, której w dniu tym przywoził dobrze mu znany dworzanin Hieronim Korbut. Pan Dawid skoczył z konia, przystąpił do dowódcy warty, i za ledwo do niego przemówił, natychmiast został poznany. Pan Hieronim rad był rozmówić się z kolegą po długim rozstaniu się, ale ten mu oświadczył, że na późniejszy czas to musi odłożyć, gdyż śpieszy do księcia pana z najważniejszą do niego ekspedycją: tyle tylko, że go zawiadomił, iż przed upłynieniem godziny będzie oglądał powracającą do rodziców wojewodzinną witebską, a pomimo skwapliwości, z jaką pragnął stawić się przed księciem panem, nie zapomniał prosić kolegi, aby rozkazał żołnierzowi przeprowadzać ledwo dychającego konia, noga za nogą, aż do jego powrotu, i nie wyruszył aż po daniu przez siebie instrukcyi żołnierzowi.

*Tak tedy opatrzywszy swojego konia, poszedł na dziedziniec i zastał przechadzającego się po nim księcia, w towarzystwie pana Jerzego Grabowskiego, z którym zdawał się rozmawiać w największem poruszeniu. Stanął przed księciem i nisko się przed nim się skłonił, trzymając pismo w rękę. Księżę się zatrzymał, i z roztargnieniem powiedział:*

— Co waś nam przynosisz?

Ale wpatrzywszy się w niego, z nieco wypogadzającym się czołem odezwał się:

— A, to waszmość, mości panie Dawidzie? a co słychać na świecie?

— Zaczynam od najważniejszego, księżę panie: oto, że tylko co nie widać JW. wojewodziny Witebskiej, a o reszcie ten list oświeci waszą księżęcą mość.

— Panie Jerzy—rzekł księżę zupełnie wypogodzony do Grabowskiego—ruszaj-że waszmość jak najspieszniej z tą dobrą wiadomością do księżny, i powiedz jej, że jak się tylko ułatwie cokolwiek, przybędę do niej, aby po szczegółach jej opowiedzieć. Nie zapomnij jej dodać, że Odyniec do nas powrócił.

Pan Grabowski wydalil się z pośpiechem. A księżę sam na sam zostawszy z panem Dawidem, przyjął list, i pocichu zaczął go odczytywać. Czasem przerywał czytanie i odzywał się: — Pocziwy Olbracht! Nieodrodny potomek Radziwiłłowskiego domu! Zostawując takiego syna dla kraju, mogę umierać spokojnie.—A skończywszy czytanie, rzekł do Odyńca:—*Ten chłopiec niemało mi narobił niepokoju, bo ja oddawna wiedziałem, kim jest rycerz Lizdejko. Ale musiałem tać to z wielu względów, a zwłaszcza, żeby księżna tego się nie domyśliła, bo gdyby była wpadła na myśl, że jej jedynak co chwila jest w niebezpieczeństwie, takowego pocisku możeby nie wytrzymała. Dotykało mnie do żywego, że syn nie podziela przekonania ojca, i że chwycił się przeciwnego jemu stronnictwa; a teraz się cieszę, że lepiej odemnie przewidział następstwa tej wojny domowej. Ach, jakżebym rad go uściskać! I na to niedłu-*

go będę czekać. Zamawiam sobie, byś przed księżną opowiadał po szczegółach czyny jego rycerskie. Wszak zdaje mi się, że byłeś przy nim, kiedy pod Potuszą takiej kaszy nawarzył Szwedom. Wojnę uważam za skończoną, a więc księżna z przyjemnością będzie słuchała relacji popisów synowskich, gdyż te krwawe przychody już się nie odnowią. Wszystko się tuli do Iona (tu zdjął czapkę) Najjaśniejszego Jana Kazimierza, prawego króla Polaków i Szwedów, a naszego najmiłościwszego pana. Co było, król zapomniał, i my winniśmy za jego przykładem o tem zapomnieć. Ja i moi jesteśmy wierni poddani i słudzy króla jegomości, i żał, że kiedykolwiek być nim przestałem, jest jedynem smutnem uczuciem, które z tych kilku lat obłąkania we mnie pozostało. Ale o tem później pomówimy. Co było z nią? w jakim jest stanie myśli? przez co ona przechodziła w tej dobie tak dla niej i dla nas nieszczęśliwej?

— A cóż, książę pani! Zgrzeszyłbym gdybym prawdę w bawełnę obwijał dla jakichś tam względów. Książę Daniel Dorohostajski wysłał do Warszawy swoich siepaczy, aby na wypadek niezezwolenia JW. wojewodziny na opuszczenie swoich dostojnych i połączenie się z J. W. małżonkiem, użyli chociażby gwałtu. Tak się też stało. Trudno sługom nie dopełnić pańskiego rozkazu. Jakoż go i dopełnili. Porwali wojewodzinę, wnieśli ją do przygotowanej na to karety, i dalej ze swoją zdobyczą. Jedno, że Bóg zawsze

opiekujący się krwią waszej książęcej mości, nie dopuścił im spełnić miary nieprawości; oś od karety pękła w pierwszej dobie rozbójniczej podróży. Trzeba było koniecznie się zatrzymać, i nową osią się opatrzyć. Było to przy karczmie murowanej, gdzie gospodarz Niemiec, jak się pokazało, był w ścisłych stosunkach z Zawalidrogą, kozakiem ulubieńcem kniazia, a dowódczą tej wyprawy. Ale mu szyki się pomięszały, trzeba było takiego wydarzenia, że właśnie będąc wyprawionym z panem Gaskoldem, alias JW. kniazem Wojciechem Dorohostajskim, z obozu królewskiego do waszej książęcej mości, z jednym tylko luzakiem, nocowaliśmy w tejże samej karczmie. Stukania nas obudziły; a po kilku słowach, które z poza karczmy odbiły się o nasze uszy, poznaliśmy, że to był gwałt. Nie wchodząc, komu był wyrażony, uzbroiliśmy się, i piorunem stanęli na koniach (we wszelkiej gotowości, ażeby nie dopuścić bezprawia. Wyruszyliśmy z karczmy; pytamy tego co stukał do okna gospodarza: co to jest? Ten odpowiedział nieprzyzwoicie; a jak się później pokazało, był to sam Zawalidroga. Przyszedł do takiej zuchwałości, że chwycił za cugle konia naszego Gaskolda, by go nie wypuścić z karczmy. Ale ten ręką od szabli między oczami dał mu takie *ad intendum*, że kozak krwią złąny padł o ziemię jak długi.

Tu przerwało panu Odyńcowi przybycie księżnej marszałkowej, która wybiegła na dziedziniec

zamkowy, oparta na panu Grabowskim. Czulość macierzyńska wzięła górę nad powagą pani z panującego rodu. Rzuciła się na szyję Odyńcowi uniesiona wdzięcznością, że im przynosi tak pomyslnie nowiny, iż ujrzą wkrótce córkę, a nawet niezadługo syna, którego oddalenie od lat kilku ciągle opłakiwała. Można się domyślić, jaka to była scena rzewna, ile było zapytań zwłaszcza o Olbrachcie; rada była dowiedzieć się po szczegółach o bohaterskich czynach tego świetnego młodzieńca, nawet jak wygląda? czy zmężniał? czy znoje rycerskie nie nadwerężyły mu zdrowia? czy ciągle wystawiony bądź na skwarne promienie letniego słońca, bądź na zamrożone powietrze nielitościwej zimy, nie stracił białej świeżości lica? i czy pleć ogorzała nie oszpeciła nieporównanego wyrazu jego twarzy?

Pan Dawid jak mógł uspakajał jej ciekawość. Jeszcze nie skończył jednego, a już trzeba mu było na drugie odpowiadać. Książę cierpliwie przetrwał pierwsze wybuchy tej czulości macierzyńskiej, chociaż długotrwałą, ale nakoniec odezwał się: — Mości księżno! z jejmością do ładu nie przyjdziem. Przerwałaś panu Dawidowi w najważniejszym miejscu jego opowiadania, a natłok twoich zapytań tak wziął go w obroty, jak charty zająca. Rady dać sobie nie może; uspokój się imoś, on a capite powtórzy to co już mnie powiedział, a resztę razem dosłuchamy; a że on jest na jej zawołanie, a więc jak się tu sprawi

będzie pora przywołać go do siebie, żeby aż do najdrobniejszych szczegółów zadość uczynił jej ciekawości.

Te słowa małżonka, którego czciła jakby jakie bóstwo, były dostateczne do wywołania z jej strony milczenia. Pan Dawid musiał tedy powtórzyć to, co dopiero powiedział księżciu, i temi słowy dalej postąpił w sprawozdaniu:

— Już tedy o jednego zmniejszyła się była ilość tych, z którymi gotowaliśmy się ucieszyć; ale i tak było ich zanadto. Nas było trzech, gdyż nasz luzak Jakóbczak w zręczności i odwadze nam nie ustępował, tylko że jego zbroja nie była tak dobrego hartu jak nasze (to też na nim się skupiło), a ich było dwunastu, liczba w bajkach poświęcona dla rozbójników. Oni otaczali karocę na pół wywróconą. My po nich z językiem, a oni nas witają ogniem z samopałów. Nie ma gadania, trzeba przebojem dostać się do karety, by dowiedzieć się kto w niej siedzi. Wiele złego dwóch na jednego, a tu omal nie czterech. Cóż robić? kufel nalany, trzeba go wypróżnić.

Zaczyna się przepląka, jakiej cieplejszej nie doświadczałem w całym moim zawodzie żołnierskim; bo trzeba oddać sprawiedliwość tym hultajom, że się dzielnie bili. Ja z pół tuzina kul dostałem w pancerz, jakby pięścią w piersi, że ledwo na kulbace się utrzymałem, ale pocziwe ogniwnka nie dały się przeździurawić, inaczej byłoby po mnie. I oni padali pod

naszemi ciosy; radybyśmy im nie dali, bo już nam ręce omdlewać zaczynały; ale zapobiegliwość pana Gaskolda nas ocaliła; bo nim wyruszył z karczmy, zapalił siano złożone w stosie w sieni. Zrazu nie mogłem zrozumieć, cui bono niewinnemu robić szkodę; ale potem poznałem o co chodziło. Jak się dach rozpłomienił, wśród ciemnej nocy zrobił się dzień w około, że można czytać książkę; wkrótce też zaczęli się zbiegać i zjeżdżać ludzie, a nawet szlachta z okolicy. Otóż i ratunek, kiedyśmy upadali na silach; bo Jakóbczakowi, że się dostało, już tylko nas dwóch składało całkowite nasze wojsko. Niewiele też i kozaków pozostało, a wszystko więcej, niż dwóch na jednego. Poszło nam na rękę przybycie narodu na pożar, bo jeden poczciwy obywatel, a jak się pokazało, podstarosta Warszawski, do nas przemówił po Bożemu, że my zaraz i bić się przestali. A kiedy nas o swojej godności nauczył, i w imieniu prawa rozkazał broń złożyć, a zdać się na jego rozsądek, my bez wahania spełnili jego rozkaz, ale tych kilku kozaków jeszcze pozostałych w całości, zaledwo posłyszeli o juryzdykcyi sądowej, w nogi co koń mógł wyskoczyć. Bo wiadomo, że kozak brzydzi się sądem, jak szalony pies wodą. Odrzekli się i karety, nawet swoich zabitych czy rannych, i zniknęli nam z przed oczów. My też radzi, że się od nas odczepili; ani nam przez głowę przeszło ich gonić.

Dopiero udaliśmy się do karocy z panem

podstarostą. Jakież było nasze zadziwienie, kiedyśmy się dowiedzieli ze świadectwa własnych oczów, że w niej zamknięte były JWW. wojewodzina Witebska i kniahini Stefanowa Dorohostajska, matka naszego Gaskolda, które kozacy kniazia wojewody gwałtem wywozili z Warszawy do Dolska, coby się im udało, gdyby nie byli się natknęli na nas. Kniahini Stefanowa była jakby w raju, bo widziała przed sobą syna, z którym oddawna się była rozstała, a który ją z największego nieszczęścia wybawił, bo juści mogła być aż nadto pewna, że nie dla pieszczoty ją wieźli do szwagra. Ale JW. wojewodzina stała jak na szpilkach, tak ją korciło, aby jak najspieszniej powrócić do JO. swoich rodziców: a tu trzeba było panu podstarościu robić prawną obdukcję, i rozporządzić, aby zacne panie miały czem powrócić do Warszawy, gdyż pojazd, w którym przyjechały, na nic się nie przydał, a na to wszystko niemało wydało się czasu. Pan podstarosta obdukcję zapisywał ołówkiem; zkądżeby dostać czego było trzeba do pisania? Karczma poszła z dymem tak, że nic nie uratowano; gospodarstwo tylko duszę własną z niej wyniosło; to też żal był patrzeć na ich rozpacz. Zaledwie ich uspokoiłem trochę, przyrzekając, że wróci się im szkoda sownie, bo Pan Gaskold kazał mi to im oświadczyć, a lubo wiem, że nie musi być przy pieniądzach, bo nigdy z wojny niczego dla siebie nie wyniósł, a do swojej ojcowizny

trafić nie może, ale tak jest słownym, że ani wątpić, iż to co obiecał to i dotrzyma.

— Niech się o to książę Wojciech nie troszczy; jeszcze mnie jakoś wystarczy, aby biedakowi wynagrodzić szkodę jaką poniósł, a która przyczyniła się do wyrwania mojego dziecka z rąk tych niegodziwych oprawców. Da Bóg, że ten Niemiec z całkowitą swoją rodziną będzie błogosławił dzień, w którym ogień pochłonął cały jego majątek.—Owóż tedy, książę panie, pokazało się z obdukcji, że z tych dwunastu kozaków trzech było zabitych, a czterech rannych, jeden niebezpiecznie, a inni wyleczą się trochę poleżawszy; notabene między temi ich watażka, ów Zawalidroga, faworyt zawołany kniazia Daniela, jak najmniej szkodliwie. Tyle tylko że mu łeb spuchł; zrobiło się z niego istne straszidło, ale na nogach stać może. A i my nie wyszli bez szkody; nasz Jakóbczak taki strzał dostał, że długo przecierpi, nim się na coś przyda naszym.

Wszystko to na prędece opatrzone i położono na wózkach, cośmy je dostali z łaski braci szlachty, zbiegłej na ten pożar. I lada chwila wasza książęca mość ich obaczysz, wlekących się przed pojazdem JW. wojewodziny. Bo pan podstarosta jej oddał swoją brykę, zwyczajnie szlachecką, nieodpowiednią wysokiemu stanowi tych pań, a raczej wychowaniu, jakie przyjęła JW. wojewodzina, ale nie było w czym wybierać. Panie wyruszyły więc za rannymi, w bry-

ce pana podstarosty; bo ten tak rozporządził, żeby ciągle mieć na oku tych, których dostawił do swojego grodu, w którym jak zasiądzie, ma im podziękować po swojemu za to, co nabroili. Przynajmniej tak dał się z tem słyszeć. A z niego człowiek zacny, bo jak tylko się dowiedział, że my do dworu waszej książęcej mości należymy, szable, cośmy jemu oddali na jego rozkaz, zaraz nam zwrócone zostały.

Toczyły się koła noga za nogą, jakby garnki wozily na kiermasz. Raz, żeby JW. wojewodzina się nie strzęsła, powtóre, przez wzgląd na rannych, bo śpiesząc, możebyśmy już żywych nie dowieźli. Może kto powie, że nie było czego żałować tych hultai, ale kiedy bo i nasz Jakóbczak był z niemi; wreszcie, pan podstarosta nie życzył sobie, żeby na wozach kończyli życie, bo im co innego przeznaczają. Posuwałem się wraz z innemi złotym krokiem, ale zaledwo wieżyczki Ś go Krzyża dały się spostrzedz, myślę sobie: — To darmo! popędzę mojego wierzchowca co tchu, chociażby miał i ducha wyzionąć, jak mnie dostawi na dziedziniec Radziwiłłowskiego pałacu. A koń niemałej musi być wartości, kiedy dźwigał na swoim grzbiecie i panującego księcia Siedmiogrodu, i nie ustępującego panującym księcia Olbrachta Radziwiłła, generała artylleryi Litewskiej. To przecie jego łaska! Gdzież mnie chudemu pachółkowi zdobyć się na takiego konia? Wiedziałem, że w takiej niespokojności, w jakiej JO. państwo byli, każda

chwila była godziną, a więc powiedziałem sobie: niech koń przepadnie, byle przyspieszyć chwilę ich uspokojenia. I jak ścisnąłem szkapę ostrogami, anim się spostrzegł, jak stanąłem przed bramą pałacu; ale prawda, że ledwo dyszę. Jeszczem nie był domówił ostatnich słów swojej relacji, a już księżna i pani starościna Mozyrska nadbiegły, żeby się dowiedzieć o córce i przyjaciółce.

Księżna marszałkowa i pani starościna, po tem nagłym przejściu ze smutku do radości, ledwo że były sobia przytomne; książę jeden umiał przytłumić powierzchowne oznaki uczuć, jakich może niemniej od nich doświadczał. Bo jako mąż stanu i wojny był wzwyczajony do władania nad sobą. Tyle tylko, że się odezwał do pana Jerzego Grabowskiego: — Jakież to barbarzyńiec z tego wojewody Witebskiego! Wykradać żonę z domu jej ojca, kiedy mu ją sam powierzył, to przechodzi pojęcie. Waszmości najlepiej wiadomo, że ani się spodziewałem mieć listu od syna, kiedy posłałem moją submisję najjaśniejszemu panu, zdając się na jego wolę jakakolwiekby nie była. Bo nie przystoi poddanemu warunki podawać swojemu panu. Tyle tylko, że odważyłem się kołatać do jego miłosierdzia za tym, który na moje nieszczęście jest jeszcze moim zięciem. A on właśnie wtedy wyrządzał mi taką krzywdę! — To wyrzekł na pozór spokojnie, ale dworzanie zauważyli, że jego źrenice dumą i gniewem zakipiały. Umilkł, i wszyscy, nawet

kobiety, nie śmieli przerwać milczenia. Trwało to przez kilka chwil. Nakoniec książę, obróciwszy się do dam, rzekł — No, mościa księżno i waszmość pani starościno, czegóż mamy się błąkać po dziedzińcu? Za godzinę, i to daj Boże, chyba przybędzie Elcia, a więc życzyłbym państwu wrócić do swoich komnat, i będą wysłani tacy, którzy nam dadzą wiedzieć, jak tylko tabor zbliży się do Krakowskiego-Przedmieścia. Ja proszę z sobą pana Jerzego i pana Dawida do mojego gabinetu, mamy w nim czem się zająć do przyjazdu pani wojewodziny.

Oparty zawsze na panu Grabowskim, książę udał się ku wschodom prowadzącym do jego gabinetu. Pan Dawid rad był dowiedzieć się o swoim koniu, ale trzeba mu było iść za księciem, ile że mu miał dać sprawozdanie z wszystkiego tego co widział, i co doświadczał od chwili, w której wyprawionym został. Rad nierad musiał się wstrzymać od opatrzenia swojego konia, jakkolwiek to go korciło. Tyle tylko, że śpiesznie polecił panu Maciejowi Mogielnickiemu, którego spotkał na dziedzińcu, w imię przyjaźni i koleżeństwa, żeby raczył go zastąpić, i chociaż mógł się na niego spuścić, jednak idąc za księciem ciągle oglądał się za sobą, jakby wzrokiem naglił pana Mogielnickiego, żeby pośpieszał ku warcie pa-

łacowej, gdzie jego konia przeprowadzano. Co się tyczy księżnej i starościny, nieby ich przekonać nie zdołało, żeby wróciły do swoich komnat i tam czekały powrotu drogiej córki, ulubionej przyjaciółki. Niecierpliwość starościny jeszcze więcej niż księżnej okazywała się przed przytomnymi. Zdawało się jej że dopuścić, by kto inny powitaniem swoim ją uprzedził, byłoby występkiem, i namówiła księżną, żeby z nią poszła na jej spotkanie.

Kiedy te szanowne białogłowy rozpoczynały swoją pielgrzymkę, roztropny koniuszy wyprawił za nimi pojazdy, jeden dla nichże samych, który za nimi miał iść powolnym krokiem, drugi, któremu zalecił ile możności pośpiechu, żeby jak najrychlej spotkał panią wojewodzinę i ją przywiózł do Warszawy.

Podczas tych rozporządzeń, książe już spokojny o córkę, rozmawiał z panem Jerzym Grabowskim i Dawidem Odyńcem o rzeczach nie już jego rodziny ale całego kraju tyjących się. Czyny księcia Olbrachta tak wpływały na jego dołę, tak szczerze były z nią spojone, że pan Dawid w długim, bo szczegółowem sprawozdaniu tego wszystkiego, czego był sam świadkiem, przez niemało czasu, czego się dowiedział z opowiadania nowych swoich kolegów, był zmuszony ciągle wspominać o rycerzu Lizdejce. Wszystko to pochlebiało rodzicielskiemu sercu księcia, a razem utwierdzało w nim przekonanie, że to je-

go zdanie się bezwarunkowe na wolę królewską jemu szkody nie przyniesie, ile że list syna go upewnił o łaskawem usposobieniu króla do Radziwiłłowskiego domu, i statecznej przyjaźni, jaką mu dochowują magnaci króla otaczający, a posiadający jego nieograniczone zaufanie.

Jednak, jakkolwiek był pocieszony tem wszystkim, co mu opowiedział pan Dawid o jego synie, nie mógł zapomnieć, że ma jeszcze drugie dziecko, którego los czarną powłoką jest okryty. I kiedy pan Dawid przestał mówić, westchnął głęboko i powiedział: — Wszystko dobrze; król mi powrócił swoją łaskę, lubo nie wykroczyłem przeciwko prawdom honoru nawet w postępku moim ze Szwedami. Z łatwością mogłem rozbroić tych, co tu zostawali pod moimi rozkazami, i tem przysłużyć się królowi, ale mój ród nigdy się nie splamił zdradą.

Wczoraj oświadczyłem generałowi Szwedzkiemu z otwartością mnie zwyczajną moje zamiary i dąsży z sobą kierunek; powiedziałem mu: — Mości panie, już między nami nie ma nic wspólnego; jestem teraz waszym nieprzyjacielem, jak i mój król, któremu oddać chcę być posłusznym, a któregoście wy naszli. Ale że się brzydę wszelkim podstępem, pozwalam wam swobodnie opuścić Warszawę z bronią i tem wszystkim, co jest waszą własnością. Zostawiam wam dwadzieścia cztery godzin do oczyszczenia miasta z waszej przytomności. Ruszajże waszmość jak

najszybciej, bo po upłynieniu tego czasu każdy Szwed, który tu pozostanie, będzie jeńcem wojennym. Wychodźcie z miasta jak najszybciej, a gdzie dają rozkazy, tam nikt waszego pochodu nie utrudzi.

Opuścił miasto generał, przejęty wdzięcznością dla mnie, zwłaszcza kiedy się przekonał, że mieszczanstwo Warszawy, na którego przychylność rachował, zabierało się rzucić na jego Szwedów, czego ja nie dopuściłem. Mój syn, nieodrodny potomek swoich przodków, nowe zaszczyty naszemu domowi przynosi.

Wszystko się dla nas klei; tylko wojewodzina, moja córka, zawsze nieszczęśliwa.

— W tym względzie, wasza książęca mość możesz być spokojnym. My słudzy nie jesteśmy przypuszczeni do słuchania tego wszystkiego, co pany mówią, a cóż dopiero królowie, a jednak i o nasze uszy coś z tego się obija. Wiem, że król jegomość dał się słyszeć, że nie jest dalekim od przebaczenia kniaziowi wojewodzie Witebskiemu, wszakże nie bez jakichś warunków; a jeżeli wojewoda je odrzuci, sobie samemu niech przypisze wszelkie następstwa swojego nieposłuszeństwa. A jaśnie oświecony książę generał artylleryi Litewskiej z tem się wymówił przede mną, że pierwszym warunkiem jego pojednania się z królem jest zezwolenie na rozwód z wojewodzina, a drugim, wymiar sprawiedliwości dla jego synowca. To wszystko wkrótce wyklarować się musi dziś jutro;

przybędzie król do Warszawy za sprawą już jemu posłusznego księcia pana, a do niej nie tai swojej tęsknoty. Na to głowę moją daję, że jak tylko otrzyma submissyę księcia pana, wszystko uprzedzi, żeby jak najszybciej dostać się do swojej stolicy, a towarzyszem tej jego podróży będzie książę Olbracht, który stoi na najwyższym szczeblu jego łaski. On waszą książęcą mość objaśni dokładnie o tem, o co tylko potracam. — Bóg wielki! Niech się stanie to wszystko, co chce i jak chce. Róbmy co możemy, a na niego złożmy staranie. Z niecierpliwością wyglądam króla; ku niemu wznosi się moje serce. W tej dobie musiał już odebrać najpoddanejsze pismo moje, a jednak wyznaję, że nie bez jakiegoś uczucia bojaźni stanę przed jego majestatem, bo czuję, ile przeciwko niemu przewiniłem.

— Książę panie — rzekł na to pan Jerzy Grabowski—jeżeli my zgrzeszyli, cały nasz naród z nami pospołu zgrzeszył. Nie my pierwsi odstąpili króla naszego. Wszakże pan hetman Gąsiewski przed nami złączył się ze Szwedami, a król, przypuszczając go znowu do dawnej łaski, tego mu nie wymówił, i taką samą pokłada w nim ufność, jaką miał przed napadem nieprzyjaciół, jak gdyby zapomniał, że hetman z wojskiem królewskim przeszedł był na stronę przeciwną, a tam zmusił nas myśleć o sobie.

— Co więcej—odezwał się pan Dawid—słyszałem na własne uszy, jak król jegomość za stołem, do



którego i ja chudy pacholek byłem przypuszczony w Brześciu, powiedział: że gdyby był na miejscu księcia marszałka Litewskiego, nie inaczej od niego byłby postąpił, gdyż wszystko już było stracone. A ojczyźnie służyć trzeba, w czyjekolwiekby ręce z woli Opatrzności popadła.

— Dobry, wyrozumiały pan! — odrzekł książę. Tu mu przerwało przybycie marszałka dworu, znajomego nam pana Pacyny.

— Jaśnie oświecony panie — odezwał się — JW. wojewodzina już jest na dziedzińcu.

Na te słowa książę o wszystkim zdawał się zapominać. Minister, naczelnik stronnictwa, zniknął, a tylko czuły ojciec pozostał. Pośpiesznie opuścił komnatę, i przez wschody spuścił się na dziedzińiec dla przyjęcia córki. Skoro pani wojewodzina spostrzegła księcia, wybiegła do niego i padła mu do nóg.

Książę ją podniósł, wziął ją w swoje objęcia, i nie nie mógł jej powiedzieć, a tylko wymownymi łzami jej lica zrosił. I dopiero wyszedł z rozrzwienia, kiedy pan podstarosta przystąpił do niego, żeby mu zdać sprawę z tego wszystkiego, czego był widzem i aktorem.

— Jaśnie oświecony panie — rzekł — oto są winowajcy, którzy się ośmielili targnąć na bezpieczeństwo JW. wojewodziny, córki waszej książęcej mości. Ztąd każę ich dostawić do wieży grodzkiej, a z niej wyjdą, żeby przewietrzyć się na postronku.

— Dziękuję waszmości za gorliwość, z jaką i aczyłeś się zająć moją córką, ale nie ma potrzeby tych nędzarzy odselać do grodu. Ja sam niemi rozporządzić potrafię.

— Jeszcze i owszem, książę panie. W grodzie kilka dni przejdzie, nim się ich los rozstrzygnie, a za rozkazem waszej książęcej mości mogą być natychmiast powieszani.

Każda chwila, którą jeszcze przeżyją na tym świecie jest zgrozą; cieszę się, że to na co zasługują będzie im przyspieszone.

— Zostaw waszmość rozpatrzeć mojemu rozsądkowi, czy sługa i poddany wiernie spełniający zbrodniczy rozkaz swojego pana, zasługuje na karę, czyli na politowanie. — A kiedy mu przedstawiali tych więźniów, odwrócił ze wstrętem wzrok od Zawalidrogi, którego poznał, i rzekł do pana Pacyny: — Tych rannych natychmiast zanieść do szpitala pałacowego, a moim lekarzom nadwornym zalecić, żeby o nich mieli staranie. Między niemi jest żołnierz ze znaku mojego syna; ten w sprawie mojej córki został ranny, tego szczególnie polecam waściny staraniom, zalecam opiekować się nim, tak jak gdyby do rodziny mojej należał; a co się tyczy tego nędzarza, który na nogach śmiało stoi, a który był tego heroldem, rozkazuję osadzić go w więzieniu zamkowym. W niem niech oczekuje swojego przeznaczenia. Zalecam, żeby na niczem mu nie zbywało, a tylko mieć

w ciąglem baczeniu, żeby nie uciekł, a to dla łaski mojej.

Poczem obrócił się do towarzyszki swojej córki, i najuniżeniej przed nią się skłoniwszy, rzekł do niej z całą kortezyą owych rycerskich czasów:

— Przebac, dostojna kniahini, że jeszcze nie złożyłem jej mojego uszanowania, a razem, żeś z powodu mojej córki tyle ucierpiała. Miałem zaszczyt być w stosunkach przyjacielskich z jej małżonkiem kniazem Stefanem, a dla jej syna, tu stojącego kniazia Wojciecha, mam szczególne obowiązki wdzięczności od dnia wczorajszego. Bo już mi wiadomo, ile poniósł znoju i na jakie narażał się niebezpieczeństwa, przynosząc szlachetny ratunek dla mojej córki.

— Mości księżę — odpowiedziała wdowa — nie z powodu córki waszej księżęcej mości, omal że nie zostałam ofiarą gwałtu i przemocy, gdyż pocisk niemniej na mnie, ile na nią był wymierzony. A jeżeli mój syn miał szczęście zasłużyć się jego domowi, tem jeszcze się nie wywiązał z obowiązków wdzięczności, jakie czuć winien dla tegoż domu, i za wychowanie które w nim przyjął, i za tyle łask jakich doświadczył i od samego księcia, i od jego syna.

— Zawstydzasz mnie pani tem wspomnieniem. Osoba tak zacna miała prawo czegoś więcej oczekiwać odemnie, nie to, co dla niej uczyniłem; to tylko mnie tłómaczy, że nie raczyłaś mi odkryć swojego

nazwiska, a jednak, gdybym był zasłużył na więcej ufności z jej strony, wielu naszym wspólnym nie-szczęściom byłoby się zapobiegło. Teraz pozostaje mi tylko prosić, byś raczyła rozkazywać w domu moim jak w swoim, a nas mieć za obowiązanych sobie. Oto jest moja żona, która już jest przygotowana być dla niej więcej niż siostrą, bo matka przyjaciela jej syna, a wybawcy jej córki, nie może dla niej być obcą.

Wilhelmina skłoniła się przed księżną, która ją wzięła w swoje objęcia, bo tak była rozrzewniona, że do niej przemówić nie mogła.

Księżę podał z uszanowaniem rękę kniahini, żeby ją wprowadzić do komnaty dla niej przeznaczonej, a księżna oparła się na ramieniu jej syna, dla którego przez długi czas była matką. Ona była przepełniona szczęściem, bo drogie dla niej przedmioty ją otaczały, a miała nadzieję ujrzeć wkrótce najdroższy z tych przedmiotów, chociażby tylko przez te lzy tęsknoty, jakie po nim wylała. Za ledwo wyszła z rozrzewnienia, a już tysiące pytań robiła Gaskoldowi o swoim Olbrachcie.

Nakoniec, przeszedłszy schody prowadzące do pokojów, nawet nie odprowadziła kniahini do komnaty dla niej przeznaczonej, ale porwała Gaskolda do swojej, żeby z nim nagadać się do woli.

## ROZDZIAŁ XXXI.

Po całym mieście gruchnęła wiadomość, że młody książę Dorohostajski, który pod imieniem Gaskolda, wierny towarzysz broni równie jak i on młodego księcia Olbrachta Radziwiłła, tyle sławy z nim pospołu uzyskał w obozach królewskich, znajduje się w pałacu Radziwiłłowskim; że po nierównej walce, udało mu się uwolnić, i przywieźć ojcu porwaną księżniczkę, i że, jak jutrzeńka zwiastuje rychłe przybycie słońca, tak i on wyprzedza przyjazd zwyciężkiego króla do stolicy. O niczem innym już nie mówiono w Warszawie.

Mieszczanie łaknęli oglądania króla, nie żeby byli do niego przywiązani, bo rzemieślnicy i handlarze, oddani korzyściom osobistym, jakkolwiek łatwi do poruszenia, statecznych przekonań politycznych

mieć nie mogą, ale że byli ciekawi nowego widowiska dla nich, powrotu króla po tak długim wygnaniu, a każda odmiana polityczna, chociażby cały kraj o ubóstwo przyprowadziła, zawsze stolicy jakieś zyski przynosi. Każdy zwycięzca który ją zdobywa, w niej rozsiewa pieniądze, które mieszczanom się dostają.

Szwedzi przez lat kilka całą Polskę rabowali, nędza była rozpowszechniona po województwach, a Warszawa się tuczyła, bo większa część tych rabunków w jej sklepach i szynkach ugrzęzła. Szlachcic i ziemianin upada pod ciężarem nieszczęść swojego kraju, mieszczanin stolicy niemi się owszem wzbogaca. I teraz zakładał sobie niemałe nadzieje na ucztach i rozlicznych wystawach, któremi króla przyjmować będą w Warszawie (\*).

Wszakże zawiodła się Warszawa w swoich na-

---

\*) Kto posiada cały swój majątek w ziemi, ten bojąc się trzęsienia ziemi, musi koniecznie być konserwatorem. Przemysłnik nie ma powodu lękania się powietrza, głodu, ognia i wojny, bo każda z tych klęsk czysty zarobek przyniesie mu może. Biada narodowi, którego rząd zostaje pod wpływem przemysłowców, a proszę uważać, że proletaryusz wchodzi do ich kategorii. Jest-to jedna z anomalii wieku postępowego, żeby ten, który nie posiada żadnej własności, mógł rozkazywać właścicielom.

dziejach, że patrzeć będzie na wjazd tryumfalny króla. Bo król, oględny na zubożenie szlachty, nie chciał jej narażać na nowe wydatki.

Submissya księcia Bogusława zastała króla w pochodzie z wojskiem do Warszawy. Tak pomyslny wypadek zniewolił go do najrychlejszego dostania się do stolicy, która z nieklamną żarliwością go oczekiwała. Poruczył więc wojsko hetmanom Potockiemu i Lubomirskiemu, a sam we dwa pojazdy jak najspieszniej udał się do Warszawy, by do niej przybyć niespodzianie.

Pierwszym pojazdem była poczwórna karetą, ofiarowana królowi przez posła cesarza Rzymskiego, który od roku był jego towarzyszem. W tyle zajął miejsce król, a obok niego poseł. Na przodzie siedli książę Olbracht, generał artylerji Litewskiej, najbliższy jego serca, i Jan Krasiński podskarbi koronny, który będąc razem starostą Warszawskim, jako gospodarz dopomniiał się o zaszczyt przyjęcia króla w jego stolicy; drugi pojazd był tak nazwaną skarbnicą, w niej były sprzęty niezbędne dla króla podróżującego i jego towarzyszków. Była opatrzona w dwa koziołki, jeden dla szatnego królewskiego i jego nadwornego lekarza, na drugim siedział woźnica, a obok niego znany nam Joś Dreczker.

Zadziwi zapewne czytelnika, że ten żyd, dopiero związany z nieprzyjaciółmi króla i rzeczypospolitej, tak głęboko był usadowiony w jego wzglęдах, że

z poufnemi króla, miał udział w jego podróży. Stan ówczesny tę tajemnicę tłómaczy.

Kilkoletnia wojna, rabunki i pożogi Szwedzkie, Tatarskie, chłopstwa Ukraińskiego i Siedmiogrodzian Rakoczego, niemniej rodaków obudwóch stronictw, tak były wyniszczyły wszelkie zasoby, że gotowy pieniądz omal że nie zupełnie zniknął z kraju. Jeżeli był jaki handel, ten się ułatwiał jedynie zamianą produktów, bez pośrednictwa kruszczy, którego nie było. Śladu nie pozostawało tych sreber stolowych, tych bogatych rzędów, w jakie jeszcze niedawno obfitowały pańskie domy. Wszystko, nawet srebra kościołów, pochłonięte zostało. Najwięksi, najmożniejsi panowie, posiadacze niezmiernych włości, nie tylko niedostatek, ale nędzę cierpieli. Gotowy grosz był tak drogi, że książę Lubomirski za lichą kwotę stu złotych polskich jedną wieś wypuścił w zastaw. Jeszcze panowie Litewscy jakkolwiek się trzymali, a Polscy i Ruscy do tego stopnia byli zubożali, że kiedy we Lwowie król przyjmował powitanie konfederatów Tyszowieckich, w zgromadzeniu kilkuset panów i szlachty dwa tylko lite pasy dały się widzieć, a to odznaczenie się od innych, szemranie powszechne obudziło.

Wszystkie produkta krajowe były za bezcen. Wór owsa sprzedawał się za grosz, za dziesięć groszy można było kupić skopa, a i o tę lichą kwotę było trudno. Wodzowie konfederacyi wszystko co było nie-

zbędnego dla wojska, bezpłatnie zabierali, tyle tylko, że dawali cedułki, które po uspokojeniu rzeczypospolitej, z jej skarbu miały być wykupione. A co się tyczy dowódców ochotników, oprócz jednego rycerza Lizdejki, wszyscy i siebie i swoich utrzymywali grabieżą, i w tym zawodzie nawet Tatarom nie ustępowali.

Król co do środków pieniężnych nie był w stanie lepszym od swoich poddanych. Pieniądze, które był zaciągnął na swoje i królowej klejnoty jeszcze we Lwowie, obrócone były na potrzeby istniejącego wojska i na zaciąg nowego. Nawet te, które mu cesarz przysłał przez posła swojego, już zostały użyte w Brześciu do zaspokojenia w części przynajmniej kwarcianego wojska Litewskiego, które się domagało zaległości swojego żołdu. Zgoła król był w tak wielkim niedostatku, że omal nie wpadał w rozpacz, iż nie wiedział dokąd po ratunek się udawać.

Przybycie Josia Dreczker'a było dla niego najszczęśliwszem wydarzeniem. Bo ten przebiegły żyd taką był powziął wiarę w pomysłność sprawy królewskiej, że nie tylko swoje własne pieniądze, ale i te które mu kredyt jaki miał u żydów dostarczał, były odtąd na zawołanie królewskie. Prawda, że król za jedno podpisywał obligi na trzy, że te kwoty, zwłaszcza jak na potrzeby królewskie były dość szczupłe, ale przynajmniej było o czem sprowadzić królową i odbyć podróż do Warszawy.

Temi przysługami Joś Dreczker utorował sobie drogę do serca swojego pana, i wkrótce otrzymał jego zaufanie tak dalece, że nawet tajemnice stanu bwały mu odkryte, gdyż wiedział wszystko co się robiło w radzie, a król w okolicznościach zawilszych nie gardził jego zdaniem. Przyszło do tego, że wstawienie się Dreczker'a za kimś udającym się do łaski króla, było prawie tak skuteczne, jak i jakiego senatora, czy ministra potężnego w narodzie, a ojczyźnie zasłużonego.

Magnaci otaczający króla nie stali mu na przeszkodzie, raz że sami potrzebowali jego przysług, powtóre, że był nie tylko względem nich, ale nawet względem najuboższego obywatela pokornym, tak uniżonym, tak cierpliwym na wszelkie wysoki buty i porywczosci szlacheckiej, że mógł śmiało powiedzieć, iż ani jednego nie miał dla siebie niechętnego. Bezwątpienia szlachcic ówczesny był nadto dumny, nadto czujący swoją godność, żeby ścierpiał cień zachwalstwa lub poufałości od nierównego sobie w urodzeniu, ale pokora wszystko mogła wymóżyć na jego dobrodusznosci.

Położenie żydów zmuszało ich do tych powierzchownych oznak uległości a jakkolwiek dla własnego bezpieczeństwa nigdy się z nimi nie omijali, żaden z nich ani w uniżoności, ani w pochlebstwie nie wyrównał Josiowi Dreczker. Kark jego ciąglem uginaniem się przybrał był kształt paraboli, tak że już

nigdy wyprostować się nie dawał. Kto usiłuje zdobyć umysłowe pociechy, temu właściwie wznosić głowę do góry; kto szuka ziemskich korzyści, musi mieć oczy spuszczone ku ziemi: takiemu wyniosłość ani przystoi, ani go zostawi bez szkody. Gdyby Józef Dreczker był wyłącznie kierowany osobistą korzyścią, byłby pomieszczony w tłumie niestety nadto licznych ludzi podłych, lecz tu uszlachetniało go przeświadczenie wewnętrzne, że z siebie robi ofiarę dla dobra swojego narodu, gdyż to co robił nie mało przyczyniło się do ocalenia żydów.

Książę Bogusław oczekiwał przybycia królewskiego, jednak nie spodziewał się go aż za kilka dni. Bo chociaż mu było wiadomo, że król postępuje z wojakiem, nie mógł przewidzieć, że tyle ufał w usposobieniu mieszczan Warszawy i jego własnemu, by aż się sam odważył do niej wjechać bez żadnego ubezpieczenia swojej osoby. Wszakże porozsełał gońców, którzy go mieli uprzedzić o jego zbliżeniu się, ażeby mógł sam wyruszyć na jego spotkanie z panami i szlachtą swojego stronnictwa; chciał mu się bowiem pokazać w postaci wodza poważnej partyi, mogącego jeszcze przedłużyć opór, a nie jak zwyciężony w rozpaczy, któremu już nic nie pozostaje, tylko błagać przebaczenia.

Był już wieczór, cała rodzina zebrana była w komnacie księżnej marszałkowej, a z nią i pani starościna Mozyrska, i kniahini Wilhelmina, i jej

syn, których księstwo uważało jako członków ich rodziny. Był także i pan Dawid, i wielce był potrzebnym, bo książę Wojciech był tak skromny, że ile razy trzeba mu było odpowiadać na zapytania księstwa o tem co sam czynił, on jakby nie umiał dać objaśnienia, bo tu i prawda, jakkolwiek pokryta skromnością, możeby uszła za samochwalstwo. Wtedy tylko był wymownym, kiedy mu wypadało mówić o wielkich czynach księcia Olbrachta. Ale za to pan Dawid z zapalem głos zabierał, ile razy była wzmianka o samym Gaskoldzie, i już mu gęba się nie zamykała. Księżna zdawała się być zachwyconą do siódmego nieba, kiedy Gaskold mówił o rycerzu Lizdejce, a kniahini Wilhelmina, kiedy pan Odyniec rozwodził się nad czynami Gaskolda. A co się wtedy działo w duszy Eleonory, tego nie wiem; tyle tylko, że często się odwracała, jakby czegoś szukając za sobą.

W tej to rozmowie, której książę przysłuchiwał się z poważnym milczeniem, upływały godziny, kiedy raptem drzwi od komnaty się rozwarły i pokazał się rycerz w podróżnym ubraniu. To niespodziane przybycie wszystkich zadziwiło, ale to zadziwienie wkrótce ustąpiło innemu wrażeniu zupełnie innej natury, kiedy książę Wojciech i pan Odyniec jednocześnie krzyknęli:—Rycerz Lizdejko! — A ten padł jak długi do nóg ojca.

Wzruszenie księżnej matki było tak gwałtowne, że nie starczyło jej siły do zniesienia pierwszego wrażenia niespodzianego szczęścia. Wskoczyła do syna, chciała go uściskać, ale w chwili kiedy księżę marszałek, mało co mniej od niej wzruszony, podnosił swojego syna, księżna zemdląła i byłaby padła o ziemię, gdyby Eleonora, kniahini Wilhelmina i pani starościna Mozyrska nie były jej zatrzymały w swoich ramionach. Księżę to podnosił syna, to pośpieszał do ratowania żony; rady sobie dać nie umiał, dopóki księżna nie wróciła do przytomności. Zaledwo otworzyła oczy, zaczęła wołać za synem, a gdy ten do niej przyskoczył, ona go objawszy, tak przycisnęła do swojego łona, jak gdyby z nim się chciała spoić; z wielkiego rozrzewnienia łzy potokiem ruszyły z jej żrenic. I to jej ulgę sprawiło, że zupełnie do siebie powróciła, i mogła przecie mówić do syna.

Po tych pierwszych wybuchach miłości macierzyńskiej, księżę Olbracht uściskał siostrę, powitał panią starościnę, którą znał dzieckiem, kiedy sam był dzieckiem, i pozdrowił ściśnieniem ręki towarzyszków broni. Gaskold przedstawił rycerzowi swoją matkę, ale jak tylko ją spostrzegł, księżę Olbracht rzekł do niej z uniesieniem:

— I pani zabierasz ze mną znajomość? Czy już zatarły się w jej pamięci te chwile, któreśmy przepędzili z sobą, kiedyś mi do Manhejmu najdroższego przywiozła przyjaciela, który w mojem sercu wzbudził miłość kraju i sławy?

Prawda, że chwile były krótkotrwałe, po dwóch dniach pobytu z nami, powróciłaś do nieszczęśliwej wówczas rodzinnej ziemi. Wtedy właśnie mój wuj wyprawiał mnie do Anglii, ale wkrótce po odjeździe pani, za namową Gaskolda, obróciłem z nim i moim Oldenkopffem podróż na Szlązk, żeby najjaśniejszemu panu ofiarować nasze usługi.

Naszym czystym chęciom Bóg pobłogosławił, ale i łaską króla i tę trochę sławy, na jaką starałem się zasłużyć, wszystko winienem mojemu drogiemu Wojciechowi. Gdyby nie jego rady i współdziałania, może rycerz Lizdejko tak byłby zapomniany, jak tyłu innych rycerzy, którzy nie oszczędzali krwi swojej, królowi i ziomkom. Ale cóżem uczynił, nadroższy ojeze i panie? Uniesiony uczuciem natury, zapomniałem o obowiązku poddanego, by jak najspieszniej spełniać rozkazy swojego króla. Król mnie posłał do waszej księżęcej mości, żeby jej oświadczyć najwyższą jego wolą, byś raczył przybyć do niego; mnie pozwolił resztę dnia przepędzić na łonie mojej rodziny, ale księcia ojca oczekuje z niecierpliwością.

— I gdzież mam stanąć na rozkaz najjaśniejszego pana, by u nóg jego błagać przebaczenia? — odezwał się księżę Bogusław.

— Ja zaręczam waszą księżęcą mość, że król nie pozwoli o tem mówić, bo już o niczem nie pamięta, tylko o dawnych jego zasługach, i że go przyjmie jak dawnego przyjaciela i wierną radę.

— Gdzież go znajdę?

— Tu w Warszawie, gdzie stanął przed go-dziną.

Tymczasowo obrał sobie mieszkanie w rynku Starego-Miasta, w kamienicy Starościńskiej, gdzie z nim i z nami przybyły JW. Krasiński, podskarbi wielki koronny, jako starosta Warszawski go przyjmuje. Tak był niecierpliwy widzieć się z waszą księżką mością, że nie dał mi czasu się przebrać, i to mnie usprawiedliwi, że w podróży odważyłem się stawić, przed jasnie oświeconym ojcem i dobrodziejem.

— Jak to! Król w Warszawie? Wiem, jaka jest teraz moja powinność. Mościa księżno, zostawiam imości naszego Olbrachta, a sam biegnę do króla.—To rzekłszy wyszedł, a za nim księżę Olbracht, żeby go odprowadzić na dziedziniec.

Księżę marszałek, póki był w komnacie księżnej przy tyłu świadkach, przestrzegając swojej powagi, nie oddawał się swobodnie uczuciom radości, jakie w nim wzbudziło przybycie na łono rodziny jedynaka, nie tylko jemu, ale całemu narodowi miłego. Ale skoro przechodząc przez drugi pokój, sam z nim pozostał, nic już go wstrzymać nie mogło. Pierwszy raz w życiu objął go w swoje rodzicielskie ramiona, i przycisnął go do swojego serca, a rycerz wynurzył swoją wdzięczność powtórnem upadnięciem mu do nóg. Księżę ojciec jak najspieszniej go podniósł,

i znowu go uściskał w swoich silnych ramionach. Obaj spuścili się przez schody pałacowe. Żadnego pojazdu nie było gotowego, tylko koń, który na swoim grzbiecie księcia Olbrachta dostawił.

Księżę marszałek skoczył na niego i pierwszy raz w życiu, bez orszaku, nawet bez masztalera, puścił się cwałem ku Staremu-Miastu. Jego dostojny syn prowadził go wzrokiem, póki nie zniknął za dziedzińcem pałacu. Wtedy dopiero dał rozkaz dworzaninowi, którego spotkał przy podwojach, żeby wyprawił kolaskę ze zwykłą asystencją księcia do Starościńskiej kamienicy, a sam powrócił do już tęskniącej za nim matki.

Księżę marszałek zatrzymał konia przed kamienicą, zaszczyconą pobytem ojca i pana narodu, a przy której zastał tłum narodu oczekującego pokazania się króla. Bo chociaż przybył jako zwyczajny podróżny, bez żadnej okazałości, która w owych czasach odznaczała królów od najdostojniejszych poddanych, jednak wiadomość o jego przybyciu była się rozeszła po całym mieście.

Księżę zsiadł z konia, puścił go na Bożą wolę, i przez schody kamienicy poszedł, nie oglądając się za sobą, prosto do komnat gospodarza. W przedpokoju przy drzwiach, pierwszą osobą jaką spotkał był znany mu dobrze Joś Dreczker, który go przywitał skłonieniem głowy aż do jego kolan. Drugą był sam pan podskarbi koronny, który pełnił w dniu tym obo-



wiązek podkomorzego nadwornego przy królu jeszcze bez dworu. Książę, uściskawszy dawnego przyjaciela, poprosił go, żeby dał wiadomość królowi, że stanął jego wierny poddany na wezwanie królewskie. Pan podskarbi zaraz poszedł do komnaty królewskiej, a po kilku chwilach król pokazał się w przedpokoju. Książę marszałek, skoro go spostrzegł, padł mu do nóg jak długi. Król go podniósł. Książę chciał mu coś powiedzieć o swojej skruszce za przewinienia, jakich się względem jego majestatu dopuścił, ale król nie dał mu mówić, a tylko wziął go za rękę i wprowadził do swojej komnaty, gdzie sam na sam z nim pozostał. To posłuchanie trwało więcej godziny; po upływie onej książę otworzył drzwi, przywołał Josia Dreczkera, i zaprowadził go z sobą do komnaty, poczem drzwi za sobą zamknął. Ta konferencya między niemi trzema jeszcze blisko godzinę trwała. O czem z sobą mówili, tego nikt domyśleć się nie mógł; tylko, że zauważono, iż książę wychodząc z żydem, bardzo był rozczulonym, że nawet w przedpokoju czas jakiś z nim po cichu rozmawiał, i że kiedy już opuścił kamienicę, w jego kolasie Joś Dreczker usiadł na koźle obok woźnicy, który ich zawiózł do Radziwiłłowskiego pałacu.

## ROZDZIAŁ XXXII.

Podczas kiedy cała Rzeczpospolita wracała do posłuszeństwa swojemu prawemu królowi, a zagraniczne mocarstwa zawierały z nim pokój, jeden tylko książę Daniel Dorohostajski żadnego kroku nie chciał uczynić do pojednania się z królem. Całe Polesie było jemu posłuszne, i zdawał się chcieć w niem opierać póki mu sił wystarczy. Hetman Gąsiewski, na czele części wojska Litewskiego, i Sapieha starosta Mozyrski, który z swojemi Białorusinami z nim się był połączył, obaj doświadczeni wodzowie, wyruszyli żeby go spotkać i wydać mu stanowczą bitwę.

Na wstępie udało im się opanować Pińsk, za pomocą mieszkańców tego miasta, a nawet zmusić pana Bogusza, podstarostę Pińskiego, a zaufanego stronika kniazia, do poddania się z zamkiem i załogą jemu od tegoż kniazia powierzoną.

Na wstępie wyprawy odniesienie podobnej korzyści niemało znaczyło dla partii królewskiej. Wprawdzie zamek Piński nie był w stanie obronnym; w kilku miejscach były rozpadliny, które na prędce pan Bogusz załatał ziemią i ostrokołami, słaba obrona przeciw wojsku prowadzonemu przez podobnych wodzów, za którymi ogłosiło się miasto; ale takowe zwycięstwo rokowało dalsze pomyślności i pozwalało się spodziewać, że kolejno książę wojewoda opuszczonym zostanie przez wszystkich swoich stronników.

Przecie pokazało się inaczej. Oprócz Pińska, wszystkie inne miasta Poleskie pozostały w wierności dla swojego księcia, i z największem poświęceniem mu służyły; gdzie tylko wojsko królewskie przychodziło, spotykało same pustki, gdyż mieszkańcy wynosili się w głąb' swoich pustyń z dobytkiem, tak, że coraz było trudniej o żywność.

To dochowanie wiary dla pana srogiego, a opuszczonego od szczęścia, na pierwszy rzut oka zdaje się być niepodobne do wierzenia. Ale do tego były dwie przyczyny, stanowiące wrażenie sprawujące na umyśle prostego narodu, a temi były nadzwyczajna odwaga księcia, i okrucieństwa, jakich się dopuszczał względem tych, których podejrzewał o zdradę. Co więcej, zdawał się być pewnym zwycięstwa, bo nie tylko że odrzucił ze wzgardą ofiarę zgody podanej mu przez hetmana, ale jeńców polskich, których mu się udawało zabierać, mordował z pastwieniem się nad nimi.

Hetman usiłował zniewolić swoich podwładnych do ludzkiego obejścia się z jeńcami poleskimi, których ilość była nierównie większa, ale dokazać nie mógł, gdyż okrucieństwa księcia do tego stopnia rozdrażniły królewskich wojaków, że nawzajem dopuszczali się prawem odwetu podobnych okrucieństw z temi, którzy wpadli w ich ręce, i nie było środka by temu zaradzić. Z tego książę korzystał, bo gdy rozpowszechniło się między Polesiukami przekonanie, że przebaczenia nie mogą się spodziewać, tem samem ich opór stał się więcej zaciętym.

Wojna domowa jest zwykle najokropniejszą ze wszystkich, ale niepodobieństwo wyobrazić sobie stopnia, do jakiego podniosły się tu okropności, rozpasaniam, swawolą i okrucieństwem obu stronnictw; jedni i drudzy szli z sobą na wyścigi.

Wszakże ten kraj był iścizną króla i Rzeczypospolitej. Hetman nie życzył sobie odzyskać samych gruzów i zgliszczów, a widząc, że nie ma sposobu nakłonić księcia do uległości, pokładał jedynie nadzieję w jego zuchwałości, że nie odmówi mu przyjęcia ogólnej bitwy, zdolnej położyć kres tym kłęskom, ile że się obawiał, żeby Ukraina, jeszcze dymiąca po swoich pożarach, a z którą książę przez swoich kozaków mógł mieć stosunki, nie podniosła się znowu na wypadek przedłużenia wojny i nie odnowiła krwawych ustępów Chmielnickiego.

Polecił więc Sapieszce staroście Mozyrskiemu,

wzmocnić Pińsk ile możności, do niego ściągnąć z województwa Nowogrodzkiego obfitej, (gdyż jemu jak najmniej dał się być uczuć ciężar wojny) ile można było żywności, i na tem mieście oparł dźwignię wszelkich swoich działań wojennych, a sam w poruszeniach swoich okazywał największą ostrożność, unikając na pozór starcia się z wojewodą, jakby się go obawiał. Ten fortel udał mu się wybornie; rozzułchwalony wojewoda, skupiwszy wszystkie siły jakie mógł zebrać, uderzył na hetmana stojącego obozem na pograniczu starostwa Ratyńskiego, na trakcie idącym z Wołynia do Pińska, pod wioską nazwaną Osowa.

Tego właśnie czekał hetman. Wszczęła się żarta bitwa, jakiej straszniejszej i więcej morderczej może nie było od zawiązania się konfederacyi Tyszowieckiej. I hetman i książę szukali zwycięstwa lub śmierci. Przez sześć godzin szala ważyła się między nimi. Była nawet chwila, w której zdawało się, że się była przechyliła na stronę buntowników, kiedy chorągiew hetmańska czoła dotrzymać nie mogła kozakom, których sam wojewoda prowadził, zagrzewając ich męztwo swoim przykładem. Już hetman był blizkim rozpacz, ale szczęśliwie wykonany obrót przez mężnego Tryzmę, dowódcę puszkarzy hetmańskich, rozstrzygnął wahające się szczęście na stronę hetmana. Pomimo oporu strzelców poleskich, rozsypanych po lesie, udało mu się doprowadzić trzy ar-

maty na skrzydło kniazia Dorohostajskiego; tam, jak zaczął sypać kartaczowym ogniem, zaraz go zmieszał.

Napróżno książę dokazywał cudów waleczności i przytomności, żeby z placu nie ustąpić. Nie było sposobu zatrzymać uciekającego prawego skrzydła. Upór na nicby się nie przydał, bo gdy jego prawe skrzydło poszło w rozsypkę, wytrwałość lewego i środka nie zapobiegłyby otoczeniu ich przez nieprzyjaciół. Poznał to wojewoda, i z wściekłością w sercu wziął się do odwrotu, poniosłszy znaczną stratę. Wszakże swój odwrot w takim porządku prowadził, że wojsko hetmańskie, zmęczone kilkugodzinną walką, w której także немало ucierpiało, dość miękko go ścigało. O trzy mile w tył od pobojowiska, książę już bezpieczny od pogoni, pozwolił swojemu wojsku wypocząć i tam dopiero obliczył swoje straty. Pokazało się, że jego siła więcej niż o trzecią część była zmniejszoną, gdyż z żołnierzy jego prawego skrzydła ledwo piąty ściągnął do niego, a co się tyczy strzelców, którzy rozsypali byli w lesie dla pilnowania tego stanowiska, wszyscy tak zniknęli, że ani jeden mu się nie pokazał.

Poznał książę Daniel, że nie było sposobu potykać się w otwartem polu z hetmanem, ile że przewidywał, że starosta Mozyrski opuści Pińsk, już bezpieczny po bitwie Ossowskiej, by się połączyć z hetmanem. Postanowił więc odmienić plan pierwiastko-

w jej wyprawie, i już nie szukać nieprzyjaciela, ale czekać go w obronnych zamkach, a tym sposobem przedłużać wojnę. Rachował na przybliżającą się zimę, czas w którym zwykle szlachta pospolitego ruszenia powraca do domów, na niedostatek żywności dla znacznego wojska w ubogiem Polesiu, a nadewszystko na nadzieję, jaką miał poburzenia poddaństwa Ukraińskiego przez emisaryuszów, których tam powysłał. W tym celu, cofając się, oddzielił coś ze swojego wojska, dla pokrzepienia załóg zamków Ratnego i Dynina; zabierał z sobą ile napotkał ludzi zdatnych do oręża, w przechodzie niszcząc kraj do reszty, żeby w nim żadnego środka utrzymania się nie zostawić nieprzyjacielowi, i już od nikogo nie ścigany, dostał się do swojego Dolska.

Tam spodziewał się zastać Eleonore; łatwo wyobrazić sobie można, co się dziać musiało w jego gwałtownej duszy, kiedy się dowiedział, że nie tylko iż porwanie kniahini się nie udało, lecz że nawet Zawalidroga schwytanym został; ale rzecz dziwna w tym człowieku tak twardym, tak krwawym, czułość i troskliwość o los ulubieńca wzięły górę nad wszelkiem innym uczuciem. Już go własni siepacze poznać nie mogli. Pierwszy raz w życiu jego srogość przyrodzona zdawała się być ułagodzona. Często łzy pokazywały się w jego źrenicach. Potem przez dwa dni zamknął się w swojej komnacie i żadnego nie dawał rozkazu.

Nakoniec po ich upłynieniu wyszedł na dziedziniec zamkowy, jakby przebudzony ważnością okoliczności, w jakich zostawał, i powrócił do dawnej czynności, a w części i do dawnej srogości. Ale zawsze można było rozpoznać na jego obliczach wyraz głębokiego smutku. Tymczasem hetman postępował, i wkrótce stanął pod murami Dolska. Tam zaczął od ofiarowania kniaziewi najdogodniejszych warunków do poddania zamku. Warunki te kniaź odrzucił, a hetman rozpoczął oblężenie.

Z początku kniaź próbował robić wycieczki, którym sam przywoził. Niejedną krwawą bitwę stoczył z wojskiem konfederacji; zwłaszcza w początkach oblężenia walczył z odwagą rozpacz, ale działa Tryzny tak doskonale były rychtowane, że zawsze ze szkodą musiał się cofać za swoje wały, a kiedy zobaczył, że hetman się okopał, zaniechał już marnować swoich żołnierzy temi bezskutecznymi wycieczkami i postanowił czekać w zamku, azali czas czegoś lepszego nie przyniesie. Czuł się bezpiecznym od szturmów, a Dolsk był tak opatrzony żywością, że rok i więcej mógł się w nim trzymać ze swoją liczną załogą; całkowite noce trawił na wałach, i dopiero z rana powracał do komnaty. Tam albo się oddawał spoczynkowi, albo zamysłony przechadzał się po ogromnych salach swojego zamku, często zatrzymując się przy oknie, z którego wpatrywał się w obóz nieprzyjacielski; potem znowu się przechadzał, zatrzymując się czasem.

Nikt wtedy nie miał do niego przystępu, oprócz Węgrzynka, który mu usługiwał; ten się wymówił z tem przed innemi sługami, dodając, że kniaź często sam do siebie mówi głośno, że nieraz go podchodzi płaczącego, że już się nie unosi gniewem na niego, jak wprzód bywało, ale że w samotności swojej ciągle okazuje niespokojność, jakby czegoś oczekiwał.

Jednego razu, kiedy siedział w swoim głębokim krześle, pogrążony w myślach, których niktby dociec nie zdołał, raptem został jakby przebudzony wnijsciem do komnaty oficera dowodzącego wartą, z doniesieniem, że jakiś żyd przybył pod główną bramę Dolska; że go wpuszczono, ale przytrzymano w warcie; że oświadczył, iż chce się widzieć z kniaziem, w interesie bardzo dla niego ważnym.

— A dobrze—odpowiedział kniaź—przyrowadź go waś do mnie.

Wyszedł oficer; w pół godziny potem powrócił do kniazia meldując mu, że żyd czeka w przedpokoju.

— A przyrowadź go waś do mnie, i jak go wprowadzisz, odejdz na swoje miejsce, a z nim mnie zostaw samego.

W chwil kilka przyszedł żyd sam jeden i niziuteńko się uklonił. Kniaź rzucił nań okiem i poznał dawnego swojego znajomego, Josia Dreczkerą.

— A co nam przywozisz, Josiu? — rzekł do niego.

— Wedle mojego rozumu coś dobrego, ale nie wiem, jak to przyjmie jaśnie pan, bo inny rozum żydowski, a inny tak wielkiego monarchy, jak ten którego mam szczęście oglądać.

— Oj prawda. Dałeś mi się we znaki ze swoim rozumem żydowskim, kiedyś mnie namówił, żebym napisał do generała Redynga. Biedny człowiek przez ciebie marnie zginął, a tyś obciążył moje sumienie, że go skłonił tobie zawierzyć. Tego ci do śmierci nie zapomnę.

— Ah, panie, ja tak byłem pewny, że to się nam uda, że własnych dzieci nie pożałowałem, a że ich nie porzneli, to dowodzi, że widać jeszcze Jos Dreczker ma wielką łaskę u Pana Boga. Gdyby nie JO. szwagier jaśnie pana, co wtedy nazywano go rycerzem Lizdejko, i Potusza byłaby nasza, i król nie byłby teraz w Warszawie. U nas się pisze, że kiedy ludzie chcą kogo zgubić, a Pan Bóg tego nie chce, to mu pośle anioła, żeby go ostrzegł. Jemu się zdaje, że on rozumem swoim czegoś się domyśla, a nie wie, że anioł w ucho to jemu kładzie; a kiedy anioł co robi, żaden monarcha tego nie przerobi. Wierz mi, jaśnie wielmożny panie, że Bóg i jego aniołowie przeszli na tamtą stronę. Wszystko się królowi poddało, oprócz jaśnie pana; Szwedzi już się wynieśli co do jednego z Polski, i ja teraz służę naszemu królowi.

— A wiem o tem, żeś nas zdradził.

— Jak to zdradził! Bóg za królem, a Joś Dreczker miałby z Bogiem wojować? A to jabym ze wszystkiem przepadł, gdybym dłużej służył Szwedom! To moje szczęście, że król dał się przeprosić i przyjął moje usługi. Jaśnie oświecony książę marszałek, teść jaśnie pana, jaki monarcha, a jednakowoż przeprosił króla; sam widziałem jak mu padł do nóg; a ja biedny łapserdak na niego bym się swarzył?

A czy to ja oszalał, żebym mojami rękami postronek kładł na własną szyję?

— Książę Bogusław taki gałgan, jak i ty.

— Z przeproszeniem jaśnie pana, nie tak jest! Niech sobie nareszcie Joś Dreczker będzie gałgan, ale jaśnie oświecony książę marszałek, broń Boże! broń Boże! tego mówić nie godzi się! To mądry pan, bo tak zrobił, że król jeszcze więcej łaskaw na niego, niż był nim król Szwedzki, i więcej za jego radą idzie, niż wprzód.

— Nie zazdroścę mu tego szczęścia; ja pewno nie upadnę do nóg królowi, póki ręka moja udźwignie szablę.

— Aj! aj! jaśnie panie, tak nie trzeba mówić! U nas się pisze: że póki szczęście, póty wojak wielki człowiek, a kiedy nie ma szczęścia, to każdy powie, że ani chce znać tego rozbójnika. A jaśnie pan ma dotąd wielką łaskę u Pana Boga, że jeszcze z tamtej strony chcą się z nim pogodzić i chcą, żeby jaśnie pan dobrowolnie się poddał, ale nie darmo. Bo, tro-

chę poczekawszy, bez niczego jaśnie pana dostaną. Zamek Dolski to fejn, ale Polska i Litwa to fejniesz! U nas się pisze: że kiedy garnek wojuje z baniakiem, wkrótce pokruszyć się musi; a u was mówią: że z motyką na słońce się nie porywać. Kiedy kto u kupca targuje towar, a dobrze za niego daje, niech kupiec z nim kończy, a nie czeka takiego co da więcej, bo lepszy grosz w kieszeni, niż dwa w nadziei.

— Do czego to mówisz?

— Oto do tego, że król mnie posłał, abym namówił jaśnie pana, żeby się jemu poddał, a nie czekał, aż jaśnie wielmożny hetman do tego go przymusi, bo wtedy już on sam będzie mówił czego chce, a jaśnie panu i odzywać się nie pozwoli; jaśnie pana uczyć nie trzeba, jakto się robi na wojnie. Teraz jeszcze pora tak zrobić, żeby jaśnie pan jak zawsze był papaniem i monarchą takim i został na potem, a jak jaśnie pan się uprzesz, a hetman na swoim postawi, a co się z jaśnie panem stanie? Aż strach pomyśleć.

— Obaczmy, czy hetman na swoim postawił

— Aj! panie! Jakże nie ma postawić? Łatwiej wszystkim jednego zdusić, niż jednemu wszystkich. Dobrze siedzieć w zamku za murami, kiedy jest nadzieja, że ktoś z wojskiem przyjdzie w pomoc; ale teraz za Dolskiem jaśnie pan na lekarstwo przyjaciela nie znajdziesz. Polska, Litwa, Ruś nie tylko, że co

król każe zaraz i robią, ale zgadują myśli jego, żeby robić co chce, jeszcze pierwaj niż każe. Im więcej kto się jemu kiedyś naraził, tem więcej mu teraz okazuje przywiązania, żeby o dawnem zapomniał. Jak jaśnie pan będziesz się upierał, to dla nich jeszcze i owszem, każdy na niego dawne winy swoje zwali, i jaśnie pan za wszystkich pokutować będziesz.

— At, żydzie, ty majster na to, jak oszukać kogo w handlu, jak obedrzeć lichwą potrzebnego, a pewnego; ale co jest wojna, jak łatwo w niej z nieszczęścia przechodzi się do zwycięstwa, a ze zwycięstwa do nieszczęścia, ty tego nie rozumiesz!

— Jakto nie rozumiem?

Już państwo dosyć mieliście tego szczęścia, a jednak nie mogliście doczekać końca; a cóż dopiero teraz, kiedy szczęście was opuściło?

Pan hetman, chociaż go korci jechać do Warszawy, żeby dworakować królowi, przecież swoich ludzi gubić nie będzie, poselając ich na wały Dolska; jemu bezpieczniej czekać za swojemi okopami, póki państwu nie zabraknie żywności!

Czy jaśnie pan nie wiesz, że tak Dolsk jest opasany nieprzyjacielskimi okopami, że kot bez ich pozwolenia do niego się nie dociśnie? Jaśnie pan będziesz się trzymał miesiąc, dwa, choéby cały rok, a potem, jak wszystek chleb się zje, a głód zacznie morzyć tych co są zamknięci w Dolsku, bo za głodem idzie mór, a jak to będzie?

— Jest jeszcze dość chleba w Dolsku. Nie bój się, niech Gąsiewski suszy sobie głowę, jak swoich wyżywić, bo w całej okolicy nie wiele żywności dostanie.

— Toć to ja od niego jadę; nie miałbym szczęścia jaśnie panu upaść do nóg, gdyby mi tego nie pozwolił. Teraz tam jest tyle mąki, krup i sadła, że tego na kilka niedziel wystarczy, a tymczasem z dalszych stron dowozy nadejdą.

— Zkądże on dostał tyle żywności?

— Zkąd? a mało ich znalazł w zamku Rateńskim? sam widziałem, jak tego pięćdziesiąt wozów przyszło, a to dopiero część.

— Co? Ratno się poddało? Kłamiesz, żydzie, to być nie może.

— Pan nie wierzysz Josiowi? A czy on nie wie, że jak jaśnie pan go posłuchasz i pogodzisz się z królem, ziemiaby jego nie schowała przed gniewem pańskim, gdyby się odważył przed nim kłamać? No, to już wyraźnie uchodzę za głupca! Pod chejrymem klnę się przed jaśnie panem, że onegdaj załoga w Ratnym otworzyła bramy zamkowe oddziałowi hetmańskiemu, że przysięgła na wierność królowi i przeszła pod rozkazy hetmana. Jeszcze na czele tego oddziału był pan Wańkiewicz podkomorzy Miński, którego bardzo dobrze znam. Z panem podkomorzym od trzydziestu lat robię interesa, może jaki milion z moich rąk poszedł do jego kassy; to wielki i sprawiedliwy pan.

Kniaź obu rękoma wziął się za głowę, i kiedy żyd gadał, wpadł w zamyślenie, że go nie słuchał; nakoniec odezwał się:

— Gdzie mnie nie ma, tam nikt powinności swojej nie dopełnia.

Źle, kiedy tak najzaufańsi przyjaciele zdradzają; jednak nieprędko już mnie połkną.

Josiu, powiedz otwarcie; jakie są warunki, które mi przynosisz od króla?

— Od nich trzeba mi było zacząć; tylko że czułem takie szczęście, że oglądam jaśnie pana, i że mogę nawet uczynić mu wielką przysługę, że tylko jego przywitać umiałem, a potem chciałem przygotować jaśnie pana do cierpliwego wysłuchania tego, co mi kazano mu powiedzieć, a co może mu się podobać; bo u nas się pisze, że kiedy kto przychodzi z interesem do wielkiego monarchy, niech wprzód na rozum bierze, żeby jego serce ułagodzić.

— Dobrze, dobrze, żydzie; dość tego, a przystępuj do sprawy. Czego chcą odemnie i co za to dają? a ja na to odpowiem: tak, albo: nie. U kija tylko dwa końce.

— Oto, jaśnie panie, trzeba oddać zamek i załogę panu hetmanowi, a wojsko królewskie go zajmie; nie na zawsze, broń Boże, tylko na lat trzy. Toż i inne zamki, w których jeszcze są ludzie pańscy. A co do dóbr, i jego własne, i te które z łaski królów do śmierci daj Boże jak najpóźniejszej jaśnie panu są

nadane, natychmiast mu będą oddane w zarząd, a po trzech latach i te zamki, które na jaśnie pana schedę przypadną będą mu takież zwrócone.

— Co! co! ja ciebie nie rozumiem.

— Jaśnie panie, strach przed nim o tem mówić, ale cóż? Ja z moim językiem przychodzę, ale z wolą cudzą. Co ja winien? Niech jaśnie pan się gniewa na tych, co mnie z tem przysłali; a czy te ja do ich rady należał?

— Mów, żydzie, nie bój się mojego gniewu; już ja teraz nie ten, co był wprzód; na wszelkie złe jestem przygotowany. A cóż może być gorszego nad to, że Ratno się poddało. Jeden po drugim wszyscy mnie opuszczają; skakajże i ty na pochyłe drzewo.

— Od woli jaśnie pana zależy, aby to drzewo się wyprostowało.

Kiedy nasz brat upadnie to i leży; a wielki pan z przeproszeniem jak kot, choć z góry spadnie, to zawsze na przednie łapki. Sam siebie może zgubić, ale cudza ręka nigdy go nie powali. Otóż jaśnie panie, u króla ma wielką łaskę syn nieboszczyka kniazia Stefana, brata jaśnie pana, i wszyscy w Warszawie są jego przyjaciele, a największym ksiązę Olbracht Radziwiłł, który kiedy powie: tak, król nigdy nie odpowie: nie. On z całą radą i z królem ułożyli, że pierwszy punkt zgody z jaśnie panem, aby go przyznał za bratanka, i oddał mu majątek jego ojca.

— Jakto! ja żebyśmy uznał tego bękarta być



moją krewią, i dzielił z nim moją ojcowiznę? Na to nie ma zgody!

— Może to prawda; ale cóż na to poradzi, kiedy i król i wszyscy monarchowie co go otaczają, mają go za prawdziwego kniazia Dorohostajskiego? Nawet przyjaciele jaśnie pana mówią głośno, że on wielką krzywdę poniósł, i że trzeba mu ją wynagrodzić.

— Oj przyjaciele, przyjaciele!

Od kogo szczęście się odwraca, taki na nich niechaj nie rachuje; u nas władza, pieczenia, kieszeń, mają przyjaciół i wielce gorliwych, ale sama osoba, to się nie pokaze. Bądź-że dobrym! Tać to ja tego gałgana miałem w ręku, już miał postronek na szyi; coś mnie szeptało, żeby go kazać powiesić, a nic w mojem przyrodzeniu iść na przekor podobnym instynktom. Znalazły się przecie okoliczności, które mnie zmiękczyły. Nie twoja rzecz, żydzie, o nich wiedzieć; dość że wypuściłem go z duszą, a czart wiedział, że to był ów bękart; nie doczeka się on tego, żeby w zamku Dolskim burmistrzował. Jeszcze ja nie tak głęboko wnurzyłem się w jamę, abym z niej mógł wyleźć tylko przez hańbę mojego nazwiska i mojego herbu. Niech-no Ukraina na nowo powstanie, a Tatory zerwą pokój, obaczmy, jak długo Gąsiewski dotrwa pod Dolskiem.

— Oj jaśnie panie! po waszemu się mówi: nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje.

— Juźci mnie do tego nie namówisz, abym się dzielił majątkiem z tym samozwańcem.

— Dlaczego? z przeproszeniem pańskim lepiej dać komu coś jakby z łaski, niż wszystko z musu. Pan Gaskold przy wielkich panach do mnie się odezwał:

— Josiu, ty jedziesz do mojego stryja; powiedz-że jemu, że ani mu źle życzę, ani chcę się z nim kłócić. Niech mnie da co łaska jego, a czego nie da, pewnie o to pozywać nie będę, byle nie przeczył, że jestem synem jego brata, a moja matka była jego żoną, na co złożyłem literalne dowody.

Jaśnie panie! ja sobie prosty żyd, ale i od prostaka godzi się przyjąć dobrą radę. Ja doświadczam jaśnie pana łaski od więcej lat trzydziestu, a z panem Gaskoldem niedawno pierwszy raz się widziałem; wierz mi, panie, że ciągnę za jaśnie panem, u którego mam dawne zasługi, a nie za tym, co to jemu jeszcze zasługiwać się potrzeba. Młody z młodym, a stary z przeproszeniem ze starym musi trzymać, jeżeli ze wszystkim nie oszalał. Pan przez to będziesz monarchą, starostą i wojewodą, jak przyciśniesz do serca synowca i wydzielisz mu jaką część swoich dóbr, aby miał gdzie mieszkać; a jak jaśnie pan koniecznie zechcesz na swoim postawić, i nie zechcesz nic zrobić, a co to z tego będzie, kiedy pan hetman siłą, mocą tu przyjdzie? Bo wierz mi jaśnie pan, że wcześniej czy później to musi nastąpić; wtedy synowiec pański.....

— Jaki synowiec?

— Z przeproszeniem pańskim, ten co go za takiego mają, a za którym teraz szczęście, zamiast co, wszystko zabierze, bo co prawda to prawda.

— Obaczymy! Czegoż jeszcze więcej żądają odemnie?

— Ja boję się tego wypowiedzieć, żeby jaśnie pana nie rozgniewać.

— Mów, nic gorszego dla mnie być nie może, nad to co już powiedziałeś.

— Otóż uważa pan, różnie bywa na świecie, bo Pan Bóg daje dobre i złe. Jeżeli pierwsze, to trzeba dziękować, a jeżeli drugie, i w takim razie trzeba go błogosławić, żeby czegoś gorszego się nie doczekać. U nas się pisze, a toż samo i u was, że Bóg na swoim zawsze postawi; można na nim coś wymóżyć dobrowolnem poddaniem się jego woli, a sprzeciwianiem się niczego nie wskórasz.

— Do czego ta gadanina?

— Kiedy bo ja jakoś tego nie umiem opowiedzieć tak, aby to spokojnie trafiło do jaśnie pana przekonania; zresztą, czego mam się obawiać? co mnie kazali powiedzieć, to powiem, bo tu nie ma nic mojego.

Otóż król, księżę marszałek i wszyscy, nawet nadworni kapelani księcia, myślą, że choć jaśnie pan ożenił się z księżniczką, ale są jakieś przyczyny, że ona nie jest jego żoną; to już nad mój rozum. A więc król i księżę marszałek, i księżę Olbracht

i cała rada królewska, domagają się, aby jaśnie pan podpisał coś takiego, aby zaraz mógł nastąpić wasz rozwód.

— Rozumiem! Mnie odebrać żonę, aby ją oddać temu bękartowi. Nic nie brakowało, jak tego.

— No i cóż w tem tak straszego? gdyby to JW. wojewodzina była przywiązana do jaśnie pana, to inna rzecz, takiej żony trzymać się aż do śmierci; a kiedy z przeproszeniem JW. wojewodzina nie chce do męża powracać, to jeszcze i owszem. A co warta żona przymuszona? Milsze szczury w spiżarni, niż żona co nie kocha męża w domu. Toć to byli tacy, co ich jaśnie pan wysłał aby ją namówili do powrotu; i cóż wskórali? udało im się ją porwać, ale nie udało dowieźć do pana, bo Pan Bóg tego nie chciał. Pan Gaskold w pierwszej dobie ją odebrał i odwiózł do ojca, kozacy ledwo, że nie przez całą noc bili się o nią, stracili większą połowę swoich, a przecie musieli ją zostawić; nie tylko ją, ale i swojego attamana Zawalidrogę, którego związanego przywieziono do księcia marszałka, bo tam i podstarosta gotowy się znalazł. Wierz mi jaśnie pan, gdyby były dzieci, toby warto było pomyśleć, czy się rozwieść, czy nie? ale ich Bóg nie dał, z czem się tu drożyć? Jaśnie pan powinienes to wziąć na ambicję i podpisać wszystko, pokazując że o to nie dbasz.

— Świat osądzi, czy miałem prawo użyć siły

i fortelu, dla dostania tej, która mi posłuszeństwo zaprzysięgła.

Zresztą niewiele dbam o to, co świat powie; musi on być przeciwko mnie. Ale niechno zostaną silniejszym, każdej mojej czynności potakiwać będzie. Poczciwi kozacy co przy życiu zostali, wrócili do mnie, i o tem co się stało mnie zawiadomili. Jak zaczną się rwać, wszystko się dorwie; trzeba było aby na równej drodze nowiuteńka oś się złamała, i to właśnie pod tą karczmą, gdzie ten bękart nocował z jakimś drugim hultajem, którego sobie dobrał, i aby Zawalidroga na wstępie został powalony; dałby on im, gdyby sam dowodził moimi kozakami. To darmo! szczęście samo przychodzi, a biela zawsze z asystencyą. Biedny Zawalidroga! sercem do mnie prawdziwie przywiązany, a który był dla mnie najdroższą istotą. Zawalidroga mój mleczny brat, który życie miał za nic, kiedy mi służyć trzeba było. Już nie żyje!

Tu zerwał się z krzesła, rękoma zasłonił twarz, i szybkim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju.

Żyd stał nieruchomy; podziwiał tylko te oznaki czułości w człowieku tak twardym i nieużyтым, że nikt dotąd się nie pochwalił, aby w jego sercu najniklejszą fibrę tkliwości domacał. W tych rozwalinach tego wszystkiego, co jest ludzkim, jedno jeszcze uczucie przywiązania dla wiernego sługi pozosta-

wało, ale i to uczucie nawet wyrażało się jakąś wściekłością, która nie tylko Josia, ale i odważniejszego od niego mogła przestraszyć.

Kniaź przez kilka minut mierzył obszerną swoją komnatę szybkim krokiem, potem stanął na jej środku, utkwiał wzrok ponury i dziki w oblicze żyda, i rzekł do niego:

— I ty śmiesz nakłaniać mnie do zgody z mordercami mojego Zawalidrogi? ty chcesz, abym moją ręką ścisnął rękę jego krwią zbroczoną? Nie, nie! Powiedz tym, co ciebie posłali, że w żadne umowy z niemi nie wejde, że o zgodzie słyszeć nie chcę, że będę się bronił tak, że dopiero poznają co to jest rozpacz walecznego. Zniknij mi zaraz z oczów, i że bym cię nigdy nie widział.

— Jaśnie panie! czego pan się tak gniewa? Za moje dobro płacą mi strachem; a cóż ja złego powiedział? czy to, że Zawalidroga nie żyje? Broń Boże! on zdrowszy odemnie, i abyś tego jaśnie panie chciał, on znowu będzie na jego usługi, i nie ma czego długo czekać.

— Co! Zawalidroga żyje? Nie, żydzie, ty mnie tylko uwodzisz. Jakby to jemu uszło w Warszawie, targnąć się na córkę księcia marszałka, chociaż on tem ani przeciw prawom Boskim, ani ludzkim nie wykroczył. Ja znam księcia marszałka; nie z takich on, co umieję przebaczać.

— A jeżeli Zawalidroga jutro stanie przed jaśnie panem, co jaśnie pan powie Josiowi?

— I cóż mam zrobić aby go dostać? Powiedz, jakiej żądasz za to nagrody? Chcesz dwa kamienie srebra? Za niego je tobie odważę.

— A na- co! tu nie potrzeba ani złota, ani srebra, dość jednego słówka pańskiego. Zawalidroga już jest dostawiony do obozu hetmana; ja go sam widziałem, nimem się wykradł do jaśnie pana. Niech tylko jaśnie pan podpisze to, co mu hetman poda, a tam nic innego nie będzie, tylko to co dopiero powiedziałem, a będzie koniec wszystkiemu: i Zawalidroga, jak był wiernym sługą jaśnie pana, takim i będzie.

To szczęście jaśnie pana, że król chce przed całym światem się pochwalić, że ani jednego nie ma przeciwnika w Polsce, Litwie i na Rusi, w tem jego ambicya. Wierz panie Josiowi, że trzeba korzystać z pory, bo jak ona przejdzie, to z sobą zabierze wszystko co jest dobrego dla jaśnie pana. U nas się pisze: że pokąd pora sprzyja, rękami i nogami trzeba ją chwytać, aby nie uciekła, bo tak prędko biegnie, że żaden rozum jej nie dogoni.

— A jeżeli nie podpiszę tych warunków, jak myślisz, co z tego wyniknie?

— Aj! aj! strach o tem myśleć, a jeszcze większy o tem mówić. Hetman za swojemi wałami siedzi jak na szpilkach, tak mu się chce ruszać do Warszawy, bo się boi, aby mu inni panowie nie psuli na złość serca króla. On wielki żołnierz, ale jesz-

cze większy dworak; wie dobrze, że kiedy król kogo długi czas nie widzi, o nim i zapomina; tem więcej, że się mogą znaleźć tacy, co królowi przypominać będą, że kiedyś jemu się naraził. Zwyczajnie jak u dworu! Jeżeli jaśnie pan okaże się twardym, on wpadnie w gniew; co to jest, gniew takiego, któremu wszystko jest posłuszne! Od tego zacznie, że Zawalidrogę z przeproszeniem, przed zamkiem Dolskim każe na pal wbić, aby ludzie tutejsi przestraszyli się, widząc co może ich czekać, a potem, jak zacznie mur cisnąć, nakoniec go wycisnie. Albo to zdrada nie idzie za nieszczęściem, jak pies za swoim panem? Co mam gadać? wszak delikatny rozum jaśnie pana to lepiej widzi, niż prosty żydek, który pracuje dla kawałka chleba.

Kniaź zdawał się być mocno poruszonym i usiadł w swoim krześle. Przez jakiś czas zostawał w milczącym zamyśleniu, jakby chciał skupić wszystkie zdolności skołatanego umysłu.

Żyd go z oka nie spuszczał, i poznał z tą przenikliwością właściwą jego plemieniu, że wahając się, szala jego duszy przechylać się zaczyna na stronę rozsądku. Stał oparty na kiju, nieruchomy jak posąg; nawet z wyrazu jego twarzy nie można było nic wyczytać, a jednak jego serce było pełne radości, bo już był pewny pomyślnego skutku swojego poselstwa. Nakoniec kniaź przerwał milczenie temi słowami:

— Żydzie, czy masz jakie upoważnienie na piśmie do zawierania zemną umowy?

— A broń Boże! jakżeby chudy pacholek podpisywał pismo z tak wielkim monarchą? Ja i pisać po waszemu nie umiem.

Posłano mnie do jaśnie pana, aby mu powiedzieć, czego chcą od niego; bo wiedzą że ja jego sługą, i mówią ludzie, że jaśnie pan na mnie łaskaw, bo tak się boją jaśnie pana, że nikt do niego nie chciał jechać, aby go jaśnie pan jak się rozgniewa, nie kazał zaraz powiesić; a żyda, choć powieszają, to nie szkoda. Ja się na to odważyłem, bo wiem, że jaśnie pan z prędkości czasem zły, ale masz wspaniałą naturę. Ja długo gadałem, bo przez słowa serce mięknieje, a że już się udobruchało, więc teraz pozwoli mi jaśnie pan, złożyć mu czarno na białem, to co hetman w imieniu króla żąda od niego; — i wyjął z zandra papier, na którym były spisane punkta kapitulacji. Papier podpisany przez hetmana, a który oczekiwał podpisu kniazia.

Kniaz wziął go z rąk żyda i pocichu zaczął czytać; nie tam nie było innego, tylko to o czem już go był objaśnił.

Kniaz po skończonem czytaniu powstał z krzesła, wziął Josia za brodę, i rzekł do niego łagodnie:

— Słuchaj Josiu; jeszcze mamy kilka godzin do zachodu słońca. Ruszaj że zaraz do hetmana, i za-

nieś mu ostatnie moje postanowienie. Niechaj pozwoli Zawalidrodze przybyć do mnie na godzinę; muszę z nim koniecznie pomówić. Po upłynionej godzinie, albo zgodziwszy się na punkta mi podane zamek z jego załogą zaraz mu oddam, warując sobie do jakiegoś czasu w nim mieszkanie, ale bez władzy, i odnowię przysięgę wierności królowi Janowi Kazimierzowi, albo odrzucę zgodę, a w takim razie daję słowo honoru rycerskiego, że odeślę Zawalidrogę hetmanowi, aby z nim postąpił, jak mu się podoba.

— Z przeproszeniem jaśnie pana, z tego nic nie będzie; hetman pomyśli, że jaśnie pan tylko chcesz mieć swojego wiernego kozaka przy sobie, a jak go dostaniesz z nim bronić się będziesz, i nie oddasz go hetmanowi.

— At, głupi jesteś z całą twoją przenikliwością! Gdyby to mi szlachcie powiedział, dałbym ja jemu; tylko żeś żyd, przebaczam tobie, że nie rozumiesz co to jest honor rycerski. Ale hetman go rozumie i zaręczam, że jak otrzyma moje słowo, w tym względzie nie będzie z jego strony najmniejszej trudności. I czegoż stoisz, jakbyś był wrosły w podłogę? Ruszaj do hetmana z tem, po co cię do niego posyłam; czas i jemu i mnie jest drogi.

— Z przeproszeniem jaśnie pana; ja o jedną rzecz tylko poproszę.

— Czegoż chcesz?

— Widzi jaśnie pan, hetman jest także wielki

monarcha, chociaż nie tak wielki po przodkach, jak książę Dorohostajski, a więc i on umie się gniewać. Jak ja do niego powrócę tylko z gołym słowem, to on z prędkości może mnie nie każe powiesić, ale jak mnie obić każe, na co mi się taka konfuzyja przyda?

Niech jaśnie pan kilka słów napisze do pana hetmana, aby on wiedział co ma robić, a ja mu list oddam, i potem co mam gadać, ten list wszystko lepiej powie.

— A jakie naprzykrzone żydzisko. Pisać nie lubię, a już drugi raz zmusza mnie do tego; przynajmniej że to raz ostatni.

Uderzył w bęben koło krzesła stojący, a który był jego dzwonkiem; dwóch pokojowych nadbiegło, kazał im przybliżyć stolik, a na nim wszystko co było potrzebne do pisania. Pisał, a żyd stał zawsze oparty na kiju, i wpatrywał się w księcia, jakby chciał z twarzy wyczytać to wszystko, co on pisał. Trwało to z pół godziny; poczem książę opieczętował list, oddał go Josiowi mówiąc:

— Postawiłeś na swoim, ruszajże do hetmana! Obaczysz, że jak go odczyta, pośpieszy dla widzenia się ze mną przed bramą mojego zamku, i wtedy dopiero poznasz, czem są prawa rycerskie.

To rzekłszy, powtórnie zabębnił, i przybyłym pokojowym dał rozkaz, aby przywołali oficera od warty. Skoro ten nadszedł, powiedział mu: tego

żyda odsyłam z ekspedycją do obozu nieprzyjacielskiego, każ go waść odprowadzić po za bramę, i miej w baczeniu, żeby aż po za naszą linią żadne niebezpieczeństwo, żadna przykrość go nie spotkały.

Wszystko to się dopełniło. Sam oficer od warty przeprowadził go aż do posuniętej straży obozu hetmańskiego, żeby jaki kozak przez swawolę nie strzelił do żyda, poczem go pożegnał, wzięwszy od niego w upominku przy rozstaniu się zegarek srebrny na pamiątkę, i powrócił do zamku, dla zameldowania kniaziowi, że jego rozkazy spełnione zostały.

Jos Dreczkier stanął przed hetmanem, i jak to zapowiedział, gęby nie otworzył, a tylko list hetmanowi wręczył. Przelatywała przez myśl jego obawa, czy zuchwały książę czasem nie napisał coś obraźliwego dla hetmana, a tem samem czy nie podlegnie bolesnej burzy? Jakież było jego zadziwienie, kiedy list odczytawszy, hetman jemu żadnego nie robił zapytania, a tylko dał rozkaz, aby trębaczów wysłano na pistoletowy wystrzał od bramy głównej zamku Dolskiego z jednym oficerem, którego nazначył, a któremu rozkazał, aby po otrąbieniu się, oświadczył dowódcy straży bramy, że hetman wielki Litewski na wezwanie księcia, lada chwila przybędzie, żeby się z nim widzieć. Skoro tylko trębacze przestali dać się słyszeć, poszedł piechotą z niewiel-

ką asystencyą ku wałom Dolska, a co jeszcze więcej zadziwiło Josia Dreczkiera, rozkazał aby Zawalidroga za nim poszedł, prowadzony przez dwóch żołnierzy hetmańskich. Bo chociaż dźwigał żelazne pięta, jeszcze się obawiano aby nie uciekł, jak swoich obaczy na wałach. Jos tak się bał, żeby to spotkanie się hetmana z kniazem nie wywołało swarów i bitwy, że lubo hetman kazał mu iść za sobą, żyd się schował w obozie, że go wynaleźć nie można było.

Przybył hetman, i już zastał gotowego na jego spotkanie kniazia, który dał znak, aby dla powitania najwyższego wodza Litewskiego rycerstwa, wszystkie armaty wałowe dały ognia, i żeby z nich wypaliwszy, już ich powtórnie nie nabijano.

Hetman to wszystko zauważył i wdzięcznie przyjął.

Obaj wodzowie przywitali się, jak dawni przyjaciele; jeden przed drugim nisko się uklonił, i podali sobie na pozór przynajmniej życzliwe dłonie. Nie wypowiedziany wyraz radości zabłysnął na twarzach wojewody i Zawalidrogi, kiedy się obaczyli. Kozak, pomimo swoich kajdan, padł do nóg swojemu panu, a ten gdy go podniósł, kilka łez wysączyło się po jego jagodach.

Rozmowa między wodzami trwała krótko, bo czego wojewoda zażądał, na to hetman jak najuprzejmiej przystawał.

Stało na tem, że pozwolił Zawalidrodze dwie godziny zabawić w zamku, a kniaź dał rękojmię na swoim honorze, że po tych dwóch godzinach, albo odprawi kozaka okutego do hetmana, co już będzie oznaką uporeczywej wojny, albo rozkutego z kapitulacją podpisaną ręką swojego pana. W tym ostatnim wypadku, bramy zamkowe mają być otwarte, armaty z wałów wytoczone, a załoga wyjdzie z zamku, złoży broń w kozły przed obozem hetmana, i odda się jemu pod jego rozkazy.

Po czem hetman ze swojemi pożegnał kniazia, który najspieszniej ze swoim Zawalidroga powrócił do swojego zamku, i z nim w swojej komnacie zamknął się, aż dopiero po dobrej półtorej godziny z niej wyszedł, zawsze ze swoim kozakiem.

### ROZDZIAŁ XXXIII.

Po długiej rozmowie z Zawalidrogą kniaź zdał się być zupełnie innym niż był wprzódy. Jego słudzy zauważyli w nim na wstępie jakąś odmianę w sposobie jego z niemi postępowania, jakąś łagodność jemu niezwykłą. Wszystkich więźniów rozkazał swobodnie wypuścić, żołnierzom załogi wynurzając wdzięczność za ich wierność; nie tylko że zaległy żołd kazał odliczyć, ale nawet każdego, stosownie do jego stopnia jakimś datkiem obdarzył, a kiedy ich zebrawszy oświadczył im, że składa nad niemi dowództwo, że już nie ma prawa im rozkazywać, i że komu innemu mają być odtąd posłuszni, a tylko że ich przeprasza, jeżeli któremu z nich mógł się naprzykrzyć, płacz zwłaszcza kozaków, był całą ich odpowiedzią.

Kniaź do końca pokazał się mężnym; najmniej nie zdradził słabości, a jednak po niezwyklej bladości jego cery można było poznać, że straszne ukryte burze tłoczyły się w jego sercu. Oparty na kij uzbrojonym toporem, z ciężkością przenosił się z miejsca na miejsce, bo chociaż umiał tłumić powierzchowne oznaki smutnych uczuć, któremi jego dusza była przepełniona, jednak tej walki nie wytrzymał bez szkody, gdyż po rozmowie jaką miał z hetmanem, noc przebył w niemałych cierpieniach, a rana, którą kiedyś dostał w nogę, tejsze nocy się otworzyła i dawała mu czuć niemiłosierne boleści.

Później nastąpiła druga scena, niemniej rzewna od pierwszej, kiedy pan Oskierka, zięć hetmana, z asystencyą okazałą, w której się mieścił i Zawalidroga, przybył do kniazia, i wręczył mu kapitulacyę podpisaną przez hetmana w zamian tej, którą był stwierdził swoim podpisem, i odesłał hetmanowi przez Zawalidrogę. Kniaź odczytawszy ten papier, dał rozkaz swojej załodze, aby natychmiast opuściła twierdzę i udała się do obozu hetmana, aby przed nim złożyła broń w kozły, i czekała jego rozkazów. Milicya kniazia, jego kozacy, a nawet szlachta, która jemu była posłuszną, ze łzami go pożegnała, a sam kniaź, jakkolwiek mężny, nie mogąc utaić swojego rozrzewnienia, zaprosił pana Oskierkę do swojej komnaty, tłómacząc się przed nim, że rana, która mu



się otworzyła, tyle mu dokuczają, że nie czuje się w sile dłużej utrzymać na nogach.

Weszli obaj do komnaty kniazia; kniaz rzekł do pana Oskierki:

— Mości strażniku, proszę się rozgościć i usiąść, a mnie odpuścić, że już siadłem w moim krześle; ale jak waszmość obaczysz moją nogę, pewnie mnie wymówisz przed hetmanem, że nie śpieszę do niego z uszanowaniem.

— Nie masz potrzeby, mości wojewodo, pokazywać mi na nodze dowodów swojego męztwa, i swojej niemocy. Jego słowo aż nadto jest dostateczną rękojmą prawdy.

— Nie, nie, mości strażniku! Jesteś mężem doświadczonym w rycerskim powołaniu; widok ran nie może cię razić, bo sam jesteś z niemi spoufalony.

To rzekłszy, posłał za swoim nadwornym felczere, który mu nogę zaczął opatrywać w przytomności strażnika. Rana była tak rozjątrzona, i tyle boleści musiała mu zadawać, że nie można było nie podziwiać hartu tej duszy, iż niezem nie zdradzała swoich cierpień.

Wojewoda, po skończonem opatrzeniu swojej nogi, odezwał się do pana Oskierki:

— Przekonałeś się waszmość własnymi oczami, że kiedy użalałem się na moje boleści, to nie dlategożebym się pieścił. Dla spełnienia rozkazów hetmańskich, kilka godzin stać musiałem na nogach, i szwan-

kuje na zdrowiu, bo nie chciałem szwankować na mojej powinności. Zasluguję więc, aby hetman nie odmówił mi swoich nawiedzin, i raczył ze starszyzną swoją dziś u mnie obiadować. Wyprawiam z waszmością panem mojego Oleszę, który ma szczęście być znanym JW. hetmanowi, i jego łaską się zaszczyca; on w moim imieniu będzie z nim traktował o różnych pomniejszych okolicznościach, które nie były objęte w umowie przez nas podpisanej; nie dlatego, żeby mu jakie nowe warunki podawać, broń Boże, ale żeby mu oświadczyć niejaki moje żądania. Gdy kołaczę jedynie do jego łaski, w tem zdaję się na jego wolę, w nadziei, że dla dawnego kolegi i towarzysza broni nie zechce okazać się zbyt twardym, a owszem nie odmówi mi w mojem nieszczęściu pociechy; a ponieważ upoważniłem go, by zaprosił JW. hetmana na mój obiad, tuszę, że waszmość dobrem słowem raczysz go wesprzeć przed swoim ojcem, aby biedny Olesza ze wstydem do mnie nie powracał, iż jemu nic się nie powiodło.

Po tej krótkiej rozmowie, pan strażnik i pan Olesza, który już dnia poprzedniego długą miał konferencyę z wojewodą, wyruszyli do obozu hetmańskiego, i udali się do jego namiotu, odznaczającego się od innych chorągwią z pogonią Litewską, która nad nim powiewała. Jego wnętrze uderzało prze-  
pchem.

Bogate karmazynowe makaty tureckie ze szla-

kami zielonemi, zawieszane były na ścianach i pokrywały pułap namiotu; kruszec w nim kojarzył się z jedwabiem a ze wszech stron spadały złote kutasy. Na środku namiotu był stół, czerwonym suknem zasłany; na nim papiery, hetmańska buława, buzdycan, mszał na którym hetman był wezwyczajony się modlić, i paciorki z drogich kamieni, dar Ojca Świętego, otrzymany w czasie, kiedy dla interesów duchownych rzeczypospolitej przez króla Zygmunta był wysłany do Rzymu, i kilka sztuk broni bogato oprawnej. Skromna pościel hetmana stanowiła kontrast z przepychem ubrania namiotu, składała się albowiem z dwóch skór niedźwiedzi z sobą zeszytych, na nich łosia skóra zamiast prześcieradła; kulbaka służyła mu za poduszkę, a płaszcz za koldrę. Obok tej pościeli leżała skóra kasztanowata po ulubionym jego koniu; na niej wylegiwał się brytan nadzwyczajnej wielkości, a doświadczonej odwagi wierny stróż pana, który zdawał się przenikać jego wolę.

Strażnik Litewski i pan Olesza nie poszli prosto do hetmana, gdyż po krótkim opowiedzeniu się przy warcie obozowej spotkali pułkownika Reytana, buńczucznego hetmańskiego, który ich nieco dłużej zatrzymał rozmową swoją. Od niego się dowiedzieli, że hetman robił przegląd wysłanej do niego załogi, i że ją odesłał bez broni do Pińska, gdzie miała czekać na dalsze przeznaczenie. Już uczynił był swoje rozporządzenia, aby najdalej za parę godzin pan Try-

zka objął dowództwo zamku Dolskiego, zajmwszy go nową załogą, wydzieloną mu z wojska hetmańskiego, i dał mu rozkaz, aby spisał regestr wszelkiej amunicji i rekwizytów wojennych, jakie w nim zastanie, i ten spis jemu odesłał, zastrzegając aby tylko żywność i tę amunicję owładał, a wszystko inne, jako własność prywatną kniazia wojewody, nie ważył się kwestyonować. Zalecił mu także, aby objął skrzydła zamkowe i wszelkie bastiony, a sam korpus, ze wszystkiem co w nim znajduje, zostawił na mieszkanie i użytek wojewody.

Tak o wszystkim ich oświeciwszy, poprowadził ich pod namiot hetmański; tam ich poprosił, aby raczyli się zatrzymać chwil kilka, póki nie zamelduje hetmanowi i nie przyniesie jego pozwolenia, gdyż jak im musi być wiadomo, nikomu nie wolno wchodzić do kwatery hetmańskiej, tylko jego buńczuczemu i oficerowi od warty. Niedługo go oczekiwali; buńczuczny powrócił i wprowadził ich przed hetmana.

Zastali go siedzącego w swoim krześle karmazynowym aksamitem obitem, i w obozowej odzieży. Miał kaftan łosi, na nim koleczugę, karmazynowe hajdawery, a na głowie czapkę ozdobioną kitą z czaplich piór. Właśnie w tej chwili posilał się śniadaniem. To śniadanie nie było wykwintne, a nawet w Polsce niezwykajne; maczał suchary w puharze farfuruwym, nalany zbitniem, napojem składającym się z mięty, patoki, pieprzycy i wody kipiącej, który służył jego

zdrowiu, a do jakiego był nawykł w kilkoletniej niewoli w Moskwie, do której się dostał przy końcu wojny Dymitra Samozwańca, a tej niewoli koniec położył wspaniałomyślny car Michał Federowicz, który nie tylko że pozwolił mu wrócić do Litwy, ale nawet go obdarzył hojnie, za co tyle wdzięczności mu dochowywał, że zawsze jego wizerunek nosił na piersiach.

Gdy weszli, brytan, w osobie pana Oleszy spozstrzegłszy cudzego, zerwał się i zaskowyczał; ale gdy hetman powiedział: leżeć, to swój! posłuszny pies położył się pod krzesło, z oka jednak nie spuszczać nieznanego sobie gościa. Pan strażnik przedstawił teściowi pana Oleszę. Gdy hetman usłyszał to nazwisko, przyłożył rękę do czapki i rzekł:

— Kłaniam się waści, mości Oleszo, wszakże to mój znajomy od lat niemało. Tyle przeżywszy z panem wojewodą Witebskim, całkowity jego dwór na pamięć umiem. Waści się nie powiodło w Potuszy z księciem Olbrachtem i z księciem Wojciechem Dorohostajskim. Starego lisa młode charty przechytowały. „Szczście i baba za młodym propadają, a wid staroho utikają, szczoz robyty“. To waści powinno pocieszać, że jak nadeszła zła godzina, i samemu wojewodzie nielepiej się powiodło. Pardon, po cóż warczysz! czy tak naszych przyjaciół przyjmujesz? Przymil się zaraz temu gościowi.

Na te słowa zerwał się brytan, przybliżył się

do pana Oleszy, stanął dębem, położył przednie łapy na jego ramionach, i niemało mu strachu napędził, kiedy go liznął po obu policzkach.

— Znajomość już zrobiona; teraz mi leżeć ci cho.— Posłuszne psisko znowu się wcisnęło pod krzesło, i położyło się jak nieżywe.

— Mości panie Oleszo, czemuś będę waści służył w moim obozie? Mojem śniadaniem wzgardziłbyś, bo to jest dla mnie więcej lekarstwem niż posiłkiem. W czasie długiego a poniewolnego mojego pobytu w Moskwie, do takiego przywykłem, i dobrze mi jest z nim. Jest stare przysłowie:

Kto pożywa słodczyce, nigdy surowizny,  
Ten się może doczekać podeszłej siwizny.

Od trzydziestu z górą lat co dzień naczco piję szlankę zbitniu, i chwała Bogu od lat trzydziestu nie znam ani lekarzów, ani ich łacińskiej kuchni, i jak waść widzisz, jeszcze na siłach nie upadam. Ale miłego gościa lekarstwem się nie przyjmuje.

Do waszmości należy, mości panie zięciu, zająć się gościem, któregoś mi przyprowadził, żeby nas pozegnał syty, wesoly i należycie ugoszczony.

A teraz racz powiedzieć, po co tu do nas przybyłeś?

— Po pierwsze: dla złożenia mojej czołobitności szlacheckiej u stóp jasnie wielmożnego pana; po wtóre jestem posłany od kniazia wojewody Witebskiego, mojego pana, do jego dostojnej osoby, żeby go wymówić, iż użył trzeciej osoby dla złożenia przed nim hołdu swojego uszanowania.

Mój pan zna swoją powinność i na tem niemało cierpi, że osobiście jej dopełnić nie może, ale z pomiędzy tylu ran, któremi jest okryty, jedna zapewne nie dobrze zagojona, w skutku pracy jaką miał omal nie całą dobę, spełniając rozkazy JW. pana, i poruszeń, jakich z tego powodu doświadczał, otworzyła mu się i nie pozwala mu stać na nogach. Śmie więc przezemnie upraszać JW. pana, byś raczył przyjąć dziś u niego obiad, a wzywam tu świadectwa JW. strażnika Litewskiego, któremu mój pan pokazał swoją nogę; ten niech powie, czy mój pan jest w możności opuścić swoje krzesło.

— Tu świadectwo mojego zięcia wcale niepotrzebne; aż nadto wierzę waścinemu słowu, danemu w imieniu pana wojewody, którego słowność jest znaną całemu narodowi, a cóż dopiero mnie, jego koledze w szkołach, w obozach i w senacie. Wszakże lat temu czterdzieści pięć jak się zawiązała nasza znajomość. Miałem wtedy lat szesnaście, a kniaź Daniel, jak go wówczas nazywano, był odemnie dwoma laty młodszy. Chodziliśmy na akademię w Wilnie, gdzie ani jego, ani mnie niewiele nauka zajmo-

wała. Jemu nie dziw, bo był panięciem: ale ja, chudopacholskich rodziców, taki wstręt miałem do książki, jak gdybym był synem magnata; a że mi się naprzykrzyły kastygacye szkolne za niepilność i swawolę, więc drugiego roku uciekłem ze szkół, i przystałem na szeregowego do chorągwi świętej pamięci Pawła Sapiehy, starosty Uświęckiego, i choć ledwo umiałem czytać i pisać, jakoś wyszedłem na człowieka bez pomocy nauk książkowych, któremi tylko serce mięknieje. Otarcie się o ludzi i wojna, to są prawdziwi mistrzowie, i oni mnie wychowali. Toż samo i pana wojewodę Witebskiego. Zestarzałem się, służąc lub hetmanując; mogę powiedzieć, że całkowite rycerstwo Litewskie przeszło przez moje ręce, a w czterdziesto-kilkoletnim zawodzie, często widziałem wodzów, nie umiejących nawet sylabizować, a jednak dzielnie dopełniających swoją powinność, zaś rzadko kiedy mieliśmy pociechę od tych, co to ich nazywano uczonymi.

Hetman Gąsiewski sam siebie ukształcił, i mógłby uchodzić za uczonego. Był wielce odczytany, bo w chwilach wolnych od zatrudnień publicznych oddawał się naukom, zwłaszcza dokładnym; ale w obozach oprócz książki do nabożeństwa, żadnej innej nie cierpiał, ani dla siebie, ani dla podwładnych, i nielitościwie szydził z tych, co się poświęciwszy rzemiosłu rycerskiemu, gdzie tylko działać potrzeba, jakąś cenę do rozumowania przywiązywali. Ludzie praw-

dziwie uczeni, a tem samem umiejący oszacować nauki wedle ich rzeczywistej wartości, byli wyrozumiali na te jego powstawania przeciw naukom w ogólności, ale ludzie niedouczeni, a mający pretensyę do nauki, w jakich zawsze Polska obfitowała, biorąc to za osobistą urazę, za targnienie się na ich iściznę, pomawiali go o ciemnotę i barbarzyństwo, i nie skąpili pokątnych potwarzy, dla osławienia go przed publicznością. Ale tu niczego podobnego nie mógł się obawiać, bo usiłował nawracać już aż nadto nawróconych.

Pan strażnik był wszystkim znany ze wstępu, jaki czuł do książek i tych co je wydają, i z tem się nigdy nie taił, że miłsze mu towarzystwo dojeżdżacza, niżeli najzawołanego filozofa lub poety; a pan Olesza od urodzenia swojego nigdy nie wziął do ręki książki nawet nabożnej, i z pamięci tylko się modlił. Wszystkich czytających miał za najwierutniejszych próżniaków, a więc to wszystko, co mówił hetman, tak mu do myśli przypadło, że w nim podwajało się uwielbienie, jakie zawsze czuł dla niego.

Hetman, skończywszy swój ustęp, a zwracając mowę do samego interesu, dodał:—Będę służył wojewodzie na obiad, i miałbym sobie wiele do wyrzucenia, gdybym kiedykolwiek nie stanął na wezwanie tak szanownego, a zawsze dla mnie miłego męża.

— Mości panie buńczuczny, ruszaj waść do JMć pana Wołodkowicza kasztelana Mińskiego.

Młodszy senator niech raczy pofatygować się do starszego; powiedz mu odemnie, że ja go proszę, żeby natychmiast udał się do zamku Dolskiego, i niech oświadczy panu wojewodzie Witebskiemu, że o pierwszej po południu, da Bóg doczekać, stanę przed nim z dwudziestoma szlachty, których w jego imieniu zaproszę do jego stołu, a waść, mości panie strażniku mój zięciu, zaprowadź pana Oleszę do swojego namiotu, żeby w nim raczył się posilić.

Pan Olesza się uklonił i odrzekł: — JW. panie, o dwóch powodach mojego do niego przybycia miałem zaszczyt go oświecić, ale jest jeszcze trzeci najważniejszy, o którym dotąd nie wspomniałem, a mój pan zalecił mojej wierności odkryć go przed JW. panem.

— A dobrze mości panie; gotów jestem uprzejmie słuchać tego, czego żąda pan wojewoda.

— Ale kiedy z przeproszeniem JW. strażnika tu przytomnego, przed nikim nie wolno mi o tem mówić, a tylko przed samym JW. panem.

— Rozumiem! a więc semotis arbitris z sobą rozmówimy się.

Mości panie strażniku mój zięciu, zostaw nas samych, i zaleć dyżurnemu oficerowi baczenie, ażeby nikt się nie ważył wnijsć do mojego namiotu, dopóki pan Olesza w nim pozostanie.

Skoro zostali sami, hetman, który przestrzegając swojej powagi dotąd nie upoważnił ani strażnika,

ani pana Oleszę do usiedzenia, powiedział temu ostatniemu: — Przysuń waść ten taboret do stołu, siadajmy, i opowiedz swoją rzecz jak najdokładniej.

— Ach jasnie panie, czyż to mnie i chudemu pacholłkowi przystoi siedzieć przy.....

— Siadaj waść, tak chcę! a gdy pan Olesza usiadł, łagodniejszym głosem rzekł do niego:—Zaczynaj waść!

— Jasnie wielmożny panie, mój pan ze skwapliwością poddanego dał dowód, że żaden rozkaz króla jegomości nie jest dla niego ciężkim do spełnienia. Żeby się miał spierać z panem swoim, żeby miał się odważyć podawać mu jakikolwiek warunek, podobnej myśli przypuścić nie może; ale kiedy chodzi o jego sławę, czyż mu się za złe godzi poczytać, iż ośmiela się prosić o łaskę, która jedna jest zdolną osłodzić mu to jego ponizienie, które więcej czuje, niż to wymówić zdołam? Z niczem nie przychodzę do JW. pana, tylko z jego prośbą. Mój pan tuszy, że instancya JW. pana, gdy mu nie będzie odmówioną, ta prośba skutek otrzyma.

W przeciwnym razie, jeżeli JW. pan odmówisz mu swojego wstawienia, jeżeli jego nadzieja spełźnie, z żalem, z rozpaczą to niepowodzenie przyjmie z kornem sercem, zgodzi się z wolą Pana Boga. I po kilkakrotnie powtarzał przedemną:—W tem spuszczaam się na życziliwość i światło hetmana, wiem że mi może.

— Dziękuję mu za ufność, jaką pokłada we mnie, i pewnie o ile to odemnie zależeć będzie, na niej się nie zawiedzie. Powiedz tylko w czym mogę mu być pomocnym?

— Niektóre przedmioty są tak drażliwe, że prawdziwie niemoc mojego pana może być przez niego uważana za szczęśliwy wypadek, gdyż ona postawiła go w takim położeniu, że trzeciej osoby może użyć do traktowania z JW. panem o tem, o czym jemu samemu może byłoby nazbyt trudnem, nazbyt upokarzającym.

Jakkolwiekby, mój pan zasługuje na jakieś względy, tem więcej że jest nieszczęśliwym, a wymagać od niego, by się rozwodził nad tem co go zawstydza, i to przed swoim zwycięzcą, jest nadto przeciwne wspaniałomyślności JW. pana. Nadto znam szlachetny sposób myślenia JW. pana, abym wątpił, iż owszem, sam uprzedzisz jego żądanie, uwalniając go od tłómaczenia się w tak przykrem dla niego położeniu.

— Aż nadto rozumiem, że są rzeczy, o które nawet potracić nie wypada, rozmawiając z najściślejszym przyjacielem; i chwała Bogu nikt mi dotąd ani lekkomyślności, ani niezręczności w obcowaniu z ludź-

mi nie wyrzucił, a pana wojewodę Witebskiego mniej niż kogo innego chciałbym zmartwić. Ale na co te wszystkie przedmowy? Przystąpmy do rzeczy, abym nakoniec dowiedział się, w czym wojewoda żąda mojej pomocy, i czy mogę być tyle szczęśliwym, aby ta pomoc, którą z góry przyrzekam, stała się jemu przydatna?

— Jaśnie panu wiadomo, że najgłówniejszemi z warunków, które podane zostały mojemu panu dla otrzymania przebaczenia, a na które bez wahania się zezwolił, są: zezwolenie na rozwód z żoną, i przyznanie kniazia Wojciecha za synowca i spadkobiercę. Aż nadto jest przekonany, że ta żona jego jest temuż kniaziewi przeznaczona. Jakkolwiek te warunki mogą być dla niego uciążliwe, nie chce się o nie rozpierać z panem swoim, i gotów jest okupić tak drogiemi ofiarami tę łaskę, którą inni jego współtowarzysze darmo otrzymali. Nie tylko że żadnej przeszkody nie użyje ze swojej strony względem tego rozwodu, ale sam bierze na siebie jego ułatwienie. Ten związek w widokach politycznych zawiązany, dziś, kiedy rzeczy przybrały zupełnie inną postać, już przestał być dla niego powabnym. Pokąd był naczelnikiem poważnego stronnictwa, obowiązki jakie miał dla niego nie pozwoliłyby mu nigdy potargać tego związku, który służył za rękojmię jedności jego stronnictwa z partją Radziwiłowską.

Teraz, kiedy już nie głową stronnictwa, ale jest prostym obywatelem, kiedy każdy jego postępek nie innym, ale tylko jemu samemu korzyść lub szkodę przyniesie, chętnie wyzna, że to jego małżeństwo nigdy nie było rzeczywistym małżeństwem. Po takowem wyznaniu obu stron i u nas rozwód nie mógłby być odmówionym, a cóż dopiero w niemieckiej wierze, której i mój pan i JW. wojewodzina są wyznawcami. Więc tę okoliczność należy uważać jako już załatwioną.

— Nie inaczej, mości panie Oleszo, a że rzecz tak jak już skończona, a więc nie ma potrzeby nad nią się rozwlekać.

— Tak jest JW. panie; ale drugi warunek jest dla mojego pana wielce uciążliwy. Nie uchyla się od spełnienia onego, kiedy w ręce JW. złożył wszelkie środki, jakieby mu posłużyć mogły do oporu. Udaje się tylko z prośbą o radę i wstawienie się JW. pana, w imieniu starej przyjaźni i kilkunastoletniego koleżeństwa, nie żeby go uwolnić od tego warunku, broń Boże! ale o to, żeby w jego dopełnieniu sława jego była ocaloną.

— Do czego to waść mówisz? Tłómacz się jaśniej.

— Wiadomo JW. pann, że brat młodszy pana wojewody, książę Stefan, dni swoje zakończył za gra-

nicą, po zawarciu związków małżeńskich, które nigdy w jego domu uznane nie były.

Pozostali po nim wdowa i syn, który się wsławił w obozach królewskich pod nazwiskiem Gaskolda; tego mój pan nigdy nie uważał być krwią swoją. Nie nam sługom przyganiać postępkom naszych panów.

Tyle tylko powiem, że jeżeli pan wojewoda okazał się być stryjem zanadto twardym, w tem dopełniał obowiązków dobrego syna, gdyż matka jego, świętej pamięci starościna, na śmiertelnem łożu go zakłęła, aby nie dopuszczał syna kniazia Stefana ani do dóbr, ani do imienia Dorohostajskich. Dziś mój pan zmuszony jest przyznać za krew swoją tego, którego zawsze od siebie odpychał, którego nawet prześladował.

— Umiem wchodzić w położenie wojewody; pojmuję, że to dla niego kęs niełatwy do zgryzienia, ale cóż na to poradzić? Taka jest wola króla jegomości, takie jest żądanie wszystkich co króla otaczają.

— To też wojewoda od tego się nie uchyla; chciałby tylko, żeby w obliczu narodu to nie było wymożone od niego prawem zwycięzcy nad zwyciężonym, ale żeby było uważane jako skutek własnego przekonania.

— Nic sprawiedliwszego nad to jego żądanie; pojmuję, jak to musi być dotkliwym, zwłaszcza dla dumy tak wyniosłej, być zmuszonym uznać za swojego spadkobiercę tego, którego się nienawidzi. Czyn wymuszony zawsze nieco poniża, i dlatego mąż szlachetny, dopełniając rozkazy niemile, przemocą wymożone, usiłuje przybrać postać dobrowolnie działającego, bo to jest cechą podłego niewolnika być posłusznym a szemrać. Ale cóż uradzimy, aby jednocześnie i wola królewska była spełniona, i szlachetna duma wojewody ocalona?

— Nic łatwiejszego JW. panie. Mój pan w Dolsku w jego szanowne ręce złożył wszelką władzę, tak dalece, że oprócz swojej osobistej usłudze, nie ma nikomu nic do rozkazywania, i pewnie, że mąż zawsze nawykły do władzy, takiego położenia nie wytrzyma. Podejrzewam go, że jak tylko ułatwi się z synowcem, wyniesie się z kraju, i nie tylko że mu schedę na niego przypadającą, ale nawet wszystkie dobra, które posiada w rzeczypospolitej spuści, a będąc kniazem Ruskim, i mając majątek znaczny w okolicach Smoleńska, przysięgnie na wierność carowi i zostanie jego poddanym; nawet z czemś podobnym się wymówił. O to mu tylko idzie, aby jakoś gładko ułatwić się, bez sromu, ale jak to ludzie mówią, po Bożemu. Czyby nie można tak ułożyć, aby



kniaź Wojciech przyjechał do Dolska dla nawiedzenia stryja chorego? Dobrzeby było, aby ksiązę Olbracht i jego siostra także przyjechali, bo juźci lepiej rozstać się z sobą po przyjacielsku, niż z sierdzystością. Wtenczas wojewoda, jakby ruszony sumieniem, otworzyłby synowcowi swoje ramiona, oddałby mu co jego, a nawet juź z nim rozwiedzioną wojewodzinę, która przecie nie może nie zachować dla mojego pana przyjacielskiej pamięci, gdyż to pewna, że w przeciągu ich jakiegoś pożycia nigdy jej się nie naprzykrzył, niczego jej nie żałował, cierpkiego słowa jej nie powiedział, panią była w domu, a pan wojewoda jej pierwszym sługą. Niech sama powie!

— Waśc niezłą dajesz radę, ale o to idzie, czy jej posłuchają? Czy kniaź Wojciech zawierzy takiemu stryjowi, żeby aż samemu oddać się w jego ręce; toż i ksiązę Olbracht. A jakby panią wojewodzinę do tego skłonić? Jakoś to niegładko nawiedzać tak daleko męża, którego się opuszcza.

Nakoniec, oprócz kniazia Wojciecha, któremu jako synowcowi korona z głowy nie spadnie, że się upokorzy, choćby przed niesprawiedliwym stryjem, nie widzę potrzeby, aby ksiązę Olbracht i jego siostra brali udział w tej pokorze. Wszakże żadnych obowiązków nie mają dla pana wojewody. Wreszcie jaki pozór dać temu, i coby o tem ludzie powiedzieli?

— O gadanie nie dbać, kiedy się dobrze czyni, a co tylko przyczynić się może do zjednoczenia powaśnionych, jest uczynkiem chrześciańskim i szlachetnym. Pan wojewoda nie jest od tego, aby do synowca napisać list za serce chwytający, i tyle znam kniazia Wojciecha, że nie wątpię, iż skoro go odbierze, pośpieszy po błogosławieństwo stryjowskie. Stryj, JW. panie, to wielka władza w obliczu synowca, zwłaszcza kiedy juź ojciec nie żyje. O to pokój! A ksiązę Olbracht, byle zaproszonym został, nie puści przyjaciela samego, chociażby przez obawę, aby go jakie niebezpieczeństwo nie spotkało, lubo nie pojmuję, aby kto mógł przypuścić jakieś niebezpieczeństwo tam, gdzie pan Tryzna rozkazy daje, a mój pan jest gościem a nie władcą. Zaś co się tyczy JW. wojewodziny, Maniewicze, jej dobra posagowe, leżą niedaleko Dolska; cóż dziwnego, że po uspokojeniu tej części rzeczypospolitej zechce okiem rzucić na swoją własność? bo juźci, gdy się rozstaje z mężem, jej wypada ustanowić zarząd majątku. Sprawa rozwodowa niedługo potrwa; mój pan gotów jest podpisać wszelkie punkta, jakie mu do tego podadzą. Nulitas małżeństwa zeznaniem obu stron tak jasnie będzie udowodnioną, że jakem to powiedział, gdyby należeli do kościoła polskiego, rozwód nie mógłby być im odmówiony, a cóż dopiero w wierze niemieckiej.

— Wierny z waści sługa, mości panie Oleszo, a do tego roztropny, i jeżeli pan wojewoda przeniesie się do Moskwy, kniaź Wojciech nie może nie zostać dla waści tem, czem był jego stryj, bo nie przypuszczam, abyś miał za przykładem pana wynosić się z kraju, gdzie prawem dożywotniem posiadasz kawał ziemi.

Ja jutro śpieszę do Warszawy, wszystko to zdając na pana kasztelana Mińskiego i mojego zięcia. Sam wręczę królowi jegomości poddańskie pismo wojewody, a kniaziowi Wojciechowi list, który ułożym. Mam tu z sobą wielkiego prawnika, pana Romualda Dębowskiego, wicesgerenta Wołkowyżskiego; będzie on wraz zemną służył panu wojewodzie na obiedzie. On wszystko napisze czego potrzeba; nie jest to z takich, coby coś przeslepili, a ja te dokumenta i listy podpisane przez wojewodę razem z panem Romualdem zabieram z sobą do Warszawy, i tam je wręczone *cuique suum*, i pewnie słów nie będę żałował.

Nie pozostaje waści, jak tylko powrócić do wojewody, by go zapewnić o mojej życzliwości, oraz że niczego nie zaniedbam, aby jego delikatność w niczem nie była obrażoną, a kiedy hetman wielki bierze na siebie jaki interes, zdaje się że wątpić nie może o jego pomyślnym skutku. Domagam się tylko zupełnej ufności. W przedmiocie tyle dla niego dra-

żliwym, nie mam potrzeby z nim mówić, bo wiem ileby to było mu przykrem. Co tylko mu się podoba, niech bez wahania podpisze, a że na tem jego sława nia cierpi, daję waści moją rękę.

I podał mu rękę, którą pan Olesza z uszanowaniem pocałował. Poczem hetmana pożegnał i powrócił do swojego pana, aby mu dać liczbę ze swoje go poselstwa.

Stosownie do swojego przyrzeczenia, przed pierwszą po południu hetman z liczną assistencją konną wyruszył do zamku; zrobiwszy swoje rozporządzenia względem wojska, któremu dowodził a które powierzył kasztelanowi Mińskiemu i strażnikowi Litewskiemu; obaj ci panowie jemu asystowali.

Skoro załoga spostrzegła buńczuczne go hetmańskiego, który o kilkanaście kroków poprzedzał szarfara krwi Litewskiej, wszystkie armaty, niedawno wojewody, a teraz królewskie, powitały naczelnego wodza wystrzałem. Przy warcie pan Tryzna wystąpił do niego z relacją o stanie załogi.

Hetman mu okazał swoje zadowolenie, że lubo od kilku godzin tylko zlużował żołnierzem hetmańskim milicję wojewody, wszystko znalazł w najlepszym porządku.

Cała kawalkata udała się przed korpus zamkowy, gdzie już wojewoda na kulach oparty, przed podwojami oczekiwał hetmana i przybliżył się do jego wierzchowca, chcąc go wziąć za cugle. Ale hetman tego nie dopuścił, sam lekko skoczył z konia, i odezwał się, witając go jak dawny i zażyły przyjaciel:

— A czy się godzi, mości wojewodo, narażać swoje zdrowie takimi ceremoniami dla kolegi i starego przyjaciela?

— Wiem, mości hetmanie, jakie są moje obowiązki dla naczelnego wodza rycerstwa Litewskiego, w którego gronie mam zaszczyt podwójnie się mieszcic; raz jako szlachcic, powtórnie jako rotmistrz. Upraszam J.W. hetmana, byś raczył wniść do komnat prawdziwego swojego sługi, który zawsze usiłował iść za jego przykładem, czy to w odstąpieniu króla, czy w braniu od niego przebaczenia.

Obaj panowie poszli przez schody prowadzące do sali, gdzie gotowa uczta ich czekała, — hetman rześkim krokiem, a książę zawsze na kulach, i prowadzony przez dwóch dworzan, a za nimi asystencya hetmańska.

Wszyscy zasiedli za stołem. Obiad i godzina nie trwał, bo gospodarz, jakkolwiek mężny, nie czuł się w sile animowania swoich gości, a hetman wchodząc w jego położenie, był na to wyrozumiałym, a nawet upominał się sam, aby jak najprędzej się

skończył, pod pozorem, że ma jeszcze wiele okoliczności do załatwienia na osobności z Książem Wojewodą. Trzy tylko zdrowia obeszyły zgromadzenie, i to szczupłemi kielichami.

Książ Wojewoda pierwszym zdrowiem uczcił Króla Jana Kazimierza, drugim hetmana, a trzecim szanownych gości, a hetman jeszcze przydał czwarty na zdrowie gospodarza, poczem wszyscy wstali od stołu.

Goście czas jakiś pozostali w sali gościnnej a hetman, Wojewoda i Wicesgerent poszli do komnaty księcia, gdzie we trzech zamknąwszy się, ułatwiali to wszystko, co utrwalić mogło uległość ostatniego przeciwnika króla i rzeczypospolitej.

Konferencya niezbyt długo trwała, i przynajmniej ze strony księcia była milczącą. Widać było, że nie chciał się rozwodzić w interesie dla siebie przykrym i że radby go skończyć jak najspieszniej, tak dalece, że co tylko mu podawał Wicesgerent, list do króla, do Gaskolda, do księcia marszałka, zeznania, pełnomocnictwa do konsystorza Protestanckiego, wszystko podpisywał bez czytania, a hetman szanował jego wstrzeźliwość w mowie, tyle tylko, iż go zapewnił po kilkakrotnie o pomyślnym skutku dla jego sławy tych ofiar, na jakie z pełną ufnością się zdobywał: a kiedy książę ostatni papier podpisał, rzekł do niego;

— Mości hetmanie, kiedy już wszystko się dopełniło, czuję że wielki ciężar spadł ze mnie. Bądź co bądź, spokojniej oczekiwać będę co się ze mną stanie.—Hetman na to odpowiedział:

— Mości wojewodo, twoja sprawa jest odtąd moją sprawą, i pewnie w wierniejszych rękach zostawać nie może. O łasce króla nie powinienś waszmość wątpić, a ja biorę na siebie, że jego synowiec przybędzie do niego jak najspieszniej, że się przed nim ukorzy, jako przed głową swojego domu, że się o nic ze stryjem spierać nie będzie ale jak powolny syn dla ojca, na wszystko się zgodzi, więcej ceniąc jego łaskę niż wszystkie skarby.

Mój drogi wojewodo, nie będziesz miał potrzeby opuszczać naszej świętej Litwy. Na łonie rodziny, z nami przyjaciółmi swojemi doczekasz się zgrzybiałej starości, bo nigdzie lepiej ci nie będzie. Ale czas drogi; ze świtem jutro śpieszę do Warszawy, a jeszcze wiele tu mam do załatwienia. Żegnam szanownego kolegę, dziękując mu za łaskawe przyjęcie, a zwłaszcza za to zaufanie, jakim mnie zaszczytasz, a które nigdy go nie zawiedzie.

Wojewoda, jakkolwiek nie mocny, gdyż te wszystkie pasowania się z sobą znacznie go osłabiły, chciał koniecznie hetmana odprowadzić, ale ten na to nie pozwolił.

Wrócił tedy hetman do swojego obozu; tam całą noc zajął się rozporządzeniem około zamku i wojska.

Wszystko poruczył kasztelanowi Mińskiemu i strażnikowi Litewskiemu, a uradowany, że nic go już za-trzymać nie może, jak zapowiedział, przed świtem jeszcze wyruszył ku Warszawie.

#### ROZDZIAŁ XXXIV.

Kilka tygodni upłynęło; książę wojewoda powrócił do zupełnego zdrowia, ale zauważono wielką odmianę w trybie jego życia.

Już nie był samowładnym panem w Dolsku, bo siła zbrojna zamkowa zostawała pod bezpośrednią zwierzchnością Tryzny; władza wojewody rozciągała się jedynie nad poddaństwem wiejskiem i nad jego dworem, już znacznie uszczuplonym.

Książę czując, że ma podcięte skrzydła, już nie pozwalał sobie tych wybryków gwałtownych, które niedys przyrażały strachem tych wszystkich co go otaczali, — chociaż innej natury wrażenia niepokoiły

te szczątki jego liczego dworu, które jeszcze przy nim pozostały, a który był doborem sług jemu najmielszych. Pomimo ustępów niestatecznego humoru, książę dawniej obcował z nimi, okazywał im, że mu są potrzebni, rozmawiał z nimi, polował, jeździł konno, pił, a wiadomo, że w Polsce sługa zawsze był wyrozumiały na chimery choć gwałtowne pana, który czasem mu pozwalał być z sobą poufałym. Teraz zaniechał zwykłych zabaw, z komnaty nie wychodził, żeby nie spotykać żołnierza niemiłego, bo od niego nie zawisłego; do stajni ani zaziarał, zaprzestał ulubionych szermów z panem Szuksztą, którego nawet oddalił, zapewniwszy mu chleb dożywotni na jednej ze swoich wiosek. Jeżeli się kiedy dał widzieć sługom, to zawsze z obliczem ponurem; ciągle roztargniony do żadnego z nich nie przemówił. Sam został niedostępny, nawiedzin sąsiednich nie przyjmował pod pozorem niemocy, której ulegał. Czego nigdy nie bywało, sam jeden jadał, a tylko Zawalidroga i jego kozaczek mu usługiwali.

Najczęściej zamykał się w swojej komnacie, albo sam, albo z Zawalidrogą, z którym jedynie rozmawiał; a nawet pan Olesza, który kiedyś był utracił łaskę swojego pana za to, że się nie oparł rycerzowi Lizdejce, a teraz odzyskał ją większą niż kiedykolwiek, nie zawsze miał dla siebie dozwolony przystęp do tej komnaty.

Słudzy, nie przywykli do tej ciągle milczącej ponurości pana, chociaż już nic ani bolesnego, ani nawet przykrego ze strony jego nie dokuczało, zawsze dręczeni niespokojnością, zapytywali tylko jeden drugiego:

— Co to będzie?

I żalowali tych czasów przeplatanych i wściekłemi wybrykami przemożnego pana, i jego wesołem, a często wspaniałem udobruchaniem, a co ich najwięcej zatrząsało, to następne wydarzenie. Razu jednego książ, przechodząc przez salę zwaną antenatów, z powodu że jej ściany były samemi konterfektami przodków i kolligatów jego domu, zatrzymał się raptem przed wizerunkiem Izasława Dorohostajskiego, kniazia na Łucku, założyciela zamku Dolskiego, i zdawał się w niego wpatrywać.

Pan Olesza po dawnej poufałości odezwał się:— To mi mądry pan, książ Izasław, że tak piękny zamek wystawił dla swoich potomków; zdaje się z obrazu patrzeć jeszcze na te piękne wioski księstwa Dolskiego, które z tych okien w dali rozpoznać można! Smaczny to kąs, księstwo Dolskie, nie przymawiając i innym dobrom JW. pana, i nie dziw, że Dolsk jest jego najulubieńszem siedliskiem.

— At, pleciesz! — ofuknął go książ — mnie ten

Dolsk tak obrzydł, że wkrótce się jego pozbędę, i wyniosę się ztąd tam, gdzie mnie nikt nie znajdzie.

Wszyscy dworscy to słyszeli, i każdy starał się odgadnąć znaczenie tych słów dość ciemnych, a o tem nie przestawali z sobą rozprawiać.

— Co u licha — mówił jeden — czy doprawdy myśli nasz książ wynieść się do Moskwy, że mu tak obrzydł Dolsk?

— At, gdzie tam! — na to drugi — i w Moskwie można znaleźć kogo się nie szuka. Czy nie myśli w łeb sobie wypalić ze złości? Bo jużci na tamtym świecie nikt go szukać nie będzie.

— Gadasz, coć ślina do gęby przyniesie. W łeb sobie wypalić, to niemiecka moda; u nas w Litwie o tem nie słyhać. Gdzieżby senator z własnej ręki ginął! To zwyczajnie chimera pańska, a z czem się ta chimera wyrwie, do tego uwagi przykładać nie warto.

Biorąc rzeczy rozsądnie, książ Daniel tak dalece nie miał prawa narzekać na swój los. Hetman mu w Warszawie usłużył nad nadzieję. Wprawdzie tak się uwinęli w konsystorzu kalwińskim, że po upływie dwóch tygodni niespełna, dekret rozwodowy

ogłoszony został; ale książę jak najmniej dbał o swoją żonę. Mogło mu być przykro, że musiał przyznać za synowca Gaskolda, zawsze od niego prześladowanego, ale do tego był przygotowany, tem więcej, że Gaskold zjechał do Dolska, gdzie padł do nóg stryjowi, i oświadczył mu, że o nic innego się nie dopomina i dopominać nie będzie, tylko o łaskę i błogosławieństwo stryjowskie; że całe życie będzie starał na nią zasłużyć, i że w nim nie synowca, ale zawsze znajdzie najposłusznieszego syna. A co mogło być najwięcej pochlebne dla jego miłości własnej, Gaskold jemu złożył własnoręczny list króla, pełen wyrazów łaskawych i za serce chwytających, w którym zapewniał go, iż mu wraca dawną życzliwość i powrót do wszystkich dostojenstw, jakie piastował. Kończył się list zaproszeniem go na sejm następujący, żeby wziął swoje miejsce w senacie, i był jak dawniej jego wierną radą i przyjacielem.

Wszystko to powinno było aż nadto zadowolnić dumnego księcia. Synowca przyjął niby grzecznie, jednak dość oziębło, ale książę Wojciech był na to wyrozumiały. Czuł, że przejście z zawziętego gniewu, do affektu opartego na pociągu tożsamości krwi, nie może nastąpić bez pewnego stopniowania.

Nie chciał więc szkody sobie przynieść natrętnem zapobieganiem, tusząc że czas, ów wielki lekarz, zbliży serce stryja do niego, bo umiał poznać,

że skrzywdzony niewinnie zawsze jest łatwiejszy do pojednania, niż ten co mu zadał krzywdę, tem samem, że ma nad nim niezaprzeczoną wyższość moralną. Niechcąc się naprzykrzać stryjowi, obrał na miejsce stałego pobytu Maniewicze, gdzie oczekiwał na księcia Olbrachta i panią wojewodzinę, jego siostrę, która wraz z kniahinią Stefanową miała na czas jakiś zamieszkać w tych swoich dobrach; ale często przyjeżdżał do stryja, żeby go przynajmniej do siebie przyzwyczaić.

Była to ofiara wymożona na sobie uczuciem powinności, bo wraz z całym dworem wojewody aż nadto mógł zauważyć, że ten nie umiał utaić wstrętu, jaki na nim wywierała jego przytomność.

Książę zawsze nieprzystępny, zawsze ponury, bynajmniej nie zdawał się być pocieszony, ani powolnością synowca, ani nawet łaską królewską. Wyprowadził on wkrótce pana Oleszę z listem do króla, listem wprawdzie najpoddanniejszym, ale przy nim posłał złożenie senatorskiej godności i rezygnację starostw jakie posiadał. Tłómaczył się tem, że wiek stargany pracą nie pozwala mu dalej piastować tych dostojenstw, tem więcej, że gdy car Aleksy Michajłowicz raczył mu łaskawie zachować dobra, jakie posiadał w Smoleńskim, zmuszony jest samem uczuciem przyzwoitości, skoro tylko wyjdzie z niemocy, jechać do Moskwy, dla podziękowania carowi za to dobro-

dziejstwo jemu wyświadczone, i w samej rzeczy, od-  
tąd dawał się z tem słyszeć, że wybiera się do Mo-  
skwy dla złożenia czołobitności carowi, i uczczenia  
zwłok swoich przodków. Ale dnia odjazdu nie na-  
znaczał, składając te przewłoki na niepewność swo-  
jego wyzdrowienia, chociaż widocznie wrócił do da-  
wnej czerstwości i siły. Nawet zdarzało mu się od-  
zywać czasem, że może do Moskwy nie pojedzie przed  
końcem roku.

W czasie tych alternat, przynoszących niemało  
niepokoju dworowi dołskiemu, jednego poranku dano  
kniaziowi wiedzieć, że książę Olbracht Radziwiłł,  
generał artylleryi Litewskiej, z synowcem pańskim  
zajechali na dziedziniec zamkowy, i proszą kniazia  
o pozwolenie stawienia się przed nim.

Czy te nawiedziny były dla niego przyjemne  
czy nie? tego nikt zgadnąć nie mógł, ale to pewna,  
że kniaz zerwał się ze swojego krzesła, i najspieszniej  
spuścił się przez schody, żeby w ganku przyjąć do-  
stojnego gościa. Księcia zastał w sieniach, i tam  
już przy pierwszym spotkaniu się z nim okazał się  
w postaci szlacheica, który się nie posiada z rado-  
ści, że tak wielki pan raczył o nim nie zapomnieć.

Wystąpił do niego z czemś podobnem do mowy,  
ale którą książę przerwał, wzięwszy go wpół i przy-  
ciskając do siebie, jako przyjaciela i kolligata.

— Mości wojewodo—rzekł do niego—nie jeste-  
my od siebie tak dalecy, żebyśmy nie mieli pra-  
wa postępować z sobą z jakąś poufałością. Na co te  
ceremonie, które ze strony tak wysokiego senatora  
mogę przyjąć tylko za żart ze mnie czyniony.

— Nie, mości generale artylleryi, przyjmuję  
waszą książęcą mość, jak młodszy starszego w sto-  
pniu, który go zaszczyca swoją bytnością w jego  
domku. Moją godność senatorską już złożyłem w rę-  
ce królewskie, jestem teraz prostym szlacheicem.

To rzekłszy, wprowadził go przed sobą do  
komnat. Kniaź Wojciech pocałował stryja w rękę,  
który tę oznakę uszanowania jako zwykle przyjął  
dość obojętnie.

Gdy zostali w troje, książę Olbracht pierwszy  
zaczął rozmowę:

— Mości wojewodo, byliśmy z sobą braćmi  
a chociaż dawne związki, które go łączyły z moją  
siostrą, są zerwane, to nas przynajmniej pocieszać  
powinno, że inne stosunki na nowo połączą nasze do-  
my ogniwami już nie starganemi. Oto ten mój przy-  
jaciół, godny synowiec waszmości, otrzymał i od mo-  
ich rodziców, i od mojej siostry obietnicę jej ręki.  
Sam król o to w jego imieniu prosił. Nic mu nie po-  
zostaje, jak prosić o błogosławieństwo stryja, w któ-  
rym pragnie widzieć ojca, a na którego łaskę i affekt



całe życie zasługiwać będzie. Pelen nieśmiałości zażądał mojego wstawienia się za nim. Podjąłem się przemówić za nim, tuszając, że waszmość mu swojego błogosławieństwa nie odmówisz.

— Składam podziękę za łaskawą pamięć o mnie, tem więcej, że kiedy zwycięzca rozkazuje, zezwolenie zwyciężonego nie może podpadać wątpliwości. Cóż mogę uczynić innego, jak tylko winszować kniaziowi Wojciechowi niespodziewanego szczęścia, i do błogosławieństwa przyłączyć moje życzenia, żeby JO. siostra waszej książęcej mości znalazła uszczęśliwienie swoje w tem powtórnem małżeństwie, i żeby dłużej w niem dotrwała.

— W tych wyrazach waszmości upatruję jakąś gorycz, jakąś cierpkość, na które ani moja siostra, ani godny jego synowiec nie zasługują. Pan wojewoda sam wiesz najlepiej, że unicestwienie jego małżeństwa mniemanego z moją siostrą, było oparte na prawach Boskich i ludzkich. Ale na cóż nam przypominać to, co tylko jątrzyć może, a my niczego tak gorąco nie pragniemy, jak zachować z nim stosunki przyjacielskie, da Bóg coraz ściślejsze.

Moja siostra, która zawczoraj zjechała do swoich Maniewicz, tyle przyjaźni i szacunku, a nawet wdzięczności czuje dla niego, że zapowiedziała nam, iż nie może zaufać nowemu postanowieniu swojemu,

jeżeli jej przysły małż nie otrzyma na związek przyzwolenia i błogosławieństwa stryjowskiego.

Mości wojewodo, nie zatwardzaj swojego serca i nie gardź przyjaźnią całego naszego domu, którą tobie ofiaruję. Przyciśnij do swojego łona przywiązanego synowca, który wszystkie swoje krzywdy już zapomniał.

Kniaź Wojciech znowu padł do nóg stryjowi, a ten go podniósł i powiedział mu:

— Wojciechu, zezwalam na twoje małżeństwo i daję ci moje błogosławieństwo. — Nawet go przycisnął do swoich piersi, ale widać było, że wszystko było wymuszone, że to z serca nie wychodziło.

Kniaź Daniel kazał przynieść wina, stosując się w tem do obyczaju narodowego, i wypił za zdrowie księcia generała artylerji, a choć młody książę czuł wstręt od wszelkiego mocnego napoju, dwa kielichy spełnił: jeden za zdrowie kniazia wojewody, drugi za zgodę i szczere pojednanie stryja z synowcem.

Kniaź Daniel zdawał się być nieco udobruchanym, tak dalece, że sam się zaprosił do Maniewicz na obiad na dzień pojutrzny, dla złożenia osobistych ukłonów przed swoją niegdyś małżonką, a przyszlą synowicą, a goście, pełni dobrych nadziei, odjechali już zmiękczonego gospodarza.

Stosownie do swojego oświadczenia, ex wojewoda przyjechał do Maniewicz, gdzie przyjętym został jak możnowładca i ojciec. Spotkanie jego z wojewodziną, na tej ostatniej nie mogło nie sprawić smutnego wrażenia, ale umiała je pokryć wrodzoną Polkom delikatnością. Pokazała się dla niego tak przejmą, tak przyjazną, tak troskliwą o zaskarwienie na zawsze jego przyjaźni, że nie było serca tak twardego, którego do siebie nie skłoniła, i zdawało się, że zupełne zwycięstwo otrzymała nad nieugiętym kniazem. Nie tylko że kilkakrotnie ucałował jej ręce, dziękując za pożyczcie kilkoletnie, jakiego z nią doświadczał, i oświadczając jej najtkliwsze życzenia przyszłego szczęścia z jego synowcem, ale nawet pierwszy raz temuż synowcowi okazał jakieś współczucie, a kniahinię Stefanową uściskał jako siostrę, i przeproszał ją za wszystkie przykrości i przesładowania, których się względem niej dopuścił, składając je na zawziętość matki, która na śmiertelnem łóżu wymogła od niego obietnicę, że nigdy nie okaże się zychliwym ani dla niej, ani dla syna.

Książę Olbracht i jego siostra umieli inny obrót dać tej rozmowie, która tak drażliwe wspomnienia wywoływała, a za ich usilnością zabawa przybrała ton zgody, jedności, poufalości, właściwej członkom jednej rodziny. Wszyscy zdawali się być zadowoleni

z siebie, a książę Daniel żegnając się z niemi, powiedział te słowa, które zdawały się z serca pochodzić:

— Daję moje błogosławieństwo mojemu synowcowi, a z nim i ustępstwo wszystkich dóbr, jakie posiadam w obrębach Rzeczypospolitej. Nie będzie miał potrzeby dzielić się ze mną; wszystko niech mu idzie na pożytek, a za powrotem do Dolska zatrudnię się tem, żeby to moje oświadczenie zostało uprawnione. Opuszczam ten kraj, a więc nie potrzebuję mieć tu żadnych dóbr.

— Cóż ci ten kraj przewinił, mości wojewodo — na to książę Olbracht — że chcesz go opuszczać? Jesteś bezdzietnym, ale gdyby nawet Bóg był cię obdarzył potomstwem, pewnie z niego większej nie miałbyś pociechy nad tę, jaką mieć będziesz z synowca. On ci jest synem, boć bliższego krwi swojej nie masz. Czyż nie lepiej patrzeć na jego szczęście w kraju własnym, gdzie masz tak wielkie zasługi, niż nowych zasług nabywać tam, gdzie będziesz obcym?

— Nie, nie, mości książę! moje postanowienie jest nieodzowne. Niczego nie śmiem żądać, tylko żebyście mi jedną łaskę zrobili.

— Wszystko co każesz będzie spełnione przez nas — wykrzyknęli wszyscy.

— Oto, żebyście razem jak jesteście, raczyli mnie pożegnać w ojcystym Dolsku, który już nie mają, ale będzie własnością mojego synowca. Niech was przyjmując, po raz ostatni spełnią obowiązki gospodarza. Tam panu synowcowi wręcę władztwo nad ojcowizną, wypijemy zdrowie przyszłych małżonków, i pożegnamy się na zawsze.

Czy może to być w tych dniach?

— Najchętniej wszyscy służyć będziemy—odezwał się książę Olbracht—ale pozwolisz nam karmić się nadzieją, że zdołamy cię uprosić, byś nas nie opuszczał, a ponieważ za cztery dni przypada Ś-ty Daniel, więc na ten dzień zjedziemy do zamku Dolskiego, żeby zamiast pożegnania, obchodzić zawsze dla nas miłą uroczystość jego imienin.

Książę za tę łaskawą pamięć okazał się wdzięcznym, a opuszczając Maniewiczze, wszystkim podał przyjacielskie dłonie, a dla bratowej, dotąd przesładowanej, tyle był uprzejmym, że po jego odjeździe, powiedziała, iż od chwili zgonu jej męża pierwszy raz uczuła się być zupełnie szczęśliwą.

Książę powrócił do swojego zamku, gdzie marszałkowi swojego dworu zalecił, ażeby wszystko przysposobił do należytego przyjęcia dostojnych gości; dodał, żeby żadnego innego gościa nie wpuszczać

do niego w dniu uczty, gdyż to ma być zgromadzenie familijne, w którym ważne interesa traktować się mają, a w którym każdy obcy byłby natrętnym.

Przez te dni kilka, książę był jeszcze mniej dostępnym niż kiedykolwiek; ciągle był zamknięty z Zawalidrogą, i bez świadków z nim rozmawiał.

Raz tylko, i to nazajutrz po swoim powrocie, jego niegdyś plenipotet, a który mieszkał w bliskości Dolska na wiosce, którą posiadał prawem dożywotniem, przybył do zamku i przywołany został do komnaty kniazia. Około godziny coś pisał, a potem pożegnał kniazia.

Dworzanie i słudzy oczekiwali z niecierpliwością przybycia księcia Olbrachta z ich przyszłemi paniami, gdyż w tem przybyciu upatrywali rozwiązanie wszystkich ich niepewności o dalszym losie; każdy należący do usług kniazia chodził jak nie swój, czegoś się obawiał, a sam nie wiedział czego. Żeby przynajmniej mógł widzieć pana, możeby jakąś wieszczbę na jego obliczach wyczytał; ale ten nikomu się nie pokazywał. Jeden tylko Zawalidroga miał każdego czasu przystęp do osoby, nocował z nim w jednej komnacie, a w dzień po kilka razy chodził do piwnicy z latarnią, w niej się zamykał, po tem wynosił z niej kilka butelek wina, z którymi szedł do

pana, nie zaniebawszy zamknąć za sobą drzwi od raczej na wieki przepadnie, niżby miało być noszone piwnicy, która była pod samemi pokojami kniazia, przez tego bękartą, którego przemoc zrobiła moim i to się powtarzało kilkanaście razy na dobę; wpa-synowcem. Czuję jakąś niewypowiedzianą rozkosz, dnięto na myśl, że kniaz unika widoku ludzi, żeby się że tych wszystkich wrogów moich w przepaść z sobą upijać swobodnie ze swoim Zawalidroga.

Nakoniec doczekali się wschodu słońca, który miał oświecać dzień ten pożądany. Kniaź jeszcze leżał, kiedy Zawalidroga, przed świtem jeszcze obszedłszy i korpus zamku i piwnice, przybliżył się do łóżka swojego pana, który już miał otwarte oczy, i ucałował jego nogi, wieszując mu imienin.

Kniaź wyciągnął ku niemu dłonie, i ucałował go, nie jak służalca, ale jako przyjaciela i sługę. — Wierny sługo, bracie mój — rzekł do niego — czy wszystko już rozporządzone wedle naszego układu?

— Wszystko, panie Prochu tyle zastałem w piwnicy, że nie jeden ale dziesięć takich zamków wysadziłoby w powietrze; jak goście się już zbiorą, a po obiedzie będą się z panem bawić, a pan wystrzelisz z tej armatki, co tu stoi na oknie, już ja zrozumie co to znaczy. Słomę, którą złożyłem w piwnicy, zapalę, a jak się dopali, proch się zajmie, a tu zjadłszy obiad, wszyscy na tamtym świecie będziemy mieli wieszanie.

— Ja żyć nie mogę, doczekawszy się hańby i mojej i mojego rodowego nazwiska. Niech ono

wtrącam, ale ty, mój pocziweze, obey temu wszystkiemu, dlaczegoż masz ginąć z nami? Przygotuj lońty, zapal je skoro wystrzelę, ale zaraz uciekaj! Staraj się ocalić swoje życie, i przyjm pożegnanie swojego pana.

— Ja miałbym zostać na świecie bez pana? Nie, to się nie pokaże na Zawalidrodze! Wiernie panu służyłem na tym świecie, i na tamtym chcę mu zanieść służbę nieskażoną. Też same piersi i paną i mnie wykarmiły, wzrosliśmy razem, pan byłeś zawsze dla mnie ojcem, bratem. Cóżby się stało zemną sierotą bez niego? Zawsze chciałem za pana lub z panem umierać.

Kniaź ani słowa nie był w stanie wymówić. Takie było ich ostatnie pożegnanie, bo tylko na tamtym świecie już mieli się spotkać.

Tymczasem słońce posuwało się coraz wyżej po za gęstemi chmurami późnej jesieni, jak gdyby nie chciało przyświecać scenie, która miała nastąpić.

Toczyła się poczwórna karetą po gościńcu między Dolskiem a Maniewiczami. W tyle siedziały:

Kniahini Stefanowa i nadobna Eleonora; na przodzie Książę Olbracht i książę Wojciech. Mężczyźni usiłowali rozweselać towarzyski podróż, bo te od dawna poróżnione z szczęściem, nie śmiały się jemu oddawać z zupełną swobodą. Czy to przez nieufność, jaką zwykle wznieca raptowna przemiana losu, chociażby na lepsze koleje, czy przez jakieś przeczucie, często ostrzegające dusze jeszcze nie zatwardziałe zgiełkiem świata, — coś podobnego do bojaźni i smutku wyrażało się na ich obliczach, i wszelkie usiłności księcia Olbrachta, żeby wzięły udział w żwawej rozmowie, były daremne.

Podróż odbywała się szybko, gdyż po drodze były rozstawione zaprzęgi.

Po kilkogodzinnej, monotonnej podróży, dały się widzieć baszty Dolskiego zamku. Spostrzegli, że na ten widok wojewodzina raptownie zbladła.

Wjeżdżając do miasteczka, które zamek od nich przedzielało, zażądała wody. Właśnie wieśniaczka, zapewne służąca żydowska, przechodziła mimo pojazdu z koromysłem i dwoma wiadrami; do niej udano się po wodę.

— Zła wieszczba—odezwał się książę Olbracht, śmiejąc się — wiadra próżne; gdybyśmy byli Rusini, wrócilibyśmy nazad.

— Ach, bracie! pod tym względem czuję się być Rusinką, i gdybyście chcieli powrócić, nie byłabym od tego.

— Wstydz się, siostro! Widać, że byłaś żoną Ruskiego kniazia, i że znowu taką będziesz, kiedy podobne omena na tobie sprawują wrażenie.

Wyniesiono wodę z domostwa żydowskiego; Eleonora kilka kropel wypila i lekki inkarnat zabył znowu na jej czarującej twarzy.

Przejechali przez miasteczko, stanęli przed bramą, przebywszy most spuszczonej. Warta pod bronią stojąca ich przywitała. Dowódca warty przybliżył się do pojazdu, i opowiedział się przed generałem artylleryi.

Pojazd bez przeszkody zajechał przed korpus zamkowy. Eleonora drżała jak listek, sama nie wiedząc co w niej wzniecało trwogę.

Przed gankiem korpusu zamkowego zastali kniazia Daniela, gotowego do ich przyjęcia. Sam podał im rękę, żeby ich wyprowadzić z pojazdu, i zaprowadził ich do swoich komnat. Na jego twarzy wyrażało się zadowolenie, ale razem coś dzikiego, co na wstępie przerażało Eleonorę.

Książ Daniel prowadził bratową, księżę Olbracht siostrę, która oparta na jego ramieniu, swojej niespokojności utaić nie mogła. — Wszyscy weszli do komnaty kniazia, który ciągle okazywał się uprzejmym w przyjmowaniu miłych gości, i niejednokrotnie raczył im podziękować za ich przybycie, oświadczając, że ten dzień poczytuje być najszczęśliwszym dla siebie.

Kiedy weszli do komnaty, było samo południe; w obcowaniu przyjacielskiem upłynęła godzina. Marszałek nadworny kniazia oznajmił, że obiad gotowy. W pięciu siedli za stołem; rozmowa przybrała tak tak poufały, że nawet wojewodzina uspokoiła się z pomimowolnej bojaźni, a nawet wyrzucała ją sobie. Obiad, przeplatany różnemi zdrowiami, które książ wnosił, skończył się nareszcie, i wszyscy wrócili do komnaty kniazia; w nim na stole stała taca, na niej dwie butelki wina, kieliszków kilka i zapalona świeca.

— Mili goście—rzekł książ Daniel — wypijmy wszyscy razem za trwałość naszego zjednoczenia! — i napełnił kieliszki; wszyscy, nawet damy, spełnili je ohocho. — Niechże ta zgoda głośną będzie — dodał książ i zapalił armatkę stojącą na oknie. Wystrzał na chwilę damy przeraził.

— Spodziewam się — odezwał się gospodarz z dzikim uśmiechem—że ta zgoda będzie trwała, kiedyśmy ją zawarli przed progiem śmierci!

— Co to ma znaczyć? — zapytał go książę Olbracht.

— Czyście mogli się spodziewać, żeby książ Daniel dał siebie bezkarnie zwyciężyć? Żeby dopuścić temu nędzarzowi i tej wiarołomnej żonie cieszyć się jego spadkiem, splamiwszy jego nazwisko? Wpadłem w przepaść, ale i was wszystkich z sobą zaprzepaściłem! za chwil kilka z zamkiem i z wami ostatni prawdziwy Dorohostajski wyleci na powietrze!

— Zdrajco!—olezwała się Eleonora — tuląc się do brata i narzeczonego—czy tak dotrzymałeś słowo rycerskie, coś mi je dał w ogrodzie Birzańskim?

— To com przyrzekł, dotrzymuję; dałem słowo, że ten samozwaniec nie ma się odemnie lękać niebezpieczeństwa, którego bym sam nie podzielał.

— Nędzarzu! — wykrzyknął książę Olbracht, i położył rękę na swojej szabli.

Na to książ parsknął śmiechem; — Swoim orężem chcesz mnie zastraszyć? A dobrze! Zaczniemy bitwę, ale ona tu niedługo potrwa; jeżeli jest inny świat, tam chyba ją skończymy.

Wtem gęsty dym zapalonej słomy wzniósł się po za okna, raptem ciemno się zrobiło, a zaraz potem..... Pióro wypada mi z ręki....

Taki był koniec rodu Dorohostajskich.

## E P I L O G.

Po tej strasznej katastrofie, która żalobą pokryła pierwsze domy rzeczypospolitej, dobra rodu Dorohostajskich przeszły w posiadanie książąt Wiszniewieckich, jako najbliższych krewnych kniaziów, a wkrótce potem, gdy książę marszałek z małżonką, nie mogąc przenieść nieszczęśliwego zgonu swoich dzieci, przenieśli się do wieczności, linia Radziwiłłów Nieświeżskich odziedziczyła prawem spadku księstwo Birzańskie i ogromne dobra do niego należące.

Cały korpus zamku był wtedy zburzony aż do szczytu; pozostały tylko jego skrzydła, ale wielce

uszkodzone. W archiwum Olyckiem zdarzyło mi się czytać relację tego okropnego wydarzenia, napisaną przez naocznego świadka, który, jak się z niej pokazuje, należał do załogi zamkowej, zostawionej przez hetmana Gąsiewskiego, a później do dworu księcia Wiszniowieckiego starosty Drahimskiego, spadkobiercy kniaziów Daniela i Wojciecha. Ten ciekawy rękopism długo leżał w archiwum Wiszniowieckiem, ale gdy w kilkadziesiąt lat później Urszula, ostatnia Wiszniowiecka, dostała się księciu Michałowi Radziwiłłowi, ordynatowi na Nieświeżu i Olyce, przeniesiony został z całym archiwum domu Wiszniowieckich do Olyki. Tam go przeczytałem przed czterdziestu laty, a z wrażeń, jakie to czytanie napiętnowało na mojej pamięci, ułożyłem niniejszą powieść.

Co się później stało z tym rękopismem, tego nie wiem; musiał przepaść tak, jak i nierównie od niego dawniejszy pamiętnik Sylwestra Wodzbona, dworzana księcia Mikołaja Czarnego Radziwiłła \*),

---

\*) Anno domini 1811, w pierwszej mojej młodości, będąc w Nieświeżu, pamiętki Wodzbona wpadły były przypadkiem w moje ręce, i tyle mnie zajęły, że je od deski do deski odczytałem z największym upodobaniem. Styl, choć poufały, ale dosyć zwięzły, język czy-

jak tyle innych, które albo w czasie napadu Francuzów na Litwę, przekształcone zostały na ładunki, albo użyte na placki wielkanocne, lub zostały strawą dla szczurów i mólów.

---

sty, pismo bogate w szczegóły i anegdoty, wiele światła rzucające na obyczajowość kraju w czasie XVI stulecia. Zatrącenie tego rękopismu uważam za nieodżałowaną szkodę. Między anegdotkami, w jakie to pismo obfitowało, a które utkwiły w mojej pamięci, jedną przytoczę. Wodzbón, opisując usilności księcia, dla rozkrzewienia protestantyzmu, przytacza następane wydarzenie, którego był naocznym świadkiem. Mówi, że co niedziela było nabożeństwo w kaplicy zamkowej, na które zwykł książę zapraszać obywateli swojej partii, ale trzymających się starej wiary, żeby ich do nowej skłonić. Tu wchodzi w szczegóły tego nabożeństwa, że książę z swoimi współpracownikami głośno odmówili pacierz i Credo, potem odśpiewali jakiś psalm, a nakoniec minister Litwin, ale wyuczony w Lejdzie, miał kazanie blisko godzinę trwające, i to było całkowitem nabożeństwem. Po skończonem tem nabożeństwie, szlachta katolicka wyszła na dziedziniec zamkowy, po którym przechadzając się z sobą rozmawiała. Wtem książę wyszedł na dziedziniec, do niej się przybliżył i rzekł:—A co panowie bracia! czy nie właściwsze dla czei Boga to nabożeństwo pierwiastkowych Chrześcian, w



Były w nim ciekawe szczegóły, mianowicie, że przeszło pięćdziesiąt ludzi razem z zamkiem wysadzone zostało, nie licząc pokaleczonych mniej lub więcej szkodliwie od spadających kamieni, oraz że przez długi czas w pobliżności szczątków tego zamku znajdowano w ziemi naczynia i kości nieszczęśliwych ofiar, między którymi nie było sposobu rozetnać tych, które należały do pięciu najdostojniejszych aktorów tej w okropności bezprzykładnej sceny. Książę Wiśniowiecki objąwszy księstwo Dolskie, wszystkie te szczątki kazał razem złożyć w jednym grobie, w tem miejscu, gdzie niegdyś się wznoził korpus zamkowy.

Nie poprzestając na tem, pobożny książę obrócił na chwałę Bożą to miejsce, na którym ta okropna zbrodnia była się ziściła, gdyż na fundamentach

---

swojej rodzinnej czystości, niż te wszystkie dodatki ludzkie, które tylko do obalonego pogaństwa cofają, a za którymi papieżniki tak obstają? — Jeżeli mam prawdę powiedzieć — odpowiedział mu pan Jeleński podkomorzy Nowogrodzki, mąż wielce poważany od obywatelstwa i samego księcia, co jest dobrego u nas, jako organy, kapala, malowidła, to skasowali, a to, co u nas jest nudnego, jako kazanie, to do nieskończoności przedłużyli. — Mnóstwo podobnych anegdot, znalazłem w tych pamiątkach.

zamku wyniósł klasztor Karmelitów bosych, i opatrzył go nieszczupłym funduszem. Kościół był przepyszny i w nim najwięcej uderzał pomnik, w Rzymie wykonany z marmuru, na cześć ofiar niegdyś zamku Dolskiego. Ten klasztor był razem warownią, jak Częstochowski i Berdyczowski, i dotrwał do pierwszych lat XVIII stulecia. Ale zdobyty przez wojsko Karola XII w powtórnym najściu Szwedów, do szczytu zburzonym został, wały go otaczające z ziemią zrównane, a odtąd już nie powstał, zaś Karmelici przenieśli się do Wiszniowca i tam aż do niniejszych czasów bytowali.

Wszystkie zabudowania ekonomiczne Dolska wznosiły się odtąd z materiałów, z których się kiedyś składał zamek, a później kościół i klasztor Dolski. Jedna tylko baszta, współczesna dawnego zamku, w całości się zachowała aż do roku 1751. Była to pustka, bo nawet ojcowie Karmelici żadnego użytku z niej nie mieli, może dlatego, że było powszechne mniemanie, iż złe duchy często się zbierały w tej baszcie i straszyły tych, co do niej się przybliżali. Roku 1701 była komisya wysłana od biskupa Łuckiego do Dolska, ażeby sprawdzić, co było rzeczywistego w tych ludzkich gadaniach; kilkadziesiąt świadków zeznało pod przysięgą, że kilkakrotnie przed nowiem o północy, dawał się widzieć

ogień buchający przez otwory tej baszty, że po świetle tych ogni rozpoznać było można potoki krwi płynącej po murze baszty aż do ziemi. Co dziwniejsza, sami Karmelici jednogłośnie zeznali, że corocznie w nocy Ś-go Daniela, słyszano wychodzący z baszty szelest broni i przeraźliwe jęczenia, które ustały dopiero, kiedy pierwszy kur zapiał. Na próżno używali eksorcyzmów, żeby siebie od tych strachów perzydycznych wyzwolić. Wywód słowny tej komisji dotąd się zachowuje w aktach kapituły Łuckiej.

Karmelici Dolscy wprzód, niż wyrugowani zostali do Wiszniowca, pokilkakrotnie zabierali się rozebrać tę niepokojącą basztę, ale wydatki, jakie na to trzeba było łożyć, zawsze ich od tego przedsięwzięcia odstraszały. I w samej rzeczy, kamienie, z których się wznosiła, prawicą kilku wieków zjednoczone, stworzyły z niej jakby jaki monolit, który niełatwo mógł być zniszczony. To pewna, że między gruzami, w które rozkaz Karola XII zamienił klasztor Dolski, ta baszta w całości pozostała, jakby dla postrachu mieszkańców,—tak dalece, że pastuchy nie chcieli zapędzać trzody w tę stronę, lubo była otoczona tłustemi pastwiskami, na czem rolnicze gospodarstwo Dolcka nieco cierpiało.

Nakoniec roku 1751 Grzegorz Perekladowski, łowczy Mozyrski, a gubernator księstwa Dolskiego,

wychowaniec szkoły artylerji drezdeńskiej, podszedź kazał miny pod basztę, która im się jednak oparła, bo tylko się porysowała: ale tyle razy powtórzono zostały, że nakoniec runęła z wielką radością mieszkańców. Część większa gruzów użytą została na wymurowanie bóżnicy w miasteczku i sklepów kupieckich, reszta powoli się rozebrała przez żydów na piece i kominy. Pan Perekladowski nawet fundamentów nie zostawił, a nie oszczędzając kosztów, tak to miejsce kazał oczyścić i zrównać, że w roku następnym, pierwszy raz może od stworzenia świata, ta ziemia, na której kiedyś zamki i klasztory kolejno wznicały strach i pobożność, zmuszoną została płodźć bujne jako na nowinie zboża,—tak, że już dziś poznać nie można miejsca, na którym te gmachy się wznosiły.

Niem mało sobie zadałem pracy, by dośledzić, co też się zrobiło z innemi osobami, które udział miały w niektórych ustępach tej powieści. Elżbiefą Sapieżyną, po utracie najdroższej przyjaciółki, wkrótce dotkniętą była niemniej bolesnym ciosem, bo w kilkanaście tygodni po tym okropnym wypadku pan starosta Mozyrski nagle rozstał się z tym światem, który dla pozostałej po nim wdowy już żadnego nie okazywał powabu. Póki księżna marszałkowa Litewska żyła, póty usiłowała zastąpić dla niej córkę; ale

gdy księżę marszałek, a wkrótce po nim i jego żona, wstąpili do grobu za dziećmi, których strata już nieczem wynagrodzoną być nie mogła, pani starościna osiadła, jak to dawniej nazywano, na dewocyi przy klasztorze panien Sakramentek w Wilnie, którego była spadkową dobrodziejką, i pomimo swoich zgryzot, w tem odosobnieniu się od zgiełku świata czterdzieści kilka lat przeżyła, nim się złączyła z wielkimi, a pobożnymi swoimi przodkami.

Wszyscy dworzanie księcia marszałka opatrzeni zostali w jego testamencie. Panu Dawidowi Odyńcowi dostała się w prawie dożywotniem porządna wieś w powiecie Reczyckim. Ale katastrofa Dolska niezatarte wrażenie sprawiła na jego umyśle. Ów trefny dworak Birżański, tak miły, tak wesoły, zupełnie stetryczał, unikał wszelkiego towarzystwa, albo przechadzał się samotnie po puszczech otaczających jego wioskę, albo nieruchomy siedział w krześle całkowite godziny, ust nie otwierając nawet dla dania rozkazu swoim sługom. Ponurość borów peleskich tak była odpowiednią stanowi jego duszy, że chociaż później w spadku po ojcu dostał mu się majątek w wesołej Żmujdzi, aż do śmierci nigdy do niego nie zajrzała w swoim Polesiu umarł zapomniany.

Pan Olesza także zakopał się w swojej wiosce, z tą jednak różnicą, że te wszystkie wypadki nie

zmniejszyły bynajmniej jego gadatliwości. Zawsze żył z swojemi sąsiadami, a nawet często bywał w Wiszniowcu u nowych właścicieli Dolska, i umiał zaskarbić sobie ich łaski. Zawsze wspominał z uszanowaniem swojego dawnego pana, i ujmował się za jego sławą, ile razy ktoś się przeciw niej odzywał.

Tem tłumaczył ostatni postępek, że człowiek poczciwy jest obowiązany nie czynić drugiemu, co jemu samemu niemiło, a że książę wojewoda nie usunął siebie od tej okropnej uczty, jaką sprawił dla gości, tem samem udowodnił, że był mężem dobrej sławy. Tyle tylko, że odtąd suszył w dzień Ś-go Daniela, mając za natchnienie miłosierdzia Boskiego, iż w porę odjechał z Dolska, bo gdyby jeszcze na kilka godzin był odłożył swój odjazd, zostałby niezawodnie wysadzony z gospodarzem i gośćmi.

O księciu Czetwertyńskim tyle tylko zasięgnąć mogłem wiadomości, że podczas Wiedeńskiej wyprawy jakiś księżę Czetwertyński, podkomorzy Bracławski, a starosta Trechtymirowski, na czele kozaków Ukraińskich popisywał się pod Strygonią. Nie mógł to być ten podkomorzy, o którym wspominałem, bo byłby za nadto stary, żeby się mógł jeszcze zabawić rycerskim rzemiosłem. Domyślałem się, że to musiał być jego syn, ów sławny Ogar, który tyle dokazywał w czasie wojny z Karolem Gustawem.

O dalszych przeznaczeniach meżów do historii należących nie wspominam, bo tembym wyrządził krzywdę moim czytelnikom, obznajmionym bez wątpienia z dziejami ojczystemi.

KONIEC.



11796